



ARTUR URBANOWICZ

# DEMAN



ARTUR URBANOWICZ

# DEMAN



DEMAN

Copyright © 2022 Artur Urbanowicz

All rights reserved

Copyright © 2022 Vesper, Czerwonak

Redaktor inicjujący: Jakub Kozłowski

Redakcja: Karolina Kacprzak

Korekta: Błażej Kemnitz, Urszula Przasnek

Projekt okładki: Dawid Boldys

Ilustracje: Rapti Mortengel

Wszystkie prawa zastrzeżone, Żadna część książki nie może być reprodukowana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem zacytowania krótkich fragmentów przez recenzenta.

Dystrybucja: In Rock ul. Gdyńska 30 A 62-004 Czerwonak tel./faks: 61 868 67 95, 61 868 65 06 e-mail:  
[handlowy@inruck.pl](mailto:handlowy@inruck.pl)

Vesper [www.vesper.pl](http://www.vesper.pl)

Wydanie I

Czerwonak, wrzesień 2022

ISBN 978-83-7731-430-2

# P R Z E D M O W A

Choć prawie wszystkie opisane w niniejszej książce miejsca, firmy i instytucje istnieją naprawdę, historię przedstawioną w *Demaniu* należy uznać za fikcję literacką, a wszelkie podobieństwa do realnych osób i zdarzeń za przypadkowe. Imiona, nazwiska i pseudonimy niektórych postaci mogą się pokrywać z imionami, nazwiskami i pseudonimami autentycznych księży, gangsterów, polityków, dziennikarzy, sportowców, psychologów i innych. Nie należy jednak utożsamiać bohaterów powieści z konkretnymi osobami. Nie należy również uznawać poglądów tych postaci za tożsame z poglądami autora.

Na koniec najważniejsze. Nie trzymasz, drogi Czytelniku, w rękach książki religijnej, tylko z gatunku fantastyki grozy z dużą dawką komiksowości. Książkę inną od moich poprzednich, hołd oddany ważnemu popkulturowemu zjawisku, jakim są mitologie superbohaterskie, napisaną przez fana tej tematyki. Pamiętaj o tym i baw się dobrze!

Pozdrawiam i kłaniam się nisko,

ArtUr

*I zdumiewali się wszyscy, tak iż pytali się nawzajem:  
"Co to jest? Nowa nauka głoszona z mocą!  
**Nawet duchom nieczystym rozkazuje i są Mu posłuszne"***

**Ewangelia według św. Marka 1, 27  
(Biblia Warszawska)**

Wyobraź sobie, że nagle zyskujesz następujące możliwości:

- wiedzę o wszystkich mrocznych tajemnicach każdego człowieka, jakiego spotkasz, o jego przewinach, grzechach, traumach i zmartwieniach,
- bycie niepokonanym w walce wręcz, nadludzką siłę, kondycję, szybkość, sprawność fizyczną i odporność na obrażenia,
- bezkarność,
- anonimowość.

Zastanów się i odpowiedz sobie na pytanie: jak wykorzystasz te zdolności?

**A potem na jeszcze jedno: czy masz absolutną pewność, że poprzednia odpowiedź jest szczerą?**

**CZĘŚĆ I:  
PRZESZŁOŚĆ**

# Z

**Gdynia, sierpień 1939**

Nawet powietrze zdawało się tutaj inne. Janek spodziewał się, że odczuje różnicę, ale zaskoczyła go jej skala. Nie miał wątpliwości - oddychało się przyjemniej, jak gdyby łatwiej, do tego naprawdę wydawało mu się, że czuje jakiś zapach. Słodki, znajomy, piękny. Wytęskniony. Czy właśnie tak pachniała ojczyzna? A może dom i bliscy, od których dzieliło go już tak niewiele?

Uśmiechnął się, a w jego oczach zaszklily się łzy. Nareszcie! Nareszcie dotarł do Polski!

Kiedy wyruszał na Madagaskar jako szeregowy marynarz polskiej delegacji w 1937 roku, nie spodziewał się, że za jakiś czas uzgodni z dowództwem odłączenie się od ekipy, a potem zabawi na wyspie tak długo. Zakochał się w niej jednak na tyle, że został dłużej nawet od Arkadego Fiedlera. To właśnie ten słynny pisarz i podróżnik zainspirował go do próby napisania własnej książki o pobycie w tym miejscu. Chciał być taki jak on - przeżywać liczne przygody, obserwować życie tubylców, przesiąknąć miejscową atmosferą, podziwiać krajobrazy i inne cuda natury, a potem wyczerpująco to wszystko opisać. Po cichu liczył również na godny zarobek. O Madagaskarze teraz wiele mówiło się w Polsce. Po raportach Lepeckiego (bardzo entuzjastycznym) i Fiedlera (wstrzemięźliwym, studzącym emocje) dla polskiego MSZ w kraju zapanowało istne szaleństwo. Niektórzy nawet, rozochoceni doniesieniami prasy, widzieli Polskę jako nową potęgę kolonialną. Naiwność i hurraoptymizm takiego podejścia nie zmieniały faktu, że teraz każda publikacja na temat wyspy i jej realiów była na wagę złota. Należało kuć żelazo, póki gorące.



Kiedy Janek uznał, że zebrał już dość materiału, zdecydował się na powrót do Polski. Podróż przebiegała z wieloma utrudnieniami. Rosnące napięcie między Rzeczpospolitą i Niemcami sprawiło, że musiał zmienić plany, i po dotarciu do Europy, zamiast podróży lądowej przez Rzeszę, zdecydował się pokonać wzdłuż Francję i dopiero z jej północnego wybrzeża złapać statek płynący w stronę ojczystego kraju. Wobec licznych problemów ze środkami transportu na trasie trudno było jednak określić precyzyjną datę przybycia do Gdyni. Dlatego w ostatnim liście z drogi z bólem serca poprosił bliskich, aby nie czekali na niego niepotrzebnie w porcie i zostali w domu, który od Bałtyku dzieliło dobre czterysta kilometrów. Obiecał, że wróci najszybciej, jak się da, i wkrótce zobaczą go całego i zdrowego.

Był już tak blisko...

Wziął głęboki oddech, napawając się polskim powietrzem. Efekt zepsuły jednak potężne kaszlnięcie i dotkliwy ból, który rozsadził mu płuca. Janek skrzywił się. Dolegliwość ta dokuczała mu, właściwie odkąd opuścił Afrykę. Cóż, chyba dobrze się stało, że postanowił wrócić do Europy w takim momencie. Od towarzyszy ostatniego etapu podróży dowiedział się, że Fiedler również przybył do Polski podupadły na zdrowiu - zdiagnozowano u niego awitaminozę i szkorbut. Taki los podróżników.

Opanował kaszel, poprawił opatrunek na rękę i wziął swoje ciężkie walizki. Kiedy zszedł ze statku i po raz pierwszy od lat postawił stopę na ukochanej polskiej ziemi, wydało mu się, że pod butem poczuł przyjemne ciepło, chyba nawet bardziej intensywne, niż kiedy w afrykańskim upale zwiedzał prymitywne wioski ukryte w dżungli. Kaszlnął po raz kolejny i ruszył w kierunku kontroli granicznej.

Zakończył najważniejszy etap swojej podróży, ale od jej prawdziwego końca dzieliło go jeszcze całkiem sporo. Musiał dotrzeć do Pomroki - rodzinnej wsi na Mazowszu, w której czekała na niego rodzina, a przede wszystkim Basia, jego ukochana. Nie widział jej tak długo! Okropnie za nią tęsknił. Listy, jakie wymieniali przez ostatnie lata, znał praktycznie na pamięć.

Kiedy opuszczał port, nie wiedział, że ktoś go obserwuje. Kobieta, która schodziła ze statku za nim. Jako jedyna zauważyła, że wraz z ostatnim kaszlnięciem Janek wykrztusił na ziemię kilka kropel krwi.

– Jesteśmy!

Janek ocknął się i spojrzał nieprzytomnie na starca, który potrząsał nim w nocnej ciemności. Księżyc oświetlał zaledwie połowę pomarszczonej twarzy mężczyzny. Z początku Janek go nie rozpoznał i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to ten sam, który był uprzejmy wziąć go na swoją furmankę. Spotkali się w mieście niedaleko Pomroki, twierdził, że jedzie w jej okolice, i zgodził się go podrzucić. Siano na wozie było tak miękkie i pachnące, że Janek, wyczerpany po spędzeniu połowy dnia na statku, a drugiej w pociągu, niemal natychmiast zapadł w głęboki sen.

Zanim się przebudził, śnił jakiś koszmar. Niewiele z niego pamiętał, jedynie migawki. Widział w nich swoją rodzinę i ukochaną. Scena rozgrywała się w domu w Pomroce, kojarzył drewniany wystrój, piec kaflowy, płytę kuchenną i półmrok izby oświetlonej jedynie kilkoma świecami. Tyle że nie uczestniczył w tym śnie jako on. Znajdował się jak gdyby w ciele wścieklej bestii i widział wszystko jej oczami. Potwór zaatakował jego bliskich. Uciekali przed nim po całym domu, próbowali się bronić, krzyczeli i wzywali pomocy. W końcu zagonił ich wszystkich w kąt, a potem jedno po drugim zagryzł, jakby chciał pożreć żywcem. Byli przerażeni i błagali o litość, lecz jemu zdawało się, że nie rozumiał, co do niego mówią. Kierował się wyłącznie instynktem i głodem. I choć we śnie wcielał się w potwora, zdziwiło go, że każda z ofiar zwracała się do niego po imieniu.

– Janek! Co robisz?! Przestań!

Wzdrygnął się i zdał sobie sprawę, że pomimo ciepłej nocy jest mu przeraźliwie zimno. Jednocześnie był cały mokry od potu. Jego ciało przeszyły nowe dreszcze i stwierdził, że tak źle nie czuł się chyba jeszcze nigdy. Kaszel i ciężar w płucach nie ustępowały, a kolejne godziny podróży uzupełniły je o nowe dolegliwości - ból głowy, łamanie w kościach, osłabienie i palące pieczenie w gardle.

I głód.

Janek zaczynał odczuwać coraz większe łaknienie, choć przed wyjazdem z miasta zjadł solidną kolację. Miał ochotę na mięso. Dużo mięsa.

Wydawało mu się, że dalej śni. Był na wpół nieprzytomny, jakby czymś odurzony. Wszystko go bolało. Z furmanki zgramolił się, a raczej z niej spelzł. Jego walizki zdawały się ważyć trzy razy więcej, niż kiedy je na nią wnosił.

– Poradzisz pan sobie? - odezwał się z troską starzec. - Pomroka już niedaleko. Tutaj drogą przez las. - Wskazał.

Janek zignorował pytanie. Chciał natomiast podziękować za podwózkę, lecz jego usta ogarnął jak gdyby częściowy paraliż i wydobył się z nich jedynie cichy, niezrozumiały bełkot. Machnął niezgrabnie ręką i wkroczył w ciemność. Zataczał się jak pijany. Mężczyzna z furmanki powiódł za nim wzrokiem, kręcąc głową.

Janek wędrował przez ciemny las. Chciał przyspieszyć, ale nie mógł, za bardzo łamało go w kościach. „Do domu... Chcę do domu!” - myślał rozpaczliwie. Posuwał się naprzód intuicyjnie, zdał się na nogi, które prowadziły go same. Z cierpienia chciało mu się płakać. Marzył o ciepłym łóżku, o gorącym mleku z miodem, o tym, by móc znowu zasnąć. O ramionach Basi, jej miękkiej skórze i przyjemnym głosie. Nie zarejestrował, kiedy uchwyty walizek wyslizgnęły mu się z mokrych dłoni i bagaż z tąpnięciem wylądował na ziemi. Posuwał się naprzód chwiejnym krokiem. Chciał wzywać pomocy, ale język zeszywniał mu tak, że dosłownie stracił w nim czucie.

„Do domu! Chcę... do domu!”

W leśnej ciemności czujnie obserwowały go sarny. Z respektem. Instynktownie wyczuwały niebezpieczeństwo i starały się nie ruszać. Janek parł przed siebie, żałośnie zawodząc, ni to płacząc, ni to jęcząc. Jego mózg stracił połączenie z nogami, które mimo co nadal wiodły go naprzód. Wzrok natomiast stracił ostrość i teraz Janek widział przed sobą jedynie rozmazaną mozaikę czerni i szarości. Paradoksalnie jednak wiedział, dokąd iść. Wyczuwał bliskość wioski. Bliskość p o ż y w i e n i a .

Wreszcie dotarł na polanę z domami. Pierwszy przy drodze należał do rodziny Basi. Podszedł do niego, potykając się na nierównościach porośniętego trawą podwórka. Stanął przed drzwiami i zapukał. Tak mu się przynajmniej wydawało - w rzeczywistości przypominało to coś pomiędzy bezładnym waleniem a drapaniem. Drzwi otworzyła mu piękna dziewczyna z rudymi włosami związanymi w warkocz i masą piegów na rumianych policzkach. Piegów, które jedynie pamiętał. Teraz nie mógł ich zobaczyć.

– Janek! Już jesteś?!

Chciał odpowiedzieć, ale nie był w stanie. Nie potrafił mówić. Nie potrafił nawet się ucieszyć, że wreszcie zobaczył ukochaną. Jej też nie widział do końca wyraźnie,

izbę za nią rozświetlały świece, zupełnie jak w jego niedawnym śnie. Tym razem widział mieszanicę czerni i pomarańcza. I te co najmniej trzy

(kawały mięsa)

kształty odpowiadające najpewniej Basi i jej rodzicom. Wkroczył chwiejnie do środka - blady, przepecony i z zapadniętymi oczami.

- Tak bardzo tęskniłam! - zawołała dziewczyna. - Kochany... - Porwała go w objęcia i mocno przytuliła.

Odwzajemnił uścisk, choć nie do końca świadomie, bardziej odruchowo, z echem tęsknoty i radości, jakie odczuwał, gdy po raz pierwszy po powrocie z Afryki odetchnął polskim powietrzem. Ze wspomnieniem radosnego wyczekiwania na moment, o którym marzył każdego dnia, odkąd opuścił Madagaskar. T y l k o wspomnieniem. Zdał sobie sprawę, że nie chce puścić dziewczyny z zupełnie innego powodu.

Kaszlnął, a z jego nosa popłynął strumień gęstej żółtej flegmy, który poplamiał sukienkę Basi, mieszając się z krwią ciekącą mu z ust. Gardło paliło go żywym ogniem, a ciało znowu przeszył dreszcz.

- Janek...?

Basia próbowała się od niego oderwać, ale jej nie pozwolił. Wciąż kurczowo zaciskał dłonie na jej plecach. Kiedy na moment odetkał mu się nos, poczuł jej zapach. Świeży, piękny...

A p e t y c z n y .

Bolała go głowa. Nie był w stanie myśleć. Żołądek ssał go niemiłosiernie.

- Co się dzieje? Cały drżysz! - Przy jego uchu rozległ się przyjemny dziewczęcy głos. Głos, który tak kochał, za którym tak bardzo tęsknił. Głos pełen niepokoju. Zmusił się, by coś odpowiedzieć. Musiał. Musiał chociaż spróbować. Oni nie powinni... Nie mógł...

- Uuu... - zaczął.

- Co...?

Poczuł, że Basia znowu chce się od niego oderwać. Przycisnął ją mocniej do siebie. Z całej siły napiął mięśnie.

- Uciekajcie!!! - zaryczał przeciągle, lecz zaraz rozwarł szczęki i ugryzł dziewczynę w szyję.

Podobnie jak czarnoskóry mężczyzna z afrykańskiego plemienia, który w niewyjaśnionym szale ugryzł go w rękę zaledwie dzień przed tym, jak Janek opuścił Madagaskar.

\* \* \*

**Wrzesień 1939**

Po wybuchu II wojny światowej hitlerowcy błyskawicznie dotarli na Mazowsze, a co za tym idzie - w okolice Pomroki. Oddział rozpoznawczy składający się z kilkunastu żołnierzy otrzymał rozkaz sprawdzenia lasu, w którym mieściła się wioska. Na początku wysłano jednego zwiadowcę, aby rozeznał się w potencjalnych zagrożeniach, ale jako że ten długo nie wracał, zdecydowano się nie czekać. Nie było czasu do stracenia, obszar znajdował się na centralnym odcinku strategicznego frontu w kierunku Warszawy.

Żołnierze ruszyli tyralierą w stronę wioski, idąc między drzewami, poza piaszczystą ścieżką biegnącą przez las, lecz starając się nie tracić jej z oczu. Jeden z nich - Andreas - rozglądał się niepewnie. Niebo powoli ciemniało, otaczała ich cisza, a on słyszał jedynie wytłumione miękkim runem kroki swoich towarzyszy, które i tak zdawały się nienaturalnie głośne. Jego wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Las to dobre miejsce na zasadzkę, a ich nie było wcale tak wielu. Powietrze stało w miejscu, nie było słychać choćby najcichszego szumu drzew, nawet śpiewu ptaków, nawet jednego trzaśnięcia gałązki, jak gdyby las już wcześniej, jeszcze zanim niemieckie wojska zajęły te okolice, opuściły wszystkie zwierzęta.

Żołnierze wreszcie dotarli na skraj polany i zobaczyli wioskę w całej okazałości - kilkanaście domów na stosunkowo małym terenie. Wszystkie były na wpół zrujnowane, z wybitymi szybami i licznymi uszkodzeniami w dachach, które zaczynał pokrywać mech. Otaczały je zaniedbane, zarastające chwastami podwórka. Najbardziej jednak na polanie rzucała się w oczy kontrastująca z zielenią rdzawa czerwień. Już niedaleko granicy lasu Andreeasa i resztę przywitała na środku drogi potężna kałuża zeschniętej krwi. Jej ślady dało się dostrzec również na domach i pojedynczych drzewach na posesjach. Na ścianach chat widniały liczne krwawe smugi i odciski dłoni. Po polanie zaś roznosił się mdlący odór zgnilizny.

Andreas wpatrywał się w ten widok, zastanawiając się, co go spowodowało. Wioska wyglądała na wymarłą. Nie na opuszczoną. W y m a r ł ą . Jakby to ona krwawiła z tych zniszczonych budynków i zaniedbanych podwórek.

Przez jakiś czas obserwowali Pomrokę z ukrycia, lecz nikogo nie dostrzegli, niczego nie usłyszeli. Dowódca, Matthias, wysłał więc dodatkowego zwiadowcę, aby wstępnie rozejrzał się po terenie. Żołnierz wszedł na otwartą przestrzeń poza drzewami, szybkim krokiem dotarł do najbliższego budynku i zaczął skradać się wzdłuż niego z wyciągniętym karabinem. Pozostali, w tym Andreas, wiedli za nimi wzrokiem.

A gdy kolega zniknął im z oczu...

Polanę rozdarł jego wrzask, po którym rozległo się kilka wystrzałów. Żołnierze popatrzyli po sobie z niepokojem. Matthias zawahał się, co powinni zrobić, ale nie dano mu czasu na podjęcie jakiejkolwiek decyzji. Wrzask nagle ustał, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Stojący na miękkich nogach Andreas przełknął ślinę, rozglądając się nerwowo i zaciskając kurczowo dłonie na karabinie. Wydało mu się nagle, że to oni są obserwowani. I to z każdej strony lasu. Jakby nie tylko wioska była żywym organizmem, ale on w całości.

Wtedy ciszę polany przerwał jeszcze jeden dźwięk, tym razem inny. Z początku trudno było stwierdzić, co to jest. Przypominał rytmiczne szuranie, powolne, jednostajne, jakby ciągnięto coś po żwirowej drodze. W końcu Thomas, zastępca dowódcy, zauważył jego źródło i wskazał kierunek.

– *Seht an!*<sup>1</sup> - szepnął.

Przez główny trakt wioski szedł chwiejnie jeszcze jeden mężczyzna ubrany w niemiecki mundur. Andreas rozpoznał zwiadowcę, który wszedł do lasu jako pierwszy, jeszcze zanim wyruszyli na rozpoznanie, a potem nie wrócił. Ciągnął po żwirze ciało kolegi, który przed chwilą krzyczał, trzymając je za nogę. Było zakrwawione, jakby zagryzione. Miało rozszarpane gardło, z którego płynął strumień krwi.

– *Heinrich?* - odezwał się cicho Thomas. Zrobił krok w stronę tamtego, lecz Matthias powstrzymał go ostro:

– *Halt!*

Thomas przystanął z wahaniem i pozostało mu tylko obserwować zwiadowcę, który mozolnie posuwał się w ich stronę z pochyloną głową. Obecność kolegów

zdawała się go nie ruszać, nie okazywał żadnych emocji, nawet się nie odezwał. Im bardziej się zbliżał, tym więcej ciemnoczerwonych plam na jego mundurze dostrzegał Andreas. Twarz pod hełmem była przeraźliwie poraniona, z nosa zwisało długie, żółte pasmo glutowatej flegmy. Oczy zwiadowcy były puste, jakby pozbawione życia.

– *Heinrich?* – powtórzył za podkomendnym Matthias. – *Was ist hier los? Warum bist du nicht von den Auskundenschafien zuruckgekommen?*<sup>2</sup>

Heinrich w dalszym ciągu nie odpowiadał. Szedł, ciągnąc martwe, pokrwawione ciało drugiego zwiadowcy. Wciąż szurał podszwami o żwir, jakby nic miał siły unosić stóp. Odgłos jego kroków wybrzmiewał coraz głośniejszy, odbijał się od drzew otaczających polanę i wracał z echem, które drażniło uszy.

– *Stillgestanderdd*<sup>3</sup> – powiedział ostro Matthias.

Heinrich zignorował rozkaz. Kiedy znalazł się w odległości kilku metrów od grupy, puścił nogę, za którą ciągnął trupa drugiego żołnierza, zatrzymał się i wyprostował. Jego głowa opadła bezwładnie na bok, wydawało się, że nie był w stanie utrzymać jej prosto. Stał nieruchomo i wpatrywał się w oficera, a pozostali na niego.

Kiedy to się stało, Andreas myślał z początku, że się przewidział. Już w następnym momencie Heinrich zrobił bowiem kilka błyskawicznych kroków w stronę dowódcy, złapał go za głowę i... zatopił zęby w jego szyi. Zaskoczony oficer wrzasnął i próbował go od siebie odepchnąć, ale Heinrich zacisnął szczęki tak mocno, że nie sposób było się od niego uwolnić. Zaczął ruszać głową, jakby chciał przegryźć Matthiasowi gardło. Pozostali tkwili nieruchomo jak zamrożeni, nic z tego nie rozumiejąc i nie wiedząc, jak zareagować.

– *Helft mir!*<sup>4</sup> – zawołał rozpaczliwie Matthias, nie ustając w walce. Dwóch żołnierzy spróbowało ich rozdzielić, ale bez skutku. Heinrich szarpnął szczęką jak dzikie zwierzę i wyrwał własnemu dowódcy z szyi pokaźny kawał mięsa. Jego oczy nadal były puste, wydawał się pacynką, którą steruje coś z zewnątrz. Matthias przyklęknął, trzymając się za gardło i krztusząc krwią. Jego twarz powoli traciła kolory, w przeciwieństwie do ziemi pod nim, którą pokrywało coraz więcej czerwieni.

– *Sanitäter*<sup>5</sup> – krzyknął ktoś.

– *Beruhige dich!* - Jeden z żołnierzy złapał Heinricha za ramiona, podczas gdy sanitariusz i część pozostałych rzucili się na pomoc dowódcy. - *Was ist bloß in dich gefahren?!<sup>6</sup>*

Heinrich spojrzał na niego, a raczej tylko skierował oczy w jego stronę, bo ze świadomym patrzeniem nie miało to nic wspólnego. Rozwarł szczęki i ugryzł kolegę w przedramię. Zacisnął na nim zęby jak imadło. Żołnierz zaczął krzyczeć, próbując się wyrwać. Pozostali obserwowali ich walkę, nie rozumiejąc, co się dzieje. Andreas również. Wlepił wzrok w puste oczy kolegi z oddziału, w których nie zobaczył już choćby cząstki ludzkiej świadomości, i coś podjęło decyzję za niego, jakiś instynkt, który podpowiedział mu, co należy zrobić. Uniósł karabin i wycelował w Heinricha.

Po lesie rozniósł się huk wystrzału. Heinrich wypuścił z ust przedramię szeregowca, a ten natychmiast od niego odskoczył i upadł na plecy. On sam zaś tylko się zachwiał, lecz poza tym pocisk nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Mało tego, tym razem skupił puste oczy na Andreasie. Ruszył w jego kierunku.

– *Halt! Weg bleiben!<sup>7</sup>* - zawołał Andreas, lecz Heinrich go nie słuchał. Zbliżał się. Nim Andreas zdążył cokolwiek pomyśleć, nacisnął spust jeszcze kilka razy. Wszystkie pociski dotarły do celu, lecz nie odniosły skutku. Heinrich tylko się zatoczył, ale szedł dalej przed siebie. Andreas zauważył, że choć na ciele zwiadowcy pojawiły się nowe rany, nie ciekła z nich krew. Coraz bardziej niepokoiło go to, w czym uczestniczył. Coraz mniej z tego rozumiał. Coraz mniej myślał. Za to coraz bardziej się bał.

– *Was ist das...?<sup>8</sup>* - wycharczał szeregowy z pogryzioną ręką, wpatrując się przekrwionymi oczami w Heinricha, który już dawno powinien był paść bez życia na ziemię.

Kiedy wydawało się, że już nic nie ochroni Andreasa przed atakiem, a napastnika dzielił od niego maksymalnie metr, oddał w jego stronę ostatni desperacki strzał. Trafił w głowę, we fragment czoła tuż pod hełmem. Dopiero wtedy Heinrich zeszywniał, padł jak długi i już się nie podniósł. Jego ciałem nie targnął nawet najmniejszy pośmiertny spazm.

Żołnierze wpatrywali się z niedowierzaniem najpierw w truchło na ziemi, a potem, o wiele dłużej, w Andreasa, który pochylił się i zaczął głęboko oddychać. Karabin zwisał nad ziemią w jego opuszczonych bezwładnie rękach. Kręciło mu



się w głowie i sam był w szoku, ale jednocześnie czuł taką ulgę, że od tej mieszanki skrajnych emocji zrobiło mu się słabo. Z opóźnieniem uniósł głowę i spojrzał na pozostałych. A wtedy Thomas jakby się ocknął i ruszył z furią w jego stronę.

– *Was hast du getan?! Bist du verrückt?!<sup>9</sup>*

Andreas spojrzał na niego wzrokiem niemal tak nieprzytomnym, jak Heinricha przed chwilą. Niewiele kontaktował i autentycznie nie rozumiał, o co chodzi.

– *Du hättest es nicht tun müssen!<sup>10</sup>* - krzyknął wściekle Thomas i popchnął go. Andreas się przewrócił.

– *Er hätte mich töten können<sup>11</sup>* - powiedział niepewnie.

Thomas już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy przerwało mu charczenie Matthiasa, który wciąż leżał na ziemi i walczył o życie, opatrywany przez żołnierza z białą opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu. Żołnierz z ranną ręką z kolei zaciskał na niej drugą dłoń, próbując powstrzymać krwawienie. Krzywił się z bólu i był blady na twarzy.

– *Leutnant<sup>12</sup>* - zwrócił się do Thomasa sanitariusz. - *Wir müssen ihn aus dem Wald holen oder er stirbt<sup>13</sup>.*

Zapadło milczenie, a Thomas wyglądał, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że w obecnej sytuacji to on wydaje rozkazy i w największej mierze od niego zależy, czy ich dowódca przeżyje. Cmoknął z dezaprobatą i choć bezsprzecznie miał ochotę dalej krzyczeć na Andreasa, może nawet go pobić, musiał to odłożyć na potem. Przykucnął przy oficerze, aby pomóc ułożyć go na małych noszach. Kilku żołnierzy poszło za jego przykładem i odwrócili się do Andreasa plecami, jakby przestał istnieć. Nie umknęło mu, że zanim to się stało, zerkali na niego z wyraźną niechęcią. Już wiedział, że najprawdopodobniej na zawsze stracił zaufanie i przychyłność tych chłopaków, a gdy wydostaną się z lasu, czeka go postawienie przed *Reichskriegsgericht<sup>14</sup>*. Kilkunastu świadków nie mogło się mylić.

Nim się zorientował, siłą podniesiono go na nogi i odebrano mu karabin. Dwóch kolegów z oddziału stało teraz przy nim bez słowa i ścisnęło za ramiona jak jakiegoś jeńca. Wciąż był w szoku i ledwo trzymał się prosto. Nawet nie słyszał, co do niego mówiono. Choć powstrzymywał się przed tym, jak mógł, jeszcze raz spojrzał na ciało Heinricha, walcząc z wyrzutami sumienia.

Zginałby, gdyby go nie zastrzelił. Był tego pewien. Czy dało się to rozegrać inaczej? Ten człowiek zachowywał się, jakby stracił rozum. Nie sposób było do

niego dotrzeć. Możliwe, że przez niego dowódca umrze, zaatakował również drugiego zwiadowcę. Co mu się stało? Z czego wynikało jego dziwne zachowanie?

Dziwne zachowanie i...

Dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Choć strzelił Heinrichowi w sam środek głowy, nie ciekła z niej krew. Owszem, widoczna była tam rana, ale pokrywała ją galaretowata masa o brązowo-szkarłatnym kolorze.

Andreas spojrzał na dowódcę, który w dalszym ciągu trzymał się za gardło, przyciskając do niego opatrunek. Czy mu się wydawało, czy teraz z jego rany wypływało wyraźnie mniej krwi? A zwłoki drugiego zwiadowcy? Praktycznie pozbawiono go szyi. Mimo co...

Nie miał jednak czasu się nad tym zastanowić, bo właśnie wtedy usłyszeli to po raz kolejny

Szuranie i szelesty.

Tyle że nie z jednego źródła. Nawet nie z kilkunastu. Z kilkudziesięciu. Może nawet z większej liczby.

Ze wszystkich zakamarków wioski i otaczającego ją lasu wychodziły kolejne postacie. Wszystkie szły identycznie jak Heinrich - powoli, chwiejnie, ze zwisającymi bezwładnie rękami, ciągnąc stopami po ziemi. Miały siny, niekiedy wręcz ciemnożółty kolor skóry okraszonej licznymi ropiejącymi ranami. Niektórym brakowało pojedynczych części ciała, w tym oczu, nosów, rąk i żuchw, inne z kolei wyglądały, jakby ktoś częściowo obgryzł je z mięsa niczym udko kurczaka - w pokaźnych fragmentach korpusów białe kości, spomiędzy których zwisały gnijące trzewia. Głowa jednego ze stworów kończyła się brudnym rudym warkoczem. Smród zgnilizny, jaki Andreas poczuł, gdy dotarli do Pomroki, przybrał nasilę.

Przerażony, zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu wstrzymywał oddech. Kiedy myślał, że gorzej już być nie może, zobaczył, że istoty poruszają się coraz szybciej, wręcz z nieludzką prędkością. Teraz biegly w stronę żołnierzy, gubiąc po drodze kawałki ciał.

Było ich tak dużo i zmniejszały odległość dzielącą ich od Niemców tak szybko, że ci zdążyli strzelić do zaledwie kilku z nich. Brakowało przestrzeni, nie dało się ogniem utrzymać pozostałych na dystans. Stwory doskoczyły do zgromadzonych przy Matthiasie żołnierzy i zaczęły kąsać.

Andreas nie myślał długo. Uwolniony z uścisku pilnujących go kolegów, którzy dołączyli do walki, porwał z ziemi swój karabin porzucony przez jednego z nich. Jako jedyny starał się strzelać w głowy tych... rzeczy. Po lesie rozniósł się chór przerażonych wrzasków i ryków cierpienia, od czasu do czasu przeplatany pojedynczymi strzałami, lecz oddawanymi coraz rzadziej.

Po ustrzeleniu kolejnego potwora Andreas zauważył przerwę w rzędzie otaczających ich postaci i rzucił się do ucieczki. Nagle coś chwyciło go za nogę i upadł na brzuch, boleśnie objijając żebra. Odwrócił się i zobaczył, że przewróciło go ciało dowódcy. Nie d o w ó d c a , tylko jego c i a ł o ; kukła, truchło, które zachowywało się, jakby wciąż żyło, i przepelzło w kierunku podkomendnego z porzuconych przez pozostałych noszy. Andreas wiedział jednak, że to coś jest już martwe. Rozpoznał co w jego oczach, równie pustych jak Heinricha i reszty. Istota zacisnęła dłoń na kostce Andreasa i zaczęła przyciągać go do siebie z ogromną siłą. Szczyrzyła zęby, jakby triumfalnie się uśmiechała.

– Nein! - zawołał rozpaczliwie Andreas, próbując ponownie chwycić karabin, a potem odnaleźć spust. W końcu mu się udało i wycelował w czoło potwora. Strzelił, nie bacząc na to, że nie trzyma broni zgodnie z tym, jak go wyszkolono. Odrzut sprawił, że karabin niemalże wypadł mu z mokrych rąk, lecz teraz Andreas trzymał go tak mocno, jakby wisiał nad przepaścią i zaciskał dłoń na ostatnim fragmencie barierki. Kreatura padła bez życia, chociaż trudno było mówić, by przed chwilą żyła i proces ten z pewnością już nie funkcjonował tak, jak u zwykłych ludzi. Rozluźniła uścisk na kostce Andreasa, a ten poderwał się na nogi i zaczął biec. Nie oglądał się, nie słuchał wrzasków ginących w męczarniach kolegów, którzy wkrótce mieli podzielić los Heinricha i reszty mieszkańców Pomroki, nie czuł narastającego bólu spracowanych stóp, kolan i łydek, które chyba jeszcze nigdy nie doświadczyły takiego wysiłku. Nie myślał o niczym. Chciał tylko stamtąd uciec.

Jako jedyny przeżył masakrę w Pomroce. Nie miał pojęcia, że miało to, niczym efekt motyla, znacząco wpłynąć na historię całego świata, również długo po zakończeniu wojny.

\* \* \*

**1944, obóz koncentracyjny w Oświęcimiu**

Ogolona na łyso kobieta wyła i walczyła jak ranna lwica, lecz kilka ciosów esesmanów zamroczyło ją i się poddała. Wstrzyknięto jej substancję, którą w dokumentacji medycznej odpowiedzialni za eksperyment doktor Arne Kurtz i profesor Sven Friedrich nazwali lakonicznie „Próbką numer 1”. Po wszystkim osadzoną wywieziono z bloku i zamknięto w specjalnej izolatce, gdzie miała czekać na następną część doświadczenia zaplanowaną za kilka dni. W każdym razie na to liczyli Kurtz i Friedrich. Berlin nadał temu eksperymentowi najwyższy priorytet i żywo interesował się wynikami, od których mogły zależeć dalsze losy wojny.

Próbkę numer 2, będącą zupełnie innym preparatem, zamierzano przetestować z kolei na mężczyźnie i wkrótce wprowadzono go do sali zabiegowej. Oczywiście wyrywał się i protestował chyba nawet bardziej niż poprzedniczka, jednak trzymający go Niemcy nie pozwolili mu na wiele. Położyli go siłą na leżance i przypięli grubymi pasami. Nie ustawał w próbach uwolnienia się, lecz strach odbierał mu coraz więcej sił

– Skurwysyny! - wrzeszczał z nienawiścią połączoną z rozpaczą. - Zostawcie mnie!

Kurtz i Friedrich, przyzwyczajeni do wrzasków obiektów do świadczonych, nawet nie spojrzeli na więźnia, tylko raz jeszcze przyjrżeli się jego kartotece. Wiek - pięćdziesiąt sześć lat. Wzrost - metr osiemdziesiąt trzy. Budowa ciała - normalna. Poważniejsze choroby i dolegliwości - nie stwierdzono. Kurtz nie powiedział tego Friedrichowi, bo dla doświadczenia nie miało to znaczenia ale wybierając spośród więźniów kandydata do eksperymentu, kierował się również tym, że Władysław Ziarnik, bo tak nazywał się mężczyzna, przed umieszczeniem w obozie stał na czele grupy szabrowników. Kurtz gardził Polakami jako przedstawicielami niższej rasy, niemniej musiał im oddać, że ich charakter, męstwo i upór w trakcie walk mogły wzbudzać pewien szacunek. Natomiast dla gnid takich jak Ziarnik nie miał żadnego. Kiedy jego rodacy walczyli pomimo przegranej wojny, kiedy oddawali życie za ojczyznę ten śmieć zajmował się okradaniem ich opuszczonych domów. Korzystał z cudzej tragedii, żeby się wzbogacić. Czy może być większa hańba? Z tym większą satysfakcją zamierzał przetestować na nim działanie próbki numer 2 i wprost nie mógł się doczekać kiedy za jakiś czas przejdą do następnej fazy eksperymentu. Sam wtedy z radością pociągnie za spust

Esesmańscy naukowcy ponownie spojrzeli na Ziarnika który zrozumiał, że zaraz przejdą do głównego punktu programu. Zdobył się na jeszcze jeden energiczny zryw

– ZOSTAWCIE MNIE!!! - wydarł się, a gdy zobaczył w dłoni Kurtza strzykawkę z czarnym płynem, wytrzeszczył oczy w przerażeniu.

– Pomocy! - wrzasnął, wierząc się na leżance, lecz pasy nie chciały puścić. - Nie!

Friedrich popatrzył znacząco na pozostałych, a ci podeszli do Ziarnika i unieruchomili go siłą.

Mężczyzna splunął w policzek jednemu z nich.

– Idźcie do diabła, potwory! - zdążył powiedzieć, nim ten sam esesman uderzył go pięścią w twarz i wybił dwa przednie zęby. Bolało przeokropnie, ale Ziarnik nie stracił przytomności. - NIEEEE!!! -krzyknął, dla odmiany opluwając ich krwią.

Kolejny cios był nawet silniejszy i choć Ziarnik za wszelką cenę starał się zachować jasność umysłu, nie miał na to wpływu. Kiedy względnie oprzytomniał, zobaczył, że w żyłę na jego przedramieniu tkwi już gruba igła, podczas gdy strzykawka jest opróżniona niemal w połowie. Wrzasnął i poruszył się gwałtownie. Igła rozerwała mu skórę i poczuł dotkliwy ból w zgięciu lewej ręki, z którego sączyła się krew. Kurtz i Friedrich zdawali się tym nie przejmować. Spojrzeli na siebie ze spokojem i w końcu jeden z nich kiwnął głową.

– *Das is genug* - powiedział, po czym zwrócił się do podkomendnych: - *Führen Sie das Objekt ab.Isolationszelle Nummer zwei*<sup>15</sup>

Esesmani, pchając leżankę na kółkach, wyjechali na korytarz. Ziarnik już nawet nie wrzeszczał. Ryczał. Nie z powodu rany, której nikt nie opatrzył. Zdawało mu się, że z jego ciałem coś się dzieje. Nie, był tego pewien. Niemal czuł, jak coś złego, obrzydliwego, wstrętnego roznosi się po nim, poczynając od feralnej ręki. Wiedział, że jest złe. Jeżeli wstrzykuje się człowiekowi coś czarnego, nie ma prawa być inaczej. Natura jednoznacznie określa kolor czarny jako ten, którego należy się wystrzegać. Nie pijesz czarnej wody, nie wchodzisz do niej albo do ciemnego lasu, bo nie wiesz, jakie okropności się w nich kryją. A kryją się zawsze. Ciemność równa się czerń. Czerń równa się zło.

Chciał złapać się za łokieć drugą dłonią i spróbować wycisnąć świństwo, które mu podali, ale przypięty pasami do leżanki nie był w stanie. Frustracja tylko

potęgowała jego lęk. Czuł, że z każdym uderzeniem serca coś w nim pełza, mnoży się, rozprzestrzenia...

I w końcu dociera do mózgu.

Esesmani odstawili go do izolatki, ale nie uwolnili z pasów. Kiedy z metalicznym trzaskiem zamknęli, a potem zaryglowali za sobą drzwi, Ziarnik nie przestawał wrzeszczeć. Jego ryk roznosił się po obozie przez prawie całą noc.

\* \* \*

Obudziwszy się następnego dnia, zdziwił się praktycznie wszystkim. Najpierw tym, że w ogóle zasnął, choć jeszcze niedawno wydawało mu się, że nigdy nie będzie w stanie zmrużyć oka. Potem z kolei zaskoczyło go, że jeszcze żyje. Na sam koniec zaś zdał sobie sprawę, że czuje się całkiem dobrze, praktycznie tak samo, jak zanim wprowadzili go do sali, w której wstrzyknięto mu tę dziwną substancję. „Praktycznie”. Rozerwane dziąsła w dziurach po wybitych zębach wciąż pulsowały tęnym bólem. Poza tym nic nie zdawało się odbiegać od normy, pomijając mrowienie, jakie czuł na całym ciele. W gruncie rzeczy przyjemne - nie takiego spodziewałby się po tym, jak wstrzyknięto mu jakieś okropieństwo.

Myślał gorączkowo. Słyszało się, że w bloku dwudziestym ósmym odbywają się okrutne eksperymenty pseudomedyczne, więźniowie prześcigali się w teoriach na ten temat, na przykład takich, że testowano na osadzonych prototypy lekarstw. I właśnie to, że akurat jego wybrano na obiekt doświadczalny, przerażało Ziarnika najbardziej. Wcześniej był całkowicie zdrowy, a dzięki sprytowi i doświadczeniu wyniesionym z przestępczego życia udało mu się przetrwać do tej pory w obozie właściwie bez szwanku.

Żeby testować leki na kimś zdrowym, trzeba sprawić, by zachorował. Trzeba go najpierw czymś... zarazić.

Czyżby objawy choroby miały pojawić się dopiero po jakimś czasie? Jak długo będą trzymać go w zamknięciu? Czy odbędzie się druga faza testów? Jeżeli tak, kiedy i na czym będzie polegać?

Rozejrzał się i na nowo ogarnęła go desperacka złość. Musiał uwolnić się z tych pasów! Musiał...

Zdębiał i wytrzeszczył oczy, wpatrując się w porwane skórzane taśmy, które przed chwilą oplatały jego ciało. Teraz ich końcówki zwisały po bokach leżanki.

Wpatrywał się w nie skonfundowany, nie wiedząc, że gdy pilnujący go strażnicy zobaczyli, co się stało, jeden z nich natychmiast pobiegł donieść o tym doktorowi Kurtzowi.

– *Es ist geschehen, Herr Kurtz*<sup>16</sup> - zameldował, salutując.

Oczy naukowca rozbłysły co najmniej tak, jakby ukryły się za nimi miniaturowe żaróweczki. Uśmiechnął się, lecz wyraz jego twarzy paradoksalnie nie miał za wiele wspólnego z wesołością. Nie tylko dlatego, że gościła na obliczu Kurtza niezwykle rzadko.

– *Bring den Gefangenen raus! Sofort!*<sup>17</sup>

– *Ja, Herr Kurtz!*<sup>18</sup> - Esesman zsalutował po raz kolejny i pobiegł z powrotem pod drzwi celi. Skinął porozumiewawczo głową na drugiego strażnika, zwolnił zamek w drzwiach i obaj wycelowali karabiny w zaskoczonego więźnia, krzycząc:

– *Rausgehen!*<sup>19</sup>

Ziarnik uniósł ręce, wpatrując się z niepokojem w lufy.

– *Raus, aber sofort!*<sup>20</sup> – powtórzył esesman i pokazał mu machnięciem ręki, by opuścił celę.

Ziarnik ostrożnie ruszył ku wyjściu, cały czas będąc na muszce. Myślał. Wyszędłszy z celi, zobaczył, że na korytarzu czeka na niego jeszcze kilku Niemców z karabinami. Otoczyli go. Teraz celowało w niego dziesięć luf. Jedyne mężczyzna, który w niego nie mierzył, pokazał mu wyjście z korytarza.

– *Zum Ausgang*<sup>21</sup>

Ziarnik posłusznie ruszył naprzód. Esesmani szli tak, żeby cały czas być przodem do niego. Czuł się dziwnie, ale było w tym coś... intrygującego. Wyczuwał z ich strony zastanawiający respekt. Nie rozumiał, dlaczego zapewniono mu taką obstawę i w przeciwieństwie do poprzedniego dnia nie zakuto w żadne łańcuchy, ba - nawet go nie dotykano. Wyglądało to trochę tak, jakby był personą, której zapewniono ochronę. Albo...

Otworzył szerzej oczy. Czy o to chodziło? Że choć czuł się dobrze, był czymś zarażony? Czymś, co mogło łatwo przenieść się na innego człowieka? No bo z czego innego mógł wynikać ten dystans?



W końcu, kierowany przez esesmana spoza kręgu, został wyprowadzony na podwórze, w ustronną część obozu, w której jeszcze nigdy nie był. Miejsce przypominało szeroką ślepią ulicę lub dziedziniec, a na czerwonych ceglach kończącego go muru wyraźnie odznaczała się szara, betonowa konstrukcja przypominająca parawan ze stojącymi ukośnie skrzydłami na brzegach. Kiedy Ziarnik ponownie zobaczył Kurtza i Friedricha, jego twarz wykrzywiła się nienawiścią i jak na komendę przypomniał o sobie ból po wybitych zębach.

– *Guten Tag*<sup>22</sup>. - Kurtz się uśmiechnął. I choć były to najzyczliwsze słowa, jakie Ziarnik usłyszał od Niemców od początku wojny, nie dał się zwieść. Splunął w stronę naukowca, mając na uwadze, że najpewniej zaraz zarobi za to cios kolbą w przepoń, ale został zaskoczony. Żaden z esesmanów nie ruszył się z miejsca.

– *An die Wand*<sup>23</sup> - Friedrich wskazał betonową konstrukcję pod murem.

Niemcy rozstąpili się, nie przestając celować w Ziarnika. Ten ruszył powoli tam, gdzie mu kazano, zastanawiając się, po co właściwie go tu przyprowadzono i skoro to następna część eksperymentu, dlaczego znowu nie przypięto go do leżanki.

Dotarłszy do celu, wstrzymał oddech i się odwrócił. Dopiero z tej perspektywy zrozumiał, na co się zanosi. Ściana, jeniec i kilkanaście wycelowanych w niego karabinów. Kojarzyły się tylko z jednym i to nie mogło zakończyć się dobrze.

Kurtz spojrział na Friedricha i zapytał:

– *Erlassen Sie mir die Ehre, Professor?*<sup>24</sup>

Oczy tamtego świeciły się równie mocno, kiedy odpowiadał:

– *Bitte*<sup>25</sup>

Nim Ziarnik zdołał cokolwiek pomyśleć, Kurtz wyciągnął zza pazuchy pistolet i strzelił mu pod mostek. Huk poniósł się pogłosem po dziedzińcu, lecz on już tego nie słyszał. Wytrzeszczył oczy i spojrział na swój rozsadzany tytanicznym bólem brzuch, do którego odruchowo przyłożył dłonie, starając się zatamować strumień krwi. Miał otwarte usta i próbował coś powiedzieć, lecz przez szok z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Choć działał w półświatku już przed wojną, jeszcze nigdy go nie postrzelono. Czy właśnie tak to smakuje? Tak smakuje śmierć?

Uniósł głowę i spojrział na swojego zabójcę. Ten wpatrywał się w niego z coraz szerszym uśmiechem, jak urzeczony, z błyszczącymi oczami i rumieńcami na policzkach, jakby miał przed sobą wyjątkowo piękną kobietę.



– *Es funktioniert! Es hat geklappt!*<sup>26</sup> – zawołał Kurtz. Jego twarz promieniowała taką ekstazą, że niewiele różniło się to od wyrazu szaleństwa. Wyciągnął srebrny zegarek na łańcuszku i wpatrywał się na przemian w niego i w Ziarnika, kiedy mijały kolejne sekundy. Wreszcie uniósł rękę i krzyknął: – *Schießen! Aber nur nicht in den Kopf!*<sup>27</sup>

Przypominało to wejście w gradobicie, tylko bardziej bolało. O wiele bardziej. W stronę Ziarnika poleciała chmara pocisków, które utkwily w prawie każdym fragmencie jego ciała – w klatce piersiowej, w rękach, w nogach, kilku Niemców poprawiło też w jego brzuch. Cofnął się i wpadł plecami na betonową ścianę.

Kiedy skończyli strzelać, po podwórku roznosił się zapach prochu. Kurtz i Friedrich wpatrywali się w swoje dzieło. Dosłownie. Ten więzień był ich dziełem i patrzyli na niego z taką celebrą, jakby stanowił największą świętość, choć teraz jego wygląd miał niewiele walorów estetycznych. Ziarnik przypominał podziurawioną rzeźbę; wszędzie, oprócz głowy, którą pochylał.

Nic z tego nie rozumiał. Jego dłonie, które wciąż trzymał na brzuchu, były niemal zupełnie suche. Owszem, znajdowały się na nich pojedyncze czerwone plamy, ale konsystencja krwi przypominała bardziej galaretę niż ciecz. Zbadał się pobieżnie. Żadna z kilkudziesięciu ran, jakie mu zadano, praktycznie nie krwawiła. Zdawały się błyskawicznie zasychać, zasklepione rdzawą masą.

Wreszcie pojął. Pojął, dlaczego wciąż stał. Dlaczego pomimo dotkliwego bólu w całym ciele zachowywał przytomność. Dlaczego, kiedy mijał pierwszy szok, nie odczuwał właściwie żadnej różnicy w percepcji świata w porównaniu z tym, jak odbierał go, zanim podziurawiono go jak sito.

Zrozumiał, na czym polegał eksperyment. Co pełzało mu pod skórą. Coś, co odczuwał nawet teraz. To nie była żadna choroba.

To było życie.

Zadziałał instynktownie. Zebrał wszystkie siły i rzucił się na Niemców, którzy stali najbliżej, w tym na jednego z nich, który od początku celował mu w głowę, ale z jakiegoś powodu dotąd nie wystrzelił ani razu. Odpowiedzieli jeszcze jedną salwą i w ciele Ziarnika utkwily kolejne kule. Jakimś cudem uniknął strzału w skroń, pocisk świsnął mu obok ucha. Czuł jednak zaskakujący spokój, niezachwiany nawet przez zdziwienie, jakie go ogarnęło, kiedy zobaczył, co się stało, gdy natarł na rząd swoich niedoszłych zabójców.

Niektórzy z nich odlecieli na co najmniej kilka metrów i przewrócili się, upuszczając karabiny. Ziarnik odczuł to tak, jakby popychał puste kartonowe pudełka. Spojrzał skonfundowany na swoje dłonie i wreszcie dotarło do niego, co tak naprawdę stało się z pasami, które przytwierdzały go do leżanki w celi.

– *In den Kopf!*<sup>28</sup> - wrzasnął Kurtz. W głosie naukowca nie pozostał nawet ślad po uprzednim podnieceniu. Teraz wypełniał go już wyłącznie strach. Podczas gdy Ziarnik z niesamowitą szybkością uciekał z dziedzińca, taranując następnych Niemców na swojej drodze, kolejny z esesmanów wycelował w jego głowę, ale również nie trafił.

– *Folgt ihm! Lasst ihn nicht entkommen!*<sup>29</sup>

Ziarnik gwałtownie skręcił za róg budynku. Jego spokój płynnie przemieniał się w ekscytację. To było niesamowite. Całe ciało bolało go jak diabli, powinien był wykrwawiać się żywcem, ale poza tym nie odczuwał żadnej różnicy, wciąż był przytomny i miał siłę biec dalej. I to szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie rozumiał, co się z nim działo, nie wiedział, w co zamienili go Niemcy, ale podobało mu się. Zwłaszcza to niesłabnące uczucie przyjemnego mrowienia pod skórą. Jeśli wcześniej myślał, że to było życie, teraz nazwałby to inaczej.

Mocą.

Po drodze spotkał jeszcze kilka posterunków straży, ale poradzenie sobie z nimi nie sprawiło mu żadnego problemu. Szczegóły projektu, nad którym pracowali Kurtz i Friedrich, utrzymywano w największej tajemnicy i tak naprawdę mało kto wiedział, jaki jest słaby punkt istoty, w którą esesmański eksperyment przemienił Ziarnika. Istoty. To już bowiem nie był człowiek. Już nie.

Wreszcie dotarł na skraj obozu i odetchnął głęboko. Od upragnionej wolności dzieliło go zaledwie kilka ogrodzeń. Wystrzelił ku nim sprintem, zostawiając za sobą galaretowate grudki krwi, których nadmiar odklejał się od jego ran. Nie zważał nawet na to, że drut kolczasty był pod napięciem - po prostu kopnął filar, który go podtrzymywał, a ten złamał się jak zapałka i przewrócił. Strzelano do Ziarnika także z wież wartowniczych, ale poruszał się tak szybko, że niewiele pocisków dosięgło celu. Żaden z esesmanów ze swoimi zwykłymi możliwościami fizycznymi nie był w stanie go dogonić.

Tego dnia, korzystając z zamieszania i uszkodzonego ogrodzenia, z obozu uciekło kilkunastu więźniów. Wielu z nich zostało potem wyłapanych

w okolicznych lasach, część zginęła od kul wartowników. Tylko jedna osoba natychmiast podążyła po krwawych śladach Ziarnika. Bynajmniej nie Niemiec.  
Bynajmniej nie dlatego, że tropiła zbiega.

# V

*Śląsk, kwiecień 1990*

– Tymek! - Leszek Podolak zawołał do swojego synka. - Chodź do taty! Nie łaż tak!

Chłopiec rzucił na ziemię kwiatki, które ledwo co zerwał, posłusznie podbiegł do ojca i wziął go za rękę. Spacerowali przez Lasy Lublinieckie. Towarzyszyła im Marzena, żona Leszka, której ciążowy brzuch nabrał już okazałych rozmiarów, oraz ich dziewięcioletnia córka Agnieszka. Marzena złapała drugą dłoń Tymka. Jego siostra spojrzała na to krzywo, złożyła ręce na piersi i szła z obrażoną miną, oddzielona od pozostałych.

Choć mieli dopiero środek wiosny, pogoda była wprost wymarzona, ciepła i słoneczna. Las tętnił przepyszną zielenią, a dodatkowe walory wizualne zapewniały zawilce gęsto porastające runo. To właśnie je zrywał Tymek, kiedy przywołał go ojciec.

Leszek wciągnął powietrze w płuca i odetchnął głośno.

– Czujecie ten zapach? - zwrócił się do dzieci. - Wdychejcie głęboko, bo to samo zdrowie!

Tymek poszedł za jego przykładem i zaciągnął się powietrzem wręcz przesadnie. Marzena podobnie. Agnieszka natomiast w ogóle tego nie zrobiła, niewiele brakowało, a ostentacyjnie wstrzymałaby oddech. Nie zamierzała zachowywać się jak braciszek i za wszelką cenę podlizywać się ojcu. Tymek ledwo skończył trzy latka, ale zdążyła już poczuć do niego taką niechęć, jak chyba do nikogo innego. Zauważyła, że od kiedy się urodził, rodzice poświęcali jej znacznie mniej uwagi. Wcześniej nie mogła na nic narzekać, była ich oczkiem w głowie.

A teraz? Bez przerwy słyszała tylko: Tymek to, Tymek tamto, Tymek, chodź tu, Tymek, uważaj, Tymek, daj rączkę i tym podobne. Sama zaś została zdegradowana do roli jego służącej. Tak przynajmniej traktowała prośby mamy i taty, żeby na przykład zdjąć bratu z półki zabawkę albo pomóc mu włożyć buciki. W przeciwieństwie do niego musiała też pomagać więcej w domu, w sprzątanii, gotowaniu, zakupach i w innych obowiązkach. Kilka razy mówiła mamie, że to niesprawiedliwe, ale ona twierdziła, że jak Tymek podrośnie, też będzie pomagał, i że w ich rodzinie nikogo się nie faworyzuje. Agnieszka jej nie wierzyła. Była już duża, miała swój rozum i widziała, co się święci. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać jej życie, kiedy mama urodzi trzecie dziecko, choć trochę pocieszała się tym, że spodziewali się dziewczynki. I dobrze. Dziewczyny są lepsze i miłsze od chłopców.

– Tymek! - zawołał z entuzjazmem Leszek. Agnieszce nie umknęło, że ojciec zwrócił się wyłącznie do niego. - Obejrż to!

Wskazał ślad na świeżym błocie. Wyglądał na psi lub wilczy.

– Co to? - zapytał Tymek z egzaltowanym zdziwieniem, które tak irytowało Agnieszkę.

– Ślad zwierzątka! - wyjaśnił Leszek. - W lesie jest dużo zwierzątek!

Tymek wpatrywał się w odcisk łapy z takim urzeczeniem, jakby stanowił najcenniejszą i najpiękniejszą rzecz na świecie. Agnieszka nie podeszła do śladu w błocie, tylko odwróciła się do niego tyłem, jakby samo patrzenie na rzecz, którą zachwycał się braciszek, obrażało jej dumę. Marzena z kolei rozejrzała się niespokojnie i odruchowo pogłaskała swój pękaty brzuch.

– Leszek - powiedziała w końcu, a kiedy mąż na nią zerknął, posłała mu znaczące spojrzenie, które szybko zrozumiał. Odkąd dorobili się dwójki dzieci, niemal do perfekcji nauczyli się porozumiewać bez słów.

– Dobra, mistrzu - zwrócił się do synka, prostując się. - Koniec tego kina! Idziemy!

Tymek nie protestował i kontynuowali marsz. W lesie zapadła cisza, powietrze stanęło w miejscu, ale tylko przy ziemi - potężna samotna chmura przemieściła się po niebie i zakryła słońce. Jak na zawołanie temperatura wokół trochę spadła. Marzena, której od czasu, gdy natrafili na odcisk łapy, towarzyszyło nieokreślone napięcie, wzdrygnęła się i jej ramiona pokryła gęsia skórka. Wyciągnęła z torby

sweter, chcąc go włożyć, podczas gdy Leszek nawet zwykły spacer starał się zamienić Tymkowi na park rozrywki. Ku uciesze chłopca unosił go, ciągnąc za rękę, a potem opuszczał z radosnym „bams!”.

Marzena przełożyła sweter przez głowę i jakby się ocknęła.

– Leszek! - rzuciła głośniejszym głosem niż zwykle. Mąż zdążył już odejść na kilka metrów. Zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco. - Gdzie Agnieszka?

Leszek się rozejrzył. Nigdzie nie dostrzegł córki.

– Aga! - zawołał. - Gdzie jesteś?

Brak odpowiedzi.

– Aga, to nie jest śmieszne! Chodź, bo sama jeszcze się zgubisz! Cisza.

– Agnieszka! - włączyła się Marzena, obracając się w tę i z powrotem. Tymek wpatrywał się w rodziców w milczeniu. Spoważniał.

Zawrócili, nawołując córkę i zaciskając kurczowo dłonie na nadgarstkach synka.

– Gdzie ona polazła, do cholery? - Marzena rozglądała się tak intensywnie, że aż strzyknęło jej w szyi. - Agnieszka, jeżeli zaraz nie wyjdiesz, masz szlaban i za karę będziesz siedzieć w domu przez miesiąc!

Leszek myślał gorączkowo, starając się zachować trzeźwość umysłu. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy najpóźniej córka szła obok nich i widział ją choćby kątem oka. Jak na złość ostatnie, co pamiętał, to moment, w którym znaleźli to nieszczęsne błoto, a w nim...

Nie dokończył myśli. Powiódł wzrokiem wokół i ogarnęło go nieprzyjemne wrażenie, że są obserwowani. Że ktoś, kto porwał Agnieszkę („Przestań!” - pomyślał natychmiast), wpatruje się w nich z ukrycia, śmiejąc się do rozpuku i zaciskając brudną dłoń na ustach dziewczynki, podczas gdy ona wyrywa się i próbuje krzyknąć.

– Tata, patrz! Tam! - Jego myśli przerwał Tymek, który pociągnął go za rękę, jakby chciał wskazać coś w leśnej gęstwinie.

Leszek i Marzena spojrzeli w tamtą stronę, a krótkotrwałe uczucie ulgi szybko zamieniło się w jeszcze większy niepokój. Na gałęzi przy drodze dostrzegli bowiem czerwoną bluzę Agnieszki zawieszoną za kaptur. Rozejrzeli się niespokojnie, jakby ktoś prowadził z nimi grę i tylko czekał na to, co zrobią.

Wreszcie podeszli do bluzy, zdjęli ją z gałęzi i zwrócili uwagę, że za nią w głąb gęstego lasu prowadzi wąska, ale wyraźnie wydeptana ścieżka.

– Agnieszka! - zawołała Marzena, przeciągając dwie ostatnie sylaby. Nikt jej nie odpowiedział. Spojrzała na Leszka, znowu porozumiewając się z nim bez słów. Wiedział, że każe mu coś zrobić. Zachować się jak mężczyzna. Nie zastanawiał się długo.

– Idziemy - powiedział stanowczo i wszedł między drzewa, ściskając rękę Tymka. Marzena rozejrzała się po raz ostatni i znowu, nie zdając sobie z tego sprawy, pogłaskała swój ciężowy brzuch. Jej również zdawało się, że ktoś ich obserwuje, ba - że śledzi ich od momentu, gdy weszli do lasu. Modliła się w duchu, aby to nie była osoba, o której myślała. Mieli już wystarczająco dużo problemów.

Pokręciła głową, przełknęła ślinę, wstrzymała oddech i ruszyła za mężem.

\* \* \*

Agnieszka maszerowała dziarsko ścieżką, przy wejściu na którą zostawiła swoją bluzę. Nuciała cicho pod nosem, starając się ignorować nawoływania mamy i taty oraz nie myśleć o karze, jaka ją czeka, kiedy ją znajdą. Teraz nie było już odwrotu. Właściwie nie do końca wiedziała, dlaczego to zrobiła. Ot, w pewnym momencie zobaczyła tę ukrytą w lesie ścieżynkę i podjęła spontaniczną decyzję, że nią pójdzie i nie powie o tym rodzicom. Tak właśnie! Niech trochę się o nią pomartwią. Niech wreszcie do nich dotrze, że mają więcej niż jedno dziecko i że jest równie ważna, jak Tymcio („Boże, jak to głupio brzmi!” - pomyślała z przekąsem). Niech choć przez chwilę poczują, jak by było, gdyby ją stracili. Może czegoś ich to nauczy.

Nie zamierzała jednak przesadzić i celowo zawiesiła bluzę jak najbardziej na widoku. Mama i tata powinni zrozumieć, że należy podążać ścieżką za nią. Agnieszka planowała trochę się nią przejść, broń Boże z niej nie schodzić i iść tak długo, aż ewentualnie dokąds dotrze, po czym poczekać tam na rodziców. Jeszcze nie wiedziała, jak się z tego wytłumaczy, czy wymyśli jakieś wiarygodne kłamstwo, ale na razie nie zawracała sobie tym głowy. Pełne niepokoju, a momentami zrozpaczone głosy mamy i taty roznoszące się po lesie sprawiały jej dziką satysfakcję i uśmiechnęła się pod nosem, choć paradoksalnie wcale nie czuła się od

tego lepiej. W jej żołądku narastał ciężar, a oczy zaszklily się łzami. Wciąż pamiętała, dlaczego to zrobiła.

Tymek. Tymcio. Tymuś. Ten durny...

Przestała o tym myśleć, kiedy między drzewami zobaczyła coś, do czego najwyraźniej prowadziła ścieżka. Spojrzała na to z zaciekawieniem i przyspieszyła kroku. Głosy rodziców przestały ją zajmować.

Dotarła do małej polanki szczelnie otoczonej drzewami i niemalże w całości zadaszanej ich gałęziami. Znajdowała się tam okrągła kamienna konstrukcja. Była obficie zarośnięta mchem, porostami i bluszczem, otaczały ją potężne prostokątne bloki skalne, oddalone od siebie o jakieś dwa, trzy metry, natomiast w środku podłoże było pokryte płaskimi głazami tak gęsto, że przypominało wykafelkowaną podłogę.

Agnieszka wpatrywała się z zaciekawieniem w budowlę. Podeszła do jednego z prostokątnych bloków na jej obwodzie i zobaczyła, że - podobnie jak na pozostałych - pod bluszczem widnieją namalowane wilcze tropy. Duże i małe, teraz już wyblakłe.

Weszła głębiej. W centrum konstrukcji znajdował się największy płaski kamień, a na nim jeszcze jeden ślad wilka, tym razem pod postacią płaskorzeźby. Ślad wilka z długimi, ostrymi pazurami.

- Agnieszka! - Leszek wszedł na polanę, ciągnąc potykającego się Tymka jak lalkę. Marzena starała się dotrzymać im kroku, lecz cięża trochę ją spowolniła.

- Tato, zobacz, jakie fajne! - Agnieszka wskazała kamienną konstrukcję, na moment zapominając, że chciała zrobić rodzicom na złość.

Leszek jeszcze nie zwracał uwagi na to, co znajdowało się na polanie, jego gniew na córkę wypierał wszystko inne. Kiedy zobaczył ją beztrąsko hasającą po tych kamieniach, zrozumiał, że nikt jej nie porwał i po prostu oddaliła się bez pytania, choć była już na tyle duża, by wiedzieć, że tak nie wolno. Możliwe nawet, że celowo zostawiła tę błużę, aby wiedzieli, gdzie jej szukać, i na pewno uważała to za bardzo zabawne.

Wszedł na kamienny podest, złapał córkę za ramiona i krzyknął jej prosto w twarz:

- Co ty wyprawiosz?! Mogłaś się zgubić i zrobić sobie krzywdę!



Agnieszka zarumieniła się, a jej oczy ponownie zaszkliły się łzami. Po niedawnej zuchwałości nie został nawet ślad i skonfrontowawszy się ze stanowczością ojca, zaniemówiła. Chciała wytłumaczyć, dlaczego to zrobiła, ale nie potrafiła wyrazić tego słowami. Nie tak, żeby zrozumieli i by nie zabrzmiało to przeraźliwie głupio. Zresztą czuła, że jeżeli to powie, zwyczajnie się rozplacze.

– Przepraszam... - wymamrotała. - Ja tylko poszłam, bo...

– Wołaliśmy za tobą! Ogłuchłaś?!

Chciała skłamać, że ich nie słyszała, ale nie potrafiło jej to przejść przez gardło. Skrzywiła się, walcząc ze szlochem.

Zobaczywszy łzy spływające jej po policzkach, Leszek trochę się opamiętał.

– Aga, nigdy więcej tak nie rób, rozumiesz? - powiedział spokojniejszym tonem. Ulga, że znaleźli córkę i nic jej się nie stało, szybko zastępowała gniew. - Baliśmy się z mamą, że ktoś cię porwoł. Chodź. - Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił, a Agnieszka po raz pierwszy, odkąd zeszła z głównej drogi, pomyślała, że to, co zrobiła, było bardzo niemądre i rodzice rzeczywiście mieli prawo, wręcz obowiązek się na nią złościć. Wiedziała jednak, że to dopiero pierwsza runda, bo jeszcze czekała ją reprimenda od mamy, zapewne o wiele gorsza.

Marzena z trudnością weszła na kamienie. W jej oczach błyskały wściekłe ogniki.

– Już dobrze - powiedział Leszek, wyciągając rękę do żony. - Kochanie, już dobrze! Aga przeprosiła. Nie ma co na nią krzyczeć. Było, minęło.

Marzena właśnie otwierała usta i unosiła palec wycelowany w córkę, ale przypadkiem dotknęła nadgarstkiem brzucha, co ją otrzeźwiło. Zatrzymała się, zacisnęła zęby, zamknęła oczy i kilka razy odetchnęła głęboko przez nos. Kiedy powtórnie je otworzyła, czuła się o wiele lepiej, a złość na Agnieszkę wyparła ulga, że cała historia zakończyła się szczęśliwie.

Dopiero wtedy rozejrzała się i zwróciła uwagę, gdzie się znaleźli.

– Co to za miejsce?

Leszek też powiódł wzrokiem wokół, lustrując kamienną konstrukcję.

– Nie mam pojęcia.

– Mamo, tato, patrzcie tutaj. - Agnieszka wskazała wilczy trop wydrążony w centrum koła. Normalnie powiedziałaby to ze znacznie większym

entuzjazmem, ale przeczuwała, że rodzice jeszcze nie do końca jej wybaczyli, więc powściągnęła emocje.

Tymek kucnął przy imitacji śladu i dotknął jej. Leszek podszedł i delikatnie odciągnął dłoń malca od płaskorzeźby.

– Nie tykaj tego. To brudne. Nie wolno - powiedział łagodnie. A kiedy zobaczył, co wydrążono w kamieniu, i raz jeszcze powiódł wzrokiem po konstrukcji, na której malowidła z tym samym motywem wypełniały praktycznie całą powierzchnię kamiennych bloków, poczuł niepokój.

– Chodźmy stąd. - Spojrzał znacząco na Marzenę i znowu zrozumieli się bez słów. W przeciwieństwie do Agnieszki, którą zaskoczył taki obrót sprawy.

– Ale, tato, to wygląda jak...

– Wiem, jak to wygląda - przerwał jej stanowczo. - Idziemy.

Ledwo się powstrzymał, by na początku drugiego zdania nie użyć słowa „dlatego”. Dziewięcioletnie doświadczenie w rodzicielstwie wykształciło w nim umiejętność takiego doboru słów, żeby Marzena w pełni rozumiała zamierzony przekaz, natomiast Agnieszka i Tymek tyle, ile musieli.

Jego żona również przyjrzała się płaskorzeźbie i otaczającym ich blokom.

– Tak, idziemy - powiedziała.

Agnieszka już miała zaprotestować, zapominając, że to jeden z najgorszych momentów, by denerwować rodziców, już otwierała usta i nabierała powietrza, kiedy... wstrzymała oddech i wytrzeszczyła oczy, wpatrując się w coś za plecami mamy i taty. Jej usta pozostały otwarte.

– T-tato! - wyjąkała i wyciągnęła rękę.

Leszek i Marzena obejrzel się i zamarli.

Wataha olbrzymich wilków zbliżała się do nich z każdej strony. Wszystkie były szare, poza jednym - czarnym, największym, idącym na czele.

– Spok-kojnie - wyszeptał Leszek, cofając się. Nie spuszczał wzroku z drapieżników. Czarny zaczął warczeć, pokazując zęby, a pozostałe poszły za jego przykładem. Leszek ścisnął nadgarstek Tymka tak mocno, że dłoń chłopca pobladła od niedokrwienia. - Chodźcie tu! - syknął do Marzeny i Agnieszki. - Nie wykonujcie gwałtownych ruchów!

Była to pierwsza i jedyna rada, jaka przyszła mu do głowy. Nie wiedział, czy ma jakikolwiek sens. Nie miał zbyt dużej wiedzy o tym, jak postępować, kiedy spotka się w lesie agresywnego wilka, nie wspominając o całej grupie. W szkole uczono go, że te zwierzęta na ogół unikają ludzi.

Marzena i Agnieszka przywarły do niego tak mocno, że cała czwórka stanowiła teraz jeden zwarty obiekt. Wilki zbliżały się i warczały coraz głośniejsze. Leszek myślał gorączkowo, kreśląc w wyobraźni scenariusze tej sytuacji, które mogłyby zakończyć się dla nich pomyślnie. Rozejrzał się, kalkulując szanse wspięcia się na kamienne bloki, ale były zbyt wysokie. Na pninach pobliskich drzew nie rzuciła mu się w oczy choćby jedna grubsza gałąź rosnąca na tyle nisko, aby dało się na nią wdrapać. Na domiar złego Marzena nosiła w brzuchu dodatkowy skarb, który znacznie utrudniał wspinaczkę, o ucieczce nie wspominając.

– Tato... - Agnieszka zaczęła płakać, przytulając się do ojca, podobnie jak Tymek, który przywarł do jego nogi z drugiej strony. Nie odrywała spojrzenia od ślepi drapieżników, u prawie wszystkich takich samych, jasnoniebieskich. Tylko ich czarny przywódca miał inne. Piwne, wręcz złote.

Leszek próbował myśleć, lecz widok niebezpiecznie zmniejszającej się odległości między nimi i zwierzętami nie pozwalał mu się skupić. Miał świadomość, że teraz wszystko tak naprawdę zależy od niego i jeżeli czegoś nie zrobi, zginą okrutną, krwawą śmiercią. Oprócz strachu czuł frustrację i wściekłość, że nie jest w stanie niczego wymyślić, że nie po raz pierwszy zawodzi jako mąż i ojciec. W takim momencie, kiedy rodzina na niego liczy.

Kiedy czarny wilk ich zaatakował, Leszek spanikował i zadziałał instynktownie. Odskoczył w bok, podobnie jak Marzena i Agnieszka. Nadgarstek Tymka wyslizgnął mu się z dłoni i zostali rozdzieleni. Przerażony chłopiec stracił równowagę i upadł na sam środek kręgu, na płaskorzeźbę wilczego tropu wrytą w kamieniu. Wilk rzucił się na malca. Tymek zaczął wrzeszczeć ze strachu, machał rączkami i nóżkami jak odwrócony na grzbiet żuk, próbując się przed nim obronić. Olbrzymie zwierzę wskoczyło na niego i zatopiło kły w jego prawym ramieniu.

– Leszek, zrób coś! - wrzasnęła Marzena, zalewając się łzami.

Agnieszka również krzyczała, nie mogąc oderwać spojrzenia od owłosionego potwora pochylającego się nad jej bratem i zaciskającego szczęki na jego ciele. Krzyczeli wszyscy oprócz Leszka, który stał sparaliżowany strachem, gapiąc się na

nadchodzącą tragedię, nie wiedząc, co robić, i w głębi ducha nienawidząc samego siebie za tchórzostwo i bierność, kiedy powinien rzucić się na pomoc synkowi. Pozostałe wilki ruszyły za swoim przywódcą, skupiając się na reszcie. Już skakały do ataku, już otwierały pyski, kiedy...

Ciszę lasu rozdarł huk wystrzału. Nie minęło nawet kilka sekund, a drapieżniki uciekły z kamiennej konstrukcji i zniknęły między drzewami. Ten, który zaatakował Tymka, również.

– Chodź tu, skurwielu! - rozległ się męski głos.

Przez polanę przebiegł mężczyzna i wpadł do lasu, oddając kilka kolejnych strzałów. Marzena jednak nie skupiała się na nim, tylko na najważniejszym.

– Jezu! Tymek! - Zapłakana doskoczyła do synka.

Był przerażony, blady i wył z bólu. Miał rozerwaną koszulkę na prawym ramieniu i powiększała się na niej plama krwi. Leszek czym prędzej podniósł chłopca z ziemi i przycisnął go do piersi. Agnieszka natomiast jako jedyna wpatrywała się w mężczyznę, który ich uratował i właśnie wrócił na polanę szybkim krokiem. Włożył swój sztucer do futerału na plecach.

– Nic wam nie jest? - zapytał, ale Leszek go nie słuchał.

– Ciii, już dobrze. - Głaskał synka po głowie. Tymek nie przestawał histeryzować. Nie przestawała również powiększać się plama krwi na jego ramieniu, która wkrótce zabarwiła na czerwono koszulkę ojca.

– Trzeba to jak najszybciej odkazić - powiedział stanowczo mężczyzna. Podeszedł do nich i otworzył skórzaną torbę przewieszoną przez ramię. Wyciągnął z niej bandaż i szklaną buteleczkę. - Niech pan go położy.

Leszek wykonał polecenie. Nieznajomy ukucnął przy Tymku, rozerwał koszulkę do końca i odsłonił zakrwawione ramię.

– Może trochę boleć, ale jesteś bardzo dzielny, prawda? - zapytał wyjącego chłopczyka. - Lepiej będzie, jak go przytrzymacie.

Kiedy zrobili to, o co poprosił, delikatnie oblał ranę przezroczyście zieloną zawartością buteleczki. Krew zasyczała i pojawiła się na niej jasnoniebieska piana. Tymek zaczął jeszcze głośniejsze zawodzić. Mężczyzna oczyścił ranę kawałkiem bandaża, po czym przycisnął do niej drugi - większy i grubszy - a gdy ten szybko nasiąkł krwią, przeklął pod nosem, spojrzawszy na malca z ubolewaniem i pomimo jego protestów, delikatnie chwycił pod pachami i wziął na ręce.

– Muszą go państwo odwieźć na pogotowie. - Podał Tymka Leszkowi. - Przytrzymajcie ten bandaż, żeby tamował krwawienie.

– Mieszka pan gdzieś niedaleko? - zapytała rozgorączkowana Marzena.

– Niestety nie, po drugiej stronie lasu. - Mężczyzna pokręcił głową i rozejrzał się po polanie. Na jego twarzy malowała się złość. - Musicie się pospieszyć. Najbliżej będzie chyba do Tarnowskich.

– Jedźmy, Leszek! - zawołała histerycznie Marzena. - Nie stój tak! On się zaraz wykrwawi na śmierć!

Leszek ruszył półbiegiem w stronę ścieżki, Marzena i Agnieszka za nim. Bez przerwy starał się uspokajać płaczącego synka, głaszcząc go po głowie i powtarzając te same frazesy, że wszystko będzie dobrze, choć sam nie był pewien, czy w nie wierzy. Kurczowo przytrzymał na ramieniu chłopca mokry od krwi kawałek bandaża.

– Jeszcze jedno! - rozległ się za nimi głos mężczyzny. Odwrócili się. Nieznajomy zawahał się, po czym powiedział: - Cokolwiek się stanie, nie szukajcie więcej tego miejsca.

– Nie będziemy! - warknął zniecierpliwiony Leszek. - Możesz być, chowie, pewien, że nigdy więcej tu nie wrócimy!

Mężczyzna odpowiedział coś, ale nie usłyszeli co. Podjęli szybki marsz w kierunku drogi, który z czasem przerodził się w bieg. Agnieszka, ciągnięta za rękę przez matkę, odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na ich wybawcę. Mężczyzna stał nieruchomo, patrząc na oddalających się Podolaków z twarzą niewyrażającą żadnych emocji i tak bladą, że prawie białą. Kiedy Agnieszka odwróciła się ponownie, otaczała go wataha szarych wilków. Siedziały przy nim jak psy, a jednego z nich mężczyzna nawet głaskał po pysku. Wpatrywał się w Agnieszkę, tym razem z o wiele większym smutkiem.

Wytrzeszczyła oczy, a potem zamrugła kilka razy. Nic z tego nie rozumiała. Zaraz jednak potknęła się o wystający korzeń i straciła kontakt wzrokowy z nieznajomym. Ledwo zachowała równowagę i - wciąż trzymana za rękę przez matkę - spojrzała za siebie po raz trzeci.

Mężczyzny już tam nie było. Ani jego, ani wilków.

Wtedy dotarło do niej coś jeszcze. Coś, z czego zdała sobie sprawę, dopiero kiedy nieznajomy zniknął jej z pola widzenia.

Ten mężczyzna miał jasnoniebieskie oczy. Wręcz nienaturalnie jasne. Takie same jak prawie wszystkie wilki, które ich zaatakowały.

\* \* \*

Gdyby Leszek i Marzena mieli potem porównać do czegokolwiek przygodę w lesie, oboje nazwaliby ją koszmarem, z którego obudzili się w odpowiednim momencie, żeby z ulgą stwierdzić, że to tylko sen i nie ma się czego bać.

To cud, ale skończyło się jedynie na strachu. Dotarli do samochodu i szybko zawieźli Tymka do szpitala w Tarnowskich Górach. Został tam na obserwacji kilka dni. Okazało się jednak, że rana po ugryzieniu, choć krwawa, nie jest tak groźna, jak się wydawało, i życiu chłopca nie zagraża niebezpieczeństwo. Nie stracił dużo krwi, nie wdało się zakażenie, ale na wszelki wypadek zaszczepiono Tymka przeciwko wścieklicznie i podano mu surowicę zapobiegającą tężcowi. W końcu mógł opuścić szpital ze szczelnym, grubym opatrunkiem na ramieniu. Powoli wracał do siebie, także jeżeli chodzi o psychikę, choć jeszcze przez miesiąc co jakiś czas musiał się stawiać w szpitalu na kolejne badania i bolesne zastrzyki. Rodzice poświęcali mu jeszcze więcej uwagi, próbując obrócić w perspektywie synka przygodę w lesie z przerażającej w ekscytującą. Sami oczywiście tak nie myśleli i na wspomnienie tamtego dnia dostawali dreszczy.

– Ale mu pokazałeś, mistrzu! - wołał Leszek, umiejętnie udając entuzjazm. - Taka wielka bestia, a ty walczyłeś dzielnie! Nie dałeś się! Jak superbohater!

W pewnym momencie udało mu się sprawić, że Tymek na takie i podobne słowa się uśmiechał, co uznał za dowód, że chłopiec zapomina o strachu.

Agnieszka natomiast obserwowała to wszystko z boku i o ile z początku trawiło ją poczucie winy z powodu incydentu z wilkami, który - jakkolwiek patrzeć - wynikał z jej nieodpowiedzialności, o tyle w miarę upływu czasu wypierały je znajome zazdrość i zawiść o to, że rodzice znowu skupiają się na jej braciszku, całkiem ją ignorując. W pewnym momencie wręcz przyłapała się na tym, że żałuje, iż Tymkowi nie stało się nic więcej, i że odczuwa dziwną satysfakcję, kiedy ten płacze po następnym zastrzyku. Zaraz wyparła tę myśl, wiedziała, że to głupie, lecz ta prędzej czy później wracała, za każdym razem z większą intensywnością.

Kiedy po jakimś czasie nadszedł termin porodu małej Paulinki, Leszek, który już dawno przygotował się na tę okoliczność, zostawił Agnieszkę i Tymka pod opieką swojej matki, sam zaś odwiózł Marzenę do szpitala.

Nastał wieczór, a nad Bytomiem rozpętała się burza z piorunami. Zofia Podolak pobawiła się trochę z dziećmi (Agnieszka zauważyła, że babcia faworyzuje jej brata podczas partii Piotrusia, w której celowo grała źle, aby na pewno wygrał, i nie zaglądała w jego karty, nawet gdy się zapominał i nieostroźnie rozkładał ich wachlarz), po czym, wykąpawszy Tymka i dopilnowawszy, by wnuki umyły zęby, zagoniła je do łóżek, a sama usiadła przed telewizorem, choć tak naprawdę częściej niż na ekran, rzucała okiem na telefon, wyczekując wieści od syna. Już raz zadzwonił z budki pod szpitalem i poinformował, że poród trochę się przeciąga, ale lekarze uspokajają, że przebiega bez komplikacji.

Zapadła noc.

Po jakimś czasie w drzwiach do pokoju Agnieszki opadła klamka i dziewczynka wyjrzała zza nich. Strasznie chciało jej się pić.

– Babciu?

Nie uzyskała odpowiedzi. Poszła do kuchni, zaspokoila pragnienie szklanką soku, a potem wróciła do dużego pokoju i podeszła do fotela, w którym siedziała babcia Zosia. Miała zamknięte oczy i cicho pochrapywała. Jej pomarszczoną twarz rozświetlił blask błyskawicy. Agnieszka zbliżyła się do okna, wpatrując się jak zahipnotyzowana w szalejące na zewnątrz żywioły. Silny wiatr sprawiał, że chmury szybko przemieszczały się po niebie i niekiedy odkrywały niewielkie fragmenty gwieździstego sklepienia. W pewnym momencie ujrzała piękny, jaśniejący księżyc w pełni i skupiła na nim wzrok, zanim zniknął za kolejną warstwą chmur. Równo z momentem, w którym to nastąpiło, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Niegrzeczny, wręcz trochę szalony, ale na myśl o nim odczuwała narastającą ekscytację, a jej serce zaczęło bić szybciej. Z jednej strony wiedziała, że jeżeli go zrealizuje, rodzice mogą się na nią gniewać, z drugiej - lepsza okazja niż teraz, kiedy babcia zasnęła, a mamy i taty nie było w domu, może prędko się nie nadarzyć.

Odwróciła się tyłem do okna, wciąż niepewna, czy chce to zrobić. Zaraz jednak postawiła pierwszy krok w stronę pokoju rodziców, w którym spał Tymek, a kolejne wyszły jakby automatycznie. Serce biło jej coraz szybciej, lecz nawet go

nie czuła. Czuła za to podniecenie i coś, czego jej dziewięcioletni wokabularz wtedy nie potrafiłby nazwać.

Pragnienie zemsty i wyrównania rachunków.

Ani się obejrzała, a stała pod drzwiami do sypialni mamy i taty. Nie pamiętała, jak tu się znalazła, droga spod okna nie zapisała się w jej wspomnieniach. Nacisnęła klamkę i weszła do pokoju.

Tymek spał w najlepsze w swoim łóżeczku, co przyprawiło Agnieszkę o kolejną porcję irytacji i zawiści. Nie musiał nic a nic się wysilać, a rodzice chuchali i dmuchali na niego z każdej strony, podczas gdy ona... To niesprawiedliwe! Pozbyła się wątpliwości i była zdecydowana zrealizować swój plan, choćby nie wiadomo co. Jej serce dostosowało się do tego i teraz dla odmiany biło coraz wolniej. W pewnym momencie zdawało się, że w ogóle przestało bić, jakby Agnieszka zamieniła się w kukłę o wyglądzie dziewięciolatki. Kukłę także jeżeli chodzi o uczucia.

– Tymek! - Podeszła do braciszka i trąciła go lekko w ramię, nieprzypadkowo wybrawszy to zranione. Chłopczyk otworzył zaspane oczy, a kiedy uświadomił sobie ból wciąż gojących się ran, których dotykała Agnieszka, zmarszczył brwi.

– Aua! - zawołał płaczliwie. - Puść!

Agnieszka spełniła jego prośbę, choć zbolaty jęk Tymka działał jak miód na jej lodowate serce. Nie chciała jednak robić mu krzywdy. W każdym razie nie w ten sposób. Zaplanowała to inaczej.

– Spałeś? - zapytała beztrąsko.

– Tak! - odpowiedział obrażonym tonem.

– Chciałam z tobą pogadać.

– Ze mną? - zapytał z egzaltowanym zdziwieniem. Głupiutkim, charakterystycznym dla trzylatków, które nic nie rozumieją.

– A tak! Słyszałeś o... - rozejrzała się teatralnie - wilkołakach?

Kiedy powiedziała to słowo, niebo za oknem przecięła kolejna błyskawica, dopełniona hukiem. Tymek otworzył szerzej oczy.

– Wilko... łakach? - wymamrotał.

Agnieszka świdrowała go wzrokiem.



– O potworach, w które zamieniają się dzieci ugryzione przez wilka - odpowiedziała konspiracyjnie, udając zaniepokojoną.

Tymek wpatrywał się w nią ze strachem i choć było ciemno, Agnieszka przysięgłaby, że zbladł. Siedział teraz ze stopami złączonymi podszwami i nerwowo bawił się paluszkami. Wyraźnie się spał.

– Przez... wilka? - zapytał.

„Boże, jaki on jest żaloszny!” - pomyślała Agnieszka. Powtarzał jej ostatnie słowa i kończył je pytającym tonem. Jakby miał problemy ze słuchem. Głupi bachor. Gdyby ona tak się zachowywała, rodzice zwróciliby jej uwagę. Ale nie Tymkowi. Nie Tymciowi-Tymusiowi-mistrzowi, jak go nazywali. Zezłościła się jeszcze bardziej.

– Tak - przyciszyła głos. - Pomyślałam... No bo wiesz, ciebie ugryzł wilk... - Urwała, zostawiając resztę jego wyobraźni.

Oderwał od siostry złękniiony wzrok i spojrzał na swoje ramię, na którym pod piżamą krył się opatrunek. Gapił się na nie, jakby było czymś żywym, wrogim; czymś, czego należy się wystrzegać. Nie odpowiedział.

– To choroba, którą zarażają wilki, kiedy kogoś ugryzą - ciągnęła. - Mają w kłach taki jad, który zamienia ludzi w bestie. Nie da się tego uleczyć!

– Dlaczego? - rzucił ze strachem Tymek, zadając jedno ze swoich ulubionych pytań.

Agnieszka przewróciła oczami i znowu złamała w myślach drugie przykazanie boskie.

– Nie ma na to lekarstwa. Już zawsze taki będziesz. Jesteś potworem!

– Nie! - zawołał, kręcąc głową. - Nie chcę!

– Nic na to nie poradzisz! - Agnieszka uśmiechnęła się złośliwie, napawając się jego narastającą paniką. - Wiesz, jak wyglądają wilkołaki?

Tymek znowu pokręcił głową, nie odrywając spojrzenia od siostry.

– Są ogromne! - Rozłożyła ręce i omiotła nimi cały pokój. Następny piorun sprawił, że na ścianie za Agnieszką na moment pojawił się jej rozciągnięty cień z potężną klatką piersiową i długimi, grubymi ramionami. - Mają gęste futro i takie jakby pół wilcze, pół ludzkie pyski. Z palców wyrastają im pazury, a oczy robią się jasnoniebieskie. Wiesz, takie jak u wilków.

Za oknem pojawiła się jeszcze jedna błyskawica i oświetliła Tymka. Agnieszce wydało się, że jego oczy, na co dzień o szarych tęczęwkach, przez ułamek sekundy naprawdę stały się jasnoniebieskie, wręcz fosforyzujące, świecące w ciemności. Wiedziała, że to tylko jej wyobraźnia, ale rozochociło ją to jeszcze bardziej.

– O! - Wskazała jego twarz. - Twoje już teraz takie się robią!

– Nie! - zawołał Tymek, pocierając gorączkowo powieki.

– Kiedy wilkołaki się przemieniają, są złe - kontynuowała Agnieszka, zbliżając się do brata tak, że niemal stykali się nosami. - Ryczą! Zabijają ludzi!

– Nie! - Tymek odsunął się od niej i spojrzał tęsknie w stronę wyjścia z pokoju. Agnieszka domyśliła się, co zamierza jej braciszek, zerwała się z łóżka i zamknęła drzwi, opierając się o nie plecami.

– Nie możesz stąd wyjść - powiedziała z udawaną powagą. - Jest pełnia! Nie wychodź z pokoju! Chyba nie chcesz zabić babci?

Tymek przełknął ślinę i zeszywniał, bojąc się ruszyć. Po jego policzku spłynęła pierwsza łza.

– Przestań! - zawołał. - Przestań mnie straszyć! Idź stąd!

– Straszyć? Ja? - zapytała, z każdym słowem coraz bardziej się nakręcając. - To ty mnie straszysz! Straszysz nas wszystkich. Słyszałam, jak mama i tata o tobie gadali! Że jesteś potworem! Myślisz, że dlaczego ich tu nie ma? Bo jest pełnia!

Tymek zaczynał tracić zdolność trzeźwego myślenia, a jego strach przed stanieniem się potworem, o którym opowiadała Agnieszka, został wzmocniony innym, nawet gorszym - że straci mamę i tatę. Że go gdzieś zostawią. Że mama już nigdy go nie przytuli, a tata nie weźmie na barana. Że wyrzucą go z domu i będzie musiał radzić sobie sam, choć niczego nie umie. Że...

Pokręcił głową. Dygotał tak silnie, że przypominało to atak padaczki. Jego serce biło chyba tysiąc razy na minutę i zaczął się pocić, a włosy stanęły mu dęba. Jakby straszyl sierść. Lęk zdawał się wzmacniać ból w ranie, jaką w lesie zadał mu wilk.

– Babciu! - krzyknął najgłośniejszym głosem, zalewając się łzami. - Agnieszka mnie zaczepia!

Akurat uderzył piorun, który zagłuszył jego wrzask. Agnieszka spojrzała zimno na brata. Osiągnęła cel. Przestraszyła go i doprowadziła do płaczu. Należało mu się. Niestety wyglądało na to, że zabawa się kończy - Tymcio-Tymuś-mistrz zaraz

obudzi babcię i trzeba będzie się tłumaczyć, próbować przekonać ją, że to był tylko niewinny dowcip i mały jak zwykle (j a k z w y k l e !) przesadza.

Kiedy jednak wiatr po raz kolejny przesunął chmury i na niebie pokazał się księżyc, uległa pokusie, by zadać braciszkowi ostatni cios.

– Widać księżyc! - Wskazała okno. - Nie patrz tam!

Tymek spojrzał, choć tego nie chciał. Strach podjął decyzję za niego, jakby był żywym bytem, demonem, który go opętał i dyrygował teraz całym jego ciałem. Próbował z nim walczyć, ale nie mógł. Nie potrafił. Kiedy zobaczył srebrną kulę na niebie, wrzasnął najgłośniejszym głosem, przeciągając sylaby i właściwie nie wiedząc, czy zwraca się do Agnieszki, czy właśnie do lęku, który nakazywał mu robić te rzeczy.

– PRZESTAAAŃ!!!

Tak mu się wydawało - że wrzeszczał. W rzeczywistości zabrzmiało to jak drapieźny ryk.

Rzucił się na siostrę. Poruszał się tak szybko, że kiedy do niej doskakiwał, Agnieszce ledwo zdążył zniknąć uśmiech. Jak gdyby nawet on, grymas na jej twarzy, chciał uciec przed atakiem. Tymek popchnął dziewczynkę tak mocno, że poleciała na ścianę i odbiła się od niej jak piłka.

Teraz to ona spojrzała na brata wytrzeszczonymi oczami, cała obolała. Pokój rozświetliła następna błyskawica, która znowu sprawiła, że tęczęwki Tymka na moment stały się jasnoniebieskie i świecące w ciemności. On również wpatrywał się w siostrę, zaskoczony tym, co się stało. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Ty... - wychrypiała Agnieszka. - Ty potworze!

Powiedziała to zupełnie inaczej niż poprzednio. Już nie złośliwie, nie żartem, chcąc mu dokuczyć.

Szczerze.

– Ja... Ja nie... - jęknął przestraszony Tymek. - Przepraszam!

Nie słuchała go. Nie odrywając od niego spojrzenia pełnego odrazy i strachu, przeszła na czworakach do wyjścia z pokoju i czym prędzej go opuściła, walcząc z bólem zbitych kości. A kiedy zamknęły się za nią drzwi, Tymek nie wytrzymał i na dobre się rozplakał.

\* \* \*

### *Miesiąc później*

Marzena i Leszek mieli już doświadczenie z dwojgiem dzieci, więc decydując się na trzecie, wiedzieli, na co się piszą. Na pięćdziesiąt procent więcej obowiązków, pięćdziesiąt procent więcej chaosu w domu i wreszcie - na sto procent nieprzespanych nocy. Takie jak dzisiejsza - podczas pełni - były jednak najgorsze. Marzena nawet przed wydaniem pociech na świat wówczas bardzo źle sypiała, przewracała się na łóżku z boku na bok, odczuwała nieokreślony niepokój, który skutkowało uciskiem w klatce piersiowej, a gdy jakimś cudem udawało jej się zasnąć, dręczyły ją koszmary.

Na domiar złego przez ostatnie lata pełnia kojarzyła jej się z tylko jedną rzeczą. Bardzo przyjemną, ale paradoksalnie przyprawiającą Marzenę o potężne poczucie winy. Dużo myślała, a nieprzespane noce tylko temu sprzyjały. Tak jak dziś.

Kiedy usłyszała płacz Paulinki, która zdawała się przechodzić te dni nawet gorzej od niej, otworzyła oczy. Podczas gdy Leszek przewrócił się na drugi bok, wstała, podniosła niemowlę z łóżeczka i wyszła z sypialni, aby usiąść w dużym pokoju i tam je nakarmić. Paulinka przyssała się do piersi i uspokoiła. Marzena utuliła córeczkę i zaczęła lekko kołysać. Jej myśli znowu podążyły w kierunkach, nad jakimi nie do końca panowała, i po raz nie wiadomo który w ostatnich dniach, miesiącach, a nawet latach podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz, wypatrując na obskurnym podwórzu czegokolwiek podejrzanego. Niczego takiego nie dostrzegła i trochę się rozluźniła.

- Mama?

Wzdrygnęła się, kiedy usłyszała za sobą głos Tymka. Odwróciła się gwałtownie, jakby przyłapał ją na czymś wstydlivym i zakazanym. Stał na środku pokoju.

- Skarbie? Czemu nie śpisz?

Nie odpowiedział, tylko podszedł i przytulił się do jej nogi.

- Kochanie? Co się stało?

Ku jej zdziwieniu Tymek rozplakał się cicho.

- Hej, mistrzu! - szepnęła. - Powiedz mi, co się dzieje.

Odeszła z nim od okna i usiadła na kanapie. Trzymała teraz Paulinkę w jednej ręce, podczas gdy Tymek przytulał się z drugiej strony. Zaciskał kurczowo ręce na

brzuchu Marzeny, jakby miał już nigdy go nie puścić. Wciąż cicho chlipał.

– Czemu płaczesz? - Pogłaskała go po głowie.

Tymek spojrzał na nią żałośnie i skrzywił się, walcząc z kolejnym szlochem.

– Chcecie... - wydukał. - Chcecie mnie zostawić?

– Co? - zdziwiła się. - O czym ty mówisz?

– Boicie się mnie?

– Kochanie, musisz mi to dokładniej wyjaśnić, bo naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

– No bo... - Przełknął ślinę. - Agnieszka mówiła, że się mnie boicie.

– Skarbie, nie wiem, co mówiła ci Agnieszka, ale na pewno żartowała. Czemu mielibyśmy się ciebie bać?

– Bo jestem... wilkołakiem.

Powiedział to słowo tak wyraźnie, jakby używał go od dawna. Marzena miała wielką ochotę parsknąć śmiechem, ale powstrzymała się, pamiętając o Paulince, która zasypiała na jej ręce. Uśmiechnęła się, głaszcząc synka po policzku.

– Agnieszka ci to powiedziała?

Spuścił wzrok i kiwnął głową.

– Nie słuchaj jej. Straszyla cię i gadała dla żartu.

– Ale ugryzł mnie wilk.

– Kochanie, pani doktor cię badała, byłeś bardzo dzielny, kiedy dostawałeś zastrzyki. Jesteś zdrowy, a twoja rana się zagoiła.

– Agnieszka mówiła, że jak kogoś ugryzie wilk, to zamienia się w potwora - upierał się Tymek. - Jak zobaczy księżyc. - Wskazał okno.

– Przecież w nic się nie zamieniłeś! - Połaskotała go po brzuszku. - Siedzisz tu, rozmawiasz ze mną i jesteś grzeczny, jak zawsze.

Tymek analizował w ciszy słowa mamy.

– Nie boicie się mnie? - zapytał z nadzieją.

– Jakbym się ciebie bała, głaskałabym cię jak teraz?

– To czemu już nie śpię z tobą i tatą?

– Bo jesteś już duży! Masz teraz swój pokój, cały tylko dla siebie. Teraz śpi z nami Paulinka, bo jest maluśka, ale ciebie dalej kochamy tak samo mocno. No

i możesz w spokoju się wyspać. W nocy mała się budzi i płacze.

– Naprawdę? - Z głosu Tymka zniknęła co najmniej połowa niepokoju, jaki wybrzmiewał jeszcze przed chwilą.

– Naprawdę! - Marzena przytaknęła stanowczo. - Zawsze możesz z nami spać, jak będziesz chciał.

Tymek położył głowę na jej piersi i przytulił się mocno.

– I kochasz mnie?

– Oczywiście, kochanie! - Pocałowała go w czubek głowy. - Jeżeli ktoś ci powie inaczej, nie słuchaj go.

– Ja też cię kocham. - Zacisnął mocniej rękę na jej brzuchu.

Marzena poczuła w środku przyjemne ciepło. Dzieci od dorosłych odróżnia to, że kiedy mówią „kocham cię”, można być pewnym, że zawsze szczerze.

– Wiem, skarbie.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, aż w nocnej ciszy oddech Paulinki stal się rytmiczny.

– Idziemy do łóżka - szepnęła Marzena. - Chcesz spać z nami? Tymek nie odpowiedział od razu. Kątem oka spojrzał w okno, zza którego sączył się srebrny blask księżyca, lecz jego samego z tej perspektywy nie było widać.

– Nie - odpowiedział, czym lekko ją zaskoczył.

Odprowadziła synka do pokoju, przykryła kołdrą i pocałowała w czoło.

– Zostawić ci światło?

– Nie - odparł, czym zaskoczył ją po raz drugi.

Wróciła do sypialni, delikatnie odłożyła Paulinkę do kołyski, po czym sama położyła się do łóżka. W pierwszym odruchu chciała objąć Leszka, ale prawie natychmiast zmieniła zamiar i odsunęła się, przewracając się na bok, tyłem do męża. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć, co w końcu jej się udało.

W przeciwieństwie do Tymka, który stał na parapecie w swoim pokoju. Przywierając całym ciałem do szyby, bez choćby jednego mrugnięcia gapił się na księżyc w pełni.

Jakiś czas potem Leszka obudziło ciśnienie w pęcherzu. Strasznie nie chciało mu się wstawać, ale było na tyle dokuczliwe, że w końcu pomaszerował do ubikacji. Kiedy z niej wracał, rzucił okiem do pokoju Tymka, zrobił kilka kolejnych kroków w stronę swojej sypialni, po czym... zatrzymał się raptownie, cofnął i zajrzał do synka jeszcze raz.

Nie zastał tam tak dziwnego obrazka, jak wydawało mu się, że zobaczył przed chwilą, ale coś i tak odbiegało od normy. Tymek stał na środku pomieszczenia w srebrnym blasku księżyca sączącym się przez okno. Wyprostowany i nieruchomy. Światło z zewnątrz było tak jasne, że nie dało się stwierdzić, czy mały stoi tyłem, czy przodem do ojca.

– Mistrzu?

Tymek nie zareagował. Leszek wszedł do pokoju i złapał go za ramię. Dopiero wtedy chłopczyk jakby się ocknął.

– Tata? - wymamrotał.

– Czemu nie mo cię w łóżku?

Tymek spojrzał na ojca ze zdziwieniem, a potem rozejrzał się nieprzytomnie po pokoju. Potarł oczy zaciśniętymi piąstkami.

– Ja... Nie wiem.

– Pod koldrę! Wartko! - szepnął Leszek, popychając go lekko w stronę łóżka. - Śpij.

Tymek położył się, a Leszek wyszedł z jego pokoju. Kiedy wchodził do swojego, usłyszał szybkie kroki małych stopek dobiegające z sypialni syna. Uniósł brwi i wrócił do niej. Znowu zobaczył Tymka stojącego przed oknem w blasku księżyca, w tym samym miejscu i w tej samej pozycji co poprzednio.

– Hej, mistrzu, mieliśmy iść spać!

Nie reagował.

– Tymek!

Stanął przed nim i ukucnął, łapiąc chłopca za ramiona, ale ten nawet wtedy na niego nie spojrzał. Wciąż wlepiał wytrzeszczone oczy w okno, w czyste niebo, na którym jaśniał księżyc w pełni. Srebrny blask odbijał się od tęczówek Tymka, a Leszkowi nie po raz pierwszy przez ostatnie tygodnie wydało się, że oczy synka stają się jaśniejsze niż przedtem, wręcz błękitne.

– Mistrzu?

Zaczął się niepokoić. Tymek wyglądał, jakby lunatykował, ale przecież jeszcze przed chwilą nie spał. Gdy Leszek potrząsnął nim za ramiona, malec zamrugał kilka razy i wreszcie spojrział na ojca. Wciąż miał wytrzeszczone oczy.

– Tata? - powtórzył.

– Co się dzieje? Nie możesz spać?

Tymek przez jakiś czas wpatrywał się w Leszka w milczeniu, świdrując go wzrokiem. Wreszcie powoli pokręcił głową.

– Mosh koszmary? A może to ta pełnia? - Leszek zerknął na niebo. - Ja też czasem nie mogę przez nią zasnąć. Chce ci się pić?

Tymek przytaknął.

– Połóż się. - Leszek odprowadził go do łóżka. - Zaraz przyniosę ci soczek.

Poszedł do kuchni, a kiedy napełnił szklankę, znowu usłyszał te dziwne kroki. Zaniepokoił się na dobre, bo teraz wydały mu się znacznie szybsze. Wrócił do pokoju i... stanął jak wryty.

Tymek przemieszczał się po nim bez jakiegokolwiek ładu i składu. „Przemieszczał się” było chyba najlepszym określeniem, obejmującym wszystko, co robił. Biegał, skakał i robił fikołki niczym doskonale wyszkolony akrobata. Najbardziej jednak przerażyły Leszka szybkość, z jaką malec się poruszał, i wysokość, na jaką skakał. W pewnym momencie na oczach ojca Tymek ugiął kolana i... jednym susem pokonał ponad dwa metry, jakie dzieliły go od parapetu. Wylądował na nim z gracją akrobaty, otworzył dłonie i przywarł całym ciałem do szyby, za którą bez przerwy świecił księżyc.

– Tymek... - wymamrotał oniemiały Leszek. - Co ty wyrabiasz?

Chłopiec powoli odwrócił głowę w jego stronę i Leszek widział teraz jego ciemny kontur na tle blasku za oknem. Tylko kontur. Jaśniały w nim dwa lodowato niebieskie punkty.

Tymek nagle zeskoczył z parapetu i ruszył sprintem w stronę ojca, wydając z siebie niski pomruk. Biegł tak szybko, że Leszek miał zaledwie ułamek sekundy na decyzję. Ugiął nogi, pochylił się i rozłożył ręce. Udało mu się złapać synka, choć impet, z jakim ten na niego wpadł, przypominał uderzenie kuli armatniej. Obaj polecili na ścianę w korytarzu i Leszek uderzył o nią plecami tak mocno, że zabrakło mu tchu. Po drodze oczywiście upuścił szklankę z sokiem, która się



rozbiła, a napój rozlał po podłodze. Tymek wyszedł ze zderzenia bez szwanku. Wił się w objęciach ojca, wydając wysokie kwilenie i usiłując się uwolnić. Wywrócił oczy, w których teraz bielą sama pustka.

– Uspokój się! - Leszek nie dbał już o to, by zachowywać się cicho. Próbował unieruchomić chłopca, ale ten się nie dawał. Wyrywał się z taką zwinnością, że nie sposób było go utrzymać. Do tego zdawał się nienaturalnie silny. - Tymek! - krzyknął Leszek, czując, że dłużej nie da rady.

– Co się dzieje? - Marzena wyszła z ich małżeńskiej sypialni, natomiast Agnieszka wyrzała z za drzwi do swojej. W tle było słycać płacz Paulinki.

– ;Nie wiem - wydusił Leszek, próbując okiełznać synka. - Tymek dziwnie się zachowuje. Chyba lunatykuje i... Pomóż mi! -krzyknął.

Marzena nie zdążyła do nich podejść. Tymek wyrwał się ojcu i pobiegł do swojego pokoju. A kiedy to zobaczyła, pomyślała, że albo śni, albo od nagłej i niechcianej pobudki jeszcze nie do końca oprzytomniała i coś jest nie tak z jej odbiorem rzeczywistości.

Tymek skoczył pod sam sufit, odbił się od łóżka, potem od ściany, a na koniec od szafy, by wylądować na parapecie. Nawet się nie zachwiał. Ponownie otworzył dłonie, przywarł do szyby i wlepił nieprzytomny wzrok w księżyc za oknem.

\* \* \*

### ***Kilka miesięcy później***

Marzena siedziała w poczekalni przed gabinetem, obgryzając paznokcie i poruszając nogą w nerwowym tiku. W tym czasie przez korytarz przeszło kilka kobiet z dziećmi, ale nawet za nimi nie spojrzała. Pogłębiła się w myślach, umierając z niecierpliwości. Doktor Edward Grzegorek - pediatra, terapeuta i psychiatra dziecięcy, do którego jakiś czas temu zwróciła się o pomoc - uparł się, by porozmawiać z Tymkiem sam na sam. Spełniła jego życzenie, ale miała złe przeczucia.

Ostatnie dni ona i Leszek spędzili głównie na wywiadach z lekarzami i wypełnianiu kwestionariuszy dotyczących ich synka. On sam natomiast przechodził specjalne testy. Grzegorek tłumaczył, że ich celem jest ocena rozwoju intelektualnego chłopca, zdolności do zapamiętywania, koncentracji i kojarzenia.

Wreszcie przed Marzeną otworzyły się drzwi i podniosła się z krzesła chyba nawet szybciej, niż w pełni to sobie uświadomiła. Starszy mężczyzna w kitlu uśmiechnął się przyjaźnie i zaprosił ją gestem do środka.

– Tymek - zwrócił się do malca. - Pójdiesz teraz z panią Kasią, dobrze? Pokaże ci superanckie klocki! A ja porozmawiam z twoją mamą. - Skinął porozumiewawczo głową na asystentkę, a ta wzięła chłopca za rękę i zaprowadziła do sąsiedniego pomieszczenia.

Marzena wiodła za nim wzrokiem do czasu, aż Grzegorek wyrwał ją z zamyślenia.

– Proszę usiąść. - Wskazał krzesło, a sam zajął miejsce za biurkiem naprzeciwko i zaczął kartkować wyniki badań Tymka, między innymi tomografii głowy.

Marzena usiadła bez słowa. Czekwała w napięciu na werdykt. Ten w końcu padł, ale nie taki, jakiego się spodziewała.

– Nie ma czym się martwić - oznajmił uspokajającym tonem Grzegorek. - Tymek to najzwyczajniejszy chłopczyk pod słońcem. Okaz zdrowia - uniósł kartki z wynikami badań - także psychicznego. Jeżeli mam być szczery, dawno nie spotkałem tak fajnego, wesołego młodego człowieka.

– Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem.

– Tak. - Skinął głową. - Powiem więcej, z mojej rozmowy z nim wynika, że są państwo naprawdę zdrową rodziną. W takim sensie, że ma skąd czerpać dobre wzorce. Powinien wyrosnąć na mądrego faceta.

Usłyszawszy to, Marzena po raz kolejny poczuła ukłucie winy, ale nie skomentowała jego słów. Zmieniła temat.

– Czyli to nie jest nerwica... - Zmarszczyła brwi, nie mogąc sobie przypomnieć pełnej nazwy. - Natręctw?

– Nie. Nie są to również zaburzenia lękowe. Mały nie ma żadnych problemów neurologicznych ani somatycznych.

– A ta szczepionka? Może w niej było coś, co mu zaszkodziło? Słyszałam, że leki mogą mieć takie niepożądane działania. A sama wścieklizna objawia się zapaleniem mózgu - mówiła coraz szybciej, jakby chciała wydobyć z siebie wszystkie obawy naraz. - No i ta surowica przeciwtężcowa... Czy to nie za dużo, jak na tak młody organizm?

– Oba preparaty zastosowane u chłopca były przebadane i są zupełnie bezpieczne. Jedyne skutki uboczne, jakie mogły po nich wystąpić, to reakcje alergiczne i miejscowe, takie jak ból, zaczerwienienie albo stwardnienie skóry. Rzadziej zdarzają się gorączka, złe samopoczucie, osłabienie, powiększenie węzłów chłonnych, kołatanie serca, bóle mięśni i stawów, a także zaburzenia żołądkowo-jelitowe, ale zazwyczaj przechodzą po maksymalnie dwóch dniach. Niczego takiego u Tymka nie stwierdziliśmy. Państwo zresztą też. - Zajrzał do jednego z kwestionariuszy.

Marzena skrzyżowała ręce na piersi i założyła nogę na nogę. Jej kciuk, którego paznokciec obgryzała na korytarzu, znowu odruchowo powędrował do ust.

– Czyli nadal nic nie wiemy?

– Wiemy. Pani synek jest zupełnie zdrowy.

– Ale przecież to, jak on zachowuje się podczas pełni... Mówiłam panu, że...

– To zupełnie normalne - przerwał jej. - Pełnia księżycy może powodować zaburzenia produkcji serotoniny, co często prowadzi do wielu nieoczywistych następstw. Najbardziej znane to bezsenność i wzmożony apetyt. Mogą wystąpić także problemy z koncentracją, nienaturalne pobudzenie - zrobił pauzę i spojrzał znacząco na Marzenę - oraz wahania nastroju, zwłaszcza poirytowanie, a niekiedy nawet ataki agresji. Najwidoczniej chłopiec reaguje na swój własny sposób, ale to nic groźnego.

– Panie doktorze... - Marzena starała się mówić spokojnie, lecz narastały w niej irytacja i zniecierpliwienie. - Pan tego nie widział. On... biega jak szalony. Tak szybko, że czasem trudno nadążyć za nim nawet spojrzeniem. Skacze na taką wysokość, że pobija jakieś dziecięce rekordy świata. Mężowi nie udaje się go obezwładnić. Tymek... wydaje się silniejszy niż normalnie. I to o wiele. Do tego... - Urwała i westchnęła. - Wiem, jak to zabrzmiało, ale zdawało się nam, że on staje się wtedy trochę większy...

– Pamiętam, mówiła mi pani o tym. To również sprawdziłem. Dzisiejsze testy miały na celu zbadanie koordynacji ruchowej. Oprócz standardowych badań pozwoliłem sobie na coś ekstra i namówiłem pani synka, aby przebiegł przez mój gabinet najszybciej, jak potrafi - przeciągnął ręką wzdłuż pomieszczenia, które było dosyć długie - żeby pokazał mi, jak wysoko skacze, a nawet sprawdziłem, jakie

ciężary jest w stanie unieść. - Wskazał hantle leżące pod ścianą. - Rezultaty tych doświadczeń nie wykazały żadnych odstępstw od normy.

- No tak, ale... - Marzena wiedziała, że mogło tak być, bo swego czasu, już za dnia, sami namówili Tymka na podobne próby i także nie stwierdzili, by jego siła i wygimnastykowanie odbiegały od zdolności przeciętnego trzylatka. - A jego lunatyzm? - Złapała się ostatniej deski ratunku.

- U tak małych dzieci się zdarza. Na szczęście z tego się wyrasta i najczęściej spowodowane jest dziedziczeniem podobnego zachowania po bliskich krewnych. Zapomniałem o to zapytać: czy ktoś inny, na przykład pani albo pani mąż, lunatykował w dzieciństwie? Założę się, że tak.

- Nie - odpowiedziała stanowczo Marzena. - Ani ja, ani Leszek, ani moje, ani jego rodzeństwo. Tak samo moi rodzice i teściowie. Pytałam już o to.

Myślała, że tym ostatecznie pozbawi Grzegorka tego irytującego spokoju, ale uśmiech lekarza nawet nie drgnął.

- Rozumiem - odparł. - Niektórzy specjaliści tłumaczą lunatyzm niedojrzałością pewnych neuronów, które odpowiadają za zasypianie i wybudzanie się. Chłopiec jest jeszcze mały, ale zdrow jak ryba i rozwija się prawidłowo. - Poklepał dłonią po kartkach. - Gwarantuję pani, że niedługo wszystko wróci do normy. Niech Tymek kładzie się wcześniej spać, proszę dopilnować również, by sypiał regularnie. Dobrze jest także unikać zbyt obfitych i ciężkostrawnych posiłków przed snem, a problem prędzej czy później...

- Panie doktorze - weszła mu w słowo Marzena, już nawet nie starając się ukryć zniecierpliwienia - przepraszam, nie chcę podważać pana autorytetu ani nic podobnego, ale naprawdę trudno mi uwierzyć w tak duży zbieg okoliczności. Przez bite dwadzieścia osiem dni w miesiącu mój synek zachowuje się dniami i nocami zupełnie normalnie. Normalnie śpi, nie lunatykuje, biega i skacze jak zwykły trzylatek. Bawi się jak inne dzieci. Wszystko zmienia się jednak w jedną jedyną noc w miesiącu, w czasie pełni, i to wyłącznie wtedy, gdy zobaczy księżyc. Jakby... nie wiem. - Uniosła oczy, szukając odpowiednich słów. - Jakby jego widok przestawiał mu coś w mózgu i w ciele. A z rana wszystko wraca do normy. Nie potrafię tego wytłumaczyć i przykro mi, ale to, co pan mówi, także do mnie nie trafia. Dzieje się z nim coś dziwnego i boję się, że to może być groźne. Bardzo chciałabym, żebyśmy coś z tym zrobili, a najlepiej w ogóle się tego pozbyli.

Wreszcie udało jej się sprawić, że Grzegorek przestał się uśmiechać, ale nie odczuła z tego powodu żadnej satysfakcji. Im dłużej mówiła, tym bardziej udzielał jej się niepokój o Tymka, jakby sama na nowo go rozbudzała. Lekarz odchrząknął, po czym oparł łokcie o biurko i splótł przed sobą dłonie.

– Dobrze, a zatem podsumujmy - powiedział o wiele chłodniej niż poprzednio. - Mówi pani, że chłopiec przez większość dni w miesiącu zachowuje się zupełnie normalnie, tak?

– Tak.

– I zmienia się to w jeden, jedyny dzień, a właściwie noc, w trakcie pełni, kiedy księżyc widoczny na niebie jest idealnie kulisty.

– Dokładnie.

– A jego dziwna i według pani niewystarczająco wyjąsniorna przezemnie - zaakcentował urażonym tonem - zmiana w zachowaniu i możliwościach fizycznych zachodzi wyłącznie wtedy, gdy ten księżyc zobaczy, tak?

Kiwnęła głową.

– Tak wynika z naszych dotychczasowych obserwacji. Zdarzało się, że noc, w jaką wypadła pełnia, była pochmurna i księżyc nie było widać. Wtedy również zachowywał się normalnie.

– A nawet kiedy, przepraszam za wyrażenie, zachowywał się nienormalnie, byliście państwo w stanie w końcu do niego dotrzeć. Nawet gdy lunatykował, dało się go dobudzić i z nim porozumieć. Podczas tych nocy nigdy nie zrobił poważniejszej krzywdy ani sobie, ani innym.

– To wszystko prawda, ale...

– Więc skoro pani mimo wszystko się martwi, wystarczy dopilnować, by chłopczyk przez tę jedną konkretną noc w miesiącu nie miał możliwości spojrzeć na czyste niebo. Sprawdzajcie państwo kalendarz faz księżyca oraz prognozę pogody, a jeżeli to za mało, zamontujcie mu w pokoju żaluzje i dopilnujcie, żeby w odpowiednim czasie okno było zakryte. I po kłopotcie! - Grzegorek odchylił się na krześle i rozłożył ręce. - Czy to za duża fatyga? Bo alternatywa to silne leki uspokajające podawane przed każdą pełnią. Nie chcę jednak faszzerować pani syna chemią. Myślę, że pani też nie.

Marzena spojrzała na rozmówcę spode łba. Nawet teraz, jeszcze nie przemyślawszy rozwiązania z unikaniem patrzenia na księżyc, dostrzegała w tym pomysł wiele dziur. Dla pewności musieliby zamontować żaluzje we wszystkich oknach. I pilnować, by nigdy nie wychodzić z dziećmi na zewnątrz, na przykład na spacer, w ten jeden konkretny wieczór w miesiącu. Jakby tego było mało, Leszek niedawno stracił pracę i liczyli każdą złotówkę, a przecież musieliby jeszcze wykarmić trzy małe buzie i utrzymać czteropokojowe mieszkanie.

– To jak? - Grzegorek spojrzał na nią wyczekująco, a Marzena zrozumiała, że rozmowa niechybnie zbliża się ku końcowi i raczej nie dowie się już niczego, co rzuci nowe światło na sprawę.

– Dobrze, ma pan rację, może naprawdę nie ma czym się martwić - odpowiedziała, sama nie wiedząc, czy mówi to szczerze.

– Jestem tego pewien. Pani synkowi absolutnie nic nie dolega. - Grzegorek wrócił do pogodniejszego tonu i wstał zza biurka, a ona poszła za jego przykładem. - Należy się pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Marzena wyjęła z portmonetki banknoty i podała lekarzowi z kwaśną miną. Bolało, nie tylko dlatego, że to były jej ostatnie. Grzegorek zaprowadził ją do sąsiedniego pomieszczenia, w którym Tymek jakby nigdy nic bawił się klockami.

– Kochanie, idziemy - oznajmiła Marzena.

– Już?! - zapytał zawiedziony malec.

– Tak. - Wyciągnęła dłoń. - Chodź, pobawisz się w domu.

Tymek odłożył zabawki i podszedł do niej z niezbyt wesołą miną. Kiedy wziął Marzenę za rękę, poczuła się pewniej, wręcz zaskoczyło ją, jak bardzo. Jakby zamienili się miejscami, jakby to ona była dzieckiem potrzebującym wsparcia rodzica. Mała dłoń synka była przyjemna w dotyku - miękka, gładka i bardzo ciepła. Zdrowa. Tak jak cała reszta?

Marzena pożegnała się z Grzegorkiem i jego asystentką, lecz tak pogrzyżyła się w myślach, że nawet nie dosłyszała, czy jej odpowiedzieli. Może naprawdę przesadzała i nie było czym się martwić? Chyba za bardzo zadziały jej na wyobraźnię słowa wypowiedziane przez Tymka tamtej nocy. Właściwie słowa nie jego, tylko Agnieszki, którą cytował. Zapadły Marzenie w pamięć, a przecież wówczas sama miała ochotę je wyśmiać. Bo fakt faktem zakrawały na absurd.

– Mamo!

Wróciła do rzeczywistości, kiedy Tymek pociągnął ją mocniej za rękę.

– Tak, mistrzu?

– Ładnie pachniesz! Ładniej niż pan doktor i tamta pani! -oznajmił z pełnym przekonaniem.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po głowie. Przysięgłaby, że w ostatnim czasie włosy znacznie mu się zagęściły i pogrubily. Sama mogła o takich tylko pomarzyć.

– Dziękuję. Jaki z ciebie dżentelmen! Umiesz sprawić, żeby kobiecie było miło!

– Bo jesteś najlepszą mamą na świecie! I najpiękniejszą!

– A ty jesteś najładniejszym synkiem na caałym Śląsku!

– I kochasz mnie? - zapytał. Nie po raz pierwszy w ostatnich miesiącach, nie po raz pierwszy od tamtej nocnej rozmowy.

– Zawsze - odpowiedziała bez zawahania.

Odkryła niewytłumaczalną przyjemność we wpatrywaniu się w hipnotyzujące błękitne oczy Tymka i pomyślała nagle, że teraz prezentują się zdecydowanie lepiej niż wcześniej, kiedy ich kolorowi najbliżej było do szarości, takiej samej jak u niej i Leszka. Z taką barwą tęczówek Tymek, jako mężczyzna, przyciągnie wiele spojrzeń kobiet. A jeżeli odziedziczy urodę po tacie, wprost nie będzie mógł się od nich opędzić.

Pokręciła głową i otworzyła szerzej oczy. Nie mogła tak myśleć! Nigdy.

I nie będzie. To już koniec. Definitywny.

Uśmiechnęła się na tę myśl i poczuła się pewniej, a jej niepokój o synka znacznie osłabł. Opuścili poradnię, machając dziarsko rękami złączonymi w mocnym uścisku dłoni.

\* \* \*

Podobnie dłoń Tymka ścisnął Leszek, kiedy kilka dni później odbierał go z przedszkola. Chłopiec jednak nie odwzajemnił gestu i tylko pozwolił prowadzić się za rękę. Milczał.

– Jak było? - zapytał tata.

– Dobrze - odpowiedział bez wyrazu.

Tak naprawdę Tymek nie był zadowolony, ale nie dlatego, że w przedszkolu coś się wydarzyło. Po prostu wołał, gdy przychodziła po niego mama. W ogóle z dwojga rodziców wołał jej towarzystwo. Z jakiegoś powodu nie lubił już taty tak jak dawniej. Nic w zachowaniu Leszka się nie zmieniło; przeciwnie, też martwił się o synka i odnosił się do niego z najwyższą troską. Nie bił ani nie krzyczał. Nadal nazywał go mistrzem, grał z nim w Piotrusia i od czasu do czasu w rozsądnej ilości kupował słodycze. Coś jednak było nie tak. Tymek sam nie potrafił wytłumaczyć tej sytuacji. Miał jeszcze za mało latek, by chociaż spróbować przeanalizować jej konkretne powody. Po prostu... momentami czuł się w obecności taty tak, jakby rozmawiał z kimś obcym. Jakby go nie znał. Jakby tata tu nie pasował. Tu, czyli gdzie? Czy chodziło o zapach? Chyba nie. Co prawda nie był tak przyjemny jak mamy, ale zapachy sióstr Tymka również nie były, co jednak nie przeszkadzało chłopcu czuć się przy nich swobodniej. Nawet przy Agnieszce.

– Lechu!

Tymek spojrzał na mężczyznę, który zawołał z oddali jego tatę. Wysokiego, muskularnego, z szeroką klatką piersiową. Nie kojarzył go, nigdy wcześniej się nie spotkali.

Leszek zatrzymał się i rozejrzał.

– A, cześć, Iwo! Co tam u ciebie?

– U mnie w porządku, ino ludzie godają, co cie wydupcyli z roboty. Richtik?

Leszkowi zrzęda mina, ale Tymek tego nie zauważył. Skupiał się bowiem na zapachu mężczyzny, który się do nich zbliżał. Nieprzyjemnym, odpychającym. Drażniącym nos tak bardzo, że chłopiec aż go zmarszczył i odczuł niewyjaśnioną pokusę, by zacząć warczeć. Instynktownie napiął mięśnie i lekko ugiął nogi.

Iwo uścisnął dłoń Leszka. Tymka natomiast zignorował, nawet na niego nie spojrzał.

– Tak, wylali mnie - odpowiedział Leszek, nie patrząc mu w oczy. Zgarbił się lekko.

– Co ty godosz?

– Rozglądom się za czymś nowym, ale na razie nic się nie trafiło.

– A może byś chcioł u nas trocha dorobić? Znojdzie się jakoś fucha i pora fajnych groszy ci wleci.

Leszek otworzył szerzej oczy.



– Dzięki - wymamrotał - na razie poszukom w zawodzie.

– Jak co, dej znać. Pomożemy.

Leszek milczał przez moment.

– Chociaż wiesz co? Tak sobie myślę...

– Godej! - Iwo wyraźnie się ożywił.

Leszek spojrzał kątem oka na Tymka.

– Teraz nie mom jak, bo idę z synkiem do domu.

– To wlyż na wieczór na piwo do naszego szynku!

– Wiesz, że teraz u mnie niezbyt...

– Przyłyż, ja stawiom. - Iwo poklepał go po ramieniu, choć jak na przyjacielski gest jego siła raczej przekraczała dopuszczalne normy.

Leszek zawahał się, ale w końcu odpowiedział:

– Dobra. O ósmej na wieczór?

– Pasi. - Iwo skinął głową i po raz pierwszy skrzyżował wzrok z Tymkiem. Teoretycznie nie było w tym spojrzeniu niczego groźnego, ale spowodowało, że malcowi stanęły dęba wszystkie włosy, nie tylko na głowie. - To trzym się! Pozdrów tam twoją babę!

Odwrócił się i odszedł, a wraz z nim jego nieprzyjemny zapach. Kiedy wystarczająco się oddalił, z Tymka niemal natychmiast opadło to nieprzyjemne napięcie i rozluźnił mięśnie. Niemniej zaraz rozejrzał się z niepokojem. Bał się. Nie czuł się tutaj bezpiecznie. To było coś jak podpowiedź z zewnątrz, jakby podszyło mu ją otoczenie. Chciał czym prędzej wrócić do domu, do mamy.

– Tata, chodź! - Pociągnął ojca za rękę.

Leszek nie ruszał się z miejsca. Wyraźnie zbladł i nad czymś myślał, wpatrując się w róg, za którym zniknął Iwo. Dopiero kiedy Tymek odezwał się ponownie, ocknął się i wciąż ściskając dłoń synka, podjął marsz w kierunku mieszkania. W milczeniu i o wiele szybszym krokiem niż poprzednio.

\* \* \*

**26 lutego 1994**

*- Na wyspie tej królika z duszkiem można spotkać. Wyspa niedźwiedzi to nie plotka!*

Na wypukłym ekranie śnieżącego telewizora, przy akompaniamencie wesołej melodii pojawił się animowany biały niedźwiadek w czarnej masce-przepasce na oczy. Tańczył w rytm muzyki. Przy nim unosił się duszek, obok zaś jak szalony biegał królik. Tymek i Paulinka patrzyli na postacie urzeczeni. Agnieszka - bez emocji. Była już za duża na tę bajkę.

Nim Marzena usiadła przed telewizorem z resztą rodziny, obeszła mieszkanie i upewniła się, że wszystkie okna są szczelnie zakryte przez żaluzje. Robiła to dzisiaj już drugi raz.

Choć po ostatniej wizycie u doktora Grzegorka wróciła do domu w o wiele lepszym humorze i z zamiarem niemartwienia się na zapas, dziwne zachowania Tymka podczas kolejnych pełni nie ustępowały. Wciąż, kiedy zdarzało mu się wtedy spojrzeć na księżyc, stawał się nadzwyczaj pobudzony, a przy tym paradoksalnie z lekka nieprzytomny, jakby pod wpływem środków odurzających. Rozsadzała go energia, biegał tak szybko, skakał tak wysoko i stawał się tak silny, że przerastało to możliwości nie tyle dziecka w jego wieku, ile dorosłego, który próbował go uspokoić. Po którymś razie Marzena nabrała pewności również co do tego, że malec wyraźnie nabiera muskulatury. Wszystko wracało do normy wraz z momentem, w którym słońce wschodziło nad horyzont i, nawet ukryte za chmurami, rozświetlało Śląsk światłem dnia. Nie wiedziała, jak to wytłumaczyć, a kiedy korzystała z pomocy innych lekarzy, żaden nie stwierdzał odstępstw od normy. Jednego namówiła nawet, by spróbował zobaczyć Tymka w akcji, ale jak na złość w każdą noc, w którą ów specjalista do nich przychodził, mały spał normalnie w łóżku, nawet jeżeli uprzednio na ich prośbę spojrział w niebo. Podobnie działo się, gdy próbowali nagrać jego zachowanie pożyczoną od znajomych kamerą wideo. Marzena jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że Tymek rozumie więcej, niż mogłoby się wydawać, i w takich momentach intencjonalnie nie daje po sobie poznać, że coś z nim się dzieje. Jakby bawił się z nimi w kotka i myszkę. Albo bał się, że ktoś spoza rodziny pozna jego sekret.

Tak czy inaczej - każdy zajmujący się nim lekarz podkreślał końskie zdrowie malca. Gdy któryś kolejny użył tego określenia w rozmowie z Marzeną, automatycznie nasunęło jej się inne. Z innym przymiotnikiem, również zwierzęcym, choć dotyczącym dla odmiany drapieżnika, jednego z najgroźniejszych polskich mięsożerców.

Choć sama nie wiedziała, po co to właściwie robi, pewnego razu w tajemnicy przed Leszkiem wróciła do lasu i raz jeszcze przeszła się trasą, którą pokonali feralnego dnia. Nie potrafiła jednak znaleźć ścieżki prowadzącej do polany z tamtą dziwną kamienną konstrukcją. Jakby zniknęła, choć Marzena pamiętała, że poprzednio wejście na nią było doskonale widoczne. Przeszła szlak kilka razy w tę i z powrotem, ale bez rezultatu. Im dłużej próbowała, tym więcej pytań jej się nasuwało.

Jakie było przeznaczenie budowli, w której przydarzyła im się ta okropna przygoda? Czy Marzena coś sobie wmawiała, czy konstrukcja rzeczywiście przypominała miejsce jakiegoś kultu? Czyjego? Kto ją wybudował? Dlaczego zaatakowały ich wilki, które zazwyczaj unikają ludzi i polują w nocy? Co miał na myśli mężczyzna, który ich uratował, mówiąc: „Cokolwiek się stanie, nie szukajcie więcej tego miejsca”? Czy to nie podejrzany zbieg okoliczności, że znalazł się na takim odludziu w stosownym momencie? Czy każdy myśliwy ma przy sobie bandażę i wodę utlenioną? A może wcale nie był myśliwym? W takim razie kim? Czy wiedział, może jako jedyny na świecie, co naprawdę działo się z jej synem?

I czy to przypadek, że miał takie same jasnoniebieskie tęczęwki jak Tymek? Jak prawie wszystkie wilki, które wtedy ich otoczyły?

No tak, ale przecież do nich strzelał...

Miała mętlik w głowie, a jej umysł desperacko domagał się odpowiedzi. Jakichkolwiek, choćby najmniej wiarygodnych, choćby na część dręczących ją pytań. Wreszcie wróciła do samochodu, ale jeszcze nie obrała kursu na Bytom. Pamiętała słowa mężczyzny, który przyznał, że mieszka niedaleko tego lasu. To była jej ostatnia szansa. Objechała okoliczne miejscowości i zapytała o niego kilku miejscowych, opierając się w rysopisie poszukiwanego przede wszystkim na charakterystycznym kolorze oczu. Niestety nikt nie potrafił jej pomóc, także jeżeli chodzi o lokalizację tajemniczej polany. Rozmówcy Marzeny twierdzili, że nigdy o takiej nie słyszeli, co tylko bardziej ją skonfundowało.

Wreszcie, zrezygnowana, wróciła do domu i odbyła poważną rozmowę z Leszkiem. Zdecydowali, że zastosują się do rady Grzegorka i jednak zamontują u siebie żaluzje, a potem będą pilnować kalendarza faz księżyca. Choć dotąd w związku z przypadłością Tymka w gruncie rzeczy nie wydarzyło się nic złego, Marzena wołała dmuchać na zimne. Leszek zgodził się po długich namowach spowodowanych niezadowolającym stanem ich wspólnego konta. Niedługo potem

wyposażyli okna w nieprzezroczyste osłony i Marzena poczuła taką ulgę, że zaskoczyła nawet ją samą. Od tamtej pory ich życie wróciło do normy, co nie znaczyło, że zrobiło się idealne, choć tym razem nie z powodu Tymka i jego nietypowych zachowań, które stały się w ich domu tematem tabu.

Leszek wciąż miał trudności ze znalezieniem stałego zatrudnienia i dorabiał głównie na tymczasowych robótkach. Nie wystarczało im na życie, toteż musiał radzić sobie w inny sposób, co zataił przed żoną, nie chcąc jej martwić. Unikali zbędnych wydatków, dlatego dziś między innymi oglądali wieczorynkę na starym, przedpotopowym telewizorze, który potrzebował kilku dobrych minut, by się rozgrzać, i działał z zakłóceniami. Najmłodszym widzom to jednak nie przeszkadzało.

– *Dwieście kilo słodkiej melasy na śniadanie dla niedźwiedzia!* -Dwa zielone stworki na ekranie niosły potężny garniec wypełniony białym płynem i na moment zniknęły z kadru.

– *Nie jestem głodny!* - Rozległo się pacnięcie, a potem krzyk jednego z nich, gdy po ciosie leciał przez loch.

– Mamo, co to melasa? - zapytała Paulinka.

– Taki słodki syropek - odpowiedziała Marzena.

– Syropek? - zdziwiła się. - Taki jak na kaszel?

– Nie, nie. Gdy w fabryce produkuje się cukier...

Tymek, z początku zaciekawiony wyjaśnieniami mamy, nagle przestał jej słuchać. Wyostrzył zmysły i się rozejrzał.

Coś się do nich zbliżało. Coś złego. Wyczuł tego zapach, na razie słaby, ale z każdą sekundą coraz intensywniejszy, ostrzejszy, dokuczliwszy. Dało się w nim doszukać czegoś znajomego, ale nie kojarzył skąd, minęło sporo czasu, odkąd poczuł go po raz ostatni. Mimowolnie napiął mięśnie, a jego włosy się nastroszyły. Spojrzał na siostry i rodziców. Żadne z nich tego nie zauważyło, mama wciąż rozmawiała z Paulinką, a tata i Agnieszka skupiali się na ekranie. Zdziwił się. Jak mogli tego nie czuć?

W tym czasie pięciu potężnie zbudowanych mężczyzn weszło do zapyziałej kamienicy Podolaków. Nie przejęli się staruszką, którego minęli na klatce schodowej. Ten, zobaczywszy ich, przyspieszył kroku, udając, że nie widzi niesionych przez nich siekier i pałek. Czterech osiłków stanęło parami po bokach

przed wejściem do mieszkania Podolaków, jakby tworzyli szpaler. Piąty - Iwo - zamachnął się i z całej siły uderzył w drzwi siekierą.

– Co to było?! - Marzena rozejrzała się niespokojnie, a wraz z nią Leszek i dzieci.

Uderzenie powtórzyło się, a po nim nastąpiły kolejne. Dotarłszy na korytarz, Podolakowie zobaczyli w dziurze w drzwiach rękaw czarnej, skórzanej kurtki. Wystająca z niego dłoń zwalniała zasuwki. Leszek jako pierwszy zrozumiał, co się dzieje.

– Ukryj dzieci! - rzucił cicho do Marzeny.

– Leszek, o co tu chodzi? Kto to...?

– Ukryj dzieci, powiedziałem! - W jego głosie dało się słyszeć

Marzena nie zadawała więcej pytań i z sercem bijącym jak młot zagoniła Agnieszkę, Paulinkę i Tymka do pokoju najstarszej córki. Podczas gdy biały niedźwiadek i jego przyjaciele na ekranie telewizora wskakiwali do kosza pod balonem, Iwo otworzył drzwi z takim impetem, że zaświszczało za nimi powietrze i uderzyły o ścianę w korytarzu.

Leszek drżał na całym ciele, najbardziej dygotały mu nogi. Wyglądał prawie, jakby tańczył.

– O co chodzi?! - zawołał, lecz w jego tonie nie dało się dosłyszeć choćby jednej agresywnej nuty. Nie dało się dosłyszeć nawet zagniewanej.

Iwo rozejrzał się z politowaniem po obdrapanych, zagrzybionych ścianach i meblach pamiętających czasy świetności PRL-u.

– Dobrze wiesz, po co my tu przyszli, Lechu.

– Pieniądze będą w przyszłym tygodniu. Obiecuję. Powiedzcie szefowi, że...

– Nie wepioj mie! - przerwał mu ostro Iwo. - Myślałeś, ciulu, że bydziesz go robił w chuja? Darmo umarło.

Ruszył szybkim krokiem w jego stronę, ale Leszek był szybszy. Zamknął się w dużym pokoju, lecz równie dobrze mógł odgrodzić się powietrzem. Drzwi składały się w największej mierze z nieprzezroczystej szyby, którą Iwo rozbił jednym kopnięciem. Leszek cofnął się do kąta, ale odwłókł wyrok o zaledwie kilka sekund. Otrzymał potężny cios w brzuch i upadł na podłogę, próbując desperacko złapać oddech. Bandydzi doskoczyli do niego i zaczęli kopać.

W tym czasie Marzena chowała dzieci do szafy w pokoju Agnieszki, próbując je uspokoić. Wiedziała, że to kiepska kryjówka, ale innego pomysłu nie miała - ich mieszkanie mieściło się zbyt wysoko, by spróbować zeskoczyć przez okno, nawet przy użyciu prowizorycznych lin z pościeli. Słyszała hałasy dobiegające z dużego pokoju, które nie pomagały jej się skupić.

- Cśśś - szeptała rozpaczliwie, kiedy dziewczynki zaczęły coraz głośniejsze płakać i prześcigały się w pytaniach, które sama sobie zadawała, jedynie domyślając się odpowiedzi. - Macie siedzieć tutaj i nie wychodzić, dopóki nie wrócę i nie powiem wam, że możecie, rozumiecie?

Z głębi mieszkania dobiegały kolejne trzaski i uderzenia przeplatane rozochoczonymi męskimi krzykami.

- Oni b-biją tatę? - załkała przerażona Agnieszka.

Marzena była cała blada. Nie odpowiedziała.

- Zostańcie tutaj. Bądźcie cicho i nie wychodźcie, dopóki nie wrócę! - Zamknęła szafę, nim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć. Dosłownie sekundę po tym, jak odwróciła się w stronę wyjścia z pokoju, wszedł do niego jeden z bandytów. Łysy, z przekrzywionym nosem i z licznymi bliznami po ranach ciętych na twarzy. Uśmiechnął się, szczerząc zaniedbane zęby z kilkoma przerwami między nimi.

- Jest jego baba!

Marzena odruchowo chciała przywrzeć plecami do szafy, ale w zaskakującej jasności umysłu zreflektowała się, że w ten sposób wskazałaby temu obrzydliwcowi kryjówkę dzieci. Zmusiła się, by stanąć sztywno.

- Czego chcecie?! Zostawcie nas w spokoju!

Mężczyzna podchodził coraz bliżej, a ona gorączkowo szukała sposobu, jak go ominąć i odwrócić uwagę od szafy. Na niewiele to się zdało. Doskoczył do Marzeny i złapał najpierw za nadgarstek, a potem, kiedy ją do siebie przyciągnął, w pasie. Owinął wokół niej ręce jak kleszcze.

- Puść mnie! - wrzasnęła, próbując mu się wyrwać. Machała bezładnie wszystkim, czym tylko mogła.

- Zawrzyj się - odpowiedział spokojnie i zaprowadził ją do dużego pokoju.

Marzena zobaczyła, jak jeden z bandytów podnosi krzesło i łamie je na plecach Leszka. Inni kopali go w brzuch lub skakali po jego nienaturalnie wygiętej ręce.

Wreszcie Iwo chwycił Podolaka za włosy, podciągnął do grzejnika i zaczął uderzać jego głową o ostre kanty w obudowie.

- Go... do... łech... ci... że... tak... to... się... skon... czy... - cedził przez zęby, a każdej sylabie odpowiadało jedno uderzenie. - Mosz już dość? - Odwrócił jego twarz w swoją stronę. Leszek nie odpowiadał. Nie wydał z siebie choćby najcichszego odgłosu. - Te, śpionco królewno! - Uderzył go w policzek, lecz Leszek nie zareagował nawet na to. Osilek parsknął śmiechem. - O kurwa! Chyba niechcący się przekopyrtnął na tamtyn świat!

Puścił głowę Leszka, a ta z pląśnięciem wylądowała na drewnianych panelach. Wyprostował się i spojrzał na Marzenę - zrozpaczoną, wrzeszczącą i zalewającą się łzami. Wierzgała, próbując uwolnić się z uścisku mężczyzny, który ją trzymał. Iwo uśmiechnął się szeroko.

- Wybocz! Nie chcioł zech - oświadczył z beczelnie udawaną skruchą. - Ale teraz, żonka, nie mosz wyboru. U nos to działa tak, że długi po chopie się erbuje.

Marzena płakała, nie odrywając wzroku od skatowanego ciała męża i powtarzając: „Nie, nie, nie!”.

- Ustoń! - Iwo podszedł do niej i uderzył w twarz. Trochę ją to zamroczyło i przestała histeryzować. Spojrzała na oprawcę oczami tak wilgotnymi od łez, że rozmyło jej się widzenie.

- Błag-gam, dajcie nam spokój... - wydukała. - Nie mamy p-pieniędzy... Nic nie mamy... Bierzcie sob-bie, co chcecie z domu... Bierzcie wszystko, t-tylko nie róbcie nam k-krzywdy...

- Nom? - zapytał, a Marzena zamarła i wytrzeszczyła oczy, nienawidząc się za swoją głupotę. - Wtoś jeszcze tu jest? No dyć! - zreflektował się. - Lechu przeca mo trójkę bajtli. Kaj łone są?

Przekrwione oczy Marzeny powiększyły się z przerażenia. Czowała, że jeszcze moment i zemdleje.

- Nie... nie ma ich tutaj...

- Fulać to ty nie umisz. - Iwo uśmiechnął się szyderczo, po czym spojrzał na towarzyszy. - Znojdźcie mi te bachory. Mom szumno idyjo. - Zlustrował Marzenę od stóp do głów, zatrzymując się na jej krągłych biodrach i piersiach. Jego oczy zaświeciły łakomym blaskiem. - Zrobisz mi dobrze, to nic im się nie stanie.

- Co...? Nie! Błagam...

– Zrobisz! - Szarpnął ją za włosy tak mocno, że aż jęknęła. - Albo skończą jak twój chop. Idźcie! - Popędził swoich ludzi, a ci wymaszerowali z pokoju.

\* \* \*

Podczas gdy siostry Tymka zakrywały sobie usta dłońmi i cicho łkały, on widział je w ciemności prawie tak wyraźnie, jakby oświetlało je światło. Czuł również ich zapachy (Agnieszki zdecydowanie mniej przyjemny niż Paulinki), lecz teraz skupiał się na innych, jeszcze gorszych, które wyczuł na długo przed tym, jak bandyci sforsowali drzwi do mieszkania. Z kolei jego nieludzko wyostrzony słuch odbierał ich złośliwe odzywki i wrzaski mamy. Nie słyszał za to głosu taty, co bardzo mu się nie spodobało.

Drżały mu ręce, o dziwo - nie ze strachu. Czuł nieokreślone napięcie, tylko po części wynikające z ich patowej sytuacji. Gwoli ścisłości odczuwał je, zanim jeszcze dotarł do niego zapach tych mężczyzn. Zaczęło się, gdy zapadł zmierzch, i nawet trudno było mu skupić się na wieczorynce.

Jeszcze nie rozumiał czegoś takiego jak fazy księżyc, nikt mu tego nie tłumaczył. Zadziałał jego instynkt. Wiedział, że to ta noc, choć nie miał możliwości spojrzeć w niebo. Już teraz odczuwał pobudzenie, lecz wciąż nie takie, jak wtedy, gdy podczas pełni wpatrywał się w księżyc. Kiedy o tym pomyślał, drżenie jego rąk przybrało na sile i rozniosło się na całe ciało.

Czuł, że księżyc tam jest. Widnieje na niebie i aż się prosi, woła go, by ponownie na niego spojrzeć. Tymek chciał tego tak bardzo, że niemal zapomniał o tym, co dzieje się w mieszkaniu. Przypominało to niemalże narkotykowy głód. Tym większy, że od ostatniej działki minęły ponad trzy lata, a on w tym czasie zdążył sporo podrosnąć.

Ocknął się, kiedy dobiegło ich „Znajdźcie mi te bachory”. Agnieszka jęknęła cicho i mocniej objęła łkającą Paulinkę. Widział je obie w ciemności i czuł ich zapach. Zapach jego stada, do którego należeli również mama i tata. Jego wataha była zagrożona, a instynkt nakazywał mu jej bronić. Dodawał mu niewyjaśnionej odwagi i Tymek czuł dziwną pewność, że sobie poradzi. Nie bał się. Chciał walczyć.

Chciał po raz kolejny zobaczyć księżyc.



Kiedy uchylił drzwi, Agnieszka zapiszczała:

– Nie!

Spojrzał na nią bez słowa. Jego jasnoniebieskie oczy ledwo zauważalnie jaśniały w ciemności.

– Wy zostańcie - powiedział.

– Gdzie ty idziesz?! Oszalałeś?! - syknęła przez łązy Agnieszka. - A co, jeżeli zabili tatę? Mama kazała nam tu siedzieć i na nią czekać!

– Porwali mamę - szepnął. - Znajdą nas.

– Kaj żeście som, bomble? - dobiegł ich z oddali przesłodzony męski głos.

Paulinka zakwiliła z przerażenia i kurczowo zacisnęła ręce na korpusie siostry. Tymek spojrzał na nią, a ona na niego. Przez jakiś czas wpatrywali się w siebie i w końcu dostrzegł, że jego młodsza siostrzyczka ledwo zauważalnie kiwa głową. Uznał to za znak, bez względu na to, czy zrobiła to celowo. Nie zastanawiając się dłużej, otworzył drzwi. Wyszedł z szafy przy niemym proteście Agnieszki i natychmiast zamknął siostry z powrotem. Nie tracąc czasu, podstawił krzesło i zaczął wspinać się na najbliższy parapet. Z każdym pokonanym centymetrem czuł coraz większe podniecenie. Księżyc za zakrytym oknem wołał go coraz głośniejsze.

Księżyc szczególny. Wyjątkowy. Inny niż zwykła pełnia.

Podniósł żaluzję, spojrzał na srebrnożółtą kulę na niebie, otworzył szeroko oczy i zeszywniał. Jego dłonie oderwały się od szyby i bezwładnie opadły.

– Nie chowajcie się! I tak was znojdymy! - zawołał jeden z bandytów. - Im szybciej wylezicie, tym lepiej dla... - Urwał, kiedy stanął w progu pokoju Agnieszki. - Chopy, tukej! - krzyknął.

Pozostali zaraz do niego dołączyli i również zobaczyli sylwetkę chłopca na parapecie. Jej kontur wyraźnie rysował się na tle srebrzystego blasku.

– Mody, nie wydurniej się! Bydziesz skokać? Bodej trocha za wysoko! - zawołał kpiąco osilek.

Tymek powoli odwrócił się w ich stronę. Zeskoczył z parapetu i wyprostował się, jakby stawał na baczność. Jego wytrzeszczone oczy były puste, a błękit tęczęwek tak jasny, że niemalże zlewał się z bielą białek.

– Jak się nazywasz? Jak bydziesz grzeczny, to nic ci nie zrobimy. - Olbrzym wszedł do pokoju, a za nim inni.

Tymek nie reagował. Zdawał się go nie słyszeć. Już nie stał bez ruchu - jego ciało falowało i oddychał coraz szybciej.

– Ej, mody, umiesz godać? - zapytał osiłek, spojrział na kumpli i się zaśmiał. - Rodzinka pojebów, jedyn lepszy łód drugiego!

Bandyci zawtórowali mu szyderczym rechotem. Nie widzieli, że to, co wcześniej brali za szybkie oddechy chłopca, teraz zmieniło się w niespokojne spazmy. Jakby był podłączony do potężnej pompy, która napełniała go powietrzem jak balon. Jego twarz wykrzywił grymas niepodobny do wyrazu jakiegokolwiek ludzkiej emocji. To już nawet nie była furia.

To była dzikość.

Tymek zauważalnie nabrał postury, jakby w jednej chwili potroiła mu się masa mięśniowa. Koszulka i sweterek rozerwały się na nim, nie wytrzymując naporu rosnącego ciała. Rozpostarł palce, wyszczerzył zęby, a po brodzie spłynęła mu spieniona ślina.

W końcu zaczął warczeć. W żadnym wypadku nie głosem dziecka. Nawet nie człowieka.

## D

*Poznań, zima 1995*

Podczas gdy zza zamkniętych drzwi dobiegały trzaski przeplatane przeraźliwym płaczem, dzieci stojące w dwuszeregu w korytarzu nie śmiały nawet drgnąć. Niektóre udawały, że tego nie słyszą, i wpatrywały się w podłogę. Pani Renata, która miała na nie oko, podczas gdy jej koleżanka wykonywała obowiązki wychowawcze, świdrowała je spojrzeniem.

Wreszcie na korytarz wkroczyła pani Bogusia. Jak zawsze miała zmarszczone brwi i zaciśnięte usta, lecz teraz wydawała się jeszcze bardziej zagniewana niż zazwyczaj. Prowadziła zapłakanego Sześciolatniego chłopca, którego trzymała od tyłu za szyję. W drugiej ręce zaś niosła wysłużony but na niskim obcasie, który rzuciła ostentacyjnie na podłogę i włożyła do niego stopę. Pozostałe dzieci spjrzały na nią z respektem.

– Czy ktoś jeszcze, tak jak Hubi - potrząsnęła chłopcem - nie chce iść z nami do kościoła? - Rozejrzała się groźnie, ale dzieci milczały. - Świetnie! Skoro mamy to ustalone, wszyscy ubieramy się i wychodzimy! Migiem!

Dzieci posłusznie pomaszerowały do swoich pokoi i jak najszybciej wykonały polecenie, rozglądając się nerwowo, czy nie pozostają w tyle za innymi. Hubert też, choć lży dalej ciekły mu z oczu obfitymi strumieniami. Inny chłopiec, o piaskowych włosach, obserwował go uważnie. Było mu żal kolegi.

– Wszyscy gotowi? Bierzemy się za rączki i wychodzimy! - zawołała pani Renata, otworzyła drzwi i wyszła jako pierwsza.

– Idziesz ze mną? - Chłopiec wyciągnął rękę do Huberta. Ten otarł łzy i w końcu uścisnął jego dłoń. Kolumienka dzieci ubranych w pstrokate, zużyte kurtki z licznymi łatami i zaszytymi dziurami wyszła na zewnątrz. Hubi i drugi chłopiec szli mniej więcej w jej środku. Pochód zamykała pani Bogusia.

– Czemu nie chcesz iść? - wyszeptał chłopiec.

Hubi spojrzał na niego ze strachem, a potem zerknął na opiekunki, upewniając się, czy nie usłyszały tego pytania. Najwyraźniej nie, ale i tak się zawahał.

– Bo to nudne - powiedział cicho. - Nie lubię!

Chłopiec o piaskowych włosach się zdziwił. Z jednej strony trudno było nie przyznać Hubiemu racji. Sam nudził się na mszach świętych jak mops i jedyne, co w nich lubił, to momenty, w których grano i śpiewano piosenki. Lubiał śpiewać i korzystał z każdej okazji, by to robić. Podczas kazań natomiast szybko tracił zainteresowanie i z każdą minutą coraz bardziej się wiercił. Dziś jednak było inaczej i wybierał się do kościoła zaintrygowany.

Choć mieli środę, szli na specjalną mszę świętą z modlitwą „o uzdrowienie”. Tak powiedziała pani Renata. Chłopiec zastanawiał się, jak to będzie wyglądać w praktyce. Na przykład ostatnio miał obfity katar. Czy udział w takiej mszy oznaczał, że po niej przestanie cieknąć mu z nosa? Był jeszcze za mały, żeby rozumieć wiarę, nawet zbytnio nie słuchał czytań, ale kojarzył, że Pan Jezus - ich główny bohater - był tak jakby czarodziejem, historie o nim zawierały mnóstwo niesamowitych zdarzeń, czasem nawet cudów. Na przykład, że najpierw umarł na krzyżu, a potem ożył i wyszedł z własnego grobu. Z tego, co chłopiec pamiętał, zdarzyły się też uzdrowienia chorych i zamiana wody w wino. Czyżby dziś mieli w czymś takim uczestniczyć? A może Pan Jezus pojawi się tam osobiście? Z drugiej strony pani Bogusia powtarzała im, że on jest wszędzie i widzi, kiedy są niegrzeczni. Pomieszanie z poplątaniem, chłopiec nic z tego nie rozumiał, ale liczył, że dziś uzyska choć część odpowiedzi.

Teraz jednak z trudem słyszał własne myśli - zagłuszał je silny wiatr wyjący pomiędzy blokami i od czasu do czasu wiejący mu prosto w zziębniętą twarz. Otaczała go ciemność zimowego wieczoru, której nie osłabiała zbytnio mijane przez nich latarnie. Chłopiec zadrżał i z całej siły powstrzymywał się, by nie pociągnąć nosem. Pani Renata i pani Bogusia bardzo tego nie lubiły.

W końcu dotarli do świątyni. Przed wejściem opiekunki zarządziły tradycyjne trzepanie butów ze śniegu i po chwili na kratce przed masywnymi drzwiami rozległo się rytmiczne tupanie killkunastu małych stopek, głośniejsze, niż to było konieczne. Chłopiec jako jedyny zwrócił uwagę na zamieszanie nieopodal kościoła. Kilka osób pochylało się nad mężczyzną, który leżał na zaśnieżonym chodniku. Wyginał się, wierzgał i kopał pozostałych. Próbował im się wyrwać, kiedy chcieli podnieść go za ręce. Chłopiec usłyszał także jego jęki i syki, jakby udawał węża. Zdziwił się. Czasem też bawił się z innymi dziećmi w udawanie różnych zwierzątek, ale jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego w wykonaniu dorosłego. I to tutaj, kiedy było tak zimno i ciemno? A może ten pan na coś chorował? Może dlatego tak się zachowywał? Czy również przyszedł tutaj, bo chciał wyzdrowieć?

Chłopiec się rozejrzał. Przed kościołem stało nieruchomo jeszcze kilka osób. Widział ich ciemne kształty jak posągi rozstawione w sporych odległościach od siebie, oświetlone od tyłu przez latarnie i smagane przez porywisty wiatr ze śniegiem. Ich ręce zwisały bezwładnie przy ciele. Ludzie ci zdawali się w ogóle nie zauważać zamieszania z mężczyzną udającym węża. Wpatrywali się w kościół. Chłopiec poczuł się niepewnie, a w głębi ucieszył się, gdy niektórzy z nich odwracali się i odchodzili. Ale nie wszyscy. Część z nich wolnym krokiem zmierzała w stronę świątyni, lecz szli odchyleni do tyłu, niemalże wygięci. Ich krok nie współgrał z resztą ciała, skojarzyli się chłopcu z kukiełkami na sznurkach, którymi od czasu do czasu bawił się z kolegami i koleżankami.

– Dorian, nie śpij!

Ostry głos pani Renaty wyciągnął go z zamyślenia. Z trudem oderwał spojrzenie od tamtych ludzi, chwycił Hubiego za rękę i weszli do kościoła.

W środku okazało się, że wszystkie ławki są zajęte, co zdziwiło nawet opiekunki. Panowała ciemność, jedynie ołtarz był oświetlony, więc pani Bogusia zaproponowała, by stanąć w jego pobliżu. Podczas gdy szli tam zwartą grupą, chłopiec zerknął na wiernych siedzących w ławkach pogrążonych w mroku. Zdawali się wodzić za nim wzrokiem. Kiedy przechodził obok nich, powoli obracali za nim głowy. Przełknął ślinę i szybko odwrócił spojrzenie.

Msza rozpoczęła się po kilku minutach. Ksiądz wkroczył do prezbiterium i nawet nie spojrzał na dzieci. Nie patrzył też na pozostałych wiernych. Skupił się na księdze przed sobą, czytając głośno, pewnie i jakby z większym zacięciem.

Chłopiec z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że początek nabożeństwa przebiega inaczej niż zazwyczaj. Nie zaczęło się od pieśni, nikt nie grał na organach ani na gitarze.

Prawie podskoczył, gdy nagle ktoś siedzący w ławkach zaczął jęczeć. W ciemności nie było widać kto. Pani Renata i pani Bogusia spojrzały w tamtą stronę z uniesionymi brwiami. Odgłosy nie ustawały, ale ksiądz nie reagował, tylko dalej czytał na głos modlitwy z księgi. Nie zareagował nawet wtedy, gdy z innych części kościoła poczęły dobiegać podobne dźwięki. Także syki, piski, warknięcia i głośne rozmowy, ale nie sposób było zrozumieć, czego dotyczyły, jakby ktoś używał obcych języków. W pewnym momencie po kościele rozniosły się również metaliczne łupnięcia.

Dzieci nic z tego nie rozumiały. Zbiły się w ciaśniejszą grupę. Ich opiekunki natomiast spojrzały na siebie z niepokojem, który nie umknął chłopcu.

Wreszcie pani Bogusia powiedziała:

– Wychodzimy!

Chłopiec jeszcze nigdy nie słyszał u niej takiego tonu głosu. Pani Bogusia była surowa i często na nich krzyczała. Wydawało się, że potrafi tylko się gniewać. Teraz jednak była przerażona. Ruszyła do wyjścia tak szybko, że prawie biegła. Dzieci ledwo za nią nadążały. Już nie trzymały się za ręce, maszerowały w nieładzie. Pani Renata też szła z przodu, nie kontrolowała końca kolumny. Chłopiec ze strachem zdał sobie sprawę, że biegnie jako ostatni. Bał się, nie rozumiał, co się tu dzieje, a na domiar złego zgubił Hubiego i nie mógł odnaleźć go nawet spojrzeniem.

W ciemności nie był w stanie rozróżnić kurtek innych dzieci. Wokół w dalszym ciągu rozlegały się krzyki, warknięcia, syki, jęki i trzaski. Chłopiec przyspieszył, ale drogę zagroził mu jakiś mężczyzna. Chwiał się na nogach, był spocony i śmierdział. Jego oczy były całe białe. Bełkotał coś niezrozumiale, po czym nagle wygiął się do tyłu i zrobił mostek. Wyglądał, jakby złamał kręgosłup, jego pozycja przypominała bardziej ramiona trójkąta niż półkole. Chłopiec zaczął płakać ze strachu. Do mężczyzny doskoczyło kilka osób i próbowało chwycić go pod pachami, ale nie dał się podnieść. Wyrywał się, walczył i kotłował na podłodze. Do ludzi starających się go obezwładnić dołączyło jeszcze kilku i dopiero wtedy zdołali postawić mężczyznę na nogi. Wyprowadzili go z kościoła.

Chłopiec przeraził się jeszcze bardziej. Nie widział już dzieci, o opiekunkach nie wspominając. Płakał coraz głośniej. Chciał stąd wyjść, nie słyszeć tego gwaru, który później, już jako dorosły, miał porównać we wspomnieniach do odgłosów potężnej orgii. Nie zdążył jednak zrobić nawet kilku kroków. Drogę zagroziły mu następne trzy osoby. Usiłował je wyminąć, ale wtedy natrafił na kolejne. Rozejrzał się nerwowo i zobaczył, że ludzie otaczają go ze wszystkich stron. Zbliżyli się. Mówili coś do niego. Coraz głośniej, złośliwie, jakby triumfalnie, ich głosy roznosiły się echem pod wysokim sklepieniem kościoła. Nie miał jak uciec. Był tak przerażony, że stracił panowanie nad ciałem i pęcherz odmówił mu posłuszeństwa. Po nim poddały się nogi. Upadł na brudną od roztopionego śniegu posadzkę i wydarł się najgłośniej, jak dał radę. Cienki wrzask zgrał się z pozostałymi rozchodzącymi się po świątyni. Ksiądz zignorował go, myśląc, że to jeszcze jeden ryk osoby, która przyszła na nabożeństwo w poszukiwaniu pomocy. Zamknął oczy, przyłożył do czoła krucyfiks i powtarzał modlitwy, starając się opanować drżenie.

Msza święta z modlitwą o u w o l n i e n i e - nie o uzdrowienie, jak mylnie zrozumiwała pani Renata - trwała, jakby nic się nie stało.

**CZĘŚĆ II:**  
**GENEZA**



# R O Z D Z I A Ł I

*Warszawa, 19 maja 2019*

– Szczęść Boże.

Siedzący w konfesjonale Dorian pochylił głowę przy drewnianej kratce oddzielającej go od parafianki.

– Szczęść Boże.

Wykonała znak krzyża i powiedziała:

– Ostatni raz spowiadałam się tydzień temu. Pokutę nakazaną odmówiłam. Następującymi grzechami obraziłam Pana Boga...

Kojarzył jej głos. Przychodziła do spowiedzi czasem nawet co kilka dni. Zazwyczaj wybierała jego konfesjonał, nawet jeżeli kolejka do innych była krótsza. Zawsze mówiła to samo i znał jej grzechy praktycznie na pamięć. Prawie jak profil psychologiczny. Dziś również go nie zaskoczyła, z jednym małym wyjątkiem na koniec. Złamanie piątego przykazania poprzez palenie papierosów („demony mojego nałogu są za silne”); klótnia z dzieckiem, czyli szósty grzech główny; klótnia z wiekową matką, a więc nie dość, że szósty grzech główny, to jeszcze złamanie czwartego przykazania; i wreszcie - z ociąganiem, ale jednak - przyznała się, że zdarzało jej się podjadać nocami.

– Czy to podchodzi już pod nieumiarkowanie, proszę księdza? -zapytała z niepokojem.

– Nie - odpowiedział.

Odetchnęła z ulgą tak głośno, że to usłyszał.

– To dobrze, bo mam tak od dawna i bałam się... W takim razie więcej grzechów nie pamiętam i za wszystkie bardzo żałuję...

Kiedy wyrecytowała resztę, on wygłosił naukę. Musiał przyznać, że ta parafianka wystawiała jego kreatywność i słownik synonimów na próbę. Nie chodziło o to, że odbębniał obowiązki kapłana jak pracownik korporacji wypalony latami codziennego klepania tych samych zadań. Po prostu trudno powiedzieć cokolwiek nowego i odkrywczego, kiedy tydzień w tydzień słyszy się to samo.

Uniósł dłoń i wypowiedział słowa rozgrzeszenia, podczas gdy pochylona kobieta powtarzała z zapalem „Bądź miłościw mnie grzesznemu”. Zakończył znakiem krzyża i zapukał w ściankę konfesjonału, a parafianka z uniesieniem ucałowała koniec jego stuły.

Z drugiej strony ukląkł jakiś nastolatek i w odróżnieniu od poprzedniczki nawet się nie przywitał; od razu przeszedł do recytowania sakramentalnej formułki, którą przekreślił. Dorian dyskretnie spojrzął na zegarek. Zbliżało się rozpoczęcie mszy świętej. Uległ jednak pokusie, pozostał na miejscu i nie powiedział nic, dopóki chłopak nie skończył wyliczać swoich wstydlivych tajemnic z permanentną masturbacją na czele, którą zapewne nieprzypadkowo wymienił dopiero na końcu, znacznie przyspieszając tempo mówienia, i dyplomatycznie nazwał „regularnym dopuszczaniem się na sobie zachowań nieskromnych”. Dorian uśmiechnął się lekko. Sam w jego wieku używał identycznej kombinacji słów. Ktoś tu chyba podczas rachunku sumienia korzystał z tej samej książeczki do nabożeństwa.

Na szczęście chłopak był ostatni w kolejce. Dorian pouczył go i rozgrzeszył, po czym dynamicznie otworzył drzwiczki konfesjonału i marszobiegim przeszedł przez kościół, skupiając na sobie liczne spojrzenia parafian. Na lewo od ołtarza czekało na niego kilkoro nastolatków. Półgłosem przeprosił za spóźnienie, zawiesił na szyi pasek z gitarą i sprawdził po raz ostatni, czy jest dobrze nastrojona. Wreszcie zaczął grać. Po świątyni rozniosła się powolna, nostalgiczna melodia. Po mniej więcej trzydziestu sekundach instrumentalnego wprowadzenia zbliżył się do mikrofonu i zamknął oczy.

– *Nic. Nie musisz mówić nic. Odpocznij we mnie. Czuj się bezpiecznie.*

Jego głos był czysty i mocny, bez choćby jednej fałszywej nuty. Celebrował każde słowo, dbając o idealny timing, dykcję i akcentowanie. Tak samo przyłożył się do grania, zgrabnie operując palcami na gryfie i strunach. Poczł przyjemne ciarki.

Bardzo lubił tę piosenkę. Choć jej tekst wyświetlał się na ekranie nad ołtarzem, ludzie nie śpiewali razem z nim. Od pierwszej mszy, której zapewnił oprawę muzyczną, panowała niepisana reguła, że jego występów jedynie się słuchało. Wtedy czerpało się z nich najwięcej.

*– Pozwól kochać się . Miłość pragnie ciebie...*

Oczy Judyty - jednej z dziewczyn stojących za nim - zaświeciły się mocniej. Odkąd zaczął grać, nie odrywała od niego maślanego spojrzenia. Czuł je, choć nie mógł zobaczyć. Pierwszą zwrotkę i refren zaśpiewał samodzielnie, w drugiej, zgodnie z tym, jak ćwiczyli na próbach, do śpiewu dołączyła młodzież ze scholi. Judyta jako jedyna tego nie zrobiła, zreflektowała się dopiero w końcówce trzeciego wersu. Nie śpiewała jednak zbyt długo, bo już po chwili rozległ się dźwięk dzwonka na rozpoczęcie mszy. Dorian niespiesznie dokończył pieśń, spuentował ją kolejną spokojną gitarową solówką, po raz ostatni przeciągnął palcami po strunach i dopiero wtedy otworzył oczy.

W pierwszym rzędzie siedziała pani Irena - gosposia z plebanii. Chyba jeszcze nigdy nie opuściła mszy, na której śpiewał. Mrugnęła i uśmiechnęła się do niego, imitując bezgłośnie oklaski. Odwzajemnił uśmiech, po czym skupił się na proboszczu, księdzu Ludwiku Kropidłowskim, który zaczął nabożeństwo pozdrowieniem wiernych.

Dzisiejsze aklamacja i Ewangelia miały dotyczyć przykazania miłości. Przed nimi jednak ministrant przeczytał w ramach drugiego czytania fragment Apokalipsy Świętego Jana Apostoła:

*- I ujrzalem niebo nowe i ziemię nową, bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły, i morza już nie ma. I Miasto Święte - Jeruzalem Nowe ujrzalem zstępujące z nieba od Boga, przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża. I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu: „Oto przybytek Boga z ludźmi: i zamieszka wraz z nimi, i będą oni Jego ludem, a On będzie » Bogiem z nimi«. I o t r z e z i c h o c z u w s z e l k ą ł z ę , a ś m i e r c i j u ż o d t ą d n i e b ę d z i e . A n i ż a ł o b y , n i k r z y k u , n i t r u d u j u ż n i e b ę d z i e , b o p i e r w s z e r z e c z y p r z e m i n ę ł y ” - zaakcentował. - I rzekł Zasiadający na tronie: „ O t o c z y n i ę w s z y s t k o n o w e ” . <sup>30</sup>*

Z kolei fragment Ewangelii, również według świętego Jana, przeczytał Kropidłowski:

– Po jego wyjściu rzeki Jezus: „Syn Człowieczy został teraz otoczony chwałą, a w Nim Bóg został chwałą otoczony. Jeżeli Bóg został w Nim otoczony chwałą, to i Bóg Go otoczy chwałą w sobie samym, i to zaraz Go chwałą otoczy. Dzieci, jeszcze krótko jestem z wami. Będziecie Mnie szukać, ale -jak to Żydom powiedziałem, tak i teraz wam mówię - dokąd Ja idę, wy pójść nie możecie. Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”.<sup>31</sup>

Ucałował księgę, a kiedy ludzie usiedli, czekając na jego kazanie, oparł się rękami o ambonę i rozejrzał po wypełnionej po brzegi świątyni. Na sam koniec zaś uniósł wzrok do sklepienia, jakby nad czymś myślał.

– A więc dziś mamy rozmawiać o miłości? - zapytał w końcu. Mówił powoli, podobnie jak Dorian podczas śpiewania pieśni zwracał uwagę na właściwą wymowę każdej sylaby. - Rozmawiajmy zatem. Ale zanim to nastąpi, muszę się do czegoś przyznać. Wiecie, drodzy, mam dziwne hobby. - Wzruszył ramionami. - Strasznie dużo myślę. Dużo rozważam, analizuję. Zastanawiam się na przykład, czy wszystkie fundamenty naszej rzeczywistości są tym, czym wydaje nam się, że są. Czy w ogóle są fundamentami? A może da się je zakwestionować? Może od początku opieraliśmy się na czymś, na czym nie powinniśmy? Ostatnio przyszło mi do głowy bardzo ciekawe pytanie. Teoretycznie banalne. Na pozór retoryczne. A jednak będące pułapką. Brzmi ono: c z y m j e s t d o b r o ? - Zamilkł na kilka sekund. - Zdałem sobie sprawę, że jestem coraz bardziej zagubiony. No choćbym się zaparł i wyteżył wszystkie szare komórki, nie mogę, nie potrafię powiedzieć, czym ono w istocie jest! - Płasnął dłonią o pulpit z udawaną dezaprobatą, po czym omiótł ręką słuchaczy. - Jestem przekonany, że wszyscy, jak tutaj jesteśmy, na pytanie, czy jesteśmy dobrymi ludźmi, odpowiedzielibyśmy: jak możesz w ogóle w to wątpić?! Oczywiście, że tak! W tym miejscu warto jednak się zatrzymać i zadać sobie kolejne: dobrymi, czyli jakimi? Co konkretnie sprawia, że możemy tak się określić? Co sprawia, że mamy na to odwagę? I wreszcie: na czym opieramy to przekonanie?

Ponownie rozejrzał się po zebranych. Nie pominął także Doriana i młodzieży ze scholi.

– Czy jest to miłość, którą również trudno zdefiniować? Przestrzeganie przykazań, a więc nakazów i zakazów, które nam się narzuca, czego z natury nie lubimy, bo to ograniczanie naszej wolności? A może nie zastanawiamy się nad tym

i zachowujemy się w określony sposób, bo „tak trzeba”, bo tak ukształtowały nas kultura i historia cywilizacji? Czy potrafimy jasno powiedzieć, co tak naprawdę determinuje nasze działania? - ciągnął. - Rozważmy to. Teraz, drodzy, w tym momencie. Spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie: „Dlaczego czynię dobro?”.

Dorian wypełnił polecenie w myślach, lecz nie nasunęło mu się nic poza szeroko pojętą miłością bliźniego, powołaniem i „bo tak trzeba”. Spodziewał się jednak, że proboszcz szykuje zaskakującą puentę, i się nie zawiódł.

- Przeczytałem niedawno *Państwo* - kontynuował Kropidłowski. - To dzieło Platona,, wybitnego filozofa. Jeden fragment poruszył mnie szczególnie. Otóż niejaki Glaukon stwierdził w nim, że w porządku i teoretycznej sprawiedliwości, na jakich opiera się ludzkość, w ogóle nie chodzi o miłość do drugiego człowieka - pomachał przecząco palcem - ale o coś z u p e ł n i e innego. Coś, co mnie osobiście bardzo zasmuciło, bo jak to przeczytałem i połączyłem z tym, jak wygląda rzeczywistość, w której aktualnie żyjemy, pomyślałem sobie, że coś w tym może być.

Pochylił się nad amboną.

- Glaukon twierdził, że chodzi o s t r a c h p r z e d k a r ą - zaakcentował. - Jego zdaniem, gdyby ktokolwiek z nas, nawet mający się za dobrego człowieka, posiadał pierścień Gygesa, mityczny atrybut zapewniający niewidzialność, szybko rzuciłby miłość w ką i stałby się złoczyńcą. Powiecie: ja wcale taki nie jestem! Powoli. - Wyciągnął przed siebie dłoń. - Zamiast od razu to negocować, drodzy, zastanówcie się, czy to rzeczywiście nie ma sensu. Wyobraźcie to sobie. - Uśmiechnął się i zmienił ton na podekscytowany. - Niewidzialność, czyli bezkarność. Mało? Podbijmy stawkę: niewidzialność i n i e ś m i e r t e l n o ś ć . Nikt nigdy nie dowie się, co zrobiliście. Nigdy nie umrzecie, więc nigdy nie zostaniecie ukarani, niezależnie od tego, co czekałoby was po drugiej stronie. Wyobraźcie to sobie i przeanalizujcie konsekwencje takiego porządku świata. Co wtedy, drodzy? Czy nadal mielibyśmy motywację do miłowania bliźniego, co już teraz, na co dzień, przychodzi nam z takim trudem? Czy jednak właśnie to: świadomość, że kiedyś umrzemy i zostaniemy rozliczeni, jest fundamentem naszego postępowania?

Spowaźniał.

- Świadomość, której nie byłoby, gdyby nie inny fundament, jaki z tego wynika. Czy nie jest tak, że to zło, właśnie ono, nie dobro, leży w naszej naturze? Przecież

jedno i drugie to wymysły człowieka! Zwróćcie uwagę: w świecie zwierząt nie ma czegoś takiego jak dobro i zło, rozważana jest jedynie kwestia przetrwania jednostki i całego gatunku. Dajmy na to: czy ktoś potępia drapieżnika, który walczy z innym samcem alfa o samice i korzyści wynikające z panowania nad danym obszarem łowów? Nie. Natomiast jeżeli w analogicznej sytuacji postawimy ludzi, tego, który zwycięży, nazwiemy mordercą. Zbrodniarzem. Z ł y m c z ł o w i e k i e m . Dlaczego? Bo dążył do swojego szeroko pojętego dobra po trupach. Bo tak właśnie można definiować zło w ludzkim rozumieniu: jako zaspokajanie wszystkich swoich potrzeb bez względu na wszystko, także bez względu na krzywdę, jaką moglibyśmy wyrządzić innym. W naturze ludzkiej leży walka o swoje dobro, cokolwiek ono znaczy. Gdyby każdy z nas dążył do niego za wszelką cenę, zapanowałby chaos. Nie robilibyśmy nic innego, tylko walczyli między sobą o zasoby tego świata. Dlatego wymyślono prawo. Aby wprowadzić porządek i wmówić nam, że to synonim dobra. Zmusić nas do przestrzegania pewnych reguł, bo w przeciwnym razie spotka nas kara. Tymczasem skoro do wprowadzenia porządku potrzebujemy straszaka, to znaczy, że musimy się przed czymś bronić. Przed naturalnymi odruchami. Postępować wbrew sobie. Czy Glaukon miał rację i w każdym z nas kryje się zbrodniarz, który tylko czeka na popuszczenie łańcucha? Powiecie: co ten facet wygaduje? - Wskazał na siebie. - Ja natomiast odpowiem pytaniem na pytanie: ile dzieli zbrodniarza od grzesznika? Jesteśmy tylko ludźmi. Jesteśmy słabi, podatni na pokusy, szukamy dróg na skróty do celu, który zawsze wiąże się z polepszeniem naszego życia. Gdzieś tam, nie wiem gdzie, znajduje się granica, która odróżnia dobrych od złych. Naszych od obcych. Sprzymierzeńców od wrogów. Zauważcie jednak, drodzy, nieoczywistą konsekwencję tego faktu: samo istnienie granicy sprawia, że można ją dowolnie przesuwac. I tym samym definiować dobro oraz miłość według własnego uznania. Subiektywnie! Więc pytam: gdzie znajduje się twoja granica? Jaka jest twoja definicja dobra, drogi człowieku? Jaka jest twoja definicja miłości?

Rozejrzał się po raz ostatni po słuchaczach, skłonił się i odszedł od ambony. Usiadłszy na swoim siedzisku, o wiele skromniejszym niż w innych świątyniach, spojrzął na ziemię i nie wstał do wyznania wiary przez dobre kilka minut. W tym czasie w kościele panowała głucha cisza.

\* \* \*

Po zakończeniu mszy, kiedy Dorian z pomocą młodzieży znosił muzyczny ekwipunek do zakrystii, podeszła do niego Judyta. Zobaczył ją kątem oka i westchnął w duchu.

– Proszę księdza? - odezwała się nieśmiało.

– Słucham cię - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem, lecz nie patrzył na nią i udawał, że niesamowicie pochłania go wkładanie gitary do pokrowca.

– Może miałbyś czas dać się wyciągnąć na kawę?

Dorian poczuł się trochę jak podczas niedawnej spowiedzi, bo powoli kończyły mu się synonimy. Czytaj: wymówki. A właściwie to kłamstwa.

– Ja stawiam! - dodała z entuzjazmem Judyta. Uśmiechała się szeroko.

Zebrał się w sobie i spojrzał jej w oczy.

– Niestety dziś też nie mam czasu. Mam trochę zajęć i jeszcze odprawiam popołudniową mszę, więc rozumiesz... Przepraszam, może innym razem.

Kiedy zobaczył zawiedzioną minę dziewczyny, niemal ogarnęły go wyrzuty sumienia. Nie prowadził oficjalnych statystyk, ale odmawiał jej tak na oko już jedenasty raz.

– Rozumiem. W takim razie do zobaczenia na próbie! - rzuciła tonem, który zapewne miał zabrzmieć beztrąsko, ale w rzeczywistości wyszedł z lekka obrażony. Odeszła.

Powiódł za nią wzrokiem, walcząc z poczuciem winy i pokusą, by jednak ją zatrzymać. Poczuł się lepiej dopiero, gdy zniknęła mu z oczu.

Dokończył znoszenie sprzętu, pożegnał się z resztą i ruszył w kierunku wyjścia z gitarą w pokrowcu na plecach. W przedsionku kościoła zerknął na tablicę z ogłoszeniami i rzuciła mu się w oczy ulotka, której wcześniej tam nie widział. Czarno-biała, przedstawiająca wesołe zdjęcie kilkuletniego chłopca. Jej nagłówek, napisany większą, krzykliwą czcionką, głosił: **ZAGINAŁ! PROSZĘ, POMÓŻ NAM ODNALEŹĆ SYNKA!**

Dorian podeszedł do tablicy.

*Kacperek Maciejewski - ur. 13/09/2013. Zaginął wieczorem 05/05/2019 na placu zabaw niedaleko przedszkola nr 271 na Bielanych. Był ubrany w czerwoną kurtkę, szarą bluzę*

z Iron Manem, ciemnoniebieskie dzinsy i białe buciki Nike. Wzrost - 124 cm, włosy - blond, oczy - niebieskie. Znaki szczególne: blizny na kolanach, pieprzyk za uchem, przerwa w uzębieniu z przodu (niedawno stracił ząbek).

JEŻELI GO WIDZIAŁEŚ, ZADZWOŃ!

– Co cię tak zajęło?

Dorian prawie podskoczył, myśląc, że to Judyta, ale głos, który rozległ się obok, należał do Kropidłowskiego. Proboszcz również podszedł do tablicy.

– Ta ulotka. - Wskazał Dorian. - Wcześniej jej tu nie było.

Kropidłowski spojrzał na nią z kamienną twarzą.

– Widziałeś ludzi, którzy ją tu zawiesili? - zapytał. - Rozmawiali z tobą?

– Nie.

Proboszcz kiwnął głową.

– Chodźmy jeść - mruknął.

Wyszli z kościoła i w milczeniu skierowali się do plebanii. Kropidłowski wyraźnie sposepniał. W pewnym momencie zatrzymał się i tym razem wpatrzył w salonik prasowy po drugiej stronie ulicy. Na jego witrynie w eksponowanym miejscu umieszczono najnowszy numer popularnego tygodnika „Naprawdę”. Okładka przedstawiała księdza W sutannie, lecz grafika nie ujęła jego twarzy. Przed nim stał mały chłopiec z przerażonymi oczami i ustami zakrytymi przez dłoń kapłana. Całość okraszał wielki żółty napis: „Ani mru-mru!”, zapewne nawiązujący do tytułu filmu Sekielskich *Tylko nie mów nikomu*, który miał premierę nieco ponad tydzień wcześniej i od tamtej pory nie schodził z karty „Na czasie” na YouTube.

Kropidłowski pokręcił głową, zgarbił się i ze smutną miną powlókł w stronę plebanii. Dorian zaś patrzył na rzeczoną okładkę trochę dłużej, lecz w końcu podążył za nim.

– Szymon! - zawołał proboszcz. - Muszę z tobą pogadać!

Szymon, drugi z wikarych, stał pod plebanią z dwiema kobietami. Zobaczywszy Kropidłowskiego, odłączył się od nich i zapytał:

– Mogę prosić księdza na stronę?



Odeszli na kilka metrów i zaczęli półgębkiem rozmawiać, od czasu do czasu zerkając na przybyszeki. Dorian przywitał się z nimi, kłaniając się lekko. Sądząc po różnicy wieku i podobieństwie jednej i drugiej, najpewniej miał do czynienia z matką i córką. Młodsza była mniej więcej jego rówieśnicą, miała półprzymknięte oczy i uśmiechała się lekko, świdrując go wzrokiem. Starsza natomiast zerknęła nerwowo to na nią, to na rozmawiających w pobliżu księży; chyba nawet nie usłyszała jego powitania. Jej skóra miała o wiele bledszy odcień niż córki.

Wreszcie Kropidłowski i Szymon do nich wrócili. Proboszcz stanął przed młodszą z kobiet tak blisko, że zahaczało to niemalże o wkroczenie w przestrzeń osobistą. Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Witaj - powiedział uprzejmie. - Klaudia, prawda?

Ku zdziwieniu Dorianą twarz kobiety wykrzywiła się w grymasie nienawiści, lecz ona sama nic nie powiedziała. Zdawała się podchodzić do Kropidłowskiego z respektem. Skamieniała i nie odrywała od niego wzroku.

– Chodź. - Chwytał ją delikatnie za ramię i skierował w stronę wejścia na plebanię. Nie protestowała, choć sądząc po jej mowie ciała, była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. - Panią też zapraszam - zwrócił się do jej matki, a na sam koniec spojrzał na Dorianą i Szymona. - Przepróście ode mnie panią Irenkę. Nie czekajcie na mnie i idźcie jeść. Później do was dołączę.

Weszli w piątkę do środka, lecz zaraz się rozdzielili, kiedy Kropidłowski wprowadził kobiety do swojego gabinetu. Dorian patrzył za ich trojgiem, lecz zaraz zamknęły się za nimi drzwi.

– O co chodzi? - zapytał półgłosem.

– Córka tej pani ma problem natury... duchowej i trochę się martwią - odparł Szymon i westchnął. - Chciały porozmawiać z proboszczem.

– Duchowej? To znaczy?

– Prosiły o dyskrecję.

– Czyli mam nie pytać?

– Tak chyba będzie najlepiej.

Dorian uznał, że wypada to uszanować i nie drażnić tematu. Pomaszerowali do kuchni, w której roznosiły się smakowite zapachy. Pani Irena czekała na nich przy stole.

– No nareszcie! - zawołała. - Obiad wam stygnie! A proboszcza gdzieście zgubili?

– Powiedział, żeby się nim nie przejmować i zaczynać - odrzekł Szymon. - Przyszły jakieś panie i ma ważną rozmowę.

– Rozmowy... Ciągłe te rozmowy z ludźmi! - Westchnęła z życzliwą dezaprobatą, nalewając im po ogromnym talerzu zupy ogórkowej. - Zapracuje się nam ksiądz Ludwik na śmierć!

– Z dwojga złego chyba wolę sytuację, że jesteśmy zapracowani. Bo z tego wynika, że dla kogoś ma jeszcze znaczenie to, co wygadujemy z ambony - stwierdził Szymon. Skosztował specjału i zamruczał z rozkoszy. - Pani Irenko, wyśmie-ni-te!

– Dziękuję!

– Dzieło sztuki! Może pojechałaby pani ze mną na te rekolekcje? Mój żołądek nie przeżyje tej rozłąki!

– A tam, dzieło sztuki! - Pani Irena machnęła ręką, choć komplement wyraźnie sprawił jej przyjemność. - Tu mamy prawdziwego artystę! - Wskazała Doriana, który również pałaszował zupę i stwierdził, że Szymon nie przesadzał. - Pięknie dzisiaj ksiądz śpiewał! Co występ, to lepiej! Aż miałam ciarki.

– Nie śmiem rozstrzygać, czy mój talent muzyczny jest większy od pani talentów kulinarnych. Chyba jednak nie - odpowiedział ze śmiechem.

– Chyba jednak tak! - Pani Irena zrobiła łobuzerską minę. - Widziałam, że księdza największa fanka znowu go zaczepiła po mszy! A jak ksiądz grał i śpiewał, to nawet na sekundę rozmarzonych oczu od niego nie odrywała!

Dorianowi zrzęda mina, a kolejna łyżka zupy smakowała o wiele gorzej, bynajmniej nie dlatego, że dzieło pani Ireny nagle straciło walory.

– To aż tak widać? - zapytał.

– Największa fanka? - zainteresował się Szymon. - O co chodzi? Dorian westchnął głęboko.

– Kojarzysz Judytę ze scholi?

– Kojarzę. Taka blondynka?

– Tak.

– I co z nią?

Dorian spuścił wzrok. Nabrał następną łyżkę ogórkowej, by zaraz wylać jej zawartość z powrotem do talerza.

– Chyba się we mnie zakochała.

Szymon parsknął śmiechem.

– Uuu! Aż tak?

– Ładne dziewczę! Dla księdza jak znalazł! - zawołała pani Irena.

– Pani Irenko, hamujemy! - Szymon uniósł dłoń, po czym zwrócił się do Dorigana: -1 co ty na to?

– Nic, zrywam ją, jak mogę. Próbuje zaprosić mnie na kawę, ale kończą mi się wykręty.

– To może powinieneś powiedzieć jej wprost, żeby dała sobie spokój?

– Próbuję, myślę nad tym, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić, żeby nie stawiać siebie i jej w niezręcznej sytuacji. Jakoś wątpię, żeby potem dalej uczęszczała na próby, pojawiłyby się pytania o przyczynę tego, że już nie przychodzi, a stąd już tylko krok do katastrofy. Szkoda byłoby rozbijać taką fajną, zaangażowaną grupę młodzieży.

– A mnie wcale nie dziwi, że ona tak chce. Z księdza jest taki ładny facet! - Pani Irena wpatrzyła się w Dorigana kokieteryjnie z głową opartą na dłoniach. - Może warto się spotkać, skoro dziewczynie tak zależy?

– Pani Irenko! - Szymon nadal mówił uprzejmie, lecz w jego głosie dało się wyczuć kilka nut nagany więcej niż poprzednio. Staruszki jednak w ogóle to nie zraziło.

– A co w tym złego? - zapytała. - To tylko spotkanie. Rozmowa. Może urodzi się z tego przyjaźń. Przecież nie mówię, żeby od razu z dziewczyną za rękę chodził i miał z nią dziecko.

Dorian zakrztusił się zupą i pokazał, by Szymon klepnął go w plecy, co ten z rozbawieniem uczynił.

– Sama była pani młoda i wie, że jak takiej nastolatce da się palec, to czasem nawet cała ręka jej nie wystarczy - zauważył. - Byłbym z tym ostrożny.

– Chyba oleju w głowie jej nie brakuje? Uczy się w tym dobrym liceum na Staffa? Dobrze pamiętam? - Pani Irena spojrzała na Dorigana.

– Tak.

– Nie chodzi o to, czy ma olej w głowie, czy nie - dodał Szymon. - Nie warto kusić losu. Niekiedy lepiej zawczasu uciąć temat i mieć spokój. Ze złamanym

sercem jeszcze wpadnie na jakiś głupi pomysł. Na przykład taki, żeby się zemścić i kogoś fałszywie oskarżyć.

– A tam! - Pani Irena machnęła ręką. - Przesadzacie! Młoda jest, może za dużo fantazjuje, ale to nic złego. Kiedyś jej przejdzie.

– Co przejdzie? I komu?

Mięśnie brzucha Doriana napięły się jak struny i o mało znowu nie zakrztusił się zupą, kiedy do jadalni wkroczył Kropidłowski. Mina zrzędała również Szymonowi, a i pani Irenie uśmiech szybko zniknął z twarzy.

– A nic! Tak tylko sobie żartujemy! - powiedziała. - Nareszcie ksiądz jest! Zupa stygnie.

– Przepraszam za spóźnienie. Do kancelarii przyszły mama z córką i miały ważną sprawę.

– A jakąż to sprawa jest tak ważna, żeby przerywać księdzu obiad? - zainteresowała się pani Irena, napełniając chochlą jego talerz.

Kropidłowski milczał przez chwilę, wymieniając znaczące spojrzenia z Szymonem. Zasiadł do stołu.

– Takie tam. Nieważne.

\* \* \*

Dorian zadbał o to, by temat Judyty już nie wrócił, i sam go zmienił, chwalać rewelacyjne kazanie proboszcza, które dało mu wiele do myślenia. Przez resztę posiłku rozmawiali o zwykłych, codziennych sprawach, na przykład o popołudniowym wyjeździe Szymona na tygodniowe rekolekcje do Zakopanego.

Kiedy skończyli obiad, którego drugie danie - mielone z tłuczonymi ziemniakami i buraczkami - okazało się równie wyśmienite jak zupa, Dorian wrócił do swojej sypialni. Chciał powtórzyć sobie kazanie, choć w jego mniemaniu nie było nawet w połowie tak dobre, jak to, w którym proboszcz zawarł maksimum treści w minimum słów. Przede wszystkim, w przeciwieństwie do rozważań księdza Ludwika, proporcja tez do pytań była poważnie zaburzona na korzyść tych pierwszych. Należało to zmienić. W dobrej nauce chodzi o rozruszanie trybików ludzkiej moralności i o to, by wnioski z niej każdy wyciągał sobie sam. Wbrew

pozorom na niewiele kwestii da się spojrzeć zero-jedynkowo. Jak uświadomiła Dorianowi dzisiejsza homilia Kropidłowskiego - także na dobro i zło.

Zasiadłszy przed komputerem i otworzywszy plik tekstowy, usłyszał odgłos przychodzącego SMS-a. Sprawdził smartfona.

*Czytałeś mój artykuł w „Naprawdę”?:)*

Zacisnął usta. Nadawca wiadomości przysyłał mu ją w tym tygodniu już któryś raz. Dorian zignorował jego zaczepkę, tak jak za każdym poprzednim. Wpatrzył się w ekran i już położył dłonie na klawiaturze, gdy dobiegł go głos proboszcza.

– Czyli rozmawiałeś z ludźmi, którzy przypięli tę ulotkę?

Gabinet Kropidłowskiego sąsiadował z sypialnią Dorianą, w której było teraz uchylone okno. W pomieszczeniu obok najwyraźniej również.

– Tak - usłyszał głos Szymona.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Dorian znieruchomiał i choć nadal starał się skupiać na ekranie, mimowolnie nasłuchiwał,

– Nie wiedziałem, że powinienem. Ci państwo byli naprawdę zrozpaczeni - odparł Szymon. - Chciałem pomóc. Myślałem...

– Szymon, pomagać zawsze trzeba i jak najbardziej to pochwalam. Dlatego powinieś był mi powiedzieć - przerwał mu sucho Kropidłowski.

Dorian spojrział ze zdziwieniem na okno. Chyba jeszcze nigdy nie słyszał u proboszcza takiego tonu.

– No tak, ale... - wymamrotał Szymon. - Nie rozumiem. Ksiądz nie pozwoliłby im przypiąć tej ulotki?

– Pozwoliłbym, oczywiście. Nie o to chodzi. Mówili coś więcej?

– Nie. Tylko zapytali, czy mogą zawiesić, a potem od razu poszli. Mieli przy sobie jeszcze sporo takich ulotek do rozwieszenia.

– Na pewno? Nie pytali o mnie? Nie chcieli ze mną rozmawiać?

– Nie, nic o księdzu nie wspominali. Dlaczego ksiądz o to pyta? To jacyś znajomi?

Przez jakiś czas w gabinecie panowała cisza, lecz Kropidłowski w końcu odezwał się ponownie. Jego głos był trochę głośniejszy niż przed chwilą, jakby podszedł do okna.

– Jak sądzisz, z czym teraz kojarzymy się najbardziej? My, księża. Tak szczerze. Mówisz: „ksiądz”, i jakie skojarzenie nasuwa się ludziom jako pierwsze?

– Skąd to pytanie? - W głosie Szymona dało się słyszeć zdziwienie.

– Odpowiedz, proszę.

– Podejrzewam, że oczekuje ode mnie ksiądz odpowiedzi, że ma się nas za zboczeńców, ewentualnie za powiązaną z władzą i służbami bezkarną kastę i mafię hipokrytów, która nic nie robi, tylko zarabia na wiernych, zagląda ludziom do łóżek, umoralnia ich na siłę, kryje kolegów i przenosi najgorszych zwyrodnialców z parafii do parafii. Ale, z całym szacunkiem, nadal nie widzę, co to ma do rzeczy.

– To, że opinia o kapłanach, jako ogóle, jest bardzo zła, najgorsza od dawna. Dlatego musimy dokładać wszelkich starań, by pokazać, że w rzeczywistości nie jest z nami tak źle, jak wtłacza się ludziom do głów. Że są na tym świecie również tacy, którzy pełnią posługę z powołania, wierzą w jakieś wartości. Kiedy w innych parafiach wykrywa się kolejne łajdactwa, my musimy być białą plamą na mapie, rozumiesz? Na zło odpowiadać dobrem.

– Ale przecież właśnie to zrobiłem...

Kropidłowski cmoknął ze zniecierpliwieniem.

– Próbuję ci powiedzieć, że przy takich sprawach musimy być bardzo delikatni. Zwróć uwagę: wieszamy na tablicy ogłoszeń ulotkę o zaginionym chłopcu, kiedy po drugiej stronie ulicy, na okładce gazety, patrzy na nas drugi, krzywdzony przez kapłana.

Dorian mimowolnie spojrział na swój telefon.

– Jakie skojarzenia wywoła to w ludziach? - ciągnął proboszcz. - Przyjdą na mszę, najpierw zobaczą tego na okładce, a potem drugiego u nas. Co sobie pomyślą? Dlatego bardzo cię proszę: gdyby ci albo inni państwo przyszli tu znowu w podobnej sprawie, natychmiast odeślij ich do mnie. Pomogę im, jak umiem, jeżeli będzie trzeba, wyjdę z siebie, ale trzeba to robić z głową.

– Rozumiem. I przepraszam. - Szymon brzmiał tak, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale gryzł się w język.

– Nie ma sprawy.

Tym razem cisza między nimi przeciągnęła się do kilkunastu sekund i jako pierwszy przerwał ją Szymon:

– Czyli w przypadku tych pań postąpiłem dobrze, że skierowałem je do księdza?

– Bardzo dobrze - odpowiedział Kropidłowski. - Ale i tak jedyne, co na ten moment mogłem im doradzić, to żeby poszły do psychiatry. - Trochę zmienił mu się głos. Teraz był bardziej zasępiony.

– Do psychiatry? - zdziwił się Szymon.

– Tak. Zgodnie z procedurami. Musi wykluczyć u niej chorobę psychiczną. Takie są wytyczne, że najpierw lekarze, a potem kapłani.

– To ksiądz... Przepraszam za wyrażenie, ale lepszego nie znajdę. Ksiądz nie potrafi tego wyczuć?

– Jestem egzorcystą, Szymon - odpowiedział surowo Kropidłowski. - Nie jasnowidzem czy medium.

Dorian nie usłyszał nic więcej, bo po tym stwierdzeniu ktoś, najpewniej proboszcz, zamknął okno w gabinecie.

# R O Z D Z I A Ł    I I

Po mniej więcej godzinie pracy Dorian uznał, że nic ciekawszego z siebie nie wykrzesze. Zapisał ostateczną wersję dokumentu, zgrał ją na pendrive'a i poszedł do kancelarii wydrukować. Miał jeszcze trochę czasu do mszy, toteż postanowił ponownie przećwiczyć na gitarze piosenkę, którą planował niedługo nagrać.

Idąc z duchem czasu, dwa lata wcześniej założył kanał na YouTube. Zamieszczał tam nagrania, na których grał i śpiewał najpiękniejsze pieśni kościelne. Zebrał już całkiem sporo słuchaczy - ponad pięć tysięcy subskrypcji, a statystyki odtworzeń w okolicach sześciocyfrowych liczb. Komentarze? Wyłącznie pozytywne, niektórzy internauci wręcz przekonywali go, by z takim talentem wokalnym dołączył do jakiegoś zespołu, niekoniecznie wykonującego muzykę chrześcijańską.

*Łał! Śpiewasz jak Chester Bennington! Ciekaw jestem, czy tak samo krzyczysz - przeczytał swego czasu pod jednym ze swoich filmików.*

Sam był tego ciekaw. Marzył o tym, by nauczyć się śpiewać trochę ciężiej, nawet poczynił ku temu pewne kroki, oglądał filmiki instruktażowe, konsultował się ze specjalistami, ale nigdy nie wychodziło mu to tak, jak by chciał. Na domiar złego na plebanii nie miał zbyt wielu okazji do ćwiczeń. Przeczuwał, że proboszcz nie podszedłby ze zrozumieniem do wrzasków dochodzących z pokoju jednego z wikariuszy, zwłaszcza w godzinach, w których przyjmował parafian.

Kobiety z kolei często pisały komentarze w stylu: *Szkoda, że nie pokazujesz twarzy...;) Jak wygląda ktoś z takim głosem?*



A i owszem - nie pokazywał twarzy. Na uroczystościach kościelnych zaś jak ognia unikał zdjęć. W żadnym wypadku nie dlatego, że miał kompleksy. Chodziło o coś innego. Coś, co od biedy również można było nazwać strachem przed karą.

Usiadł na łóżku i zaczął grać *Panie, proszę, przyjdź*.

W tym samym czasie obok jego pokoju przechodziła pani Irena. Usłyszawszy muzykę, pomaszerowała do kuchni i przyniosła krzesło. Ustawiła je naprzeciwko drzwi do sypialni Doriana, dbając, by zrobić to jak najciszej. Korytarzem przeszedł Szymon i spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale przytknęła palec do ust i machnęła ręką, aby nic nie mówił i nie przeszkadzał. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, zastosował się jednak do niemego polecenia gospośi.

Wsluchiwała się w głos Doriana i zamknęła oczy, uśmiechając się błogo. Obcowanie z jego muzyką było jak miód na jej serce. Dosłownie. Ostatnio miała z nim problemy i często dokuczały jej piekące bóle pod mostkiem.

\* \* \*

Kiedy wybiła dziewiętnasta, Dorian wziął szybki prysznic, przebrał się w zwykłe ubranie i wyszedł z plebanii, po raz kolejny błogosławiąc fakt, że Kropidłowski dawał wikarym pełną swobodę, jeżeli chodzi o spędzanie czasu wolnego, i zbytnio się nim nie interesował. Dopiero kiedy odszedł od kościoła na stosowną odległość, włożył czapkę z daszkiem i naciągnął ją sobie nisko na czoło. Upewniając się, czy nikt go nie obserwuje, wsiadł do tramwaju i pojechał w kierunku Mokotowa. Zamierzał dotrzeć w okolice pewnego bloku mieszkalnego, który odkrył zimą mniej więcej półtora roku wcześniej, niedługo po rozpoczęciu posługi w parafii pod wezwaniem świętego Benedykta. Bloku, pod który od tamtej pory wracał niemal codziennie.

Zaczęło się od czystego przypadku. Pamiętał go ze wszystkimi szczegółami, jakby wydarzyło się to ledwie wczoraj. To właśnie wtedy, przed półtora roku, spacerując w centrum Warszawy, minął się z bardzo ładną brunetką. Choć było ciemno, natychmiast ją rozpoznał i stanął jak wryty. Ona jednak nie zwróciła na niego uwagi. Zbytnio pochłaniała ją rozmowa z córeczką - mniej więcej dwuletnią dziewczynką, którą wiozła w spacerówce.

Pamiętał, jak wtedy odprowadzał je wzrokiem, dopóki nie zniknęły za rogiem, a w myślach czynił niezgrabne obliczenia. Kiedy wyszedł mu z nich taki, a nie inny wynik, zapomniał o pierwotnym celu swojej przechadzki i z niewidzialną pętlą zaciśniętą na gardle ruszył za tymi dwiema, starając się obserwować je z oddali. W ten sposób odkrył, że mieszkały na Mokotowie, bezpiecznie daleko od Bielan. Takiego określenia użył w myślach już tamtego dnia - b e z p i e c z n i e d a l e k o . Wrócił na plebanę, lecz cały wieczór spędził na gorączkowych rozważaniach, leżąc na łóżku i gapiąc się w sufit, w nocy zaś nie mógł zmrużyć oka i przewracał się z boku na bok. Wmawiał sobie, że to przecież nie musi nic znaczyć, że to zbieg okoliczności albo że się pomylił i to nie ta kobieta.

Chciał o tym zapomnieć, wyrzucić to z głowy, lecz natarczywe myśli nie dawały mu spokoju. Musiał się upewnić. Uległ pokusie i jakiś czas potem ponownie wybrał się w tamtą okolicę. Usiadł na ławce w parku po drugiej stronie ulicy i czekał kilka godzin, gapiąc się tępo w drzwi klatki schodowej. Miał szczęście. Kobieta z dziewczynką w końcu się pojawiły, a on podążył za nimi. Tym razem skupił się na twarzy małej, szukając w niej podobieństw, lecz nie potrafił stwierdzić, czyje rzeczywiście dostrzega, czy tylko sobie dopowiada; zresztą utrudniały to półmrok zimowego popołudnia oraz gruba kurtka, czapka i szalik dziewczynki. Śledził je, nie wiedząc, po co to właściwie robi. Mama zabrała małą do centrum handlowego. On natomiast szedł za nimi, starając się pozostać niezauważonym i wszystko dobrze widzieć. Nie mógł oderwać spojrzenia od tej ślicznej, roześmianej buzi.

Następna eskapada pod rzeczony blok odbyła się kilka dni później, kiedy obmyślił wystarczająco dobry plan. Tym razem, kiedy brunetka i jej córka stamtąd wyszły, nie poszedł za nimi, tylko dostał się na klatkę schodową, korzystając z zepsutych drzwi. Na tym jego szczęście się nie skończyło, bo w korytarzu przy wejściu spotkał jakąś starszą kobietę.

– Przepraszam, nie wie pani może, pod którym numerem mieszka Ewa?

– Ewa...? - Staruszka lekko uniosła brwi. - Przepraszam, ale nie kojarzę takiej osoby.

To oznaczało, że Dorian paradoksalnie miał szczęście potrójne. Przeszedł do ataku.

– Taka ładna brunetka z małą córeczką.

– Ach, ta pani! - Twarz kobiety się rozpromieniła. - Pod dziewiątką.

– Dziękuję pięknie! Miłego dnia! - Pokłonił się i ruszył na górę. Tak naprawdę nie wierzył w szczęście jako takie i utożsamiał sprzyjające zbiegi okoliczności z działalnością czegoś ponad. Boga, kosmosu, wszechświata, jak zwał, tak zwał. A to nie mógł być przypadek, że kluczową informację uzyskał od wiekowej kobiety mieszkającej na parterze i niekojarzącej Ewy z imienia. To oznaczało, że nie żyły w zbyt bliskiej sąsiedzkiej komitywie i gdy kiedyś miną się na klatce, starsza pani prawdopodobnie nawet nie poruszy tematu nieznanego wypytującego o młodą matkę z dzieckiem.

Dotarł na piętro z mieszkaniem numer dziewięć i zadzwonił do drzwi, mając gorącą nadzieję, że ktoś mu otworzy, najlepiej mężczyzna. Nawet przygotował kwestię na tę okazję, aby uwiarygodnić, co tu właściwie robi. Coś w stylu: „Czy nie miałby pan ochoty porozmawiać o Biblii?”. Miał wystarczającą wiedzę na ten temat, by w razie odpowiedzi twierdzącej skutecznie udawać.

Nic z tego. Nie musiał grać. Nie musiał nic mówić. Nikt nie otworzył mu drzwi.

Zezłościł się, a gwałtowność tej reakcji zaskoczyła nawet jego samego. Rezultat próby nadal niczego nie rozstrzygał. Zresztą, uświadomił sobie, nie rozstrzygnąłby, nawet gdyby ktoś mu otworzył i wprost przedstawił się jako ojciec dziewczynki. Nic a nic.

Wtem Doriana ogarnęło wrażenie, że postąpił bardzo nierozsądnie, że nie powinien tutaj przychodzić, a już tym bardziej nie powinien wypytywać o Ewę sąsiadów. Czym prędzej zbiegł po schodach, opuścił blok i wrócił na plebanię, do samego końca oglądając się, czy nikt go nie obserwuje. Doznał paranoi, że wszyscy wokół podejrzliwie mu się przyglądają, że osoby obsługujące miejski monitoring natychmiast zwrócą na niego uwagę, domyślą się, o co chodzi, i powiadomią o wszystkim proboszcza, kurię albo - co gorsza - Ewę. Potem nieco się uspokoił, ale i tak usunął z YouTubea nagrania, na których pokazywał twarz, z Facebooka zaś wszystkie zdjęcia, a także zmienił imię i nazwisko na swoim profilu - Dorian Wach - na lakoniczne „Do Wa”. Poczul się bezpieczniej, ale głupie myśli nie opuszczały go do kolejnego wypadu pod blok Ewy. Prawdę mówiąc, nie opuszczały go z mniejszym bądź większym natężeniem do dziś.

Nie wytrzymał zbyt długo i udał się tam już po kilku dniach. Tym razem nie zobaczył Ewy i dziewczynki, choć stał w ukryciu na mrozie bite kilka godzin. Nie poddał się jednak i pojechał na Mokotów również dzień później. Zobaczył je, wyszły na kolację w mieście. Poczul ulgę. Jak gdyby wcześniej podświadomie się

obawiał, że mogło im coś się stać. Jakby przepadły bez wieści na jeden bity dzień. Niby niewiele, ale jaki mąż i ojciec w takiej sytuacji zachowałby spokój...?

Pokręcił głową nad absurdem swoich myśli.

Poszły do jakiejś taniej restauracyjki. Dorian uważnie przyjrzał się posiłkowi dziewczynki i choć nadal nie widział sensu w swoich poczynaniach, zapisał go sobie w telefonie. Zapamiętał z tamtego dnia również to, że mała pobrudziła twarz sosem. Ewa próbowała ją wytrzeć, podczas gdy jej córka z premedytacją kręciła głową, starając się to utrudnić. Parsknął wówczas śmiechem, choć był to jeden z najdziwniejszych odgłosów, jakie wydał w życiu. Niby wesoły, lecz znacznie więcej kryło się w nim smutku i niepewności.

Następnym razem z kolei zanotował sobie ze szczegółami rodzaj i kolor ubranka dziewczynki. Jeszcze później sposób, w jaki miała związane włoski. Z czasem dowiadywał się o niej coraz więcej.

Natomiast jej imię - Gosia - poznał relatywnie późno, bo dopiero po miesiącu. Ewa zwróciła się tak do córeczki podczas rozmowy i na szczęście zdołał to dosłyszeć. Natomiast kiedy ją strofowała, obowiązywała wersja „Małgorzata”.

Po kilku miesiącach nabrał pewności, że Dziewczyny (jak ochrzcił je w myślach) nie mają mężczyzny, który odgrywałby w ich życiu rolę partnera i ojca. Żaden z nimi nie mieszkał, Dorian nigdy nie zobaczył, by jakikolwiek im towarzyszył, gdy wychodziły z domu. Nigdy nie zobaczył też, by spotkały się z jakimś w mieście, nawet starszym, który mógłby być na przykład dziadkiem Gosi. Tak naprawdę nigdy nie zarejestrował, by spotykały się z kimkolwiek. Spędzały czas tylko we dwie. One dwie i on, śledzący je z oddali, jeżeli akurat sprzyjał mu los i udało mu się dotrzeć pod ich blok właściwego dnia o właściwej porze.

Pierwsze pieniądze podrzucił im kolejny miesiąc później. Sto złotych. Do dziś było mu wstyd z powodu tej kwoty, która w Warszawie znaczyła tyle, co nic. Począł, aż znowu wyjdą z domu, cichaczem wszedł na klatkę schodową, wcisnął banknot do skrzynki na listy i natychmiast uciekł. Potem powtórzył tę sekwencję jeszcze wiele razy, jeżeli akurat udało mu się zaoszczędzić trochę więcej. Na szczęście nie zdarzyło się, by ktokolwiek, choćby sąsiad, go na tym przyłapał. Nie zauważył różnicy w zachowaniu Dziewczyn, odkąd zaczął podrzucać pieniądze. Podczas spacerów nie zaczęły nagle się rozglądać; nie usłyszał też, by o tym rozmawiały.

Dziś poszły na plac zabaw, korzystając z ostatniej godziny dnia, choć słońce skryło się już za wysokimi blokami. Ewa tradycyjnie usiadła z książką na ławce, natomiast Gosia obskoczyła wszystkie obiekty, w tym huśtawkę, na której w mniemaniu Doriana kołysała się trochę za wysoko i zbyt brawurowo jak na jej wiek. Kusilo go, by zwrócić jej na to uwagę, ale nie miał odwagi choćby otworzyć ust. Jak podczas każdego „spotkania” z Dziewczynami jedyne, na co mógł się zdobyć, to stanie, gapienie się i liczenie na nie wiadomo co. Wściekał się z tego powodu. Nie tylko na swoją bierność. Także na jej brak kilka lat temu podczas imprezy w klubie, już po tym, jak został wyświęcony na diakona, gdy spotkali się z Ewą po raz pierwszy. I ostatni, jeżeli brać pod uwagę, że oboje byli tego spotkania świadomi.

Trochę się wtedy napił i zgubił znajomych, którzy najpewniej opuścili lokal bez niego. Ewa zaczepiła go, rozmawiało im się tak dobrze, jakby znali się od lat. Ani się obejrzał, jak ją obejmował. Dotykał, gdzie chciał, miażdżył jej usta, a ona mu na to pozwalała, mało tego - prosiła o więcej. Sama też dawała wiele od siebie, całowała go tak namiętnie, że przegryzła mu wargę i blizna po tym pozostała mu do dziś. Czuł jej zapach, ciepło słodkiego oddechu i dotyk biustu, który przyciskała do jego klatki piersiowej. Przestał logicznie myśleć, zapomniał o czymś tak przyziemnym jak celibat, górę wziął zwierzęcy instynkt. Zaciągnął Ewę do toalety i zrobili to na stojąco. Skończył w niej i kiedy momentalnie zeszło z niego napięcie, pojął, co się stało, co zrobił, choć obowiązywały go inne reguły niż zwykłego mężczyznę. Miał mętlik w głowie, nie wiedział, jak zareagować, co właściwie powiedzieć. Wtedy również zadziałał instynktownie. Po prostu wciągnął spodnie i uciekł, zostawiając Ewę w tej brudnej ubikacji. Nigdy się z tego nie wypowiadał. O tej przygodzie i jej skutkach, oprócz obojga zainteresowanych, wiedziała tylko jedna osoba, niezwiązana z Kościołem. Ktoś, z kim po każdym takim wypadzie miał wielką ochotę się spotkać.

Kiedy Dziewczyny wracały z placu zabaw, „odprowadził” je do domu. I jak zawsze, kiedy zniknęły mu z oczu, kiedy zamknęły się za nimi drzwi na klatkę schodową, czuł coś w rodzaju zawodu, że to już koniec, przynajmniej na dziś. I jak zwykle, jeżeli chodzi o jego nastrój, kończyło się gorzej niż przed przyjściem tutaj. Taka tradycja. Pustka i ciężar w żołądku. Niepewność i strach. I złość. Dużo złości i poczucia winy.

Zgarbił się, włożył ręce do kieszeni i powlókł się w kierunku najbliższego przystanku komunikacji miejskiej, kopiąc prawie każdy kamień, jaki akurat nawinął mu się pod stopę.

W którymś momencie minął grupę dresiarzy pijących piwo na ławeczce w parku.

– Ja bym te wszystkie kurwy w sutannach zawczasu sterylizowałem! - usłyszał mściwy głos jednego z nich. - Wszystkich bez wyjątku! Na wszelki wypadek. W seminarium powinno im się odcinać jaja, i cześć. No bo tak na logikę, po co im one? - Pociągnął łyk piwa. - Już od dawna nie wpuszczam żadnego z tych pasożytów po kołędzie! Moja matula kręci nosem, ale jej wybaczam. Starej daty jest i ma już wyprany mózg. Nic jej nie pomoże.

– Do mnie przyszedł w tym roku jakiś nowy, to wpuściłem go dla beki - odpowiedział drugi. - Stoję grzecznie, facio rozpoczyna modlitwę, a ja w pewnym momencie zacząłem robić tak. - Uniósł ręce i zaczął wyc, przeplatając to z bełkotem, przy aplauzie śmiechu swoich kumpli. - A potem powiedziałem uprzejmie, że w tym domu króluje tylko Szatan, i kazałem mu wypierdalać! Uciekał w podskokach.

Dorian przyspieszył kroku, mając nadzieję, że nie będzie to wyglądać zbyt podejrzanie, i za wszelką cenę starał się odciąć od dalszej części rozmowy.

Kiedy w podłym humorze dotarł na przystanek, zadzwonił jego telefon. Na ekranie zobaczył napis: „Hubert”. Westchnął, wpatrując się w wyświetlacz i walcząc z pokusą, żeby nie odbierać. Zaraz jednak przeciągnął palcem po zielonej słuchawce i przyłożył smartfona do ucha. Przeszedł na sam koniec przystanku i odwrócił się tyłem do nielicznych ludzi, którzy czekali na tramwaj.

– Jesteś strasznie uparty - wycedził zamiast powitania.

– Cześć, Dorko! No bo nie odpisujesz mi! Czytałeś czy nie? -zapytał niewinnie Hubert.

– Nie i nie zamierzam. Wystarczy mi sama okładka. Jeżeli poprawi ci to humor, mój proboszcz też już ją widział i bardzo mu się nie spodobała.

– Mówisz? Ona i hasło na niej to też mój pomysł. - Nawet przez telefon dało się wyczuć, że Hubert wprost kipi z dumy. - Naczelny był zachwycony.

– Świetnie, gratuluję sukcesu! Takie tabloidowe bazowanie na emocjach i najniższych instynktach na pewno sprawia, że gazeta świetnie się sprzedaje -

powiedział z gorzką ironią Dorian, ale Hubert nie dał się sprowokować.

– Dlaczego nie odpisujesz na SMS-y starego kumpla?

– A po co je piszesz? I dlaczego prawie zawsze dotyczą jednego tematu?

– Po prostu chcę, żebyś wiedział, co dzieje się w twoim środowisku.

– Dziękuję za troskę, ale wiem, co dzieje się w moim środowisku, o wiele lepiej od ciebie. Coś jeszcze? - odpowiedział zimno Dorian.

– Aleś się nadał... - Hubert westchnął. - No weź, naprawdę obraziłeś się za ten artykuł? Przecież nie pisałem o tobie ani o księżach z twojej parafii... Przynajmniej mam taką nadzieję.

Dorian zamknął oczy i potarł palcami brwi. Już po tym, jak zakończył dzisiejsze „spotkanie” z Dziewczynami, czuł się wypruty z energii, lecz teraz intensywność tego stanu co najmniej się podwoiła.

– Hubert, błagam cię, wyświadcz mi przysługę i nie rób ze mnie durnia! Nie wierzę, że nie znasz mechanizmu powstawania stereotypu. I konsekwencji, jakie potem z niego wynikają.

– Gdyby Kościół nie miał na koncie brudów, tobym o nich nie pisał. Gdyby kapłani nie krzywdzili dzieci, a ich szefowie potem nie przenosili ich do innych parafii...

– Widzisz? - przerwał mu Dorian. - Widzisz, co się dzieje? Nawet teraz uogólniasz. „Gdyby kapłani nie krzywdzili dzieci”. Nawet to zdanie w domyśle wrzuca wszystkich do jednego worka. Ja krzywdzę dzieci? A może mój proboszcz? I jakiego to pedofila przeniósł do innej parafii biskup w mojej diecezji? Chętnie się dowiem.

– W twojej może nie, ale to nie znaczy, że to zjawisko nie występuje w innych.

Dorian westchnął.

– Występuje, owszem. Ale dalej nie rozumiesz, co do ciebie mówię. A może nie chcesz rozumieć. Przez lata tolerowałem twoje docinki, nie reagowałem, gdy wypuszczałeś kolejne teksty, które przedstawiały nas w jak najgorszym świetle, przemilczając pozytywną działalność. Nie wiem, jaki masz w tym cel, może ktoś ci każe, może robisz to sam z jakiegoś uprzedzenia, może z innego powodu. Ludzie zaczynają nas nienawidzić, wszystkich, także tych niewinnych, którzy nie mają nic na sumieniu i chcą tylko pomagać innym. Nie będę udawać, że tego nie zauważam i że mnie to nie dotyka. I nie będę udawać, że sprawia mi przyjemność znajomość

z dziennikarzem, który non stop atakuje Kościół. Nawet jeżeli znam go większość życia.

Hubert milczał przez moment.

– Zrobiło się poważnie. Słyszę, że dla dobra naszej znajomości wskazane jest, żeby trochę cię udobruchać - powiedział w końcu.

– Nie uda ci się to. Czasem trzeba powiedzieć „dość”.

– Mimo wszystko spróbuję. Co powiesz na to, by omówić różnice zdań przy kilku głębszych i spróbować dojść do konsensusu? Masz wolny wieczór?

– Mam wolny wieczór, ale nie mam ochoty. Gdyby mój proboszcz dowiedział się, że się z tobą zadaję, że nawet teraz rozmawiamy, miałbym kłopoty.

– No weź! Obiecuję, że na razie zostawiam Kościół w spokoju. Mam inny, lepszy temat.

– To super - odpowiedział bez entuzjazmu Dorian.

– Sam głosisz z ambony, że najważniejsze są zgoda i miłość do bliźniego. A ja nie chcę, żeby były między nami jakieś kwasy. Wyjaśnijmy sobie wszystko w jakimś przyjemnym miejscu. Ja stawiam. Jesteś na plebanii?

Dorian sprawdził godzinę. Jak na złość jutro miał wolny dzień, taką „niedzielę” dla kapłanów. Nie chciał po raz kolejny dzisiaj skłamać.

– Nie, na Mokotowie - odparł.

– O, a co tam robisz o tej porze?

– Nie twoja sprawa.

Hubert parsknął śmiechem.

– Dobra, nie wnikam. To spotkamy się czy nie? Jeżeli tak bardzo zależy ci na dyskrecji, możemy jechać nawet na Wawer. Znam tam fajny, kameralny pub.

Dorian ponownie westchnął.

– Spotkamy. Ale tylko przez wzgląd na to, co głoszę z ambony.

– Super! Niech ci Bozia w dzieciach...

– Hubert!

– Żartuję! Gdzie jesteś?

Dorian sprawdził tabliczkę na wiacie.

– Na Puławskiej, przy przystanku tramwajowym Królikarnia zero-cztery.



– OK. - Głos Huberta stał się nieco cichszy. - W takim razie, jeżeli Uber nie robi mnie w konia, oczekuj niebieskiej skody fabii z niejakim Antonem za kierownicą za trzy minuty.

\* \* \*

Kiedy Dorian dojechał na miejsce, Hubert czekał na niego pod pubem o nazwie Forteca, pałac papierosa. Uścisnęli sobie ręce i już mieli wejść do środka, gdy nagle dziennikarz złapał go za ramię i wskazał pobliskie billboardy.

– Kojarzysz tego pana?

Wskazywał reklamę napoju izotonicznego. Produkt firmowano twarzą Dawida Volkodlaka, największej gwiazdy sportów walki w Polsce. Ze swoją urodą modela rodem z okładek powieści dla kobiet - z sylwetką gladiatora, gęstą, krótką brodą, czarnymi włosami, zaskakująco prostym jak na zawodowego fightera nosem i przede wszystkim charakterystycznymi jasnoniebieskimi oczami, których kolor idealnie zgrywał się z barwą napoju - nadawał się do tej kampanii jak nikt inny.

– Volkodlaka? - odpowiedział Dorian. - Oczywiście.

– W takim razie zdradzę ci, i teraz to ja liczę na dyskrecję, że niedługo zrobi się o nim głośniej.

– To jest ten nowy temat?

– A tak, wziąłem go sobie na tapet.

Weszli do pubu. Rzeczywiście był kameralny, dosłownie kilka stolików na krzyż. Połowa z nich była zajęta.

– Czego się napijesz? - zapytał Hubert.

– Sok porzeczkowy. Sam, bez alkoholu.

– No wiesz? Nie rób mi tego. Picie w samotności to pierwszy krok do alkoholizmu! Takie bez toastu też.

– Sok. Bez alkoholu - powtórzył Dorian. - Idę zająć miejsce.

Znalazłszy wolny stolik, usiadł i rozejrzał się po lokalu. Napotkał wzrok bardzo atrakcyjnej dziewczyny, która siedziała z głośnym towarzystwem kilka metrów dalej. Uśmiechała się do niego. Podobał mu się, a jakże! Tylko co z tego? Nie odwzajemnił uśmiechu i odwrócił wzrok.

Hubert postawił przed nim szklanekę z sokiem. Sobie zaś przyniósł whisky z colą.

– Co przeskrobał Volkodlak? - zapytał Dorian.

Hubert uśmiechnął się z satysfakcją, jakby spodziewał się tego pytania.

– Rozczarowujesz mnie, Dorko. Znasz taki cytat, że wielcy ludzie rozmawiają o ideach, przeciętni o zdarzeniach, a mali o innych ludziach?

– I kto to mówi? Ty piszesz wyłącznie o innych ludziach.

– Bo małych jest najwięcej, a zarabiać trzeba. Odpowiadamy na zapotrzebowanie rynku. W każdym razie wybaczone, ale więcej na temat Volkodlaka powiedzieć nie mogę. Tylko tyle, że ma bardzo ciekawą przeszłość.

– Zdepczesz go jak robala?

– Tam od razu zdepczesz - odparł lekceważąco. - Postawię tylko kilka ważnych pytań, na które opinia publiczna powinna poznać odpowiedź. Chyba zgodzisz się, że ktoś taki musi być nieskazitelny. Idol, inspiracja dla młodych, ambasador Polski na świecie.

Dorian przewrócił oczami.

– Nie męczysz cię to? Non stop babrzesz się w brudach.

– Nie. Uwierzyć, to bardzo satysfakcjonujące zajęcie. Coś jak walka ze złem. A przy okazji dobrze się sprzedaje i gazeta ma tyle forsy, że nie wie, co z nią robić. Dla przykładu: szef ostatnio zafundował nam nowe zajebiste laptopy służbowe. Podobno tak dobrze zabezpieczone, że ani służby, ani hakerzy nie będą w stanie się do nich włamać. Wymarzona zabawka dla dziennikarza śledczego.

– To super - odpowiedział bez entuzjazmu Dorian, który kupując nowy komputer, zawsze wybierał najtańszy.

– Taka praca. Ktoś musi pokazywać świat taki, jaki jest naprawdę.

– Według ciebie jest taki, żeby pokazywać wyłącznie jego ciemne strony?

– A według ciebie jest taki, żeby pokazywać wyłącznie dobre? - odpowiedział spokojnie Hubert.

– Chodzi mi o pewien balans i uczciwość w perspektywie. To nie jest kwestia, którą można opisać czarno-biało. Tymczasem twoja gazeta pisze tylko o złych rzeczach i ludzie gotowi są uwierzyć, że tak wygląda rzeczywistość.

Hubert parsknął śmiechem.

– Uczciwość? Jesteśmy bardzo uczciwi! To właśnie my wyrównujemy balans!

– Chyba sobie kpisz.

– Wyjaśnię ci to od podstaw, Dorko. Zwróć uwagę: najczęściej jest tak, że gdy dzieje się w naszym życiu coś dobrego albo uda się nam coś osiągnąć, chwalimy się tym. Eksponujemy to, niezależnie, czy mówimy o celebrytach, czy o zwykłych ludziach. No tak czy nie?

– Powiedzmy.

– Tymczasem gdy coś nam nie wyjdzie, gdy dzieje się w naszym życiu coś złego albo co gorsza, sami do tego doprowadzimy, zatajamy to. Jeżeli ktoś nie będzie drażyć tematu, nigdy się tego nie dowiesz. Gdy poznasz nową osobę, nie przyzna ci się, że kiedyś na przykład jebnęła pieszego na pasach. Gdy para się kłóci, nie wywleka tego w mediach społecznościowych, a wstawia słodko pierdzące zdjęcia jedynie wtedy, gdy jest dobrze. Status, wersję oficjalną, dla postronnych. - Pociągnął łyk ze swojej szklanki. - Możemy nawet zrobić eksperyment myślowy na sobie. Masz jakiś sekret, o którym nikt albo prawie nikt nie wie? Nie musisz mówić jaki. Tylko czy masz.

Dorian pomyślał o Ewie i Gosi.

– Mam.

– I niech zgadnę: to nie jest coś, czym możesz się szczycić. Raczej jakiś występki, wstydlawy grzeszek albo coś większego.

– Tak.

– Widzisz? - Hubert rozłożył ręce. - Ja też mam. Każdy ma. To reguła, element naszej rzeczywistości. Coś, czego nie można przemilczeć. A mimo to nikt o takich rzeczach nie mówi. W pewnym sensie oszukuje się otoczenie, pokazuje się publicznie lepszą wersję siebie. Zresztą - machnął ręką - nie ma sensu się nad tym rozwodzić, skoro sam wiesz najlepiej, że w gruncie rzeczy ludzie są gorsi, niż widać na pierwszy rzut oka.

– Niby skąd?

Hubert spojrział na niego z politowaniem.

– Nie spowiadasz ich? Przecież zdradzają ci swoje największe mroczne sekrety. Często takie, o których nie wie nikt inny. Czasem ci zazdroścę. Jako jedyny wiesz o wszystkich ludzkich brudach, i to jako kompletnie obcy dla nich facet. Do

tego mówią ci to sami, z własnej woli! Ile bym dał, żeby mieć podobne możliwości! Bardzo ułatwiłyby mi pracę.

Dorian zawahał się nad odpowiedzią, a Hubert, niczym wytrawny prowadzący program publicystyczny, wyprowadził kolejny cios:

– A widzisz! Nie mam racji? Sukcesami i dobrymi uczynkami się chwalimy, zło z naszym udziałem zatajamy i często nikt o nim nie wie. Czy to nie oszustwo? Dlatego właśnie potrzebne są na tym świecie takie gnidy jak ja, które sprawiają, że równowaga w przyrodzie zostanie zachowana i wszyscy dowiedzą się również o drugiej stronie medalu.

– Pytanie, czy od tego świat staje się lepszy.

– Zajeście dobre pytanie, mój drogi. - Hubert wycelował w niego palcem. - No bo zobacz: w pewnym sensie ty i ja trudnimy się podobnym syfem. Jak mniemam, poszedłeś do seminarium, żeby walczyć ze złem. Uświadamiać je ludziom, zmieniać ich na lepsze.

– Można tak powiedzieć - odpowiedział Dorian, choć nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie jest do końca szczery, i co najdziwniejsze: sam nie wiedział, z czego to wynikało.

– Zawód dziennikarza śledczego jest właściwie podobny. Mamy taki sam cel. Zmierzamy do niego różnymi drogami, ale jednak.

– Nie powiedziałbym, że to taka prosta analogia, ale z grubsza mogę się zgodzić.

– Cieszę się. Nie nachodzą cię czasem myśli, że to bez sensu i że pewna formuła się wyczerpała?

Dorian mimowolnie skrzyżował wzrok z dziewczyną przy stoliku obok. Była przepiękna. Zerknęła na niego i mrugnęła. Szybko odwrócił spojrzenie i na szczęście Hubert niczego nie zauważył.

– Nie - odparł. - Dlaczego?

– Dlatego, że na świecie nic się nie zmienia. My wywlekamy kolejne afery i łajdactwa, a łajdaków i afer nie ubywa. Wy nauczacie ludzi, próbujecie ich nawracać, a oni się nie zmieniają. Mało tego, to postępuje w drugą stronę, granice są stopniowo przesuwane. Powolutku, kroczonek po kroczoneku, ale taki jest fakt. W takim razie coś robimy nie tak. I nawet wiem co!

– Wal.

Hubert pochylił się nad stołem.

– Zasada miłosierdzia. To ona odpowiada za całe zło na świecie.

– Odważna teza.

– Wiem. Ale, dajmy na to, pamiętasz, jak było w naszym domu dziecka? Jak traktowały nas te dwie zdziiry?

Dorian pamiętał. Tak dobrze, że wydało mu się, iż na nowo poczuł echo tamtego bólu w różnych częściach ciała. Hubert pewnie też, bo był ich ulubieńcem, jeżeli chodzi o kary cielesne. Jedna z nich szczególnie często zaciągała go do gabinetu, w którym z dala od oczu postronnych „nauczała”, jak należy postępować.

– Stosowały przestarzałe metody wychowawcze.

– Owszem, ale z drugiej strony nie możesz zaprzeczyć, że wszystko chodziło jak w zegarku i na ogół, jak już raz miałeś obity tyłek, wiedziałeś, że masz postępować właściwie. I postępowałeś. To zdawało egzamin.

– Właściwie w rozumieniu tych kobiet.

– Jak zwał, tak zwał. Ale możemy teraz przenieść tę sytuację na wyższy, że tak powiem, poziom duchowy. Przypuśćmy, że Bóg istnieje.

– Istnieje. Nie ma czego przypuszczać.

– Tak, tak, oczywiście. - Hubert machnął niecierpliwie ręką. - No więc przypuśćmy, że istnieje i jest taki, jak twierdzisz. Jest wszędzie, prawda? Wie o nas wszystko, kiedy i co robimy nie tak. Bóg z definicji jest pewnym absolutem, który bezdyskusyjnie ustala, co jest złe, a co dobre. Wyobraź sobie teraz sytuację, że cokolwiek złego zrobisz, zawsze zostanie to odkryte i ukarane. Zawsze. Ale nie w taki sposób, że zostaniesz rozliczony po śmierci, czego nie da się udowodnić, tylko teraz, jeszcze za życia. Taka nowa reguła, fundament naszej rzeczywistości, taki jak grawitacja albo fakt, że słońce wschodzi i zachodzi o określonej godzinie. Świadomość i nieuchronność kary. Wytłumacz mi jako ksiądz, dlaczego rzekomo wszechmocny Bóg, mając w rękach narzędzie gwarantujące ład i porządek, nie stworzył świata w taki sposób. Od razu byłoby prościej! Lepiej. Ludzie szybko by się do tego dostosowali, tak jak dostosowaliśmy się do tego, że dzień i noc wypadają w określonych przedziałach czasowych, a rzeczy spadają w dół, a nie do góry.

– Innymi słowy: chcesz, aby ludzie czynili dobro, bo musieli?

– Jeżeli to miałyby zadziałać, dlaczego nie? Skoro formuła opierająca się na miłości, miłosierdziu i dawaniu nowych szans nie zdaje egzaminu nawet wśród

wierzących i nic się nie zmienia?

– Nie wiesz, czy nie zmienia. Nie wiesz, jak wyglądałby świat według twojej wizji. I starasz się być mądrzejszy od Boga.

Hubert parsknął śmiechem.

– Ale za to wiem, jak wygląda teraz i że wymaga nowych rozwiązań. Chcesz mi wmówić, że gdy siedzisz w konfesjonale, nie jest tak, że ludzie wracają do ciebie i mówią ciągle to samo? Ci sami?

– Nie wiem, nie znam głosów swoich parafian na pamięć - skłamał Dorian, lecz odruchowo odwrócił wzrok.

Hubert spojrział na niego z satysfakcją i dopił drinka. Odstawił z brzękiem szklankę na stół.

– Każdy fachowiec w tej dziedzinie powie ci, że strach to najlepsza metoda wywierania wpływu na ludzi. Skoro tak, trzeba go użyć, żeby zmienić świat na lepsze. Zauważ, że w niektórych momentach sam to robisz, kiedy z ambony straszysz ludzi piekłem. Może to okrutne, ale działa. Chciałbym zobaczyć taką rzeczywistość. Z samej ciekawości. Przeżyłbym nawet to, że musiałbym się przebranzowić, bo nie byłoby o czym pisać. - Wstał i wyjął z portfela banknot. - Idę się odlać. Kupisz mi w tym czasie następnego? To samo: whisky z colą.

Kiedy Hubert odszedł od stolika, Dorian przypomniał sobie o swojej szklance, której dotychczas nie tknął. Powąchał jej zawartość i się skrzywił. Sok zawierał alkohol. Wziął go i banknot, po czym ruszył w stronę baru.

– Przepraszam - odezwał się do barmana i podał mu szklankę. - Może pan to wylać? Chciałbym zamiast tego...

– A po co wylewać? - rozległ się przy nim kobiecy głos. Obejrzał się i zobaczył dziewczynę z hałaśliwego towarzystwa, która wcześniej się do niego uśmiechała. - Piłeś z tego? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, wyjęła mu szklankę z dłoni. Wzięła łyk i zamruczała z rozkoszy. - Czarna porzeczka i wódka. Takie proste i jakie dobre! Lubię to połączenie.

Dorian przez moment zastanawiał się, co mógłby jej odpowiedzieć, i w końcu zdecydował się na stanowcze, asertywne nic. Ponownie zwrócił się do barmana:

– Poproszę sok pomarańczowy. B e z a l k o h o l u . I whisky z colą.

Widział kątem oka, że dziewczyna ostentacyjnie mu się przypatruje, wręcz pożera go wzrokiem. Widział również jej nieziemskie długie nogi, oczywiście

osłonięte jedynie krótką spódniczką. Poskutkowało to u niego reakcją oczywistą dla organizmu zdrowego heteroseksualnego mężczyzny, ale spróbował skierować myśli na inne tory.

– Jak masz na imię, tajemniczy nieznajomy? - zapytała.

Jęknął w duchu, spojrział na nią i odpowiedział, starając się zabrzmieć obojętnie:

– Dorian.

– Ładne. Rzadkie, trochę jak u greckiego wojownika. Oliwia. - Wyciągnęła rękę, choć nieprzypadkowo nie zapytał jej o imię.

Nie chciał wyjść na nieuprzejmego, więc krótko uścisnął podaną dłoń, po czym ponownie ustawił się przodem do baru, a bokiem do rozmówcy. Prawie przyciskał pierś do blatu, tęsknie wyczekując, aż barman wręczy mu zamówione napoje.

– Czego tu szukasz? - zapytała Oliwia.

– Niczego - odpowiedział. - Spotykam się ze znajomym. Rozmawiamy sobie.

Dziewczyna spojrzała na jego dłonie, oczywiście bez jakiegokolwiek obrączki.

– A potem? Masz jakieś plany?

Dorian przełknął ślinę i nie odpowiedział.

– Hej, wojowniku! Jesteś odważny, jak na wojownika przystało?

Uznał, że nadszedł czas, by wytoczyć najcięższe działa.

– Nie mam planów. Jadę do domu. W sensie: na plebanię. Jestem księdzem. - Spojrział na nią, starając się nie mrugnąć. Wyraz twarzy dziewczyny się nie zmienił, nie pojawiła się najmniejsza oznaka rozczarowania, co trochę zbiło go z tropu. Mimo to kontynuował: - A ty jakie masz plany? Jest trochę późno, jutro poniedziałek, więc chyba idziesz do pracy? I czy twój chłopak nie będzie zazdrosny o to, że rozmawiasz z nieznajomymi? - Skinął głową w kierunku towarzystwa, z którym siedziała wcześniej.

– Masz rację, może być zazdrosny - powiedziała bez troski.

– To wracaj do niego, siostró. Szczęść Boże - odparł uprzejmie.

– Szczęść Boże. - Wzięła jego szklankę z drinkiem i odeszła.

Dorian otrzymał zamówione napoje, wrócił do stolika i tym razem usiadł do tyłu dziewczyny. Po chwili pojawił się Hubert.

– Co tak długo?

– Wiesz, jak jest, gdy weźmie się ze sobą do kibla smartfona. Kusi, by sikać na siedząco.

Dorian poruszył się na siedzisku i poczuł w bokserkach erekcję, która wytworzyła się, kiedy rozmawiał z Oliwią przy barze. Przeklął w duchu.

– Pozwolisz, że teraz ja cię przeproszę? - Wstał.

– Pozwolę. Ale nie musisz przeproszać, o nic się nie gniewam!

Zignorował ten czerstwy żart i poszedł do toalety. Zamknął się w kabinie i oddał mocz z gorącym postanowieniem, że podczas tej czynności nie wykona choćby jednego ruchu dłonią więcej, niż to konieczne. Kiedy wyszedł stamtąd do przedsionka z umywalką, ktoś wepchnął go z powrotem do środka i zamknął za nimi dwojgiem drzwi na zasuwkę. Dwojgiem.

Oliwia popchnęła Doriana na ścianę.

– Jaram się tym, że mnie tak ignorujesz... - powiedziała, wpatrując się w niego pożądliwie. Przyciskała swój wydatny biust do jego klatki piersiowej, wsunęła też nogę w jego krocze i zaczęła ocierać nią o genitalia. Jego penis znowu rósł.

(Ewa).

(Seks. Przyjemność).

– Przestań. - Próbował się uwolnić, lecz nawet on zdawał sobie sprawę, że nie wkłada w to pełni sił. Oliwia przysunęła się, aby go pocałować, ale się nie dał. - Jestem księdzem! Nie mogę.

– Właśnie to jara mnie w tobie najbardziej! Nigdy nie robiłam tego z księdzem.

– Mówiłaś, że masz chłopaka!

– Ale jego tu nie ma. - Przesunęła ręką po klatce piersiowej i brzuchu Dorian, które były co prawda szczupłe, ale dobrze wyrzeźbione. - Nie jest tak ładny jak ty. I nie ma takiego sześciopaku. - Uniosła jego koszulkę.

(Niewierność. Nadużywanie zaufania. Oszustwo).

– Nie dotykaj mnie! - Wyrwał materiał z jej dłoni i zakrył brzuch.

– Dlaczego tak o sobie dbasz, ładny chłopcze, skoro jesteś księdzem?

– Dla zdrowia i dobrego samopoczucia.

Prychnęła.

– O wygląd zawsze dba się dla innych! Gdybyś wylądował na bezludnej wyspie, miałbyś gdzieś to, jak wyglądasz. Dlaczego? Bo nikt nie mógłby cię zobaczyć.



Z czego wynika, że ty też robisz to, żeby kobiety zwracały na ciebie uwagę!  
Przyznaj!

– Nie!

– Od dawna mam fantazję, żeby zrobić to pod nosem mojego faceta, kiedy nie widzi. - Jej oczy zabłyszczały jaśniej.

– Zostaw mnie!

– Myślisz, że twoi koledzy po fachu tego nie robią? Nie oglądałeś *Kleru!*

– Nie obchodzi mnie, co robią moi koledzy po fachu! Pomasowała Doriana po członku.

– Przecież czuję, że tego chcesz.

– Nie chcę! - krzyknął i odepchnął Oliwię od siebie. Gdyby nie to, że pomieszczenie było relatywnie ciasne, przewróciłaby się, a tak tylko lekko uderzyła potylicą o ścianę. Uśmiech zniknął z jej twarzy i teraz wpatrywała się w Doriana z miną zawodu i upokorzenia. Nie dał jej nic powiedzieć. Czym prędzej wyszedł z kabiny i nawet nie umył rąk. Wrócił do stolika.

– Hubert, przepraszam cię, ale możemy już iść?

Za plecami usłyszał dynamiczne stukanie obcasów. Nie odwrócił się jednak. Czuł, że zaczyna coraz obficiej się pocić.

– Tak szybko? Po jednej kolejce? - zdziwił się Hubert.

Stukanie się zbliżało. Dorian zacisnął zęby, spodziewając się najgorszego. Oliwia jednak minęła go szybkim krokiem i wróciła do swojego stolika. Dopiero wtedy na nią spojrzał. Mówiła coś do znajomych i wskazywała go. W jego żołądku wylądował pokaźny kamień.

– Tak! - wycedził przez zaciśnięte usta. - Teraz!

– Coś się stało?

Było już za późno. Ani się obejrżeli, a podeszło do nich kilku dobrze zbudowanych chłopaków w koszulkach jednego z lokalnych klubów piłkarskich.

– Te, konus. - Jeden z nich, na oko dwadzieścia centymetrów wyższy i trzydzieści kilogramów cięższy, trącił Doriana w ramię. - Rączki cię swędzą?

– O co chodzi? - zainteresował się Hubert.

Dorian zebrał się na odwagę i spojrzał olbrzymowi w oczy. Ze swoim metrem siedemdziesięcioma dwoma wzrostu i sześćdziesięcioma pięcioma kilogramami

wagi nie mógł jednak wzbudzać najmniejszego respektu.

– Cokolwiek ci powiedziała, to nieprawda - wycedził. - To ona się do mnie przystawiała!

– No pewnie! To ofiary gwałtu są winne, że prowokują gwałcicieli - powiedział ironicznie drugi chłopak.

– Ej, panowie, poważnie, dajcie mu spokój! - powiedział ostrzej Hubert.

Osilek zignorował go i wymierzył Dorianowi soczysty cios otwartą dłonią w twarz. Ten zachwiał się na nogach i zakręciło mu się w głowie.

(Zło. Przemoc. Kłamstwo. Oszustwo. Zniesławienie).

– Co ty robisz?! Pojechało cię, gościu? - Hubert zerwał się z krzesła. Niestety też był zdecydowanie mniejszy niż napastnicy.

– Rączki go swędziały. Więc mnie też swędzą. Tak to działa -stwierdził ironicznie chłopak Oliwii, otrzepując dłonie.

– Zostaw go! To ksiądz! Nie tyka kobiet!

Choć zamroczony Dorian odbierał zaledwie połowę możliwych doznań, szczerze znienawidził teraz Huberta. Reakcja tamtych była dokładnie taka, jak się spodziewał.

– Ksiądz...? - zapytali, a na ich twarzach wykwitła nienawiść. - Ministranci ci nie wystarczają, pedofilu jebany?! - Popchnęli Doriana tak, że upadł na podłogę. Otoczyli go i sprzedali kilka bolesnych kopniaków, od których zabrakło mu tchu. Wreszcie podnieśli go na nogi i pomimo protestów Huberta zaprowadzili do swojego stolika. Koleżanki Oliwii wpatrywały się w niego z wyrzutem, natomiast na jej obliczu Dorian dostrzegł skrzętnie ukryte triumf i rozbawienie.

– Przepróś! - rozkazał jej chłopak.

Dorian spojrzał na nią spode łba.

– Przepróś, powiedziałem! - Olbrzym uderzył go kantem dłoni w potylicę.

– P-przep-praszam... - wydukał Dorian.

Osilek spojrzał na Oliwię, wczekując dalszych instrukcji.

– Dobra, miś, już daj mu spokój - powiedziała łaskawie. - Dostał, na co zasłużył.

– Prawie. - Chłopak pociągnął Doriana za fraki i wyprowadził z pubu. Na ulicy kopnął go wyprostowaną nogą w plecy, co zakończyło się upadkiem na brzuch, zdarciem skóry na dłoniach i bolesnym obiciem kolan. - Jeszcze raz cię tu, kurwo,

zobaczę, to popamiętasz! Wypierdalaj stąd i nie wracaj! Słyszysz, co do ciebie mówię?

Dorian z trudnością podniósł się na czworaki.

– Słyszę - wycharczał.

– Pedofil pierdolony. - Chłopak wrócił do pubu i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Po chwili na zewnątrz pojawił się Hubert. Doskoczył do Doriana i pomógł mu wstać.

– Żyjesz? Wezwałem policję. Nie odpuszczę gnojowi.

– Nie! - Dorian się wyprostował. Był wściekły. - Po co to zrobiłeś?!

– Człowieku, czy ty siebie słyszysz, czy dostałeś w głowę i już do reszty ci się pomieszało? Zgłosiłem pobicie!

Dorian przeraził się nie na żarty. Ale to nie ewentualnej zemsty tego troglodyty bał się najbardziej, lecz reakcji proboszcza na wieść, że jego wikary brał udział w bójkę w pubie po tym, jak skąpo ubrana dziewczyna oskarżyła go o dotykanie tam, gdzie nie trzeba. To nie mogło skończyć się dobrze. Pomieszane myśli momentalnie ułożyły mu się w tylko jedno słowo.

Wiać.

Zostawił Huberta i pokuśtykał do najbliższej uliczki.

– Dorian, nie wygłupiaj się! - usłyszał za sobą, ale nie odpowiedział. Przyspieszył, nie zważając na ból w obitych kościach.

Ignorując telefony od Huberta, dotarł na przystanek autobusowy. W wiacie przywitał go kolejny plakat z Dawidem Volkodlakiem w roli głównej. Tym razem reklamujący galę MMA „Pełnia”, która odbyła się dzień wcześniej w Katowicach. Sportowiec, umieszczony na grafice nad halą Spodek, z bojową miną prezentował swoje walory - potężną posturę i mięśnie, których mogli mu pozazdrościć zawodowi kulturyści. Jego ciało zdobiły liczne tatuaże współgrające z wizerunkiem, jakim go opakowano -na przykład imitujący szramę po pazurze nad i pod lewym okiem albo te na klatce piersiowej, przedstawiające wilcze tropy. Dla samych wilków również znalazło się miejsce - efektowna, wręcz artystyczna grafika z nimi zdobiła całą lewą rękę mężczyzny od ramienia aż po nadgarstek.

Dorian stanął z rękami w kieszeniach przed postacią na plakacie i spojrzał w jej jasnoniebieskie oczy, starając się nie myśleć o bólu, upokorzeniu

i niesprawiedliwości, jakich doznał kilka minut temu. Drżały mu nogi i wprost kipiał z emocji. Wyobraził sobie hipotetyczną sytuację, w której to Volkodlak znalazł się na jego miejscu. Goryle tej laluni nawet by nie pisnęli. Nie odważyliby się rzucić wyzwania silniejszemu, który był jednym z najlepszych na świecie, jeżeli chodzi o walkę wręcz. A nawet jeśli, to facet zrobiłby z nimi porządek i dostaliby to, na co zasłużyli.

Zrobił kwaśną minę. Może w sumie szkoda, że świat nie wygląda tak, jak w utopijnej wizji Huberta? Gdyby wszyscy żyli w świadomości i nieuchronności kary za zło jeszcze za życia, wiele problemów by znikło. Takiej przykładowej Oliwii nie ciągnęłoby do przygód, a potem nie skłamałaby, że to Doriana świerbiły ręce. Te wyrośnięte dupki by go nie pobiły. A Hubert nie znalazłby nic na Volkodlaka i nie pisał o księżach pedofilach, bo tacy by nie istnieli. Co za tym idzie - nie powstałyby stereotypy, które doprowadziły do tej nieszczęsnej sytuacji w pubie.

Jego myśli po raz kolejny przerwał telefon. O wilku mowa. Dorian tym razem odebrał i warknął:

- Czego?

- Żyjesz? Wszystko w porządku? - zapytał Hubert.

- Wszystko super. Poza tym, że właśnie za niewinność pobił mnie jakiś goryl, a ty wystawiasz na szwank reputację mojej parafii - wycedził Dorian. - Zrobiłeś to celowo?

- Co? Ani mi to w głowie! Chciałem...

- Dlaczego powiedziałeś mi, że jestem księdzem?! - krzyknął.

- Skąd mogłem wiedzieć, że to taki burak? Chciałem mu tylko przedstawić racjonalne argumenty, że dziewczyna zmyśla.

Dorian parsknął ironicznie.

- Wiesz co? - powiedział. - Naprawdę myślałem, że jesteś mądrzejszy. Nieważne. Jadę do domu.

- Gdzie jesteś? Postawię ci Ubera.

- Nie chcę. Pojadę autobusem.

- Daj spokój! Powiedz mi, gdzie jesteś. O tej porze będziesz czekał nie wiadomo ile, a komunikacją miejską dojazd zajmie ci co najmniej godzinę.

Dorian westchnął i spojrzął na napis na wiacie.

– Na przystanku autobusowym PKP Radość zero-dwa.

– I co? To tak bolało?

– Bardzo.

Hubert także odpowiedział westchnieniem.

– Choć teraz to mnie obrywa się za niewinność, mimo wszystko dzięki za spotkanie.

– Ja również dziękuję. Wybawiłem się za wszystkie czasy i długo tego wieczoru nie zapomnę - odpowiedział z przekąsem Dorian.

Przez jakiś czas odpowiadała mu cisza, ale zaraz znowu usłyszał głos Huberta:

– Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

– Byle szybko.

– Wstydzisz się tego, że jesteś księdzem?

– Słucham?!

– Odpowiedz.

– Nie wstydzę się.

– To dlaczego tak bardzo nie chciałeś, żebym im to powiedział?

Dorian zamilkł, szukając najodpowiedniejszych słów do wyrażenia swoich myśli.

– Bo ostatnio panuje klimat sprzyjający sytuacjom, w których takie wyznanie grozi... eskalacją agresji - wycedził w końcu. - Teraz rozumiesz, jakie mogą być skutki stereotypów i czarnego PR-u, do których dokładasz swoją cegielkę.

– Do mnie masz pretensje? Proszę cię, naprawdę myślisz, że tacy goście czytują tygodniki opinii? Wyglądali na takich, którzy po raz ostatni skalali się czytaniem podczas omawiania w szkole *Akademii pana Kleksa*.

Dorian nie słuchał już jego paplania. Ta rozmowa nie miała najmniejszego sensu. Niemiłosiernie bolała go głowa, jakby Hubert wysysał z niego dobrą energię nawet przez telefon.

– Tak, masz absolutną rację. Cześć! - Nie czekając na odpowiedź, zakończył połączenie i schował telefon do kieszeni. Postanowił, że tak czy inaczej pojedzie autobusem, ale Hubert dotrzymał obietnicy i kierowca z Ubera podjechał pod przystanek już po kilku minutach. Na szczęście nie inicjował rozmowy, co bardzo Dorianowi odpowiadało. Nie miał nastroju i wołał pogрузić się w odmętach

własnych myśli, hipnotyzowany przez iluminację świateł w centrum miasta. Narastała w nim złość.

Ocknął się, kiedy zatrzymali się na jakimś skrzyżowaniu, i kątem oka zobaczył ruch. Stali przy popularnym klubie Ziarno, z którego wybiegło kilku osobników w kominiarkach. Wywlekli jakiegoś mężczyznę, który próbował im się wyrwać. Podczas gdy jedni okładali go kijami bejsbolowymi, pozostali wybili szyby i wrzucili do środka koktajl Mołotowa.

Kierowca przeklął pod nosem.

– Ładnie się bawią! - Pokręcił głową. - Mój znajomy też ma klub. To chyba najbardziej przejebany interes na świecie!

– Ale... - Dorian jak zmrożony wpatrywał się w bijatykę. - Może powinniśmy wezwać policję?

Kierowca spojrzał na niego spode łba.

– Śmiało, kolego! Ale jak potem cię znajdą, nie chciałbym być w twojej skórze. Przecie tera wszyscy bandyci mają wtyki! A to mi wygląda na jakieś porachunki.

Dorian nie odpowiedział. Nie odrywał spojrzenia od wydarzeń za oknem. Wreszcie zapaliło się zielone światło, kierowca ruszył i napastnicy zniknęli im z oczu.

Dorian zadrżał, wyobrażając sobie, że taka sytuacja zdarzyłaby się w Fortecy. Co by wtedy zrobił? Jak by to się skończyło?

Skrzyżował ręce na piersi i oparł głowę o zimną szybę, skupiając się na widokach, kiedy pokonywali kolejne ulice skąpanej w nocy Warszawy. Była ogromna. Światła w mijanych oknach - w blokach, apartamentowcach i biurach - hipnotyzowały tak, że ogarniała go senność. Było ich tak dużo! Tyle świateł. Tyle przecznic, mieszkań i ludzi. Tyle unikatowych historii. Tyle tajemnic. Tyle oszustw, kłamstw i krzywd. Setki tysięcy, jak nie miliony zatajonych grzechów i zbrodni, o których nikt, oprócz sprawców i ich ofiar, nie miał pojęcia. Dokładnie tak, jak powiedział Hubert.

Tyle zła. Wszechobecnego, rozpasanego, wzrastającego. Po cichu opanowującego świat stworzony przez Boga.

Świat, w którym w założeniu wszystko, co stworzył Bóg, miało być dobre.

Zacisnął pięści i zmarszczył brwi, lecz kolejny napad złości trwał relatywnie krótko. Zastąpiły go zniechęcenie, frustracja i smutek, od których poczuł się

zmęczony i jakby cięższy. Pod jego mostkiem narastało palące doznanie przypominające zgagę.

Wreszcie sięgnął po telefon i napisał SMS -a. Był umówiony z jego adresatką, że będzie się z nią kontaktował wyłącznie w taki sposób. Żadnych rozmów telefonicznych, tylko wiadomości tekstowe, które potem natychmiast usuwał. Miał ją zapisaną pod fałszywym nazwiskiem. Wszystko po to, żeby nie dowiedział się o tym proboszcz.

*– Dobry wieczór. Przepraszam, że piszę tak późno. Czy moglibyśmy jutro się spotkać? Bardzo mi na tym zależy.*

Spodziewał się odpowiedzi dopiero rano, ale o dziwo przyszła niemal natychmiast.

*– Nie ma problemu. 11:00?*

*– Pasuje.*

*– Do zobaczenia.:)*

Schowawszy telefon do kieszeni, poczuł się trochę lepiej. Trochę.

# R O Z D Z I A Ł   I I I

Dotarłszy na plebanię, jak najciszej wszedł do domu i pokuśtykał do swojego pokoju. Był wykończony fizycznie i psychicznie, a kiedy przebrał się w piżamę i położył do łóżka, cicho jęknął w wyrazie ulgi.

Choć starał się już do tego nie wracać, myśli wbrew jego woli krążyły wokół ostatnich zdarzeń, nie tylko ich brutalnego zakończenia. Przypomnił też sobie, od czego się zaczęło; piękną twarz dziewczyny, która urażona odrzuceniem rzuciła go na pożarcie swojemu chłopakowi. Przypomnił sobie jej błyszczące oczy, obfite piersi i perfekcyjne długie nogi - nie za chude, nie za grube, po prostu obłędne. Wszystko to mógłby dotykać, gdyby nie był księdzem, gdyby za nic miał moralność i gdyby podchodził do zła jak większość ludzi na świecie, nawet jego parafianie, którzy przychodzili do konfesjonału z tymi samymi grzechami, bez jakiegokolwiek poprawy w porównaniu z poprzednim razem. Czyli dopóki nikt nie widzi, dopóki nikt nie wie...

(Piersi. Nogi. Pośladki).

Jego penis znowu zaczął pęcznieć i twardnieć. Dorian jednak zacisnął zęby i konsekwentnie trzymał ręce na kołdrze. Zamknął oczy i zaczął się modlić, co często zastępowało mu liczenie owiec, a teraz skutecznie zajęło myśli czymś innym. Wreszcie zasnął.

Jakiś czas potem znowu był w Wawrze. Widział wejście do Fortecy z dziwnej perspektywy, jakby pod kątem prostym w stosunku do siły grawitacji. Spojrzał pod siebie i okazało się, że siedzi na pionowej ścianie. Nie uznał tego za cokolwiek dziwnego, to nie był świadomy sen.



Zeskoczył ze ściany na chodnik z wysokości dobrych kilku metrów. Przy lądowaniu poczuł jedynie to, że ma bose stopy. Był lekki jak papier. Spojrzał na swoją dłoń, na której miał ślubną obrączkę, i się uśmiechnął. Wkroczył do lokalu, który był wypełniony ludźmi, lecz ci zdawali się go nie zauważać. Nie zabrakło nikogo - Huberta, tego samego barmana oraz hałaśliwego towarzystwa w rogu z Oliwią i jej potężnie zbudowanym chłopakiem na czele. Nawet ubrani byli tak samo jak ostatniego wieczora.

Dorian jakby nigdy nic podszedł do ich stolika.

- Wróciłeś, karyplu? - zapytał ostro osiłek i wstał. - Przecież mówiłem, że masz się tu nie pokazywać!

- Tak - odpowiedział spokojnie Dorian. - Przyszedłem cię u k a r a ć .

Kiedy olbrzym się do niego zbliżył, popchnął go tak mocno, że ten uderzył plecami o ścianę, po czym padł na podłogę. Dorian doskoczył do niego i zaczął kopać, także po twarzy. Pozostali krzyczeli, by przestał, ale to tylko bardziej go nakręcało. Kopał i uderzał coraz szybciej, coraz mocniej. Pomimo różnicy gabarytów między nim a osiłkiem nie bał się i czuł pełną kontrolę. W tym śnie był od niego silniejszy i zamierzał dać nauczkę, której facet miał już nigdy nie zapomnieć.

Wreszcie przestał i nachylił się nad młodym mężczyzną, który leżał pobity do nieprzytomności. Zdał sobie sprawę, że coś o nim wie. Wszystkie klocki ułożyły mu się w jedną całość.

- Wiesz, dlaczego jesteś zazdrosny? - zapytał z satysfakcją. - Bo w rzeczywistości masz niskie poczucie własnej wartości! Podświadomie uważasz, że nie jesteś jej wart, że każdy inny facet, którego spotyka na swojej drodze, jest w stanie ci ją odebrać. I wiesz co? Taka jest prawda, kochasiu! - zapiał. - Nie jesteś jej wart!

Spojrzał na Oliwię, która w przeciwieństwie do reszty wpatrywała się w niego jak w obrazek. Wyciągnął do niej rękę i pomógł wstać. Na jej palcu serdecznym również znajdowała się obrączka. Zaprowadził dziewczynę do toalety, która z niewiadomych powodów wyglądała jak ta, w której zrobił to z Ewą, zamknął za nimi drzwi na zasuwkę, przycisnął Oliwię do siebie i zaczął dotykać. Nie ograniczał się. W tym śnie byli małżeństwem, więc mieli pełne prawo do wszelkich świństwerek, jakie przyszły im do głowy. W tej sytuacji to nie grzech. Przeciągnął dłońmi po jej gładkich nogach, wsunął je pod spódniczkę, po czym ścisnął jędrne

pośladki, na których nie miała majtek. Ona w tym czasie namiętnie całowała go w usta, pieszcząc jego klatkę piersiową - naga, choć nie pamiętał, by się rozbierał. Czuł na sobie miękkość i ciepło piersi dziewczyny, a w bokserkach pęczniejącego penisa. Czuł jej słodki zapach, który jeszcze bardziej go podniecał. Oliwia zaczęła schodzić z pocałunkami coraz niżej i w końcu dotarła do krocza. Zsunęła mu spodnie i zabrała się do pracy. Robiła to bardzo powoli, doprawiając językiem. Zamknął oczy, próbując bronić się przed przedwczesnym finałem, ale bezskutecznie. Kiedy wytrysnął jej na twarz, jęknął z rozkoszy i otworzył oczy.

Miał przed sobą łazienkowe lustro. Z początku myślał, że to obraz, bo ledwo siebie rozpoznał. Nie zgadzały się włosy, zwykle przyklepane, uczesane i o piaskowym kolorze - teraz nastroszone i kruczoczarne. Nie zgadzały się oczy - teraz dwie czarne otchłanie bez źrenic i tęczówek. Rysy jego twarzy znacznie się wyostrzyły, usta układały się w szeroki uśmiech pełen ostrych zębisk. Na klatce piersiowej natomiast zobaczył coś, co przypominało płaskorzeźbę twarzy z lustra z tymi samymi wyostrzonymi rysami, kształtem nosa i uśmiechem, tyle że w całości - także oczy, usta i zęby - w cielistym kolorze, jakby coś ukrywało się pod skórą i próbowało się przez nią przebić.

Spojrzał w dół i zobaczył, że teraz klęczy przed nim nie Oliwia, ale ta sama młoda kobieta, która po mszy przyszła z matką porozmawiać z Kropidłowskim. Klaudia. Na jej obliczu rozpacz mieszała się z przerażeniem.

- Błagam... Pomóż mi! - załkała. - Boję się... Boję się zasypiać! Boję się, że jeszcze trochę i na zawsze... utracę... swoje... ciało... - Jej wyraz twarzy się zmienił. Teraz był złośliwy i miał te same wyostrzone rysy, co u Dorigana. - Zupełnie jak ty, kochany! - Głos kobiety stał się niższy. - Tyle cię szukałem! Pamiętasz mnie?

Dorian przeraził się nie na żarty.

- Nie! - krzyknął, a jego głos synchronicznie dopełnił drugi, równie niski jak u kobiety. W tym samym czasie - również synchronicznie - poruszyły się usta twarzy na jego klatce piersiowej. Dorian wyciągnął rękę w stronę lustra, chcąc je zbić, zakryć, zrobić cokolwiek, co pomogłoby mu odgrodzić się od tego widoku, ale wtedy zobaczył, że jego dłonie są o wiele większe niż normalnie, nieproporcjonalne do przedramion, choć nadal szczupłe. Kończyły je długie, czarne sztyletowe pazury.

„Boję się... Boję... Boję!” - W jego głowie ponownie rozległ się głos kobiety, lecz w tym momencie zniekształcony, chrapliwy, nieludzki.

Ciemność. Kościół. Kształty w ławach. Jęki, wrzaski, chichoty. Opiekunki i reszta dzieci uciekające, zostawiające go w tyle.

Nagle całe otoczenie się zmieniło. Półmrok. Dorian leżał na czymś twardym i otaczały go nagie postacie - kobiety i mężczyźni. Niektórzy pomarszczeni, wiekowi, z chudymi rękami i nogami, za to z obwisłymi brzuchami i piersiami. Ich puste twarze jaśniały w blasku świec. Wszyscy wpatrywali się w Doriana, świdrując go wzrokiem. O dziwo - nie bał się ich, odczuwał raczej zdziwienie i ciekawość. Rozejrzał się i zobaczył, że jedna kobieta, stojąca nieco z boku, patrzy na niego inaczej niż pozostali. Jej oczy szklily się od łez i zaciskała usta, powstrzymując się przed płaczem. Od czasu do czasu rzucała też okiem na resztę, lecz oni nie odrywali spojrzeń od Doriana. W ich twarzach próżno było szukać jakichkolwiek emocji, za to w oczach - przeciwnie. Były z nich ekscytacja, urzeczenie, wręcz duma i podziw.

Spojrzał na inną kobietę z kręgu, stojącą na wprost niego. Jej twarz wydawała się znajoma, ale nie potrafił sobie przypomnieć, skąd ją kojarzy. Próbował się ruszyć, lecz jakby utracił zdolność siadania, o wstawaniu nie wspominając. Nie był związany ani nic w tym stylu. Potrafił tylko leżeć. Nic z tego nie rozumiał i już otwierał usta, aby o to zapytać, lecz wydobył się z nich tylko bełkot, z którego trudno było wyróżnić jakiegokolwiek słowa. Nie umiał mówić. Nie zaniepokoił się, to również przyjął bezkrytycznie za prawo rządzące sceną, w jakiej wylądował w swoim śnie.

Kobieta naprzeciwko wyciągnęła ku niemu ręce, w których trzymała jakieś przedmioty. Nie zdążył jednak się na nich skupić, bo zaraz obraz rozmył się i widział już tylko rażącą, fosforyzującą zieleń. Zmrużył powieki, lecz światło przebijało się nawet przez nie.

Usłyszał głos. Cienki, przyjemny, znajomy. Kojarzył mu się z ciepłem i bezpieczeństwem. Teraz jednak kipiał rozpaczą i zawziętością. Kobieta oddychała szybko i powtarzała:

- Przepraszam... Przepraszam! Nie! - Kolejny głęboki wdech i łkanie. - Nie pozwolę na to! Już dobrze! Już wszystko dobrze!

Kolejna zmiana. Teraz jakby unosił się zanurzony w mętnej wodzie, lecz mógł normalnie się ruszać i oddychać, więc bardziej przypominało to lewitację. Coś krążyło wokół niego. Bardzo licznie, jak ławica rekinów albo piranii. Nie wiedział co, nie mógł się temu przyjrzeć, bo zaraz przemykało poza zasięg wzroku albo

znikało w ciemności. Wiedział, że to coś złego; coś, co chciało go dopaść. Otaczała go jednak bariera przypominająca przezroczystą skorupę jaja, której te rzeczy nie mogły przekroczyć. Odbijały się od niej jak od muru i z rykiem umykały z powrotem w mrok.

Nagle dostrzegł, że w barierze pojawia się pajęczyna pęknięć, i w końcu rozpadła się na tysiące odłamków. Dorian ogarnął lęk, a wśród otaczających go istot zapanowało istne poruszenie. Krążyły wokół niego coraz szybciej. Coraz bliżej. Czuł, jak przemykają w jego bezpośrednim sąsiedztwie, jak ocierają się o niego niczym oślizgłe węże i oplatają go w całości. Znieruchomiał, bojąc się nawet oddychać. Wtem jedna z nich uniosła się na wysokość oczu Dorigana i zawisła nieruchomo w powietrzu. Wreszcie mógł zobaczyć, co tak naprawdę mu zagraża. Przypominało chmurę półprzezroczystego dymu, lecz miało... twarz. Nieludzką, wyostrzoną, drapiezną. Uśmiechniętą. W jej oczach tlił się głód.

Niespodziewanie to coś ruszyło w jego stronę, zostawiając za sobą mglisty ogon dymu i wydając z siebie dopełnione echem wycie, które zdawało się dochodzić z każdej strony. Przerażony Dorian wytrzeszczył oczy i zaczął wrzeszczeć. Rzecz dotarła do jego otwartych ust i...

Poruszył się gwałtownie i obudził, cały mokry od potu. Oddychał głęboko, serce waliło mu jak młotem. Do jego pokoju wpadały przez okno promienie porannego słońca. Z trudem wygrzebał się z poskręcanej pościeli i usiadł na łóżku. Piżama otarła się o jego nogi, poczuł w kroku wilgoć i zaraz dotarł do niego zapach nasienia. Jęknął z zażenowania, wygramolił się z łóżka i pomaszerował do łazienki, modląc się w duchu, by żaden z domowników nie przyłapał go w tej wstydlivej sytuacji. Ściągnąwszy piżamę, wrzucił ją do koszyka na brudy. Otworzył kabinę prysznicową, lecz zatrzymał się i powoli odwrócił w stronę lustra. Podszedł do niego, wpatrując się w swoją twarz. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że doznaje czegoś w rodzaju *deja vu*. Nie potrafił jednak sobie przypomnieć, o co chodzi. I choć wyglądał normalnie, jak każdego poranka, jeszcze długo przyglądał się swoim oczom, dłoniom i klatce piersiowej.

Przeszył go dreszcz. Czym prędzej zamknął się w kabinie i odkręcił wodę na jak najgorętszy strumień. A kiedy skończył się myć i zjadł śniadanie w towarzystwie pani Ireny i Kropidłowskiego, postanowił, że resztę czasu do spotkania o jedenastej spędzi na gorliwej modlitwie.

\* \* \*

Wszedłszy do kościoła, zobaczył proboszcza klęczącego przed ołtarzem. Kiedy ruszył w jego stronę, zauważył, że ksiądz Ludwik cały drży. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że nie tylko.

Kropidłowski płakał.

Dorian automatycznie przyspieszył kroku, chcąc zapytać, co się stało, lecz po chwili raptownie się zatrzymał i zacisnął usta. Cokolwiek trapiło księdza Ludwika, najwyraźniej wołał przeżywać to w samotności. Gdyby chciał tym się podzielić, zrobiłby to przy śniadaniu. A że do tego nie doszło, na pewno miał swoje powody. Wypadało uszanować jego decyzję.

Dorian wycofał się cicho i wyszedł ze świątyni. Uznał, że nie zrobi mu różnicy, jeżeli pomodli się w swoim pokoju.

\* \* \*

Beata Konkel, psycholożka, z którą umówił się Dorian, szła w kierunku swojego mieszkania, niosąc dwie siatki z zakupami. Cieszyła się, że wreszcie się z nim zobaczy. Lubiła tego faceta i nawet ostatnio zdarzało jej się myśleć, co u niego słyhać. Oczywiście wiedziała, że jest księdzem, powiedział jej to na pierwszym spotkaniu. Mimo to niedługo potem skomplementowała jego wygląd i stwierdziła, że jest bardzo przystojnym mężczyzną. Miała taki zwyczaj z każdym nowym pacjentem - miłe słowo na wstępie, które miało sprawić, by poczuł się swobodniej w jej towarzystwie. Do dziś pamiętała, jak Dorian się zaczerwienił i wydukał nieśmiało podziękowania. Już wtedy opowiedział jej swoją historię z zatajoną przed światem córką. Beatę ciekawiło, czy od ostatniej wizyty coś w tej kwestii się ruszyło. Szczerze mówiąc, miała nadzieję, że tak. Chciała, by każdy jej pacjent był szczęśliwy, a ilekroć Dorian opowiadał o Gosi, wstępowała w niego inna energia. Biorąc pod uwagę brak rodziców i środowisko, w jakim dorastał - w którym sadyzm i okrucieństwo wobec dzieci były na porządku dziennym i w którym przestrzeganie zasad wpajano przemocą - i tak było z nim stosunkowo dobrze. To właśnie przez takie, a nie inne dzieciństwo już jako dorosły przeżywał przygodę z Ewą i to, co z niej wynikło, znacznie bardziej niż wielu mężczyzn, którzy na jego miejscu cieszyliby się, że matka dziecka ich nie szuka. Bo złamał reguły, jakich

dobrowolnie zobowiązał się przestrzegać. A teraz, gdy nie miał odwagi się ujawnić, łamał kolejne i było mu z tym źle.

Sprawdziła godzinę. Zostało już niewiele czasu, toteż przyspieszyła kroku.

A kiedy minęła pewnego mężczyznę...

Stan, jaki ją ogarnął, przypominał najgorszą odmianę grypy. Samopoczucie w jednej sekundzie pogorszyło się Beacie tak bardzo, że zrobiło jej się słabo, zakręciło w głowie i doznała mdłości. Nabrała głęboko powietrza i czym prędzej podeszła do najbliższej ławeczki. Usiadła, pochylając głowę. Cała się spociła i dostała dreszczy. Spojrzała za tamtym człowiekiem, który szedł dalej jakby nigdy nic, nie zwracając na nią uwagi. Włosy miał związane z tyłu w krótki kucyk.

Coś podobnego jeszcze nigdy jej się nie przydarzyło, dlatego miała trudności z diagnozą, co się właściwie stało. A kiedy to do niej dotarło, ogarnęło ją przerażenie i zaczęła dygotać.

\* \* \*

Nieznajomy przeszedł jeszcze kilkaset metrów i w końcu dotarł do starego biurowca. Stała pod nim ciężarówka, w której czekało na niego kilku innych mężczyzn. Skinął do nich porozumiewawczo głową, klepiąc dłonią w drzwi. Na ten znak wysiedli i podeszli do naczepy, na której znajdowała się spora drewniana skrzynia. Wytargali ją, umieścili jej końce na ramionach jak grabarze niosący trumnę i pomaszerowali do pobliskiego budynku. Tam zjechali specjalną przemysłową windą do piwnic. Na miejscu przywitały ich mrok, odgłosy kapiącej wody oraz mdlący zapach mokrego betonu.

Zapaliło się migoczące światło, które ukazało im długi korytarz. Przemierzyli go ze skrzynią na ramionach i kiedy dotarli do drzwi na jego końcu, jeden z idących na czele mężczyzn w nie zastukał.

– Wejść - dobiegł ich głos starca. Brzmiał pewnie, dziarsko i energicznie.

Wnieśli skrzynię do pomieszczenia rozświetlonego jedynie słabą żarówką nad wejściem. Przypominało wnętrze bunkra. Postawili pojemnik na ziemi, po czym otworzyli go i wywlekli jeszcze jednego mężczyznę - skrupowanego grubymi sznurami, z opaską na oczach i kneblem na ustach.

– Rozwiążcie go - zza biurka ukrytego w mroku raz jeszcze wydobył się ten chrapliwy starczy głos.

Wykonali polecenie, a kiedy porwany mógł wreszcie zobaczyć, dokąd trafił, rozejrzał się niepewnie. W pomieszczeniu roznosił się silny zapach zgniłej wilgoci, stęchlizny i... czegoś jeszcze; czegoś, co na początku trudno było określić. Panował tam chłód niczym w jaskini.

– Co to, kurwa, ma być?! - warknął. - Wiecie, kim ja jestem?!

– Wiemy - odpowiedział starczy głos. Wydawał się lekko przytłumiony, jakby jego właściciel przemawiał zza jakiejś bariery. - Zadbaleś o to, młody. Ciągłe tylko: ja, ja i ja! Straszny z ciebie narcyz.

– Macie przejebane! - wycodził porwany, celując w nich palcem. - Wszyscy! Moje chłopaki...

– Twoich chłopaków tu nie ma - przerwał mu spokojnie głos. - Ale nie martw się, nimi też się zajmiemy. Zawsze rozliczam swoje długi.

Mężczyzna spojrział w ciemność.

– Nie wiem, kim jesteś, staruchu, ale na pewno nie jestem ci nic winien. Nie pożyczam od nikogo forsy. To ode mnie pożyczają.

– Widzę to troszeczkę inaczej, chłopczyku - odpowiedział człowiek w mroku. - Wczoraj zrobiłeś ze swoimi ludźmi nieprzyjemny wjazd na jeden z moich lokali. Prawdę mówiąc, na mój ulubiony. Byłeś nieuprzejmy, straszylesz bardzo sympatyczne panie za barem, nie wspominając o klientach. Powybijałeś szyby, pobiłeś menedżera na oczach przechodniów, nawet wrzuciłeś do środka Mołotowa. Powiedziałeś, że chcesz rozmawiać z szefem w sprawie ochrony. No to masz okazję. Docień to, bo szef to bardzo zajęty człowiek i na ogół nie spotyka się z odpadami takimi jak ty.

Porwany wyprostował się, próbując nabrać rezonu.

– A więc ty jesteś szefem?

– Ja. A, że tak polecę klasykiem, kim ty w ogóle, kurwa, jesteś, pajacu?

Mężczyzna parsknął kpiącym śmiechem.

– Chyba niewiele wiesz o tym, co dzieje się w mieście, skoro zadajesz takie pytania. Nie słyszałeś o Kobrze i jego ekipie?

Starzec w mroku zaśmiał się lekceważąco. Z jego głosem brzmiało to wręcz nienaturalnie, nie przerwało mu choćby jedno kaszlnięcie, nawet nie chrząknął.

– Kobra! - zawołał kpiąco. - Naprawdę? Nowa gangsterska generacja schodzi na psy. Myślicie, że szacunek zdobywa się wymyślaniami sobie głupich, pseudozłowieszczycy ksywek. Otóż nie, synek. Posłuchaj starszego i mądrzejszego. Szacunek ulicy zdobywa się działaniem.

– Działamy. Chyba dobrze nam idzie, skoro uznałeś za stosowne mnie porwać i zaszczycić rozmową.

– Działacie, owszem. Tak, że, jak mawiał inny klasyk, aż się trzęsę ze s t r a c h u . - Przeciągnął ostatnie słowo.

– Śmiejesz się z mojej ksywki? Sam się przedstaw, to pośmiejemy się z twojej. Skoro jesteś taki cwany, musiałem o tobie słyszeć.

Mężczyzna wstał zza biurka i powoli podszedł do światła. Jego krokom towarzyszyły ciche stuknięcia. Najpierw ukazała się laska z gałką, którą się podpierał, potem staroświecki, ale elegancki brązowy garnitur, a na koniec twarz. Oświetlenie było jednak tak słabe, że Kobra z opóźnieniem zdał sobie sprawę, iż to tak naprawdę nie twarz, lecz coś innego. Zrozumiał, czym był ów zapach, który rozniósł się w pomieszczeniu obok stęchlizny i wilgoci. Smród. Starości i zgnilizny. Tak intensywny, że trudno go było odróżnić od trupiego odoru.

Wytrzeszczył oczy i otworzył usta. Cofnął się o krok.

– Ty... Ty jesteś... - Wskazał starca drżącą ręką.

– Och, czyli wiesz, kim jestem? - zapytał spokojnie mężczyzna, który mu się ukazał. Był zgarbiony i trząsał się, ale na pewno nie ze strachu, jak wcześniej powiedział.

– Ja... - Głos Kobry drżał. - Nie... To przecież... Myślałem, że to tylko legenda!

– Słyszycie, chłopaki? - Gangster w garniturze zwrócił się do żołnierzy, którzy przynieśli skrzynię, a ci się zaśmiali. - Jestem legendą! - Spojrzał na Kobrę i zaczął zaciskać drżące pięści tak, że aż mu strzelały stawy. Przypominały kości pozbawione mięśni, obleczone jedynie pomarszczoną, jak gdyby rozkładającą się skórą. - Wiesz, gnoju, co łączy wszystkie mity i legendy?

Kobra myślał nad odpowiedzią, jakby od niej miał zależeć jego los. Smród emanujący z mężczyzny nie pozwalał mu jednak się skupić. Smród i świadomość, skąd się brał.



– To, że w pewnym sensie pełnią funkcję przypowieści - odpowiedział za niego starzec. - Mają uczyć jakiejś mądrości, ubogacać cię intelektualnie i duchowo, może nawet zostawić z jakimś morałem. Ale ty, jak widać, nic z mojej nie wyniosłeś. Mało tego, znałeś ją, a mimo to rozrabiałeś w moim mieście. To oznacza jedno z dwóch: albo jesteś wyjątkowym imbecylem, albo myślałeś, że kiedyś zdołasz mnie zabić i przejąć władzę.

– Nie! To nie tak!

– Sprytnie to sobie wymyśliłeś - ciągnął spokojnie starzec. - Ale wiesz, na czym polega twój największy problem?

– Przysięgam panu, że nigdy...

– Że nie da się zabić kogoś, k t o j u ż n i e ż y j e . - Mężczyzna w garniturze niespodziewanie wyprostował się i ruszył w jego stronę, odrzucając laskę. Poruszał się jak młody, zdrowy, wysportowany człowiek, tylko o wiele szybciej; dopasowany, jak gdyby szyty na miarę strój w ogóle nie krępował jego ruchów. Zacisnął wiotką, starczą dłoń na szyi Kobry i z nienaturalną jak na kogoś jego postury siłą uniósł go w powietrze. Ten zaczął się dusić, wywijając bezwładnie nogami i walcząc o złapanie oddechu. Próbował uderzać napastnika w rękę, którą był trzymany, ale nie zdołał nawet zgiąć jej w łokciu. Wytrzeszczył oczy, a twarz wykrzywił mu niemy szok.

– Nie... - wycharczał. - Proszę... Posprzątam w twoim klubie! Zapłacę za wszystko! Oddam ci wszystkie swoje pieniądze, tylko... Proszę, nie!

– Skoro nie uczysz się na przypowieściach, musisz uczyć się na błędach. - Starzec zacisnął dłoń na szyi Kobry tak mocno, że spod jego pożółkłych paznokci trysnęła krew. - Tak, żebyś już nigdy nie zapomniał tej lekcji. N i g d y .

Przed oczami Kobry powiększały się ciemne plamy. Tracił siły, oddech i dopływ tlenu do mózgu, walczył z coraz mniejszym zapalem. Wreszcie jego ręce i nogi bezwładnie opadły. Na betonową podłogę kapąły spod niego pojedyncze krople krwi. Do samego końca, do utraty ostatniej iskierki świadomości czuł ten okropny smród.

# ROZDZIAŁ IV

– Pani Beato! Wszystko w porządku? - zawołał Dorian.

Dotarł pod jej blok pierwszy i nawet skorzystał z domofonu, ale nie otworzyła mu drzwi. Trochę się zdziwił, ponieważ jeszcze się nie zdarzyło, by ich spotkanie nie odbyło się bez odwołania. Już wyciągał telefon, żeby zadzwonić do psycholożki, kiedy zobaczył ją idącą chwiejnie pobliską alejką i niosącą dwie ciężkie torby z zakupami. Zataczała się jak pijana, miała przymknięte oczy, była blada, spocona i zgarbiona. Niechybnie by się przewróciła, gdyby do niej nie podbiegł, nie wziął od niej siatek i nie założył sobie jej ręki na ramię.

– Dziękuję - powiedziała ledwo przytomnie. - I przepraszam za spóźnienie...

– Co się stało? Mam wezwać karetkę?

– Nie trzeba. Zaraz mi przejdzie. - Uśmiechnęła się słabo, a na jej policzki wrócił rumieniec.

– Jest pani pewna? Może przełożę wizytę na inny dzień?

– Nie, nie! Zaufaj mi. Zaraz wszystko wróci do normy.

Nic z tego nie rozumiał i wciąż nie był przekonany, czy powinien wierzyć jej ocenie sytuacji. Doprowadził psycholożkę do klatki schodowej, raz po raz upewniając się, czy wszystko jest w porządku. Wjechali windą na odpowiednie piętro i stwierdził z zaskoczeniem, że pani Konkel chyba rzeczywiście wraca do formy - już nie potrzebowała podpórki, wyprostowała się i odzyskała wigor, a jej skóra kolory. Kiedy wkroczyli do mieszkania, wyglądała i zachowywała się już zupełnie normalnie. Zdziwił się nieco, ale nie drążył tematu. Nalała mu szklanek soku i usiedli w salonie.

– Co słyhać? - Uśmiechnęła się przyjaźnie. Była atrakcyjną, niewysoką blondynką o figurze nastolatki i włosach do szyi, zaledwie o kilka lat od niego starszą. Nosiła też okulary w grubych czarnych oprawkach.

Dorian, którego myśli wciąż zajmowała ta dziwna metamorfoza jej samopoczucia, przypomniał sobie, dlaczego tu przyszedł, i spochmurniał.

– Raz jeszcze przepraszam, że napisałem do pani wczoraj tak późno, ale po prostu czułem, że potrzebuję kolejnego spotkania.

– Nie ma sprawy. I tak jeszcze nie spałam. Stało się coś szczególnego?

– Wiele rzeczy. Mam wrażenie, że... że coś wymyka mi się spod kontroli, i potrzebuję, żeby ktoś posprzątał mi w głowie. Złożyło się na to wszystko po trochu.

– Opowiedz mi więc o tym „wszystkim po trochu”.

Streścił jej zdarzenia od ich ostatniego spotkania, łącznie z nieprzyjemną przygodą w pubie. Choć kusilo go, by to pominąć, nie omieszkał dodać, że w kwestii Ewy i Gosi sytuacja stoi w martwym punkcie.

– Nie potrafię, nie umiem się zdecydować! Niewierni Nie wiem, czego chcę! To jest takie... popieprzone! - Pochylił się, oparł łokcie o uda i rozczochrał włosy. - Przysięgam, bywają momenty, że jestem zdecydowany, że kończę tę szopkę tu i teraz. Że chcę iść do ich mieszkania, ujawnić się, a potem niech się dzieje, co chce. A później zawsze jest tak samo. - Pokręcił głową. - Zawsze! Nagle pojawiają się wątpliwości. Czy na pewno...? Czy warto? A może jednak jeszcze trochę poczekać? Czy nie będę tego żałować? A co, jak wszystko się zepsuje i zostanę bez niczego, z alimentami, odtrącony przez parafian, a córka nie będzie chciała mnie znać? Co, jeżeli Ewa już teraz nastawia ją przeciwko mnie? Za dużo tego. To wszystko wydaje się takie proste, aleja... nie. Nie potrafię. Za bardzo się boję.

Beata czekała cierpliwie, aż Dorian skończy, i dopiero wtedy powiedziała:

– Rozumiem, że możesz czuć się przytłoczony tą sytuacją.

– Najbardziej tym, że jestem niedojrzały. Wkurza mnie to, że nie mogę się przemóc - mruknął ze złością, patrząc na podłogę.

– Nigdy nie powiedziałam, że taki jesteś, ani tak nie sądzę. - Uśmiechnęła się.

– To miłe, ale wiem, jakie są fakty. Zrobiłem obcej kobiecie dziecko i uciekłem. Zrobiłem je jako diakon. Teraz, jako ksiądz, nie robię nic, żeby wspomóc ją

w wychowaniu małej, choć to mój obowiązek. Według pani to nie jest oznaka niedojrzałości?

– Nie skupiamy się na skutku, tylko na przyczynie. Sam ją wskazałeś. Boisz się.

– Bo tak jest.

– Nie powinieneś się wstydzić żadnych emocji, bo wynikają z tego, jak ukształtowały cię czynniki środowiskowe, jak to się ładnie nazywa, oraz geny, na co nie miałaś wpływu. To reakcja na bodźce, wypadkowa wielu zmiennych, z którymi stykałeś się na swojej drodze od urodzenia. Żaden strach nie jest oznaką niedojrzałości.

– No niby nie, ale...

Beata nachyliła się nieco do niego.

– Żeby nie zanudzić cię psychologicznym żargonem, powiem tylko, że strach to jedna z cech pierwotnych, mająca swe źródło w instynkcie przetrwania. Część naszej natury, spuścizna po czasach, kiedy byliśmy zwierzętami. Absolutnie nie powinieneś obwiniać się o to, że na razie nie potrafisz go przezwyciężyć. Strach to nie ułomność. Zdziwiłbyś się, jak często determinuje ludzkie działania. Zaryzykowałabym wręcz twierdzenie, że nic nie wywiera na nas takiego wpływu jak on. I to w sytuacjach, w których nawet byśmy o nim nie pomyśleli.

– To znaczy?

– Jak sądzisz, dlaczego ten osiłek cię pobił? - zapytała niespodziewanie.

– Bo chciał rycersko stanąć w obronie swojej kobiety? No i powiedziała mi wcześniej, że bywa zazdrosny.

– Dokładnie. Bywa zazdrosny, czyli boi się ją stracić. A chciał stanąć w jej obronie, bo strach jest też elementem miłości: chcesz dawać komuś szczęście i troszczysz się o niego, a więc się o niego boisz, o jego zdrowie i bezpieczeństwo. Ty z kolei pozostajesz bierny w kwestii swojej córki, bo b o i s z s i ę jej reakcji, reakcji parafian, Ewy, proboszcza i tak dalej. Obawiasz się nieznanej przyszłości, zmiany w swoim życiu, i wolisz pozostać w stanie, który znasz i w którym czujesz się względnie bezpiecznie. Twój kolega dziennikarz bazuje na strachu, żeby pisać artykuły, które będą się klikać i sprzedawać, więc jak widać, na strachu można nawet zarobić. Mało tego: dzięki niemu można dzielić społeczeństwo i rządzić. Politycy korzystają z tego narzędzia, żeby mobilizować swój elektorat do działania. Jedni straszą uzbrojonymi łysymi karkami z tatuażami

Polski Walczącej i księżmi pedofilami, a ci z drugiej strony barykady homoseksualistami latającymi nago po mieście, muzułmanami, którzy zawsze są przedstawiani jako terroryści, i czcicielami Szatana, którzy bezczeszczą kościoły. Wskazują zagrożenie, wroga, co zmusza nas do reakcji obronnej, a więc do działania, na jakim im zależy. To wszystko jest skuteczne, bo opiera się na prymitywnych instynktach. I tylko nieliczni potrafią zauważyć ten wzór, a potem mu się oprzeć. Każda gwałtowna reakcja zazwyczaj wiąże się ze strachem. Każda nienawiść, agresja i złość. Rozejrzyj się w swoim otoczeniu, a łatwo to zauważysz.

Dorian milczał przez moment, przetrawiając jej słowa.

– Mój proboszcz, normalnie spokojny i kipiący charyzmą facet, wczoraj bardzo dziwnie zareagował na ulotkę o zaginionym chłopcu, wiszącą na tablicy ogłoszeń w naszym kościele - powiedział w końcu. - Miał pogadankę z drugim wikarym, który pozwolił rodzicom malca ją zawiesić. Twierdził, że to źle wygląda, gdy po drugiej stronie ulicy jest okładka gazety z artykułem piętnującym pedofilię w Kościele, że wywoła określone skojarzenia, ale mam wrażenie, że nie powiedział całej prawdy. Dziś z kolei zobaczyłem go w kościele płaczącego. Nie mam pojęcia z jakiego powodu.

– Może strasznie przeżywa to, że wrzuca się wszystkich księży do jednej kategorii i przyklepia łatkę największego zła tego świata? Pierwsza z opisanych przez ciebie sytuacji coś nam mówi. Gwałtowna reakcja, przesadzona w stosunku do rzeczywistego zagrożenia. Dostrzegasz wzór? - Beata się uśmiechnęła. - Bał się! Bał się o reputację parafii, czyli również o swoją! Pokaż mi, na czym ci zależy, a wskażę twoje lęki i *vice versa*. Pokaż mi swoje lęki, a powiem ci, jakim jesteś człowiekiem. A jeżeli się nie boisz, przestałeś nim być. Oczywiście ten mechanizm ma też swoje dobre strony. Nie pojawił się w naturze bez przyczyny i pozwala nam przetrwać. Lęk w umiarkowanej dawce działa na nas mobilizująco, wyostrza zmysły i przygotowuje ciało do walki lub ucieczki. Jeżeli postraszysz małe dziecko, które jeszcze niewiele rozumie, że ktoś może je porwać, to zostanie w domu, czyli będzie bezpieczniejsze i z większym prawdopodobieństwem nie stanie mu się krzywda. Wielu psychologów sądzi, że strach i wynikająca z niego motywacja lękowa to jedyne narzędzie skuteczne w terapii nałogowców, psychopatów i przestępców zdegenerowanych na tyle, że nie da się ich zresocjalizować. Że jedynie on daje ci szansę na zmianę ich zachowania, porzucenia go w ramach

ucieczki przed konsekwencjami. Ja jednak wolę wierzyć, że... - Nie dokończyła, bo przerwał jej dzwonek telefonu.

Dorian spojrział na ekran i zobaczył napis „ksiądz Ludwik”.

– To mój proboszcz. Przepraszam.

– Nie ma problemu. Odbierz.

– Halo? - Dorian przyłożył telefon do ucha.

– Gdzie jesteś? - zapytał Kropidłowski. Z jego głosu były pośpiech i niepokój. Oddychał szybciej niż normalnie. Chyba po raz pierwszy od początku posługi Doriana w jego parafii proboszcz wykonał taki telefon i zadał takie pytanie w dniu, który jego wikary w założeniu miał mieć wolny od obowiązków.

– W mieście, miałem zaraz wracać...

– Gdzie konkretnie?

– Na Targówku.

– Napisz mi SMS-em dokładny adres i czekaj na mnie na jakimś parkingu.

Dorian się zaniepokoił.

– Ale o co...

– Potrzebuję twojej pomocy - przerwał mu Kropidłowski, po czym streścił, dlaczego dzwoni. Z każdym jego słowem Dorian coraz szerzej otwierał oczy.

– Dobrze, zaraz napiszę - powiedział i zakończył połączenie.

– Co się stało? - zapytała Beata.

Dorian wstał. Miał zawziętą minę i zmarszczone brwi.

– Rozmawialiśmy o strachu - powiedział. - Opowiadałem pani, jakie było jedno z najstraszniejszych zdarzeń w moim życiu?

– Chyba nie.

– Jako dziecko przez pomyłkę wziąłem udział we mszy świętej z modlitwą o uwolnienie.

– O uwolnienie...?

– Od demonów - uściślił. Wciąż mówił spokojnie, co zupełnie nie współgrało z wyrazem jego twarzy. Beata zdała sobie sprawę, że odczytała emocje Doriana z drobnym błędem. To nie była zawziętość, tylko bojowość.

– Nie opowiadałeś.

Wpatrzył się w ścianę.

– To ciekawe - mruknął. - Kiedy teraz to pani powiedziałem, zdałem sobie sprawę, że nie wiem, czy przypadkiem nie to zadecydowało, że ostatecznie zostałem księdzem - powiedział powoli. - Bo od tamtej pory zacząłem się tym interesować. I byłem rad, że jest coś, co nas, ludzi, broni przed tymi potworami.

Beata milczała, przeczuwając, że jeszcze nie skończył, ale tym razem się pomyliła. Dorian pomaszerował do przedpokoju, poruszając się energicznie. Zostawił na półce sto pięćdziesiąt złotych, włożył buty i bez pożegnania wyszedł z mieszkania. Zdawał się przebywać w zupełnie innym świecie. Poszła za nim na korytarz, a kiedy zamknął za sobą drzwi, wpatrywała się w nie otępiała. Ocknęła się dopiero, gdy zdała sobie sprawę, że znowu robi jej się słabo.

Odetchnęła głęboko i oparła się o pobliską półkę. Miała złe przeczucia.

# ROZDZIAŁ V

Jakiś czas wcześniej, nim pewne zdarzenia zmusiły go do sięgnięcia po komórkę, ksiądz Ludwik siedział przed komputerem w swoim gabinecie i ze skrzywioną miną czytał artykuł niejakiego Huberta Godlewskiego na portalu Naprawde.pl. W zasadzie nie wiedział, po co to robił, po co jeszcze bardziej się dobijał, kiedy ostatnie dni były dla niego naprawdę trudne. Od dawna miał świadomość, że ten dziennikarz jest uprzedzony do Kościoła i w swojej publicystyce przedstawia go wyłącznie od złej strony. Ten tekst był jednak szczególny, bo dotyczył egzorcystów. Był dosyć stary, sprzed kilku miesięcy, i miał wiele mówiący tytuł *Uzdrowiacze ducha, niszczyciele ciała*.

*Podczas studiowania wszystkich przypadków, jakie wpadły mi w ręce, zwróciłem uwagę na powtarzający się schemat. Wystarczy, że u kogoś zdiagnozuje się opętanie, i staje się praktycznie ubezwłasnowolniony, nawet jeżeli zachowuje się w granicach normy. Pozbawia się go wszelkich praw, co normalnie powinno wynikać wyłącznie z orzeczenia sądu. Daje się kapłanom absolutną władzę nad „opętanymi”. Nad ich ciałami również. Odbywa się to poza jakąkolwiek kontrolą.*

*(...) Słyszałem o przypadkach egzorcyzmów, w których relacja „opętanego” z kapłanem jak żywo przypominała gwałt. Ofiarom wiążano się ręce i nogi, dotykało się ich tam, gdzie miało się ochotę, wpychało im się krzyże do gardeł, czasem nawet siłą wlewało wodę święconą do ust. Zdarzały się sytuacje, w których młodym kobietom pocierano miejsca intymne. Nie wspominam o obrażeniach, takich jak podbite oczy, wybite barki albo złamane nosy. Obrażeniach, za które nikt nigdy nie odpowiedział. W tej sytuacji nie dziwi, że egzorcystami zostają kapłani, którzy są określanii jako*



*nadzwyczaj pobożni i bez skazy. Trudno nie być bez skazy, jeżeli faktycznie uzyskuje się bezkarność. To takie wygodne i jakże sprytne! Wszystko można wytłumaczyć działalnością złego ducha, koniecznością walki z nim za wszelką cenę.*

*(...) Wytyczne Kościoła są zastanawiające. Nakazują, by egzorcyzmy odbywały się w ustronnych miejscach, za zamkniętymi drzwiami i z jak najmniejszą liczbą świadków. Dlaczego? Dlaczego tak się z tym kryją? Przecież w obliczu postępującej laicyzacji i ateizmu na świecie nie istnieje lepsza okazja, by pokazać niedowiarkom: patrzcie, diabeł naprawdę istnieje!*

Po przeczytaniu tych i kilku podobnych akapitów Kropidłowski nie wytrzymał, odetchnął głęboko i zamknął stronę z artykułem. Zaszklily mu się oczy.

„Co wy robicie?” - pomyślał, nie wiedząc, czy zwraca się do publicystów takich jak Godlewski, czy do księży będących bohaterami tekstu. Poczuł potężne zmęczenie, jakby w jednej chwili postarzał się o kilkanaście lat. Nie chciał dochodzić, czy za magicznymi wyrażeniami „słyszałem o przypadku, w którym...”, „spotkałem się z...”, „opowiedziano mi o...”, „to każę przypuszczać, że...” stoją konkretne dowody, czy zostało to wymyślone i podkoloryzowane, aby artykuł wywołał większą sensację. Nie miało to teraz znaczenia.

„Przegrywamy to” - chyba po raz pierwszy pomyślał o tym tak brutalnie i dosadnie. Jego parafia, pełna pozytywnych i życzliwych ludzi, była białą plamą na mapie, ale sam fakt, że nazywał ją białą plamą, o czymś świadczył. Poza nią sytuacja nie wyglądała już tak różowo. Narastały podziały, wrogość, agresja i przemoc, eskalowały konflikty ideologiczne, normą społeczną stały się napięcie, wściekłość i wskazywanie wrogów. Walka. Ludzie radykalizowali się w jedną i drugą stronę. Jeżeli nie byłeś z nimi, to opowiadałeś się przeciwko. Strach odbierał im zdrowy rozsądek, każdy był przekonany, że postępuje słusznie, że ma monopol na pojęcie dobra. I wszyscy zapominali o sile, którą Kościół w swojej misji miał głosić, co dotychczas zupełnie mu nie wychodziło. O sile, która stanowiła lek na całe zło.

O miłości.

„Dobry Boże, dokąd zmierzamy?” - Uniósł oczy do sufitu. Był przerażony. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią łzy.

Wzdrygnął się, kiedy do drzwi jego gabinetu zapukała pani Irena.

– Proszę księdza!

Zmusił się, by wstać z krzesła i stanąć prosto.

– Tak?

Pani Irena ustąpiła przejścia i do gabinetu weszła jeszcze jedna kobieta. Kropidłowski szybko ją rozpoznał, choć łzy rozmyły jej makijaż. Była to pani Strzelczyk - matka Klaudii, z którą przysłała tu wczoraj po odprowadzanej przez niego mszy.

– Dzień dobry, pani Mariolu. Co się dzieje?

– Błag-gam... - załkała w odpowiedzi. - Niech ksiądz ratuje moją córkę!

\* \* \*

Kiedy zajechali samochodem kobiety po Doriana, który czekał na nich na parkingu pod dyskontem, nad miastem zebrały się ciemne chmury, co pograżyło je w półmroku. Natychmiast ruszyli do domu pani Strzelczyk mieszczącego się na obrzeżach Bielana. Dorian prowadził, ona była na to zbyt rozhisteryzowana. Kropidłowski próbował uzyskać od niej więcej informacji, lecz tylko płakała i nie potrafiła wydobyć z siebie nawet słowa. Z każdym kolejnym kilometrem Dorian coraz mocniej zaciskał dłonie na kierownicy. Pograżony w myślach, kilka razy o mało nie przejechał na czerwonym świetle.

Wreszcie dotarli pod duży, luksusowy dom. Wbiegli do środka, gdzie czekał na nich mąż kobiety, równie blady i roztrzęsiony.

– Dziękuję księdzu! Ona...

– Gdzie ona jest? - przerwał mu Kropidłowski. Mężczyzna wskazał drżącą ręką pobliskie drzwi.

– Na b-basenie - wyjąkał.

Proboszcz ruszył pewnie przed siebie, Dorian za nim. Za drzwiami rzeczywiście ujrzeli spory, kryty, przeszklony basen, nad którym roznosił się silny zapach chloru. Było tam przeraźliwie gorąco. Dorian wypatrywał córki pani Marioli, ale jak na złość nie mógł jej dojrzeć. Przez jego poplątane myśli przebijały się coraz to inne migawki.

(Msza święta z modlitwą o uwolnienie. Ciemność. Wszystkie ławki zajęte).

Wpadł na Kropidłowskiego, kiedy ten gwałtownie się zatrzymał, i niemal usłyszał, jak proboszcz przełknął ślinę. Spojrzał nad jego ramieniem.

W kącie pomieszczenia, w którym przypadkowo lub nie przepaliła się żarówka, pod sufitem, niczym olbrzymi pajak, zwisało... coś. Zdawało się przeczyć prawom fizyki - tylko dotykało ścian czubkami palców i podeszwami gołych stóp. Choć w cieniu nie widzieli twarzy tej rzeczy, Dorian był pewien, że wpatruje się w nich (jak ludzie w ławkach w ciemności podczas tamtej mszy. Jak marionetki sterowane przez...)

i się uśmiecha. Kropla potu skapnęła mu z czoła na policzek. Była tak ciepła, jakby właśnie wyszedł z sauny.

Ksiądz Ludwik wyciągnął krucyfiks i kropidło z wodą święconą.

- Klaudia? - odezwał się.

Nie zareagowała.

- Klaudiuś... - wydukała jej matka. - Bardzo cię proszę... Przestań...

Dorian spojrzał na postać w cieniu. Przysięgłby, że kontury jej twarzy ułożyły się na kształt uśmiechu. Wyjątkowo drapieżnego.

- Mamo, po co ich tutaj wezwałaś? - zapytała zwykłym kobiecym głosem. - Przecież wszystko jest ze mną w porządku!

Pani Strzelczyk zalała się łzami, kręcąc głową. Postać z cienia zeskoczyła ze ściany i wylądowała z plaśnięciem na mokrych kafelkach. Wypelzła z półmroku do światła.

Dorian się skrzywił. Klaudia już w ogóle nie przypominała osoby, którą zobaczył poprzedniego dnia przy plebanii. Miała przetłuszczone, sklezione włosy, wyostrome rysy twarzy oraz liczne plamy i rany cięte na głowie, na której nabrzmiały chyba wszystkie możliwe żyły. Jej oczy były całe czarne, jak dwie głębokie studnie najczystszego zła

- Nie mogliście przyprowadzić kogoś lepszego od klechy, który zaczął wątpić w sens tego, co robi, i jego młodego przydupasa, któremu wydaje się, że przewycięzył lęk przed demonami? - Wyszczrzyła zęby. Były szarozółte, jakby składały się w dużej mierze z próchnicy.

Na wzmiankę o sobie Dorian drgnął, a Klaudia spojrzała na niego.

– Taaak! O tobie mówię, tatuśku! - Jej głos się zmienił, stał się niższy, basowy. Zaczęła więc się po podłodze jak wąż, pełzając w kółko. - Nie boisz się? Podoba ci się to, co robisz? To nic w porównaniu z tym, co widziałeś jako dziecko! Pamiętasz? - Wygięła się i zrobiła mostek.

Dorian wytrzeszczył oczy. Słyszał bicie swego serca.

(Ciemność. Jęki. Śmiechy. Wrzaski. Wycie).

– Nie słuchajcie jej! - zawołał Kropidłowski, a Klaudia skupiła się na nim.

– Kim jesteś, klecho, by uważać się za jakikolwiek autorytet i wydawać polecenia?! - wrzasnęła, świdrując go wzrokiem. - Jak chcesz ze mną walczyć, skoro wątpisz? Skoro przegrywacie i powoli przejmujemy panowanie nad światem? Sam to przyznałeś! Jeszcze dziś! Masz rację! Nie macie żadnych szans! Więc pokłoń się strachowi, swojemu nowemu panu! Strachowi, czyli mnie! - Chwyła plastikowy leżak i rzuciła w ich stronę z siłą nieprzystającą do zwykłych kobiecych możliwości. Ledwo zdążyli odskoczyć, a leżak upadł między nimi z głośnym trzaskiem. Kropidłowski stracił równowagę i się przewrócił, lecz zaraz wstał, opierając dłoń na pękniętym kafelku. Wyciągnął przed siebie krucyfiks.

– *Boże, ty zawsze litujesz się i przebaczasz. Wysłuchaj naszych modlitw i w swoim łaskawym miłosierdziu racz uwolnić twoją służebnicę od więzów diabelskiej potęgi, które ją krępują...* - Zbliżył się do Klaudii i pokropił ją wodą święconą. Ryknęła z bólu i spojrzała na niego z nienawiścią.

– Ten marny kościółek jest twoim oczkiem w głowie, jesteś taki dumny z liczby wiernych, ale zależy ci na nich wyłącznie dlatego, że przynoszą ci mnóstwo pieniędzy! Religia to dobry biznes, a ty boisz się utraty zarobków! Nie kieruje tobą miłość, tylko lęk! Nie udawaj, że jest inaczej! - Ruszyła w jego stronę, lecz nagle zatrzymała się i znieruchomiała, wpatrując się jak zahipnotyzowana w krucyfiks. Kropidłowski kontynuował z mocą modlitwy. - Nawet nie znasz mrocznych sekretów swoich księży... - wysyczała Klaudia, a Dorian napiął mięśnie. Jej rodzice stali z tyłu, objęci, zapłakani i przerażeni. - Obiecałeś sobie, że twój kościółek będzie nieskazitelny, bez skaz obyczajowych, które mogłyby zniechęcić ludzi. Nawet nie wiesz, jakim trądem jest przesiąknięty! Jakim brudem! Powiedz mu, Dorian! - Nie poruszała głową, ale spojrzała na niego kątem oka. - Opowiedz szefowi swoje mroczne tajemnice, tatuśku!

Kropidłowski nie przerywał modlitwy, a na jego czoło wystąpiły krople potu.

– Dorian, pomóż mi! - krzyknął.

Dorian znał słowa i próbował powtarzać je za proboszczem, ale nie mógł. Wciąż wpatrywał się w oczy Klaudii

(białe, jak u tego mężczyzny podczas...)

czarne jak noc, złe do cna.

– Pamiętasz to, tatuśku? - Twarz Klaudii zmieniła rysy i Dorianowi wydało się, że przypomina teraz oblicze... Ewy. Zmienił się także jej głos: - Och, tak! Różnij mnie mocniej! - zajęczała. - Tryśnij we mnie wszystkim, co zbierałeś w celibacie! Chcę to mieć! Do ostatniej kropli!

Kropidłowski już prawie krzyczał modlitwy, jakby chciał zagłuszyć jej słowa. Ponownie pokropił kobietę wodą święconą i zaryczała. Zbliżył się do Klaudii z krucyfiksem tak bardzo, że prawie jej dotykał. Znowu skupiła na nim wytrzeszczone oczy i oddychała bardzo szybko. Kolejne wdechy i wydechy zdawały się obejmować ją całą, jakby płuca kryły się w każdej części ciała.

– Dalej, wsadź mi to do gardła, tak jak twoi koledzy po fachu -szepnęła. - A może chcesz mi zrobić palcóweczkę? Śmiało! Zawsze możesz potem powiedzieć, że to w ramach walki ze złem!

Kropidłowski nie zważał na prowokacje demona. Modlił się dalej, lecz nagle krzyknął:

– Potrzebuję pomocy was wszystkich! Spróbujcie ją przytrzymać!

Rodzice Klaudii podeszli i złapali ją jako pierwsi, Dorian dopiero po nich. Ścisnął kobietę za rękę. Wydawało mu się, że jej skóra się porusza, jakby pełzało pod nią mnóstwo robali.

– Duchu nieczysty, rozkazuję ci w imię Jezusa Chrystusa, odejdz z tego ciała! - krzyknął proboszcz i raz jeszcze pokropił Klaudię wodą święconą, której krople wylądowały na jej ciele z głośnym sykiem.

– Kochasz swoją córeczkę? - Przy uchu Doriana rozległ się niski głos, już w ogóle nieprzypominający kobiecego. Z boku głowy Klaudii pojawiła się jeszcze jedna twarz o wyostrzonych rysach, jak gdyby szpetna płaskorzeźba na skórze. To ona do niego mówiła. - Rodzice Kacperka też bardzo go kochali. Tak, tego małego chłopca z ulotek. Jak czujesz się z tym, że w twoim otoczeniu jest pedofil, który odpowiada za jego zaginięcie? - Okropne oblicze przemieściło się pod skórą i ponownie pokryło z twarzą Klaudii, zmieniając jej rysy. Wpatrywało się w Kropidłowskiego

z uśmiechem, po czym jeszcze raz przepęzło do skroni dziewczyny od strony Doriana. - Wiedziałaś, że ten chłopiec był b l i ż s z y twojemu proboszczowi niż jakiegokolwiek inne dziecko? - Zachichotała. - A teraz nie żyje, biedactwo. Jak sądzisz, co spotkało go przed śmiercią? Możesz być pewien, że w przeciwieństwie do twojej Ewuni, jemu wcale się to nie podobało!

Dorian nie mógł już tego słuchać, a to, co wyobraził sobie po słowach demona, sprawiło, że w jego psychice została przekroczona jedna z ostatnich granic. Stracił czujność i poluznił uścisk dłoni. Klaudia wyrwała im się i rzuciła na Doriana. Szybko zyskała przewagę, przewracając go. Zakotłowali się na kafelkach, zatrzymując na skraju basenu. Usiadła okrakiem na Dorianie i unieruchomiła go jak dobrze wyszkolony zawodnik sztuk walki. Zaciśnęła ręce na jego szyi i nachyliła się, jakby chciała go pocałować. A Dorian ostatecznie stracił połączenie z umysłem, który odmówił mu posłuszeństwa. Nie odbierał już żadnych innych doznań, żadnych innych emocji. Tylko strach. Strach, który go omiatał, omywał, który przejął go na własność. Który zastąpił duszę. Nie mógł się ruszać, jakby go sparaliżowało. Poczul się, jakby wdychał gorące, śmierdzące powietrze. Poczul nawet jego obrzydliwy smak. Ciało wypełnił mu niewyobrażalny ból, jakby setki, tysiące, miliony szpilek nakłuwały mu wnętrzności.

- Nie!!! - ryknął tak głośno, że o mało nie zdarł gardła.

Strzelczykowie i Kropidłowski zrzucili z niego Klaudię. Dorian, chcąc jak najszybciej się od niej oddalić, instynktownie przetoczył się po podłodze i wpadł do basenu. Zaraz usłyszał obok siebie kolejne dwa pluśnięcia. Woda w zbiorniku, kontrastująca z gorącem i zaduchem panującym w pomieszczeniu, wydawała się przeraźliwie zimna. Odruchowo otworzył usta i opił się jej, a jego sfatygowane gardło jeszcze podrażnił chlor. Ziąb szybko przekształcił się w gorąco, wręcz żar. Ciało Doriana przeszył spazm, zdawało się płonąć zarówno od wewnątrz, jak i na zewnątrz. Tracił przytomność, opadając na dno.

Już nie czuł bólu, nie czuł już nawet strachu. Nie czuł nic. Omiotła go ciemność. Taka sama jak w jego snach.

**CZĘŚĆ III:  
ODKRYWANIE  
MOCY**

# ROZDZIAŁ VI

## *Dwa dni wcześniej, Katowice*

Dawid Volkodlak się obudził. Kiedy otworzył oczy, jego źrenice lekko się zwężyły, podkreślając jasnoniebieskie tęczęwki wokół nich. Przy swoim łóżku zobaczył blondwłosą kobietę o urodzie i figurze modelki, w skąnym stroju eksponującym dekolt i długie nogi. Pomimo wczesnej godziny była umalowana, wypachniona i idealnie uczesana. Uśmiechała się szeroko, prezentując śnieżnobiałe, proste zęby.

– Oto jest dzień, który dał nam Pan! Pora wstawać!

– Cześć, Linda.

Ucałował ją w policzek i poszedł do łazienki. Nie byli parą, ale mieszkali razem i statystycznie spędzali ze sobą chyba nawet więcej czasu niż w standardowym związku. W jego ekipie pracowała jako człowiek od wszystkiego - obsługiwała media społecznościowe, wstępnie selekcjonowała oferty reklamowe i biznesowe, pilnowała diety Dawida, harmonogramu treningów i spotkań z mediami, a także rzeczy znacznie bardziej przyziemnych, takich jak zakupy czy umawianie pomocy do sprzątania ich luksusowego domu pod Warszawą. Dbała również o szeroko pojęte dobre samopoczucie Dawida, aby mógł się skupić wyłącznie na sporcie. Nawet ze sobą sypiali, choć niezbyt często i bez uczucia, przynajmniej z jego strony. Natomiast kiedy pojawiał się publicznie, na przykład na konferencjach prasowych, zawsze miała stać gdzieś w jego tle, nie odstępować go na krok i dekorować wydarzenie swoją urodą. W końcu nic tak nie przyciąga wzroku mężczyzn jak piękna kobieta, a tak się składało, że to głównie oni stanowili grupę



docelową oferowanego przez Dawida produktu. Hurtowego zwycięzania w sportach walki.

Zakończywszy poranną toaletę, wyszedł z łazienki i stanął przed ogromnym oknem, za którym roztaczała się efektowna panorama Katowic. Federacja Gold Fight Club nie pierwszy raz organizowała galę na Śląsku, zasada była taka, by z kolejnymi imprezami objeżdzać wszystkie większe polskie miasta, a potem, średnio po dwóch latach, zaczynać od nowa. Niemniej za każdym razem, gdy wracał do rodzinnego regionu, czuł dyskomfort, którego starał się nie okazywać.

Zanim zasiadł do śniadania, sprawdził jeszcze swojego smartfona i prywatny profil w mediach społecznościowych. Otrzymywał mnóstwo wiadomości, ale teraz interesowały go wyłącznie SMS-y, jakie wysłał wczoraj do dwóch kobiet, oba o tej samej treści. Nie otrzymał odpowiedzi, także w Messengerze. Zasepił się, odrzucił telefon na łóżko i ze spuszczonego wzrokiem powłókł się do jadalni. Tam czekał już na niego posiłek, oczywiście dostosowany do trybu życia sportowca. Trzy kromki chleba graham z masłem, półtłustym serem twarogowym i pokrojonymi kawałkami rzodkiewki, całość okraszona solą i pieprzem. Do picia - koktajl z banana zmiksowanego z mlekiem, półtora procent tłuszczu. Nie grymasił i zjadł wszystko do ostatniego okruszka, choć tradycyjnie, kiedy zbliżała się pełnia, czuł narastającą ochotę na mięso.

Linda siedziała obok z laptopem i czytała mu harmonogram na dziś. Kolejne posiłki miał zaplanowane o dziesiątej, trzynastej, szesnastej i dwudziestej piętnaście, najlżejszy, ostatni przed walką. Żadnych treningów i spotkań z mediami, jak zawsze w dzień gali. Miał się relaksować i skupiać na wieczornym zadaniu, ewentualnie pojawiać się na materiałach przeznaczonych na Facebooka, Twittera, Instagrama, TikToka i Snapchata. Tak jak teraz.

– Pięcha w górę i bojowa mina! - Linda uniosła smartfona, a Dawid zmarszczył groźnie brwi i uniosł zaciśniętą dłoń. Wrzuciła zdjęcie na jego media społecznościowe z dopiskiem: „Dzień dobry! Kolejny dzień, kolejne wyzwania przed nami! Ja zamierzam wykonać przedostatni krok do celu, czyli bycia najlepszym na świecie. A wy?”. Już po kilku minutach od opublikowania pod postem pojawiło się ponad dziesięć tysięcy polubień i kilkaset komentarzy.

– Chyba zażądam od Jacka podwyżki - westchnęła Linda. - Przez noc przyszło kilkaset nowych wiadomości. - Przeskrolowała je. - Mniej więcej połowa to półnogie zdjęcia twoich fanek i ich matrymonialne propozycje. Inni życzą ci

powodzenia w dzisiejszej walce albo zapraszają na kawę. - Pokręciła kpiąco głową. - Są też zapytania o sponsorowane posty, ale to sprawdzę dokładnie później. O, właśnie przyszło coś nowego. - Przeczytała wiadomość. - Jezu, koleś napisał „żyły” przez „rz”!

- Ale co ja mam wspólnego z żyłami?

- Napisał: „Niektórzy porównują Dawida Volkodlaka do Boga. Jestem oburzony. Choćby się postarał, choćby wypruł sobie żyły, nie jest i nigdy nie będzie Dawidem”.

Dawid parsknął, choć nie było w tym krzty wesołości.

- Może to sobie zapisz? Przyda się.

- A żebyś wiedział. - Linda skopiowała wiadomość i wkleiła ją do notatnika, oczywiście poprawiając błąd ortograficzny. Kolekcjonowali takie hasła, podobnie jak wszelkie gry słowne związane z wilkami, wilkołactwem i tym podobnymi, a potem wykorzystywali w różnych kampaniach promocyjnych.

- A jak po wczorajszej konferencji?

- Bardzo dobrze. Onet dał cię na główną. Podkreślają, że świetnie poradziłeś sobie z zaczepkami Burnsa. Na WP, Interii i Great też jesteś na samej górze newsów sportowych. Ostatnie słowo należało do ciebie i najbardziej zapadło im w pamięć. Ładnie. - Pokiwała głową z uznaniem. - Mocne zakończenie w szermierce na słowa to podstawa. Takimi zabiegami politycy wygrywają wybory. A my zarabiamy pieniądze.

Dawid przypomniał sobie zdarzenia z piątku. Jacob Burns - amerykański zawodnik, z którym miał wieczorem się zmierzyć - odgrażał się, że GFC powinna zaprosić na galę obrońców praw zwierząt, bo tylko oni mogą ochronić jego przeciwnika przed nokautem, jaki mu szykuje. Dawid odpowiedział mu wtedy: „Wywołujesz wilka z lasu. Gdy przyjdzie czas, nawet obrońcy praw człowieka ci nie pomogą”, czym wywołał śmiech i brawa obecnych na konferencji dziennikarzy. Wyszło naturalnie, zwłaszcza że nie przygotował sobie wcześniej tego tekstu. Tak zwane trash talki, nieodzowny element sportów walki, zawsze zdawały egzamin i podkręcały emocje. Przydawała się w nich umiejętność szybkiego i celnego odbijania

Cały dzień spędził w apartamencie, czytając, medytując w samotności i od czasu do czasu robiąc groźne miny do kolejnych zdjęć, które Linda wykorzystywała, by

w ostatnich godzinach przed galą jeszcze zachęcić niezdecydowanych kibiców do spędzenia wieczoru przed telewizorem. Mogła zaproponować jedynie transmisję, bilety bowiem sprzedawały się na pniu już pierwszego dnia przedsprzedaży.

Kiedy słońce minęło najwyższy punkt na niebie i nad Katowicami zaczęło się robić ciemniej, Dawid czuł, że rozsadza go coraz większa energia. Nie wiedział, na ile udzielił mu się efekt placebo i emocje związane z nadchodzącą walką, ale nie miało to znaczenia. Wiedział, że wygra, czuł kontrolę, wręcz moc, jaka omiatała jego ciało za każdym razem, gdy zbliżała się pełnia księżyca. Uwielbiał ten stan i w p r a w i e każdym miesiącu wyczekiwał go tak tęsknie jak randki z ukochaną kobietą. Jakby dostawał upragnione lekarstwo, które sprawiało, że czuł się rewelacyjnie, lepiej niż w jakikolwiek inny dzień. Albo przyjmował zakazaną substancję, której nie był w stanie wykryć najlepszy test antydopingowy i - co najpiękniejsze - z którą nie wiązały się, nawet w dłuższej perspektywie, żadne negatywne konsekwencje zdrowotne.

Księżyc pojawił się na niebie po południu. Nie był jeszcze tak dobrze widoczny i nie świecił tak jasno jak w nocy, ale gdy Dawid już wtedy na niego spojrział, poczuł, że ubranie opięte na jego potężnych mięśniach staje się coraz ciaśniej, a serce przyspiesza. Nie mógł usiedzieć w miejscu, nie mógł nawet ustać. Wytrzeszczył oczy, jego źrenice jeszcze bardziej się zwężyły, a tęczęwki -rozjaśniły. Od pewnego momentu nie robił nic, tylko stał i obserwował tę srebrną kulę nad miastem, walcząc z pokusą, by wejść na parapet i przykleić się do szyby. Poprawił mu się humor, czuł coraz większą lekkość, także psychiczną. Już nie myślał o siostrach, które od dawna nie odbierały od niego telefonów i nie odpisywały na SMS-y. Chciał się ruszać. Biegać, skakać, robić salta i fikołki. Nie mógł się powstrzymać i zrobił kilka w swoim pokoju, oczywiście za zamkniętymi drzwiami i tak cicho, by Linda tego nie usłyszała. Bezszelestnie, jak wilk skradający się do ataku.

Kiedy po raz kolejny wylądował z gracją na środku pomieszczenia, zmarszczył brwi. Nie mógł się doczekać gali. Chciał walczyć i zetrzeć Burnsa w pył.

Opuścili apartament niedługo przed wydarzeniem. Pod hotelem koczował oczywiście hałasujący tłum fanów. Dawid pomachał im, wsiadł do luksusowej limuzyny i odjechał, gapiąc się jak zahipnotyzowany na coraz jaśniejszy księżyc na niebie. Jego koszulka w rozmiarze XXXL nie wytrzymała naporu pęczniejącego tułowia i zaczęła pękać.

Pod Spodkiem czekał na nich Jacek - właściciel GFC, przyjaciel i menedżer Dawida w jednej osobie. Przywitali się jak bracia po długiej rozłące, choć po raz ostatni widzieli się poprzedniego dnia, a rozmawiali przez telefon zaledwie kilka godzin wcześniej. Wpadli sobie w objęcia i pokleпали się po plecach.

- Jak tam, mistrzu? - zapytał Jacek.

- Dawajcie mi go! - odpowiedział zawzięcie Dawid, po czym ostatni raz przed wejściem do obiektu spojrzął na księżyc. Jego oczy błysnęły w ekstazie, a koszulka rozerwała się na dobre.

Jakiś czas później Spodek wypełnił się po brzegi fanami mieszanych sztuk walki. Niektórzy z nich mieli tak samo błękitne oczy jak ich idol, podrasowane specjalnymi soczewkami kontaktowymi. Gala rozpoczęła się z wielką pompą - efektowną muzyką i grą świateł oraz gromkim powitaniem spikera, który umiejętnie podbijał emocje tłumu. Pojedyńki przed głównym daniem wieczoru przebiegały właściwie w atmosferze niecierpliwości i oczekiwania. Dawid przebrał się w szatni w krótkie spodenki obklejone emblematami sponsorów i włożył białe rękawice, wyprodukowane specjalnie dla niego, idealnie dopasowane do dłoni.

Jacek spojrzął z dumą na podopiecznego, na oko jeszcze większego niż wtedy, gdy witali się pod halą. Wzrok Dawida wydawał się zamglony, ale jednocześnie wodził nim we wszystkich kierunkach, jakby nie był w stanie skupić się na jednej rzeczy. Oddychał bardzo szybko i niemal dało się słyszeć bicie jego serca.

- Jesteś gotowy? - Jacek złapał go za policzki i spojrzął mu głęboko w oczy, z których biła dzikość. Dawid kiwnął głową. - No to zaczynamy show!

\* \* \*

Po tym, jak Burns wszedł do oktagonu przy akompaniamencie potężnych gwizdów, po Spodku rozniósł się głos spikera:

- Panie i panowie! - Zwolnił tempo mówienia. - W narożniku czerwonym! Wasz człowiek ze Śląska! Arcymistrz GFC! Dwadzieścia sześć walk wygranych, dwadzieścia sześć przez nokaut, zero walk przegranych. Dawid Voolkodlak! - Jego ostatnie słowo dopełnił rozemocjonowany gwar publiczności przypominający wilcze wycie, po czym z głośników popłynęła nagrana specjalnie na tę okazję piosenka Eseja - znanego warszawskiego rapera. Światła i oczy wszystkich, w tym

truchtającego w miejscu Burnsa, skupiły się na punkcie, w którym zaraz miała pojawić się gwiazda wieczoru. Podczas gdy w tle wybrzmiewała melorecytacja: „*Ratatuj*” będziesz krzyczyć, *makaku!* Na arenę wchodzi król, więc pokłoń się mu, kilku mężczyzn z „Volkodlak Team” ciągnęło i pchało klatkę na kółkach z Dawidem w środku. On natomiast klęczał i zaciskał kurczowo dłonie na grubych kratkach, świdrując Burnsa wzrokiem. Widzowie nakręcali się jeszcze bardziej. Mięśnie Dawida były tak napięte, jakby przed chwilą skończył wyczerpujący trening siłowy. Niemal na każdym fragmencie jego ciała, także na twarzy, pulsowały nabrzmiące żyły. Choć już na co dzień szczycił się posturą kulturysty, teraz wydawał się dwa razy większy niż normalnie, jakby nabrał objętości. Publiczność coraz głośniej imitowała wycie wilków. Chciała bestii i ją dostała. Niepokonaną. Najlepszą. Ich własną.

Burns wpatrywał się w Dawida i nawet nie zauważył, kiedy przestał truchtać. Owszem, GFC bardzo swobodnie podchodziła do kwestii wspomagania w sporcie i nawet sam z tego skorzystał. dopalając się przed galą tym i owym, Volkodlak jednak po każdej walce był badany pod kątem dopingu przez niezależnych ekspertów i jego wyniki świadczyły o tym, że był czysty jak łąza.

Kiedy klatka z Dawidem dotarła na miejsce, ten, zgodnie ze scenariuszem widowiska, wydostał się z niej, wyłamując kraty, a potem odrzucił je na bok. Wzbudził tym potężny aplauz publiczności, którą pozdrowił, unosząc rękę. Nie uśmiechał się jednak.

Zawodnicy stanęli naprzeciwko siebie i spojrzeli sobie głęboko w oczy, podczas gdy sędzia między nimi wygłaszał standardowe formułki o czystej, dobrej walce i życzył im powodzenia. Burns jako pierwszy spuścił wzrok. Dawid nawet nie mrugnął. Na widowni kilkanaście tysięcy gardeł krzyczało: „Dawid! Dawid! Dawid!”. Gwar go napędzał. Ryk stada, które stało po jego stronie i kibicowało mu w walce z obcym drapieżnikiem na ich wspólnym terytorium.

Wreszcie zostali w oktagonie tylko we trzech. Zawodnicy odeszli od siebie, sędzia upewnił się, czy obaj są gotowi do walki, i rozległ się pierwszy gong. Równy z nim Dawid ruszył na przeciwnika z nieprawdopodobną prędkością, nieosiągalną dla zwykłego człowieka. Rozpoczął od spektakularnego skoku połączonego z zamachem mającym zakończyć się prawym prostym. Burns tylko patrzył na to jak sparalizowany i odruchowo zasłonił twarz gardą.

W tym samym czasie w Warszawie Hubert, który od kilku tygodni pracował nad artykułem na temat mrocznej przeszłości Dawida, a raczej, jak udało mu się dowiedzieć, Tymoteusza Podolaka, oglądał walkę w swoim mieszkaniu. Uśmiechnął się z satysfakcją i pociągnął ze szklanki łyk drinka.

„Już wkrótce, mistrzu - pomyślał. - Już wkrótce”.

# ROZDZIAŁ VII

## *Dwa dni po gali „Pełnia”, Warszawa*

Pozycja leżąca. Ciemność. Słabe światło świec. Krąg nagich postaci o obwisłych, pomarszczonych ciałach. Jedna z nich o znajomej twarzy, choć nie wiadomo skąd. Inna, nieznajoma, wyraźnie wstrząśnięta, powstrzymująca się przed płaczem. A potem zielony, fosforyzujący, oślepiający blask. Przyspieszony oddech. Rozpacz. I te słowa wypowiedane przez kobietę.

– Nie... nie pozwolę na to! N i e p o z w o l ę ! Przepraszam, kochanie! Przepraszam!

Kolejna zmiana. Teraz Dorian był zanurzony w czarnej, gęstej, cuchnącej brei i powoli opadał na dno. Szamotał się, żeby wypłynąć na powierzchnię, machając rozpaczliwie rękami i nogami, ale bezskutecznie. Tracił oddech, próbował krzyczeć, lecz nieokreślona substancja dostawała się do niego przez każdy otwór w ciele. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest żywa, że stanowi jeden organizm, który go pożera, może nawet już zaczyna trawić. Że przejmuje nad nim kontrolę zarówno z zewnątrz, nie dając mu się wydostać z pułapki, jak i od wewnątrz, wypełniając każdą wolną przestrzeń w jego wnętrznościach.

Miał coraz większe trudności z poruszaniem się, ale nie dlatego, że tak szybko opuszczały go siły. Coś mu już na to nie pozwalało. Jakby tego nie chciało. Zdał sobie sprawę, że o n s a m tego nie chce i zaczyna mu to sprawiać przyjemność. Opadanie coraz niżej, pogrążanie się w mroku, coraz dalej od bezpiecznej powierzchni, i dobrowolne przyjmowanie do ciała coraz większej ilości tej mazi. To było o wiele prostsze niż walka z nią. Połykanie jej, wdychanie,

smakowanie językiem, patrzenie na nią, kiedy dostawała się pod powieki, i wreszcie słuchanie, jak do niego mówi, wpływając do głowy przez uszy i szepcząc coś w niezrozumiałym języku.

Wpuszczanie jej do środka. Otwarcie drzwi. Szeroko. Najszerzej, jak się da.

Już się nie bał. Czuł ulgę.

Uśmiechnął się i poddał na dobre. Przestał się ruszać i tylko opadał na dno, które nie nadchodziło, jakby w ogóle nie istniało.

Wtedy jednak nad nim niespodziewanie pojawiła się jasność i usłyszał głosy. Niewyraźne, przytłumione, dochodzące jakby z oddali, inne niż te, którymi posługiwała się czarna maź. Ocknął się, kiedy poczuł, jak ktoś chwyta go za ramiona i nim wstrząsa.

\* \* \*

– Żyje ksiądz?! Proszę się obudzić! - usłyszał zniekształcony męski głos. Otrzymał lekkie uderzenie w policzek, z trudem otworzył oczy, z takim oporem, jakby maź, w której przed chwilą tonął, zakleiła mu powieki. Jeszcze nie odzyskał poczucia równowagi i nawet nie wiedział, w jakiej pozycji znajduje się jego ciało - czy stoi, czy siedzi, nie wiedział nawet, czy leży. Zobaczył nad sobą niewyraźną sylwetkę. To właśnie ona do niego mówiła i próbowała go ocucić.

Wtem jego ciałem targnął wstrząs i wypluł wodę, która zalegała mu w gardle. Kaszlnął, zamrugał i odruchowo przewrócił się na bok, lecz tym razem z jego ust wydobyła się również spora porcja wymiocin. Gdzieś w tle słyszał rozpaczliwe zawodzenie, docierało do niego z zakłóceniami, echem, raz ciszej, raz tak głośno, jakby ktoś krzyczał mu prosto do ucha. Chciał błagać, by przestał, ale ogarnęły go takie mdłości, że gdyby spróbował cokolwiek powiedzieć, niechybnie znowu zwróciłby pokąźną część zawartości żołądka. Drżał, był cały mokry i zziębnięty. Nie potrafił sobie przypomnieć, z czego to wynikło. Nie potrafił sobie przypomnieć niczego.

– Klaudia...? Jezu Chryste! - Rozpoznał przerażony głos pana Strzelczyka. Wzdrygnął się, walcząc z mdłościami. Nim po raz kolejny otworzył oczy, odczekał kilkanaście sekund. Widział już o wiele wyraźniej, choć wciąż kręciło mu się w głowie i miał siłę jedynie przewracać się z boku na bok. Zdał sobie sprawę, że



mężczyzny już przy nim nie ma. Klęczał kilka metrów dalej, obok swojej żony. Oboje również byli cali mokrzy, histerycznie wrzeszczeli i pochylali się nad jakimś ciałem.

– Klaudia! Nie! Nie! NIE!!!

Z krzyków biła tak potężna rozpacz, że Dorianowi nawet w obecnym otępieniu zrobiło się żal tych ludzi i myślał jedynie o tym, by im pomóc. W końcu proboszcz (nie pamiętał jego nazwiska) jeszcze niedawno powtarzał (nie pamiętał przy jakiej okazji), że muszą starać się podwójnie. Pokazywać swoją postawą, że istnieją na tym świecie również księża, którzy pełnią posługę z powołania. Dobrzy, pomocni, mądrzy. Bo miłość jest w odwrocie, zanika, przegrywa, coraz mniej to pojęcie rozumiemy, a świat ogarnia coraz większy mrok i coraz bardziej, powoli, acz regularnie, rozprzestrzenia się po nim zło. Dokładnie jak ta czarna, żywa maź...

Zamrugął. Naprawdę proboszcz powiedział coś takiego? Porównał to do mazi? Dorian nie był pewien.

Nieważne!

Musiał dotrzeć do tych ludzi, niezależnie, czy

(podpełzłby jak wąż)

doczołgałby się tam jak człowiek, który stracił czucie w nogach. Chciał pomóc, zaradzić, spróbować coś zrobić, choć nie wiedział co. Wciąż widział tunelowo, potrzebował czasu, by odzyskać pełne pole widzenia. Dopiero po chwili zobaczył, że w tej scenie występuje jeszcze jedna postać, którą rozpoznał wyłącznie po sutannie. Jak wcześniej ksiądz Kropidłowski (przypomniawszy sobie jego nazwisko!) miał jasne włosy przez siwiznę, tak teraz wydawały się zupełnie białe i idealnie współgrały z jego bladą twarzą. Wyglądał na ciężko chorego i siedział z wyciągniętymi nogami, wpatrując się na przemian w Klaudię i w posadzkę na prawo od siebie. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale tylko bezgłośnie poruszał ustami.

Wreszcie pan Strzelczyk wstał i wyciągnął z kieszeni smartfona. Wykonał kilka gorączkowych ruchów na ekranie i przyłożył urządzenie do ucha. Chodził w tę i z powrotem, blednąc z każdym krokiem. Jego oczy szklily się od łez, wodził nimi nerwowo we wszystkich kierunkach.

– Proszę natychmiast przysłać karetkę na Młociny. Ulica Dankowicka sześć! - niemal wykrzyczał. - Moja córka umiera! Szybko! Błagam, ratujcie ją! - Rozkleił się

i nie zdołał powiedzieć nic więcej. Telefon wyslizgnął mu się z dłoni i z łupnięciem wylądował na podłodze. On sam zaś ukląkł, złapał się za głowę i zalał łzami.

Dorian zlustrował nieruchomą Klaudię i zobaczył w jej szyi... kawałek kafelka. Wbity tak głęboko, że gardła kobiety nie dało się już nazwać jedynie poderżniętym. Wokół ciała powiększała się kałuża krwi.

Otworzył szerzej oczy. Jak...? Kto...? Dlaczego...?

I wtedy to zobaczył, nieco dalej na podłodze. Punkt, w który wpatrywał się Kropidłowski, jeżeli akurat nie patrzył na Klaudię. Wyraźny, rzucający się w oczy trójkąt w innym kolorze niż reszta posadzki.

Dziura po brakującym odłamku.

Nic z tego nie rozumiał, ale i tak wyciągnął rękę ku kobiecie, mamrocząc cicho:

– Nie...

Na więcej nie miał siły. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i po chwili znowu tonął w czarnej mazi. Lekki, beztroski i uśmiechnięty.

\* \* \*

Kiedy odzyskał przytomność, zorientował się, że wiezie go karetka. Rozmyło mu się widzenie, słyszał z zakłóceniami, czuł srogi ból gardła, a w ustach chemiczny posmak. Kołatało mu serce, miał trudności z oddychaniem, bolało go w klatce piersiowej i kaszłał. Nie był w stanie się poruszyć, o powiedzeniu czegokolwiek nie wspominając. Nawet nie zarejestrował, kiedy położono go do szpitalnego łóżka. Próbował się skupić, ale osłabienie i natłok natrętnych myśli zupełnie mu na to nie pozwalały. Pytania mieszały się w nich z pojedynczymi słowami i obrazami.

Gdzie jest ksiądz Kropidłowski? D e m o n . Co z Klaudią? O p ę t a n i e . Co z jej rodzicami? Połamany kafelek wbity głęboko w szyję. Krew spływająca spod niego obfitym strumieniem.

Czarna maź. Ból gardła. Nieludzka twarz pełzająca pod skórą. Czarne oczy. Żółte zęby. Ostre rysy. Półmrok. Postać zwisająca pod sufitem.

Msza święta z modlitwą o uwolnienie. Ciemność. Mały chłopiec otoczony przez kilkadziesiąt osób opętanych przez złe duchy. Jęczących, parszających, wyjących,

uśmiechających się i wyginających tak, jakby były z gumy. Skłębionych w plątaninie ciał.

Lęk. Nic, tylko on. Jakby nie istniał żaden inny stan emocjonalny.

Chciało mu się wrzeszczeć. Wszystkie jego mięśnie były napięte i zeszywniałe. Serce pracowało tak szybko, że dzielił je zaledwie krok od krwawego wybuchu. Drożność tchawicy zmniejszyła mu się tak, że miał trudności z wydaniem najcichszego odgłosu. Próbował się rozejrzeć, ale widział tylko mieszaninę kolorów. Krzyknął, lecz zabrzmiało to jak cichy pomruk. Jego ciało przeszło gwałtowny dreszcz, a wokół łóżka poruszyły się jakieś kształty. Mówiły coś, jednak nie rozumiał co. Niektóre - składające się głównie z bieli - przytrzymywały go, także za głowę. Inne - zielononiebieskie - mówiły coś i wskazywały. Dorian miotał się, nie wiedząc, czy może im ufać, zwłaszcza że próbowano otworzyć mu usta i wsadzić coś do gardła. Starał się przetworzyć i zinterpretować informacje, ale nie potrafił, jakby słuchał obcego języka.

Wtem przez rwetes przebił się głos, który dobrze znał. Rozpoznał barwę i wreszcie zrozumiał słowa.

– Lekarze chcą księdzu pomóc! Niech się ksiądz uspokoi! Jestem tutaj!

Głos pani Ireny sprawił, że poczuł się bezpieczniej i uwierzył, że w feerii barw kryje się ktoś mu życzliwy. Przestał się miotać i powtórnie zamknął oczy. Wiedział, że staruszka nie pozwoli, by stała mu się krzywda. Obroni go, choćby miała osłonić go własnym ciałem. Nie zostawi go i będzie przy nim czuwać. Ufał jej. Bardziej niż Bogu.

Zaczął się modlić. Głównie po to, aby odzyskać władzę nad myślami. Podświadomie czuł jednak, że musi to zrobić, bo jest o co. Nie umknęło mu, że w głosie pani Ireny, nawet w tym na co dzień wesołym i dziarskim sopranie, kryje się strach. I to potężny.

I z jakiegoś powodu Dorian był przekonany, że to nie on, nie jego stan jest tego powodem.

\* \* \*

Minęło trochę czasu, zanim został wybudzony ze śpiączki farmakologicznej i odłączony od respiratora. Pani Irena czuwała przy jego łóżku praktycznie bez

przerwy. Jak na złość jej wiedza na temat ostatnich wydarzeń była chyba nawet mniejsza niż Doriana. Powiedziała tylko, że została zawiadomiona przez lekarzy i skontaktowała się z Szymonem, który po tym natychmiast opuścił rekolekcje w Zakopanem i wyruszył z powrotem do Warszawy. Nie wiedziała natomiast, gdzie jest Kropidłowski ani co stało się z Klaudią. Wypytywała Doriana o zdarzenia w domu Strzelczyków, ale on niewiele pamiętał. Tylko migawki, obrazy, pojedyncze przebłyski.

Więcej dowiedzieli się, gdy do szpitala dotarł Szymon. Już po tym, jak wyglądał, domyślili się, że mogą oczekiwać wyłącznie złych wiadomości. Skóra wisiała na nim jak za duży kombinezon.

– Ta kobieta... Klaudia. Nie żyje - powiedział niemal szeptem.

– Chryste Panie! - Pani Irena zakryła usta dłońmi.

Dorian miał ochotę zrobić to samo, ale zabrakło mu siły.

– A proboszcz? - zapytał ochryple. - Co z nim?

Szymon zadrżał co najmniej tak, jakby usłyszał jakieś zakazane słowo.

– Został... - Przełknął ślinę. - Został zatrzymany przez policję.

– Co? - zawołała pani Irena. - Dlaczego?!

Szymon milczał. Spojrzał na sufit i zacisnął usta, a jego oczy zaczęły się błyszczeć.

– Szymon, do cholery! - ponaglił go ostrzej Dorian i kaszlnął.

Wikary spojrzał najpierw na niego, a potem na panią Irenę i wreszcie wydukał:

– Oni myślą, że o-on to zrobił...

– Proboszcz?! - Dorian uniósł brwi. - Ale... przecież... to niemożliwe!

– Ta kobieta zginęła, bo wbito jej w szyję ostro zakończony kawałek kafała.

– Tak. - Dorian przypomniał sobie jedną z ostatnich migawek przed utratą przytomności. - Ale to nie...

– Znaleźli na nim jego odciski, rozumiesz? - Po twarzy Szymona spłynęła pierwsza łza i wreszcie rozkleił się na dobre. Zakrył sobie usta dłonią, pokręcił głową i ciężko opadł na krzesło naprzeciwko łóżka.

– Czyje?!

– Proboszcza - zaszlochał. - Podobno wstępna ekspertyza wskazuje, że jedyną osobą, która tego dotykała, jest ksiądz Ludwik.

# ROZDZIAŁ VIII

Dorian miał taki mętlik w głowie, że błogosławił fakt, iż leży w łóżku, bo niechybnie straciłby równowagę i się przewrócił. Całkiem poważnie rozważał, czy po tym, jak ledwo uniknął utonięcia, coś w jego mózgu nie przestało działać jak należy i czy nie majaczy od niedotlenienia albo po lekach. Słowa Szymona nie miały żadnego sensu i nie potrafił połączyć ich w spójną całość. Ksiądz Kropidłowski, który jeszcze w niedzielę rozmawiał z nimi przy obiedzie, złoty i mądry człowiek, który wieloletnią ciężką pracą stworzył wspaniałą wspólnotę parafian i przywracał wiarę w kapłanów, nie mógł zostać zatrzymany i być podejrzewany o brutalne morderstwo. Nie mógł tego zrobić, bez względu na to, co mogły wskazywać dowody. Po prostu nie.

Następne dni minęły Dorianowi na bezustannych rozmyślaniach, napięciu, frustracji i złości. Rozmyślaniach, w których próbował poukładać sobie tę pogmatwaną historię. Nadal niewiele pamiętał z kluczowych wydarzeń. Napięciu i obawie o to, co stanie się z Kropidłowskim i co z tego wyniknie dla parafii, w której nagle zabraknie człowieka trzymającego wszystko w ryzach. Frustracji, że wciąż musiał dochodzić do siebie po tym, jak niemal się utopił, przez co w żaden sposób nie mógł pomóc, a wprost się do tego palił. Wreszcie złości, że musi czekać na wieści od Szymona, który jeżeli o czymś donosił, to oszczędnie, zwłaszcza że miał teraz na głowie obowiązki proboszcza, którego należało zastąpić.

O wszystkim oczywiście zawiadomiono kurię, a ta oddelegowała do sprawy mecenasa Wiesława Naumowicza - swojego najlepszego adwokata. Ten nawet wpadł do szpitala, aby porozmawiać z Dorianem. Zaznaczył na wstępie, że nikt nie

może się o tym dowiedzieć, bo oficjalnie nie wolno mu - jak się wyraził - wpływać na świadka.

- Ksiądz Ludwik jest niewinny! - upierał się Dorian. - Nie zrobiłby czegoś takiego! Nie miał powodów! Mogę za niego poręczyć.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to dwuznacznie, ale to wiara czy wiedza? - odpowiedział ponuro Naumowicz. - Oby to drugie, bo zaraz dostanie ksiądz wezwanie do prokuratury na przesłuchanie.

Dorian stracił impet, a drożność jego gardła ponownie się zmniejszyła.

- Widział ksiądz moment, w którym ona zginęła? - zapytał Naumowicz. - Tylko szczerze i między nami. Co ksiądz pamięta?

Dorian zamknął oczy, zmarszczył brwi i ścisnął palcami skronie, próbując wygrzebać cokolwiek z zakamarków umysłu. Cokolwiek więcej niż zbiór oderwanych od siebie klatek jak w porwanej taśmie filmowej, na domiar złego niezbyt szczegółowych. Tylko rozmazane obrazy i doznania, takie jak chłód wody albo zapach chloru. Żadnych wspomnień z tego, co Klaudia do nich mówiła, poza tym, że posługiwała się niskim, nieludzkim basem. Nie pamiętał nawet zbytnio, jak to się stało, że wpadł do basenu.

- Byłem w szoku - odpowiedział w końcu. - Wpadłem do wody i straciłem przytomność. Niewiele pamiętam. Ale to nie znaczy...

Naumowicz zareagował takim wyrazem twarzy, jakby poczuł nieprzyjemny zapach.

- Na tym właśnie polega problem - powiedział. - Wie ksiądz, co zeznał proboszcz?

- Co?

Mecenas wyciągnął telefon.

- Proszę wybaczyć, muszę to zacytować słowo w słowo, bo inaczej się nie da. Otóż zarzeka się, że kiedy wpadliście do basenu... - Westchnął i pokręcił głową. - Kiedy wy troje kotłowaliście się w wodzie, ten odłamek... oderwał się od podłogi i wbił w gardło denatki. Sam z siebie.

Dorian otworzył szerzej oczy. Słowa Naumowicza sprawiły, że coś sobie przypomniał: moment, w którym Klaudia z potężną siłą rzuciła w nich leżakiem. Ledwo zdążyli odskoczyć, ale Kropidłowski stracił równowagę i upadł, lecz zaraz wstał, podpierając się dłonią o...

– Tak! - ożywił się. - Mogło tak być! I dlatego znaleźli na tym kafelku jego odciski! Dotknął podłogi, kiedy wstawał po upadku. Przewrócił się, bo...

– Wiem - przerwał mu adwokat. - Opisał to ze szczegółami. Ale nie o to księdza pytałem. Musi mi ksiądz powiedzieć, czy widział, jak Klaudia Strzelczyk umarła. Całą prawdę.

– Nie widziałem - przyznał Dorian.

Naumowicz cmoknął z dezaprobatą.

– Jej rodzice też tego nie widzieli. Zeznali, że wpadli do basenu zaraz po księdzu. Oboje na jakiś czas stracili kontakt wzrokowy z córką i proboszczem. A kiedy wydostali się z wody, Klaudia już miała w szyi ten odłamek i krztusiła się własną krwią. Niedługo potem zmarła.

Dorian otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Już wiedział, do czego zmierza Naumowicz i na czym polega największa trudność tej sprawy.

– Nie wierzą? - wychrypiął gardłowym szeptem. Zrobiło mu się chłodno. - Śledczy nie dopuszczają możliwości, że mogły brać w tym udział nadnaturalne siły?

Naumowicz pokręcił głową ze smutną miną.

– Od razu zaznaczę, żeby nie było niedomówień: jestem praktykującym katolikiem i wierzę w zagrożenia duchowe. Naprawdę - oświadczył. - Ale proszę spróbować spojrzeć na to z perspektywy prokuratora albo sędziego. Dostają na biurko sprawę śmierci spowodowanej ciosem ostrym przedmiotem. Na tym przedmiocie znaleziono odciski jedynej osoby, która znajdowała się wówczas w pobliżu ofiary. Nikt poza nią nie widział, co naprawdę się stało. Do tego, jak robaczywa wisienka na torcie, dochodzą jej fantastyczne zeznania o latającym narzędziu zbrodni. Uwierzyłby w to ksiądz? Czy raczej oburzyłby się, że podejrzany chce księdza beczelnie okłamać tanią historią o duchach, albo wysłał go do wariatkowa? Szukałby w tej sytuacji wytłumaczeń, które nie współgrają ze świeckim, unormowanym porządkiem świata, czując na karku oddech opinii publicznej?

Dorian zatrzęsł się ze złości.

– Gdyby zobaczyli to, co my... - wycedził, zaciskając drżące pięści.

– Zrobię, co mogę - zapewnił Naumowicz. - Ale muszę być wobec was uczciwy. Okoliczności nam nie sprzyjają. Była już kiedyś podobna sprawa, na pewno ksiądz

o niej słyszał, z tą Niemką, An-neliese Michel, ale w niej dowody na jakąkolwiek winę lub zaniedbanie egzorcyzmujących księży były mniej oczywiste, a i tak dostali kary w zawieszeniu. Myślałem, że chociaż ksiądz coś widział. Gdybyśmy mieli zeznanie przynajmniej dwóch osób... A tak... czarno to widzę.

Dorian myślał gorączkowo. Nie, nie i jeszcze raz nie! To nie mogło tak się skończyć. To... coś nie mogło tak łatwo wygrać! Należało znaleźć punkt zaczepienia. Błąd. Jakikolwiek, choćby najmniejszy... Czy jest możliwe, że tak sprytny i potężny byt popełnił jakiegokolwiek niedopatrzenie?

Wiedział jednak, że to na nic. Na tym miała polegać siła planu tej istoty - że nikt, zwłaszcza policja i prokuratura, w to nie uwierzy. Że zeznania, w jakiegokolwiek słowa je ubrać, jakichkolwiek synonimów użyć, będą brzmieć jak wyjątkowo okrutna bajka albo bełkot szaleńca. Jak jeden wielki absurd.

- Jej rodzice widzieli, że była opętana... - powiedział cicho, znacznie wolniej i z o wiele mniejszym zacięciem niż przed chwilą. - Widzieli, jak wspina się po ścianach, i słyszeli, jak używa głosów, których żaden człowiek nie potrafiłby z siebie wydobyć. Rzuciła w nas leżakiem z siłą, na jaką normalnie nie byłoby jej stać.

- I co w związku z tym?

- Jak to co?! - zirytował się. - To dowody na demoniczną aktywność! Że w jej ciele coś było! To akurat możemy potwierdzić wszyscy!

Naumowicz pokiwał głową kilka razy, ale ze swoją miną równie dobrze mógł nią pokręcić i na jedno by wyszło. Westchnął.

- Młody ksiądz jest. Musi ksiądz jeszcze wiele się nauczyć o ludzkiej naturze. A zwłaszcza o tym, jak zachowują się ludzie, których spotyka taka tragedia.

- Co ma pan na my...? - zaczął Dorian, ale zaraz zrozumiał. - Nie... Chyba jej rodzice nie obwiniają nas o to, co się stało?

- Nie wiem. Nie mogę powiedzieć, że z ich dotychczasowych zeznań to wynika. Ale za długo pracuję w zawodzie, by nie brać pod uwagę tego czynnika. Tu też warto spojrzeć na to z ich perspektywy. Rodzic, który traci ukochane dziecko, jest zdesperowany, żeby uzyskać chociaż szczątkowe poczucie sprawiedliwości. Ktoś musi zostać ukarany.

- Oni tacy nie są - stwierdził Dorian, lecz pewność w jego głosie spadła o jeszcze jeden stopień. - Nie nagną zeznań. Sami przyszli do nas po pomoc. Muszą brać



pod uwagę, że...

– Ma ksiądz wielką wiarę w ludzi. - Naumowicz wstał i poklepał Doriana po ramieniu. - Ale to nie kościół i nie konfesjonał. Uciekam, bo mam jeszcze sporo roboty. Gdyby ksiądz przypomniał sobie coś więcej - wręczył mu wizytówkę - proszę dzwonić. Do widzenia!

Nim Dorian się obejrzał, jego rozmówcy już nie było. Trochę żałował, bo ciekawiło go, co Naumowicz właściwie miał na myśli, mieszając w tę sprawę kościoły i konfesjonały.

Sapnął, ułożył się w pościeli i wlepił tępe spojrzenie w sufit. Zrobiło mu się zimno, miał zeszywniałe wszystkie mięśnie.

Rozejrzał się po sali, w której leżał zupełnie sam. Nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że w tym konkretnym momencie coś obserwuje go z ukrycia i szyderczo się uśmiecha.

\* \* \*

Ze szpitala wypisano go kilka dni po zdarzeniu i od razu pojechał na przesłuchanie w prokuraturze. W zasadzie nie wiedział, dlaczego w ogóle mu na to pozwolono, bo wcale, ale to wcale nie czuł się lepiej. Bardzo chciał uczestniczyć w tej rozmowie w towarzystwie własnego pełnomocnika z kurii, jednak prokurator nie wyraził na to zgody. Szymona w ogóle to nie zaskoczyło.

– Uważaj na niego - powiedział, kiedy odwoził Dorianą. - Pracował nad kilkoma sprawami pedofilii w Kościele i w swoim CV ma kilku zapuszkowanych księży.

– Świetnie - odparł gorzko Dorian. - Masz dla mnie jeszcze jakieś dobre wiadomości? Albo krzepiące rady?

– Nie panikuj. Musimy próbować - stwierdził Szymon, choć w jego głosie nie było zbyt wiele przekonania. - Nic innego nam nie pozostało. Po prostu trzymaj się faktów. Nie kombinuj, nie kręć, mów samą prawdę, to, co pamiętasz, jak to widziałeś ze swojej perspektywy. Jeżeli czegoś nie widziałeś, nie twierdź, że widziałeś. Jeżeli czegoś nie pamiętasz, przyznaj się do tego. Bądź konkretny i pewny tego, co mówisz. Tak doradzał nam Naumowicz. A, i pamiętaj, że oficjalnie z nim nie rozmawialiśmy.

„To takie proste!” - podsumował ironicznie Dorian. Na myśl o tym, że miałby teraz grać pewnego siebie, chciało mu się wyc.

Dotarli pod prokuraturę. Dorian wysiadł z samochodu i spojrzał na gmach - szary, współgrający barwami z zachmurzeniem na niebie. Westchnął i z duszą na ramieniu wkroczył do środka. Szymon odprowadził go do okienka, w którym wypisano mu przepustkę, po czym musieli się rozdzielić.

- Powodzenia! - Poklepał go po ramieniu.

Dorian przeszedł przez bramkę z wykrywaczem metalu, a potem został skierowany pod odpowiedni pokój, z tabliczką o treści „prokurator Krystian Weynert” obok drzwi. Zapukał, a ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, nacisnął klamkę, lecz ostry głos natychmiast nakazał mu czekać na zewnątrz. Zażenowany tym, że koncertowo zepsuł pierwsze wrażenie, z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło naprzeciwko gabinetu.

Akurat przez korytarz przechodził łysy, masywny mężczyzna - spięty kajdankami i prowadzony przez dwóch policjantów. Maszerował wyprostowany, z dumną miną, kołysząc ramionami. Spojrzał na Dorianą z wyższością. Był żołnierzem potężnej grupy przestępczej, na której czele stał boss o pseudonimie Zet, i zostały mu postawione zarzuty wymuszeń rozbójniczych, kradzieży samochodów i kilkunastu pobić, łącznie z łamaniem kończyn...

Dorian zamrugał. Zaraz... Skąd właściwie to wiedział? Spotkał już kiedyś tego oprycha? Nie kojarzył twarzy.

- Pan Dorian Wach? - Jego myśli przerwał szorstki męski głos, ten sam, który wcześniej wygonił go z gabinetu.

Dorian szybko zapomniał o tamtym bandycie i spojrzał na mężczyznę w drzwiach - ubranego w elegancki garnitur, idealnie uczesanego, z hiszpańską bródką.

- Tak - niemal szepnął.

- Zapraszam. - Weynert odszedł od drzwi, nawet na niego nie czekając.

Dorian podniósł się z krzesła z taką trudnością, jakby nogi zamieniły mu się w skalne bryły. Wszedł do gabinetu, zastanawiając się, czy wszystko robi właściwie, czy zaraz nie usłyszy kolejnej reprymendy. Nie odważył się usiąść na krześle naprzeciwko biurka. Stanął pod drzwiami i milczał. Prokurator czytał coś na ekranie komputera.

– Na co pan czeka? - zapytał nagle. - Niech pan siada.

Dorian posłusznie podszedł do krzesła i usiadł, kuląc się jak garbaty. Było cholernie niewygodne. Weynert za to siedział w drogim skórzanym fotelu.

– Bez koloratki? - zapytał, wskazując szyję Dorigana. Teraz w jego głosie dla odmiany nie dało się dosłyszeć jakiegokolwiek emocji. Jakby przemawiał przez niego robot.

– Jadę prosto ze szpitala - odparł Dorian. Próbował sobie przypomnieć rady Szymona, ale ich niedawna rozmowa wydawała się snem z gatunku tych, które po przebudzeniu natychmiast ulatują z pamięci.

– To nie jest obowiązek? Nie zawsze musicie ją nosić w czasie wolnym?

Dorian nie miał pojęcia, do czego mają prowadzić te pytania, odpowiedział jednak zgodnie z prawdą:

– Nie zawsze.

– To dobrze.

Weynert ponownie spojrział na ekran komputera. Kliknął kilka razy.

– Poproszę dowód osobisty.

Dorian wręczył mu dokument. Prokurator położył go przed sobą i po kolei spisywał dane. W pewnym momencie oderwał wzrok od monitora i popatrzył na Dorigana. I choć jego głos nadal brzmiał jak syntezyator mowy, w oczach kryło się rozbawienie.

– Data urodzenia szósty czerwiec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku? Szkoda, że nie dziewięćdziesiątego szóstego, byłyby trzy szóstki!

Dorian nie docenił żartu.

– To orientacyjna data - odpowiedział sucho. - Tak naprawdę nie wiem, jaka jest prawdziwa.

– Nie wie pan? - zainteresował się Weynert.

– Jako niemowlę zostałem podrzucony do domu dziecka w Poznaniu. Ktokolwiek to zrobił, niestety nie dołączył karteczki z informacją, kiedy mam prawdziwe urodziny. Wymyślone imiona rodziców wpisał mi jakiś urzędnik, bo podobno jest taki obowiązek.

– Ciekawe. - Prokurator ponownie zerknął na dokument i przeczytał „Jan i Janina” w polu „imiona rodziców”.

Kiedy Weynert skończył spisywać dane osobowe, pouczył Doriana o prawach i obowiązkach świadka, po czym poinformował, że jest przesłuchiwany w jego charakterze w sprawie zabójstwa Klaudii Strzelczyk. Wreszcie rozsiadł się wygodnie w fotelu i wlepił świdrujące spojrzenie w rozmówcę.

– Jak długo zna pan Ludwika Kropidłowskiego? - zapytał.

– Od prawie półtora roku. Tyle pełnię posługę w jego parafii.

– Jaki to jest człowiek?

– Zasadniczy. Ale dobry i bardzo mądry. Zawsze gotowy do pomagania ludziom.

– Słyszałem. Jedyny kościół w Warszawie, który co niedzielę pęka w szwach. Obawiam się jednak, że teraz, kiedy jedna parafianka zginęła, może to trochę się zmienić.

Z tonu jego głosu w żadnym wypadku nie wynikało, że się tego obawia. Nie wynikało nawet, że odczuwa jakąkolwiek emocję. Dorian zaczynał mieć tego dosyć.

– Nie, jeżeli powiemy światu prawdę, a sąd przyjmie ją do wiadomości i uniewinni człowieka, który nie zrobił niczego złego. Klaudię Strzelczyk zabił demon.

– Demon, powiada pan.

Dorian poczuł, że napięcie, które narastało w nim, od kiedy wszedł do tego budynku, przekroczyło kolejną granicę. Znowu pomyślał o tym, co przeżył w dzieciństwie, a potem o zdarzeniach w domu Strzelczyków, i mimowolnie zacisnął pięści. Zdał sobie sprawę, że to przesłuchanie jest czystą stratą czasu. Prowizorką, formalnością, aby papiery się zgadzały. Nie chodziło nawet o to, że facet mu nie wierzył. On nienawidził księży. Chciał za wszelką cenę wsadzić Kropidłowskiego do więzienia, aby dopisać sobie kolejny skalp w CV i udowodnić, zwłaszcza przedstawicielom Kościoła, że wbrew powszechnej opinii nie są w Polsce bezkarni. Dorian był tego pewien, jakby czytał w prokuratorze jak w otwartej księdze.

– Demon - powtórzył. - Zły duch, jak kto woli. Personifikacja zła. Sługa diabła. Upadły anioł.

– Problem polega na tym, że kodeks karny nie uwzględnia istnienia takich sprawców.

– W takim razie może powinien?

Weynert nawet się nie poruszył.

– Proszę sobie darować dyskusje na temat prawodawstwa w tym kraju, bo nie ode mnie ono zależy. Spotkaliśmy się tutaj, ponieważ zginęła kobieta, która miała przed sobą solidny kawał życia. Wszystko wskazuje na to, że to sprawka pańskiego szefa. A pan był na miejscu i temu nie zapobiegł.

– Jak miałem zapobiec, skoro prawie się utopiłem?!

Weynert zignorował jego gwałtowną reakcję.

– Co tam robiliście? Jak w ogóle się tam znaleźliście?

Dorian trochę otrzeźwiał. Musiał się uspokoić, trzymać się faktów. Chodziło o dobro proboszcza.

– Chcieliśmy pomóc rodzinie, która przyszła do naszej parafii, prosząc nas o to.

– O jaką pomoc was poproszono?

– O egzorcyzm. - Nabrał powietrza i dodał z przekonaniem: - Klaudia była opętana przez złego ducha. Miała niepodważalne objawy tego stanu.

Weynert sięgnął po kartkę i coś z niej przeczytał.

– Słyszałem, że standardową procedurą w przypadku podejrzenia opętania jest najpierw wysłanie potencjalnej ofiary do psychiatry.

– Tak, i dokładnie to zrobił ksiądz Ludwik, kiedy Klaudia i jej matka przyszły do nas po raz pierwszy w ostatnią niedzielę.

– A jednak przeprowadził na niej rytuał zaledwie dzień później.

– Etap psychiatry można pominąć, jeżeli opętany wykazuje aktywności, które byłyby niemożliwe bez obecności złego ducha.

– Czyli jakie? Jakie aktywności wykazywała?

Dorian przyjrzał się prokuratorowi i teraz w jego głowie pojawiło się coś innego, jak gdyby to sobie przypomniał, choć był pewien, że nigdy wcześniej nie spotkał tego faceta. Weynert prowadził kiedyś sprawę, w której rodzice oskarżyli księdza katechetę o molestowanie córki. Incydent wyglądał tak, że dziewczyna potknęła się, a on w porę ją złapał. Nie było w tym żadnego seksualnego podtekstu, chciał tylko pomóc, nie dotknął jej w żadne intymne miejsce. Weynert o tym wiedział, wielu świadków potwierdziło tę wersję zdarzenia, lecz on z wielką ochotą i satysfakcją przyklepał temu człowiekowi z pomocą sądu dwa lata w zawieszeniu i zniszczył mu życie, przylepiając dożywnię łatkę zбочeńca.

– Pełzanie po ścianach wbrew prawu grawitacji - odpowiedział na pytanie prokuratora. Choć w środku wprost kipiał z wściekłości, czuł niewyjaśnioną kontrolę nad emocjami i język jego ciała nie dał o nich znać choćby najdrobniejszym tikiem. - Nadludzka siła. Posługiwanie się głosami, których normalnie nie miała prawa z siebie wydobyć. Zmiana wyglądu w taki sposób, że gdybyśmy nie wiedzieli, że to ona, praktycznie nie dałoby się jej rozpoznać. A przede wszystkim - chrząknął - wiedza o wszystkich naszych traumach, zmartwieniach i grzechach. Nawet takich, o których absolutnie nie mogła wiedzieć. Demon wykorzystywał ją, żeby nas skłócić, zachwiać naszą równowagą duchową. Gdy otacza go zła energia, staje się silniejszy.

– I chce mi pan wmówić, że Klaudia Strzelczyk wykazywała wszystkie te aktywności? Wiedziała o waszych mrocznych tajemnicach? - zapytał Weynert. Nawet nie drgnęła mu powieka. - Sam bym nie pogardził taką zdolnością. Jak można to uzyskać? Przydałoby mi się w pracy.

Dorian przywołał z pamięci obraz kobiety zwisającej w zacienionym kącie pomieszczenia. Jak zeskoczyła stamtąd z lekkością baleriny, mówiąc niewinnie do matki, że nic jej nie jest. Jej wyostrzone rysy. Drapieżny uśmiech. Czarne oczy. Niski, ochryply głos. Siłę nieadekwatną do jej postury i płci. Wyobraził sobie, że to nie on, tylko Weynert ma z nią do czynienia. Że widzi na własne oczy, co ona wyczynia, a jego wymuskaną gębę wykrzywia grymas przerażenia. Wreszcie - jak Klaudia wywleka wszystkie jego brudy, każdą sprawę, w której skorzystał z danej mu władzy i ukarał niewinnego człowieka. Jak wszyscy się o tym dowiadują, a ten urzędas jest skończony. Jak dostaje nauczkę, płacze i błaga o litość.

– Tak. Wykazywała - odparł ze spokojem. Gdyby dało się go zmierzyć, jego własny plasowałby się oczko wyżej niż rozmówcy.

Weynert przyjrzał mu się badawczo i przez jakiś czas milczał. Wreszcie odchrząknął i powiedział:

– Dobrze. Musimy to uporządkować i sporządzić protokół. Musi mi pan opowiedzieć ze swojej perspektywy całą waszą znajomość z Klaudią Strzelczyk. Od początku do końca, do samego egzorcyzmu i jej śmierci.

Dorian wykonał polecenie. Choć wciąż pamiętał niewiele kluczowych szczegółów, wyczuwał, że im dłużej opowiada o paranormalnej aktywności Klaudii, tym większy dyskomfort funduje temu dupkowi. Sprawiało mu to dziwną satysfakcję i mimo że nigdy nie uważał się za utalentowanego mówcę, teraz

wiedział, jakich słów użyć, by to pogłębić. I używał. Przynajmniej w ten sposób mógł się odegrać. Marna to satysfakcja, ale zawsze jakaś.

– Dlatego właśnie sędzę, że skoro proboszcz twierdzi, że ten odłamek kafelka sam oderwał się od podłogi, nie kłamie - zakończył. - Ponieważ tam, oprócz naszej piątki, był ktoś jeszcze. C o ś j e s z c z e . Niematerialny zły byt, który odpowiada za śmierć tej kobiety i chce, żebyście wsadzili za kratki niewinnego człowieka.

Weynert wpatrywał się w niego i, o dziwo, jako pierwszy odwrócił wzrok. Ponownie spojrzął na ekran komputera, kliknął coś i po chwili w gabinecie zaczęła pracować drukarka. Wyjął z niej protokół przesłuchania i położył przed Dorianem.

– Proszę sprawdzić, czy wszystko się zgadza, i jeżeli tak, machnąć parafkę na każdej stronie, a potem podpisać w zaznaczonych miejscach. Tylko czytelnie.

Dorian przeczytał i nie dostrzegł żadnych nieprawidłowości. Złożył podpisy, po czym przesunął kartki w kierunku Weynerta. Wlepił w niego zimne spojrzenie. Nawet nie musiał się starać, by nie mrugnąć.

– To wszystko - stwierdził prokurator. - Może pan iść. Do widzenia.

– Do widzenia.

Dorian wyszedł z gabinetu. A kiedy zamknęły się za nim drzwi, jakby się ocknął i otworzył szerzej oczy. Poczul się zupełnie inaczej, jak gdyby wyjście na korytarz przestawiło mu coś w głowie. Jakby samo to wyłączyło jego spokój sprzed chwili.

Odwrócił się i spojrzął niepewnie na drzwi, nie mogąc się nadziwić, jak dobrze udało mu się rozegrać to przesłuchanie. Nie spękał, w stosownym czasie opanował emocje, a jego zeznania dały Weynertowi do myślenia. Wiedział, że tak było. Dobre i to.

Ba, nawet udało mu się faceta przestraszyć. Nawet pomimo jego sceptycyzmu. To też wiedział.

Niemniej, kiedy teraz o tym myślał, nie miał pojęcia, jak mu to wyszło oraz czy kiedykolwiek potrafiłby to powtórzyć. Taka pewność siebie w tak trudnej sytuacji chyba jeszcze nigdy mu się nie przydarzyła. Czyżby tak się zestresował, że w pewnym momencie przestawił się na tryb autopilota i prowadził go instynkt?

Cóż, najważniejsze, że zrobił w tej rozmowie wszystko, co mógł, aby proboszcz został uniewinniony. Zdał egzamin. Co najmniej na czwórkę.

Ta myśl dodała mu otuchy i szedł schodami do holu, w którym czekał na niego Szymon, z o wiele większą energią, niż kiedy pokonywał je w przeciwną stronę.

\* \* \*

Prokurator Krystian Weynert zagłębił się w fotelu, kładąc przedramiona na oparciach. Myślał intensywnie, kręcąc się w tę i z powrotem. Zastanawiał się, co mu właściwie nie pasuje w mężczyźnie, z którym przed chwilą rozmawiał, pomijając fakt, że należał do najbardziej znienawidzonej przez niego grupy społecznej. Być może przyczynił się do śmierci kobiety i najprawdopodobniej naginał rzeczywistość, byleby uchronić szefa przed więzieniem, które w obliczu zebranych dowodów było tylko kwestią czasu.

Sięgnął po protokół przesłuchania i raz jeszcze przeczytał zeznanie. Wzdrygnął się, co zdziwiło nawet jego samego. Choć był ateistą i nie wierzył w te bzdury, musiał przyznać, że ta historia, przedstawiona z perspektywy Wacha, lekko go zaniepokoiła. Opowiedział mu właściwie to samo, co Kropidłowski, ale nie chodziło o treść. Bardziej o sposób, w jaki to zrobił.

Weynert przysięgłby, że kiedy młody ksiądz zaczął opowiadać o demonach, usłyszał w jego głosie nutkę... fascynacji? Podziwu? I czy naprawdę po twarzy Wacha przemknął wtedy ledwo zauważalny cień uśmiechu? Czy tylko mu się wydawało?

Wstał i nalał sobie szklankę wody. Upił kilka łyków, po czym wrócił za biurko, zdjął marynarkę i poluznił krawat. Od razu poczuł się lepiej, choć było mu przeraźliwie gorąco.

Tak, musiało mu się przesłyszeć i przywidzieć. Dorian Wach nie mógł wtedy się uśmiechnąć, a kiedy wspominał o zmienionym wyglądzie kobiety, rysy jego twarzy nie mogły na ułamek sekundy się wyostriżyć...

Weynert odstawił szklankę na biurko i raz jeszcze wziął do ręki protokół. Zwrócił uwagę na podpisy złożone pod dokumentem. Zmrużył oczy i przyjrzał im się.

Możliwości były dwie. Albo facet miał okropny charakter pisma, albo naprawdę napisał obie litery „A” w swoim imieniu i nazwisku... do góry nogami.



# R O Z D Z I A Ł     I X

Wieść o tragicznym egzorcyzmie, który zakończył się tymczasowym aresztowaniem proboszcza i sprawą dla prokuratury, szybko rozniosła się po Warszawie. Przez kilka kolejnych dni Dorian, Szymon i pani Irena musieli mierzyć się z licznymi wizytami wiernych i dziennikarzy, którzy wypytywali o szczegóły zdarzenia. Ku dezaprobachie Szymona kuria zabroniła rozmawiać o tym z mediami, więc odsyłali ich przedstawiciele do jej rzecznika prasowego.

– To zły pomysł - powtarzał, kiedy zostawali sami. - Z zewnątrz wygląda to tak, jakbyśmy mieli coś do ukrycia. I ludzie właśnie tak to odbiorą.

Kiedy przychodzili do nich parafianie, których Szymon znał i którym ufał, nie stosował się do zakazu biskupa i opowiadał o sprawie ze wszystkimi szczegółami, prosząc, by nie rozgłaszali, że dowiedzieli się o tym od niego. Ich postawa mogła budować. Przejmowali się, pytali, jak mogliby pomóc, oraz deklarowali gorliwą modlitwę.

Dorian był wdzięczny Szymonowi, że ten, pomimo nawału obowiązków, jakie przejął po proboszczu, jeszcze odciążył go od rozmów z ludźmi. Nie czuł się na siłach opowiadać o tym każdemu, kogo to interesowało, do tego mroziło go na samą myśl, że jego twarz może pojawić się w mediach i że zobaczy ją Ewa. Zamknął się w swoim pokoju i większość czasu przesypiał. Był osłabiony i znowu pogorszyło mu się samopoczucie. Jego podrażnione gardło znacznie utrudniało śpiew, odwołał więc próby ze scholą, zresztą i tak nie miał nastroju do grania optymistycznych pieśni. Szymon tymczasowo zwolnił go z odprawiania mszy świętych, argumentując, że teraz najważniejsze jest, by wrócił do zdrowia. Dorian dziękował również Opatrzności za to, że Hubert najwyraźniej był na tyle zajęty

artykułem o Volkodlaku, że całe to zamieszanie chyba go ominęło. Na razie nie próbował z nim się skontaktować. Napisała za to do niego pani Beata, jego psycholożka. Pytała, czy wszystko w porządku. Skłamał, że tak, głównie po to, żeby uniknąć następnych pytań. Wiedział jednak, że prędzej czy później będzie musiał do niej się wybrać, aby znowu posprzątała mu w głowie.

Kiedy nadeszła kolejna niedziela, uznał, że nie może dłużej nadużywać uprzejmości Szymona i musi wreszcie wyjść z dziupli. zaproponował, że poprowadzi nabożeństwo o dziewiątej - pierwsze, na którym kościół zwykle się zapełniał. Odczuwał zaskakującą treść, jakiej nie doświadczył nawet przed swoim debiutem za ołtarzem, a z każdą minutą przybliżającą go do rozpoczęcia Eucharystii narastały w nim wątpliwości, czy aby na pewno jest gotowy do tak odpowiedzialnego zadania. Ku niezadowoleniu pani Ireny zjadł bardzo małe śniadanie, a kiedy przebierał się w zakrystii, stał na miękkich nogach.

– Dorian.

Głos zaskoczył go tak, że aż się wzdrygnął. Nawet nie zorientował się, kiedy Szymon pojawił się w pomieszczeniu. Spojrzał na niego pytająco. Szymon był blady i wyraźnie czymś przejęty. Odciągnął go na stronę i powiedział cicho, żeby nie słyszeli tego ministranci:

– Chyba szykuje się prowokacja.

Dorian z początku nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Prowokacja...?

Szymon spojrzał w stronę wyjścia do prezbiterium.

– Do kościoła wchodzi jacyś ludzie z transparentami. Nie kojarzę ich z widzenia. Nie wiem, co mają tam napisane, ale przeczuwam, że raczej nie słowa otuchy i wsparcia.

Dorian otworzył szerzej oczy i głośno przełknął ślinę.

– Chcesz, abym cię zastąpił? - zapytał Szymon.

Dorian zdał sobie sprawę z narastającego ucisku w żołądku. Oczami wyobraźni już widział, co się stanie. Ludzie ci z dużym prawdopodobieństwem zakłócą mszę. Może zaczną coś krzyczeć. Ktoś spróbuje ich powstrzymać, może wyprosić z kościoła. Zrobi się zamieszanie, wiele osób wyciągnie smartfony i zacznie nagrywać zajście. Filmiki oczywiście wyciekną do Internetu, a wizerunek Doriana zostanie upubliczniony. Informacja o incydencie prawie na pewno pojawi się

w mediach, co znowu zrodzi ryzyko, że natrafi na nią Ewa i go rozpozna. A wtedy, w połączeniu z tragedią, w którą był zamieszany, prawie na pewno mógł się spodziewać, że jego życie wywróci się do góry nogami.

– Nie, dam sobie radę - usłyszał swój głos. Ochrypli, niemający w tym momencie w zasadzie żadnej barwy.

– Jesteś pewien?

Oczywiście, że nie był.

– Tak.

Szymon spojrział na Doriana ze współczuciem i poklepał go po ramieniu.

– Będę w pobliżu. Gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, spróbuję zadziałać.

Opuścił zakrystię, a Dorian do ostatniego momentu walczył z pokusą, by go zatrzymać i powiedzieć, że jednak zmienia zdanie. Jego lęk przed tym, co miało niechybnie się wydarzyć, narastał. Nie mógł się skupić, a kolejne pytania i myśli mnożyły się w jego głowie jak drożdże przez pączkowanie.

Ilu ludzi przybędzie na mszę? Jak będą na niego patrzeć? Z wyrzutem? Oskarżycielsko? Neutralnie? Czy zjawią się jacyś dziennikarze, którzy będą chcieli skorzystać z okazji, że po raz pierwszy od śmierci Klaudii Strzelczyk pokazał się publicznie? Jak podejda do tej tragedii ci, którzy usłyszeli o niej z plotek albo z mediów? Zrozumieją? Uwierzą? Czy może przeciwnie - wydadzą własny wyrok i uznają, że Kropidłowski jest winny? A może sam proboszcz im nie wystarczy? Co stanie się, gdy grupa z transparentami rzeczywiście zakłóci nabożeństwo? Co Dorian ma wtedy zrobić? Spróbować to zignorować czy wdać się w dyskusję? Czy to w ogóle wykonalne, by wytłumaczyć tym ludziom, że nie mógł zapobiec śmierci kobiety, ponieważ wpadł do basenu i prawie utopił się po tym, jak...

Zesztywniał i otworzył szerzej oczy. Coś sobie przypomniał. Jedną z brakujących migawek z tamtych wydarzeń, która jednak natychmiast uleciała mu z pamięci. Coś, co wydarzyło się bezpośrednio przed tym, jak wpadł do wody. Co to było?

Organista zaczął grać pieśń na rozpoczęcie mszy, ale Dorian nawet tego nie zauważył. Ogarnął go jeszcze większy lęk. Rozbolała go głowa, zaczął się pocić, a serce łomotało mu jak młot pneumatyczny. I to narastające klucie w splocie słonecznym...

– Proszę księdza? - odezwał się jeden z ministrantów. Dorian zamrugał i spojrzał na nich. Patrzyli na niego wyczekująco.

– Wychodzimy? - zapytał nieśmiało chłopiec, wskazując prezbiterium.

– Tak.

Zmusił się, by pomaszerować naprzód i pociągnąć za sznur pod dzwonkiem przy wyjściu z zakrystii. Z każdym krokiem jego nogi zdawały się coraz cięższe. Kiedy spojrzał w stronę wiernych, rzeczywiście zobaczył z boku świątyni grupę kilkunastu osób, które unosiły transparenty o treści: „Mordercy!”, „Dość bezkarności kleru!”, „Mafia w sutannach”, „Najpierw molestowanie dzieci, potem mordowanie dorosłych. Kto następny?” i podobne. Na razie jednak ludzie ci stali cicho i nic nie mówili. Dorian z trudem odwrócił od nich wzrok, a kiedy klękał przed tabernakulum i wielkim obrazem przedstawiającym Chrystusa nad ołtarzem, spuścił pokornie głowę. Tymczasem klucie pod mostkiem stało się tak dokuczliwe, że autentycznie nie mógł nabrać oddechu.

Podczas gdy organista kontynuował pieśń, Dorian dalej klęczał odwrócony tyłem do wiernych, wzbudzając konsternację ministrantów. Nie mógł rozprostować nóg, jakby ciężenie ziemskie działało kilka razy silniej niż normalnie. Mało tego, nie był w stanie nawet unieść głowy. Zdał sobie sprawę, że tego nie chce. Że się tego boi. Nie potencjalnego incydentu z udziałem nieprzychylnych mu ludzi, ale spojrzenia na ten obraz. Że to on potęguje w nim lęk, który rozpoczął się wraz z momentem, kiedy postanowił, że odprawi dzisiaj mszę.

Nie. Uświadomił sobie, że bał się już wcześniej, w mniejszym stopniu, ale jednak.

Od kiedy wrócił na plebanię po przesłuchaniu w prokuraturze.

Po jego czole spływał strumień potu. Co on tutaj w ogóle robił? Jak doszło do tego, że się tu znalazł? Co go podkusiło, żeby tu wejść? Wyczuwał wszędzie wokół obecność świętych symboli i swoistą energię, jaką emanował kościół. Zdawało mu się, że to wszystko na niego patrzy, że skupiają się na nim nie tylko oczy wiernych.

„Widzę cię!” - usłyszał głos młodego mężczyzny. Ciepły, choć stanowczy. „Widzę cię, potworze! Jak śmiesz tu wchodzić? Jak śmiesz przekraczać progi domu mojego ojca?”

Nie chciał tutaj być. Chciał uciec. Ale nie mógł. Nie mógł się ruszyć, a moc tego miejsca powodowała u niego coraz większy dyskomfort, wręcz ból. Zaczął dygotać i tracić władzę nad myślami, które zamieniły się w zlepek mglistych obrazów i słów.

„Wynoś się stąd!”

Głos go przerażał. Miał nad nim władzę. Dorian musiał mu się poddać. Ale nie był w stanie się podnieść. Teraz potrafił jedynie się bać.

Padł na podłogę, wzbudzając niespokojny pomruk wśród zgromadzonych. Zaczął więc się w konwulsjach, jakby doznał ataku padaczki. Wygiął się do tyłu, wywrócił oczy, a w ustach pojawiła się piana. Zacisnął zęby tak mocno, że prawie odgryzł sobie język. Jego skóra zrobiła się przeraźliwie blada, niemal sina.

– Proszę księdza! - zawołał jeden z ministrantów i doskoczył do Dorigana, a za nim pozostali.

Nie słyszał ich, podobnie jak coraz głośniejszych reakcji wiernych i ich kroków, kiedy wbiegali do prezbiterium, chcąc udzielić mu pomocy i krzycząc do chłopców, aby go nie dotykali. Stracił świadomość, do samego końca wypełniony bólem, lękiem i pokorą. Do samego końca czuł też spojrzenie oczu postaci z obrazu nad ołtarzem.

Oczu, które prześwietlały go na wylot.

# ROZDZIAŁ X

– Zdarzało się to mu już wcześniej?

Dorian poruszył się, ale nie otwierał oczu. Nie miał na to siły. Nie był pewien, czy ten obcy głos naprawdę rozległ się w pobliżu, czy stanowił tylko element jego majaków.

– Nie, nigdy.

Znowu rozpoznał głos pani Ireny. Była bardzo zmartwiona i niepokoiła się o niego. Wiedział, że kocha go matczyną miłością bardziej niż syna, który wyemigrował do Ameryki i nie utrzymywał z nią kontaktu. Dorian w pewnym sensie go staruszce zastępował. Był jej wymarzonym dzieckiem - przystojnym, sympatycznym, zaradnym i utalentowanym. Każdego dnia ulegała pokusie i pielęgnowała w sobie uczucia do niego, którym jednak towarzyszyły ból i poczucie winy, że wcześniej zawiodła jako matka. Teraz to sobie odbijała, traktowała go lepiej niż rodzzonego syna, mimo iż podświadomie czuła, że to nie jest w porządku.

– Jest cukrzykiem? Ma problemy z alkoholem albo z narkotykami?

– Mój Boże, nie! O niczym takim nie wiem.

– A ksiądz?

– Ja również pierwsze słyszę. Tydzień temu niemal się utopił. Myśli pan, że to może być przyczyną?

Rozpoznał głos Szymona. On też martwił się o Dorianą, ale w równych proporcjach mieszało się to z obawą, czy poradzi sobie pod nieobecność proboszcza. Nachodzili go wierni i dziennikarze, do tego wydarzył się ten

incydent z ludźmi z transparentami na mszy. Szymon już teraz miał tyle obowiązków, że zwyczajnie go to przerastało. Był zestresowany, przemęczony i najchętniej przekazałby je komuś innemu, a sam pozostał jedynie szeregowym wikarym. Na domiar złego właśnie tracił pomocnika, który mógłby choć w części go odciążyć.

– Sprawdzimy to. Podaliśmy mu relanium, pobraliśmy krew i mocz. Zrobimy też tomografię głowy.

Dorian nie rozpoznał mężczyzny, który z nimi rozmawiał. Wiedział za to, że jest lekarzem i obwinia się, że przez błąd w leczeniu niedawno mógł się przyczynić do śmierci pacjenta. Rodzina zmarłego nie potrafiła z tym się pogodzić i groziła mu zgłoszeniem sprawy do prokuratury. Jakby tego było mało, zmagął się z problemami osobistymi. Związał się z rozwódką, która miała córki z poprzedniego małżeństwa. Nie chciały go zaakceptować, choć próbował już miliona sposobów.

– Głowy? - zapytała z niepokojem pani Irena. - Myśli pan, że on... ma raka?

– Miejmy nadzieję, że nie, ale nie możemy tego wykluczyć. Musimy to sprawdzić.

– Będę mogła z nim zostać?

– Jest pani z rodziny?

– Ksiądz Dorian nie ma rodziny! - odpowiedziała z irytacją. - Wychował się w domu dziecka! Ma tylko nas.

– Rozumiem. W porządku. Ale na państwa miejscu, póki jest nieprzytomny, przywiózłbym do szpitala jego rzeczy. Może tu trochę poleżeć. Jeżeli tomografia nic nie wykryje, zrobimy rezonans, ale najwcześniej jutro. Do tego czasu musi zostać na obserwacji.

– Ja pojedę, a pani niech z nim zostanie - zaproponował Szymon.

– I ostrzegam - dodał lekarz - kiedy odzyska przytomność, przez jakiś czas może trochę... błędzić.

– To znaczy?

– Może być niepewny, spowolniały, podsypiający i nic nie pamiętać. Ale po takim ataku to zupełnie normalne.

– Normalne... - powtórzyła gorzko pani Irena. - Chryste Panie... Złapała go za rękę. Dorian wiedział, że to ona, choć nie otwierał oczu. Zmartwienia były od niej

jak zapach. Poza nimi wyczuł coś jeszcze. Jej problemy zdrowotne. Podwyższone ciśnienie i problemy z sercem, z ryzykiem zawału włącznie.

Nic z tego nie rozumiał. Nie pamiętał nawet, jak i dlaczego tu się znalazł. Dlaczego leżał i nie miał siły otworzyć oczu.

Oslabiony, ponownie odpłynął w czerni.

\* \* \*

Kiedy odzyskał przytomność, wciąż był lekko otępiały. Musiało minąć trochę czasu, zanim w pełni odzyskał władzę nad umysłem i mógł porozmawiać z lekarzem, który zapytał go o to samo, co panią Irenę i Szymona. Dorian odpowiadał zgodnie z prawdą: nie miał problemów z alkoholem ani z narkotykami, a podobny atak nigdy wcześniej mu się nie przydarzył. Co do cukrzycy - wedle swojej wiedzy na nią nie cierpiał, ale nie mógł wykluczyć, że wiedza nie pokrywa się z faktami.

- Poziom cukru jest w porządku - odpowiedział lekarz, przeglądając kartki z jego wynikami. - Morfologia i elektrolity też. Nie wykryliśmy obecności alkoholu ani innych substancji odurzających. Tomografia głowy również nie pokazała żadnych odstępstw od normy.

- Czyli wciąż nic nie wiemy? - zapytała pani Irena.

- Rezonans może pokazać zmiany, których nie wykryła tomografia. Zrobimy też EEG. W każdym razie według dotychczasowych wyników jest ksiądz zdrów jak ryba i obyśmy tak samo orzekli po pozostałych. Jak się ksiądz czuje?

Dorian spojrzał na niego, próbując przebić się przez natrętne myśli, które same wpadały mu do głowy.

(Poczucie winy. Błąd w leczeniu. Strach przed pozwem. Problemy osobiste. Obawa przed kolejną pomyłką).

Zamrugął kilka razy i lekko pokręcił głową.

- Chyba dobrze.

- I tego się trzymajmy. Pozytywne nastawienie to jedno z najlepszych lekarstw. - Lekarz złożył kartki z jego wynikami. - Proszę leżeć i odpoczywać. - Wyszedł z sali.



– Tak się przestraszyłam! - zawołała pani Irena. - Ksiądz w ogóle cokolwiek pamięta?

Dorian próbował się skupić, ale nie mógł. W jego umyśle pojawiały się coraz to nowe kwestie, które zaburzały mu odbiór rzeczywistości.

(Poczucie winy i straconej szansy. Brak kontaktu z synem. Tęsknota za zmarłym mężem...)

„Co jest, do cholery?!”

– Nie... nie pamiętam - wymamrotał, mrugając intensywnie. Kręciło mu się w głowie i poczuł mdłości.

– Kiedy ksiądz upadł, chłopcy próbowali księdza podnieść - powiedziała - ale, Bogu dzięki, na mszy był jakiś lekarz, który wiedział, co robić. Krzyknął do nich, żeby tego nie robili. Zdjął bluzę i podłożyli ją księdzu pod głowę. Mówił, że trzeba to przeczekać, ale atak nie ustępował, więc wezwaliśmy pogotowie. Uspokoił się ksiądz dopiero wtedy, gdy wniesiono go do karetki. Podano księdzu jakiś zastrzyk i zawieziono na SOR...

(Obawa o zdrowie i życie Doriana. Obawa o los księdza Kropidłowskiego. Problemy z sercem...)

Zamknął oczy i przycisnął sobie palce do skroni. Jęknął cicho.

– Proszę księdza? - Pani Irena spojrzała na niego z niepokojem. - Wszystko w porządku?

(Narastający strach o jego zdrowie i życie. Rozważanie czarnych scenariuszy, co stałoby się, gdyby umarł. Lęk. Jeszcze więcej lęku).

Wciąż nie otwierał oczu i nabrał głęboko powietrza. Spróbował oczyścić umysł.

– Tak - odpowiedział i wreszcie na nią spojrzał. - Przepraszam, chyba mam po tym wszystkim jakąś... nerwicę natręctw. Myśli kołaczą mi się w głowie tak, że nie mogę się skupić.

– Zawołam doktora. - Wstała.

– Nie, nie, pani Irenko! Nie trzeba. To zaraz przejdzie.

Nie przeszło. Im dłużej z nim siedziała, tym więcej myśli tego typu wpadało mu do głowy, a kiedy Szymon przyjechał z jego rzeczami i dotrzymywali Dorianowi towarzystwa we dwoje, zyskało to na intensywności i częstotliwości co najmniej drugie tyle. Niektóre migawki składały się z całych historyjek, w których głównym

bohaterem było jedno z nich, nierzadko o wiele młodsze niż obecnie. Dorian zobaczył na przykład kłótnię czterdziestoletniej pani Ireny z jakimś mężczyzną, po której ten wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Wiedział, że to jej mąż, choć nigdy go mu nie pokazywała, przysięgłby, że dotąd nie widział nawet jednego jego zdjęcia. W innej scenie z kolei zobaczył ją płaczącą na czyimś pogrzebie. A potem Szymona, kiedy ten, już jako kapłan, trochę za długo przyglądał się skąpo ubranej kobiecie albo kiedy - o wiele młodszy - z premedytacją skłamał ojcu w jakiejś błażej sprawie, bo bał się lania.

Kiedy od niego wyszli, myśli niemal natychmiast ustąpiły. Dorian poczuł ulgę, jakby właśnie zakończył potężny wysiłek umysłowy. Była tak kojąca, że zaraz ogarnęła go senność, a na dalsze rozważania, co się wydarzyło, zwyczajnie nie miał siły. Wymiętosił policzki, przykrył się kołdrą i zamknął oczy. Zasnął bardzo szybko.

Niedługo potem pod skórą na plecach Doriana pojawiła się jak gdyby płaskorzeźba szponiastej dłoni. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund i zniknęła w głębi ciała jak pod taflą wody.

# R O Z D Z I A Ł    X I

Dorian otworzył szeroko oczy. Była noc, ale nie leżał w łóżku. Znajdował się na zewnątrz i siedział na pionowej ścianie szpitala.

Rozluźnił się nieco. Coś takiego nie mogłoby się wydarzyć w prawdziwym życiu. Czyli to musiał być sen, tym razem świadomy. Słyszał o takim zjawisku i od dawna ciekawiło go, jak to jest - śnić i wiedzieć, że to się dzieje. Podobno wiązały się z tym fantastyczne możliwości i można było poczuć się jak w bajce - latać, walczyć z potworami albo spotkać wymarzoną kobietę. Kierować snem tak, jak ma się na to ochotę.

Było mu gorąco. Ściągnął górę od piżamy i rzucił ją w krzaki kilkanaście metrów niżej. Niewiele mu to pomogło, żar omiatający jego ciało nie ustawał. Do tego zdał sobie sprawę, że słyszy nieokreślony szmer. Jakby zgiełk, kakofonię, gwar. Znajomy, przypominający natrętne myśli, z którymi zmagał się przez cały wieczór, kiedy rozmawiał z Szymonem i panią Ireną. Tym razem jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie pochodzą bezpośrednio z jego głowy, ale jakby z zewnątrz. Jak gdyby coś emitowało fale, które odbierał niczym radio. Stwierdził z zaskoczeniem, że to zjawisko sprawia mu dziwną przyjemność.

(Zdrada. Niewierność. Zwierzęcy popęd. Kłamstwo. Hipokryzja).

(Zło).

Rozejrzał się z zaciekawieniem i z grubsza określił źródło tego sygnału. Brzmiał jak wezwanie. Jak zew, nawoływanie, które go przyciągało. Coś wręcz błagało, by do tego przyszedł. Chciał tego. Nie mógł się oprzeć.

Zaczął pełznąć w dół po ścianie i zeskoczył z co najmniej sześciu metrów, nie robiąc sobie żadnej krzywdy. Czuł niesamowitą lekkość, jakby ważył tyle co karton albo blok styropianu. Wystrzelił przed siebie jak pocisk, podążając za tym bezosobowym nawoływaniem, prowadzony instynktem, szóstym zmysłem, który wskazywał mu drogę. W ogóle się nie zmęczył, nawet się nie zasapał, jakby stracił płuca, jakby przestały być w ogóle potrzebne.

(Chciwość. Nierząd. Upadek zasad. Strach).

(Zło).

Niedaleko szpitala znajdowało się kilka luksusowych apartamentowców. Dorian z łatwością przeskoczył wysokie ogrodzenie niczym sprinter podczas biegu przez płotki. Uniósł głowę i się uśmiechnął. Już niedaleko. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale wiedział, do jakiego okna powinien się dostać.

Podszedł do zewnętrznej ściany budynku i zaczął po niej się wspinać. Ot tak, jakby szedł na czworakach i prawo grawitacji go nie dotyczyło. Wreszcie dotarł do okna na najwyższym piętrze i zajrzał do środka. Wnętrze rozjaśniało słabe światło małych zapachowych świec. Zobaczył parę uprawiającą dziki, wyuzdany seks. Dziewczyny nie znał, ale mężczyznę jak najbardziej, choć nie osobiście. Często pojawiał się na ekranach telewizorów. Był to Jakub Sirojć, znany polityk, który jak mantrę powtarzał postulaty o konieczności obrony konserwatywnych wartości, takich jak rodzina, wiara i tradycja - jego zdaniem fundamentów europejskiej cywilizacji. Kilka razy pojawił się w mediach ze swoją żoną i dziećmi, swego czasu nawet zorganizował z nimi sesję zdjęciową, której rezultaty wykorzystał na plakatach podczas kampanii wyborczej. Teraz jednak małżonka mu nie towarzyszyła. Dorian był tego pewien na sto procent. Nie dlatego, że pamiętał, jak wyglądała. Po prostu wiedział, i już.

(Zdrada. Niewierność. Zwierzęcy popęd. Kłamstwo. Hipokryzja). (Zło).

Dziewczyna, z którą bawił się Sirojć, też miała swoje mroczne sekrety. Była bardzo ładna i miała najwyżej dwadzieścia lat. Dorian nie wiedział dokładnie ile, nie wiedział nawet, jak ma na imię. Wiedział za to, że pochodzi z biednej rodziny z jakiejś wioski na Podlasiu i wcześniej nie stać jej było na wynajem mieszkania na studia. Nie wiedział, co studiuje i na jakiej uczelni, wiedział za to, że zamiast znaleźć normalną pracę, trudniła się luksusową prostytutką. Osiemset złotych za godzinę, sześć tysięcy za noc. Znał nawet jej serwis. Klasyk w zabezpieczeniu, pozycja sześć na dziewięć, GFE, lizanie jąder, oralny bez zabezpieczenia, finał

możliwy na twarz i z polykiem. Głębokie gardło i seks analny - tylko za dopłatą. Wykluczone jedynie gwałt i rimming. Dziewczyna godziła się na to wszystko, choć bała się chorób wenerycznych, ale i tak mniej niż tego, że ktoś bliski odkryje jej podwójną tożsamość. Nie dało się ukryć, że odkąd odważyła się rozpocząć karierę w tej branży, standard jej życia znacznie się poprawił. Przyzwyczała się do pewnego poziomu i nie zamierzała prędko zrezygnować. Na uczelni pewien bardzo sympatyczny chłopak próbował ją poderwać, ale zwodziła go. Nie była pewna, czy po tym, co przeżywała w pracy (jak to nazywała), potrafiłaby jeszcze spojrzeć na mężczyznę jak na potencjalnego partnera. Czy jeszcze potrafiłaby kochać.

(Chciwość. Sprzedawanie swojego ciała za pieniądze. Upadek zasad. Strach).

(Zło).

Dorian wytrzeszczył oczy i wpatrywał się w rzezoną parę, jakby oglądał film porno. Doświadczał całej gamy doznań, nie tylko wizualnych. Choć od sceny oddzielało go zamknięte okno, czuł świeży zapach dziewczyny i piżmową woń perfum mężczyzny. Słyszał jęki i rytmiczne plaśnięcia ich miednic, dopełnione cichym skrzypieniem łóżka. Czuł dotyk - jakby to on ścisnął modelowe pośladki dziewczyny, ale jednocześnie jakby to on był dotykany. Zew, który przyciągnął go tu jak ćmę do światła, wybrzmiewał mu w głowie coraz głośniejsze. Niemal namacalnie czuł negatywną energię emanującą z tego pokoju. Omiotła go, jakby chciała przytulić, wziąć w objęcia.

To mu jednak nie wystarczało. Im dłużej wisiał na tej ścianie, tym większy czuł niedosyt. Chciał być bliżej. Słyszeć lepiej. Czuć mocniej. Dotrzeć do samego źródła.

Uderzył dłonią w okno. Była znacznie większa niż normalnie i kończyły ją długie, czarne, sztyletowe pazury. Sirojć i prostytutka przerwali stosunek. Spojrzeli na niego - najpierw ze zdziwieniem, potem z zaskoczeniem, wreszcie z szokiem, który szybko zamienił się w przerażenie. Ich strach tylko spotęgował negatywną energię tego miejsca, sprawił, że stało się jeszcze bardziej pożywne. Dorian przestał myśleć. Uderzał coraz mocniej i szybciej, niczym pijak, który na największym alkoholowym głodzie próbuje dostać się do meliny. Uśmiechał się pożądliwie. Tak blisko... Jeszcze tylko trochę... Chciał przestraszyć ich bardziej, zrobić coś szalonego, co zagęściłoby atmosferę. Stał okrakiem w oknie, odchylił się i z całej siły uderzył o nie czołem. Nie poczuł bólu. Odchylił się ponownie

i uderzył drugi raz. A potem trzeci. I kolejny. I następny. Uśmiechał się coraz szerzej. W nocnej ciszy rozlegały się tylko uderzenia jego głowy o szybę.

Wreszcie jedno z nich dopełnił szklisty odgłos kruszenia się.

Kiedy Dorian brał ostatni zamach, tamci zerwali się z łóżka i wybiegli z pokoju.

\* \* \*

Obudził się i nabrał powietrza, poruszając się gwałtownie. Rozejrzył się. Był pochmurny poranek. Leżał w łóżku, pod kołdrą, sam w szpitalnej sali. Z korytarza dochodziła zwykła gama dźwięków krzątania na oddziale.

Usiadł i przetarł zaspane oczy. A kiedy zsunęła się z niego kołdra, zdał sobie sprawę, że nie ma góry od pizamy.

Oderwał dłonie od twarzy i rozejrzył się wokół łóżka, zajrzał także pod kołdrę i poduszkę, ale nie znalazł zguby.

„Co jest...?”

– Dzień dobry! - Do sali wkroczyła pielęgniarka. - Jak samopoczucie?

Dorian z trudem odciągnął myśli od zaginionej części garderoby i spojrzał na kobietę. Jeszcze trudniej przyszło mu skupić się na tym, o co pytała. Dowiedział się bowiem, że pielęgniarka nienawidziła swojej pracy, twierdziła, że zarabia za mało, i codziennie przychodziła do domu w podłym nastroju, przez co nie układało jej się w związku. Wyładowywała frustrację na mężu i często się kłócili. Do tego czuła się niepewnie, ponieważ jej partner był bardzo przystojny i kręciło się wokół niego wiele kobiet. Na przykład ta dziwka Roksana. Nawet imię miała jakieś takie podejrzane, nadające się na pseudonim prostytutki. Pielęgniarka nie знаła jej osobiście, pinda pracowała z jej mężem w korpo na jednym open spacie. Widziała jednak, że kilka razy pisał z nią na Messengerze, a kiedy zażądała, by pokazał jej tę konwersację, ta szowinistyczna Świnia odmówiła, zasłaniając się śpiewką, że małżeństwo wymaga zaufania. Czasem naprawdę miała ochotę kopnąć go w tyłek i się wyprowadzić.

Przełknął ślinę.

– Dzień dobry. Chyba wszystko w porządku.

– Spokojna noc?

To było bardzo dobre pytanie. B a r d z o d o b r e . Powstrzymał się, by raz jeszcze nie rozejrzeć się po podłodze.

– Tak - wymamrotał. - Spałem jak zabity.

– Niech ksiądz nie kracze, bo zaraz idziemy na rezonans. Proszę się ubrać. Pan doktor wkrótce przyjdzie.

Kiedy wyszła, a wraz z nią jej tajemnice, Dorian gapił się w kierunku wyjścia z sali. Drżały mu ręce. Miał taki mętlik w głowie, że nie wiedział, na czym powinien skupić się najpierw. Raz jeszcze przerzucił kołdrę i poduszkę, ale jego piżama wsiąkła gdzieś jak kamień w wodę. Nie znalazł jej nawet w torbie.

Wreszcie powoli się wyprostował, stojąc tyłem do okna. Czuł się tak, jakby było wielkim prostokątnym oknem, które oskarżycielsko świdruje go spojrzeniem. Choć wiedział, że to idiotyczne, podszedł do niego i spróbował przez nie wyrzeć, ale nie był w stanie zobaczyć, co znajduje się bezpośrednio pod nim. Zirytował się i przeklął pod nosem, najpierw na tę sytuację, a potem na siebie, że wyczynia takie głupoty. Już miał odejść od parapetu, kiedy rzuciło mu się w oczy osiedle luksusowych apartamentowców niedaleko szpitala. Zmrużył powieki.

Nie dałby głowy, czy przez odległość nie zawodzi go wzrok, ale wydawało mu się, że jedno z okien na najwyższym piętrze jest wybite.

\* \* \*

Okazało się, że tajemnicy ataku padaczki nie rozwiązało również badanie EEG, natomiast na wyniki rezonansu musieli jeszcze poczekać. Tak czy inaczej, Dorian czuł się dobrze, nie miał więcej napadów ani żadnych innych objawów. No, może poza tym, że wiedział, i to bynajmniej nie dlatego, że z kimkolwiek o tym rozmawiał, iż opiekujący się nim lekarz ostatniego wieczoru miał ostrą scysję z córkami swojej konkubiny. Kazały mu wynieść się z domu. Cały wieczór topił smutki w alkoholu, z którym miał poważny problem.

Kiedy badania się zakończyły, Dorian odczekał chwilę w swoim łóżku, po czym, gdy nikt nie patrzył, wymknął się z oddziału, wyszedł ze szpitala i zajrzał pod swoje okno. Nie wiedział, czego się spodziewał, ale w krzakach odnalazł zaginioną górę od piżamy. Wziął ją, rozglądając się nerwowo, zwinął i schował pod koszulką,

jakby stanowiła dowód przestępstwa. Wrócił do swojej sali, nie mając żadnych myśli.

Próbował czytać książkę i surfować po Internecie w telefonie, lecz nie mógł się skupić. Wciąż, w jakiegokolwiek pozycji by się położył, widział kątem oka ten cholerny apartamentowiec niedaleko szpitala, a kiedy kładł się na boku, odwracając się do niego tyłem, wydawało mu się, że blokowisko sprzymierzyło się z oknem i ostentacyjnie się na niego gapi. Wreszcie uznał, że to bez sensu, wstał i spojrział na budynek spode łba, jakby szykował się do bójki. Apartamentowiec miał taki układ okien, balkonów i zdobień, że gdy wysiliło się wyobraźnię, w jego górnej części dałoby się dostrzec twarz. Jak na złość - z tym wybitym oknem jako jednym z oczu. Jakby mrugał.

– Czego chcesz? - wyszeptał Dorian. - Czego ode mnie chcesz?

„Prawdy” - usłyszał odpowiedź. Przysięgłby, że rozległa się jego własnym głosem.

„To mało precyzyjne określenie żądań”.

„Dobrze wiesz, o czym mówię”.

„To tylko powikłania po napadzie padaczki. Mózg potrzebuje czasu, by zacząć działać jak należy”.

„Jesteś pewien?”

„Tak”.

„A b s o l u t n i e p e w i e n ?”

„T a k !”

„I myślisz, że gdybyś właśnie wyszedł na korytarz i minął się z jakimś pacjentem, nie poczułbyś czegoś podobnego?”

– Oczywiście, że wyjdę - wycedził na głos Dorian i wymaszerował z sali. Wydało mu się, że dosłyszał za sobą ciche: „Czyli jednak nie jesteś pewien?”, ale to zignorował. Przespacerował się po oddziale, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Mijał kolejne sale, czasem przechodził obok innych pacjentów. I doświadczał tego samego doznania, co z panią Ireną, Szymonem i pracownikami szpitala. Choć nie rozmawiał z tymi ludźmi i widział ich pierwszy raz w życiu, choć nawet nie patrzył na ich karty pacjenta, w jego umyśle pojawiały się określone informacje.



Rwa kulszowa. Strach przed śmiercią. Zwyródnienie kręgosłupa. Żaloba po stracie żony. Choroba Parkinsona. Poczucie winy z powodu obciążania rodziny swoimi problemami zdrowotnymi. Stwardnienie rozsiane. Niewyobrażalna ilość bólu.

– Przepraszam pana... - Nie wytrzymał i odezwał się do jakiegoś mężczyzny. - Mogę zapytać, co panu dolega?

(Smutek i świadomość nieuleczalnej choroby).

– Stwardnienie rozsiane - odpowiedział ponuro tamten.

– Rozumiem... Dziękuję.

Poszedł dalej i tym razem wszedł do sali, w której leżały dwie kobiety. Jedna z nich - starsza - była nieprzytomna.

(Udar mózgu).

– Przepraszam - wyszeptał do drugiej. - Nie wie pani, na co choruje ta pani? - Wskazał sąsiednie łóżko.

– Miała wylew - wyjaśniła.

Serce Doriana przyspieszyło, a pod mostkiem pojawiło się nieokreślone uniesienie.

– A pani? - zapytał, choć znał odpowiedź.

– Guz - odparła gorzko. - A co? Pan też?

„Kto wie? - pomyślał Dorian. - Może właśnie leżę gdzieś nieprzytomny i to wszystko - że chodzę, rozmawiam z ludźmi i robię z siebie idiotę - tylko mi się wydaje”.

Obszedł pozostałe sale i tam, gdzie mógł, przeprowadził podobne próby. Wszystkie zakończyły się identycznie. Kiedy wrócił do łóżka, ciężko oddychał i sam nie był pewien, jakiej natury jest uczucie, które go ogarniało. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Jak to interpretować.

Ponownie spojrzął na apartamentowiec za oknem. Przysięgłby, że usłyszał: „Jak ci się podoba?”.

– Co? - wyszeptał.

„Prawda”.

Pokręcił głową, zamknął oczy i pogрузzył się w myślach, miętosząc policzki, które, od kiedy znalazł się w szpitalu, zaznały niewielu chwil spokoju. Zaraz

jednak odjął dłonie od twarzy i ponownie spojrzął na budynek.

– Czyli co? - zapytał cicho. - Szaleństwo?

Nie otrzymał odpowiedzi.

# R O Z D Z I A Ł      X I I

Kiedy otworzył oczy w środku nocy, w pierwszym odruchu odetchnął z ulgą. Leżał w łóżku i widział nad sobą sufit, po lewej okno, po prawej zaś wyjście z sali. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Nie, to złe określenie. Nie „nie tak”. I n a c z e j .

Znieruchomiał, próbując ustalić, o co właściwie chodzi. Skupił się na wszystkich doznaniach, jakie w tym momencie odbierało jego ciało - na widoku pogrążonej w mroku sali, na ciszy wypełniającej szpital, na świeżym, sterylnym zapachu oddziału, na dotyku pościeli i na smaku śliny, którą trzymał w ustach, odwołując w czasie jej połknięcie.

Wreszcie dotarł do swojego szóstego zmysłu. Do swojego wykrywacza, radaru, sonaru, lokatora lub, jak kto woli, oznaki szaleństwa.

Zacisnął mocniej dłonie na kołdrze.

Zew wrócił.

Był trochę inny niż poprzednio. Dorian wręcz odnosił wrażenie, że dochodzi do niego z każdej strony, jak gdyby całe miasto promieniowało nieokreśloną energią, jakby wręcz nią biło, o wiele mocniej niż za dnia. Nabrał powietrza i wstrząsnął nim dreszcz. O dziwo - przyjemny, połączony z gęsią skórką. Aura, jaką emanowała Warszawa, zdawała się dodawać mu sił, jakby ją pochłaniał, jakby stanowił żywą baterię, która właśnie ładowała się do pełna.

Ogarnęły go ekstatyczne drgawki i wyrzucił oczy, choć tym razem zachowywał przytomność, ba - stawał się coraz bardziej pobudzony i odbierał coraz więcej

bodźców, jakby potencjał jego umysłu rósł z każdą sekundą. Ledwo się powstrzymywał, by nie jęknąć z rozkoszy. To było lepsze niż orgazm.

„Chodź”.

„Zobacz”.

„Sprawdź”.

Warszawa nawoływała go, a on wygiął się, unosząc biodra. Słuchał jej jak najpiękniejszej muzyki, pozbawionej jednak pojedynczych nut; jak ciekawej opowieści, w której jak na złość brakowało kluczowych podrozdziałów. Wiedziała, do których drzwi psychiki Doriana pukać, by spotęgować jego ciekawość. Ciekawość, którą wyniósł z konfesjonału, za każdym razem zaintrygowany, z jakimi grzechami przyjdą do niego wierni. Ciekawość, która leży w ludzkiej naturze; przez którą media podają głównie złe wiadomości, bo te najlepiej się klikają.

Dorian spojrział za okno. Wiedział, że wołają go mroczne sekrety miasta, dla których noc stanowiła naturalne środowisko. Ciemność, kiedy widać mniej, a większość potencjalnych świadków śpi. Czas, kiedy wszystkie drapieżniki - dosłownie i w przenośni - mogą wyruszyć na żer. Kiedy paradoksalnie dzieje się najwięcej.

Co tym razem zobaczy? Co odkryje? O czym się dowie?.O jakiej rzeczy, o której prawie nikt nie ma pojęcia?

Wystarczyło tylko wstać i...

„Uwierz, Dorko, babranie się w ludzkich brudach i wywlekanie ich to bardzo satysfakcjonujące zajęcie. Coś jak walka ze złem -usłyszał głos Huberta. - Ktoś musi pokazywać świat taki, jaki jest naprawdę”.

„Czyli jaki?”

Odpowiedział mu cwaniacki rechoł Huberta.

„Wybacz, ale więcej powiedzieć nie mogę. Wyjdź i przekonaj się sam!”.

Nie wiedział, czy wstał z łóżka z własnej woli, czy coś go do tego zmusiło. Nie wiedział, w jaki sposób opuścił szpital, ale już po chwili maszerował przez miasto, podążając za najsilniejszym sygnałem, jaki odebrał w pobliżu. Z każdym krokiem ciekawość w nim narastała i roznosiła go coraz większa energia. Czuł się wspaniale, zdawało mu się, że płynie przez ciemność jak nurek, który dotarł do wraku hiszpańskiego galeonu i eksploruje go w poszukiwaniu skarbów. Mijając

pojedynczych przechodniów albo osoby czekające na przystankach na autobusy nocnych linii, wzbudzał skonsternowane spojrzenia, bo znowu miał na sobie jedynie spodnie, ale nie zwracał na to uwagi. Jego ciało rozsadał żar.

Wreszcie stanął przed drzwiami, nad którymi jaśniał różowy, jaskrawy, neonowy napis „Bridgette”. Pilnowało ich dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn.

– Przykro mi, kolo, ale w takim stroju nie wpuszczamy - odezwał się jeden z nich, wskazując jego nagi tors. - To kulturalny lokal.

Dorian zignorował go i ruszył naprzód.

– Głuchy jesteś? - Ochroniarz pchnął go w klatkę piersiową. - Czy mam ci to wyjaśnić w inny sposób?

Dorian uśmiechnął się, szczerząc ostre zębiska.

– Sto siedemdziesiąt dziewięć - odezwał się, a z jego ust wydobyły się dwa głosy: jeden zwykły, jakim posługiwał się na co dzień, i drugi niski, basowy, nieludzki.

– Co? - zapytał ochroniarz, choć mimowolnie zrobił krok do tyłu.

– Tyle osób pobiełeś, stojąc na bramkach w klubach, które przejął twój szef - ciągnął Dorian. - Uwielbiasz to. Uwielbiasz przemoc, więc nudzą cię noce w środku tygodnia, kiedy nic się nie dzieje, i w głębi liczysz, że wreszcie pojawi się jakiś kozaczek, któremu będziesz mógł obić głowę.

Ochroniarz wpatrywał się w niego z konsternacją.

– Co ty pierdolisz, konusie?

– W zeszłym tygodniu zaciągnąłeś z kumplem w ustronny zaułek niewinnego chłopaka i tam, z dala od kamer, pobiliście go do nieprzytomności. Ratownikom medycznym skłamałiście, że skatował go jakiś klient z klubu, który uciekł. Potem odwiedziliście go w szpitalu i zastraszyliście, że ma trzymać się oficjalnej wersji zda-rzeń. - Dorian nakręcał się coraz bardziej. - Uwielbiasz to! Uwielbiasz zadawać ludziom ból i dlatego gorliwie trenujesz sztuki walki!

– Zamknij dziurę!

Ochroniarz chciał znowu go popchnąć, ale Dorian zrobił szybki unik. Skoczył na wysokość dwóch metrów, ku zaskoczeniu mężczyzn złapał ich za głowy i uderzył jedną o drugą, jakby łupał orzechy kokosowe. Ochroniarze stracili przytomność i padli obok siebie na chodnik. On zaś jakby nigdy nic chwycił klamkę swoją

powiększoną, zakończoną czarnymi pazurami dłonią i otworzył drzwi do lokalu, w którym grała głośna muzyka.

Nabrał głęboko powietrza przez nos. Zastrzyk energii wypełniającej to miejsce można było porównać do strzału potężnej działki heroiny prosto w żyłę. Energii złej, sprawiającej wręcz, że powietrze stawało się gęstsze, co nie miało nic wspólnego z duchotą panującą w środku. Ludzie zazwyczaj skuteczniiali pijaństwo w piątki, ale nie bywalcy tego klubu. Tu nikt nie pojawiał się przypadkowo. Zwykli warszawiacy, jakich mija się na co dzień na ulicy, po prostu się bali.

Dorian czuł się jak głodny, który natrafił na darmowy szwedzki stół. Obliznął wargi swoim długim, gadzim językiem, podczas gdy w oddali, ku uciesze mężczyzn zgromadzonych pod sceną, skąpo ubrana piękność tańczyła na rurze do piosenki duetu Röyksopp *Here She Comes Again*. Zaraz jednak podeszła do niego inna, równie atrakcyjna dziewczyna. I choć jej zdolności aktorskie stały na niezłym poziomie, a uśmiech wyglądał na szczery, Dorian niemal fizycznie wyczuł bijący od niej fałsz.

- Cześć, przystojniaku! - Zbliżyła się, znacznie przekraczając strefę intymną i biorąc go pod rękę, z której zawczasu zniknęły czarne pazury. - Fajna stylówka! - Przeciągnęła pieszczotliwie palcem po jego sutku. - Chyba jesteś tu pierwszy raz? Baw się dobrze i czuj się jak w domu!

(Fałsz. Kłamstwo. Obluda. Chciwość. Dwulicowość).

- Chodź. - Pociągnęła go w kierunku najbliższego stolika. - Poznamy się lepiej. Ale najpierw musisz postawić mi drinka.

- Trzysta dwadzieścia osiem tysięcy sześćset dziewięćdziesiąt osiem złotych - odpowiedział Dorian.

Mimo że jego podwójny głos zagłuszyła głośna muzyka, dziewczynie wyraźnie zrzędał mina.

- Słucham?

- Tyle łącznie wydali na drinki mężczyźni, którym zaproponowałeś „poznajmy się lepiej” - stwierdził, świdrując ją wzrokiem. Mówił bez choćby jednego zajknięcia, jakby nauczył się jej kartoteki na pamięć. - Niepostrzeżenie wrzucałeś im do pierwszych jakiś syf, po którym tracili świadomość i byli znacznie bardziej ugodowi. Zawsze płacili kartą, a wy potem mogliście powiedzieć, że robili to

dobrowolnie i naćpali się jeszcze przed przyjściem do klubu. Masz z tego sowitą dołę, już zdołałaś zaoszczędzić ponad sto tysięcy. Nie masz wyrzutów sumienia, bo żaden pieniądz nie śmierdzi, zwłaszcza gdy można ciągnąć go od frajerów, za jakich uważasz napalonych mężczyzn. To takie proste stworzenia! Wystarczy poświecić cyckiem i są gotowi zrobić dla ciebie wszystko. Tak naprawdę ich nienawidzisz, bo wcześniej, kiedy jeszcze nie działałaś w branży, wielokrotnie cię zawiedli. Uznałaś więc, że masz to gdzieś, odwdzięczysz im się pięknym za nadobne i od tej pory to ty będziesz ich wykorzystywać, a przy okazji zarabiać.

Dziewczyna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, a Dorian wyszczerzył do niej ostre zęby. Jak na zawołanie na jego klatce piersiowej pojawiła się druga twarz z wyostrzonymi rysami, ukryta pod skórą. Uśmiechała się tak samo. Dziewczyna spojrzała na nią z przerażeniem i podobnie jak ochroniarz pod klubem cofnęła się o krok. Dorian przyłożył szponiasty palec do ust drugiej twarzy w geście uciszania, po czym ruszył głębiej. Podstawione dziewczyny naciągające facetów na drinki to była dopiero przystawka, podobnie jak osoby, które mijał po drodze - młode ćpuny, drobni oszuści i złodzieje, generalnie płotki warszawskiego półświatka. Tam, dalej, czekało na niego coś ekstra.

Przy stolikach bezpośrednio pod podwyższeniem, na którym tańczyła striptizerka, siedziała grupa mężczyzn. Bardzo głośna, wręcz przesadnie. Na kolanach niektórych z nich siedziały inne półnagie kobiety, z którymi rozmawiali i śmiali się z emfazą, jakby chcieli pokazać, jak swobodnie się tutaj czują i że nikt nie ma prawa zakłócić im zabawy. Dorian wiedział, że to gangsterzy, całkiem ważne postacie stołecznego podziemia należące do potężnej grupy przestępczej, na której czele stał boss o pseudonimie Zet. Nie znał ich ksywek, ale to właśnie ich negatywne fluidy go tutaj przyciągnęły. One oraz fakt, że ci faceci zdecydowali się spotkać akurat dzisiaj i w tak dużej grupie.

Wytrzeszczył czarne jak smoła oczy i przyspieszył kroku. Drogę zagroził mu kolejny wielki ochroniarz, ale Dorian nawet nie wdawał się z nim w słowne utarczki, tylko pchnął z taką siłą, że zaskoczony osilek odleciał na kilka metrów i wylądował na innym stoliku, rozbijając szklany blat w drobny mak. Gangsterzy skupili wzrok na Dorianie, który stanął przed nimi, wyprostowany, jakby połknął kij.

(Wymuszenia. Haracze. Przemoc. Oszustwa. Porwania. Sutenerstwo. Kradzieże...)

- Pojebany jesteś? - odezwał się jeden z bossów, podczas gdy ochroniarz, poraniony odłamkami szkła z rozbitego stolika, z trudem podnosił się z podłogi. - Szukasz problemów?

Dorian wrócił do rzeczywistości, napawając się gniewem, jaki wywołał u tych bandytów. Ku swojej satysfakcji wyczuł w nich coś jeszcze. Coś, co miało znacznie rozkręcić wieczór.

- Czy twoi kumple wiedzą, że regularnie oszukujesz ich na pieniądze? - zwrócił się podwójnym głosem do mężczyzny, który do niego mówił. Jego druga twarz poruszała ustami synchronicznie z pierwszą i wszyscy przy stole wpatrywali się teraz właśnie w nią. Wywołany do odpowiedzi boss zbladł. - Jesteś tutaj najwyższy rangą, ale nad sobą masz jeszcze szefów z dwóch szczebli przestępczej hierarchii, którym musisz odpalać dołę, i dlatego regularnie pobierasz od chłopaków podatki od ich biznesów - ciągnął Dorian. - Myślą, że w całości przekazujesz je dalej, i żaden nie ma pojęcia, że tak naprawdę wpłacasz swojemu bezpośredniemu przełożonemu zaledwie ułamek tego, co ci dają. Resztę kradniesz! Nie sądzisz, że powinni o tym wiedzieć?

Gangster wpatrywał się w niego z niemym szokiem, podobnie jak reszta jego towarzyszy. W końcu jeden z nich oderwał wzrok od Doriana i zwrócił się do bossa:

- Dydzik, co on pierdoli?

Dorian natychmiast skupił się na nim i powiedział:

- Ty z kolei jesteś niewiele lepszy. Nie dymasz co prawda kumpli na kapuchę, za to dymasz żonę jednego z nich! - Wycelował szponiasty palec w kolejnego z mężczyzn przy stole, nawet na niego nie patrząc. - Traf chciał, że natura obdarzyła cię hojniej niż kolegę, więc jego niewierna żonka korzysta z tego, ile, hi, hi, wlezie! Kiedy zamierzacie mu o tym powiedzieć?

- Co?! - warknął wskazany mężczyzna, podczas gdy ten, którego dotyczyła ostatnia wypowiedź, zbladł chyba nawet bardziej niż Dydzik. Wstał z kanapy i warknął:

- Nie wiem, kim jesteś, pajacu, ale już nie żyjesz! Zamknij w końcu pysk!

- Pyszczek - poprawił go Dorian, wyciągnął długi jęzor i na oczach skonsternowanych bandytów poruszał nim na boki. - Tak właśnie ta pani mówi do



ciebie, kiedy pod nieobecność męża prosi, żebyś zrobił jej dobrze ustami. „Zrób mi pyszczek”!

– Zamknij ryj, powiedziałem! - Gangster rzucił się na niego z pięściami, a Dorian stwierdził, że dużo wcześniej wiedział, kiedy i jak tamten zaatakuje. Jego zdolności pozwoliły mu wyczuć zły zamiar bandyty, nim nerwy łączące mózg z resztą ciała mężczyzny zdołały przesłać stosowną informację. Z łatwością uniknął ciosu i wskoczywszy na sufit, przykleił się do niego jak potężny owad. Zwisał teraz do góry nogami, stojąc na czworakach i uśmiechając się szeroko na obu twarzach.

– Co, do...? - Gangsterzy wpatrywali się w niego z otwartymi ustami, a on z satysfakcją wyczuł, że do wściekłości, jaką w nich wywołał, dołączył strach.

– Zastrzel to, Liszaj! Zastrzel!

W stronę Doriana poleciało kilka kul, lecz pełzał po suficie tak szybko, że żadna nie zdołała go dosięgnąć. Jego ruchy były błyskawiczne, wydawały się rwane, jakby odtwarzane z taśmy filmowej, w której brakuje niektórych klatek. Huki wystrzałów mieszały się z rozpaczliwymi piskami dziewczyn do towarzystwa uciekających jak najdalej od zamieszania. Te, które pracowały za barem, już dawno się za nim ukryły.

Dorian czuł coraz większą ekscytację i siłę. Chaos, jaki wywoływał, narastał. Niszczył, potęgował zamieszanie, sprawiał, że to miejsce emanowało jeszcze większą ilością złej energii, w której odnajdywał się jak w naturalnym środowisku.

Przeskoczył z jednej ściany na drugą, kiedy gangsterzy opróżnili wszystkie magazynki. W ciszy, jaka zapadła, rozległo się odległe wycie syren. Żaden radiowóz nie mógł tak szybko znaleźć się na miejscu zdarzenia, nawet jeżeli ktoś na zewnątrz usłyszał strzelaninę i wezwał policję. Gangsterzy jednak najwyraźniej nie chcieli ryzykować. Rozejrzeli się nerwowo i rzucili do drzwi prowadzących na zaplecze lokalu. Jeden z nich wycelował palec w Dorianą.

– Jeszcze cię dojedziemy! Gwarantuję ci to!

– W takim razie właściwie po co mamy się żegnać? - Uśmiechnął się i przepelzł za nimi po ścianie.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy w przerażeniu i przyspieszył.

– Spierdalamy! - krzyknął do towarzyszy. - To coś za nami idzie!

\* \* \*

Bandyci wybiegli na tyły budynku i dopadli do swoich luksusowych samochodów. Z piskiem opon wyjechali z parkingu. Po pokonaniu wąskiej przecznicy dotarli na najbliższą aleję, jadąc zdecydowanie szybciej, niż dopuszczały przepisy. Kierowcy nie przejmowali się również takimi drobnostkami jak czerwone światła.

– Co to, kurwa, było?! - wydyszał Liszaj, który załapał się do auta z Dydzikiem.

– Mnie pytasz?

– Też to widziałeś, prawda? Nie przesadziłem z koksem?

– Co widziałem? - zapytał Dydzik. Stanowczo nie chciał być tym, który pierwszy nazwie tę rzecz po imieniu.

– No... - Liszaj zasepił się, gapiąc się na towarzysza bez mrugnięcia. - On naprawdę wskoczył na sufit i zapierdalał po nim jak jebany Spider-Man?

Dydzik nie odpowiedział.

– Było tak czy nie? - naciskał Liszaj.

– Mógłbyś wreszcie się przymknąć?! - warknął Dydzik.

– To przyznaj, że też to widziałeś!

– Widziałem, no i co?! Co to zmienia?

Zamilkł, kiedy na dachu auta rozległ się stłumiony brzęk. Spojrzeli na siebie z niepokojem, lecz Liszaj zaraz wskazał okno po stronie współpasażera. Dydzik przełknął ślinę, wyjrzał przez nie i zobaczył, że pojedynczy ludzie na przystankach autobusowych zwracają żywą uwagę na ich samochód, pokazując go sobie palcami.

Nie. Nie na samochód. Wskazywali nieco wyżej.

– Zatrzymaj się! - krzyknął do ochroniarza, który kierował wozem, a ten wcisnął pedał hamulca. Auto stanęło tak gwałtownie, że jeżeli ktoś na nim stał, nie było siły, żeby nie poleciał do przodu. Nic takiego jednak się nie zdarzyło.

– Zajebmy to! - Liszaj wyciągnął ze schowka przed przednim siedzeniem zapasowy pistolet, przeładował go i wycelował w sufit.

– Stój! - Dydzik powstrzymał go ruchem ręki. - Jebnięty jesteś? Może od razu to nagraj albo wezwij Superwizjer TVN? Nawet nie wiemy, czy cokolwiek tam jest! Jedź! - zwrócił się do kierowcy, a ten ponownie ruszył.

Liszaj zawahał się i opuścił pistolet.

– Schowaj to, idioto! - warknął Dydzik. - Zwracasz na siebie uwagę.

– Ja zwracam?! - zawołał Liszaj, po raz kolejny wskazując na zewnątrz.

Przejeżdżali teraz obok innego klubu nocnego i palacze pod nim także skupili się na ich samochodzie. Niektórzy nawet wyciągnęli smartfony i skierowali w jego stronę obiektywy aparatów. Dydzik się rozejrzał. Jak na złość noc i półmrok nie pozwalały zobaczyć niczego na odbiciach w szybach pobliskich budynków. Przeklął pod nosem i powiedział:

– Dobra, dawaj tę klamkę i...

Nie zdołał dokończyć. Coś wybiło okno z jego strony i wywlekło go na zewnątrz. Wszystko zajęło maksymalnie sekundę. Dydzik zaczął wrzeszczeć, a przerażony Liszaj widział teraz jedynie jego nogi wierzgające bezwładnie w odległości pół metra od samochodu. Prowadzący auto osiłek zamarł za kierownicą, zaciskając na niej kurczowo dłonie, jakby nie wiedział, co robić. Zwolnić czy przyspieszyć?

Stwór trzymał wrzeszczącego Dydzika za fraki nad jezdnią, uśmiechając się do niego na obu twarzach.

– Stęskniłeś się? - zapytał dwoma głosami.

– Dydzio! - krzyknął ze środka Liszaj, siedząc jak skamieniały. - Mam to zastrzelić?! Powiedz!

– Tak! Tak! - wrzasnął automatycznie Dydzik, po czym jakby w ostatnim przebłysku racjonalnego myślenia zreflektował się, do czego to doprowadzi. - Nie! Nie strzelaj, bo...

Nie zdążył dokończyć. Kierowca znowu gwałtownie się zatrzymał, ale to także nie wzruszyło tej istoty. Prawa fizyki zdawały się jej nie obowiązywać.

– Co ty wyrabiasz?! - krzyknął Liszaj.

– Przepraszam, szefie, ale ja to pierdołę - wymamrotał osiłek i otworzył drzwi.

– Co?!

Ochroniarz nie odpowiedział. Wystrzelił sprintem w stronę najbliższej uliczki, nie odwracając się za siebie. Liszaj przeklął pod nosem, wygramolił się na zewnątrz i wytrzeszczył oczy. Stwór siedział tyłem do niego i trzymał Dydzika nad ziemią jedną ręką.

– Zostaw go! - warknął Liszaj, czując honorowy przymus, by zachować się lepiej od tchórza, który przed chwilą uciekł. Nie zważając, że ktoś może to zobaczyć, wycelował pistolet w nagie plecy osobnika. - Zostaw, powiedziałem, albo zarobisz kulkę w kręgosłup!

Zapadła cisza z odgłosem syren w tle. Zaraz jednak to coś na dachu... okręciło głowę o sto osiemdziesiąt stopni i uśmiechnęło się do Liszaja, podczas gdy ten wpatrywał się z przerażeniem w tę fizyczną anomalię.

– A może by tak... - powiedział dwoma głosami stwór - prosto w serce? - Błyskawicznie okręcił resztę ciała tak, by znowu dopasowała się do głowy, która wisiała nieruchomo w powietrzu. Zamachnął się i rzucił trzymanym za fraki Dydzikiem w Liszaja, zanim ten zdążył nacisnąć spust. Gangsterzy zakotłowali się na ulicy, a pistolet upadł na jezdnię.

Na miejsce dotarło kilka radiowozów. Dydzik pomógł Liszajowi wstać i pobiegli w stronę tej samej uliczki, w której niedawno zniknął ochroniarz. Część policjantów ruszyła za nimi.

– Stój! - krzyknął do istoty jeden z funkcjonariuszy. Ona jednak przeskoczyła radiowozy, jednym susem pokonując kilkanaście metrów. Wdrapała się na pobliską ścianę i błyskawicznie wpełzła na dach kamienicy, wspinając się po niej bez drabiny.

\* \* \*

– Co jest...? - Dorian dosłyszał za sobą policjantów. Nie zatrzymał się jednak i zaczął biec po dachach kamienic, sadząc susy z jednej na drugą i uciekając stamtąd jak najszybciej.

Czuł lekkość. Czuł kontrolę. Czuł moc! Jakby nagle stał się panem świata.

Wreszcie dotarł do szpitala i dostał się do środka przez właz na dachu, w którym jednym pociągnięciem wyłamał zamek. Skorzystał z klatki schodowej, aby wkraść się na swój oddział, przemknął obok pokoiów dyżurujących lekarzy i pielęgniarek tak szybko i bezszelestnie, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Wszedł do swojej sali, do końca mając nadzieję, że ujrzy samego siebie leżącego w łóżku. Ze otrzyma choć jedno potwierdzenie, że to, co się wydarzyło, było jedynie snem.

Nic z tego. Jego łóżko było puste.

Położył się do niego, wytrzeszczając oczy i trzymając kurczowo dłonie na ustach. Dłonie już o normalnym rozmiarze, bez pazurów. I choć wiedział, że powinien się przerazić, że powinien zacząć wrzeszczeć, nie zrobił tego. Choćby chciał, choćby próbował - nie potrafił się bać. Nie teraz, kiedy wprost roznosiły go energia i euforia.

Może nawet nigdy.

# ROZDZIAŁ XIII

„Strzelanina i pościg w centrum Warszawy. Sceny rodem z kina akcji”.

„Gangsterskie porachunki w klubie ze striptizem zakończone kaskaderską jazdą niezidentyfikowanego mężczyzny na dachu samochodu”.

„Znani warszawscy bossowie zatrzymani. Zostaną im postawione zarzuty nielegalnego posiadania broni”.

Dorian już nie zasnął tej nocy. Kiedy nadszedł ranek, zaczął gorączkowo przeglądać wszystkie lokalne portale internetowe. Nie musiał ograniczać się tylko do nich, o nocnym incydencie informowały bowiem nawet największe ogólnopolskie media. Do sieci wyciekło nagranie z policyjnej akcji, na którym udokumentowano, jak przeskoczył nad radiowozami, bijąc rekord świata jednocześnie w skoku w dal, wzwyż i o tyczce, tyle że bez tyczki, po czym wspiał się po ścianie najbliższej kamienicy, by zaraz zniknąć z kadru. Całość trwała najwyżej kilka sekund i choć jakość filmiku nie wzbudzała zastrzeżeń, poza wzrostem i sylwetką tak naprawdę niewiele dało się powiedzieć o jego głównym bohaterze. Podobnie wyglądało to na innych, udostępnionych na YouTube, autorstwa nielicznych przechodniów. Niektórym udało się nagrać, jak Dorian jechał na dachu samochodu gangsterów, wyprostowany, jak gdyby przyklejony stopami do blachy.

Rzecznik prasowy policji odmówił komentarza. Dziennikarze próbowali dotrzeć do świadków zdarzenia, ale ci przypadkowi nie wiedzieli więcej, niż można było zobaczyć na filmikach, podobnie jak ci z półświatka.

Dorian czytał te relacje z emocjami, których sam nie potrafił nazwać. Z jednej strony czuł ekscytację, z drugiej natomiast... Żarty się skończyły i należało raz na zawsze przyjąć do wiadomości, że dzieje się z nim coś, co nie ogranicza się tylko do czytania z ludzi jak z książek. „Coś”, czyli...

Upewnił się, że nikt nie zagląda do jego sali, i cały drżąc, powoli uniósł rękę na wysokość twarzy.

Skupił się i...

– Jezu - wyszeptał i aż się odsunął, przyciskając plecy do poduszki.

Na jego oczach dłoń wyraźnie nabrała rozmiarów. Wciąż była szczupła i płynnie łączyła się z nadgarstkiem, ale zrobiła się co najmniej półtora raza większa i masywniej sza. Jakby tego było mało, palce wydłużyły się i wyrosły z nich czarne, ostre, sztyletowe pazury.

„Oż ty! O Boże! O ja cię! O kurde!”

Wpatrywał się w nią jak w obcą istotę, jakby zyskała oddzielną osobowość i miała zaraz go zaatakować. Serce biło mu jak młotem. Spróbował sprawić, by dłoń odzyskała normalny wygląd. Udało mu się. Powtórzył sekwencję z drugą. Udało mu się. Ponownie zerknął na korytarz, wziął telefon i uruchomił aparat fotograficzny, chcąc wykorzystać aplikację jako namiastkę lustra. Tym razem skupił się na swoich włosach. Nagle pociemniały i nastroszyły się, by po sekundzie, kiedy im „nakazał”, ponownie opaść i wrócić do normalnego piaskowego koloru. Teraz spróbował z oczami. To samo. Potrafił sprawić, by momentalnie stały się całe czarne.

Tak jak u Klaudii Strzelczyk.

Upuścił telefon na koldrę.

Już wiedział. Wiedział, dlaczego stracił przytomność w kościele, dlaczego badania w szpitalu nic nie wykazały, a przede wszystkim: dlaczego nagle zaczął wykazywać zdolność jasnowidzenia oraz dlaczego odbierał ten dziwny zew. Sygnał, jaki wysyłało mu całe zło tego miasta.

Czy to możliwe, że... ukrywał w ciele demona? I czy to, co się z nim teraz działo, miało swoje źródło w egzorcyzmie w domu Strzelczyków, z którego wciąż pamiętał niewiele szczegółów?

Odpowiedzi na oba pytania z pozoru wydawały się oczywiste i brzmiały „Tak”. To oznaczało, że Dorian powinien był teraz jak najszybciej skontaktować się

z Szymonem i błagać go, aby sprowadził do szpitala egzorcystę. Tyle że coś mu w tym wytłumaczeniu nie grało i nie wszystkie klocki wskakiwały na swoje miejsca. Zwłaszcza te, które składały się na jednoznaczne napisy o treści: „to, co mnie spotyka, jest niesamowite” albo „to, co mnie spotyka, jest dziełem złych sił i powinno mnie przerażać”.

Położył się wygodnie na łóżku i wpatrzył w sufit. Myślał, próbując zachować spokój, który zaskoczył nawet jego samego. Jego, który na własne oczy widział, co wyczyniała Klaudia, a wcześniej, w dzieciństwie, ludzie podczas tamtej feralnej mszy.

Jako katolicki kapłan wiedział, że misją demonów jest szeroko pojęte niszczenie człowieka. Potęgowanie chaosu w jego życiu, także duchowym i emocjonalnym, wysysanie z niego energii, pasożytowanie na ciele i docelowe doprowadzenie do śmierci. On jednak czuł się rewelacyjnie, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, jakby pozostawał pod wpływem silnych środków pobudzających, a przy tym myślał zadziwiająco racjonalnie. Jak gdyby aktualizacja oprogramowania jego mózgu skasowała strach z dopuszczalnych reakcji organizmu i teraz cała osobowość Doriana opierała się wyłącznie na znajomym z ostatniej nocy poczuciu bezpieczeństwa i kontroli. A przecież jednym z objawów opętania jest również szczególne natężenie złych emocji, na czele z permanentnym lękiem. Koszmary senne, poczucie osaczenia i bycia obserwowanym. Napady agresji i bluźnierstw. Paranoje. Pokusa, by krzywdzić innych ludzi, złorzeczyć, łamać ich psychicznie przy wykorzystaniu wiedzy o ich traumach, jaką posiadał demon. A Dorian się nie bał. Nie miał koszmarów. Nie ciągnęło go do tego, by krzywdzić innych, choćby psychicznie.

„Jak to nie? A Sirojć i prostytutka? A ci gangsterzy?” - zapytała racjonalnie myśląca część jego umysłu.

„A lekarze? Pielęgniarki? Inni pacjenci? A pani Irena? Szymon? Dlaczego w takim razie nie skrzywdziłeś kogoś, kto na to n i e z a s ł u ż y ł i kto jest ci o wiele bliższy? Kogoś, kogo kochasz? Przecież demonom to nie powinno robić różnicy. Dlaczego nie niszczą twoich relacji z bliskimi? Powinno im zależeć, by sprowadzić cię na dno, a to najłatwiej zrobić, jeżeli załamiesz się po zadaniu cierpienia komuś, na kim ci zależy” - padła odpowiedź tej drugiej części umysłu, opierającej się na emocjach i odczuciach.

- No tak, ale... - mruknął na głos, jakby słuchał tego dialogu z zewnątrz.



Fakt faktem na niewinnych nie trafiło. Przyciągnęło go zło, jakie z nich emanowało, i nie pojawił się w tych miejscach bez powodu. Przeraził ludzi, którzy w gruncie rzeczy na to zapracowali, a jeżeli wywołał chaos, to wyłącznie w trybach przestępczych machin i w procederze małżeńskiej niewierności człowieka, który pełnił ważną funkcję w państwie i powinien być nieskazitelny. No tak czy nie? I co z tego wynikło? Dwóch bossów zostało zatrzymanych przez policję, a ich miejsce schadzek, w którym skąpo ubrane dziewczyny naciągały klientów na drogi alkohol, owiane fatalną reputacją i na jakiś czas zamknięte. Kto wie, może Sirojć nieprędko zdecyduje się na kolejny skok w bok, a dziewczyna, z którą się zabawiał, zastanowi się, czyjej sposób na życie aby na pewno jest właściwy?

Czyli, jakkolwiek na to patrzeć, Dorian sprawił, że świat stał się odrobinę lepszy. A wszystko dzięki bytowi, któremu powinno zależeć, by było zgoła inaczej. Jak to wytłumaczyć? Czy tak wygląda aktywność demoniczna?

Czy może nad tymi mocami dało się panować...?

Pokręcił głową. To bez sensu! Człowiek nie może panować nad demonem, który wniknął w jego ciało. To bardzo potężna istota i nie pozwoliłaby, żeby zaszło coś takiego jak... opętanie na odwrót? Tak należałoby to określić. Ani Biblia, ani teoria, ani wiedza empiryczna, jaką posiadał, nie uwzględniały takiego przypadku. Demony można jedynie przepędzić z pomocą Boga, są posłuszne wyłącznie Jemu, jako panu i władcy wszechświata. Ale nigdy, przenigdy nie będą służyć temu, w którego ciało wniknęły. To absurd!

Tylko że skoro istnieją ludzie odporni na różne śmiertelne choroby, dlaczego mieliby nie istnieć odporni również na...?

Raz jeszcze ocenił swoje samopoczucie. Było bardzo dobre, i fizycznie, i psychicznie. Ten spokój, ta kontrola, jasność umysłu. Brak lęku.

I jeszcze to...

Ponownie uniósł dłoń na wysokość twarzy i ją przemienił. To było bardzo łatwe. Po prostu o tym myślał i się działo. Teraz przemieniła się z powrotem w ludzką, dokładnie wtedy, kiedy chciał. Spróbował jeszcze raz. Działo się. I jeszcze raz. I jeszcze jeden. I jeszcze...

Czy opętany mógł decydować o tym, kiedy objawiała się demoniczna aktywność? W momencie, w którym sobie tego życzył? Przecież nie był w stanie o niczym decydować! To nawet nie pokrywało się z definicją opętania!

„Wmawiasz to sobie, Dorian! Zło wykorzystuje u ciebie ludzką ułomność, jaką jest ciekawość i pragnienie pokonywania barier nieosiągalnych dla innych. Igrasz z ogniem, z siłami, które są bardzo niebezpieczne i o wiele sprytniejsze od człowieka. I które mogą mieć na ciebie określony plan”.

„A może się mylimy? Fakt, że o czymś nie słyszeliśmy, nie znaczy, że to nie istnieje”.

Wziął telefon i uznał, że odświeży sobie wiedzę, ale tym razem w innych źródłach niż nauki chrześcijańskie. Wpisał w Google „opętanie”. Zaczął oczywiście od Wikipedii.

**Opętanie** -stan umysłu, w którym poszczególne człowiek (indywiduum) odczuwa, że znajduje się pod wpływem zewnętrznej, niefizycznej, najczęściej osobowej siły, lub zachowuje się w sposób sugerujący taki stan osobom trzecim.<sup>32</sup>

Czy w myśl takiej definicji to, czego doświadczał, można było w ogóle nazwać opętaniem? Czytał dalej. Jego uwagę zwrócił fragment:

*W zależności od sytuacji takie duchy mogą być poddane egzorcyzmom lub wejść w relatywnie stały układ z ich gospodarzem czy medium, sporadycznie biorąc kontrolę nad ciałem w czasie trwania transu. Religie nie traktują zatem opętania jednoznacznie, uznając je za doświadczenie dobre lub złe. Abstrahując już od faktu, że kategorie „dobra” i „zła” w religiach pierwotnych nie są ściśle określone, opętanie, w zależności od tego, jaką funkcję pełni, może uchodzić za dar lub przekleństwo (...).*

Kolejny passus stanowił dla niego powtórkę z seminarium, z teologii:

*Teolodzy rozróżniają przyczyny opętania na zawinione i niezawinione. Za zawinione uważają między innymi dobrowolne oddanie się diabłu, świętokradztwo, uprawianie magii, wróżbiarstwa. Do niezawinionych zaliczają z kolei padnięcie ofiarą przekleństwa, czarów, a także opętanie dopuszczone jako doświadczenie Boże (np. cierpienie ekspiacyjne).*

„Czyli można wyróżnić sytuacje, w których nie da się jednoznacznie określić tego zjawiska jako złe - stwierdziła część umysłu Doriana odpowiedzialna za uczucia. - Nigdy dobrowolnie nie oddawałem się diabłu, nie czczę go, wciąż uważam go za wcielone zło, z którym chcę walczyć. Nigdy nie uprawiałem magii ani wróżbiarstwa, nie podpisałem cyrografu. No i kto i dlaczego miałby rzucić na mnie przekleństwo, które miałyby zakończyć się tym, co się ze mną teraz dzieje?”

„Zapominasz o świętokradztwie - skontrowała część bazująca na racjonalnym myśleniu. - Takim jak nieszczerza spowiedź, w której od lat zatajasz przygodę z Ewą i to, co z niej wynikło”.

Dorian zacisnął zęby.

„Czytaj dalej, kochaneczku”

*Wśród najczęściej spotykanych objawów można wymienić skrajną zmianę preferencji i zachowań życiowych chorego, pojawienie się alternatywnej osobowości (zdarza się asymetria - osobowość „wtórna” zdaje sobie sprawę z istnienia „normalnej”, lecz niekoniecznie na odwrót), amnezję (...), agresję, natrętne myśli, pseudoparaliże (...) i niedowład oraz halucynacje wzrokowe i słuchowe. Zmianie ulegają również właściwości fizyczne i wygląd opętanego: wyraz twarzy nabiera cech zgodnych z naturą istoty opętującej, pojawiają się nowe umiejętności motoryczne.*

*W opisie opętania teologia chrześcijańska wyróżnia występowanie innych zjawisk towarzyszących (...) np. telekinezę, telepatię, prekognicję, psychiczny wpływ na innych ludzi, wiedzę dotyczącą zjawisk przeszłych i przyszłych. Dość częstym objawem opętania jest również obniżenie tonu głosu. Zjawiska te są podobnie opisane także w innych kulturach i religiach: mówienie językami nieznanymi osobie opętanej, lewitacja, bilokacja, nadzwyczajna siła. Opisuje się także wyjątkowość innych obserwowanych doświadczeń - odporność na ból i obrażenia czy zniesienie reakcji alergicznych.*

*Trzecim elementem interpretacji zaproponowanej przez teologię chrześcijańską jest wstręt do rzeczy świętych i poświęconych (Eucharystia, relikwie, woda święcona) oraz odróżnianie hostii konsekrowanych od niekonsekrowanych i wody święconej od zwykłej (...). Niechęć wobec tego, co uznane za święte, ma charakter zarówno religijny, jak i duchowy oraz moralny, co odróżnia je również od symptomów antyreligijnej fobii.*

„Czy i to się nie zgadza z twoim przypadkiem?”

„Nie wszystko”.

„Nawet jeżeli nie - co zamierzasz z tym zrobić? Po tym, co zobaczyłeś u Klaudii, która być może została zamordowana przez ten sam byt, albo lepiej: po tym, co zobaczyłeś podczas mszy świętej z modlitwą o uwolnienie, kiedy byłeś mały?”

Dorian nie zdążył nawet zacząć myśleć nad odpowiedzią na to pytanie, kiedy jego szósty zmysł podesłał mu komunikat:

(Złodziej).

Rozejrzał się. Źródło tego sygnału znajdowało się niedaleko. Wstał z łóżka i wyszedł na korytarz.

(Złodziej, który okrada pacjentów w szpitalach).

Wiedział, dokąd powinien pójść. Przyspieszył kroku i pomaszerował w stronę sali na końcu korytarza.

Wyjrzał zza rogu. Leżała w niej starsza kobieta, która spała. W tym czasie jakiś mężczyzna po cichu grzebał w jej szafce.

Dorian stanął tyłem do ściany, z coraz szybciej bijącym sercem. Co powinien zrobić? Zaalarmować pracowników szpitala? Wezwać pomoc? Policję?

Tak naprawdę były to pytania retoryczne. Wiedział, co powinien zrobić, i od początku wiedział, że to zrobi.

Wrócił szybko do swojej sali, dla niepoznaki wyjął z torby książkę, po czym usiadł na jednym z krzeseł w korytarzu i udawał, że skupia się na lekturze. Niedługo potem pojawił się tamten mężczyzna i spokojnym krokiem ruszył w kierunku wyjścia.

„Ukradł portmonetkę i wsadził ją do wewnętrznej kieszeni kurtki” - pojawiło się w umyśle Dorian, kiedy osobnik go mijał. Nie zastanawiał się długo. Rzucił się na niego od tyłu i podciął, łapiąc go za nogi. Przewrócił mężczyznę, choć ten był znacznie większy i cięższy.

– Człowieku, co ty wyrabiasz? - krzyknął z konsternacją zaatakowany, kiedy zakotłowali się na podłodze.

Dorian szybko zyskał przewagę. Choć nic nie mogło na to wskazywać, znacznie przewyższał przeciwnika siłą. Z gibkością jaszczurki przycisnął tamtego do posadzki i unieruchomił.

– O co ci chodzi?! Zostaw mnie! Ratunku! To jakiś wariat!

Na korytarzu pojawili się lekarze, pielęgniarki i niektórzy pacjenci.

– Co tu się dzieje? - zapytał ordynator. - Panowie, przestańcie, bo zaraz wezwę ochronę!

Dorian sięgnął do kieszeni mężczyzny i wyciągnął z niej portmonetkę. Pękata, zdobioną cekinami.

– Tak, niech pan wezwie ochronę! To złodziej! Ukradł pieniądze pacjentce! - Uniósł dłoń ze znaleziskiem, umiejętnie imitując zaaferowany ton głosu.

– Niczego nie ukradłem! To moje! - zawołał mężczyzna.

– Może zapytamy panią, której to zabrałeś? - Dorian wskazał koniec korytarza. - Pomóżcie mi! Przysięgam, że widziałem, jak on kradnie! - zwrócił się do personelu. - Wezwijcie policję! Obudźcie i zapytajcie tamtą panią, to powie wam, że to jej!

Tak naprawdę nie potrzebował pomocy, uznał jednak, że powinien zachować pozory. Zgromadzeni chyba wciąż nie byli pewni, jak postąpić, bo tylko stali i patrzyli, ale w końcu jedna z pielęgniarek pobiegła do gabinetu, a pozostali, w tym dwóch pacjentów, przyklękli przy Dorianie i pomogli mu unieruchomić mężczyznę. Ten próbował się uwolnić, wrzeszcząc coś o odpowiedzialności karnej za ograniczanie jego wolności, ale kiedy po kilku minutach na oddział dotarli ochroniarze, pogodził się z porażką, przyznał do winy i dał im się obezwładnić. W tym czasie obudzono kobietę z sali na końcu korytarza. Potwierdziła, że nie może znaleźć portmonetki, i opisała ją ze szczegółami, jeszcze zanim ją zobaczyła.

– Dziękuję panu - powiedziała z wdzięcznością, kiedy Dorian oddawał jej własność.

– Drobiazg. Całe szczęście, że to zobaczyłem.

Brzmiał tak przekonująco, że niemal sam w to uwierzył. Chyba jeszcze nigdy nie wypowiedział tak dobrze kłamstwa, jeżeli chodzi o intonację głosu i mowę ciała. Tak samo postąpił, kiedy niedługo potem rozmawiali z nim policjanci i opowiedział im bajeczkę o tym, jak spacerował po korytarzu i zwrócił uwagę na podejrzenie zachowującego się mężczyznę. Przeczował, że nawet gdyby podłączono go do wariografu, urządzenie nic by nie pokazało.

Wreszcie wrócił do swojej sali i zorientował się, że na ekranie jego telefonu nadal widnieje podstrona Wikipedii o opętaniu. Zamknął ją.

„Co z tym zrobię? Jeszcze nie wiem” - odpowiedział w myślach na ostatnie pytanie ze swoich wewnętrznych rozterek i położył się do łóżka. Dopiero wtedy zauważył, że nie ma łańcuszka z krzyżykiem, który zawsze nosił na szyi.

# ROZDZIAŁ XIV

Dorian spędził większość dnia, przeczesując Internet w poszukiwaniu informacji o swoim przypadku, ale w zasadzie nie dowiedział się niczego więcej niż to, co przeczytał na Wikipedii. Z góry wykluczył strony o tematyce satanistycznej, skupił się bardziej na tych dotyczących duchowości, nauki, parapsychologii oraz zjawisk paranormalnych, mając nadzieję na obiektywniejsze podejście do tematu. Nie odkrył Ameryki - stara prawda głosiła, że żadnego zjawiska nie można tak naprawdę nazwać jednoznacznie dobrym albo jednoznacznie złym. W historii dało się znaleźć pozytywne sojusze sił nadprzyrodzonych z człowiekiem, który dzięki temu zyskiwał nadnaturalne zdolności. Media, szeptuchy, jasnowidze, wiedźmy i tym podobne. Często również zdarzało się, że ludzie posiadali jakiś dar od urodzenia, i właściwie nie dało się go wytłumaczyć. Jeżeli chodzi o sytuacje, w których zwyczajny człowiek próbował paktować z siłami zła, o wiele więcej udokumentowano takich, które kończyły się tragicznie. Tak czy inaczej - istniały dobre kontrprzykłady, choć nie natrafił nawet na wzmiankę o takim, który w stu procentach pokrywałby się z jego własnym.

Chcąc pozbyć się wątpliwości, udał się do szpitalnej kaplicy. Nie zawiódł się. Nawet do niej nie wszedł, odczuwał wewnętrzną niechęć, by przekroczyć próg, a jego organizm zareagował podobnie jak w zakrystii przed rozpoczęciem ostatniej mszy świętej - uciskiem w żołądku, wyraźnie gorszym samopoczuciem i wrażeniem bycia obserwowanym przez czujne oczy Chrystusa z obrazu nad ołtarzykiem, na który Dorian nie mógł nawet spojrzeć. Zanurzył też czubek palca w kropielnicy, a ten zaskwierczał od kontaktu z wodą święconą i pokrył się

bolesnymi oparzeniami, które jednak zniknęły natychmiast po tym, jak wytarł dłoń o ubranie.

Wracając spacerowym tempem na swój oddział, pogrążył się w myślach. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Wprost pragnął z kimś o tym porozmawiać, najlepiej z niezależnym ekspertem, może zyskać inny punkt widzenia, ale jednocześnie przeczuwał, że na razie powinien to ukryć. Jakoś nie wyobrażał sobie, że Szymon podszedłby do jego zdolności równie liberalnie jak on i nazwał je darem. Pani Irena? Może, choć gdyby pokazał jej pełnię swoich możliwości, w tym przemianę, z pewnością zmieniłaby zdanie. Kropidłowski, o ile nie dostanie dożywcia? Bez żartów, z pewnością określiliby je dziełem demona i zalecił jak najszybszy egzorcyzm. A gdyby Dorian odmówił, twierdząc, że może z nich wyniknąć wiele dobrego, pewnie doniósłby o tym kurii. Informacja mogłaby przedostać się do mediów. Patrzcie państwo, ksiądz jasnowidz, który więzi w ciele diabła i jeszcze twierdzi, że nad tym panuje! Hubert za taki temat pewnie dałby się nie tyle pokroić, ile poszatkować w kosteczki. Dorian zacząłby wzbudzać niezdrowe zainteresowanie, a ludzie w interakcjach z nim już zawsze braliby poprawkę na to, że potrafi z nich czytać, traktowałiby go jak dziwadło, reputacja jego parafii zaś poleciałaby na łeb na szyję, a to ostatnie, co było jej teraz potrzebne. Z podobnego powodu na razie odpadała również rozmowa ze Strzelczykami na temat ich córki i pochodzenia demona, który zagarnął jej ciało. Jak słusznie zauważył mecenas Naumowicz, obecnie byli zrozpaczeni i pogrążeni w żałobie, a więc nieobliczalni. Dorian musiałby zataić kontekst takiego wywiadu, a wypytywanie ze szczegółami o to, w jaki sposób Klaudia sprowadziła na siebie tragedię, po tym jak nie dało się jej uratować, mogło wydać się im podejrzane. Zresztą nie miał gwarancji, że wiedzieli cokolwiek kluczowego.

Pozostała jeszcze taka kwestia, że gdyby pokazał komuś swoje nowe talenty i to by się rozniosło, mogliby się o tym dowiedzieć gangsterzy, którym ostatnio nadepnął na odcisk. A potem, przy założeniu, że by się tego pozbył (tylko skąd pewność, że egzorcyzm poskutkowałby powrotem do normalności?), nie dysponowałby już żadnymi narzędziami, żeby ewentualnie się obronić. Tacy ludzie lubią wyrównywać rachunki. Zostałby sam jak palec albo, co gorsza, naraziłby bliskich, których jako osoba wychowana w domu dziecka miał niewielu, więc tym bardziej należało ich chronić.



Ocknął się, kiedy jego szósty zmysł doniósł, że ktoś w pobliżu cierpi tak bardzo, że znajduje się zaledwie o krok od śmierci. Nie zastanawiając się długo, wybiegł z klatki schodowej i wpadł na oddział onkologiczny. A kiedy zidentyfikował mężczyznę, którego dotyczyła informacja, wtargnął do pokoju lekarzy z takim impetem, że o mało nie wyrwał drzwi z zawiasów.

\* \* \*

– Bardzo panu dziękuję. - Młoda kobieta uśmiechnęła się nieśmiało i wręczyła mu czekoladę. - Gdyby nie pan...

– Nie panu, tylko księdzu - poprawiła ją uprzejmie pani Irena, która odwiedziła Doriana po południu. Rozmawiali, kiedy do sali weszła córka mężczyzny, którego uratował dzięki szybkiemu zaalarmowaniu lekarzy.

Po uwadze staruszki kobieta się zaczerwieniła.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. - Dorian się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że tata czuje się lepiej?

– Już niewiele mu zostało - odpowiedziała smutno. - Walczymy, ale to pewnie kwestia czasu, może nawet dni. Każdy kolejny jest na wagę złota i dlatego jestem panu... przepraszam, księdzu, bardzo wdzięczna.

Kiedy wyszła, pani Irena nachyliła się do Doriana.

– Ksiądz to ostatnio jak superbohater! - powiedziała z uznaniem. - Łapie złodziei, ratuje ludzi, jeszcze tylko brakuje, żeby zaczął fruwać! Chyba już dobrze ksiądz się czuje?

– Tak, jest w porządku.

– W domu jest tak pusto i smutno... Niech ksiądz szybko do nas wraca! Oby ten rezonans pokazał, że nic księdzu nie jest... - Splotła dłonie i uniosła wzrok. - Codziennie się za księdza modlę. Za księdza i za proboszcza.

– Z taką skutecznością pani modlitw jestem pewien, że księdza Ludwika niebawem uniewinnią i wypuszczą - odpowiedział z uśmiechem. - A właśnie, są na jego temat jakieś wieści?

Pani Irena posmutniała.

– Według tego adwokata prawie na pewno zostanie skazany, ale sprawa trafi na wokandę dopiero za kilka miesięcy i do tego czasu będzie siedział w areszcie. Myślę nad złożeniem wniosku do prezydenta o zastosowanie prawa łaski, ale to raczej nic nie da. Podobno nawet zrobili księdzu badania psychiatryczne, bo uznali, że opowiada niestworzone historie. Nie wierzą, że mogły być w to zamieszane złe siły. Ludzie ciągle do nas przychodzą i pytają. Próbujemy im tłumaczyć, ale to coraz trudniejsze, bo gazety już ferują wyroki i coraz więcej osób zaczyna wierzyć, że on naprawdę... - Załkała, a jej oczy się zaszklily. Wyciągnęła chusteczkę i otarła łzy.

Dorian wziął ją za rękę.

– Przepraszam, ja... po prostu nie mogę tego przeżyć. Nie mogę! - zaszlochała. - Ksiądz Ludwik, taki wspaniały człowiek! W więzieniu! Za czyn, którego nie popełnił! Dlaczego musiało to spotkać akurat jego?

– Nie wiem - odpowiedział cicho Dorian. - Może tak musiało być, bo Bóg ma na nas jakiś plan? Może to część większej całości?

Wydmuchała nos.

– Próbuję w to wierzyć, ale... dlaczego złe rzeczy spotykają dobrych ludzi, a ci źli nie odpowiadają za swoje czyny? Dlaczego Bóg nie karze ich za życia? Przecież mógłby! Wiem, że czeka nas rozliczenie po śmierci, ale przepraszam, nie rozumiem, po co czekać tak długo. To niesprawiedliwe, a dobrzy ludzie przez to cierpią. Dlaczego nie można ratować dobrych przed złem i od razu karać złych? Żeby już teraz wiedzieli, że takie postępowanie nie popłaca, a nie dopiero po fakcie. Nie sądzi ksiądz, że wtedy świat byłby lepszy?

Dorian skwitował to dyplomatycznym milczeniem. Już po tym, jak uratował tego mężczyznę z nowotworem i zobaczył na twarzy jego córki szczerą wdzięczność, coraz śmieiej myślał nad tym, co powinien zrobić, kiedy stąd wyjdzie, a ostatnie słowa pani Ireny tylko to wzmocniły. Jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji. Wszystko zależało od ostatniej próby, którą zamierzał wykonać po opuszczeniu szpitala.

Czyli nazajutrz, po otrzymaniu wyników rezonansu. Był dziwnie spokojny, że nie wykażą żadnych przeciwwskazań.

\* \* \*

Zgodnie z oczekiwaniami wypisano go już następnego dnia, jak to określił lekarz: „do dalszej obserwacji”. Dorian otrzymał skierowanie do poradni neurologicznej, w której miał się stawić za miesiąc, choć wiedział, że i tak z niego nie skorzysta. Nie dostał recept na żadne leki, a jedynie zalecenia, by unikać alkoholu, używek, odwodnienia i upałów.

Tak jak postanowił, nie pojechał na plebanię, tylko do opuszczonej fabryki traktorów w Ursusie. Do swojej ostatniej próby potrzebował ustronnego, wyludnionego miejsca. Wszedł do jednej z większych, na wpół zrujnowanych hal i rzucił torbę na ziemię.

Nie mając żadnych myśli, zaczął biec. Rozpędził się do największej prędkości, jaką był w stanie osiągnąć. Ani się obejrzał, jak przemierzył wzdłuż całą halę. W ogóle nie odczuwał zmęczenia, nawet się nie zasapał. Odwrócił się i ocenił na oko odległość, jaką pokonał. Ponad sto metrów. Czas? Kilka sekund. Rozpędził się ponownie i po chwili znajdował się na przeciwległym końcu hali, w dalszym ciągu świeżutki, jakby przez cały czas leżał. Gwałtownie zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku, lecz tym razem w połowie drogi odbił się od ziemi i skoczył najwyżej, jak mógł. Spokojnie pobił rekord z przedostatniej nocy.

Krzyknął z podekscytowania jeszcze w powietrzu, po czym wylądował na ziemi z lekkością ptaka. Nie odczuł choćby najmniejszego bólu w kolanach, w kostkach ani w kręgosłupie. Nie zwolnił. Biegł dalej, oddał kolejny skok i wykonał kilka salt. Robił je pierwszy raz w życiu, jednak przyszły mu tak łatwo, jakby był wyszkolonym akrobatą. Znowu zwrot, sprint i jeszcze jeden skok. Następne salta i inne ewolucje, ponownie gładkie lądowania. Przejście w przód, przejście w tył, gwiazda, salto machowe... Czuł się, jakby umiał je robić od zawsze.

Stanął na rękach i zrobił w tej pozycji kilka pompek, w starym życiu niemożliwych. Ugiął łokcie i odbił się od ziemi samymi rękami, osiągając połowę wysokości hali.

Ukląkł przy potężnej bryle gruzu, otoczył ją rękami i uniósł. Udało mu się nawet rzucić nią na kilkanaście metrów. Następna, mniejsza, z kolei podrzucił i rozbił swoją powiększoną szponiastą dłońią, która w takiej formie najwyraźniej stawała się o wiele bardziej wytrzymała, a także odporna na obrażenia i ból.

Podszedł do ściany i zaczął się po niej wspinać. Po prostu położył na niej ręce i nogi i zaczął się przemieszczać na czworakach. Dotarł do sufitu, lecz nie zrobiło mu to żadnej różnicy. Choć czuł, że kierunek siły przyciągania ziemskiego się nie zmienił, nie przeszkadzało mu to poruszać się po dowolnej płaszczyźnie jak po poziomie. Zeskoczył z sufitu, odczuwając to tak, jakby wstawał z łóżka.

Wreszcie, po kilku godzinach testowania swoich możliwości, usiadł pod ścianą i pogrążył się w zadumie. Nadal nic z tego nie rozumiał, nadal nie potrafił wytłumaczyć, skąd właściwie wynikają jego zdolności, ale... czy to ważne? Czy zajmowanie się ich pochodzeniem miało aż tak duże znaczenie? Czy raczej należało przyjąć je do wiadomości, uważnie się obserwować, a przede wszystkim: skupić się na tym, jak je wykorzystać dla dobra wszystkich.

„Klaudia Strzelczyk wiedziała o waszych mrocznych tajemnicach? - przypomniał sobie słowa prokuratora Weynerta. - Sam bym nie pogardził taką zdolnością. Jak można to uzyskać? Przydałoby mi się w pracy”.

„Ksiądz to ostatnio jak superbohater! - głos pani Ireny. - Dlaczego nie można ratować dobrych ludzi przed złem i od razu karać złych? Żeby już teraz wiedzieli, że takie postępowanie nie popłaca, a nie dopiero po fakcie. Nie sądzi ksiądz, że wtedy świat byłby lepszy?”

„Dziękuję...” - głosy kobiet, którym pomógł, wykorzystując swoje zdolności.

Wreszcie...

„Spierdalamy! - przerażony głos jednego z gangsterów. - To coś za nami idzie!”

Przypomniał sobie, jak uciekali przed nim niczym szczury, jak nie byli w stanie go trafić, choć zużyli wszystkie pociski. Jak przewidywał ich ruchy, bo poprzedzały je złe zamiary, które rejestrował swoim szóstym zmysłem. I z jaką łatwością rozgonił towarzystwo jednych z najgroźniejszych stołecznych bandytów.

Zaświeciły mu się oczy, a serce zaczęło bić szybciej. Możliwości, jakie wiązały się z jego mocami, były nie do wyobrażenia. Całe miasto stało przed nim otworem. Wystarczy, że zbliży się do jakiegoś człowieka i będzie wiedział, czy jest przestępcą, czy kogoś skrzywdził, okłamał, okradł albo pobił. Będzie wiedział, w jakie brudy jest zamieszany, może nawet gdzie szukać na nie dowodów. Zresztą dlaczego miałby ograniczać się tylko do ludzi z półświatka? Mógł dowiedzieć się o wszelkich zatajonych aferach, w które byli zamieszani biznesmeni i politycy.

Wywlec je, dostarczyć dowody i raz na zawsze usunąć takie osoby z życia publicznego.

Był w stanie zmienić świat w pojedynkę. Sprawić, że stanie się lepszy. Że wszyscy źli ludzie zostaną ujawnieni, osądzeni i ukarani. A co za tym idzie - że tym dobrym, także jego córce, Ewie, pani Irenie, Szymonowi i innym, będzie żyło się lepiej.

Zadrzał z ekscytacji. Co mogło pójść nie tak? Czego jeszcze potrzebował, aby ten plan był doskonały?

Wiedział czego. Anonimowości. Mitycznego pierścienia Gygesa, który zapewniłby mu niewidzialność, dzięki czemu mógłby działać niezależnie, kiedy chce i na swoich zasadach. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że to on. W popkulturze superbohaterowie zazwyczaj nosili maski. On też jej potrzebował. Najlepiej takiej, która wzbudzi respekt.

Wstał i w opuszczonej fabryce poszukał toalety. Znalazł ją, a w niej brudne, pęknięte lustro. Przetarł je otwartą dłonią, po czym zdjął bluzę i koszulkę. Spojrzał na swoją szczupłą, umięśnioną sylwetkę i tym razem skupił się, aby przemienić się w całość.

I to się stało.

Uśmiechnął się do swojego odbicia. Do swojego, choć tak naprawdę poza wzrostem i posturą miało już niewiele wspólnego z jego normalnym wyglądem i sam ledwo siebie rozpoznał. Teraz miał kruczoczarne, nastroszone włosy, bardzo ostre, drapieżne rysy twarzy bez zmarszczek, czarne oczy i ostre zębiska. Jego skóra stała się niemal sina, jasnoszara, z przebijającymi się gdzieś tam fioletowymi żyłkami, pozbawiona znamion i pieprzyków, których w zwykłej postaci mu nie brakowało. Powiększyły mu się dłonie, z palców wyrosły czarne pazury, zwrócił również uwagę na to, że zniknęły mu linie papilarne.

Pojawiło się coś jeszcze. Coś, z czym od tej pory miał nierozzerwalnie się kojarzyć.

Druga twarz na klatce piersiowej, ukryta w całości pod skórą i przypominająca płaskorzeźbę. Idealna kopia jego aktualnego oblicza.

Wpatrywał się w siebie z urzeczeniem, jak krytyk sztuki zachwycony kunsztem malarza. A i owszem, gdyby stworzył to jakiś artysta, Dorian nie miałby prawa narzekać na choćby jedno pociągnięcie pędzlem. Było w tym coś upiornie

pięknego, wręcz doskonałego, także jeżeli chodzi o proporcje. Dokładnie tak powinien wyglądać, jeżeli chciał, żeby się go bano.

I właśnie wtedy - ostatecznie - podjął decyzję, która miała zaważyć na całym jego życiu. I doprowadzić do wielu dramatycznych wypadków.

– Cześć, wojowniku. - Wskazał się palcem w lustrze, a jego zwykły, dźwięczny głos synchronicznie dopełnił drugi, o wiele niższy. Kiedy mówił, poruszały się również usta z twarzy na klatce piersiowej. - Czego tu szukasz? Jakie masz plany na wieczór? Jesteś odważny, jak na wojownika przystało?

**CZĘŚĆ IV:**  
**(ANTY)BOHATER**

# ROZDZIAŁ XV

– Szymon, potrzebuję przerwy. Nie daję rady.

Szymon, siedzący przy biurku w kancelarii, spojrzał na Doriana z miną, w której zdziwienie łączyło się z potężnym zmęczeniem. Na początku chyba nawet nie do końca dotarło do niego, kogo widzi. I czy najpierw nie powinien się przywitać albo zadać pytania w stylu „Już cię wypisali?”. Padło za to inne:

– To znaczy?

– Przerwy od posługi. - Dorian spuścił wzrok, choć nie miałby żadnych problemów ze spojrzeniem Szymonowi w oczy. Umiejętność perfekcyjnego kłamania kazała mu jednak to zrobić w takim, a nie innym momencie. Łatwość, z jaką to przychodziło, ta kontrola sprawiały mu niewyjaśnioną przyjemność. - Przepraszam, wiem, że nie powinienem cię teraz zostawiać i że możesz uznać to za trochę egoistyczne, ale w szpitalu miałem czas to przemyśleć. I przemyślałem. - Spojrzał na rozmówcę. Nie zadrgał mu choćby jeden mięsień, a głos miał odpowiednią barwę.

– Chcesz... odejść z kapłaństwa? - Szymon otworzył szerzej oczy. - Dlaczego?

– Nie definitywnie. Nie chodzi o kryzys wiary - zapewnił szybko Dorian. Akurat w tym szczególnie nie musiał kłamać. - Po prostu muszę trochę odpocząć, uporządkować sobie to i owo, a przede wszystkim zadbać o zdrowie. Dla dobra wszystkich muszę odciąć się od tego zamieszania z proboszczem. W szpitalu nachodzili mnie dziennikarze.

– Nic nie mówiłeś.



– Nie chciałem was martwić. I tak mieliście sporo na głowie. Niektórzy też do mnie dzwoniли. Dawales im mój numer?

– Oczywiście, że nie.

– No to nie wiem, jak go zdobyli. Nic im nie powiedziałem, ale źle się z tym wszystkim czuję. Jakbym był szpiegowany i osaczony. Chcę na jakiś czas usunąć się w cień. - Uśmiechnął się w duchu. - Lekarze nie wykryli, co spowodowało mój atak, ale jestem prawie pewien, że to ma jakiś związek ze stresem. Organizm nie wytrzymał. Ostatnio jest mi trudno. Demony, śmierć tej kobiety, aresztowanie proboszcza, przesłuchania, dziennikarze, ludzie z transparentami na mszy, niepewność, co jeszcze się wydarzy... Za dużo tego. Jak tak dalej pójdzie, jeszcze kilka razy wyląduję na pogotowiu. Taka prowizorka nie ma sensu. Nie chcę rozwalić tego, co proboszcz z takim wysiłkiem budował od wielu lat.

Szymon wpatrywał się w niego w milczeniu. Nowe zdolności Doriana pozwoliły mu natomiast wyczuć odpowiedni moment, w którym należy dokręcić śrubę, aby wyrzucić na rozmówcę jak największy wpływ.

– Chodzi też o dobro parafii - dodał.

– Nie jestem pewien, czy parafii dobrze zrobi fakt, że wikary, który brał udział w tym nieszczęsnym egzorcyzmie, ucieka - stwierdził Szymon. - Ludzie odbiorą to jednoznacznie.

– Domyślam się. I to prawda: w pewnym sensie uciekam. Ale wiesz, że nie przed odpowiedzialnością za tę tragedię.

– Wiem, ale...

– Szymon, nie jesteśmy cyborgami! - Podniósł głos, choć tak naprawdę zachowywał pełen spokój. - My też mamy swoje rozterki i emocje, z którymi nie potrafimy sobie poradzić, szczególnie w tych gorących czasach. I ludzie, zwłaszcza ci jeszcze nam przychylni, powinni to zrozumieć. A jeżeli nie rozumieją, nie możemy się do nich dostosowywać za wszelką cenę. Czasem trzeba pomyśleć również o sobie, dlatego proponuję przerwę jako kompromis. Czy tak trudno zrozumieć, że teraz to na mnie będzie się skupiać uwaga ludzi? Że będę im się kojarzył tylko z tą śmiercią? Media będą szukać winnych i jestem pewien, że sam proboszcz im nie wystarczy. Muszę zniknąć, dopóki sytuacja trochę się nie uspokoi.

Szymon westchnął.

– Rozumiem, że to już postanowione? Nie przekonam cię do zmiany zdania?

– Tak, postanowione. I nie, nie przekonasz mnie. Ani ty, ani biskup. Przepraszam.

– A ile ta przerwa ma trwać?

– Na razie nie chcę wskazywać terminu powrotu. Może to być kilka miesięcy, ale równie dobrze rok albo dłużej. Wszystko zależy od tego, kiedy poczuję, że jestem na to gotowy.

Szymon wpatrywał się w niego, kręcąc się na fotelu raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Masz jakieś problemy osobiste? - zapytał nagle.

– Jeżeli w ten sposób chcesz nazwać zmęczenie materiału, to tak.

– Nie o tym mówię. - Szymon odchylił się, zmierzył Dorianą wzrokiem i rozłożył ręce. - Jesteś młody, przystojny i utalentowany. Przyciągasz uwagę kobiet, biologii się nie oszuka i... No wiesz, już co najmniej jedna licealistka się w tobie zadurzyła.

– Absolutnie nie chodzi o kobiety - uciał Dorian. - Ani o Judytę, ani o żadną inną.

Przez jakiś czas w gabinecie panowała cisza.

– Dobrze, a jeżeli to nie tajemnica, co będziesz robił w tym czasie? - zapytał Szymon.

– Mam trochę oszczędności, spokojnie utrzymam się z nich przez kilka miesięcy. Jeżeli do tego czasu nie wrócę, pójdę do pracy. Żadna nie hańbi, za to każda nadaje się na reset. Nie mam wielkich wymagań. Wystarczy, żeby płacili na minimum egzystencji.

Szymon wyraźnie wołał usłyszeć coś innego, na przykład o udaniu się na rekolekcje albo do klasztoru na czasowe odcięcie się od świata. Nie skomentował tego jednak.

– A gdzie będziesz mieszkał? Przepraszam, że tak wypytuję, ale... no wiesz, nie masz rodziny i...

– Coś sobie wynajmę. To nie problem.

Szymon spojrzał na Dorianę z ubolewaniem i w końcu sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Dobrze. Szanuję twoją decyzję i wierzę, że naprawdę ją przemyślałeś. Zadzwoń do kurii, ale spodziewaj się, że to jeszcze nie koniec. Będą robili

wszystko, żeby cię zatrzymać.

– Wiem. Bardzo ci dziękuję! - Dorian odwrócił się i pomaszerował do wyjścia.

– A zostaniesz chociaż do niedzieli, żeby odprawić ostatnią mszę i pożegnać się z ludźmi?

Dorian się zatrzymał. Przez jakiś czas się nie odwracał, wreszcie zgarbił się i spojrzał na wikarego z udawanym poczuciem winy.

– Nie mogę.

– Dlaczego? - zdziwił się Szymon. - Po prostu powiesz, że kończysz posługę w tej parafii, i tyle. To nie kłamstwo.

– Wcale nie jest powiedziane, że kończę ją definitywnie. To skomplikowane.

– Właśnie widzę. Mówiłeś, że to nie kryzys wiary. W takim razie co?

Dorian westchnął w zagranym zniecierpliwieniu, choć musiał przyznać, że to pytanie zmusiło go do pewnego wysiłku.

– Strach przed tym, że ktoś zakłóci mszę kolejną manifestacją, nazywając mnie mordercą. Transparenty, krzyki, kamery, smartfony, filmiki na YouTube, rozgłos w mediach. Może nawet zjawi się tu jakiś polityk nieprzychylny Kościołowi, żeby nabić sobie zasięgi. Nie sądzisz, że wciąż istnieje takie ryzyko?

Widział, że zadziałał na wyobraźnię. Szymon już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, ale Dorian nie dał mu nawet zacząć.

– Nie mogę, Szymon! Po prostu nie mogę - powiedział stanowczo. - Spróbuj to zrozumieć. Potrzebuję samotności. Zniknąć, odciąć się od świata, zamknąć się w dziupli. Pograć na gitarze, pomodlić się i oczyścić. Przepraszam, ale nie potrafiłbym spojrzeć ludziom w oczy... - „Nie tylko im” - dodał w myślach. - Nazwij to tchórzostwem, jak chcesz - ciągnął. - Wtedy przyznam ci rację, tyle że każda kosa ma swój kamień. Nic więcej.

– Dalej uważam, że można to rozegrać inaczej, ale nie będę się z tobą kłócił.

– Doceniam to.

– A modlitwa to bardzo dobry pomysł. Sam ją odmówię w twojej intencji.

– Doceniam tym bardziej.

– I przykro mi, ale jednej rzeczy, choćbyś mnie błagał albo mi groził, za ciebie nie zrobię.

– Jakiej? - zapytał Dorian, stwierdzając z zaskoczeniem, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Wyglądało na to, że jego zdolności miały swoje ograniczenia i nie potrafił przeczytać wszystkich myśli swojego rozmówcy. Nawet nie był do końca pewien, czy to rzeczywiście były myśli.

– Sam poinformujesz o swojej decyzji panią Irenę - powiedział stanowczo Szymon. - I to ty będziesz musiał przyjąć na pierwszej linii frontu jej reakcję.

\* \* \*

Przez następne dni na plebanii panowała iście grobowa atmosfera. Dorian praktycznie nie wychodził z pokoju i dla zachowania pozorów od czasu do czasu grał na gitarze, choć jakoś tak się złożyło, że nie zagrał ani jednej pieśni kościelnej. Raz za razem upewniał się też, czy jego moce nie są jednym wielkim wariactwem, snem, z którego powinien się obudzić, nim będzie za późno. Nie zawiódł się i ani Szymon, ani pani Irena nie mieli pojęcia, że często, gdy akurat przechodzili obok jego sypialni, on stał na czworakach na suficie albo podnosił swoje biurko z taką łatwością, jakby było zrobione z kartonu.

Pani Irena przeżyła jego decyzję gorzej, niż przewidywał. Nie mogła w nią uwierzyć. Jakkolwiek próbował ją zapewniać, że się myli, była przekonana, że porzuci posługę na zawsze. Doznał nawet wyrzutów sumienia, że musi ją okłamywać co do prawdziwego powodu opuszczenia plebanii, ale nie miał wyboru. Staruszka nie zamierzała jednak tak łatwo się poddać. Nachodziła go tak często, że Dorian czuł się niemal prześladowany. Był pod wrażeniem jej kreatywności co do wymyślania kolejnych pretekstów, żeby do niego zajrzeć. Nie potrafiła zbyt dobrze udawać i rozmowa w miarę szybko schodziła na palący temat. Namawiała go, by jeszcze to przemyślał i z nimi został. Za każdym razem cierpliwie i tak samo tłumaczył jej powody swojej decyzji, lecz nie potrafiła przyjąć ich do wiadomości. Nie pomagały nawet obietnice, że będzie często ich odwiedzał.

Decyzja biskupa była dla niego pomyślna i - co najważniejsze -bardzo szybka, bo została podjęta już po tygodniu. Dorian oczywiście musiał najpierw stawić się w kurii, gdzie zgodnie z przewidywaniami Szymona próbowano go przekonać do zmiany zdania. Na tę okoliczność wyciągnął z rękawa te same asy, co poprzednio, czyli argumenty o konieczności odcięcia się od wścibskich mediów i ludzi, którzy podchodzili do sprawy śmierci Klaudii Strzelczyk z mniejszym zrozumieniem.

Ostatnimi czasy Kościół miał wystarczająco złą prasę, by jeszcze doprawiać ją takimi sytuacjami. Biskup wiedział, że gdyby się nie zgodził, Dorian po prostu oznajmiłby mu, że odchodzi z kapłaństwa. Bezterminowy urlop z zostawieniem sobie możliwości powrotu był kompromisem, na który musiał przystać i wysłać do parafii pod wezwaniem Świętego Benedykta nowego wikarego.

Kiedy stało się jasne, że już nic nie odwiedzie Doriana od wyprowadzki, do jego pokoju ponownie zawitała pani Irena.

– Mam mieszkanie w Ursusie - powiedziała. - Małe, własne. Stoi puste, bo mieszkam na plebanii, a i tak muszę płacić za nie czynsz. Skoro już ksiądz się wyprowadza, to może w nim zamieszka? Za darmo.

Zaskoczyła go. Spodziewał się, że znowu będzie mu wiercić dziurę w brzuchu. Przeanalizował propozycję, która nie brzmiała tak źle. Aby zrealizować swój plan, musiał zostać w Warszawie albo chociaż w jej okolicach.

– Byłabym o księdza spokojniejsza - dodała. - Wciąż się martwię, że może przytrafić się księdzu więcej takich ataków. Musi mieć ksiądz kogoś, kto od czasu do czasu do księdza zajrzy i w razie potrzeby będzie mógł wezwać pomoc. To nie są żarty!

Wiedział, że się martwi. Wyczuwał to. Wiedział również, że atak, jakiego się obawia, już nigdy mu się nie przydarzy. Jednak przede wszystkim wiedział, że musi zachowywać pozory i aby nie wyglądało to podejrzanie, przynajmniej częściowo ulegać.

– Dobrze, to dobry pomysł - powiedział. - Ale stanowczo nie zgodzę się na darmowe mieszkanie!

\* \* \*

Po długich pertraktacjach z panią Ireną, która nie chciała się zgodzić, by cokolwiek jej płacił, udało im się dojść do konsensusu i Dorian miał pokrywać przynajmniej koszty mediów i czynsz. Spakował swój dobytek, mieszczący się w kilku torbach i w pokrowcu z gitarą, po czym z Szymonem odwieźli go do nowego lokum. Może nie spełniało najwyższych standardów i było widać, szczególnie po meblach, że należy do wiekowej osoby, ale nie wybrzydzało, zwłaszcza że znajdowało się na

najwyższym piętrze bloku i z tego, co się zorientował - naprzeciwko nikt nie mieszkał. Nie zarejestrował tam nikogo swoim radarem. Wymarzona sytuacja.

Gdy tylko przekroczył próg, od razu poczuł się jak w domu, jak zwykła osoba świecka, która zaczyna nowe życie. Nie miał pojęcia, że to aż tak przyjemne uczucie. Bez odpowiedzialności, bez strachu i napięcia, że ludzie czekają na każde twoje spotkanie i trzeba się pilnować. Życie bez obciążeń i z czystą głową. Życie, w którym można robić, co się chce.

Na myśl o tym ostatnim uśmiechnął się pod nosem.

Zew mrocznych sekretów Warszawy nie przestawał go wzywać. Odbierał, słyszał, czuł go niemal bez przerwy, zaciskał jednak zęby i powstrzymywał się przed jakimkolwiek działaniem do momentu, w którym wyprowadzi się z plebanii. I oto nadszedł. Moment oznaczający, że oficjalnie mógł zacząć zmieniać świat na lepsze. Nie mógł się już doczekać.

Pani Irena zostawiła mu jeden komplet kluczy, a przy pożegnaniu przytuliła tak długo, że wydawało się, iż nigdy go nie puści. Odprowadził ją i Szymona do wyjścia.

– Pani Irenko, da nam pani chwilę na osobności? - poprosił Szymon.

– Dobrze. - Spojrzała najpierw na niego, a potem na Dorianą. Na tego drugiego trochę dłużej. - Będę czekać przy samochodzie.

Kiedy zostali sami, przez jakiś czas panowała cisza. Wreszcie Szymon uściśnął Dorianą jak brata.

– Wracaj szybko.

– Wróć. Obiecuję. Pewnie i tak zobaczymy się niedługo.

– Myślę, że pani Irena bardzo się ucieszy. Traktuje cię jak syna, zauważyłeś? Tak pół żartem, pół serio: czasem jestem zazdrosny, bo wyraźnie masz u niej specjalne względy.

Dorian nachylił się lekko do niego.

– Zauważyłem. Dlatego mam prośbę. Przypomnij jej delikatnie, że ma prawdziwego syna, do którego powinna się odezwać. Ja, przy całej mojej sympatii do niej, nie jestem nim i nigdy nie będę. Tego ostatniego oczywiście jej nie mów.

Szymon spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Ma syna? Nawet nie wiedziałem. Nigdy o nim nie wspominała.

– Mieszka w Stanach, wyemigrował dawno temu. To dla niej trochę drażliwy temat i nie lubi o tym rozmawiać. Długa historia. Ale prawdziwa.

Szymon kiwnął głową i spojrzał w stronę wyjścia. Milczał przez chwilę.

– Dlaczego to robisz? - zapytał nagle.

– Co?

– Dlaczego od nas odchodzisz?

– Tłumaczyłem ci to. Naprawdę mam powtarzać jeszcze raz?

– N a p r a w d ę to bardzo bym chciał, żebyś był ze mną szczery. Zmieniasz swoje życie z dnia na dzień. Za taką decyzją zawsze stoi coś poważnego. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że poważniejszego niż proboszcz niesłusznie oskarżony o morderstwo, strach przed ludźmi wydającymi wyroki bez znajomości kontekstu czy napastujący cię dziennikarze. Co przed nami ukrywasz?

Dorian spojrzał mu głęboko w oczy.

– Nic. Od początku mówiłem ci prawdę. I masz rację. Za tą decyzją stoi coś bardzo poważnego. Wyższe dobro.

– Twoje czy świata?

– W moim przypadku to jedno i to samo.

Szymon uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

– Jak uważasz. Trzymaj się!

Wyszedł z mieszkania, zostawiając Doriana na środku korytarza.

# R O Z D Z I A Ł      X V I

Przez następne kilka dni Dorian dalej testował swoje zdolności w ustronnych miejscach i nabierał w nich coraz większej wprawy. Planował też ze szczegółami operację, jaką zamierzał niebawem rozpocząć. Część dnia poświęcał na rekonesanse po Warszawie, aby szukać miejsc zamieszkania i spotkań najgroźniejszych gangsterów, których wyczuwał i rozpoznawał z oddali.

Miał do wyboru dwie strategie. Pierwsza: działać z ukrycia. Nie ujawniać się, nie rzucać się w oczy, tak jak teraz, po cichu szukać haków i dowodów na przestępców przy użyciu swojego szóstego zmysłu, donosić na nich anonimowo na policję i w ten sposób oczyszczać z nich miasto. Takie poczynania zapewniały mu największą dyskrecję i bezpieczeństwo. Istniała jednak druga strona medalu. Wciąż pamiętał bowiem słowa pani Beaty na temat psychopatów i najbardziej zdegenerowanych jednostek, a więc takich, z którymi miał się mierzyć. Ze działa na nie jedynie strach, motywacja lękowa. Tylko ona jest w stanie wymusić zmianę ich postępowania. Znacznie bardziej kusila go więc strategia numer dwa: działać publicznie, oczywiście z zachowaniem anonimowości dzięki zmianie wyglądu. Siał popłoch wśród przestępców, żeby wiedzieli, jakie są jego moce; że jest ktoś taki jak on, kto zawsze ich znajdzie i nie przestanie utrudniać im życia, dopóki nie zakończą działalności. Symbol, ucieleśniony przeciwnik, przed którym powinni czuć respekt. Ktoś spoza układu, w którym z pewnością mieli wtyki. Tylko wtedy zyskałby pewność, że kiedy bandyci zostaną zamknięci w więzieniu, na ich miejsce nie pojawią się nowi, którzy przejmą interesy, i że gdy starzy wyjdą na wolność, nie wrócą do zawodu. Powinni mieć świadomość, że pojawiła się nowa zmienna ich rzeczywistości. A raczej stała; coś, z czym będą musieli się pogodzić.



Wreszcie poczuł się na tyle pewnie, by podjąć decyzję, że zacznie tej nocy.

\* \* \*

Kiedy się ściemniło i stołeczne ulice względnie się wyludniły, przemienił się, po czym wyruszył do centrum Warszawy, biegnąc z nieludzką prędkością. Pojedynczymi susami pokonywał po kilkanaście metrów, skracał sobie drogę przez dachy kamienic i aby nie rzucać się w oczy, poruszał się głównie po nich, z dala od świateł. Całe miasto było obklejone reklamami gali „Krwawy Księżyc”, którą federacja GFC zaplanowała na czternastego września na Stadionie Narodowym. Dorian wylądował na dachu jednego z budynków i stał teraz na tle potężnego billboardu z zapowiedzią rzeczonego wydarzenia. Widniała na nim ilustracja ze Stadionem Narodowym i warszawskim *city* na drugim planie. Nad obiektem wtopiono w nocne niebo sylwetki Dawida Volkodlaka i jego przeciwnika - Michaiła Kiriczenki, rosyjskiego arcymistrza grupy Russian Warrior Association. Obaj mieli bojowe miny i uniesione pięści, a jedno z oczu polskiego zawodnika efektownie zastąpiono czerwonym, jak gdyby żarzącym się księżycem.

Dorian zadbał o to, by nie zobaczyli go pojedynczy przechodnie, w których nie wyczuł przestępców, rozpędził się i - wiedziony swoim instynktem - wskoczył na ścianę luksusowej kamienicy. Wreszcie zlokalizował właściwe okno. Niewiele myśląc, rozbił szybę jednym kopnięciem. Z wnętrza odpowiedział mu kobiecy krzyk. Przełożył rękę przez powstałą dziurę i przekreślił klamkę. A kiedy wszedł do sypialni przez parapet, zobaczył w łóżku kobietę i mężczyznę.

- Dobry wieczór - zwrócił się dwoma głosami do tego drugiego, jednej z bardziej wpływowych person w stołecznym półświatku. Zarówno on, jak i jego żona wpatrywali się z niedowierzaniem w kroczącą ku nim postać. Dorian wyczuł, że kobieta również nie jest święta. Wiedziała z grubsza o machlojkach małżonka. Zapewniał jej jednak wygodne życie, więc nie widziała w nich żadnego problemu.

- Co, do...? - Gangster wyraźnie zastanawiał się, czy nie śni właśnie wyjątkowo pokręconego snu, ale w końcu zamrugał kilka razy, rozbudził się i wskazał Doriana palcem. - Ty! To ty jesteś tym...

- Ja - odpowiedział spokojnie Dorian. Wyczuł w mężczyźnie chęć sięgnięcia po pistolet ukryty w szufladzie przy łóżku. Dосkoczył do niej tak szybko, jakby tę

niewielką odległość pokonał co najmniej teleportacją. Wyciągnął broń, trzymając ją między samymi pazurami, i rzucił pod ścianę.

Gangster i jego żona przesunęli się po materacu i zeskoczyli z łóżka z drugiej strony, chcąc wybiec z pokoju. Dorian przepelzł błyskawicznie po ścianie i wylądował przed nimi, odgradzając wyjście. Podczas gdy powoli szedł w ich stronę, oboje cofali się do kąta, przerażeni i osaczeni. Wyczuwał ich emocje i w zestawieniu ze świadomością tego, co mieli na sumieniu, sprawiało mu to niemalą satysfakcję. Był panem sytuacji.

– Zostaw nas w spokoju! Wypierdalaj stąd! - Gangster uniósł pięści, lecz nie wyglądało to zbyt efektownie. Cały drżał. - Tylko podejdziesz, a ci zajebię, przysięgam!

Dorian przeciągnął pazurami po ścianie, zostawiając na niej pięć głębokich rys, a na sam koniec szarpnął dłonią tak gwałtownie, że od płaszczyzny oderwała się spora ilość tynku i rozsypała po podłodze. Kobieta zakwiliła z przerażenia i wrzasnęła w stronę wybitego okna:

– Ratunku! Niech ktoś nam pomoże!

Jej mąż zrobił krok do tyłu, wpadł na nią i o mało się nie przewrócił. Dorian skupił się na jego mrocznych tajemnicach. Znowu wyczuł, że człowiek ten należy do potężnej grupy przestępczej, na której czele stał niejaki Zet. Zajmował się głównie paserstwem i handlem narkotykami. Dorian zobaczył migawki, w których mężczyzna odbierał kokainę ukrytą w transporcie bananów. Dowiedział się również, gdzie składowali towar. Mieli magazyny w Ząbkach, Piastowie i Józefowie, w piwnicach prywatnych domów jednorodzinnych.

Stanął przed nimi wyprostowany, a jego druga twarz na nagim torsie w słabym oświetleniu z zewnątrz była widoczna zaledwie w niewyraźnych konturach. Gangster i jego żona rzucali na nią nerwowe spojrzenia.

– Po co tu przyszedłeś?! - zapytał.

– Czuję na odległość różne rzeczy - powiedział spokojnie. Zależało mu na tym, by akurat ta informacja się rozniosła. - Przyciągają mnie złe aury takie jak wasze.

– Aury...?

Mężczyzna i kobieta wpatrywali się w niego z odrazą i konsternacją, wyraźnie nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówił. Nie zamierzał im jednak tego tłumaczyć. Niech pogłównkują i zinterpretują to sami.

– Kim jest Zet? - zapytał. - Pracujesz dla niego, tak jak twoi koledzy, których spotkałem w Bridgette.

– Nie wiem, o czym mówisz! Nie pracuję dla nikogo takiego.

Dorian uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie wyczuł kłamstwa.

– Chcesz mi powiedzieć - zmrużył drapieźnie oczy - że nigdy o kimś takim nie słyszałeś?

– Nie słyszałem! Nie podchodź! Ostrzegam! - Gangster napiął mięśnie i uniósł wyżej pięści. Stał tak sztywno, jakby zamienił się w kamień. Dorian zaś przekrzywił głowę i przyjrzał mu się czujnie, jakby inny kąt widzenia miał pomóc mu zrozumieć tę sytuację. Jego szósty zmysł poinformował go bowiem, że bandyta teraz dla odmiany skłamał w pierwszym zdaniu.

– Słyszałeś o nim - powiedział, analizując uzyskane informacje. - Ale nie wiesz, że stoi na czele twojej grupy. To bardzo ciekawe.

– Coś ci się pojebało! Zet to tylko bajka! Miejska legenda!

Dorian znowu nie wyczuł kłamstwa, ale już wiedział dlaczego. Skupił się na szczegółach.

– Widzę - mruknął. - Między nim a tobą w hierarchii jest jeszcze inny boss. Piołun. Myślałeś, że jest najwyżej w Warszawie, ale to nieprawda. Zet istnieje. - Zatrzymał się przed nim tak blisko, że mogli się dotknąć. - Legenda, powiadasz? Opowiedz mi ją.

– Wypierdalaj z mojego mieszkania! Już! - Spanikowany mężczyzna postawił wszystko na jedną kartę i rzucił się na niego. Spróbował zadać bokserki cios w podbródek, ale Dorian zawczasu wyczuł jego zamiar. Odchylił się i złapał wyciągniętą pięść mężczyzny z taką łatwością, jakby walczył z kilkuletnim dzieckiem.

– Opowiesz mi ją czy nie?

Napawał się tym uzależniającym uczuciem kontroli, obserwując z rozbawieniem, jak bandyta bez powodzenia próbuje wyswobodzić rękę. Musiał wydobyć z niego odpowiedź, bo zdolności nie pozwalały mu jej wyczuć. Po raz kolejny okazało się, że mają jakieś ograniczenia i nie da się ich nazwać pełnoprawnym jasnowidzeniem ani czytaniem w myślach. Jeszcze do końca nie rozgryzł ich prawidłowości i musiał korzystać z tego, co miał.

Gangster spojrział na niego z nienawiścią przemieszana ze strachem.

– Nic ci nie powiem! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Dorian spoważniał i się zawahał. Zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. Fakt, że jego szósty zmysł nie umożliwił mu poznania wszystkich potrzebnych odpowiedzi, trochę go zaskoczył. Po swoim efektownym wejściu, prezentacji nadludzkiej możliwości i rozgłosie, jaki zapewnił mu popis w Bridgette, spodziewał się też mimo wszystko mniejszego oporu. Znieruchomiał, wciąż trzymając dłoń gangstera w swojej, teraz znacznie większej niż normalnie. W pokoju zapadła cisza.

Wreszcie mężczyzna zerknął ze zdziwieniem najpierw na swoją rękę, a potem na niego. Dorian wyczuł, że jego strach przed nim słabnie.

– I co mi zrobisz? - zapytał z mściwą satysfakcją gangster. - Nic ci nie powiem!

Dorian milczał, ledwo się powstrzymując, by nie spuścić wzroku.

– Będziesz mnie torturować? A może moją rodzinę? - Głos mężczyzny stawał się coraz bardziej zuchwały. - Oczywiście, że nie! Potrafię rozpoznać miękkie druty. Nie wiem, coś za jeden, skąd wzięłeś to przebranie ani jak to wszystko robisz, ale w tej branży, chłopczyku, potrzebne są znacznie większe jaja. Musisz bardziej się postarać!

Dorian postąpił automatycznie, nawet nie myślał. Ścisnął dłoń gangstera tak mocno, że rozległ się chrzęst miażdżonych kości. Przyszło mu to zaskakująco łatwo i nie miało nic wspólnego z jego nadludzką siłą, pręcej z brakiem wewnętrznego oporu. Odczuł też mniejsze wyrzuty sumienia, niż się spodziewał. Nadal miał świadomość, iż ten niewinny środek perswazji jest niczym przy okropieństwach, jakie facet w przeszłości zapewniał innym ludziom.

Zaskoczony bandyta zawył z bólu i padł na kolana.

– Zostaw go! Ratunku! - wrzasnęła histerycznie jego żona.

– Mamo...?

Dorian odwrócił się i zobaczył w progu sypialni zaspanego, mniej więcej trzyletniego chłopca. Gangster chciał wykorzystać tę chwilę nieuwagi i uderzyć go drugą ręką w genitalia. Dorian wyczuł ten zamiar i choć nie patrzył na przeciwnika, złapał jego dłoń i również na niej zacisnął szponiaste palce.

– Puść mnie! - zakwilił mężczyzna.

– Zabierz stąd synka - Dorian zwrócił się do kobiety.

Spojrzała na niego spode łba, przerażona, wściekła i upokorzona. Wycofała się powoli, dotarła do chłopca i wzięła go za rękę.

– Chodź, Bartuś...

– A tata...? Co z tatą? - dopytywał malec. - Kim jest ten pan?

Nie odpowiedziała. Wyprowadziła go z pokoju, drżąc i niespokojnie oddychając. Dorian wtedy ponownie skupił się na gangsterze, którego dłonie w dalszym ciągu ścisnął.

– Czy to już wystarczająco wielkie jaja, czy chcesz zobaczyć większe? - zapytał zimno. - Opowiedz mi o Zecie!

– Powiem! Powiem, tylko mnie puść!

Dorian rozluźnił uchwyt. Mężczyzna padł na podłogę, jęcząc i przyciskając obolałe dłonie do brzucha.

– Mów. - Dorian stanął nad nim.

Gangster spojrzał na niego, ciężko dysząc.

– W sumie... To nie jest żadna tajemnica - wyjąkał. - To... to taka pogłoska o tym, że łapę na całym półświatku w Polsce trzyma jeden człowiek. - Przełknął ślinę. - Zet, nieśmiertelny gangster w masce.

– Nieśmiertelny? - zapytał kpiąco Dorian.

– Mówię tylko, co słyszałem! Podobno nie da się go zabić.

– Jakim cudem?

– To jest bajka, rozumiesz? Ja nawet w to nie wierzę!

Dorian ukucnął przy nim, a mężczyzna odruchowo się od niego odsunął i przywarł plecami do ściany.

– A legenda tę rzekomą nieśmiertelność wyjaśnia?

Gangster westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Tak. Że niby jest wynikiem eksperymentu nazistów jeszcze w czasie wojny. Chcieli stworzyć w Oświęcimiu superżołnierza czy coś w tym stylu, wstrzyknęli mu jakieś gówno, ale im uciekł, bo nie byli w stanie nad nim zapanować. - Mówił coraz szybciej, jakby samo wypowiedzanie takich absurdów powodowało dodatkowy dyskomfort i chciał jak najprędzej je z siebie wyrzucić. - A potem, jak wojna się skończyła, zaczął korzystać z tego, że zrobili z niego nadczłowieka.

Zbudował imperium, zaszył się gdzieś i pociąga za wszystkie sznurki z ukrycia. To farmazon, rozumiesz? Jeden wielki farmazon. Jeżeli go szukasz, tracisz czas.

Dorian miał inne zdanie na ten temat. Nawet jeżeli legenda była nieprawdziwa i nie należało dawać wiary jej fantastycznym elementom, szósty zmysł jednoznacznie informował go, że gangster o pseudonimie Zet naprawdę istnieje i w przestępczej hierarchii znajduje się najwyżej ze wszystkich, przynajmniej w tej konkretnej grupie. Aby ją rozbić, należało go znaleźć i uderzyć właśnie w niego. To oznaczało, że do pokonania był jeszcze jeden schodek.

– A Piołun? On też jest bajką?

– Piołun to co innego. To gruba ryba w mieście. Wszyscy o tym wiedzą. Podejrzewam, że tylko w Polsce ma co najmniej kilka adresów, ale ja ich nie znam. Gadałem z nim może kilka razy w życiu.

Nie kłamał, w każdym razie nie świadomie. Dorian uznał, że dowiedział się już wszystkiego, czego potrzebował. Rozprostował nogi i wziął z komody smartfona mężczyzny.

– Odblokuj. - Podsunął mu telefon.

– Po co?

Uznał, że nie ma co tracić czasu, zwłaszcza że przed chwilą otrzymał potwierdzenie, iż w rozmowie z takimi ludźmi należy przechodzić od razu do metody złego policjanta. Chwycił bandytę za górę od piżamy, podniósł i wychylił przez otwarte okno. Gdyby rozluźnił palce, mężczyzna spadłby z wysokości dobrych dwudziestu metrów.

– Odblokuj, powiedziałem!

– Odblokuję! - Gangster odwrócił się z przestachem i spojrzał na ulicę pod sobą. - Przysięgam!

Dorian wciągnął go z powrotem i ponownie podał mu smartfona. A kiedy ten został odblokowany, przejął go i napisał SMS-a. Gdy dotykał ekranu czubkami palców, jego dłoń zmniejszyła się i wróciła do zwykłej postaci. Mężczyzna wlepił wzrok w efekt tego zjawiska, nie wierząc własnym oczom.

– Ja pierdołę... Czym ty, kurwa, jesteś? - zapytał zszokowany.

Dorian nie odpowiedział, skupiając się na pisaniu. Wysławszy wiadomość, rozejrzał się. Wyczuwał, co się święci. Zachował spokój. W sumie dobrze się stało. Należało raz jeszcze pokazać, do czego jest zdolny. Budować markę.

– No. - Rzucił telefonem o ścianę tak mocno, że urządzenie rozbiło się w drobny mak. Jego dłoń ponownie się powiększyła i wyrosły z niej pazury. - Szykuje się niezły ubaw.

Gangster spojrzał na niego niepewnie.

– Co...?

– Odsiecz, którą wezwała twoja małżonka.

Jak na zawołanie do mieszkania wbiegło kilku potężnie zbudowanych mężczyzn. Mieli na sobie kominiarki, ściskali w dłoniach pałki, siekiery i kije bejsbolowe.

– Zostaw go! - rozległo się za plecami Dorianana.

Nawet nie odpowiedział. Wystrzelił w ich stronę, złapał wpół pierwszego z nich i użył jako tarana, żeby bez choćby jednego draśnięcia wydostać się na korytarz. Poprzewracał pozostałych jak kręgle i odrzucił ciało osiłka, ten zaś wylądował z krzykiem na podłodze, a siekiera wypadła mu z ręki. W tym czasie gangster, który został w pokoju, skorzystał z tego, że wszyscy o nim zapomnieli, podniósł z podłogi pistolet i z trudem go przeładował, krzywiąc się z bólu.

W korytarzu rozgorzała bijatyka. Bandyty rzucili się na Dorianana, ale jego szósty zmysł działał bez zarzutu i pozwalał zawczasu unikać uderzeń nawet w tak ciasnym pomieszczeniu. Przeskakiwał, uchylał się, robił salta. Wiedział, że musi przytrzymać ich tu, dopóki jego plan nie wejdzie w ostatnią fazę, dlatego starał się nawet zbytnio ich nie obijać; poza tym świetnie się bawił. Wreszcie, po kilkunastu minutach walki, ustawił się plecami do drzwi wejściowych i cofał się w ich kierunku, udając, że został zapędzony w pułapkę.

– No, brzydalu. - Gangster przeszedł między swoimi żołnierzami i wycelował pistolet w pierś Dorianana. Wyraźnie nabrał rezonu. - Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Jakież ostatnie słowa?

Dorian pochylił głowę, skupiając się na informacjach przesyłanych mu przez otoczenie. Jeszcze trochę, troszeczkę... Trzy, dwa, jeden...

Spojrzał na bandytę i powiedział:

– Tak. Do zobaczenia!

W następnym momencie kilka rzeczy wydarzyło się niemal równocześnie. Dorian błyskawicznie wskoczył na sufit, drzwi za nim raptownie się otworzyły i do mieszkania z wrzaskiem wbiegło kilkunastu funkcjonariuszy BOA. Przyjechali tu

po tym, jak Dorian skorzystał ze specjalnego kanału dla głuchoniemych i wysłał SMS-a na policję z telefonu, który potem rozbił. Wiedział, że po tym, co napisał, może spodziewać się godnej delegacji organów ścigania, a także jej szybkiego przybycia.

Nie oglądał się ani na jednych, ani na drugich. Błyskawicznie przepelzł po suficie do drugiego pokoju. Zeskoczył, rozpędził się i zanim którykolwiek z policjantów zdążył do niego krzyknąć, odbił się od podłogi i odwrócił tyłem do okna. Wybił je plecami. Choć spadł z dwudziestu metrów, wylądował z kilkoma przewrotami, nie robiąc sobie żadnej krzywdy. Rozpędzony, natychmiast podniósł się na nogi i ruszył sprintem w kierunku pobliskiej uliczki. A kiedy policjanci wyjrżeli za nim przez roztrzaskane okno, już go nie było.



# ROZDZIAŁ XVII

Podobne akcje przeprowadził tej nocy w kilku miejscach w Warszawie, zarówno w prywatnych mieszkaniach, jak i nocnych klubach. Za każdym razem sytuacja się powtarzała - wyczuwał, że bezpośrednim przełożonym bandytów jest niejaki Piołun, nad nim natomiast znajduje się boss o pseudonimie Zet, o którym słyszeli nieliczni. Wszyscy upierali się jednak, że nieśmiertelny gangster w masce tak naprawdę nie istnieje.

Dorian wrócił do domu nad ranem, kiedy nad Warszawą powoli się rozjaśniało. Wrócił, chociaż praktycznie się nie zmęczył. Czuł się niesamowicie pobudzony, wypełniony pozytywną energią i tak chętny do działania, że ubolewał, iż noc nie trwa dwa razy dłużej. Popkultura zdążyła go nauczyć, że życie człowieka o nadludzkich zdolnościach jest ekscytujące, ale nie przypuszczał, że w praktyce tak przyjemne i dające tyle satysfakcji. Ten spokój i uczucie kontroli nad sytuacją, które sprawiały, że nie musiał bać się najgroźniejszych przestępców bez względu na ich liczebność! Z dziecinną łatwością dostawał się do mieszkań, rozbijał bandytów, pacyfikował, pokonywał w walce wręcz, zawczasu wyczuwając ich złe zamiary i wprawnie unikając kul świszczących mu obok głowy. Niektórzy nawet byli zmuszeni przed nim klęczeć. Bali się go. Dokładnie tak, jak to miało wyglądać.

Dokładnie tak, jak ci, których krzywdzili wcześniej. Sprawiedliwości stało się zadość.

Położył się do łóżka i zamknął oczy, a w jego umyśle przewijały się kolejne emocjonujące sceny. Przy niektórych zastanawiał się, czy nie potraktował tych bandytów trochę za ostro. Podobnie jak pierwszy na jego rozkładzie, większość nie

była skora do współpracy, więc musiał stosować mocniejsze metody. Nie podobało mu się, że był zmuszony z nich korzystać, ale czy dało się to rozegrać inaczej?

„Nie - pomyślał. - Mieli wybór. Gdyby od razu powiedzieli mi to, co chciałem wiedzieć, nic by im się nie stało. Gdybym tego nie zrobił, to oni by mnie zaatakowali i zrobili mi krzywdę. No i wszyscy mieli na koncie o wiele gorsze rzeczy. Przynajmniej dowiedzieli się, jak to jest być po drugiej stronie. Sami są sobie winni. Może to ich czegoś nauczy”.

Myśl ta wydawała się na tyle stanowcza, że rozwiewała wszelkie wątpliwości. Po niej nie pojawiły się już kolejne, w każdym razie nie tego poranka. Dorian przewrócił się na lewy bok, odtwarzając w kółko w pamięci ostatnie zdarzenia niczym ulubiony film. Z umysłem tak spokojnym i niezmaconym jakąkolwiek rozterką, jakby właśnie wracał z pracy jako magazynier, który wzorowo wykonał dzienny limit obowiązków.

Bo wykonał. Jak na debiut nie było źle.

\* \* \*

Nadinspektor Tomasz Brzeziński - komendant stołeczny policji - rozejrzał się po sali, w której zwołał nadzwyczajne zebranie z komendantami rejonowymi oraz naczelnikami wydziałów wszystkich komend w mieście. Zdecydował się na to, kiedy z rana dotarły do niego sensacyjne informacje o wydarzeniach ostatniej nocy. I choć otrzymał je z pierwszej ręki, miał mętlik w głowie.

– Czyli - podrapał się po brwiach, próbując to sobie uporządkować - w jedną noc dostajemy kilka wezwań przez SMS-y do miejsc, w których znajdujemy znanych warszawskich zbójów z nielegalnymi pistoletami w dłoniach, a czasem gratisowo ich goryli z pałami i kastetami. Z SMS-ów dowiadujemy się również, co zrobili i gdzie szukać na to dowodów. Ci, których udaje się przekonać do mówienia, zeznają, że... - Urwał i rozejrzał się po słuchaczach.

Na początku milczeli i popatrywali po sobie. W końcu jeden z nich chrząknął i powiedział niezbyt pewnie:

– Że do odblokowania telefonów zmusił ich ten dziwny facet z dwiema twarzami i to on pisał te SMS-y, a potem niszczył telefony.

– U c h a r a k t e r y z o w a n y , jakby miał dwie twarze - poprawił go ostro Brzeziński, a jego rozmówca wzruszył ramionami. - Czy choć jeden cynk dotyczący dowodów okazał się nieprawdziwy?

Zebrani znowu wymienili spojrzenia. Tym razem żaden się nie odezwał.

– Naprawdę? - zapytał z niedowierzaniem Brzeziński. - Wszystko się sprawdziło?

– Nie wiem, jak u pozostałych - odezwał się jeden z komendantów - ale u mnie na pierwszy rzut oka wygląda na to, że tak. To była bardzo owocna noc. Dziuple, porwani, miejsca ukrycia prochów... Powiem szczerze, że takiej chyba sobie nie przypominam. Mamy dużo materiału do analizy.

– Tak, tylko, znając życie, nie za wszystko będzie można postawić zarzuty - zauważył inny. - Owszem, zarekwirowaliśmy sporo cennych fantów i na pewno wkurzyliśmy tym wielu ważnych bandziorów, ale poza SMS-ami nie sposób powiązać tych łupów z kimkolwiek, na kim najbardziej nam zależy. Zatrzymani nie przyznają się, żeby mieli z nimi cokolwiek wspólnego. Pewnie kłamią, ale trudno będzie to udowodnić.

– Tak czy inaczej, ktoś tej nocy stracił sporo towaru - podsumował Brzeziński.

Pozostali kiwnęli głowami.

– I chcecie mi powiedzieć, że to nie było zaplanowane? Żaden z was nie zorganizował niczego za moimi plecami?

Nikt się nie zgłosił. Nikt nawet nie spuścił wzroku.

– Skoro nie - Brzeziński oparł się o blat - to czy ktoś, do ciężkiej cholery, może mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

– Jak dla mnie ktoś nagle się nawrócił i zaczął robić pod górkę byłym kolegom - stwierdził policjant po prawej stronie stołu.

– Bez sensu. Dlaczego w takim razie nie zgłosił się na koronę?

– Może chce pozostać anonimowy?

– No to chyba nie do końca mu się udaje, zwłaszcza z takim charakterystycznym rysopisem - odpowiedział z przekąsem Brzeziński.

– Ale tożsamości nie znamy. Bandyty również nie mają pojęcia, kto to jest. Już uruchomiliśmy ucho i też nic nie wiedzą. Nie mają powodów, żeby go kryć. Na pewno nie jest to nikt od nas.

– No to jesteście w kropce, bo ABW i Agencja Wywiadu też nie mają o niczym pojęcia. Zresztą nie bawiłyby się w takie pajacowanie - stwierdził stanowczo Brzeziński, zakładając okulary i sięgając po kartki leżące przed nim na stole. - Nagi tors, nienaturalnie duże, szponiaste dłonie, czarne oczy, ostre zęby, bardzo ostre rysy twarzy, druga gęba pod skórą na klatce piersiowej... Kurwa mać! - Rzucił kartkami o blat. - Przecież to jakiś absurd! Co to jest? Halloween?

– Nie chcę nic sugerować, ale jeden ze zbójów zarzekał się, że na własne oczy widział, jak w pewnym momencie dłoń tego faceta się zmniejsza i znikają z niej pazury... - odezwał się niepewnie komendant siedzący w środku długości stołu.

– Jak się zmniejsza? - zirytował się Brzeziński. - Jak?! Jak miałyby zniknąć z niej pazury? Wyparowały?

– Facet przysięga, że to prawda. No i nie możemy zaprzeczyć, że już po imprezce w Bridgette nasi widzieli, że ten ktoś ma zdolności, które - westchnął - trudno wytłumaczyć. Na oczach kilkunastu funkcjonariuszy wspinał się po ścianie na dach kamienicy. Zajęło mu to kilka sekund. Bez sprzętu. Nawet nie podciągał się na parapetach, szedł na czworakach jak po poziomie. Zresztą po poziomie podobno też potrafi. Tylko do góry nogami. To też widzieli nasi z BOA. Wczoraj. Poza tym wyskoczył przez okno z wysokości kilku pięter i nie stała mu się krzywda.

– Bred-nie! - stwierdził dobitnie Brzeziński.

– Nie twierdzę, że to ma jakikolwiek sens, ale mamy to wszystko udokumentowane na nagraniach, są też filmiki udostępnione w sieci przez zwykłych przechodniów. Słowa naszych najlepszych chłopaków i co bardziej rozmownych bandytów się zgadzają. To raczej nie jest zbiorowa głupawka. Więc jak to wytłumaczyć?

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Policjant kontynuował:

– Ten, który mówił o zmieniającej się ręce - chrząknął - powiedział też, że udało mu się trochę z nim porozmawiać. Ten dziwoląg twierdził, że - kolejne chrząknięcie - czuje różne rzeczy i to właśnie one go przyciągają. Wyczuwa je z odległości.

– Co wyczuwa z odległości? - zapytał z irytacją Brzeziński.

– Nazwał to złymi aurami - stwierdził komendant, po czym dodał szybko: - Ja tylko cytuję!

Pozostali poruszyli się na siedziskach, niektórzy cicho parskali śmiechem, ale o dziwo był to niewielki procent zebranych. Część zaczęła szeptać między sobą i przy stole rozległ się gwar przyciszonych rozmów. Brzeziński uciszył ich ruchem ręki. Zachował pełną powagę i pokręcił głową.

– Nawet jeżeli facet naprawdę mu to powiedział, nie ma co brać jego słów na poważnie. Nikt normalny tak się nie charakteryzuje. I jeszcze - ponownie sięgnął po kartki i prychnął - szukał jakiegoś mitycznego gangstera w masce, który podobno trzęsie całym półświatkiem w Polsce.

– Ale skądś wiedział, gdzie są te dziuple. I gdzie szukać zbójów, a nie wszyscy ostatniej nocy byli w domach.

– Dla mnie to wcale nie jest takie nieprawdopodobne. Może mieć kretów. Albo sam nim jest, tylko jeszcze nie wiedzą kto.

Policjant rozłożył bezradnie ręce.

– W takim razie wracamy do punktu wyjścia i pytania, które zadał szef na początku. Jeżeli to jakiś skruszony człowiek ze środowiska, który wie bardzo dużo i chce rozpieprzyć je od środka, dlaczego po prostu nie zgłosił się do nas anonimowo i nie załatwił tej sprawy po cichu? Dlaczego robi taką rozpierduchę?

– Dobra - westchnął Brzeziński, opierając się o stół. - Widzę, że nikt nie chce tej bzdury nazwać wprost, więc zrobię to za was. Chcecie mi powiedzieć, już abstrahując od tego, czy ten facet dysponuje specjalistycznym sprzętem, czy nie, że ktoś bawi się w superbohatera? To chcecie mi powiedzieć? Że komuś amerykańskie filmy weszły za mocno? - Ostatnie słowa wybrzmiały z potężnym przekąsem.

Nikt nie odpowiedział. I teraz wszyscy zebrani, co do jednego, spuścili bądź odwrócili wzrok.

– Tak też myślałem. - Brzeziński się wyprostował. - Zejdźmy na ziemię. Zresztą teraz nie to powinno zajmować nas najbardziej. Chciałbym, by wszyscy tutaj - omiótł ręką pomieszczenie - mieli świadomość, że ta sytuacja jest znacznie poważniejsza, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka, i niech was nie zwiedzie ta pozornie owocna noc. Jeżeli ktoś samowolnie zaczyna ścigać przestępców i wymierzać im sprawiedliwość, zamiast zostawić to nam i sądom, a do tego robi nas w konia, nie słucha poleceń funkcjonariuszy i czuje się bezkarny, sprowadzi na nas więcej złego niż dobrego. To nic, że nikt nam

oficjalnie tego nie zgłosił. To oczywiste, że bandziory nie będą z nami współpracować i większość będzie udawać durniów. Fakty są jednak takie, że facet uszkodził i sterroryzował wielu ludzi, w tym kobiety i dzieci. Nieproszony wbijał się do ich domów i mieszkań. Niszczył mienie. Czyli popełnił wiele przestępstw. Musi za nie odpowiedzieć jak każdy obywatel. Trzeba jak najszybciej tego człowieka rozpracować i dowiedzieć się, kto to jest.

– O ile to człowiek - mruknął jeden z policjantów, ale Brzeziński go zignorował.

– Zbóje nam nie pomogą, ale na pewno już obmyślają zemstę, co oznacza, że w mieście może się zrobić gorąco. Musimy temu zapobiec. Więc teraz, zamiast głupot o superbohaterze i supergangsterze w masce, chciałbym posłuchać waszych pomysłów, co z tym zrobimy. Innych niż: „czekamy i obserwujemy, co dalej”.

Narada trwała jeszcze jakiś czas. W jej trakcie jeden z komendantów, który siedział blisko Brzezińskiego, nie zabrał głosu ani razu, a nawet z rzadka zmieniał pozycję na krześle. Splótł tylko ręce na stole, starając się nie dotykać miniaturowego urządzenia ukrytego w swoim ubraniu.

Mikrofonu, dzięki któremu od początku transmitował stosownej osobie przebieg obrad.

# ROZDZIAŁ XVIII

Dawid Volkodlak kończył właśnie przebiegać pięćdziesiąty kilometr na bieżni w swojej prywatnej siłowni. Osiągnął ten wynik w zaledwie półtorej godziny, ale nie czuł się szczególnie zmęczony. Mimo to zszedł z urządzenia, wytarł się ręcznikiem i natychmiast pomaszerował w kierunku worka treningowego.

Nie po raz pierwszy bił w domowym zaciszu rekord świata w maratonie, a nawet na dłuższym dystansie. Wiedział jednak, że dla swojego dobra akurat tym nie powinien się chwalić. Perspektywa zbliżającej się walki z Kiriczenką dawała mu niesamowitego kopa energii i taką motywację, że nie skupiał się na niczym innym. Rosjanin był równie wielki, równie niepokonany i równie popularny jak on. Na ich starcie czekał cały świat, mówiło się, że nieoficjalnie rozstrzygnie, kto bije się najlepiej na globie, bez podziału na kategorie wagowe. Dawid nie wiedział, czy Kiriczenko również ma tajemnicę, która odpowiada za jego sukces, ale nie obchodziło go to. Skupiał się przede wszystkim na sobie. Był tak blisko! Jeden, ostatni, decydujący krok, by zostać najlepszym. Mistrzem. Dokładnie tak, jak kiedyś zwracali się do niego rodzice, którzy byliby z niego dumni.

Byliby.

Zmarszczył brwi, zacisnął zęby i zaczął uderzać w worek coraz mocniej. W pewnym momencie łańcuch, na którym ten wisiał, oderwał się od sufitu, a worek odbił się z łoskotem od ściany, tworząc w niej siatkę pęknięć.

Dawid westchnął głęboko i uznał, że to dobra pora na przerwę. Kiedy siadał na ławeczce i sięgał po napój izotoniczny ze swoją podobizną na etykiecie, do pomieszczenia wmaszerowała zaaferowana Linda.

– Dawid!

Zdażył już się zorientować, że jeżeli zwracała się do niego po imieniu, a nie „mistrzu”, zazwyczaj oznaczało to, że ma do powiedzenia coś ważnego.

– Co jest?

Podeszła i bez słowa zaprezentowała najnowszy numer tygodnika „Naprawdę”, który pojawił się w kioskach i salonikach prasowych tego ranka. Na okładce widniał Dawid, wzięto jedno z jego publicznych zdjęć przeznaczonych dla mediów. Z groźną miną, z założonymi na piersi rękami i na tle wielkiego księżyca w pełni. Krzykliwy żółty nagłówek głosił:

## **NOC WILKOŁAKA**

A pod nim, nieco mniejszymi literami:

Według zeznań siostry Dawid Volkodlak jest winien kilku brutalnych morderstw. Co naprawdę wydarzyło się w przeszłości jednego z najpopularniejszych polskich sportowców?

Otworzył szerzej oczy i czym prędzej sięgnął po czasopismo, tak gwałtownie, że niemal je porwał. Znalazł artykuł z okładki, którego autorem był niejaki Hubert Godlewski. Zaczął czytać, a z każdą linijką coraz bardziej drżały mu dłonie.

Bytom. Dwudziesty szósty lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Noc z pełnią księżyca. Do mieszkania niejakich Podolaków przychodzi pięciu bandytów. Najprawdopodobniej po to, by brutalnie wyegzekwować zwrot długu. Podczas gdy napastnicy katują ojca, matka ucieka z dziećmi do drugiego pokoju i ukrywa je w szafie. Zakazuje im stamtąd wychodzić. Kilkuletni Tymek Podolak nie słucha jej jednak. Wychodzi z kryjówki, choć jego starsza siostra Agnieszka każe mu zostać. Nie wiadomo, co dzieje się przez najbliższe kilkanaście minut. Dziewczynki słyszą jedynie wrzaski, ryki i uderzenia. Nagle zapada cisza. Są przerażone, nie ruszają się z szafy do samego rana. Kiedy wreszcie odważają się wyjść, znajdują brata w dużym pokoju. Wokół niego walają się zmasakrowane zwłoki, w tym jego



matki i ojca, a pomieszczenie wprost tonie we krwi. Chłopiec sam jest w niej skąpany, jakby się nią oblał. Jest w szoku i twierdzi, że nic nie pamięta. Kiedy trochę się uspokaja i udaje się go przesłuchać pod opieką psychologa, twierdzi, że stracił świadomość po tym, jak spojrzął na księżyc.

Dawid popatrzył na Lindę, na której obliczu malował się niepokój. Wyczytał z niego, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Kiedy sprawą zajmują się policja i prokuratura, w śledztwie pojawia się wiele niewiadomych. Sąsiad z mieszkania naprzeciwko w momencie zdarzenia opuścił kamienicę. Podczas przesłuchań zarzeka się, że nic nie widział ani nie słyszał, jednak daje się wyczuć, że coś ukrywa, bo boi się zeznawać. Pozostali również nie są w stanie powiedzieć niczego konkretnego. Agnieszka Podolak jest natomiast o wiele bardziej skora do mówienia. Zrozpaczona i rozhisteryzowana twierdzi, wbrew zdrowemu rozsądkowi, że rodziców i bandytów, którzy wtargnęli do mieszkania, zabił jej brat. Kilkulatek. Jest o tym przekonana. Nazywa go potworem, słowo to pada w jej zeznaniach chyba nawet częściej niż jego imię.

Z drugiej strony z zeznań Paulinki, czyli młodszej siostry, wiemy, że w feralnym momencie dziewczynki cały czas siedziały w szafie i tak naprawdę nie widziały na własne oczy, co w istocie się wydarzyło. Od chłopca też nie sposób się tego dowiedzieć, cały czas utrzymuje, że nic nie pamięta, ale jednocześnie wy daje się przerażony. Prokuratura zleca badania psychologiczne i psychiatryczne całego rodzeństwa. Wykazują, że wszyscy troje są w pełni zdrowi na umyśle.

Agnieszka upiera się, że jej brat już wcześniej wykazywał niepokojące zachowania podczas pełni. Opowiada fantastyczną historię, z której wynika, że w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku podczas spaceru w Lasach Lublinieckich Tymek został ugryziony przez wilka na polanie z dziwną kamienną konstrukcją ozdobioną wilczymi motywami. Według niej to zamieniło brata w stworzenie, którego niszczycielska moc objawia się wyłącznie podczas pełni księżyca. Jej zeznania potwierdza wariograf. Policjanci

jadą z dziewczynką szukać owej polany, lecz jej nie znajdują. Jakby nigdy nie istniała.

Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że Agnieszka Podolak uwierzyła w fantastyczny scenariusz tak bardzo, że niechcący oszukała wariograf. W zeznaniach dziewczynki, oprócz małoletniości (miała wówczas trzynaście lat), musimy brać pod uwagę jeszcze jeden aspekt: jej relację z bratem, o której więcej dowiadujemy się z zeznań babci rodzeństwa. Według niej Tymek był bardzo zżyty z mamą, więc nie miałby powodów zrobić jej krzywdy. Do tego twierdzi, że Agnieszka czuła potężną niechęć do braciszka, nie lubiła go i była o niego zazdrosna już od najmłodszych lat. Twierdziła bowiem, że rodzice poświęcają Tymkowi zbyt dużo uwagi.

Prokuratura odrzuca absurdalną hipotezę, że to chłopiec odpowiada za masakrę w domu Podolaków, zwłaszcza że nie wskazują na to wyniki analiz śladów na miejscu zbrodni. Co prawda był wysmarowany krwią, ale krótko po zdarzeniu ani w jego ustach, ani pod paznokciami nie znaleziono cudzych tkanek ludzkiego pochodzenia. Na zwłokach natomiast udokumentowano ślady pogryzień i głębokich zadrapań, jakby pazurów.

Śledztwo stoi w martwym punkcie, bo nie sposób znaleźć choćby jednego innego podejrzanego ani przekonującego motywu, który tłumaczyłby tę tragedię. Jeżeli do mieszkania wszedł wtedy ktoś jeszcze i było to na przykład krwawe rozliczenie gangsterskich porachunków, w którym matkę chłopca potraktowano jako niepotrzebnego świadka, nie tłumaczy to, dlaczego młody Podolak został oszczędzony, skoro również mógł się okazać niewygodny.

Prokuratura mimo wszystko nie lekceważy zeznań jego siostry. Po kilku miesiącach bezowocnego śledztwa, dysponując o wiele mniejszymi możliwościami niż obecnie, nie ma innego wyboru. Pod koniec czerwca dziewięćdziesiątego czwartego roku w największej tajemnicy przed mediami przeprowadza szereg testów pod nadzorem biegłego psychiatry, dopuszczając, że chłopiec może być chory psychicznie na nietypową odmianę lykantropii. Zaburzenie miałoby polegać na tym, że Tymek Podolak traci rozum i zachowuje się agresywnie wyłącznie podczas pełni, która w takim wypadku stanowiłaby silny bodziec dla jego mózgu, aktywujący zmianę usposobienia.

Zaczynają od prostych doświadczeń z pokazywaniem mu księżyca. na zdjęciach i filmach. Wynik: brak jakichkolwiek niepokojących objawów. Wreszcie, w lipcu, sprawdzają, co dzieje się podczas prawdziwej pełni, kiedy chłopczyk widzi księżyc na niebie taki, jaki jest naprawdę. On jednak zachowuje się względnie normalnie. Jest tylko niesamowicie pobudzony, a serce pracuje o wiele szybciej, ale według lekarzy mieści się to w normie dopuszczalnych reakcji. Chłopiec nie traci przytomności i można się z nim dogadać. Nie wykazuje choćby najmniejszych morderczych skłonności. Wydaje się jednak przerażony samym faktem, że do takiej próby w ogóle doszło.

Po jakimś czasie postępowanie zostaje umorzone z powodu niewykrycia sprawcy. W prasie dominuje narracja, że w mieszkaniu Podolaków miały miejsce brutalne porachunki mafii, przerysowana, okrutna pokazówka, aby przestraszyć konkurencyjną grupę. Przypuszcza się, że osoby odpowiedzialne za śmierć małżeństwa i pięciu gangsterów uciekły, dbając, żeby nie zostawić śladów, i oszczędzając chłopca, który został uwikłany w tę sprawę przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Warto przy tym zauważyć, że nawet gdyby cokolwiek zostało mu udowodnione, nie poniósłby żadnych poważniejszych konsekwencji. W Polsce kilkuletnie dzieci nie odpowiadają karnie z uwagi na brak zdolności do czynności prawnych. Najgorsze, co może je spotkać, to zamknięcie w zakładzie psychiatrycznym, oczywiście o ile orzeknie się ich niepoczytalność.

Troje sierot trafia pod opiekę babci i dziadka. Tymek jednak przeżywa piekło. Siostry nie przyjmują do wiadomości wyniku ustaleń śledczych, boją się go i obwiniają o śmierć rodziców. Unikają brata, nie spędzają z nim czasu, nie chcą z nim się bawić. Można powiedzieć, że zostaje wykluczony z rodzeństwa. O tragicznej historii jego rodziny i związanych z nią pogłoskach dowiadują się koledzy i koleżanki ze szkoły podstawowej, w której młody Podolak rozpoczyna naukę. Choć zostało oficjalnie potwierdzone, że nie ma podstaw do postawienia mu zarzutów, rówieśnicy nie dają Tymkowi żyć. Dokuczają mu i przezywają „wilkołakiem”, szczególnie ze względu na charakterystyczny błękitny kolor oczu. Uchodzi za dziwadło. Niektórzy rodzice nie chcą, by ich dzieci miały z nim do czynienia. Tymek jest bardzo samotny, wyklęty przez społeczność, w której przyszło mu żyć. Nie pomagają mu zbytnio ani nowi opiekunowie, ani pedagodzy

Wtedy zaczyna zadawać się ze starszymi dziećmi o wątpliwej reputacji, z przestępczych rodzin, których nie odstrasza ponure pogłoski na jego temat. Dopiero od nich uzyskuje tak potrzebne mu akceptację i wsparcie. Spędza z nimi coraz więcej czasu, a respekt, jaki wzbudza jego nowe towarzystwo, sprawia, że rówieśnicy dają mu spokój. Szczególna więź zaczyna łączyć go z jakimś Jackiem Bernajtysem. To syn Mariana B. ps. „Bernaś”, bossa mafii, która działała na Śląsku w latach dziewięćdziesiątych. Bernajtys to obecnie właściciel federacji GFC i menedżer Volkodlaka w jednej osobie. To właśnie on w swoim czasie namawia Tymoteusza Podolaka, aby zaczął trenować sztuki walki, do których ma niesamowity talent z racji niespotykanych predyspozycji fizycznych. Jest pomysłodawcą zrobienia z przyjaciela profesjonalnego fightera, na którym może zarabiać dobre pieniądze.

Skończywszy szkołę średnią, Podolak wyprowadza się do Warszawy i zmienia imię i nazwisko. Od tej pory będzie znany jako Dawid Volkodlak. Jednocześnie z prokuratury rejonowej w Katowicach, która pracowała nad sprawą masakry w Bytomiu, w zastanawiający sposób znikają akta dotyczące tego zdarzenia. Młody mężczyzna, osądzony w przeszłości przez otoczenie o kilka brutalnych morderstw, zyskuje nową tożsamość oraz - dosłownie i w przenośni - czystą kartotekę.

Zaczyna się jego wielka kariera w MMA, które na przełomie pierwszej i drugiej dekady dwudziestego pierwszego wieku w Polsce staje się coraz popularniejszą dyscypliną sportu. Federacja GFC, wspierana przez zaprzyjaźnione media, stawia na Volkodlaka, który staje się jej niekwestionowanym numerem jeden, jeżeli chodzi o promocję, a na jego rozpoznawalność pracuje cały sztab ludzi. Wilczy, wręcz trochę komiksowy image, inspirowany jego rzekomo prawdziwym i zupełnie przypadkowym nazwiskiem oraz wspomagany faktem, że gale odbywają się tylko w pełnię księżyca i nawiązują nazwami do tego zjawiska, okazuje się marketingowym strzałem w dziesiątkę. Kibice to kupują, swoje robią również nieskazitelny rekord zawodnika, jego uroda modela, efektowny, ofensywny styl walki oraz wyróżnienia przyznawane przez prestiżowe ogólnosiwiatowe magazyny i portale internetowe piszące o MMA. Wszystko to, połączone z tęsknotą Polaków za bohaterami, z których mogą być dumni, zwłaszcza za tymi, którzy walczą pod biało-czerwoną flagą i rozstawiają ją na cały świat, sprawia, że dziś

Volkodlak, obok Roberta Lewandowskiego, jest najpopularniejszym sportowcem w Polsce oraz prawdopodobnie najlepiej bijącym się zawodnikiem na planecie, bez podziału na kategorie wagowe. To marka warta setki milionów złotych. Wiele osób na niej zarabia i każda historia, która może tę markę wzmocnić, która sprawi, że będzie o niej głośniejsza, jest na wagę złota. Każdy specjalista od storytellingu powie wam, że nic tak pięknie nie opakuje produktu jak dobra opowieść z jego udziałem.

I tu pojawia się jedno zasadnicze pytanie. Dlaczego historia, którą właśnie przeczytaliście, nigdy nie została wykorzystana przy promocji zawodnika? Przyjrzyjmy się jej jeszcze raz. Dziecko, które jest świadkiem śmierci rodziców. Stające oko w oko z ich mordercami, oszczędzone przez bandziorów. Posądzone przez siostry o coś, co zakrawa na absurd. Dzieciństwo upływa mu na szykanach, jest samotne, wykluczone przez rówieśników. Dodatkowo system przeprowadza na nim dziwne testy, prawie eksperymenty, które absolutnie nie powinny mieć miejsca. Gdy chłopiec dorasta, nie mogąc znaleźć ukojenia po śmierci rodziny i obwiniany przez własne rodzeństwo, nie poddaje się i ciężką pracą dociera na sam szczyt.

Przecież to jest historia rodem z filmu, która już na starcie mogłaby wynieść popularność tego faceta na niespotykany dotąd poziom! Trudno uwierzyć, że zarówno on, jak i jego sztab nie zdawali sobie z tego sprawy. A jednak z jakiegoś powodu starano się ją zataić. Nie przeczytacie jej na stronie internetowej Volkodlaka, nie wspominając o jego sylwetce na Wikipedii. Ten artykuł jest pierwszym, który faktycznie łączy tożsamość Dawida Volkodlaka z Tymoteuszem Podolakiem - chłopcem, który przeżył.

A to nie koniec ciekawych pytań. Zastanawia na przykład fakt, że zadziwiająco wielu ludzi, którzy o tym wiedzieli, na przykład koledzy i koleżanki z klasy Tymoteusza Podolaka z czasów szkolnych, nie chce o tym mówić. Ci, których udało mi się przekonać do rozmowy i podania przyczyn owej niechęci do dzielenia się wspomnieniami, twierdzą, że zostali zastraszeni przez powiązanych z półświatkiem ludzi, którzy nakazali im milczeć. Przez ludzi na tyle wpływowych, że nie bali się ani policji, ani prokuratury.

Wszystko to każe raz jeszcze pochylić się nad tajemnicą masakry w Bytomiu. Co naprawdę wydarzyło się tamtej tragicznej nocy w lutym

dziewięćdziesiątego czwartego roku? Dlaczego Agnieszka Podolak, która znała swojego brata najlepiej, upierała się w zeznaniach, że to jego sprawka? Dlaczego dziś z kolei nie przyznaje się do jego istnienia, nie utrzymuje z nim kontaktu, a Dawid Volkodlak oficjalnie nie należy do jej rodziny? Czy jako dorosła osoba nie powinna dojść do wniosku, że jej zeznania były oderwane od rzeczywistości? Czy sukces brata to nie wystarczający powód, by zakopać topór wojenny? Czy Tymoteusz Podolak zmienił tożsamość wyłącznie w celach marketingowych, czy miało mu to pomóc w jakiś sposób zataić tamte zdarzenia, odciąć się od nich? Dlaczego wybrał sobie takie, a nie inne nowe nazwisko, skoro ze względu na tamte zdarzenia motywy pełni księżyca i wilkołactwa powinny kojarzyć mu się jak najgorzej? Czy to przypadek, że akta rzezi w Bytomiu zaginęły, a bandyci zmuszają niewygodne osoby do milczenia? Dlaczego najbliżsi chłopca uważali go za winnego opisanej zbrodni? Czy mieliśmy do czynienia z jednym wielkim zniestawieniem, podkreślonym barwnymi i działającymi na wyobraźnię opowieściami o wilkołakach, czy w tej plotce znajdziemy choćby najmniejsze ziarno prawdy? Myślę, że zarówno ja, jak i kibice Pólko diaka chętnie poznalibyśmy odpowiedzi. Najlepiej od samego zainteresowanego, który najprawdopodobniej jako jedyny wie, jaka jest prawda.

Dawid skończył czytać, po czym brutalnie zgniótł gazetę w dłoniach i z całej siły rzucił papierową kulką o ścianę. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i ukrył twarz w dłoniach. Linda usiadła obok i delikatnie objęła go za plecy. Przesiedział w milczeniu kilkadziesiąt sekund, lecz w końcu podniósł się gwałtownie i sięgnął po telefon leżący na parapecie. Wybrał stosowny numer i przyłożył smartfona do ucha. Odpowiedział mu sygnał zajętości. Spróbował jeszcze kilka razy, ale z identycznym skutkiem.

– Pożycz mi swój telefon - zwrócił się do Lindy.

Podawała mu aparat bez słowa i wybrał ten sam numer. Teraz dla odmiany słyszał sygnał, ale nikt nie odbierał. Wreszcie, zgrzytając zębami ze złości, napisał SMS-a:

*Tak, dobrze się domyślasz! To ja! Odbierz! Jesteś z siebie zadowolona?*

Nie otrzymał odpowiedzi, więc dzwonił dalej. Po którymś kolejnym razie także na tym telefonie słyszał automatycznie sygnał zajętości. Przeklął pod nosem, zwrócił Lindzie smartfona i energicznie ruszył do wyjścia.

– Gdzie idziesz? - zapytała.

– Jadę do Katowic - odpowiedział zawzięcie, nie zatrzymując się. - Nie odpuszczę jej tego.

– Uspokój się, musimy...

– Nie! - warknął.

– To najgorszy moment na gwałtowne ruchy! - Pomaszerowała za nim, stukając głośno obcasami.

– Nie martw się - uciął i porwał z półki przy wejściu kluczyki do auta. - Nie zrobię jej krzywdy. Raczej.

Wyszedł i trzasnął drzwiami. Linda zrobiła jeszcze kilka kroków, ale zatrzymała się, stwierdziwszy, że to bez sensu. Znała już trochę Dawida, znała tę zawziętość i wiedziała, że go nie przekona. Zamiast tego wykonała szybki telefon.

– Wyjeżdża do Katowic, najpewniej do siostry - powiedziała. - Nie spuszczaście go z oka i dopilnujcie, żeby nie zrobił niczego głupiego.

Zakończywszy połączenie, wzięła głęboki oddech. To był dopiero początek. Teraz musiała wejść w media społecznościowe i na bieżąco monitorować, w którym kierunku płynie fala, jaka wytworzy się po artykule tego szmatławca. Artykule, w którym Godlewski zadawał jak najbardziej zasadne pytania.

Wzdrygnęła się. Teraz jej telefon z kolei zadzwonił. Na ekranie przeczytała napis „Jacek”.

Dawid dotarł do Katowic w nieco ponad trzy godziny. Po drodze złamał chyba kilkadziesiąt przepisów drogowych, niemniej czas, jaki spędził w podróży, pozwolił mu nieco ochłonąć i opanować emocje. Nadal jednak był wściekły na Agnieszkę i zdecydowany porozmawiać z nią, choćby miał wtargnąć do jej lokum i ją do tego zmusić.

Dotarłszy pod dom siostry, wszedł na posesję i zadzwonił do drzwi. Już po chwili wyczuł po zapachu, że ktoś za nimi stanął, ale nie Agnieszka, tylko jej mąż. Nie otworzył mu.

– Otwieraj! - warknął i uderzył pięścią w drzwi tak gwałtownie, że ich zawiasy zaskrzypiały. - Otwieraj i pokaż mi się!

– Proszę stąd iść albo wezwę policję! - usłyszał ze środka złęczony męski głos.

– Chcę rozmawiać z siostrą!

– Proszę zostawić nas w spokoju!

– Mam to gdzieś! Albo otworzysz te drzwi, albo je wyrwę! Liczę do pięciu!

Kiedy w wyliczance dotarł do czwórki, wyczuł, że zbliża się do niego drugi zapach, nieprzyjemny, znajomy, który kojarzył od dziecka. Po chwili drzwi stanęły otworem i zobaczył w progu Agnieszkę. Podobną do niego z twarzy, ale znacznie drobniejszą i niższą. Wściekłą, zgarbioną, patrzącą spode łba z rękami złożonymi na piersi. Obok stał jej mąż. Również wyglądał na zdenerwowanego, ale było widać, że czuje przed przybyszem znacznie większy respekt niż ona.

– Czego chcesz?! - warknęła.

Niewiele brakowało, by rzucił się na nią z pięściami, ale przypomniał sobie niedawne słowa Lindy i się opamiętał. Zacisnął kurczowo dłonie.

– Jeszcze pytasz? - wycedził. - Dlaczego to zrobiłaś, do kurwy nędzy?! Dlaczego?!

– Nic nie zrobiłam!

– Nie kłam! Ten pismak cytuje cię nawet na okładce! Masz mnie za idiotę?

– Nigdy z nim nie rozmawiałam, rozumiesz? Nigdy!

Dawid parsknął kpiącym śmiechem, choć bynajmniej nie było mu wesoło.

– Więc jak się dowiedział?

Agnieszka odwróciła się do męża.

– Kochanie, daj nam chwilę.

– Jesteś pewna? Nie wiem, czy...

– Dam sobie radę. Pan Tym... och, przepraszam! - Spojrzała zimno na brata. - Pan Dawid znajduje się teraz w takim momencie swojego życia, że raczej nie może pozwolić sobie na skandal ze swoim udziałem. Nic mi nie zrobi. Na szczęście dziś nie ma pełni. - Uniosła wzrok na zachmurzone niebo.

Jej mąż nadal nie wyglądał na przekonanego, ale w końcu kiwnął głową i z ociąganiem wycofał się do korytarza.

– Jakby co...

– Będę krzyczeć. Najgłośniej, jak dam radę - odpowiedziała spokojnie. - Dowie się całe osiedle. - Wyszła na ganek i zamknęła za sobą drzwi. Złożyła ręce, uniosła głowę i spojrzała Dawidowi głęboko w oczy. - Nigdy nie rozmawiałam z tym dziennikarzem - powtórzyła stanowczo. - Możesz mi nie wierzyć, wrzeszczeć,



ciskać się, grozić, wrywać mi drzwi, a nawet nasłać na mnie swoich kolegów mafiosów, ale taka jest prawda.

Kończówkę wypowiedziała z taką odrazą, że prawie go sprowokowała. Była w tym dobra. Postarał się jednak zachować względny spokój, choć wprost gotowała się w nim złość.

– To kto? Paulina?

– Nic mi na ten temat nie mówiła. To jednak bardzo wymowne, że najpierw pomyślałeś o nas. Tak mało osób o tym wiedziało?

– O kim miałem pomyśleć, skoro to ty kiedyś wyrobiłaś mi opinię potwora? - wycedził. - Skoro to ty życzysz mi jak najgorzej?

– Życzę, braciszku - odpowiedziała. Chłód i spokój w jej głosie zadawały mu ból niczym najostrzejsze noże. - Ale nade wszystko kocham święty spokój i nie chcę mieć na karku ani dziennikarzy, ani twoich kumpli. Przekaż im więc z łaski swojej, że nie mam z tym nic wspólnego i że nie na mnie powinni się mścić, jeżeli obecna sytuacja sprawi, że zarobią trochę mniej. Z nikim o tym nie rozmawiam, nawet wśród znajomych nie przyznaję się, że słynny Dawid Volkodlak to tak naprawdę mój brat. Jak zwykle zachowujesz się jak pieprzony egoista, nie pomyślałeś, że ten artykuł zaszkodzi także mnie, bo zostałam w nim wymieniona z imienia i nazwiska. Ale wiesz, co ci powiem? - ożywiła się. - Im dłużej o tym myślę, tym bardziej cieszę się, że to się stało. Mam czyste sumienie, bo to nie ja poszłam z tym do mediów i nie możesz mi nic zarzucić.

– Ale poszedł ktoś, komu opowiedziałaś swoją wersję zdarzeń!

– Nie wiesz tego. To mógł być każdy. Prokurator, emerytowany policjant, a nawet ktoś, kto pilnował papierów w archiwum i kiedyś przeczytał je z nudów. Na dłuższą metę nie dało się zrobić z ciebie słynnej osoby publicznej i zataić tej historii. Od dawna to wiedziałam i nie masz pojęcia, jak bardzo czekałam na ten dzień! Bo teraz, jako ktoś, na kogo patrzą miliony ludzi, czy tego chcesz, czy nie, będziesz musiał się wytłumaczyć. I wszyscy dowiedzą się, jaka jest prawda. Tylko ty tam byłeś. Jako jedyny przeżyłeś. Tylko ty mogłeś to zrobić. Już wcześniej zachowywałeś się dziwnie podczas pełni. To ty chciałeś nas obronić, choć byłeś kilkuletnim gówniarzem. Jesteś absolutnie pewien, że jesteś niewinny? Czy tylko to sobie wmawiasz, bo rzekomo nic nie pamiętasz? Łudzisz się, że tak naprawdę nie masz nic na sumieniu, żeby poczuć się lepiej?

Dawid zrobił krok w jej stronę, ale Agnieszka stała twardo w tym samym miejscu jak przyspawana do podłoża.

– Nie zabiłem mamy i taty! - krzyknął, lecz nawet on wyczuł, że przekonanie w jego głosie spada z taką prędkością, jakby działała na nie sama siła grawitacji.

– Jesteś absolutnie pewien? - powtórzyła.

Milczał, a jego ręce zaczęły drżeć.

– Minęło dwadzieścia pięć lat i od tamtej pory nie zrobiłem nikomu krzywdy - powiedział w końcu. Ku swojej dezaprobacie brzmiał tak, jakby się usprawiedliwiał. I to nie przed siostrą, tylko przed sobą. - Jak to wytłumaczysz?

Spojrzała na niego ze spokojem.

– Bardzo prosto. Miałeś wystarczająco dużo czasu, żeby odkryć, jakie zasady rządzą twoimi zdolnościami. Wyłącznie dlatego nikt więcej nie zginął.

Dawid milczał, oddychając ciężko. Trząśł się z bezradnej złości, która jednak w coraz większych proporcjach mieszała się z innymi emocjami, również negatywnymi.

– Czyżbym trafiła? - zapytała Agnieszka.

– Nigdy nie skrzywdziłbym osoby, którą kocham... - powiedział ze znacznie mniejszą energią. Czuł, że cała praca mentalna, jaką wykonał przez ostatnie lata, by poradzić sobie z tą tragedią, właśnie poszła z dymem. Jakby znowu był małym, kilkuletnim chłopcem, który obudził się skąpany we krwi przy zmasakrowanych zwłokach bliskich. - Nie chciałem...

– Ja też nie chciałam stracić rodziców! - odpowiedziała cierpko, a w jej głos wdały się łkanie i nuta hysterii. - Mówisz, że to ja spieprzyłam ci dzieciństwo? Ja?! Mama kazała nam siedzieć w ukryciu i na nią czekać. To ty uparłeś się, że chcesz nas obronić. To ty jej nie posłuchałeś. To ty z własnej woli spojrzaleś na księżyc. Gdyby nie twoje decyzje, przeżyłaby. Wiem, że tak. Może ci faceci by ją zgwałcili, może by jej coś połamali albo odcięli palce, ale w końcu zostawiliby ją w spokoju i sobie poszli. Chciała nas uratować, ale ty, jako kilkuletni gówniarz, chciałeś być od niej mądrzejszy. Dlatego jak dla mnie zrobiłeś to umyślnie! Rozbiłeś nam rodzinę, a potem wylądowałeś na czterech łapach jak kot. Albo lepiej: wilk! „To niemożliwe, przecież to małe dziecko, nie mógł tego zrobić” - ironizowała. - Byłam wściekła na tych kretynów z policji. Mieli mnie za wariatkę i nic nie rozumieli. A ty byłeś na tyle sprytny, żeby milczeć.

– Nie skłamałem! Nic nie pamiętałem!

– Nawet jeśli, to oboje wiemy, że w głębi jesteś świadomy, jaka jest prawda. System cię uratował, zapewne nigdy za nic nie odpowiesz, ale twoja obecna mina to dla mnie najlepsza nagroda. Bez względu na to, czym się stałeś i czy zrobiłeś to z premedytacją, czy nie, powinieneś właśnie siedzieć zamknięty w zoo, a nie zarabiać miliony ku uciechu gawiedzi.

Z głosu Agnieszki wybrzmiewała tak potężna nienawiść, że słuchanie jej dosłownie kłuło w uszy. Dawid poczuł się, jakby właśnie ulatywało z niego powietrze. Nie miał siły jej przerywać ani się bronić, a po impecie i wściekłości, z jakimi tu przyjechał, nie pozostał nawet ślad. Miał wrażenie, jakby dosłownie zamieniał się w jedną wielką breję.

– Nie wiedziałem... - wymamrotał, walcząc z takim bólem w przeponie, z jakim nigdy nie przyszło mu się zmierzyć nawet w oktagonie. - Byłem tylko dzieckiem...

– Ale teraz jesteś dorosły! - Agnieszka wycelowała w niego palec, a na jej twarzy błyszczały wilgotne smugi po łzach. - Teraz wiesz i nic z tym nie robisz. Nie robisz nic, żeby się tego pozbyć, nawet nigdy oficjalnie się do tego nie przyznałeś! Nigdy nie przeprosiłeś, nie poniosłeś żadnych konsekwencji! Wręcz przeciwnie, zachowujesz się, jakbyś się tym szczycił! Robisz groźne miny do kamer, a na ciele tatuujesz sobie grafiki z wilczymi motywami. Zarabiasz tyle, że stać cię, by zmienić ten okropny kolor, choćby soczewkami. Przecież to takie proste! - Wskazała jego oczy. - Po każdej walce unosisz ręce w geście triumfu, jakby nic się nie stało. Nawet zmieniłeś sobie nazwisko, żeby marketing się zgadzał. Mogłeś wybrać dowolne inne, ale zupełnym przypadkiem padło na śląski odpowiednik słowa „wilkołak”! Odkryłeś, co i jak na ciebie działa, a potem zrobiłeś z bycia potworem dochodowy biznes. Zyskałeś miliony fanów, szacunek i poważanie, podczas gdy powinno się wykluczyć cię ze społeczeństwa. Ludzie powinni czuć do ciebie odrazę, a nie podziw! I oby czuli! Sprawiedliwości prawie stanie się zadość. Prawie, bo to nie przywróci życia mamie i tacie.

Dawid, cały blady i z oczami mokrymi od łez, odwrócił się na pięcie i powoli ruszył w kierunku wyjścia z posesji. Jego tempo nie wynikało z tego, że chciał przedłużyć tę rozmowę. Po prostu w tym momencie nie potrafił szybciej iść.

– Opowiedz światu całą prawdę! - krzyknęła za nim Agnieszka. - Wszystko, co wiesz i do czego nie zdołał dotrzeć ten dziennikarz! Bo jestem pewna, że wiesz więcej niż my wszyscy! Mam nawet świetny pomysł: zróbcie z tego pay-per-view!

Aż sama wykupię dostęp. Do ostatniej, historycznej transmisji z twoim udziałem, potworze!

Nie odwrócił się, a z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej się garbił. Do samochodu dotarł na miękkich nogach. A potem całą drogę powrotną do Warszawy spędził z miliardem myśli w głowie, siedząc sztywno jak posąg i zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy.

# ROZDZIAŁ XIX

Jacek Bernajtys, menedżer i przyjaciel Dawida w jednej osobie, na bieżąco monitorował reakcje na opublikowany przez „Naprawdę” artykuł, który wywołał ogromną sensację i który cytowały teraz wszystkie największe media, poza tymi należącymi do grupy Great - telewizją, portalem internetowym, gazetą i radiem współpracującymi z GFC. Jak zdołał się zorientować, nie było tak źle. Zgodnie z tym, co nakazywał zdrowy rozsądek, nikt nawet nie dopuszczał udziału Dawida w opisanej tragedii. Przedstawiano go jako ofiarę, nie kata. Jednocześnie opinia „Naprawdę” jako rzetelnego medium, które na ogół zajmowało się poważnymi aferami i jeszcze nigdy nie przegrało procesu o zniesławienie, sprawiała, że część komentatorów mimo wszystko powtarzała stawiane przez Godlewskiego pytania. Przede wszystkim - dlaczego zatajono tę historię? Dlaczego nie wykorzystano jej przy budowaniu marki zawodnika, gdy ten był jeszcze mało znanym fighterem?

Jacek znał odpowiedź, ale cała złośliwość losu polegała na tym, że nie mógł jej zdradzić publicznie. Nie mógł zwołać konferencji prasowej i wyłożyć kawy na ławę. Dał Dawidowi słowo i zamierzał go dotrzymać, zresztą wymagało tego dobro jego biznesu. Nie martwił się o odbiór artykułu. Bardziej o jego głównego bohatera. O jego stan psychiczny. Ostatnie, czego potrzebowali przed najważniejszą walką w życiu Dawida i historii federacji, to żeby jego głowę zajmowało cokolwiek innego poza najważniejszym.

Wpatrywał się w ekran komputera, kiedy zadzwonił telefon. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie zwykły, którego używał na co dzień do rozmów biznesowych, kontaktu z Dawidem, Lindą czy resztą sztabu. Inny, dodatkowy, chroniony przed podsłuchami i wyposażony w specjalną funkcję, dzięki której

tylko Jacek mógł odebrać i wykonać z niego połączenie, ponieważ ekran, nawet po odblokowaniu, reagował wyłącznie na opuszki jego palców.

Przeklął pod nosem. Nie uśmiechało mu się odbierać tego połączenia, ale zdawał sobie sprawę, że musi. Zebrał się w sobie, sięgnął po komórkę i przeciągnął palcem po wyświetlaczu.

– Halo?

Odpowiedziała mu cisza. Wiedział jednak, że rozmówca go słyszy i czeka, aż on powie coś więcej. Wprost drażniła mu bębenki. Wołał zostać zwymyślany, bo wtedy przynajmniej wiedziałby, na czym stoi. Teraz musiał się domyślać.

– Szefie, zapewniam, że to nic takiego i nie wpłynie na rentowność gali - wydusił. - Od razu zabraliśmy się do pracy i...

– Nie maż się, Jacuś - odparł spokojnie głos po drugiej stronie. Głos bardzo, bardzo starego człowieka. - Nie za to ci płacę.

– Wiem, po prostu chciałem...

– Może nie uwierzysz, ale nie dzwonię, żeby cię opieprzyć. Zaskoczę cię nawet bardziej. To moja wina. To ja nie dopilnowałem, żeby po tej historii nie pozostał żaden ślad.

– Szefa wina? - Jacek uniósł brwi. - Ale...

– Nie przerywaj mi - powiedział uprzejmie głos, a Jacek jak na komendę zacisnął usta. - To była moja odpowiedzialność, żeby zniszczyć wszelkie materiały na ten temat, choćbyśmy mieli obejść wszystkie biblioteki w Polsce w poszukiwaniu archiwalnych wydań gazet z lat dziewięćdziesiątych. Miałem środki, żeby tego dopilnować, ale ich nie uruchomiłem. Nie sądziłem również, że ktoś skopiował akta sprawy w Bytomiu. Przyznaję, trochę to zlekceważyłem, a dziennikarskie sępy wykorzystały mój błąd. Trudno, stało się, grunt, aby wyciągnąć z tego naukę na przyszłość.

Jacek milczał. Z jednej strony ogarnęła go ulga, że szef o nic go nie obwinia, z drugiej - czuł, że to dopiero cisza przed burzą. I że w tym konkretnym momencie jeszcze nie powinien się odzywać.

– Kontaktowali się już jacyś sponsorzy? - zapytał jego rozmówca.

– Tak. Ale to bardziej ciekawskie zapytania niż żądania wyjaśnień. Główną, jak wykorzystać tę historię w kampaniach marketingowych z udziałem Dawida.

– Sądzisz, że się na to zgodzi?

– Jestem prawie pewien, że nie. Za dobrze go znam. Dlatego zastanawiam się, jak z tego wybrnąć. Mimo wszystko wypadałoby się do tego odnieść. Milczenie będzie sugerować, że mamy coś do ukrycia.

– Wystarczyłaby konferencja, na której Dawid przed kamerami mówi: „Tak, to prawda, byłem świadkiem brutalnego morderstwa rodziców. Była to dla mnie wielka trauma. Siostry się ode mnie odwróciły, rówieśnicy nie chcieli mnie znać. Chciałem wyprzeć to z pamięci. Żebyście cenili mnie za umiejętności. Nie chciałem litości ani startu z roli ofiary. Ale nie mogę zaprzeczyć, że gdy byłem małym chłopcem, spotkała mnie wielka tragedia. Tym bardziej proszę was o wsparcie podczas najbliższej walki”.

– Nie wyobrażam sobie, że zdołam go do tego przekonać. Na pewno nie teraz.

– Mimo wszystko spróbuj.

– Tak jest. - Jacek aż wyprostował się w fotelu. - A co, jeżeli się nie zgodzi?

Starczy głos cmoknął z życzliwą, wręcz ojcowską dezaprobatą.

– Jacuś, Jacuś, Jacuś... Widzę, że dotychczasowa modelowa kariera medialna naszej gwiazdy i parasol ochronny moich mediów sprawiły, że trochę uleciały ci z głowy zasady dobrego PR-u zalecane w sytuacji takiej jak ta. Co sprawdza się najlepiej, gdy chcemy odwrócić od czegoś uwagę? - zapytał uprzejmie.

– Biały szum - odpowiedział bez zająknięcia Jacek. - Wzbudzenie emocji, przekierowanie spojrzenia ludzi na coś innego, aby siłą rzeczy nie myśleli o tym, co chcemy wyciszyć. Najlepiej poprzez konflikt.

– Brawo! Łatwiej jest oszukać ludzi, niż przekonać, że zostali oszukani. Więc my też będziemy to robić. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. W tej chwili moi najlepsi specjaliści intensywnie pracują nad strategią na kolejne dni, aby rozkładówkę i czas antenowy zająć innym, nawet bardziej elektryzującym tematem niż dotyczący naszego mistrza. Ludzie na to pójną i z czasem zapomną o tym, że Dawid nie odniósł się do artykułu. Zapomną też o samym artykule i przestaną o niego pytać.

– O jaki temat chodzi?

– Wiesz, co ostatnio dzieje się w mieście? Szczególnie: co wydarzyło się ostatniej nocy?

Jacek miał szczerze dość tych zagadek i napięcia, jakie wiązało się z ryzykiem podania złej odpowiedzi. Zastanawiał się przez moment i w końcu odparł:

– Chodzi szefowi o tego gościa, który bawi się w superbohatera? Słyszałem, że zatrzymano kilku dobrych chłopaków i przepadło sporo fantów.

– Dokładnie! Ten pryszczyk niby pojawia się w mediach, ale moim zdaniem stanowczo nie wykorzystano jego potencjału.

Jacek myślał i chyba wreszcie zrozumiał, co szef chce mu powiedzieć.

– Innymi słowy, aby odwrócić uwagę od Dawida, chce szef w pewien sposób... wypromować tego dziwoląga? Skupić na nim uwagę ludzi?

– Nie myśl, że robię to specjalnie dla was. Wasze korzyści to tylko efekt uboczny. Po tym, co ten pajacyk zrobił wczoraj, a sędzę, że na tym nie poprzestanie, zdecydowałem się działać i mam na niego określony plan. Nie ma na co czekać. Tak czy inaczej, ty i nasz mistrz na tym zyskacie. Nikt nie zorientuje się, co zaszło. Nikt nie połączy tych faktów. A w swoim czasie wykonamy kolejny krok, czyli zapewnimy ludziom nowe emocje, tym razem pozytywne. I tak się fajnie składa, że nawet nie musimy myśleć nad tym, jak to zrobić.

– Gala na Narodowym, tak?

– Cieszę się, że z twoim zakutym łbem nie jest jeszcze tak źle. Dawid wygrywa, staje się niekwestionowanym królem sportów walki na świecie, a Polacy, dumni z rodaka, kochają go jeszcze bardziej.

Jacek trochę się rozluźnił. Choć szef w gruncie rzeczy go przerażał, paradoksalnie zapewniał niesamowicie kojące poczucie bezpieczeństwa, a jego pewność siebie i spokój zarażały nawet przez telefon.

– Czyli mamy plan na najbliższe dni. - Wyprostował się, jakby stawał na baczność.

– To jeszcze nie koniec, Jacuś. Na dniach moi ludzie dostarczą ci pewien przedmiot. Masz znaleźć odpowiedni moment, żeby go przetestować, i opowiedzieć mi o rezultatach.

– Przetestować...? O jakim przedmiocie mowa?

Starczy głos wyjaśnił mu, o co chodzi, a na koniec dodał:

– Przez ostatnie lata intensywnie pracowali nad nią naukowcy, którym płacę. Badania i zdobycie materiałów do skonstruowania jej kosztowały nas miliony. Wygląda na to, że osiągnęliśmy przełom i to światło jest identyczne. Ale nie przekonamy się o tym, jeżeli tego nie sprawdzisz. To bardzo, bardzo ważne.

Jacek przełknął ślinę.



– Dobrze, jak tylko ją dostanę, zacznę działać. Tylko, jeśli można, jeszcze jedna rzecz mnie ciekawi.

– Co znowu?

– Przepraszam, że tak brutalnie zmieniam temat, ale czy nie powinniśmy zrobić czegoś z Godlewskim? Niebezpiecznie węszy. Skoro zdołał się dokopać tak głęboko, może dowiedzieć się jeszcze czegoś, czego nie powinien. Narobił takiego hałasu, że pewnie się rozochoci.

Przez moment odpowiadało mu milczenie, ale Jacek przysięgłby, że jego rozmówca się uśmiechnął, choć nie miał pojęcia, skąd to wrażenie się właściwie wzięło.

– Jakże się cieszę, że o tym wspominasz - odpowiedział w końcu starczy głos. Rzeczywiście było w nim słyhać satysfakcję i wesołość. - Zrobimy, zrobimy. Choćby dlatego, że mnie wkurzył. Ale nie teraz. Gdyby w najbliższym czasie zaginął lub stała mu się krzywda, artykuł nabrałby większego rozgłosu i od razu powiązано by to z nami. Najpierw najważniejsze, czyli wyciszenie tego zamieszania, a potem karanie winnych. W swoim czasie przyjdzie mu zapłacić za grzechy i wściubianie nosa tam, gdzie nie trzeba. Za rok, pięć, może za dziesięć lat, ale do tego dojdzie. Zemsta najlepiej smakuje na chłodno. A gdy już to się stanie, ten pismak będzie cierpiał bardziej, niż może sobie wyobrazić.

Jacek wiedział, że jego rozmówca nie rzuca słów na wiatr.

– Rozumiem. W takim razie wszystko jasne. Cieszę się, że mam szefa nad sobą. Od razu mi lepiej.

– Och, jakie to miłe! - odpowiedział kpiąco starczy głos. - Nie myśl jednak, Jacuś, że tylko daję i nic od ciebie nie wymagam. Sprawnie działająca firma funkcjonuje tak, że przełożony w końcu może delegować pewne zadania zaufanym ludziom, wiedząc, że sobie poradzą i nie będą zawracać mu dupy. Nie dawaj mi więcej powodów, bym musiał za ciebie myśleć. Nie lubię myśleć. Wolę działać i zaoszczędzić czas. Dopiero po latach doceniłem fakt, że im więcej go masz, tym więcej masz możliwości. To wręcz coś jak nadludzka zdolność. Przewaga nad innymi.

Jacek zbladł, a jego serce zaczęło bić szybciej. Otworzył usta, chcąc coś odpowiedzieć, ale nie miał pojęcia co. Nie musiał jednak silić się na wymyślanie czegokolwiek, bo zaraz usłyszał pikanie. Odjął telefon od ucha i zobaczył, że

połączenie zostało zakończone. Odłożył komórkę na biurko i choć zagłębił się w fotelu, przeszył go dreszcz.

# R O Z D Z I A Ł      X X

Przez kilkanaście kolejnych nocy, z przerwami mającymi uśpić czujność lub wzmocnić niepokój jego przeciwników, Dorian kontynuował swoją krucjatę przeciwko przestępcom, która przynosiła coraz więcej sukcesów. Schemat jego działania się nie zmienił - pacyfikował ich i wystawiał policji, dostarczając przy okazji kolejnych informacji o dowodach. Zlikwidowano wiele dziupli i zarekwirowano tony trefnego towaru, z narkotykami, bronią i skradzionymi dobrami na czele. Zatrzymano tylu bossów, kapitanów i szeregowych żołnierzy, że z czasem zaczęło brakować dla nich cel. Służby naturalnie próbowały złapać również jego, ale w konfrontacji z demonicznym sprytem, siłą, szybkością i zwinnością były bezradne.

O jego działalności zaczęło się robić coraz głośniejsze, szczególnie w przestępczym środowisku. Niektórzy rozsądniejsi gangsterzy, którzy mieli to szczęście, że jeszcze do nich nie dotarł, zawczasu uciekali z Warszawy; inni, bardziej zuchwali i honorowi, czekali na niego z zasadzkami, które jednak okazywały się nieskuteczne. Starannie dbał również o to, by najgłośniejsze zrobiło się o jego zdolnościach czytania z ludzi i wyczuwania zła z ich udziałem z odległości. Mówił o tym bandytom, aby powtarzali to dalej, także w zeznaniach. Wreszcie któregoś nocy stwierdził, że nie wyczuwa w mieście silnych źródeł negatywnych aur, co należało uznać za potwierdzenie, że udało mu się wstępnie je oczyścić, a strategia, jaką obrał, okazała się słuszna. Nie znalazł jednak ani Piołuna, ani Zeta, co oznaczało, że ci najprawdopodobniej ukrywali się poza Warszawą, a do tego byli na tyle ostrożni, że nie zdradzili bandytom z niższego szczebla, gdzie znajdują się ich kwatery.

Zamieszanie, jakie wywołał w mediach, jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że postępuje właściwie. Portale internetowe i gazety nie mogły przepuścić takiej okazji i część dziennikarzy już nie bała się opatrywać swoich tekstów nagłówkami z magicznymi słowami: „polski superbohater”, choć na razie ze znakiem zapytania na końcu. Pisano o kolejnych sukcesach w rozbijaniu stołecznego półświatka - zatrzymaniach, konfiskatach skradzionych dóbr i narkotyków, odbijaniu porwanych, a także o odnajdywaniu licznych grobów, w których zakopano ciała osób dotąd uważanych za zaginione.

Właściwie wszystkie materiały na jego temat miały pozytywny wydźwięk, poza tymi publikowanymi w kanałach największej prywatnej grupy medialnej w Polsce, czyli Great. Zwrócił uwagę, że w nich najmniej miejsca poświęcano temu, kogo dzięki niemu zatrzymano, skupiając się na niezgodnych z prawem metodach działania, obrażeniach przestępców, a także na okropnym wyglądzie. Nawet opublikowano jego wizerunek stworzony przez profesjonalnego rysownika na podstawie zeznań. Miał zaskakująco wiele wspólnego z rzeczywistością, ale dla Doriany liczyło się wyłącznie to, że nie dało się dzięki niemu rozpoznać, czyja twarz tak naprawdę kryje się za wyostrzonymi rysami.

Na jego dobre samopoczucie wpłynęli również internauci. Owszem, zdarzali się tacy, którym nie podobała się działalność Doriany, i byli o wiele bardziej dosadni w słowach niż dziennikarze z grupy Great. Stanowili jednak margines. Inni, w przeważającej większości, wyrażali się o nim z ekscytacją, zaintrygowani ukrytą tożsamością, pochodzeniem nadludzkich zdolności i motywacjami, jakie mu przyświecały. Prześcigali się w teoriach, skąd się właściwie wziął. W licytacjach padały najczęściej służby i wojsko („Ktoś, kto bez draśnięcia wychodzi z walki z kilkoma bandytami, musiał zostać dobrze wyszkolony!”), niektórzy szli jeszcze dalej i twierdzili, że należy szukać go w środowisku parkourowców, wspinaczy albo cyrkowych akrobatów. Zdarzały się pojedyncze głosy, które próbowały tłumaczyć jego możliwości udziałem nadnaturalnych sił, ale były szybko wyśmiewane. Czytając to, po raz pierwszy w życiu ucieszył się z postępującego ateizmu. Znak czasów i powtórka ze sprawy Klaudii Strzelczyk i księdza Kropidłowskiego. Podobnie działo się w przypadku przestępców, którzy uważali legendę o swoim szefie za jedną wielką bzdurę. Dorian im się nie dziwił. Opowieść o nieśmiertelnym gangsterze w masce, który trzyma w garści cały świat przestępczy w Polsce, należałoby na zdrowy rozsądek tak traktować, niemniej jego

własny przypadek nakazywał mu zachować otwarty umysł i przynajmniej się nad tą teorią pochylić.

Jeżeli akurat nie spędzał danego dnia na kolejnym rekonesansie w mieście, szukał w Internecie informacji o eksperymentach nazistów mających na celu stworzenie superżołnierza. O dziwo, choć to często spotykany popkulturowy motyw, znalazł niewiele konkretów popartych wiarygodnymi historycznymi źródłami. Wyszukiwarka najczęściej odsyłała go na strony dotyczące Kapitana Ameryki, *Operacji Overlord* i innych fikcyjnych opowieści. Z kolei na stronach z teoriami spiskowymi czytał czasem tak pokręcone scenariusze, że czuł się skonfundowany. Pisano o hybrydach ludzi i zwierząt o zwiększonej wytrzymałości i sile albo o superbogach, czyli ludziach, których krew wymieszano z rtęcią. Rozsądniejsi internauci zauważali, że pogłoski o nadludziach produkowanych w celach militarnych wzięły się ze zwyczaju szprycowania żołnierzy psychedryną, dzięki czemu nie czuli strachu ani zmęczenia, co jednak przynosiło zgubne skutki, kiedy porywali się z motyką na słońce i bez respektu szli pod sowieckie lufy, by niepotrzebnie ginąć.

Uznał, że traci czas, i już miał wyłączyć okienko przeglądarki, kiedy w wyszukiwarce na samym dole listy rzucił mu się w oczy odnośnik do małego błoga o tajemnicach i teoriach historycznych. Konkretnie nagłówek. Zobaczył w nim pseudonim gangstera, którego dotyczyło jego śledztwo, choć pisany trochę inaczej i wspomniany w zupełnie innym kontekście.

## **Czas Z w Polsce?Niedoszła apokalipsa zombie i nazistowskie eksperymenty medyczne.**

Kliknął w odnośnik i zaczął czytać.

Wiedzieliście, że Polska zawdzięcza coś hitlerowskiemu Niemcom? Powiecie: tak, przejęcie władzy przez Sowietów, komunizm, gwałtowne zmniejszenie populacji kraju, skradzione dobra, zrównaną z ziemią stolicę i kilkadziesiąt lat zacofania w stosunku do Europy Zachodniej. Czy jednak dałoby się doszukać jakichś pozytywnych następstw niemieckiej inwazji?

Mało kto o tym wie, ale pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku byliśmy bardzo blisko poważnej klęski. Klęski, która - choć może trudno w to uwierzyć - przyniosłaby naszemu krajowi, może nawet całemu kontynentowi, o wiele więcej ofiar niż hitlerowcy. I należy im oddać, że to właśnie oni jej zapobiegli. Mniej więcej w czasie rozpoczęcia II wojny światowej byliśmy w Polsce dosłownie o włos od najprawdziwszej apokalipsy zombie.

Dorian podrapał się bez przekonania po skroni, ale skrołował dalej.

Jeżeli interesujecie się dwudziestolecie międzywojennym, wiecie, że krótko przed atakiem Niemców na Polskę nasz kraj elektryzowała możliwość posiadania pierwszej zamorskiej kolonii, jaką miały być ziemie na Madagaskarze. W 1937 roku wybrała się tam polska delegacja. Na jej czele stanął Mieczysław Lepecki, adiutant marszałka Józefa Piłsudskiego i wiceprezes Międzynarodowego Towarzystwa Osadniczego, a towarzyszył mu między innymi znany pisarz i podróżnik Arkady Fiedler. Oficjele zabawili na wyspie dziesięć tygodni. Fiedler nie wrócił z nimi do kraju i został tam rok dłużej, aby poznawać miejscowe obyczaje i podziwiać piękno przyrody. Na tym oficjalnie wyprawa się zakończyła, spisano raporty dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych i analizowano możliwość skolonizowania wyspy. Temat jednak upadł przez zmianę rządu we Francji i wybuch wojny.

I tu dochodzimy do zdarzeń, o których wielu historyków nie ma pojęcia. Na Madagaskarze, już po opuszczeniu go przez Fiedlera, pozostał jeszcze jeden Polak, niejaki Jan Makowski. Był to marynarz pracujący przy polskiej ekipie. Przyczyny, dla których nie wrócił z oficjalną delegacją, nie są do końca jasne, ale wiarygodne źródła podają, że opuścił wyspę dopiero latem 1939 roku, by dotrzeć do Polski w sierpniu. Późniejsze wydarzenia mogą wskazywać na to, że tuż przed wyjazdem z Afryki zaraził się jakąś tropikalną chorobą, ewentualnie stało się to już w podróży.

Po tym, jak wrócił do Pomroki - rodzinnej wioski, która na nasze szczęście mieściła się głęboko w lesie na Mazowszu - potok informacji z niej jakby się urwał. Nikt nie wiedział, co tam się dzieje. Ludzie stamtąd przestali przyjeżdżać do sąsiednich miejscowości, więc brakowało wieści z pierwszej

ręki. A gdy ktoś wybierał się do niej samodzielnie, na przykład żeby odwiedzić znajomych, już stamtąd nie wracał, podobnie jak policjanci i urzędnicy, którzy próbowali zbadać tę tajemnicę i poszukiwali zaginionych. Dało to początek nieśmiałyemu pogłoskom, jakoby las zamieszkiwało coś złego.

Kilka tygodni po powrocie Makowskiego do Polski rozpoczęła się wojna i żołnierze III Rzeszy rozpoczęli swój pochód przez kraj, zajmując kolejne miasta. Któregoś dnia dotarli w okolice Pomroki. Zadanie wstępnego zbadania wioski otrzymał oddział rozpoznawczy składający się z kilkunastu żołnierzy piechoty. Z misji wrócił zaledwie jeden z nich, więc wiemy, co tam się wydarzyło.

Na miejscu Niemcy zastali wioskę duchów - ze zniszczonymi budynkami, zaniebaną i pozornie opuszczoną. Później. I chyba stosowniej byłoby nazwać ją nie wioską duchów, tylko żywych trupów. Okazało się, że wszyscy w Pomroce są czymś zarażeni. To już nie byli ludzie, lecz bezrozumne istoty, które przyciągała woń świeżego mięsa. Nie dawało się do nich dotrzeć, nie reagowały na słowa. Zaatakowały Niemców i rozpoczęła się rzeź, nie pomogły nawet karabiny. Stworzeń, w jakie przeistoczyli się zarażeni, nie dało się zatrzymać. Kąsały i gryzły, zamieniając kolejnych ludzi w takie jak one. Wirus w polskich warunkach najwyraźniej bardzo szybko mutował, wystarczyło kilka minut od zakażenia, by całkiem stracić rozum.

Fakt, że masakrę przeżył jeden z żołnierzy, zaważył na wszystkim i przyniósł ambiwalentne skutki. Z jednej strony właśnie jemu zawdzięczamy, że zarazę udało się powstrzymać i nigdy nie rozniosła się na cały kraj, a potem kontynent, z drugiej - jej efekty dały Niemcom wiele do myślenia.

Żołnierz zreferował dowództwu, co się stało, a do Pomroki został wysłany cały pułk jego kolegów, wspomagany artylerią, czołgami i moździerzami, by ostatecznie zrobić z tym miejscem porządek. Z wioski nie pozostał kamień na kamieniu, dosłownie zniknęła z powierzchni ziemi, dlatego dziś na mapie Polski jej nie znajdziecie. Ktoś z hitlerowskich decyzyjnych, obserwując tajemnicze zjawisko nieumarłych ludzi, którzy byli wyraźnie silniejsi niż zwykły człowiek, a do tego odporni na karabinowe kule, wpadł na pomysł, żeby nie likwidować wszystkich, za to spróbować schwytać przynajmniej kilkoro z nich, aby to zbadać. Udało się. Pod koniec kampanii wrześniowej w okolicach

Pomroki pojawili się oficerowie ze sztabu generalnego, których poinformowano o nadzwyczajnym odkryciu w wiosce, a nawet zaprezentowano na „żywym” organizmie jego możliwości.

Hitler nie lekcewał żadnej szansy zwiększenia potencjału swojej armii. Także takich zahaczających o czystą fantastykę. Krążyły różne pogłoski na ten temat, mówiło się również o zainteresowaniu czarami, okultyzmem i ludowymi legendami. Nawet to miało pomóc mu stworzyć superżołnierza. Wyobraźcie sobie teraz, że jesteście na jego miejscu i dociera do was informacja o nietypowej chorobie zakaźnej zamieniającej ludzi w dzikie bestie ze zwiększonymi - w stosunku do ludzkich - możliwościami fizycznymi. Bestie, które bez karabinów i granatów z łatwością pokonały oddział dobrze wyszkolonych żołnierzy, a i pułk, pomimo znacznej przewagi liczebnej i najcięższego uzbrojenia, miał z nimi problem. Nie zważały na karabinowe kule. Traciły nogę, rękę albo inne ważne narządy i... nic. Szły, pełzały, atakowały, ignorując obrażenia. Czym to nazwać, jak nie nieśmiertelnością, a więc mokrym snem przywódcy III Rzeszy i szaleńców, którzy wówczas byli z nim u władzy? Jedyne słabym punktem tych istot okazała się głowa. Wystarczyło przestrzelić im mózgi wtedy padały na dobre, ale przecież ten problem dało się zmniejszyć, może nawet obejść. W końcu od czego są hełmy?

Dorian zatrzymał się na tym fragmencie i zaczął myśleć. Głowa jako klasyczny słaby punkt każdego żywego trupa. Obejście tego problemu, aby maksymalnie zmniejszyć prawdopodobieństwo jej uszkodzenia. Na przykład... maską? Kuloodporną i obejmującą głowę w całości?

Obiekty doświadczalne w największej tajemnicy przetransportowano do Berlina. Najlepsi naukowcy w SS otrzymali rozkaz, aby rozpocząć intensywne badania nad wirusem stojącym za tą chorobą i stworzyć taką jego mutację, by zainfekowani pozostawali nieśmiertelni, ale po pierwsze - nie tracili ludzkiej świadomości, i po drugie - nie zarażali innych przez ugryzienie czy kontakt z krwią. Decydentom zależało na tym, by uniknąć sytuacji, w której wysła się na Aliantów armię nieśmiertelnych super żołnierzy, a ci niechcący „zarażają” swoimi zdolnościami i tym sposobem zwiększają potencjał militarny swoich



wrogów. Nie, jedynym sposobem na zarażanie wirusem miało być jego kontrolowane wstrzykiwanie ochotnikom. Nigdy inaczej.

Po kilku latach badań udało się opracować serum na bazie mutacji wirusa, która spełniała założone warunki. Stworzenie prawdziwej wyższej rasy, o której Hitler tyle głądził, było na wyciągnięcie ręki. Coś jednak poszło nie tak.

Pod koniec wojny w Oświęcimiu przeprowadzono tajne eksperymenty na osadzonych, używając kolejnych wersji serum. Plan był taki, by wstrzykiwać im je, dawać wirusowi czas na zaadaptowanie się w organizmie więźnia, przekonywać się o efektach, a potem zabijać obiekt doświadczalny strzałem w głowę. Eksperyment jednak wymknął się spod kontroli. Niektórzy odkrywali swoje nowe możliwości, domyślali się, jaki cel miało doświadczenie, zwłaszcza kiedy dziurawiono ich gradem kul, a oni nadal żyli. Materiały, do których dotarłem, dowodzą, że jeden nawet zdołał się uwolnić. Wynikło z tego powodu potężne zamieszanie w obozie - więzień, niejaki Władysław Ziarnik, zdołał przebić się przez kilka posterunków straży, a potem najzwyczajniej w świecie staranował ogrodzenie. Taki był silny. Uciekł, a wraz z nim kilkunastu innych osadzonych, którzy skorzystali z okazji. Praktycznie wszystkich oprócz niego wyłapano bądź zabito.

Po tym incydencie nawet tacy szaleńcy jak wysoko postawieni hitlerowcy musieli zacząć się zastanawiać - skoro taki chaos i zniszczenie zdołał wywołać zaledwie jeden człowiek, to co się stanie, gdyby dalej testować nową, może nawet lepszą wersję serum na większej liczbie osób? Jak panować nad żołnierzami, których zaufanie do Führera systematycznie malało? Zdano sobie sprawę, że owszem, stworzono potężną broń, ale inteligentną i zbyt niebezpieczną. W tej sytuacji panowanie nad nią w stu procentach było praktycznie niemożliwe i w obliczu ryzyka, że obróci się przeciwko swojemu twórcy, stawiało pod znakiem zapytania bezpieczeństwo Rzeszy. Badania nad wirusem oczywiście kontynuowano, ale o wiele ostrożniej i skrupulatniej niż poprzednio, jednak wkrótce zaczęła się inwazja Aliantów na okupowaną Europę. Efekty projektu oficjalnie zostały zniszczone przez wyzwolicieli, którzy uznali te doświadczenia za szalone, okrutne i nieludzkie, a przede wszystkim zagrażające stabilizacji kontynentu, który lizał rany po ledwo co zakończonym koszmarze wojny. Pięknie brzmiąca wersja oficjalna, jak znalazł do podręczników historii. Ja jednak w nią nie wierzę i jestem bardzo ciekaw, co tak

naprawdę się stało. Czy ktoś jeszcze przyjął serum? Czyjego „receptura” albo wirus, na którego bazie powstało, wciąż istnieją? Jeżeli tak, gdzie są przechowywane? Czy ktoś kontynuował eksperymenty? Czy Hitler naprawdę...

Dorian przerwał czytanie, kiedy zadzwonił telefon. Sięgnął po aparat, nawet nie patrząc na ekran, i przeciągnął po nim palcem. Wiedział, kto do niego dzwoni, i w żadnym wypadku nie chodziło o nadprzyrodzone przecucia. Po prostu odkąd wyprowadził się z plebanii, osoba ta odzywała się do niego niemal codziennie. I zadawała to samo pytanie.

– Dzień dobry - usłyszał głos pani Ireny. - Co słyhać? Wszystko u księdza w porządku?

Zerknął na ekran komputera i podrapał się po brodzie.

– Wszystko super. A u pani?

# R O Z D Z I A Ł      X X I

Dawid siedział na tarasie swojego domu na przedmieściach Warszawy i gapił się tępo w las niedaleko posesji. Odkąd wrócił z Katowic, praktycznie się nie odzywał. Nie trenował, mało jadł i rzadko wychodził z pokoju, przesypiając większość dnia. A gdy nie spał, głównie czytał dyskusje o sobie w Internecie.

Kiedy Linda stanęła przy wyjściu na taras, poczuł jej zapach, ale nawet na nią nie spojrział. Zaraz wyczuł również Jacka, co go zirytowało. Od publikacji artykułu przyjaciel wpadał do niego praktycznie codziennie.

– Jak się masz? - rozległ się jego głos.

Nie odpowiedział. Jacek spojrział na Lindę i wymownie skinął głową. Zostawiła ich samych, zamknęła za sobą drzwi na taras i usłyszeli oddalający się stukot jej obcasów.

Jacek usiadł przy Dawidzie i westchnął ciężko. Jak zwykle był ubrany w elegancki, szary garnitur ze srebrnym połyskiem. Wyciągnął papierosa i zapalił.

– Jeżeli znowu przyszedłeś, żeby przekonywać mnie do wydania ckliwego oświadczenia przed kamerą... - zaczął Dawid, ale Jacek mu przerwał:

– Nie. Tym razem jestem tu dlatego, że się martwię - powiedział uprzejmie. Brzmiał jak ojciec, który przyłapuje dziecko na paleniu trawki i uznaje, że lepiej spokojnie wytłumaczyć szkodliwość tego postępowania, niż krzyczeć i karać. - Już nawet nie chodzi o pieniądze, najważniejszą walkę w twoim życiu i to, że jeżeli nie poskładamy cię do kupy, jeszcze nie daj Boże przegrasz. Widzę, jak to na ciebie wpłynęło, i się martwię. Tak po ludzku, jako twój kumpel.

Dawid ponownie wpatrzył się w las. Milczał.

– Nie żebym nie starał się ciebie zrozumieć, ale czy to aby na pewno jest powód, żeby aż tak się przejmować? - zapytał Jacek. - Ludzie są po twojej stronie. Wspierają cię.

– Bo nie znają prawdy.

– To chyba dobrze?

– Nie, nie dobrze! - warknął Dawid. - O to w tym chodzi? To ma sprawić, że poczuję się lepiej? Udawanie, że nic się nie stało?

Jacek zerknął z niepokojem za płot, upewniając się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Przeszłości już nie zmienisz.

– Nie. I właśnie to mnie wkurwia. Bo bardzo bym chciał.

Teraz to Jacek nie odpowiadał przez dłuższą chwilę i tylko siedzieli w milczeniu, podczas gdy drzewami nieopodal kołysał coraz silniejszy wiatr.

– Mogę poprosić Lindę, żeby umówiła cię z naszym psychologiem - odezwał się w końcu. - Chcesz?

– Nie trzeba. Dam sobie radę.

Jacek przyjrzał mu się i zrobił taką minę, jakby zdawał się w to wątpić.

– A może to pora, żebyś wreszcie znalazł sobie jakąś pannę?

– Linda mi wystarczy.

– Nie mówię o pustym seksie. Niczego nie ujmując naszej bogini, bo to piękna, inteligentna i bardzo zaradna istota. - Jacek wskazał kciukiem drzwi na taras. - Ale to normalne, że czasem między ludźmi nie iskrzy. A połowa wiadomości do ciebie w mediach społecznościowych to propozycje matrymonialne. Może warto im się przyjrzeć?

Dawid pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. Naprawdę chciał, by Jacek już sobie poszedł.

– Nie, mam wystarczająco dużo problemów, żeby jeszcze upewniać się i obserwować, czy nie manipuluje mną kolejna utrzymanka.

– Nie wszystkie kobiety są takie.

– Wiem, ale jakoś tak się dziwnie składa, że dotąd przyciągałem tylko te, które dość szybko się odkochiwały, gdy wychodziło na jaw, że nie zamierzam być ich sponsorem. Na razie podziękuję. Nie mam teraz do tego głowy.

– Jak uważasz. - Jacek wstał i poklepał go po ramieniu. - Gdybyś czegoś potrzebował, to dzwoń.

Kiedy opuścił taras, Dawid poczuł się trochę lepiej. Spojrzał na telefon, który trzymał w dłoniach. Ekran był zgaszony, ale ręka świerzbiła go, by ponownie włączyć komórkę i zerknąć na komentarze w mediach społecznościowych. Na te wspierające i do porzygania klepiące po plecach wypowiedzi ludzi, którzy byli w nim zakochani po uszy i nie mieli zielonego pojęcia o tym, co naprawdę wydarzyło się w dziewięćdziesiątym czwartym. A także o tym, jak czuł się z faktem, że historia, którą za wszelką cenę chciał zataić, którą najchętniej wymazałby ze swojej pamięci, aby już nie mieć poczucia winy, wypłynęła na światło dzienne. Wiedział jednak, że Jacek ma rację. Nie powinien się nakręcać, wracać do przeszłości, na którą nie miał wpływu. Przeszłości niezwykle skomplikowanej, co do której do tej pory nie wiedział, co myśleć. Czy się usprawiedliwić, czy się nienawidzić? Szukał odpowiedzi - czy naprawdę jest taki zły, jak próbowała wmówić mu Agnieszka? Czy naprawdę powinien się obwiniać i czuć się z tego powodu źle? Odpowiedzi prostej, szybkiej, konkretnej. Najlepiej obiektywnej. Miał świadomość, że taka najprawdopodobniej nie istnieje, mimo to chciał ją usłyszeć. Aby poczuć się lepiej, wrócić do pracy i raz na zawsze zabić rany z dzieciństwa, które rozdrapał ten cholerny artykuł. A może prawda leży pośrodku? Czyli gdzie? I kto mógłby pomóc mu ją znaleźć? Na pewno nie żaden ślepo zapatrzony w niego fan ani nikt z jego ekipy, w tym psycholog, któremu płaciła GFC, więc mówiłby to samo co Linda i Jacek.

Czyli kto?

Zerknął w stronę drzwi, lecz nadal był sam na tarasie. Włączył ekran smartfona i wszedł w przeglądarkę internetową, lecz nie po to, by znowu o sobie czytać, tylko skorzystać z wyszukiwarki. Wpisał w pasek adresu „psycholog Warszawa”. Przeciągnął palcem po wynikach wyszukiwania i przeczytał pobieżnie kilka opinii o wybranych terapeutach. Rzuciło mu się w oczy imię i nazwisko Beata Konkel. Jej referencje były wyłącznie pozytywne, podkreślano, że kobieta, choć młoda, wykonuje zawód z powołania, jest bardzo mądra, ciepła i pomogła wielu osobom.

Dawid podrapał się po brodzie, gapiąc się na ekran. Może to jest właśnie rozwiązanie jego problemów? Psycholog z zewnątrz, który potrafiłby spojrzeć na to z boku i obiektywnie się wypowiedzieć? Najlepiej nieinteresujący się sportami

walki, aby szum związany z artykułem jakimś cudem go ominął. Tylko czy taki w ogóle istniał? Jeżeli tak, z większym prawdopodobieństwem był kobietą.

Przy opiniach o pani Konkel znajdował się również jej numer telefonu. Dawid wstukał go w klawiaturę numeryczną, choć jeszcze nie podjął decyzji, że naprawdę do niej zadzwoni. Zdał sobie sprawę, że serce bije mu znacznie szybciej. Nachodziły go coraz większe wątpliwości. Zupełnie nie wiedział, jak miałby opowiedzieć tę historię, aby mu uwierzono, no i wiązałoby się to ze zdradzeniem jego najgłębiej skrywanej tajemnicy. Na domiar złego przez swój charakterystyczny wygląd był bardzo rozpoznawalny i psycholożka na pewno będzie wiedziała, kim jest. A co, jeżeli z nią się spotka, zwierzy ze swoich problemów i wątpliwości, a co gorsza - zdradzi, do czego nie dotarł ten dziennikarz, ona zaś potem to upubliczni?

Zacisnął usta. Dopiero teraz tak naprawdę odczuwał negatywne następstwa bycia znaną osobą, nawet biorąc pod uwagę, że nie mógł wyjść do sklepu po bułki, by nie skupiać na sobie ciekawskich spojrzeń, by ktoś nie poprosił o autograf albo o wspólne zdjęcie. Gdyby się rozniosło, że po tej całej sytuacji korzystał z pomocy terapeuty, wielu kibiców uznałoby to za oznakę słabości, co dla profesjonalnego zawodnika sportów walki, synonimu siły, męskości i twardego charakteru, byłoby gwoździem do trumny.

No tak, tylko...

„Ty potworze!” - usłyszał w myślach nienawistny krzyk Agnieszki i aż się wzdrygnął.

Raz jeszcze spojrzął na ekran telefonu. Beata. Podobało mu się to imię. Nie wiedział, czy wpłynęły na to opinie, jakie przeczytał o psycholożce, ale naprawdę kojarzyło mu się z miłą, ciepłą osobą. A skoro jej dotychczasowi pacjenci twierdzili, że wykonuje swój zawód z powołania...

– Mistrzu?

Dawid drgnął, kiedy w drzwiach na taras ponownie stanęła Linda. O mało nie upuścił telefonu.

– Możesz coś dla mnie zrobić i zafundować sobie detoks od komórki? Po co to wszystko czytasz? - zapytała. W jej głosie dało się dosłyszeć naganę.

– Nie czytam.

Przewróciła oczami. Nie spodobało mu się to, podobnie jak jej słowa:

– Jak z dzieckiem...

Odwróciła się na pięcie i weszła do salonu. A Dawid właśnie wtedy podjął decyzję i zapisał sobie wklepany numer telefonu w kontaktach. Nazwał go „Beata”.  
Po prostu.

Schowawszy smartfona do kieszeni, zdał sobie sprawę, że czuje się znacznie lepiej.

# ROZDZIAŁ XXII

Dorian wyruszył późnym wieczorem na kolejny wypad po Warszawie. Miał w planie nie skupiać się na ścisłym centrum, tylko na dzielnicach blokowisk po drugiej stronie Wisły. Wylądował na skrytym w ciemności dachu jednego z budynków, zamknął oczy i wyostrzył swój szósty zmysł. Nie czekał długo. Pobliską ulicą przejechała kolumna kilku samochodów. Choć znajdowały się nieopodal zaledwie moment, wyczuł to, czego szukał. Ruszył w pogoń za pojazdami, biegnąc, skacząc i pełzając po ścianach. Wkrótce zdołał dogonić auta i tylko utwierdził się w przekonaniu, że wewnętrzny radar go nie mylił. Jechali nimi ludzie chcący zrobić coś złego i mający wiele na sumieniu.

Samochody wjechały na osiedle wysokich bloków, w którego centralnym punkcie znajdowała się szkoła. W oknach hali sportowej paliło się światło. Dorian obserwował z dachu, jak z aut wysiada kilkunastu dobrze zbudowanych mężczyzn w kominiarkach, uzbrojonych w pałki, kastety i kije bejsbolowe. Rozejrzeli się, po czym ostrożnie ruszyli w kierunku szkoły. Kiedy zniknęli Dorianowi z oczu, zeskoczył z wysokości kilku pięter i pobiegł za nimi. Bandyci w końcu dotarli do gmachu i kilkoma kopnięciami wyłamali stare drewniane drzwi.

– Zaraz! Co tu się dzieje? - Dorian dosłyszał przerażony głos

– Zamknij ryj, dziadek, i siedź cicho, to nic ci się nie stanie!

Wszedł za nimi do szkoły i zobaczył, że podczas gdy reszta pobiegła w stronę hali sportowej, jeden z bandytów został w przeszklonej stróżówce z wiekowym ochroniarzem, pilnując, by ten nie sprawiał problemów. Nie zastanawiając się długo, Dorian podkradł się do osiłka od tyłu i chwycił za ramiona. Jednym



pociągnięciem wywlókł go z pomieszczenia i pchnął na ścianę. Olbrzym odbił się od niej i upadł, a nim zdołał choćby unieść głowę i zobaczyć, kto go zaatakował, Dorian wymierzył mu soczystego sierpowego, pozbawiając przytomności. Dozorca wpatrywał się w niego z miną, która wyrażała jednocześnie szok, pewnego rodzaju urzeczenie, ale również wyraźny respekt. Lustrował go od stóp do głów.

– To pan... - wyjąkał. - Jezu... To pan! Czytałem o panu! Pan jest tym gościem, co łapie bandytów!

Dorian zignorował stróża i pobiegł w kierunku bloku sportowego, gdzie wyczuwał źródło potężnej przemocy. Już z daleka słyszał stamtąd dzikie wrzaski.

Wpadł na halę, której podłogę pokrywała olbrzymia, choć jeszcze nieukończona sektorówka na mecz piłki nożnej. Rozlegały się tam krzyki. Chuliganów było więcej, ultrasi<sup>33</sup> nawet nie mieli na sobie kominiarek. Niektórzy już leżeli rozrzucony po pomieszczeniu, zakrwawieni i nieprzytomni.

– Dosyć! - Dorian ryknął dwoma głosami, a zamaskowani mężczyźni dopiero wtedy zwrócili na niego uwagę.

– O! - zawołał któryś. Z jego głosu biła potężna pewność siebie. - Patrzcie, państwo! Czy to nie słynny polski superbohater?

Dorian wpatrywał się w nich, marszcząc brwi i zaciskając pięści. Jeszcze zanim uzyskał swoje zdolności, miał określone negatywne zdanie na temat kiboli i gdy oglądał relacje z ich bitew z policjantami, zawsze trzymał stronę tych drugich. Jego wściekłość narastała, wzmacniana przez ból i cierpienie, ale również pychę, nienawiść i okrucieństwo wypełniające to miejsce. Nie miał jednak przed sobą typowych przestępców, ale zwykłych stadionowych bandytów, którzy parali się chuliganką dla dreszczyku emocji i aby móc pochwalić się w Internecie kolejną „akcją na plus”. Nikt nie wtajemniczał ich w poważniejsze gangsterskie sprawy i jeżeli współpracowali z półświatkiem, to stojąc na bramkach w podrzędnych klubach.

– Zostawcie ich w spokoju!

– Bo co? - zapytał przywódca grupy, unosząc kij bejsbolowy. - Co nam zrobisz? Chcesz się bić? - Rozłożył prowokacyjnie ramiona. - No to chodź!

Stanęli w ciasnej grupie na środku sali z bronią w pogotowiu. Dorian rozpędził się do prędkości godnej samochodu na autostradzie i rzucił na tego, który do

niego mówił. Przewrócił go i zakotłowali się na podłodze.

Nagle doznał czegoś w rodzaju *deja vu*. Z początku nie rozumiał, skąd wzięło się to wrażenie, lecz zaraz uświadomił sobie, że objawiło się, gdy zbliżył się do tego osobnika, a jego szósty zmysł głębiej wniknął w jego przewinienia. Było ich mnóstwo, dużych i małych. Większość widział pierwszy raz. Właściwie wszystkie, poza jednym.

Tym, w którym sam brał udział.

„Te, konus. Rączki cię swędzą?

– Cokolwiek ci powiedziała, to nieprawda - głos Doriana. - To ona się do mnie przystawiała!

– No pewnie! To ofiary gwałtu są winne, że prowokują gwałcicieli.

Cios otwartą dłonią w twarz. Znajome uczucie bólu i dezorientacji.

– Zostaw go! - głos Huberta. - To ksiądz! Nie tyka kobiet!

– Ksiądz...? Ministranci ci nie wystarczają, pedofilu jebany?!

Upadek na podłogę. Ból w innych częściach ciała od potężnych kopniaków. Podniesienie go za fraki i zaprowadzenie do stolika, przy którym siedziała atrakcyjna dziewczyna, rozbawiona i wpatrująca się w niego triumfalnie.

– Przepróż!

Ból w potylicy.

– P-przep-praszam... - głos Doriana.

Wyprowadzenie go z pubu i kolejne kopnięcie w plecy. Upadek na brzuch, zdarta skóra na dłoniach i kolanach”.

Choć szósty zmysł ostrzegł Doriana o zagrożeniu, odkrycie, kogo właśnie sprowadził do parteru, zrobiło na nim tak duże wrażenie, że na moment się zapomniał i zareagował o ułamek sekundy za późno. Otrzymał potężny cios kijem bejsbolowym w potylicę i upadł na podłogę. To jednak nie był koniec.

– Dawaj! Jechać z nim! - Chuligani nakręcali się wzajemnie, uderzając i kopiąc go z całej siły. Nie oszczędzili żadnej części ciała. Połamali ręce, nogi i żebra. Skakali mu po głowie. Przestali dopiero po kilku minutach.

– I co teraz? - zapytał triumfalnie ich przywódca. - Już nie jesteś taki cwany? Masz coś jeszcze do powiedzenia?

Dorian leżał na posadzce ze spłaszczoną klatką piersiową, kończynami skręconymi pod nienaturalnymi kątami i wgłębieniami w czaszce. Drżał i ledwo oddychał. Z trudem otworzył usta i wymamrotał coś niewyraźnie.

– Co tam bełkoczesz? Nie słyszę! - Osilek nachylił się nad nim, przykładając teatralnie dłoń do ucha.

– Już po tobie! - Dorian ryknął nieludzko dwoma głosami i wyskoczywszy z twórnego przez chuliganów kręgu, wylądował w innej części sali jak żywy, poskręcany kawałek mięsa. Bandydzi zobaczyli, jak jego ręce i nogi z trzaskiem wracają do pierwotnego stanu, jakby był robotem, który samoistnie naprawia się pod powierzchnią skóry. Zdawało się to odbywać niezależnie od Doriana, głowa sprawiała wrażenie biernego obserwatora, oddzielnego organizmu.

Wreszcie wstał i wyprostował się z ciałem jak nowym, jak gdyby nic się nie stało. Nawet nie czuł bólu. Uniósł dłonie i spojrział na nie błyszczącymi oczami. Sprawdził też nogi, tors i głowę. Dotąd nie był świadomy, że jego moce umożliwiają mu również tak szybką regenerację. Nie testował tego, a podczas dotychczasowych przygód nikt nie zrobił mu poważniejszej krzywdy.

Uniósł wzrok i spojrział na przeciwników. Uśmiechnął się złośliwie na obu twarzach, choć w środku wprost kipiał z wściekłości. Wreszcie wyczuł w tych bandytach strach, ale nie zamierzał im odpuścić tego, co zrobili.

– Już nie jesteście tacy cwani? - zapytał, kręcąc karkiem i dopasowując z trzaskiem ostatnią kosteczkę. Ruszył powoli w ich kierunku.

Chuligani znowu stanęli w zwartej grupie, mocniej zaciskając palce na kijach i pałkach. Dorian rozpędził się, lecz nagle, mniej więcej trzy metry od nich, raptownie wyhamował. Chrząknął, a złośliwy uśmiech uleciał mu z twarzy. Zaczął przeraźliwie kaszleć, jakby się dusił. Klęknął, trzymając się za gardło, czerwieniejąc i pokazując drugą ręką swoje plecy. Skonfundowani bandyci popatrzyli po sobie, nie wiedząc, co robić.

Wreszcie ich przywódca podbiegł bliżej i uniósł nad głowę kij. Dorian tylko na to czekał. Kaszlnął po raz ostatni i wypluł coś w kierunku stopy bandyty z taką siłą, że przypominało to niemalże wystrzał z pistoletu. Osilek próbował odskoczyć, ale było już za późno. Okazało się, że jego noga... jest przybita do podłogi potężnym czarnym gwoździem.

Dorian uniósł głowę i uśmiechnął się, szczerząc ostre zębiska.

– Klaczek - powiedział niewinnie.

Osilek wrzasnął z bólu, porzucając kij i próbując oderwać stopę od posadzki. Jego koledzy wpatrywali się w to zszokowani.

– Co...? Co to, kurwa, ma być...?

Kiedy pierwszy bandyta wystrzelił w kierunku wyjścia, pozostali ruszyli za nim, jakby byli do niego uwiązani. Dorian nie ruszył jednak w pogoń. Wiedział, że i tak później ich dostanie. Skupił się na młodym mężczyźnie, który przybity do podłogi nie mógł uciec. Przeplatał wrzaski bólu z nawoływaniem:

– Chłopaki! No co wy?!

– Dziś w hali Czterdziestego Siódmego Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie... - zaczął Dorian.

– Chłopaki! - wrzasnął osilek, ale już został z nim sam, nie licząc pobitych do nieprzytomności ultrasów.

– ...doszło do przeciągania liny jeden na całą bandę między przedstawicielami dwóch zasłużonych ekip kibicowskich - kontynuował Dorian.

Zamaskowany chuligan totalnie spanikował. Puścił nogę, na której but powoli wypełniał się krwią, i wydarł się z całej siły:

– Ratunku! Niech ktoś mi pomoże!

– Starcie, przez poddanie się przeciwników - Dorian zbliżył się do osiłka, świdrując go czarnymi oczami - wygrałem ja.

– Zostaw mnie w spokoju! Nie dotykaj mnie!

Dorian zgrabnie uniknął niezdarnego ciosu i ściągnął bandycie kominiarkę. Pod nią istotnie krył się mężczyzna, który pobił go w pubie Forteca. Jak na zawołanie Dorian odczuł echo tamtych wydarzeń. Echo bólu, upokorzenia i poczucia niesprawiedliwości, jakich wtedy doświadczył, podobnych do tych, które dotykały go, gdy był bity przez opiekunki w domu dziecka. Jakby tym razem stosował własne zdolności na sobie i prześwietlał osobiste traumy, które uwierały go do dziś i w pewnym sensie ukształtowały jako człowieka. I które dzięki swoim mocom widział teraz tak wyraźnie, jakby oglądał film. Jakby powtórnie brał w nich udział i na nowo odczuwał ich przyczyny.

Starał się opanować emocje, ale mimo, woli narastały w nim ekscytacja i wściekłość. Spoważniał i zaczął głęboko oddychać. Oto miał w garści kogoś, kto niedawno dręczył go, korzystając z pozycji siły, i traktował jak podczłowieka

wyłącznie z powodu roli, jaką odgrywał w społeczeństwie. Kogoś, kto gardził takimi jak Dorian. Mógł teraz zrobić z nim, co tylko chciał. Wyrównać rachunki, o czym podświadomie marzył od dnia, kiedy to się stało. Wynagrodzić sobie. Sobie samemu.

Oko za oko, ząb za ząb.

Szpon za szpon.

Nie zastanawiał się już, tylko złapał mężczyznę za szyję. Osilek zaczął się dusić. Próbował się uwolnić, ale nie miał żadnych szans.

– Boli? - zapytał Dorian, napawając się jego strachem. - Czujesz się bezradny? Przerażony? Przybity? Już wiesz, jak to jest, gdy silniejszy pastwi się nad słabszym?

Podczas gdy mówił do chuligana, nakręcając się coraz bardziej, jeden z pobitych ultrasów próbował coś powiedzieć, ale wystarczyło mu siły jedynie na cichy jęk i nieznaczące uniesienie ręki. Zerkał na kolegę, który leżał kilka metrów dalej. Nie ruszał się i wyglądał niewiele lepiej od Doriana po niedawnym katowaniu.

– Jak to jest pisać do obcych w Internecie „Kozak w necie, pizda w świecie”, a potem przychodzić na akcję taką jak dziś w przewodze liczebnej, w przewodze siły, do tego ze sprzętem i w kominiarkach? - syknął Dorian, przyciągając do siebie osiłka i zaciskając mocniej szponiastą dłoń na jego szyi. - Jak to jest być hipokrytą, który gardzi słabszymi, ale jednocześnie sam nigdy nie zaatakuje silniejszego? Niczym nie różnisz się od tych, z których szydziłeś!

Ultras znowu próbował zwrócić na siebie uwagę i nawet udało mu się wydobyć z gardła głośniejszy jęk niż poprzednio. Dorian jednak go nie słuchał. Nie odbierał już żadnych bodźców z otoczenia, skupiając się na osiłku, któremu zamierzał dać nauczkę. Bandyta stawał się coraz bledszy, a z jego oczu ulatywała świadomość. Walczył coraz słabiej. Dorian wpatrywał się w niego z satysfakcją połączoną z furją, a migawki z Fortecy zdawały się krążyć wokół niego niczym stado sępów nad padliną. Z każdą sekundą doznania z nimi związane zyskiwały na sile, jakby nagle nabył już nawet nie siódmy zmysł, ale kilkanaście kolejnych. Kakofonia rozlegająca się w jego głowie stawała się coraz głośniejsza. Choć nie słuchał jej świadomie, zapewniała mu taką rozkosz, jakiej nie doznał chyba nigdy. Jakby przyjmował narkotyk polegający na słuchaniu dźwięków. Konkretnie głosów. Dziesiątek, setek, tysięcy. To one zapewniały go o kontroli, władzy, słuszności

działań, a przede wszystkim -poczuciu sprawiedliwości. Chciał jeszcze bardziej przerazić osiłka, sprawić, by cierpiał. I nawet wiedział, jak to osiągnąć.

Wytrzeszczył oczy i ryknął ochryłym, nieludzkim, gardłowym głosem prosto w twarz chuligana, otwierając usta co najmniej trzykrotnie szerzej, niż byłby to w stanie uczynić zwykły człowiek. Jego zęby zniknęły, a pod nosem ziała teraz czarna otchłań.

– Policja! Nie ruszaj się!

Do hali wbiegło kilkunastu kontrterrorystów, lecz w odróżnieniu od poprzednich sytuacji Dorian nie ruszył się z miejsca.

– Zostaw go! - usłyszał za sobą i wściekł się, że przeszkodzono mu w tak ważnym momencie. Funkcjonariusze otoczyli go i wycelowali w niego karabiny. Wyczuł, że praktycznie wszyscy nie są święci, że w trakcie służby wielokrotnie przekraczali uprawnienia, traktując przestępców brutalniej, niż na to zasługiwali.

– Wy? - zapytał spokojnie, nie odrywając wzroku od blednącej twarzy chuligana.  
- Śmiecie wydawać mi polecenia? Wy, którzy wielokrotnie katowaliście zatrzymanych? Chcecie robić za bastion moralności?

– Zabijesz go! - krzyknął któryś. - W tej chwili masz go puścić albo będziemy strzelać!

Dorian jakby się ocknął, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście wyczuwa, iż z chuligana ulatuje życie. Puścił go, wyskoczył z kręgu tworzonego przez policjantów i wylądował na trybunach, w których znajdowały się inne drzwi. Wyrwał je z zawiasów i zniknął w korytarzu za nimi.

– Stój!

Dwóch funkcjonariuszy pokonało barierkę oddzielającą trybuny od parkietu, a trzech wybiegło z hali tą samą drogą, którą do niej weszli. Pozostali zajęli się rannymi na miejscu, a jeden czym prędzej wyciągnął radiotelefon.

– Przyślijcie więcej karetek do Czterdziestego Siódmego Liceum na Pradze! - powiedział, rozglądając się. - Co najmniej dziesięciu rannych. Otwarte złamania, liczne obrażenia głowy, większość nieprzytomna.

– Ratujcie Pawcia! - Chłopak, który wcześniej próbował zwrócić uwagę Dorian, wskazywał leżącego nieopodal kolegę. - Strasznie oberwał. Widziałem, że uderzyli go prosto w głowę i... Błagam, ratujcie go!

Policjanci przykucnęli przy wskazanym kibicu, a jeden sprawdził tętno.

– Kurwa... - mruknął.

Nie wyczuł pulsu.

# ROZDZIAŁ XXIII

Dorian siedział na dachu jednego z wysokich bloków niedaleko szkoły, obserwując karetki podjeżdżające pod gmach, choć tak naprawdę się na nich nie skupiał. Oddychał głęboko, a jego drugi basowy głos było słychać również z każdym wdechem i wydechem. Próbował się uspokoić, lecz wciąż roznosiły go emocje, kipiał energią i miał przyspieszony puls. Spojrzał na swoje szponiaste dłonie. Te same, z których jedną niedawno zacisnął na szyi chuligana. I zrobił to z własnej woli.

„Zabijesz go!”

Głos rozległ się echem w jego głowie tak głośno, że aż się wzdrygnął i nią pokręcił. Nie. Ani przez moment nie myślał o tym, by pozbawić tego chłopaka życia. Chciał go jedynie nastraszyć i ukarać. Żeby dostał nauczkę i poczuł, że to wszystko jest na poważnie, bo tylko wtedy odniesie ona jakikolwiek skutek. Puściłby go w odpowiednim czasie, bez względu na to, czy ten policjant by krzyknął, czy nie. Miał to pod pełną kontrolą. A że postąpił trochę ostro? Poniosły go emocje, w końcu nie co dzień spotyka się człowieka, z którym ma się niewyrównane rachunki. Biorąc pod uwagę, co ten osiłek zrobił, zarówno teraz, w tej hali, jak i wcześniej, zasłużył, by trochę pocierpieć. Z takimi jak on należało rozmawiać wyłącznie ich językiem. Językiem siły. Żadnego innego nie rozumieją.

Przypomniał sobie przewinienia, jakie w nim przeczytał, i na nowo poczuł złość.

Zasłużył. Ten troglodyta zasłużył na to, a nie na wikt i opierunek w więzieniu za pieniądze podatników, z którego nic nie wyniesie. Podobnie jak jego koledzy, którzy zdążyli uciec. Dorian wiedział jednak, że prędzej czy później ich znajdzie.



Skoro już oczyścił Warszawę z największych gangsterskich kanalii, przyszła pora na bandytów niższego szczebla, którzy uprawiają przemoc nie dla zysków, tylko dla zabawy. W sumie dobrze się stało, że dziś trochę przesadził. W pewnych środowiskach na pewno zrobi się głośno o tej akcji i ci, którzy powinni, zaczną się go bać. Może nawet zaczną planować odwet. Droga wolna, niech sami do niego przyjdą, żeby nie tracił czasu na szukanie. Cokolwiek zrobią, nie powstrzymają go. A już na pewno nie po tym, kiedy odkrył w sobie zdolność szybkiej regeneracji, która oznaczała, że mógł pozwolić sobie na większe ryzyko. Nic nie będą w stanie mu zrobić. A on dokończy to, co sobie zaplanował. Posprząta w tym mieście i już nigdy nie dojdzie do sytuacji takiej, jak w tej szkole, nie będzie kradzieży flag albo tak zwanych wjazdów na turnieje młodzieżowe.

Kiedy zeskakiwał z bloku, karetki odjeżdżały spod szkoły na sygnale.

\* \* \*

### **Dantejskie sceny w hali liceum na Pradze. Szokujące metody działania polskiego superbohatera!**

Już następnego dnia wiele lokalnych i ogólnopolskich mediów rozpisywało się ze szczegółami o tragicznie zakończonej bijatyce. Osilek, którego stopę Dorian przybił gwoździem do podłogi, co prawda przeżył i jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo, ale zginął jeden z ultrasów pobitych przez chuliganów, pozostali natomiast mieli wiele poważnych obrażeń. W relacjach mnóstwo miejsca poświęcano udziałowi w tym wydarzeniu wciąż niezidentyfikowanego osobnika z dwiema twarzami, ale jak wcześniej narracja na temat jego działalności była raczej pozytywna, tak teraz opinie wyraźnie się podzieliły. Podkreślano, że nie zapobiegł ani brutalnemu pobiciu, ani śmierci chłopaka, choć mógłby, gdyby nie skupił się na samodzielnym wymierzaniu sprawiedliwości chuliganowi, którego potraktował nie mniej brutalnie niż on i jego kumple kibiców przygotowujących oprawę. Oliwy do ognia dołał ultras, który widział całe zajście i streścił je ze swojej perspektywy. Nie wypowiadał się jednak o porachunkach między skonfliktowanymi grupami, ale wyłącznie o Dorianie, który według niego nie

pomógł w kluczowym momencie. Wywiad z nim przeprowadził portal internetowy Great.pl.

*– Próbowałem zwrócić jego uwagę, pokazywałem, błagałem go, żeby pomógł Pawciowi, ale on zajął się tym gorylem, jakby to było wtedy najważniejsze. Przybił mu stopę gwoździem do podłogi.*

*– W jaki sposób to zrobił? - dopytał dziennikarz. - jakiego narzędzia?*

*– Nie! To wyglądało tak, jakby ten gwoździec... wypluł? Tak bym to opisał. Zaczął dusić tego gościa i coś do niego mówić. Nie reagował na mnie, choć krzyczałem z całych sił. Puścił go dopiero wtedy, gdy jeden z policjantów powiedział, że zaczną do niego strzelać.*

Czytając to, Dorian zacisnął pięści. Co prawda nie mógł stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że któryś z ultrasów wołał do niego już wcześniej, a on to zignorował, ale był przekonany, że gdyby to była prawda, zareagowałby. Chłopak ewidentnie podkoloryzował rzeczywistość.

*– Czyli - podjął dziennikarz - wołał torturować tego mężczyznę, zamiast pomóc?*

*– Nie jestem ekspertem od tortur, ale tak to wyglądało. Jakby czerpał z tego przyjemność.*

W przeciwieństwie do komentatorów wątpliwości co do współudziału Dorian w tragedii nie miała stołeczna policja. Wszystkie media opublikowały jej apel o pomoc w ustaleniu tożsamości osobnika, który skutecznie w mieście samosąd i, jak się wyraziła, doprowadził do śmierci młodego kibica.

„Czyli chuligana, który pobił go bejsbolem?” - pomyślał ze złością Dorian.

Zamknął artykuł, odchylił się na krześle i spojrzał na sufit, zakładając ręce za głowę. Myśli kotłowały się w nim jedna za drugą, a w okolicach mostka czuł nieprzyjemny ciężar podobny do tego, gdy jako ksiądz czytał lub słuchał opinii ludzi wrzucających wszystkich kapłanów do jednego - złego - worka.

Nigdy nie rozważał ubocznych konsekwencji ukrywania swojej tożsamości. Wydawało mu się to naturalne i jakże wygodne, pozwalało spokojnie funkcjonować w społeczeństwie jako Dorian Wach, nic nieznaczący młody ksiądz na urlopie, który może wyjść na ulicę, nie zwracając prawie niczyjej uwagi. Tymczasem pilnując anonimowości, znajdował się w potrzasku. Każde medium mogło pisać o nim, co tylko chciało, mogło dowolnie naginać rzeczywistość, a nawet kłamać, a on nie mógł nic z tym zrobić. Nie był w stanie wytoczyć procesu o zniesławienie, bo wtedy musiałby się ujawnić. Każdy portal internetowy przełknąłby taką przegraną sprawę, z której odszkodowanie odzyskałby

z nawiązką dzięki kliknięciom, jakie Dorian wówczas by mu zapewnił. Decydując się na bezimiennosc, tak naprawdę zrzekł się części ważnych praw, których znaczenie zaczynało do niego docierać dopiero teraz. Gdy nadepnął na odcisk wielu wpływowym gangsterom, kibolom i policji, która go szukała. Gdy było już za późno.

Zamknął oczy, obiecując sobie, że już nigdy nie popełni podobnego błędu i nie da więcej okazji mediom, by pisały i mówiły nieprawdę na jego temat. Zero-jeden. Każdy, kto będzie potrzebował jego pomocy, zawsze ją otrzyma. A każdy człowiek, który krzywdzi innych, zostanie złapany.

I ukarany.

Kiedy pomyślał o tym ostatnim, jeszcze raz zacisnął pięść.

\* \* \*

Kilka dni po zdarzeniach na Pradze Beata Konkel odprowadziła pacjentkę do drzwi swojego mieszkania. Ania przychodziła do niej regularnie od czterech lat i choć na początku wymagała wiele terapeutycznej pracy, teraz ich spotkania przypominały bardziej sympatyczne rozmowy z rodzaju „co słyhać”. Nawet przeszły na „ty”, lecz z zachowaniem należytego dystansu przy takiej relacji, w której profesjonalizm wymagał, by nigdy nie przekroczyć pewnej granicy bliskości. Beata zawsze cieszyła się, gdy udawało się jej doprowadzić pacjenta do lepszego stanu, bo to znaczyło, że jej praca daje efekty.

– Zaczęłaś nosić soczewki? - zapytała, zwróciwszy uwagę na to, że kolor oczu Ani wydaje się trochę inny niż podczas poprzedniej wizyty. Jakby bardziej wyrazisty. Zdecydowanie dodawał jej uroku.

Ania się uśmiechnęła.

– Wreszcie zauważyłaś! Prezent od męża na rocznicę. Zerówki podkreślające kolor. Świetna sprawa! Nie myślałaś o tym, żeby samej sobie sprawić?

– Tak, ale niezbyt interesowałam się tematem.

– Kochana, powinnaś! Po co nosić te ciężkie okulary? - Wskazała grube czarne oprawki na nosie Beaty. - Mogą się zbić i zrobić ci krzywdę. A tak możesz jeszcze się upiększyć! Mój Piotrek wręcz zrobił się zazdrosny, bo tylu chłopów zaczęło się

za mną oglądać! Nie ma co się zastanawiać. Może dzięki temu wreszcie znajdziesz sobie faceta.

Ostatni fragment wypowiedzi Ani utwierdził Beatę w przekonaniu, że warto nie ciągnąć tematu, więc nie skomentowała.

– Nie trzeba - powiedziała, kiedy się zegnały i Ania wyciągnęła w jej stronę pieniądze za wizytę.

– Beatko, nalegam! Źle się z tym czuję.

Beata odsunęła jej dłoń.

– Zatrzymaj to i kup coś fajnego mężowi. Daj mu jakiś prezent bez okazji. Zobaczysz, że taka miła niespodzianka sprawi mu ogromną przyjemność.

Ania kiwnęła głową.

– Masz rację. Piotrek zawsze daje mi takie prezenty, a ja trochę zapominam się odwdziaczyć i okazać, jak bardzo to doceniam. - Schowała banknoty do portfela. - Dziękuję. Jestem ogromnie wdzięczna, że cię spotkałam.

– Nie ma sprawy.

– Słyszałaś o tym dziwnym facecie, który ostatnio grasuje po Warszawie? - zapytała, wkładając buty. - Mówią, że to taki nasz superbohater.

– Słyszałam.

– I co o tym sądzisz?

– Nie podobają mi się metody jego działania.

– Nie? - zdziwiła się Ania. - Słyszałam, że wzbudza prawdziwy popłoch wśród bandytów. Areszty pękają w szwach, a wielu uciekło z miasta. Niby mnie to nie dotyczy, ale jakoś tak dobrze czytać, że pojawił się ktoś, kto wziął ich wszystkich za mordę.

– Tak, ale gdyby ograniczał się tylko do ich łapania, byłoby jeszcze pół biedy. Sam wymierza sprawiedliwość. Czytałam, że jednemu chłopakowi przybił stopę gwoździem do podłogi.

– I tak łagodnie go potraktował - stwierdziła stanowczo Ania. - Też o tym czytałam. Podobno to była jakaś awantura z kibolami i ten chłopak był chuliganem.

– Według ciebie to coś zmienia?

– Kochana, oczywiście! Takie bydlę trzeba trzymać krótko! Od dawna jestem zdania, że powinno się dać policji uprawnienia, żeby do nich strzelali. Podczas tych wszystkich awantur na stadionach traktuje się ich zbyt pobłażliwie. Może teraz chociaż będzie porządek.

Beata posmutniała i nie odpowiedziała. Jednak myślała się co do Ani. Jednak nie była jeszcze do końca zdrowa, jeżeli chodzi o psychoterapię.

– Żeby tak zabrał się za polityków, to już w ogóle byłoby pięknie... - rozmarzyła się Ania. - No nic, bardzo ci dziękuję! Do zobaczenia!

Wyszła z mieszkania, a Beata zamknęła za nią drzwi. Westchnęła głęboko i wróciła do dużego pokoju. Zasiadła przed komputerem, lecz zaraz zadzwonił jej służbowy telefon. Tak nazywała ten, którego numer podawała w Internecie. Teraz dzwoniła do niej osoba, której nie miała zapisanej w kontaktach.

– Tak, słucham?

Przez moment odpowiadała jej cisza.

– Dzień dobry... - Dzwoniący chrząknął. - Czy rozmawiam z panią Beatą Konkel? Psycholożką?

– Tak, przy telefonie.

Mężczyzna znowu milczał przez kilka sekund, lecz w końcu powiedział:

– Chciałbym umówić się na wizytę.

– Był pan już u mnie?

– Nie, to byłby pierwszy raz.

– Rozumiem. Nie ma problemu. Pierwsze wizyty zawsze odbywają się w gabinecie, w przychodni na Rembielińskiej.

– Wie pani, bardzo zależałoby mi na dyskrecji.

– O to nie musi pan się martwić - odpowiedziała uprzejmie i uniosła kąciki ust. Jej zdaniem uśmiech dało się usłyszeć w głosie. - Sekrety, jakie zdradzają mi pacjenci, nie wychodzą poza mój gabinet. Zresztą wymaga tego ode mnie prawo,

– Tak, ale... chodzi mi bardziej o to, że...

– Jest pan osobą publiczną? - domyśliła się Beata, dla której podobna rozmowa nie była pierwszą.

Znowu ta sekunda ciszy więcej, niż normalnie wymagałoby zastanowienie się nad odpowiedzią na to pytanie.

– Tak - potwierdził cicho mężczyzna. - Bardzo zależałoby mi na tym, żeby nikt się nie dowiedział, że się z panią spotkałem.

– Na pewno nie dowie się tego ode mnie. Natomiast proszę o zrozumienie, że ze względów bezpieczeństwa pierwszą wizytę pacjenta zawsze muszę odbyć w miejscu publicznym. Za zamkniętymi drzwiami, ale jednak. To normalna procedura u psychologów. Wie pan, trzeba się najpierw zobaczyć, wyczuć, no i zaufać. Może być tak, że to panu ze mną nie zaiskrzy i to pan podejmie decyzję, że więcej się nie spotkamy.

– A nie dałoby się w jakimś dyskretniejszym miejscu niż przychodnia? Chociaż w jakimś mniej zatłoczonym...

– Spróbuję zapytać koleżankę, która prowadzi prywatny gabinet lekarski, i oddzwonię, dobrze?

– Dobrze, dziękuję.

Beata zadzwoniła do znajomej i otrzymała zielone światło, oczywiście pod warunkiem, że danego dnia i o danej godzinie gabinet będzie wolny. Oddzwoniła do mężczyzny, podała mu adres i umówili się za tydzień na siedemnastą.

– Bardzo dziękuję - rzeki. - Do zobaczenia.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak mam sobie pana zapisać. Samo imię wystarczy.

Cisza.

– Tym... - Jeszcze jedno chrząknięcie. - Przepraszam, Dawid.

– Dawid... Bardzo ładnie - powiedziała, stosując tradycyjną metodę podnoszenia pacjenta na duchu, polegającą na subtelnych, małych, ale jak najbardziej szczerych komplementach.

– Dziękuję, pani również ma ładne imię.

Uśmiechnęła się. Chyba jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by ktoś skomplementował akurat to. A już zwłaszcza pacjent i to na tym etapie znajomości.

– Bardzo mi miło. Do zobaczenia za tydzień, panie Dawidzie!

– Do widzenia!

Odłożyła telefon. Zwracała dużą uwagę na pierwsze wrażenie, jakie wywierali na niej ludzie, nawet jeżeli jej interakcja z nimi ograniczała się jedynie do

rozmowy na odległość. Wyczuła w głosie tego mężczyzny dobroć, ale jednocześnie problem, z którym nie potrafił sobie poradzić. Może związany z byciem osobą publiczną? Beata wiedziała, że życie takich ludzi, wbrew temu, co mogą sądzić inni, wcale nie jest tak różowe, jak wygląda. Nie doceni prywatności ten, kto nigdy jej nie stracił. Nie zrozumie presji społecznej ten, kto nigdy nie musiał jej sprostać.

Bez względu na to, kim był ten człowiek i co go uwierało, zamierzała mu pomóc.

# ROZDZIAŁ XXIV

– Dzień dobry!

– Dzień dobry. - Dorian nawet nie silił się na udawanie uprzejmego tonu. Był w podłym nastroju. Owszem, miał ogromną ochotę porozmawiać z kimś o tym, co dzieje się w jego życiu, ale z oczywistych względów nie mógł tego zrobić, co dopisał do długiej listy niedogodności, z jakimi wiązała się jego misja. Musiał przetrwać problemy w samotności i ciszy własnego umysłu. A tych było sporo.

Chociaż wciąż nie udało mu się wpaść na trop Zeta, starał się regularnie oczyszczać miasto z pozostałych w nim bandytów i pseudokibiców, a ostatnio również zabrał się za przestępców gospodarczych, co poskutkowało kolejnymi zatrzymaniami. I choć już nie naraził nikogo na śmierć, w ogóle starał się postępować mniej brutalnie, minimalizując ewentualne obrażenia swoich przeciwników, media w ogóle przestały skupiać się na pozytywach jego działań, za to eksponowały z nich wszystko, co najgorsze. Z jednej strony zapewniało to Dorianowi rozgłos i potęgowało strach wśród bandytów, z drugiej - wciąż był poszukiwany przez policję. Przedstawiano go wręcz jak potwora w ludzkiej skórze, co musiało odbić się także w komentarzach zwykłych internautów na jego temat, które nie były już tak entuzjastyczne jak na początku; ba, wydawało się wręcz, że więcej było tych negatywnych. Czytał artykuły, w których wszystko zdawano się przekreślać na jego niekorzyść, z nagłówkami, w których królowały chyba wszystkie pochodne słów „skandal”, „szok”, „terror” i „przemoc”. Narastała w nim złość połączona z frustracją.

Czy nikt nie mógł spojrzeć na tę sytuację z jego punktu widzenia? Nie mogli zaprosić do rozmowy jakiegoś eksperta, który potwierdziłby, że sposób, jaki



wybrał na walkę z przestępcami, może nie jest do końca moralny, ale za to najskuteczniejszy, o czym świadczyły rezultaty? Choć różniło się, na czym z grubsza polegają jego zdolności, dziennikarze jakby tego nie zauważali. W relacjach z kolejnych zdarzeń z jego udziałem pomijali fakt, że nie polował na przypadkowych ludzi, a wyłącznie na takich, którzy mieli coś na sumieniu. Jakby nic nie rozumieli albo robili to celowo. Gdyby widzieli to samo co on, gdyby też mieli wgląd w mroczne sekrety ludzi i na własnej skórze przekonali się, że świat w rzeczywistości jest nawet gorszy, niż codziennie opisują, może potrafiliby spojrzeć na to inaczej.

– Co słychać? - zapytała pani Irena, wrywając go z zamyślenia. - Jak się ksiądz czuje?

Westchnął cicho. Także dlatego, że odczuł niewyjaśnioną niechęć, gdy zwróciła się do niego w ten sposób. Tyle się ostatnio działo, że z jego perspektywy, od kiedy przerwał posługę, minęły lata.

– Czuję się świetnie. A od wczoraj nie wydarzyło się nic nowego. Proszę wybaczyć, ale trudno mi odpowiadać na to pytanie czymś błyskotliwym i zaskakującym, kiedy dzwoni i pyta pani codziennie.

– Przepraszam, nie chcę być namolna. Po prostu martwię się i...

– To bardzo miłe, ale jestem dorosły i naprawdę świetnie sobie radzę.

– Dobrze się ksiądz odżywia? Gotuje sobie?

– Tak, nie ma powodu do obaw - skłamał Dorian. Od kiedy wyprowadził się z plebanii, odżywiał się wyłącznie daniami gotowymi i mrożonkami z Biedronki.

– Jest dziś ksiądz zajęty? Pomyślałam, że może wpadłby ksiądz do nas na obiad. Obiecał ksiądz, że nas odwiedzi... Oczywiście jeżeli to nie problem.

Właściwie odpowiedź na pierwsze pytanie była twierdząca. Planował wybrać się na kolejny zwiad po mieście pod ludzką postacią.

– Szczerze mówiąc, mam już plany na popołudnie.

– O, a co tak księdza zajmuje?

– To i owo. Różne prywatne sprawy.

– Kobieta?

Pani Irena starała się zabrzmieć, jakby żartowała, ale Dorian wyczuł w jej głosie drobny fałsz.

– Nie. Szymon też mnie o to pytał. Rozmawialiście na ten temat?

– Nie, ja tylko...

Skłamała. Nie musiał się do niej zbliżać, by to wiedzieć.

– Pani Ireno, naprawdę, jeżeli kapłan bierze urlop, nie znaczy to, że od razu zaczyna latać za spódniczkami! Chyba mnie pani zna.

– Przepraszam, nie chciałam księdza urazić. Po prostu jestem ciekawa, jak spędza ksiądz czas, a wie ksiądz, że mnie może powiedzieć wszystko.

Dorian wyobraził sobie, jak rozmawia ze staruszką o swoim podwójnym życiu. Że przemienia się na jej oczach i obserwuje jej reakcję, biorąc pod uwagę, jak ostatnio przedstawiano go w mediach. Nie, ona sama nie wiedziała, że istnieją tematy, których nie powinien przy niej poruszać.

– Wiem. Ale to nic szczególnego. I właściwie nic pilnego. Skoro pani zaprasza, chętnie wpadnę.

– Super! - usłyszał w jej głosie szczerą radość. - Planowaliśmy jeść tradycyjnie o trzynastej.

Dorian sprawdził godzinę. Uznał, że dobrze zrobi mu długi spacer. To oznaczało, że musiał zbierać się do wyjścia.

– Będę. Do zobaczenia!

– Do widzenia.

Wziął prysznic, ubrał się bardziej wyjściowo i pogrążony w myślach wyszedł z mieszkania. Wybrał taką trasę, by po drodze w miarę możliwości nie mijać zbyt wielu ludzi. Na plebanię dotarł po jakichś dwóch godzinach.

Pani Irena powitała Doriana w progu szerokim uśmiechem i nie zdążył zrobić nawet kroku, gdy mocno go objęła i przytuliła. Odwzajemni! uścisk, choć ze znacznie mniejszą siłą niż ona. Kiedy idąc tutaj, przeszedł obok kościoła, poczuł nieprzyjemne klucie pod mostkiem, które nie ustąpiło, ba - im dłużej obejmowała go staruszka, tym bardziej nabierało intensywności, zwłaszcza że krzyżyk, który nosiła na piersi, sprawiał mu ból. Kiedy wreszcie go puściła, poczuł ulgę.

Za nią stał Szymon, który również wyraźnie cieszył się, że go widzi. Ucisnęli sobie dłonie i skierowali się do kuchni. Dorian błogosławił fakt, że wisi tam tylko jeden krucyfiks, nad wejściem. W pomieszczeniu zastał księdza Mikołaja, którego kuria przysłała za niego na zastępstwo. Zrobił na nim złe pierwsze wrażenie. Dorian wyczuł, że to alkoholik, a jednocześnie jeden z tych kapłanów, którzy

podchodzą do wiary bardzo radykalnie, konserwatywnie i z którymi nie ma w tej kwestii pola do dyskusji. Prowadził lekcje religii w liceum i zdarzało mu się podnosić głos na młodzież, która wybitnie za nim nie przepadała.

– Nareszcie zje ksiądz porządny obiad! - zawołała dziarsko pani Irena i jako pierwszemu naląła potężny talerz zupy.

– Chyba już nie ksiądz - zauważył Mikołaj, a w jego głosie tylko pozornie kryła się uprzejmość. - W końcu odpoczywa na bezterminowym urlopie.

Dorian spojrzał na niego z miną niewyrażającą żadnych emocji i usiadł tyłem do krucyfiks nad drzwiami. Przez ostatnie dni praktycznie nie odpoczywał. Zwłaszcza w nocy. Zignorował jednak zaczepkę. Skupił się na zupie, która jak zwykle smakowała wspaniale. Nigdy by nie pomyślał, że tak bardzo będzie mu brakować kuchni pani Ireny. Święty symbol za jego plecami jednak wciąż wywoływał nieokreślony dyskomfort, jakby emanował jakąś energią.

– Przepyszne - zwrócił się do staruszki.

Uśmiechnęła się ciepło. Nie odrywała od niego wzroku, jakby chciała napawać się każdą sekundą jego obecności.

– Co słyhać? - zapytał Szymon.

– Wszystko super. A u was? Uspokoilo się trochę? Zdarzają się jeszcze jakieś incydenty?

– Ostatnio na szczęście w ogóle. Nawet dziennikarze dali nam spokój.

Dorian domyślił się, co mogło odwrócić uwagę mediów na tyle, że temat śmierci Klaudii Strzelczyk i potencjalnego zamieszania księdza Kropidłowskiego w morderstwo przestał być dla opinii publicznej tak elektryzujący, a co za tym idzie - nie zapewniał wystarczającej liczby wyświetleń lub kliknięć.

– Cieszę się - powiedział.

– To kiedy do nas wracasz?

Wszyscy wlepili w niego wzrok. Szymon i pani Irena wyczekująco, a Mikołaj z lekka prowokująco. On jednak spodziewał się tego pytania, od kiedy wiedział, że pojawi się na tym obiedzie.

Nabrał kolejną łyżkę zupy, ale nie spuścił wzroku.

– Jeszcze nie teraz.

– Wolność uzależnia, co? - zapytał Mikołaj, podczas gdy na twarzach pani Ireny i Szymona pojawił się zawód.

Dorian ponownie zignorował przytyk. Wniknął głębiej w przeszłość mężczyzny i wyczuł, że on też, już po święceniach kapłańskich, miał przygody z kobietami. Co prawda dawno temu, w młodości i niezakończone tak spektakularnie jak u niego, ale zawsze. Ledwo się powstrzymał, by tego nie skomentować.

Przy stole zapadła niezręczna cisza i wszyscy skupili się na swoich miskach z zupą. Mikołaj w pewnym momencie zerknął na zegarek i odłożył łyżkę.

– O! Już czas!

Wstał od stołu i włączył mały telewizor, który stał w kuchni. Znajdował się tam również w czasach, kiedy Dorian pełnił posługę, ale jeszcze nigdy nie widział go włączonego w trakcie obiadu, śniadania czy kolacji. W myśl reguł, jakie w tym domu ustalił ksiądz Kropidłowski, wspólne posiłki były momentami, w których ludzie mieli się integrować i rozmawiać, a wszelkie rozpraszacze, nawet takie jak telefony, były niemile widziane. Dorian zerknął na panią Irenę i Szymona. Po ich minach już wiedział, że nowy mieszkaniec plebanii zachowuje się tak nie po raz pierwszy.

– *W tym momencie powinno paść pytanie, czy działalność tak zwanego superbohatera należy już klasyfikować jako terroryzm...*

Dorian ledwo uniknął zakrztuszenia się zupą i kaszlnął. Spojrzał na ekran telewizora: w prawym górnym rogu widniało logo GreaTV - największej obok Polsatu i TVN-u prywatnej stacji telewizyjnej w Polsce. Nadawano w niej program publicystyczny, w którym na temat obecnej sytuacji w Warszawie wypowiadały się gadające głowy.

– Znowu o tym szaleńcu! - zawołał Mikołaj. - Jeszcze trochę i wyjdzie z lodówki!

– Słyszał ksiądz o nim? - pani Irena zwróciła się do Dorigana.

– Słyszałem - odpowiedział, siląc się na obojętność. - Podobno robi wiele dobrego.

– On? - zapytał Mikołaj, a w jego głosie kpiąca nuta łączyła się z niedowierzaniem. - A raczej: to? Chyba żartujesz.

– Dzięki niemu złapano wielu groźnych przestępców - powiedział Dorian, czując, że wzrasta w nim ciśnienie. Krucyfiks za nim zdawał się żarzyć, jakby znajdował się tam ogromny, rozgrzany do czerwoności kawałek metalu. Dorian

zaczynał się pocić. - Czytałem, że wskazywał też miejsca ukrycia uprowadzonych, skradzionych przedmiotów i narkotyków.

- A jak myślisz, skąd to wszystko wiedział? - zapytał Mikołaj.

- Nie wiem. Czy to ważne?

- Ważne, bo jeżeli naprawdę wskazywał policji dziuple, to znaczy, że należy do tego środowiska i stąd tak dużo wie o tym, co dzieje się w środku. Sam jest przestępcą, który rozlicza porachunki i psuje interesy dawnym kolegom. Jakoś trudno mi uwierzyć w nagłe nawrócenie.

- Zwłaszcza że jednej osobie przybił stopę gwoździem do podłogi - zauważył Szymon.

- A to nie był przypadkiem pseudokibic? - zapytał Dorian, któremu z coraz większym trudem przychodziło opanowywanie emocji. - Przywódca grupy chuliganów, którzy pobili normalnych kibiców, a jeden przez to zginął?

- To go nie usprawiedliwia - stwierdził mentorskim tonem Mikołaj. - To już nie te czasy, by stosować prymitywne metody w stylu oko za oko. Nie bez powodu je zmieniono i ucywilizowano. Jeżeli chcemy ich powrotu, cofamy się do epoki kamiennej.

- Czy ma ksiądz jakiegokolwiek pojęcie o psychologii? - zapytał cierpko Dorian. - Nie wie, że strach jest jedynym narzędziem wywierania wpływu na najbardziej zdegenerowane jednostki? Nic innego nie zdaje egzaminu.

- Jest też coś takiego jak resocjalizacja.

Dorian przypomniał sobie, co czytał w spotykanych gangsterach, i na myśl o tym, że mieliby się poddać temu procesowi, parsknął śmiechem.

- Są ludzie, na których resocjalizacja nigdy nie zadziała. Nawet w więzieniach będą się organizować, tworzyć nowe grupy przestępcze. Strach zawsze odnosi skutek i to widać nawet po tym, co wyczynia ten osobnik. Bandyci się go boją, uciekają z miasta. Wzbudza coraz większy respekt. O to chodzi. Żeby źli ludzie mieli świadomość, że wszystko, co zrobią, zostanie odkryte i ukarane. To sprawi, że nie będą tego robić. - Spojrzał na panią Irenę, szukając u niej poparcia w dyskusji.

- No nie wiem... - wymamrotała.

- Zaprzeczy pani, że na takich prymitywów zadziała jedynie strach?

– Zgodzę się, ale nie jestem przekonana do tej metody w tym konkretnym przypadku. Bo to tak, jakby ktoś miał monopol na decydowanie o tym, co jest dobre, a co złe.

– O to, to! - Mikołaj kiwnął z uznaniem głową i wskazał staruszkę łyżką. - Dobrze pani mówi! Nie można skupiać władzy w jednych rękach. Zwłaszcza ludzkich. Zbyt dużo pokus, by jej nadużywać. W historii świata jeszcze nigdy nie skończyło się to dobrze.

– Przecież ten osobnik nie nadużywa żadnej władzy! - zawołał Dorian. Zacisnął dłoń na łyżce tak mocno, że ta trochę się wygięła, a do zupy spłynęła mu z czoła kropla potu.

– Jak to nie? - zapytał Mikołaj. - Zobacz: nie są w stanie go złapać, więc może czuć się bezkarny. Nie przestrzega prawa, interpretuje je według własnego uznania. Sam decyduje o tym, kogo tym razem zaatakuje i jaką da mu nauczkę. To bardzo niebezpieczne.

– Nie, jeżeli człowiek, który za tym stoi, jest prawdziwie, szczerze dobry, wierzy w jakieś idee i naprawdę chce zmienić świat na lepsze.

Mikołaj parsknął kpiącym śmiechem.

– Prawdziwie, szczerze dobry? Czyli jaki? Jak to zdefiniujesz?

– Bardzo dziwne pytanie jak na kogoś, kto jest katolickim kapłanem - wycedził Dorian.

– Dobra, myślę, że to odpowiedni moment, by postawić kropkę i... - Szymon próbował wciąć się w ich dyskusję, ale Mikołaj zignorował go, wciąż skupiając się na Dorianie.

– No właśnie. Skoro już przy tym jesteśmy, to przypomnisz mi, które przykazanie jest uznawane za najważniejsze? Czy na urlopie już o nim zapomniałeś?

Dorian zmarszczył brwi. Czuł, że jeszcze moment i wybuchnie.

– Według ciebie on się do niego stosuje? - Mikołaj wskazał ekran. - Według ciebie świat teraz jest lepszy, gdy ludzie są przerażeni? Poczytaj sobie komentarze w Internecie, to będziesz wiedział, co o nim sądzą.

– Komentarze w Internecie są pisane przez ludzi zmanipulowanych przez media. Jak dla mnie powinni się bać tylko ci, którzy mają coś na sumieniu.

– A ty się nie boisz? Nie masz niczego na sumieniu? Czy jesteś na tyle pyszny, aby sądzić, że jesteś bez grzechu? Albo że twoje pojęcie dobra jest jedyne właściwe?

– A może twoje, pijaku?! - krzyknął Dorian, wstając gwałtownie od stołu. Spowodowało to wszystko po trochu: zarówno irytująca dyskusja, w której brał udział wbrew swojej woli, jak i ten cholerny krucyfiks za nim. Nie mógł już go znieść. - Młodzieź, którą uczysz religii, cię nie znosi! Mądrzysz się, pouczasz, stawiasz się w pozycji nie wiadomo kogo! I ty wypowiadasz się na tematy społeczne?!

Mikołaj spojrział na niego ze zdziwieniem, a mina wyraźnie mu zrzędła. Dorian drżał na całym ciele i zaciskał pięści, wpatrując się w adwersarza ze wściekłą miną. Pani Irena i Szymon zaś patrzyli na niego z zaskoczeniem. Zasadnym. Taki wybuch jeszcze nigdy nie zdarzył mu się w ich towarzystwie, nawet gdy jego psychika nie wytrzymywała sytuacji z Ewą i Gosią i miewał z tego powodu gorsze dni.

– Spokojnie, chłopie... - Mikołaj uniósł rękę.

– Nie jestem z tobą na „ty”!

– Ochłoń i nie rób scen! Jesteś tu gościem.

– Na pewno nie twoim!

Dorian spojrział na Szymona i panią Irenę. Wyczuł w nich obawę spowodowaną swoim gwałtownym zachowaniem. Wyczuł, że im również się ono nie podoba, tylko mają więcej instynktu samozachowawczego, by milczeć i nie zaogniać sytuacji. I po raz pierwszy ubolewał, że ma zdolności, które pozwoliły mu się tego dowiedzieć. Spuścił wzrok i westchnął głęboko.

– Przepraszam. Było bardzo smaczne. Dziękuję za zaproszenie -mruknął i wymaszerował z kuchni.

– Proszę księdza! - usłyszał za sobą głos pani Ireny, ale się nie zatrzymał. Źle się czuł od samego przebywania w tym miejscu i był wkurzony. Zarówno na nich, że nic nie rozumieli, jak i na siebie, że dał się wyprowadzić z równowagi. Za dużo naczytał się ostatnio o sobie oszczerstw i negatywnych komentarzy, a kolejne, które padły poniekąd z ust osób, które lubił i szanował (i nie miał tutaj na myśli tego dupka w sutannie), sprawiły, że została przekroczona pewna granica. Zresztą, sądząc po tym, co wyczuł w Szymonie i pani Irenie, nawet gdyby wrócił,

atmosfera przy obiedzie byłaby daleka od choćby poprawnej, więc dla dobra wszystkich należało opuścić ten dom.

Gdy oddalił się od terenu parafii, poczuł się wyraźnie lepiej, jakby przyjął błyskawicznie działającą tabletkę przeciwbólową. Oczywiście potem próbowali się do niego dodzwonić, ale odrzucał połączenia i w końcu napisał SMS-a, że przeprasza, ale tak będzie lepiej i niech emocje trochę opadną.

Spacerował przez Bielany, próbując oczyścić umysł, ale uświadomił sobie, że przychodzi mu to z pewnym trudem. Wszystko przez zew, który bezustannie odbierał wokół siebie. Ten sam co zawsze, słabszy niż jeszcze kilka lub kilkanaście dni temu, ale wciąż obecny, z najbliższym ogniskiem jakieś czterysta metrów dalej. Zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie ten sygnał również odpowiada za jego nastrój. Dokuczał mu niczym szum uszny, którego nigdy tak naprawdę nie można do końca się pozbyć.

Okazało się, że dobiegał z niedalekiego przystanku autobusowego, na którym Dorian zastał grupę osób. Między innymi wyłysiałego, szczupłego i niezbyt atrakcyjnego młodego mężczyznę w okularach, z trądzikiem, przetłuszczonymi, rzadziejącymi włosami i wąsami. Wciąż mieszkał z rodzicami i miał potężne kompleksy z powodu swojego wyglądu. Regularnie odwiedzał strony pornograficzne z gorącymi nauczycielkami. Obok niego stała dziewczynka, która wracała od koleżanki i bała się lania od porywczego ojca, bo pobrudziła nowiutką sukienkę. A jeszcze dalej młoda para trzymająca się za ręce. Przytulali się, ale Dorian wiedział, że chłopak zdradza dziewczynę z jej najlepszą przyjaciółką.

Stanął za nimi i czytał dalej. Przystojny młodzieniec miał w swoim życiu już wiele partnerek, pomimo młodego wieku nabrał doświadczenia w tej materii i wiedział, jakich słów używać, aby owinać sobie niedoświadczone życiowo dziewczyny wokół palca. Zmieniał je jak rękawiczki i zostawiał ze złamanym sercem średnio po dwóch miesiącach. Jedna zdążyła w tym czasie nawet wytatuować sobie w serduszku ich imiona. I to wtedy, gdy chłopak wiedział, że niedługo ją zostawi. Mimo to nie odwiódł jej od tego pomysłu choćby delikatną sugestią.

Dorian odruchowo zacisnął pięści i zmarszczył brwi. Kiedy para wsiadła do autobusu, poszedł za nimi i usiadł zaraz za ich plecami, nie dbając o to, że pojazd nie jedzie w kierunku Ursusa. Czytał coraz więcej występków chłopaka, z permanentnymi kłamstwami na czele. Z beczelnym igraniem emocjami tych



biednych dziewczyn i całkowitym brakiem empatii. Złość, która kumulowała się w nim od momentu, gdy przeczytał pierwszy oszczerczy artykuł na swój temat, przekroczyła kolejny poziom.

„Już nigdy nie popełnię podobnego błędu i każdy, kto będzie potrzebował mojej pomocy, zawsze ją otrzyma - przypomniawszy sobie niedawne postanowienie. - A każdy człowiek, który krzywdzi innych, zostanie ukarany”.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, nie spuszczać tych dwojga z oka. A kiedy usłyszał, że tematem ich rozmowy stała się postać o dwóch twarzach grasująca ostatnio po Warszawie, uśmiechnął się pod nosem. W żadnym razie nie życzliwie.

\* \* \*

Jakiś czas później Maciek, bo tak miał na imię chłopak, pożegnał się z Jowitą i niemal natychmiast pomaszerował na spotkanie z Patrycją, jej przyjaciółką. Ta druga wiedziała, że jej chłopak na razie gra na dwa fronty, ale zapewniał, że dla niego liczy się wyłącznie ona. Obiecywał, że niedługo rozstanie się z Jowitą i obejdzie się bez dramatycznych scen. Dalej będą się przyjaźnić, chociaż nie robiło mu to żadnej różnicy. Liczył nawet, że zmienią tę relację na *friends with benefits*. Jeżeli Jowicie taki układ przypasuje, to super; jeżeli nie, a Patrę będzie dręczyć sumienie - trudno. W liceum było jeszcze mnóstwo lasek, które miały na niego ochotę. Nie przeszkadzała im jego łaska kobieciarza. Chyba naiwnie wierzyły, że go ulecą. Że będą miały swojego drania, którego zmieni ich miłość.

Skręcił w boczną uliczkę.

– Cześć! - rozległo się za nim.

Odwrócił się i zobaczył mężczyznę. Nie widział go za dobrze, bo ten stał pod słońce. Jedyne, co można było o nim powiedzieć, to że miał nastroszone włosy, był szczupły i miał mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu.

– Cześć...? - odpowiedział pytającym tonem.

Mężczyzna podszedł powoli z rękami w kieszeniach. Miał kruczoczarne włosy i ostre rysy twarzy. Uśmiechał się, szczerząc zęby, a Maćkowi skojarzyło się to z uśmiechem klauna z filmu *To*.

– Gdzie idziesz? - zapytał uprzejmie nieznajomy.

– Sorry, ale znamy się?

Maciek bawił się na wielu imprezach i nie liczył, ilu ludzi poznawał, a potem szybko zapominał ich imiona. Jednak przyjrzał się lepiej rozmówcy i stwierdził, że nigdy nie zapominałby takiej twarzy. Była dosyć... charakterystyczna. Powiedziałby wręcz, że świadcząca o jakiejś genetycznej anomalii.

- Trochę tak.

Nie wiedział, jak zinterpretować tę odpowiedź. Tak czy inaczej, wydała mu się dziwna. Uznał, że nie ma sensu tego drążyć.

- Spieszę się i nie mam zbyt dużo czasu teraz gadać. Na razie! - Odwrócił się i przyspieszył kroku, lecz nagle poczuł, jak coś chwyta go za fraki, obraca i popycha na ścianę. Uderzył o nią plecami, a mężczyzna złapał go za poły koszuli i unieruchomił. - O co chodzi?! - krzyknął Maciek, próbując się uwolnić. - Zostaw mnie! Ratunku!

Był zaskoczony sprawnością i siłą napastnika, który wydawał się mniejszej postury niż on. Mężczyzna zlustrował go od stóp do głów, wciągając powietrze nosem, jakby próbował wyczuć jakiś zapach.

- Jak ci nie wstyd, gnoju... - Jego głos ledwo słyszalnie dopełnił drugi, głęboki i basowy. - Wykorzystywać biedne dziewczyny jak lalki z sex shopu.

- Nie wiem, o czym... - zaczął Maciek, ale nieznajomy przyciągnął go do siebie, po czym ponownie uderzył jego plecami o ścianę.

- Wiesz, ile łącznie ich było? - zapytał. - Dwadzieścia trzy. Wszystkie je mamieś, oszukiwałeś, zapewniałeś bez mrugnięcia okiem, że to te jedyne, nawet wtedy, gdy wiedziałeś, że zaraz z nimi zerwiesz. Zdarzyło się nawet, że ostatnią wiadomością, jaką twoja dziewczyna od ciebie dostała, było: „Nigdy cię nie zostawię i nie zdradzę”. Potem zniknąłeś i nigdy więcej się nie odezwałeś. Nie miałeś wyrzutów sumienia, w końcu to była tylko internetowa znajomość z szesnastolatką. Ćwiczyłeś na niej nowe teksty na podryw.

Maciek był zszokowany.

- Co?! Skąd...?

- Gardzę takimi jak ty - syknął mężczyzna. - Dlatego wiesz, co teraz zrobisz? - Wyciągnął mu z kieszeni telefon. - Zadzwonisz do dziewczyny, z którą właśnie się spotkałeś, i poinformujesz ją, że ją zdradzasz. Nie, że z nią z r y w a s z . Że ją z d r a d z a s z . Przyznasz się do wszystkiego i przeprosisz.

Maciek wpatrzył się w smartfona, nie będąc w stanie logicznie myśleć. Jeszcze nie w pełni dotarł do niego absurd sytuacji, że ten dziwny facet zna go na tyle dobrze, by zliczyć wszystkie dziewczyny, którym dał kosza.

– Nie!

– Nie masz wyboru. - Rysy twarzy tamtego jeszcze bardziej się wyostrzyły, a jego oczy stały się zupełnie czarne. Wyszczerył ostre zębiska. Dłoń, w której trzymał komórkę, powiększyła się, a z palców wyrosły czarne, sztyletowe pazury.

Maciek, oniemiały i przerażony, dopiero wtedy zrozumiał, z kim tak naprawdę ma do czynienia. I paradoksalnie trochę się rozluźnił.

– Czy ty jesteś...? - zaczął, ale mężczyzna ponownie przyciągnął go do siebie, po czym uderzył nim o ścianę, co na moment pozbawiło chłopaka tchu. - O co ci chodzi?! - zawołał rozpaczliwie. - Czytałem o tobie! Słyszałem, że ścigasz przestępców! I to jest super! Jestem po twojej stronie!

– Ty? - zapytał kpiąco mężczyzna. - Po mojej stronie nie ma ludzi, którzy wykorzystują innych i bawią się ich uczuciami.

– Przecież ja nie bawię się niczymi uczuciami! Do niczego ich nie zmuszam! Naprawdę nie masz kogo łapać? Ja jestem dobry, rozumiesz? Dobry!

Pożałował swoich słów, jeszcze zanim dokończył wypowiedź. Mężczyzna spojrzał na niego z tak drapieżną wściekłością, że Maciek autentycznie przeraził się, że zaraz zostanie pożarty.

– Dobry, powiadasz?

Nie wiedział, co się dzieje. W jednym momencie stał normalnie na nogach, a w drugim był ciągnięty brutalnie za koszulę, objął się stopami o ceglana ścianę, chodnik zaś z każdą sekundą niebezpiecznie się oddalał. Czuł nieprzyjemną lekkość w żołądku, jakby nagle złapał go potężny ptak. Chciał krzyknąć, ale nie zdążył. W następnej chwili wisiał kilkanaście metrów nad uliczką, trzymany za ubranie przez napastnika, który stał na skraju poziomego dachu.

– Co ty robisz?! - wrzasnął przerażony.

– Gdybym teraz cię puścił - mężczyzna poluźnił uścisk - świat nic by nie stracił. Zginąłby tylko kolejny adonis, który krzywdzi kobiety, i już żadna by przez ciebie nie cierpiała. Co ty na to?

– Nie puszczaj! - krzyknął Maciek, próbując złapać go za przedramię. - Błagam! Już nie będę! Przysięgam!

– Słowa nic nie znaczą. Druga szansa. - Mężczyzna ponownie podsunął mu smartfona. - Ostatnia. Dzwonisz do niej i przyznajesz się do wszystkiego.

Maciek spróbował zachować trzeźwość umysłu, choć przyszło mu to z ogromnym trudem. Wyglądało na to, że nie ma wyboru i ten wariat naprawdę jest zdolny do tego, by zrobić mu krzywdę z tak błahego powodu. Jego oczy zaszkliły się łzami.

– Zrobię to! - załkał. - Zrobię, naprawdę, przyznam się, tylko błagam, postaw mnie...

– Postawię cię dopiero po wszystkim. - Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie. - Do roboty! Tylko nie upuść telefonu. Wiesz, że wyczuję, czy zrobiłeś to specjalnie.

Przerażony Maciek wziął od niego aparat i ścisnął go w dłoniach tak mocno, jakby stanowił uchwyt. Drżącymi palcami odblokował go i wybrał numer Jowity, starając się nie myśleć o kilkunastu metrach wolnej przestrzeni pod sobą.

– Głośnik - powiedział mężczyzna.

Maciek wykonał polecenie i obaj wsłuchiwali się w sygnał. Jowita odebrała po trzech sygnałach.

– Już tęsknisz? - zapytała zamiast powitania. Z jej głosu wprost biła słodycz.

Maciek wpatrzył się w napastnika, który gapił się na niego z pustym wyrazem twarzy i bez choćby jednego mrugnięcia.

– Cześć, kochanie... - zaczął, lecz gdy mężczyzna nim wstrząsnął, wrzasnął z przerażenia i ledwo zdołał utrzymać telefon w dłoniach.

– Skarbie? Co się dzieje? - zapytała z niepokojem Jowita.

– Ja... - Miał rwany oddech, a z jego oczu coraz obficie sływały łzy. Upokorzenie, jakiego doznawał, sprawiało mu niemal fizyczny ból. Raz jeszcze zerknął na napastnika, a potem dokończył z rezygnacją: - Zdradzam cię.

Przez jakiś czas odpowiadała mu cisza, ale w końcu Jowita zaśmiała się sztucznie.

– Skarbie, no co ty...? W sensie... Ty żartujesz teraz, prawda?

Maciek spojrział błagalnie na mężczyznę, ale ten pozostawał niewzruszony.

– Nie - zatkał.

– Jak to...? Przecież... To niemożliwe... Kto to jest?! - zapytała, każde kolejne słowo wypowiadając coraz głośniejsze i szybciej.

Maciek rozplakał się na dobre.

– Maciek!

– Tak, Maciek... - szepnął mężczyzna, świdrując go wzrokiem. - Powiedz jej wszystko. Całą prawdę.

Chłopak wciągnął powietrze i wydukał:

– Patra.

– Pa... Patrycja?! - wydobyło się z telefonu - Która?! Nie mów mi, że...

– Tak.

Przez kilka sekund ze smartfona dobiegało jedynie ciche łkanie, lecz zaraz Maciek usłyszał histeryczne:

– Ty chuju! Jak mogliście mi to zrobić?! Z moją najlepszą przyjaciółką?! Z nią?! Musiałeś to zrobić akurat z nią?! Jak długo?!

– Od początku - wycedził cicho mężczyzna, nie odrywając spojrzenia od Maćka.

– O-od począt-tku... - odpowiedział głośniejszym głosem Maciek zgodnie z prawdą.

Słyszeli płacz dziewczyny, przez który przebiło się w końcu:

– Przepraszam... Nie mogę teraz... Muszę... Jak mogłeś, ty...?

Przerwała połączenie.

– Dobra robota - pochwalił go mężczyzna i postawił na dachu, ale wciąż nie puszczał. Spojrzał Maćkowi głęboko w oczy. - A teraz słuchaj uważnie. Zerwiesz także z Patrycją. Nie skrzywdzisz jej. Nie powinienesz z nią być, skoro nie widzisz z nią przyszłości.

Po tym, jak jego stopy wreszcie na czymś stanęły, Maciek czuł taką ulgę, że ledwo zachowywał przytomność. Stał zgarbiony i gapił się na połąć dachu. Mężczyzna złapał go brutalnie za brodę i zmusił, by na niego spojrzał.

– Tak czy nie?

– T-tak...

– A potem już nigdy, przenigdy nie zwiążesz się z kobietą, jeżeli nie będziesz absolutnie pewien, że to ta jedyna.

– Łatwo panu mówić! Przecież tego nigdy nie można być pewnym!

– No to nie wiąż się z nikim - wycedził mężczyzna. - Nie zdradzisz już żadnej swojej partnerki, a będąc w związku, nawet nie spojrzysz na inną. Nawet nie

otworzysz zdjęcia w Internecie! Będziesz chodzić jak w zegarku. I nie myśl, że tego nie sprawdzę. Będę to wiedział. Mam wgląd w tajemnice każdego człowieka. I znajdę cię choćby na końcu świata.

Maciek przełknął ślinę.

– Powodzenia w szukaniu drogi zejścia - zapał złośliwie mężczyzna, wyrwał mu z dłoni telefon, po czym jak gdyby nigdy nic zeskoczył z budynku i po kilku sekundach zniknął za rogiem. Maciek drżał z emocji, śledząc go wzrokiem. Rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu pomocy i w końcu dojrzał klapę, którą można było opuścić dach. Próbował ją unieść, ale okazała się zamknięta na kłódkę od wewnątrz. Pokręcił głową, usiadł i kiedy na dobre dotarło do niego, w czym właśnie uczestniczył, znowu zaczął płakać.

Dorian wrzucił telefon chłopaka do ścieku, włożył ręce do kieszeni i pomaszerował dalej przez miasto, już pod swoją zwykłą, ludzką postacią. Był wściekły i nie rzucał słów na wiatr. Naprawdę zamierzał w swoim czasie znaleźć tego gówniarza i sprawdzić, czy wyniósł z ich spotkania jakąkolwiek naukę. Choćby miał przeczesać całą Warszawę, obiecał sobie, że mu nie odpuści. Już żadna dziewczyna nie będzie przez niego cierpieć.

Pogrążony w myślach stanął przed szerokim przejściem dla pieszych w centrum miasta. Wciąż czuł nieokreślone napięcie - nie opuszczało go, nawet gdy trochę ochłonął i oddalił się od budynku, na którym zostawił chłopaka. Zapaliło się zielone światło i wkroczył w tłum, który ruszył z drugiej strony. A kiedy dotarło do niego, co czuje, zatrzymał się na samym środku jezdni. Otworzył szerzej oczy i wpatrzył się tępo przed siebie, skupiając się na doznaniach przesyłanych mu przez ludzi, którzy go mijali. Bo to oni. To ich energia powodowała, że wciąż nie potrafił się uspokoić.

Oni wszyscy byli tacy sami jak ten chłopak.

Nie chodziło o to, że zdradzali swoich partnerów. Wszyscy mieli na koncie masę brudów, za które nigdy nie odpowiedzieli. Teoretycznie to nie byli przestępcy, ale...

Kobieta, która właśnie przeszła obok Doriana, niedawno skorzystała z okazji, że w którymś banku zepsuł się bankomat. Wyplacał dwa razy więcej pieniędzy, niż wpisywało się na ekranie, lecz uszczuplał konto o żadaną kwotę. Kiedy to się rozniosło, do urządzenia ustawiła się kolejka długa na pół ulicy i wyczyszczono je

do zera. Nikt nie poniósł konsekwencji, bo nie dało się udowodnić, że ludzie zrobili to specjalnie.

Za kobietą szedł chłopak, który regularnie piracił filmy. Zarówno pobierał, jak i udostępniał.

Kolejny, nieco wyższy i lepiej zbudowany, był piłkarskim fanatykiem i ostatnio skroił barwy jakiemuś nieszczęśnikowi, nie omieszkawszy go przy tym skopać. Nie należał do grupy chuligańskiej, ale nienawidził ludzi, którzy kibicowali wrogiej drużynie, i na meczach najgłośniej krzyczał, kim są i co powinno się z nimi zrobić.

Dziewczyna plotkowała o kolegach i koleżankach z klasy, regularnie oczerniając ich w oczach innych.

Mężczyzna nienawidził osób o odmiennej orientacji seksualnej i regularnie pisał w Internecie posty nawołujące do pogromów.

Kobieta pogardzała ludźmi, którzy wyznawali prawicowe poglądy polityczne.

Mężczyzna pogardzał ludźmi, którzy wyznawali lewicowe poglądy.

Mężczyzna pogardzał wierzącymi. Uważał ich za ciemnotę i podludzi.

Kobieta pogardzała niewierzącymi. Uważała ich za pysznych, zaślepionych i gorszych od innych. Była samotna, ale z góry skreślała ateistów jako partnerów.

Kobieta miała zwyczaj, że po wejściu do dyskontu brała z półki i zjadała w trakcie zakupów słodką bułkę. Nigdy za nią nie płaciła, bo jej zdaniem sklep i tak nie był stratny. W końcu nie sposób zliczyć grosików, które kasjerki „były winne”.

Mężczyzna dręczył swoje dzieci. Co prawda ich nie bił, ale regularnie wmawiał im, że są nic niewarte i niczego nie osiągną. Szczególnie bały się go wieczorami, kiedy wypił więcej.

Chłopak nie miał szacunku do planety, na jakiej przyszło mu żyć, i kiedy wyjeżdżał z ekipą na weekendowe pijaństwo na łonie natury, zawsze zostawiał po sobie górę śmieci.

I inni. I kolejni. I następni.

Wszyscy.

Dorian poczuł, że robi mu się słabo. Zakręciło mu się w głowie, przeszedł na drugą stronę ulicy i usiadł na ławce. Pochylił się, głęboko oddychając. W tym czasie minął go grafciarz, który nie szanował cudzego mienia. Później kobieta, która

połowę czasu pracy zdalnej poświęcała na gry i oglądanie filmików na YouTube. Po niej młodociany osiłek, który dręczył słabszych w szkole i sam szukał pretekstu, żeby ich zaczepiać. A potem dziennikarz, który wprawdzie nie pisał o nim, ale za to manipulował faktami, byleby wzmocnić podziały w społeczeństwie, bo takie wywoływanie skrajnych emocji świetnie się klikało. Taki sam jak ci, którzy od jakiegoś czasu regularnie oczerniali warszawskiego superbohatera, kłamiąc na jego temat.

Dorian gapił się w ziemię, a jego klatka piersiowa falowała od głębokich wdechów i wydechów. Teoretycznie nie miał żadnych myśli, lecz te same wpadały mu do głowy, kiedy przechodzili obok niego kolejni ludzie. Jakby gwar, mamrotanie, kakofonia znane mu już z nocy, podczas której wyczuł z odległości gangsterów w Bridgette. Doznał również powtórki z powrotu ze spotkania z Hubertem, kiedy jechał przez nocną Warszawę i gapił się w okna mijanych bloków.

Tyle historii. Tyle zła. Tyle grzechów, zmartwień i traum. Tyle że teraz znalazł je wszystkie, jakby ci ludzie mu się wyświadcili. Bez przydługich wstępów i sakramentalnych formułek, za to z natychmiastowymi konkretami. Znał je, bez względu na to, czy chcieli tego, czy nie.

I wiedział, że to, co podczas ich ostatniej rozmowy powiedział Hubert, jest prawdą.

„Sam wiesz najlepiej, że ludzie są gorsi, niż widać na pierwszy rzut oka. Że to status, wersja oficjalna. Czy to nie oszustwo?”

Dorian zacisnął pięść.

„Nie nachodzą cię czasem myśli, że to bez sensu i że pewna formuła się wyczerpała? Na świecie nic się nie zmienia. My wywlekamy kolejne afery i łajdactwa, a łajdaków i afer nie ubywa. Wy nauczacie ludzi, próbujecie ich nawracać, a oni się nie zmieniają. Mało tego, to postępuje w drugą stronę, granice są stopniowo przesuwane. Powolutku, kroczonek po kroczoneku, ale taki jest fakt. W takim razie coś robimy nie tak”.

„Ja jestem dobry, rozumiesz? Dobry!” - głos chłopaka.

Dorian zmarszczył brwi i zazgrzytał zębami, oddychając głęboko. Złapał się kurczowo za skronie, które zaczęły go boleć, jakby doznał migreny. Nikt



z przechodniów tego nie zauważył, lecz jego dłoń odrobinę się powiększyła, a oczy, które za nią ukrył, stały się czarne.

Gwar, kakofonia, mamrotanie...

Zło.

Był wściekły. Wściekły na tych ludzi. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od momentu, w którym stracił przytomność w kościele, samopoczucie zepsuło mu się z innego powodu niż zbliżenie się do świętego symbolu. I to była ich wina. Ich brudów, za które nigdy nie odpowiedzieli; myśleli, że są bezkarni, i śmiali się pod nosem. Mieli się za porządnych ludzi, choć tak naprawdę jedyne, co powstrzymywało ich przed czynieniem większego zła, to strach przed karą. Nie rozumieli pojęcia dobra. To przez takich jak oni zło rozbestwiło się na świecie. Stopniowo przejmowało kontrolę -po cichu, pod przykrywką, wchodząc tylnymi drzwiami, powoli przesuwając granice. Taki był fakt, co do którego teraz, ze swoimi zdolnościami, Dorian mógł mieć stuprocentową pewność i któremu nie mógł zaprzeczyć.

Raptownie wstał i pomaszerował w kierunku przystanku autobusowego. Miał na dzisiaj dosyć, marzył jedynie o tym, by odciąć się od ludzi, wrócić do mieszkania i położyć się do łóżka. Położyć się, ochłonąć i w spokoju przemyśleć wiele fundamentalnych spraw. Albo lepiej - przetrwać je przez alkohol. Prawie zapomniał, że mógł z niego korzystać bez obawy, że ktoś patrzy mu na rękę. Od przygody z Ewą nie wypił ani kropli. Teraz jednak było mu wszystko jedno i poczuł przemożną chęć, by w ten sposób poprawić sobie humor. Wstąpił więc do sklepu monopolowego i kupił dwie butelki wódki. Na przystanku natomiast zobaczył znajome ulotki o zaginionym Kacperku, takie same jak ta, która wisiała na tablicy w jego kościele. Ich widok jeszcze bardziej utwierdził go w przekonaniu, że wciąż ma w tym mieście wiele do zrobienia.

Wsiadł do autobusu, który jechał w kierunku Ursusa i był potężnie zatłoczony. Kiedy Dorian otoczył tłum kłamców, niewiernych partnerów, drobnych oszustów, złodziei, plotkarzy i osób, które pogardzały jakąś grupą społeczną, jego złość tylko narosła. Przypomniał sobie czytanie, które usłyszał podczas jednej z ostatnich mszy. Konkretnie kilka zdań z niego.

*I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły.*

*O t o c z y n i ę w s z y s t k o n o w e .*

Stanął przy kobiecie, która trzymała w rękach szczeniaka. Zwierzątko zaczęło na niego warczeć i szczekać, lecz wystarczyło jedno świdrujące spojrzenie Doriana, by zamilkło i skuliło się w ramionach pani, cale drżąc.

# ROZDZIAŁ XXV

Dawid zaparkował swój najmniej rzucający się w oczy samochód w dyskretnym miejscu i w sporej odległości od adresu podanego przez panią Konkel. Zanim wysiadł, narzucił na głowę kaptur od bluzy i choć było pochmurno, założył okulary przeciwsłoneczne. Niewiele mu to pomogło - swojego dwumetrowego wzrostu nie mógł ukryć, podobnie jak potężnej postury, przy której ubranie wprost opinało się na jego mięśniach. Zgarbiwszy się, pomaszerował w kierunku gabinetu, bez przerwy się rozglądając. Wydawało mu się, że nieliczni ludzie, których mijał, gapią się na niego, że stają nawet w oknach okolicznych bloków, wskazując go palcami i prześwietlając spojrzeniami. Z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej żałował, że zdecydował się tu przybyć. Nikomu o tym nie powiedział, Jacek i Linda niczego nie wiedzieli, a kiedy wyjechał z domu, wyłączył telefon. Jeszcze tylko brakowało, żeby ktoś zrobił mu zdjęcie i udostępnił w sieci z dopiskiem, że słynny Dawid Volkodlak, o którym ostatnio jest tak głośno niekoniecznie z powodu jego sukcesów sportowych, kręci się po Targówku ubrany, jakby miał coś do ukrycia. Co tam robi? Co tym razem kombinuje?

Do gabinetu dotarł dwie minuty przed siedemnastą. Jęknął w duchu. Co prawda mała poczekalnia nie była zatłoczona, ale zastał tam trzy osoby - jakąś staruszkę, kobietę w średnim wieku oraz mniej więcej dwudziestoletniego chłopaka. Obecność tego ostatniego nie podobała mu się najbardziej, zwłaszcza że młody mężczyzna od początku wpatrzył się w niego z wyraźnym zainteresowaniem. Dawid niechybnie opuściłby korytarzyk, gdyby nie zapach, jaki poczuł. Kobięcy. Trochę nim wstrząsnął, bo na początku pomyślał, że...

Nie, to przecież niemożliwe!

Jak najciszej wciągnął powietrze nosem, starając się zidentyfikować źródło przyjemnej woni. Nieco się uspokoił, ale jednocześnie zawiódł, bo pomylił się i zapach nie okazał się identyczny z tym, który tak dobrze znał i za którym bardzo tęsknił, a jedynie bardzo podobny. Upewnił się również, że nie pochodzi od żadnej z osób, które zastał w poczekalni. W takim razie od kogo?

Kiedy nadeszła siedemnasta i w jednym z gabinetów otworzyły się drzwi, uzyskał odpowiedź na swoje pytanie.

Beata rozejrzała się po korytarzu. Była pewna, że natychmiast rozpozna mężczyznę, z którym miała się spotkać, i nie pomyliła się. Nie dlatego, że skojarzyła jego twarz. Po prostu potrafiła wyczuć na odległość człowieka z problemami. Jej uwagę zwrócił wysoki, potężnie zbudowany osobnik w bluzie z kapturem i w okularach przeciwsłonecznych. Spojrzała na niego, licząc, że ten zdoła się domyślić, iż to do niej dzisiaj przyszedł. Nie chciała go wywoływać po imieniu, mając na względzie jego prośbę o dyskrecję.

Ruszył w jej kierunku, przyspieszając z każdym krokiem. Wreszcie wszedł do pomieszczenia i zamknęła za nim drzwi.

– Pan Dawid, prawda? - zapytała cicho.

Zerknął z obawą na wyjście z gabinetu, ale w końcu kiwnął głową. Ściągnął kaptur i okulary przeciwsłoneczne. Nie uśmiechał się. Miał czarne włosy, krótki zarost i jasnoniebieskie oczy. Beata pomyślała, że ich kolor zapewne został podrasowany soczewkami jak u Ani, jej pacjentki - czyżby to jakaś nowa moda, która ją ominęła? Efekt psuł nieco mały tatuaż nad i pod lewym okiem mężczyzny, który imitował szramę po pazurze. Twarz wydawała się jej znajoma, ale nie potrafiła skojarzyć skąd.

– Bardzo przystojny z pana facet! - powiedziała, znowu stosując w interakcji z pacjentem metodę szczerych komplementów. Spojrzał na nią i, co trochę ją zdziwiło, także na to nie odpowiedział choćby najmniejszym uśmiechem. Mało tego, jakby zeszło z niego powietrze.

– Mogę zadać głupie pytanie? - zapytał.

– Mówią, że nie ma głupich pytań, a tylko głupie odpowiedzi - odparła. - Usiądzie pan? - Wskazała krzesło przed biurkiem. On jednak nie ruszał się z miejsca.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało nieuprzejmie, ale czy pani... - Westchnął i spuścił wzrok. - Czy pani wie, kim ja jestem?

– Tylko tyle, że ma pan na imię Dawid i jest ze mną dzisiaj umówiony.

– Czyli... nie wie pani nic więcej?

– Skądś kojarzę twarz. Powinnam wiedzieć coś jeszcze?

– Nie interesuje się pani sportem?

– Niestety nie mam na to czasu. Ograniczam dzienną prasówkę do minimum, bo pisze i mówi się niemal wyłącznie o złych rzeczach, a także stara się wmówić ludziom, że świat jest gorszy niż w rzeczywistości. Czyli jest pan sportowcem? - Zlustrowała jego posturę.

Wpatrywał się w nią z jednej strony podejrzliwie, a z drugiej nie umknęło jej, że wyraźnie rozluźnił mięśnie. Nie pociągnął jednak tematu i Beata musiała przyznać, że zaczynał ją ciekawić. Z jakim problemem mógł przyjść do niej człowiek emanujący tak dobrą energią? I przy którym czuła się tak dobrze.

– Wie pani co? - Pokręcił głową. - Przepraszam, ale to... nie ma sensu. Muszę już iść.

– Dlaczego?

Wpatrywał się w nią z pewną żałością. Wyglądał jak zbity pies. Chyba żadne porównanie nie pasowało tak bardzo.

– To dobrze, że nie wie pani, kim jestem - powiedział z rezygnacją. - I może niech lepiej tak zostanie. Przepraszam, że zawracałem głowę. Do widzenia. - Ku jej zaskoczeniu otworzył drzwi i już go nie było. Minęło dobrych kilka sekund, nim zdała sobie sprawę, co się wydarzyło. Ruszyła za nim.

– Zaraz! Panie... - Zacisnęła usta, aby nie wywołać go po imieniu. Wyjrzała na korytarz, ale w poczekalni wciąż siedziały te same trzy osoby, co poprzednio. Poszła do wyjścia i rozejrzała się po ulicy, ale nigdzie nie zauważyła swojego niedoszłego pacjenta. Kim był? Dlaczego potrzebował pomocy psychologa? Dlaczego nagle zmienił zdanie? Zachowywał się, jakby się czegoś wstydził. Jakby zrobił coś głupiego i krępował się o tym powiedzieć. Z drugiej strony -gdyby istotnie był złym człowiekiem, wyczułaby to. Wyczułaby to w jego energii, tak jak wtedy, przed ostatnim spotkaniem z Dorianem, gdy minęła się na ulicy z jakimś mafiosem.

I to spojrzenie na koniec. Gdyby miała porównać je do czegokolwiek innego niż do wzroku zbitego psa, powiedziałyby, że skojarzyło jej się z oczami dziecka, które

wpatruje się w wymarzoną zabawkę na witrynie sklepowej, choć wie, że nigdy, przenigdy jej nie dostanie.

Wróciła do gabinetu coraz bardziej zaintrygowana. Spojrzała na swojego smartfona, walcząc z pokusą, by zajrzeć do sieci. Nie powinna tego robić. Mężczyzna prosił ją o dyskrecję, sama powiedziała mu przez telefon, że może między nimi nie zaiskrzyć i to on może podjąć decyzję, że to ich pierwsze i ostatnie spotkanie. Najwyraźniej ją podjął. Niemniej ciekawość była tak silna...

Beata sięgnęła po komórkę. Nic nie stało na przeszkodzie, aby sprawdzić, kto właściwie do niej przyszedł, a potem zachować to dla siebie.

Włączyła Internet i wpisała w Google „Dawid sportowiec”. Już na pierwszych zdjęciach, jakie zobaczyła w wynikach, rozpoznała mężczyznę, który od niej uciekł. Dawid Volkodlak. Pochodził ze Śląska, walczył w MMA i był największą polską gwiazdą tej dyscypliny. Nic dziwnego, że go nie rozpoznała. Nie interesowała się sztukami walki. Nie przepadała za mordobiciem, nawet jeżeli odbywało się na określonych zasadach w ramach sportowej rywalizacji. Źle jej się kojarzyło, głównie z pacjentami, którzy doświadczali przemocy domowej. Zrozumiała, że jego twarz wydała jej się znajoma za sprawą billboardów reklamujących galę „Krwawy Księżyc”, którymi ostatnio obklejono Warszawę. Z billboardami jednak, jak to z billboardami - przelatujesz po nich wzrokiem i jeżeli nie interesuje cię reklamowany na nich produkt, nawet niezbyt się na nich skupiasz.

Zwróciła uwagę, że mogła przeczytać o swoim niedoszłym pacjencie nie tylko na stronach dotyczących sportów walki. Szybko rozwikłała tajemnicę, dlaczego tak nagle zmienił zdanie i wyszedł. Najprawdopodobniej z tego samego powodu, dla którego chciał spotkać się z psychologiem.

Im dłużej czytała jego historię - a starała się poszukać różnych źródeł, żeby zyskać jak najwięcej punktów widzenia - tym bardziej ją ciekawiła. Noc z pełnią księżyca i tajemnicza zbrodnia, w której brał udział jako kilkuletnie dziecko i z której nic nie pamiętał. Siedem ofiar śmiertelnych, w tym jego rodzice. Siostra, która upierała się, że jest mordercą, co wydawało się czystym absurdem, biorąc pod uwagę jego ówczesny wiek. Zamknięte bez wykrycia sprawcy śledztwo, które teraz, po wielu latach, ponownie wziął na tapet tygodnik „Naprawdę”, i wielkie zamieszanie, jakie z tego wynikło. I to powtarzające się pytanie: dlaczego tę historię wcześniej zatajono? Dlaczego nie wykorzystano jej przy budowaniu marki zawodnika?

Beata przeczytała wszystko, co mogła, i nawet zrobiła kilka notatek, aby to sobie uporządkować. Coś jej tu nie grało. Była prawie pewna, że Dawid chciał się z nią spotkać, bo nie radził sobie z tym, co wytworzyło się wokół jego osoby po publikacji artykułu. Może rozdrapał stare rany? Na to wyglądało, ponieważ jego główny bohater nie odniósł się do niego, nie wydał na ten temat żadnego oświadczenia i przestał pojawiać się w mediach społecznościowych. Dziwne, biorąc pod uwagę, że sporty walki na ogół wybierali ludzie, których nie mogło złamać byle co. Jakby miał coś do ukrycia. Mimo to nie wyczuła w nim choćby cząstki negatywnej energii innej niż związana ze smutkiem i przygnębieniem. O co w tym wszystkim chodziło? Jaką krył tajemnicę?

Choć w tej sprawie było więcej niewiadomych niż pewników, wiedziała jedno: musiała z nim porozmawiać.

Kiedy chowała telefon do torebki, zdała sobie sprawę, że nie chodzi o kierowany współczuciem wewnętrzny przymus. Bardziej o chęć. Chciała spotkać tego mężczyznę po raz kolejny.

\* \* \*

Dawid jechał przez Warszawę, wciąż mając na sobie okulary przeciwsłoneczne i kaptur. Był na siebie wściekły. Niepotrzebnie w ogóle tu przyjechał. Niepotrzebnie się pokazywał. Trzeba było siedzieć w domu i się nie wychylać. Po co mu to było? Ten chłopak z poczekalni na pewno go rozpoznał i zaraz wywoła kolejną sensację, zwłaszcza że zobaczył Dawida wybiegającego z gabinetu. A psycholożka? Pewnie właśnie zagłębia do sieci i czyta na jego temat. Pewnie dochodzi do tych samych wniosków, co większość ludzi, którzy natrafili na artykuł Godlewskiego. Jak miałyby jej teraz opowiedzieć tę historię ze swojej perspektywy? Jak miałyby jej wytłumaczyć kluczowe fantastyczne aspekty? Nawet gdyby spotkanie przebiegło zgodnie z planem i zdradziłby jej swój sekret, nawet gdyby zachowała rezultaty wizyty dla siebie, z pewnością uznałaby, że z jego zdrowiem psychicznym jest coś nie tak. Potem patrzyłaby na niego przez ten pryzmat, kto wie, może napisałaby mu, że na więcej nie może liczyć, wymyśliłaby jakieś dyplomatyczne dyrdymały, żeby to uzasadnić. Dlatego lepiej było zawczasu to uciąć, nawet jeżeli taka decyzja wywoływała dyskomfort. Nie tylko biorąc pod

uwagę nieprzeciętną urodę tej kobiety. Także jej zapach. Tę przyjemną woń kojarzącą mu się z tylko jedną osobą, którą kochał najbardziej na świecie.

Odetchnął głęboko, pokręcił głową i wcisnął gaz do dechy. A kiedy dojechał do domu i zamknął za sobą drzwi, usłyszał głos Jacka:

– O, proszę! Wrócił nasz mistrz!

Poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, ale wyprostował się i zachował rezon.

– Cześć, Jacek - odpowiedział.

Jego menedżer wyszedł z pokoju w towarzystwie Lindy, z której twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Miała ręce założone na piersi.

– Co cię do nas sprowadza? - zapytał Dawid.

– Linda powiedziała mi, że nagle zniknąłeś. Próbowaliśmy się dodzwonić, ale nie odbierałeś. Bałem się, że coś się stało.

– Ale, jak widzisz, wszystko jest w porządku.

– Gdzie byłeś?

Ucisk w żołądku przybrał na sile. Choć Jacek zadał to pytanie z pozoru tym samym tonem co poprzednio - uprzejmym, serdecznym, z nutą troski - Dawid nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że kryło się za nim coś nieznoszącego sprzeciwu.

– Wybacz, ale czy muszę ci się ze wszystkiego tłumaczyć? - odparł wyzywająco.

Jacek się uśmiechnął.

– Oczywiście, że nie. Ale wołałbym wiedzieć. Wiesz, nie chciałbym, żebyś uwikłał się w jakiś obyczajowy skandalik czy coś. Muszę mieć na względzie twój wizerunek.

– Nie martw się, w żaden, jak się wyraziłeś, skandalik się nie uwikłałam.

– W takim razie dlaczego to aż taka tajemnica? Przecież znamy się większość życia. Możesz mi powiedzieć.

– Spotkałem się z kobietą - odpowiedział Dawid.

Jacek zlustrował go od stóp do głów, patrząc na wybitnie nie-wyjściowy strój.

– Z kobietą?

– Tak. To chyba nic złego?

– Nie, w żadnym wypadku! Ale jeszcze niedawno sam ci to proponowałem i podchodziłeś do tego z niechęcią.



– Zmieniłem zdanie. Chyba mam do tego prawo? Zresztą, z całym szacunkiem, nie mam obowiązku informować cię o wszystkich prywatnych sprawach.

– Pełna zgoda, Dawid. Pełna. A tak z ciekawości: gdzie ją poznałeś?

– W Internecie. To moja fanka - skłamał.

– Przez Facebooka czy...?

– Nie, gdzieś indziej. Co to jest? Przesłuchanie? - warknął Dawid. Gwałtowniej, niż zamierzał, co zdziwiło nawet jego samego. Nie potrafił tego wytłumaczyć, lecz jego dyskomfort narastał i nie wynikało to wyłącznie z nachalnej ciekawości przyjaciela. W każdym razie nie tylko z niej.

Jacek pokiwał głową.

– Masz rację. Oczywiście, masz prawo do prywatności i nic mi do tego.

– Cieszę się bardzo. Czy w takim razie masz do mnie jeszcze jakąś sprawę? Bo szczerze mówiąc, mam ochotę spędzić ten wieczór w samotności. Jestem już trochę zmęczony.

– Nie. Wpadłem tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest, ale skoro tak, to już wszystko. Wypoczywaj. Jesteśmy w kontakcie.

Dawid nie odpowiedział i pomaszerował do swojego pokoju. Jacek zaś spojrzał znacząco na Lindę i dopiero po dłuższej chwili skierował się do wyjścia.

Dawid położył się na łóżku i założył ręce za głowę. Kiedy trochę ochłonął, dotarło do niego, skąd wziął się ten nagły napad agresji, na którą Jacek w gruncie rzeczy nie zasłużył.

Przez zapach.

Dopiero teraz, kiedy wrócił do domu, zdał sobie sprawę, że Jacek i Linda mają nieprzyjemne zapachy. Wcześniej nie zwracał na nie uwagi, ale w porównaniu z tym, jak pachniała psycholożka, kontrast był zbyt wyraźny, by go nie zauważyć.

Chociaż... czy to była kwestia zapachów tych dwojga, czy wyjątkowości zapachu tej kobiety? Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej - jeszcze bardziej żałował, że nie miał okazji poznać jej w normalnych okolicznościach.

Włączył smartfona i wpisał w wyszukiwarkę na Facebooku „Beata Konkel”. Niestety nie znalazł jej profilu, najprawdopodobniej go ukryła. Zawiódł się trochę, choć podejrzewał, że to chyba naturalna kolej rzeczy, następny element zabezpieczeń, takich jak pierwsze spotkanie z pacjentem w miejscu publicznym.

Odłożył telefon i zamknął oczy, próbując sobie przypomnieć jej wygląd. To dziwne, ale w takich momentach często przychodzi to bardzo trudno i możliwe, że w swojej wyobraźni trochę ją idealizował. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Wiele by dał, żeby zobaczyć ją po raz kolejny.

Jego myśli przerwał dźwięk przychodzącego SMS-a. Sprawdził telefon i... otworzył szerzej oczy, a nieprzyjemny ucisk pod mostkiem wynikający ze spotkania z Jackiem szybko zmienił charakter na znacznie bardziej znośny.

Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale po tym, jak Pan ode mnie wyszedł, wygooglowalam sobie Pana i przeczytałam Pana historię. Chyba domyślam się, dlaczego Pan ode mnie uciekł, dlaczego mówił, że to „bez sensu”, oraz dlaczego chciał Pan spotkać się z psychologiem. Jeżeli obawiał się Pan mojej reakcji na to, co o Panu napisano, to jest taka, że chciałabym pomóc. Nie mam w zwyczaju wierzyć doniesieniom medialnym, które są nastawione na wywoływanie sensacji i jak największych emocji, a co za tym idzie - klikalności. Sama wyrabiam sobie zdanie na temat osób, które spotykam, i słucham wszystkich stron. Intuicja podpowiada mi, że to wszystko nie jest takie proste, jak się wydaje, i chętnie poznałabym również wersję tej opowieści z Pana perspektywy. Gdybym była potrzebna, proszę się nie krępować i dać mi znać.

Pozdrawiam,

Beata Konkel

Przeczytał tego SMS-a kilka razy, a z każdym kolejnym jego samopoczucie znacznie się polepszało.

Odłożył telefon na półkę i rozprostował się na łóżku, znowu zakładając ręce za głowę. Gapił się w sufit i rozmyślał.

# ROZDZIAŁ XXVI

– Kochanie, proszę cię, zostaw już to. - Kobieta w szlafroku podeszła do męża siedzącego przed komputerem i objęła go od tyłu za klatkę piersiową. Mężczyzna oglądał jedno z ostatnich wystąpień premiera Rafała Fedorowicza. - Możemy iść spać?

– Za chwilę, skarbie. - Zbył ją machnięciem ręki i wskazał ekran. - Sama posłuchaj tego palanta! Dobry kabaret przed snem nie jest zły.

Zerknęła na okno przeglądarki, ale zaraz pokręciła głową.

– Wybacz, ale o tej godzinie nie mam ochoty na politykę.

Mężczyzna wsłuchał się w kolejne słowa szefa rządu i na wpół histerycznie się roześmiał.

– Nie wierzę! Słyszysz go? Matrix! Inna rzeczywistość! - Przeciągnął dłońmi po twarzy. - Każdą porażkę opiszą ci tak, żeby to była wina opozycji.

– To po co go oglądasz? - Zirytowała się. - Tylko się nakręcasz i podbijasz mu zasięgi.

– Trzeba wiedzieć, co dzieje się w szeregach wroga! Tylko tak wygrywa się wojny! - stwierdził stanowczo. - A to jest chory psychicznie człowiek i populistą! Trzeba mieć go na oku.

– Dobra. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Nie wiem jak ty, ale ja idę spać. Tylko błagam, nie siedź za długo.

Nie odpowiedział jej, tylko ponownie skupił się na ekranie, raz na jakiś czas parszcząc śmiechem i mamrocząc pod nosem kolejne inwektywy w stronę polityka.

Nagle okno, naprzeciwko którego siedział, rozbiło się w drobny mak. Ani się obejrzał, jak za poły pizamy złapały go dwie szponiaste dłonie.

\* \* \*

*Tak, pewnie, bo za poprzednich rządów było lepiej, prawda? Niezły z ciebie odklejeniec! Wyłącz TV, włącz myślenie! Chociaż jak cię czytam, obawiam się, że jest już za późno. Weź zrób coś dobrego dla świata i rzuć się z balkonu albo coś.*

Mężczyzna wcisnął enter i dodał pod postem na Facebooku kolejny komentarz. Już od dobrych kilkunastu minut polemizował z jakimś zaprzędanym półgłówkiem i za każdym razem, gdy czytał jego smęty, nie mógł wyjść z podziwu, jak można mieć tak wypruty mózg i podstawowe problemy z logicznym myśleniem. I tacy ludzie, zaprzędani zdrajcy narodu o IQ ameby, mieli prawa wyborcze! Na szczęście teraz mogli sobie jedynie poszczekać. Aktualnie rządziła partia, którą popierał, więc tylko się z tego śmiał. Uwielbiał, jak premier powtarzał z mównicy sejmowej: „Chcecie coś zmienić? Wygrajcie najpierw wybory!”. Miny posłów opozycji były wówczas tak pocieszne, że nadawały się na memy.

Wyprostował się, kiedy Facebook podesłał mu kolejne powiadomienie. Nic nowego, palant dalej się kompromitował i napisał następny komentarz. Mężczyzna pokręcił głową z kpiącym uśmiechem i położył dłonie na klawiaturze, chcąc kontynuować zabawę.

Wtem znieruchomiał i wyostrzył słuch. Niczego nie usłyszał, ale powoli okręcił się na krześle i spojrzał w ciemny korytarz za sobą. Wydawało mu się, że przed chwilą coś cicho przez niego przemknęło.

\* \* \*

– Dajesz! - powiedział z przejęciem nastoletni chłopak.

Jego kumpel rozejrzał się konspiracyjnie, upewniając się, że nikt ich nie obserwuje, po czym podpalił zapalniczką końcówkę małej petardy. Rzucił ją w kierunku szczeniaka, którego uprzednio przywiązali do drzewa. Wybuchła z hukiem tuż przy zwierzątku, czym spowodowała jego gwałtowny odskok i skomlenie.

Chłopcy się roześmiali. Zapowiadała się świetna zabawa. Mieli do dyspozycji jeszcze całe opakowanie petard.

– Dawaj następną!

Wtem usłyszeli głośny szelest liści, jakby coś przedzierało się przez pobliskie krzaki.

\* \* \*

Kobieta siedziała pod ścianą, przytulając kurczowo dwie małe dziewczynki. Miała podbite oko, rozciętą wargę, a pod nosem zaschniętą krew. W tym czasie coś waliło w zamknięte drzwi do pokoju.

– Zuza! - dobiegł zza nich wściekły, zapijaczony męski głos. - Masz w tej chwili otworzyć te drzwi!

– Darek, proszę cię, przestań! - krzyknęła w odpowiedzi. Jej twarz przecinały błyszczące smugi łez. - Idź spać!

– Nie mów mi, co mam robić, szmato! - Kolejne uderzenie. Drzwi zadrgały i wygięły się w okolicach zamka. - Otwieraj, bo jak tam wejdziesz, spuszczę wam wszystkim taki wpierdół, że nie zapomnicie go do końca życia!

Dziewczynki zaczęły coraz głośniej płakać, a ich mama wpatrywała się z przerażeniem w drzwi, które niechybnie miały zostać wyrwane z zawiasów. Wołała nie myśleć, co się stanie, gdy już do tego dojdzie.

Nagle zadrżała. Usłyszała kolejny trzask, najgłośniejszy ze wszystkich, lecz jakby z większej odległości. Zaraz po nim coś upadło na podłogę i rozległ się ledwo przytomny głos Darka:

– A ty co tu robisz, pedale? Coś za jeden?

\* \* \*

Kobieta ubrana w koronkową bieliznę sprawdziła, czy miniaturowa kamera, którą ukryła w torebce, działa jak należy. Następnie położyła się na łóżku i wygięła w zmysłowej pozycji. Miała ją wyćwiczoną do perfekcji. Czekala na swojego szefa, który brał prysznic i miał zaraz do niej dołączyć.

Śmiała się w duchu. Kolejna rybka w garści! Długo się opierał, ale w końcu połknął haczyk, jak każdy, którego obrała sobie za cel. Teraz przyszła pora na postawienie kropki nad „i”. Czyli najpierw upojna noc, a potem, powiedzmy za kilka dni, uprzejme poinformowanie dżentelmena, ile kosztuje gwarancja, że nagranie z ich wspólnych igraszek nigdy nie trafi do jego żony. Dobrze go prześwieciła i wiedziała, że zapłaci. Rozwód kosztowałby go znacznie więcej. A jeżeli będzie się opierał, oskarży go o molestowanie. To takie proste!

– Cześć.

Drgnęła, kiedy nagle z ciemnego korytarza dobiegły synchronicznie dwa głosy - jeden zwykły, męski, a drugi o wiele niższy, basowy.

– Przemek? - zapytała, lecz z łazienki nadal dobiegał cichy szum prysznic.

– Ach, więc tak ma na imię ten sympatyczny pan, którego zamierzasz wykorzystać?

Zamarła, kiedy z ciemności powoli wyłoniła się szczupła, muskularna postać z nagim torsem, na którym widniała jak gdyby płaskorzeźba drugiej twarzy o wyostrzonych rysach. Uśmiechała się, lecz bez choćby krzty wesołości.

\* \* \*

– Możecie mi wyjaśnić, co tu się wyrabia, do jasnej cholery?!

Komendant wkroczył do pomieszczenia, w którym siedzieli dyżurni. Był wściekły, nie tylko dlatego, że obudził go niespodziewany telefon od stołecznego i musiał niezwłocznie udać się do pracy. Sierżant Kilon, cały spocony i blady, podobnie jak reszta jego kolegów, siedział przy komputerze, wpatrując się w ekran. Usłyszawszy przełożonego, spojrział na niego z niepokojem.

– Sam do końca nie wiem, ale... nagle zaczęliśmy dostawać mnóstwo zgłoszeń. Wysyłamy chłopaków w teren, ale zaczyna brakować nam ludzi.

– To poproś o pomoc inne rejonówki!

– Mają identycznie. Ledwo zipią.

– Co się dzieje? Znowu ten wariat, który bawi się w superbohatera?

Kilon przełknął ślinę i ponownie wpatrzył się w ekran.

– Wszystko na to wskazuje.

– Znów napastuje bandytów?

Sierżant pokręcił głową.

– Nie, panie komendancie. Wygląda na to, że teraz wziął się za zwykłych obywateli.

\* \* \*

Oddział kontrterrorystów wkroczył na dach luksusowego apartamentowca. Stwór z dwiema twarzami stał na jego skraju, trzymając za nadgarstki dwoje ludzi - kobietę ubraną w seksowną bieliznę i nagiego dojrzałego mężczyznę. Zwisali na wysokości trzydziestu metrów i płakali ze strachu.

– Postaw ich z powrotem! Już! - krzyknął ostro jeden z policjantów.

Stwór wyprostował się, po czym powoli okręcił głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Funkcjonariusze skrzywili się pod kominiarkami. Kilku dokumentowało zajście miniaturowymi kamerami umieszczonymi na stojakach.

– Bo co mi zrobicie? - odpowiedział spokojnie dwoma głosami. - Zastrzelicie mnie? Zaryzykujecie, że ci ludzie zginą? W sumie - potrząsnął nimi, a ci wrzasnęli - nie byłaby to wielka strata. Tyle że sami - zmrużył drapieżnie oczy - jesteście niewiele lepsi.

Spomiędzy mężczyzn celujących do niego z karabinów wyszła policyjna negocjatorka. Próbowała zachować spokój, lecz fizyczna anomalia, jaką widziała przed sobą, wystawiała jej nerwy na próbę.

– Mam na imię Kaja - zaczęła, z trudem powstrzymując jękanie. - Możemy porozmawiać?

Stwór zlustrował ją i się uśmiechnął.

– Niesamowite. Ale jednocześnie jakie smutne i żałosne.

– Co jest niesamowite? - zapytała, prostując się, aby dodać sobie odwagi.

– Że na tym dachu znajduje się łącznie kilkanaście osób, a jedynie pani jest tutaj chwalebny wyjątkiem i porządnym człowiekiem. Bardzo wymowne. Ale i tak szczerze gratuluję. Nie musi pani się bać. Jest pani bezpieczna i nic pani nie zrobię.

Celujący w istotę policjanci poruszyli się niespokojnie. Negocjatorka natomiast ani trochę się nie rozluźniła. Jakoś nie potrafiła uwierzyć w zapewnienia kogoś, kto tak wyglądał i mówił dwoma głosami. Wydało jej się również, że poczuła z jego strony słaby zapach alkoholu.

– Skąd... skąd to wiesz? O mnie? - zapytała.

– Potrafię to wyczuć - odpowiedział stwór. - To dosyć skomplikowane; dar, którego nie ma sensu tłumaczyć, bo i tak żadne z was nie uwierzy. Nigdy nie zrozumiecie, jak to jest wiedzieć o wszystkich brudach, które zatajacie przed światem. Po prostu czuję. Zbliżam się do człowieka i wiem, informacja sama pojawia się w mojej głowie. Czasem, jeżeli jest tego wystarczająco dużo, zdarzenie lub grupa ludzi wysyła mi sygnał z odległości. Wiem, gdzie szukać.

Negocjatorka kiwnęła głową, choć wyłącznie dla zachowania pozorów.

– A co zrobili ci ludzie? - Wskazała kobietę i mężczyznę, których trzymał. - To też są przestępcy?

– Nikt, do kogo przyszedłem dzisiejszej nocy, nie jest przypadkowy. To para kochanków. - Potrząsnął nimi. - On zdradza żonę, a ona chce go wykorzystać i szantażować.

– To nieprawda! - krzyknęła rozpaczliwie kobieta w bieliźnie.

Stwór zrobił wściekły grymas i podrzucił ją, a potem powtórnie złapał w locie za nadgarstek. Wrzasnęła, a kontrterrorysty i negocjatorka wstrzymali oddech. On natomiast nawet się nie zachwiał.

– Przeszukajcie jej torebkę, a znajdziecie minikamerę - powiedział zimno. - Sprawdźcie jej pikantną korespondencję z tym facetem na komunikatorze w pracy. Zapytajcie jego żonę, dlaczego jest w Warszawie, w wynajętym apartamencie, skoro powinien być na delegacji w Sopocie, jak jej powiedział. Przeświećcie dotychczasową działalność tej kobiety, a przekonacie się, że to nie jest jej pierwszy podobny numer.

– Sprawdźmy - obiecała negocjatorka, unosząc uspokajająco ręce. - Zrobimy to. Tylko nie rób im krzywdy. Co musi się stać, abyś ich uwolnił?

– Nie mam żadnych żądań.

– Nie?

– Nie robię tego dla pieniędzy. Ściągnąłem was tutaj specjalnie, bo wiem, że ta akcja się nagra. Prawda, chłopaki? - Spojrzał na policjantów i uśmiechnął się



złośliwie. - Od was zależy, czy to upublicznicie, czy zdecydujecie, że nie chcecie wywoływać paniki, ale jednocześnie mieszkańcy nie zostaną ostrzeżeni. Obserwowałem ich przez ostatnie tygodnie, zarówno przestępców, jak i zwykłych ludzi, i doszedłem do wniosku, że przyszła pora na nieco bardziej radykalne metody walki ze złem. Chciałem coś zakomunikować, każdemu, nie tylko z Warszawy. Wszyscy powinni wiedzieć, że jeżeli na to zasłużą, prędzej czy później po nich przyjdę.

- Wszyscy, którzy zasłużą? Czyli kto?

- Każdy morderca, gangster, pseudokibic albo nieuczciwy polityk. Każdy policjant, który nadużywa władzy. Każdy wyzyskujący pracowników albo dostawców biznesmen, także ten, który nieuczciwie niszczy konkurencję. Każdy kłamca, niewierny partner, złodziej lub oszust, również gospodarczy. Każdy dziennikarz, który dzieli społeczeństwo i pisze nieprawdę, nie tylko na mój temat. Każdy, kto nienawidzi innego człowieka za poglądy, pochodzenie etniczne, rasę albo orientację seksualną. Każdy, kto dręczy, choćby psychicznie, swoich bliskich. Każdy, kto krzywdzi ich poprzez nałogi i nic z tym nie robi. Każdy przestępca seksualny, bez względu na rolę, jaką pełni w społeczeństwie. Każdy, kto niszczy cudze mienie i naturę. Każdy, kto manipuluje i nie liczy się z uczuciami innych. Obiecuję wam, że wszyscy tacy ludzie zostaną znaleźni i ukarani. Nie uda im się ukryć, w końcu wyczuję ich z odległości i do nich dotrę. Nie zdołają uciec. Dobrzy ludzie nie muszą się martwić. Są bezpieczni.

Negocjatorka przełknęła ślinę.

- Mówisz, że ich ukarzesz. Co konkretnie zamierzasz zrobić?

- Coś wymyślę. - Stwórz wyszczerzył zębiska. - Widzę nie tylko przewinienia ludzi, ale również ich lęki, traumy i zmartwienia. To kopalnia inspiracji! Pokaż mi swoje grzechy, a powiem ci, jakim jesteś człowiekiem. Pokaż mi, czego się boisz, a będę wiedział, jak sprawić, że będziesz cierpieć. - Jego głowa okręciła się z powrotem do normalnej pozycji. Zeskoczył z dachu, wciąż trzymając za ręce mężczyznę i jego kochankę. Oboje wrzasnęli.

- Nie! - krzyknęła negocjatorka. Podbiegła na skraj budynku z pozostałymi na plecach i spojrzała w dół.

Odetchnęła z ulgą. Kobieta i mężczyzna leżeli na balkonie kilka pięter niżej. Wyglądało na to, że nic im się nie stało. Stwora jednak już nigdzie nie widziała.

# ROZDZIAŁ XXVII

Następnego dnia Dawid ponownie wkroczył do budynku, w którym mieściły się prywatne gabinety lekarskie. Ku swojej uldze tym razem nie zastał w poczekalni nikogo i od razu poczuł się pewniej.

– Dzień dobry! - usłyszał głos psycholożki, która czekała na niego w progu tego samego pomieszczenia co wczoraj. Uśmiechała się promiennie.

– Dzień dobry.

– Zapraszam.

Ustąpiła mu miejsca i wszedł do gabinetu. Roznosił się w nim ten sam przyjemny zapach co poprzednio. Jej zapach. Sprawił, że Dawid poczuł się bezpieczniej, ale paradoksalnie spotęgował też w nim nieokreślony dyskomfort. Usiadł na krześle przed biurkiem, a Beata zajęła swoje. Złożyła przed sobą dłonie i wpatrzyła się w niego. Zapadła niezręczna cisza, nawet się nie poruszali i nie dało się dosłyszeć choćby najcichszego szelestu ubrań. Dawid zastanawiał się, czy powinien odezwać się pierwszy. Niezbyt pamiętał, jak konkretnie przebiegają takie rozmowy. Ostatni raz korzystał z podobnej pomocy w czasach, do których wołał nie wracać.

Spojrzeli na siebie, jednocześnie parsknęli nerwowym śmiechem i w tym samym momencie odwrócili wzrok. Beata zauważyła jednak, że nawet w tej sytuacji Dawid nie zdobył się na uśmiech.

– Przepraszam - powiedziała. - A więc słucham pana. Chciał pan spotkać się z psychologiem.

– Tak.

– Dlaczego?

– Ja... - Westchnął i spuścił wzrok. - Przepraszam, nie wiem, od czego zacząć.

– W takim razie niech pan powie to, co pierwsze przychodzi panu do głowy. To, co pan teraz czuje i jest gotowy się tym ze mną podzielić. To nie matura, że są przyznawane punkty za trafienie w klucz - stwierdziła życzliwie. - Nigdy nie wymagam od pacjentów, żeby na siłę się przede mną otwierali. Mówią mi to, co chcą. I to jest w porządku.

Dawid spojrział jej w oczy, próbując dojrzeć w nich cokolwiek innego niż czystą sympatię. Chyba jeszcze przed żadną kobietą w swoim życiu nie czuł takiej tremy. Psycholożka wprost promieniowała charyzmą i ciepłem, czuł się w jej towarzystwie bardzo dobrze i domyślił się, skąd mogły się wziąć pozytywne opinie na temat jej pracy. Podobała mu się. Jej uroda była taka... subtelna. Skromna, dziewczęca, nie w typie długonogich seksbomb takich jak Linda, a okulary w grubych oprawkach wbrew pozorom dodawały jej uroku. Była drobnej budowy i miała jakiś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Jej zapach potęgował mu mętlik w głowie. Z jednej strony piękny, z drugiej - budzący bolesne wspomnienia. I choć wiedział, że nie powinien tego robić, czerpał z niego jak najwięcej, a z każdym wdechem przez nos ta osobliwa mieszanka tęsknoty i strachu przed utratą tego doznania wypełniała go coraz bardziej. Już teraz był przekonany, że kiedy stąd wyjdzie, będzie marzył o tym, by poczuć go ponownie.

– Czytała pani artykuł o mnie? Ten, od którego zaczęło się całe zamieszanie?

– Czytałam - odpowiedziała, a Dawid tym razem próbował wyczytać cokolwiek z głosu psycholożki, lecz bez powodzenia, jakby jego barwa była zaszyfrowana. Chciał, by dodała coś jeszcze, żeby skomentowała, wydała opinię na jego temat, a on dzięki temu wiedziałby, na czym stoi, tymczasem powiedziała tylko: - Chce pan o nim porozmawiać?

– Tak.

– W takim razie słucham.

Spojrział na nią i choć idąc tutaj, był zdecydowany, że powie jej całą prawdę, bez względu na to, jak mogłaby zabrzmieć, podjął decyzję, że jednak tego nie zrobi. Było to silniejsze od niego.

Zaczął opowiadać.

\* \* \*

– *Superterrorysta znów w natarciu* - powiedziała do kamery wyćwiczonym reporterskim tonem dziennikarka prowadząca serwis informacyjny w GreaTV. Oczywiście na ekranie nie mogło zabraknąć grafiki z krzykliwym napisem „Pilne”.

Program oglądali pani Irena, Szymon i Mikołaj.

– *Niezidentyfikowany napastnik pozostaje na wolności. Zaczynał od samodzielnego wymierzania sprawiedliwości przestępcom, by w końcu zająć się moralnością zwykłych obywateli. Ostatnia noc to chaos, bezradność policji oraz narastająca panika. A to dopiero początek, bo sądząc po jego słowach, nikt nie może czuć się bezpieczny. Organom ścigania wreszcie udało się wyraźnie uwiecznić go na nagraniu i jako pierwsi publikujemy jego prawdziwy wizerunek. Ostrzegamy: materiał, który zaraz pokażemy, przeznaczony jest dla widzów o mocnych nerwach.*

Na ekranie pojawił się filmik z dachu apartamentowca. Stwór z głową obróconą o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do reszty ciała wygłaszał dwoma głosami manifest do warszawiaków.

– Coś strasznego - mruknęła pani Irena, zakrywając sobie usta dłonią. - Okropne!

– Zastanawia mnie, jak ktoś kiedykolwiek mógł nazwać go superbohaterem - powiedział Mikołaj. - Superbohaterowie tak nie wyglądają. Nie zachowują się jak potwory. Ciekawe, czy wasz Dorian to ogląda i dalej jest taki pozytywnie nastawiony do tego typka.

Szymon wpatrywał się w postać na ekranie, intensywnie myśląc.

– Nie kojarzy się to wam z czymś? - zapytał, wskazując telewizor. Spojrzeli na niego z zainteresowaniem. - W sensie: ten wygląd, te zdolności, wiedza o ludzkich przewinieniach, dwa głosy druga twarz pod skórą... Przecież w tym ewidentnie maczają palce siły demoniczne!

– Myślisz, że jest opętany? - zapytał Mikołaj.

– Nie wiem. Asystowałem księdzu Kropidłowskiemu przy kilku egzorcyzmach. Ten stwór na opętanego tak do końca mi nie wygląda.

– Więc co to jest według ciebie?

Szymon dalej patrzył na ekran, mrużąc oczy. Zastanawiał się nad właściwymi słowami.

– Demon w ludzkiej skórze? Demon, który przyjął fizyczną postać? Człowiek-demon? Tak czy inaczej, idę o zakład, że gdyby ktoś z tych ludzi wyciągnął mu przed twarz krucyfiks, natychmiast by uciekł.

Pani Irena ścisnęła krzyżyk kończący łańcuszek na jej szyi.

– W sumie dobrze byłoby, gdybyś miał rację - stwierdził Mikołaj. - W takiej sytuacji raczej nas nie zaatakują.

– Kto go tam wie? - Szymon pokręcił głową i ponownie spojrział na ekran. W dalszej części materiału pojawił się fragment konferencji prasowej premiera Rafała Fedorowicza.

*– Chciałbym zapewnić obywateli, że policja i służby specjalne podjęły wszelkie działania, by zidentyfikować i złapać napastnika. Bezpieczeństwo Polaków stanowi dla nas priorytet. Nie może być tak, że ktoś ma monopol na decydowanie o tym, co jest dobre, a co złe, i osądza innych według własnego subiektywnego systemu wartości. Nie może być tak, że ktoś obwołuje się superbohaterem, popełnia szereg przestępstw i nie ponosi za nie kary. Prawo obowiązuje wszystkich w równym stopniu i każdy musi go przestrzegać, bez względu na to, czy jest strongmanem, akrobatą, telepatą czy jasnowidzem.*

\* \* \*

Materiał, w którym prezentowano wygląd i orędzie stwora z dwiema twarzami, szybko rozprzestrzenił się po sieci, komentowano go nawet za granicą. Nie ominął także Huberta. Dziennikarz spoglądał na odrażającą postać na ekranie komputera i słuchał jej podwójnego głosu, z każdym kolejnym zdaniem czując się coraz bardziej niepewnie. Słowa dudniły mu pod czaszką z narastającym echem.

Wreszcie zamknął okno przeglądarki, gorączkowo myśląc. Odruchowo rozejrzał się po pustym mieszkaniu, jakby spodziewał się zobaczyć tego potwora zwisającego z sufitu. Na szczęście go tam nie było, ale Hubert i tak czym prędzej wszedł na swoim służbowym komputerze do folderu „Muzyka” i pokonawszy skomplikowaną ścieżkę, dotarł do lokalizacji, w której znajdował się zaszyfrowany i zabezpieczony hasłem katalog o nazwie „Klasyczna”. W ogóle się nie zastanawiał, od razu usunął go z dysku.

Myślał dalej. Czy to wystarczy? A co, jeżeli ten potwór naprawdę potrafi wykrywać takie rzeczy, i to z odległości? Jeżeli rzeczywiście umie to wyczuć

i wskazałby miejsce, w którym...

Nie dokończył tego nawet w myślach. Nie mógł ryzykować. Podjął decyzję i do swojego telefonu dopadł tak szybko, że niemal przewrócił komodę, na której leżało urządzenie. Wybrał numer redaktora Krzysztofa Materki, który był jego przełożonym i jednocześnie właścicielem tygodnika „Naprawdę”.

– Cześć - odezwał się naczelny. - Co tam?

– Szefie, przepraszam, że tak nagle, ale wynikła niespodziewana sytuacja i muszę prosić o przysługę.

– Mów, o co chodzi, a postaram się pomóc.

– Czy mógłbym wyjechać z Warszawy i przez ten czas pracować zdalnie?

Materka milczał przez chwilę.

– Myślę, że nie będzie z tym problemu. Na jak długo?

– Na razie trudno mi powiedzieć.

– Coś się stało?

Hubert próbował zachować spokój, co było nadzwyczaj trudne, ponieważ każda sekunda bezczynności tylko pogarszała jego sytuację i potęgowała przerażenie.

– Nic poważnego, ale niestety nie mogę powiedzieć. Sprawy osobiste.

– Rozumiem. Ale wrócisz na weekendową imprezę? Musisz być. Jako sprawca całego zamieszania jesteś honorowym gościem! - zawołał Materka, mając na myśli sponsorowane przez niego wyjście do drogiej restauracji, w której zamierzali świętować rekordową sprzedaż tygodnika w ostatnim miesiącu.

– Niestety nie, szefie - odpowiedział Hubert, starając się nadać głosowi jak najbardziej neutralny ton.

– Potrzebujesz pomocy?

Potrzebował. W ukryciu się tak dobrze, żeby nikt nie był w stanie go znaleźć.

– Nie, dam sobie radę.

– Ktoś ci grozi? Ktoś z ekipy Volkodlaka? Możesz mi powiedzieć. Owszem, ktoś mu groził. Nawet jeżeli jeszcze o tym nie wiedział i nie zrobił tego bezpośrednio.

– Nie, nie o to chodzi. Przepraszam, ale naprawdę nie mogę powiedzieć.

– Dobrze, jasne, masz prawo do prywatności. A skoro to praca zdalna, właściwie nie robi mi różnicy. Wiem, że można na tobie polegać. Tylko trochę szkoda, że

chcesz wyjechać z Warszawy, bo po tym, jak dałeś czadu z naszym dobrem narodowym, chciałem ci zlecić inną dużą sprawę.

– Jaką? - zapytał Hubert, choć dobrze znał odpowiedź.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? Oczywiście ustalenie tożsamości tego superbohatera! A raczej superterrorysty. Nie chciałbyś? Bez względu na to, czy to charakteryzacja, czy nie, ten ktoś na co dzień powinien wyglądać normalnie. Musi chodzić do sklepu po jedzenie, mieć jakąś pracę i tak dalej. A przede wszystkim prawie na pewno mieszka w Warszawie.

Hubert milczał. Wcale nie dlatego, że zastanawiał się nad propozycją.

– Ludzie zasypują nas mailami w tej sprawie - ciągnął Materka. - Namawiają, żebyśmy się tym zajęli, właściwie odkąd gość pojawił się po raz pierwszy. To obecnie chyba najgorętszy temat w kraju i ten, kto odkryje tożsamość tego faceta, nie dość, że sam zostanie bohaterem, to jeszcze zarobi krocie. Czuję, że to materiał na kolejny rekord sprzedażowy. Dlatego pomyślałem o tobie. Co ty na to?

Hubert złapał się drżącą dłonią za skroń. Musiał wzniesić się na wyżyny, jeżeli chodzi o granie głosem.

– Nie, szefie.

– Dlaczego?

– Obawiam się, że to może być niebezpieczne.

– Owszem, tak się zapowiada. Ale kto, jak nie ty?

– Wołałbym nie - uciął.

– Czyżbyś miał coś na sumieniu? - zapytał żartobliwie Materka, lecz Hubert wyczuł, że pod tym tonem kryje się pełna powaga i jak najbardziej szczerą ciekawość. W dziennikarskim zawodzie inaczej się nie dało.

– Nie - odpowiedział. - Ale obawiam się, że jemu to może nie robić żadnej różnicy.

– Prawda - stwierdził Materka i westchnął. - No dobrze. Nie jestem zadowolony, ale pozostaje mi to uszanować. Zapytam kogoś innego. Z mojej strony masz zgodę na pracę zdalną. Powodzenia, z czymkolwiek teraz się mierzysz, i wracaj do nas jak najszybciej.

– Bardzo dziękuję! Do usłyszenia.

Hubert cisnął smartfona na kanapę i zaczął w pośpiechu się pakować. Narastała w nim panika. Nawet nie sprawdził, czy o niczym nie zapomniał, tylko wybiegł z mieszkania. Wrzucił bagaż na tylne siedzenie samochodu i wyjechał z parkingu w nieokreślonym kierunku. Trochę pewniej poczuł się dopiero wtedy, gdy minął tabliczkę z przekreślonym napisem „Warszawa”, ale i tak raz po raz zerkał we wsteczne lusterko i wyostrzył słuch na to, czy coś nie stuka w dach.

Natomiast za nim, w dyskretnej odległości, podążał samochód, w którym siedziało dwóch mężczyzn.

\* \* \*

Beata słuchała tragicznej historii Dawida opowiadanej tym razem przez głównego bohatera, a nie gazetowego redaktora. Jako dziecko był świadkiem makabrycznej śmierci swoich rodziców i kilku bandytów, ale spowodowało to wówczas u niego taki szok, że praktycznie nic z tego nie pamiętał. Bardzo ją przeżył - i nadal przeżywał, co Beata widziała w jego nerwowej zabawie dłońmi, spuszczonej głowie i słyszała w niezbyt pewnym głosie. Był niezwykle zżyty z matką, a na domiar złego starsza siostra wytoczyła wobec niego absurdalne zarzuty, że jako kilkulatek był w stanie brutalnie zamordować kilkoro dorosłych ludzi, i to w sytuacji, gdy nie widziała na własne oczy, jak było naprawdę. Dawid wciąż nie dowierzał, jak mogła wymyślić historię z dziwną polaną w lesie, aby uwiarygodnić jego rzekome wilkołactwo, z którym mógł się kojarzyć charakterystyczny kolor jego oczu. I choć został oficjalnie uznany za niewinnego, siostra i tak rozpuściła tę działającą na wyobraźnię pogłoskę wśród jego rówieśników, przyklejając mu łątkę dziwadła. Dzieci, jak to dzieci, o wiele swobodniej i z bardziej otwartym umysłem podeszły do tych fantastycznych teorii. Szybko podjęły temat, nawet jeżeli nie do końca w niego wierzyły, i zamieniły Dawidowi szkolne życie w piekło, co bolało go do teraz. Był bardzo samotny, więc szukał akceptacji w innych środowiskach i rzeczywiście niektórzy z jego przyjaciół pochodzili z przestępczych rodzin, jak na przykład Jacek, ale teraz, jako właściciel GFC, prowadził w stu procentach legalny i uczciwy biznes, którego Dawid był częścią. A siostra nie chciała go znać do dziś.

– Jak pan się czuje w związku z tym, że gazeta ponownie wywlekła tę historię? - zapytała Beata.

Dawid spojrzał w podłogę i westchnął.



– Poczuję się trochę jak wtedy. Wytykany palcami, nawet jeżeli nie z powodu odrzucenia przez innych. Wróciły wspomnienia związane z utratą mamy i taty. Ludzie próbowali mi wtedy wmówić, że to moja wina. Tak bardzo, że w pewnym momencie zacząłem w to wierzyć.

– Ale wszystko dobrze się skończyło. Teraz praktycznie wszyscy, którzy poznali te zdarzenia, podchodzą do nich ze zdrowym rozsądkiem. Pana fani zostali przy panu. Przeżył pan ogromną tragedię, po której nie zaopiekował się panem żaden terapeuta, a nawet gorzej: dorastał pan w toksycznym środowisku, które usiłowało pana o nią obwinić. To zupełnie normalne i nie powód do wstydu, że teraz, gdy artykuł rozdrapał stare rany, uznał pan, że potrzebuje pomocy. To bardzo dojrzałe podejście i nie powinien pan się go wstydzić.

– Nie wstydzę się.

– Na pewno? - Beata uśmiechnęła się lekko. - Na pana prośbę spotykamy się w największej tajemnicy. Oczywiście, jeżeli to pana krępuje, to też nie jest nic złego. Nigdy, przenigdy nie powinniśmy się wstydzić swoich emocji, na które często nie mamy wpływu. Wiem, że wśród wielu ludzi panuje stereotyp, że z pomocy psychologa korzystają wyłącznie osoby słabe psychicznie, że to oznaka jakiejś ułomności, ale to bardzo ciekawy paradoks. Nie wstydzimy się prosić o pomoc fachowców, kiedy zepsuje nam się komputer, kiedy trzeba wymienić rurę albo przetkać komin, natomiast wstydzimy się, gdy trzeba posprzątać to i owo w naszej psychice, co jest o wiele trudniejsze.

Dawid spojrział na nią i przez jakiś czas patrzyli sobie w oczy. Cisza, jaka między nimi zapadła, pozornie taka sama jak na początku tej rozmowy, teraz wydawała się zupełnie inna. Niekrepująca, swobodna, taka zwykła. Jakby znali się od wielu lat.

– Jak pan się teraz czuje? - zapytała w końcu Beata.

– Lepiej - odpowiedział bez uśmiechu, ale zgodnie z prawdą.

– Wierzę, że wspólnie uda nam się uporać z pana trudnymi przeżyciami, zakopać traumę z dzieciństwa, a przede wszystkim uporządkować pana relację z siostrą. - Zerknęła na zegar na ścianie. - Niestety dziś musimy powoli kończyć, bo obiecałam zwolnić gabinet znajomej, a po panu mam kolejną pacjentkę. Czy chciałby pan dalej się ze mną spotykać? Jestem gotowa pomóc.

– To może... - Dawid przełknął ślinę i również zerknął na zegar, jakby ten odliczał czas do ich nieodwołalnego rozstania - jutro?

– Tak szybko? - zapytała uprzejmie. - Zazwyczaj spotykam się z pacjentami nie częściej niż raz w tygodniu. Z niektórymi nawet raz w miesiącu albo rzadziej. Każda taka rozmowa wymaga przetrawienia, zarówno z ich, jak i z mojej strony.

– Wiem, ale... Po prostu... bardzo dobrze się przy pani czuję i mam lekki niedosyt.

– Dziękuję, bardzo mi miło. Pan również promieniuje dobrą energią.

Wydało jej się, że lekko uniósł kąciki ust. Ucieszyła się w duchu. Już się obawiała, że nie potrafi tego robić. Samo to sprawiło, że stał się w jej oczach o wiele atrakcyjniejszy.

– To dzięki pani - powiedział. - Niedługo mam najważniejszą walkę w karierze i pomyślałem, że przynajmniej do niej wskazana byłaby opieka psychologa. Abym był przygotowany w stu procentach, również mentalnie.

– W porządku. A więc jutro?

– Tak. Może... - Zauważyła, że zerknął na jej dłonie, na których nie miała ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego. - Przepraszam za śmiałość, ale może zaprosiłbym panią na kolację?

Beata się zarumieniła.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale rozmowy terapeutyczne prowadzę tylko w gabinecie lub, gdy już bliżej poznam pacjenta, w swoim mieszkaniu, gdzie jest cisza i spokój, więc...

– A! No tak! - Dawid również się zaczerwienił. - Przepraszam!

Zapadła cisza, na powrót niezręczna i krępująca. Teraz już żadne z nich nie patrzyło na drugie.

– To... ja już pójdę. - Dawid podniósł się z krzesła, a Beata była mu wdzięczna, że zaproponował to jako pierwszy, choć stwierdziła z zaskoczeniem, że jednocześnie jest tym trochę zawiedziona. - Ile należy się za wizytę?

– Sto pięćdziesiąt złotych.

Nie umknęło jej, że starał się podać banknoty w taki sposób, aby nie dotknąć jej dłoni. Odprowadziła go do wyjścia.

– W takim razie... jakby co, będę się odzywał i... do widzenia! -powiedział, ale wciąż nie wychodził. Znowu spojrzeli sobie w oczy i stali w milczeniu. Beata stwierdziła, że w jej klatce piersiowej zaczyna narastać nieokreślone napięcie. Przyjemne. Nie czuła takiego od bardzo, bardzo dawna.

– Wie pan co? - rzuciła nagle, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. - Zmieniłam zdanie. Ma pan na myśli jakąś konkretną restaurację? - Próbowała się uśmiechnąć, co przyszło jej z niemałym trudem.

– A... jaką kuchnię pani lubi?

– Azjatycką.

– O, to super. W takim razie załatwię rezerwację.

– Świetnie. - Mięśnie twarzy Beaty poddały się i wypowiedziała to z miną cyborga, jakby bez emocji, choć te kotłowały się w niej z temperaturą wrzenia.

– Jutro, osiemnasta? - Ich dialog toczył się coraz szybciej, jakby oboje chcieli jak najprędzej zakończyć go konkretnym rezultatem, nim zdrowy rozsądek każe im przerwać.

– Może być.

– Gdzie mam po panią podjechać?

– Rembielińska piętnaście B.

– Super, bardzo dziękuję i... do widzenia!

Wyszedł z gabinetu chyba nawet szybciej niż poprzednio. Zanim straciła go z oczu, zdążyła jeszcze zobaczyć, że jego twarz jest tak zaczerwieniona i błyszcząca, jakby zamieniła się w świecącą czerwoną diodę. Przeszedł przez korytarz, nie odwracając się, a Beata odprowadziła go wzrokiem.

\* \* \*

Przez całe kolejne spotkanie, już w jej własnym gabinecie, nie mogła się skupić. Na koniec nie wzięła od pacjentki pieniędzy, a kiedy wracała do domu, pogrążyła się w tak głębokich myślach, że praktycznie nie zarejestrowała w pamięci pokonanej drogi. Na zakupach zaś niewiele brakowało, a zapomniałaby zapłacić i dopiero ekspedientka wyrwała ją z transu.

Nie dowierzała temu, co się stało. Po pierwsze - złamała pierwszą zasadę profesjonalnej opieki nad pacjentem i umówiła się z nim. Teoretycznie to nic nie znaczyło, mieli tylko zjeść razem kolację, ale wiedziała, że był to ten jeden malutki krok w kierunku, do którego nie miała prawa zmierzać. Mało tego - na miejsce spotkania podała swój adres! Praktycznie obcemu dla niej facetowi! Przy którym czuła się bezpiecznie, bardzo przystojnemu, słynnemu, emanującemu dobrą energią, ale jednak - obcemu. Mogła podać każdy inny, tymczasem chlapnęła prawdziwy, jakby była automatem, który reaguje na określone dane wejściowe.

I choć wiedziała, że postąpiła nierozsądnie, nie dowierzała jeszcze jednej rzeczy. Ze w głębi wcale, ale to wcale tego nie żałowała. I właśnie to było najbardziej popieprzone.

Kiedy weszła do mieszkania, z jej torebki wydobył się dźwięk telefonu. Dzwoniła Ania.

- Cześć.

- Cześć, Beatko!

Z głosu pacjentki biła taka ekscytacja, że Beata przez moment była przekonana, iż już się rozniosło o jej... spotkaniu ze słynnym Dawidem Volkodlakiem.

- Co słychać?

- Widziałas materiał, na którym pokazali tego superbohatera?

- Jaki materiał?

- No, to nagranie, na którym grozi warszawiakom. Niezła afera, co nie? Wydali za nim list gończy! Aż strach wychodzić z domu.

- Nie widziałam. Miałam dosyć napięty dzień i...

- To obejrzyj! Jestem bardzo ciekawa twojej opinii.

- Dobrze - odpowiedziała dla świętego spokoju, choć tak naprawdę marzyła teraz jedynie o gorącej kąpieli w wannie. - Oddzwonię.

Zasiadła przed komputerem i wyszukała odpowiednią stronę. Obejrzała nagranie. Z początku planowała, że zrobi to tylko raz, lecz coś kazało jej obejrzeć je ponownie. A potem jeszcze raz. I znowu. Z każdym kolejnym jej serce biło coraz szybciej. Kiedy skończyła, przez jakiś czas siedziała bez ruchu, nie mając żadnych myśli. No, może poza jedną.

„To niemożliwe!”

Wyparcie. Jeden z podstawowych mechanizmów psychologicznych, o którym wiedzę miała w małym palcu. Choć klocki składają się w spójną całość, nie dopuszcza się konkluzji, że rzeczona całość istnieje, bo tak jest najwygodniej. Tak unika się odpowiedzialności, poczucia winy, strachu i wielu innych nieprzyjemnych doznań.

Uwagę Beaty szczególnie zwróciła końcówka monologu istoty uwiecznionej na nagraniu. Ale nie zawarta w nim groźba, tylko słowa: *Pokaz mi swoje grzechy, a powiem ci, jakim jesteś człowiekiem. Pokaz mi, czego się boisz, a będę wiedział, jak sprawić, że będziesz cierpiał.*

Skojarzyło jej się to ze zdaniami, które sama wypowiedziała niedawno do jednego ze swoich pacjentów. I tak się dziwnie składało, że pamiętała, do kogo je skierowała oraz że rozmawiali wtedy o roli strachu w wywieraniu wpływu na ludzi.

*Pokaz mi, na czym ci zależy, a wskażę twoje lęki i vice versa. Pokaż mi swoje lęki, a powiem ci, jakim jesteś człowiekiem. A jeżeli się nie boisz, przestałeś nim być.*

A potem...

– *Rozmawialiśmy o strachu. Opowiadałem pani, jakie było jedno z najstraszniejszych zdarzeń w moim życiu?*

– *Chyba nie.*

– *Jako dziecko przez pomyłkę wziąłem udział we mszy świętej z modlitwą o uwolnienie.*

– *O uwolnienie...?*

– *Od demonów.*

Zrobiła zaniepokojoną minę, pomyślała przez moment, po czym wpisała w Google „egzorcyzmy Warszawa”. Szybko znalazła kilka artykułów dotyczących tragicznych zdarzeń w domu na obrzeżach miasta, w których brali udział księża Ludwik K. i Dorian W., obaj pełniący posługę w parafii pod wezwaniem Świętego Benedykta na Bielanach. Stało się to dwudziestego maja, wczesnym popołudniem.

Sprawdziła kalendarz, w którym zapisywała umówione wizyty pacjentów. Data zgadzała się co do joty. To właśnie wtedy, przed południem, po raz ostatni spotkała się z Dorianem.

Wróciła do materiału na stronie internetowej GreaTV, który kończył szczegółowy rysopis istoty. Cofnęła nagranie do jej monologu i zatrzymała w takim momencie, by zyskać jak najwyraźniejsze ujęcie.

Zmrużyła oczy. Wzrost i szczupła sylwetka się zgadzały, choć nie wiedziała, czy Dorian w rzeczywistości jest tak muskularny, nigdy bowiem nie widziała go z nagim torsem. Pozostałe elementy wyglądu - w ogóle, konkretnie kruczoczarne włosy, sina skóra, wyostrzone rysy twarzy, ostre zębiska, czarne oczy, nienaturalnie duże dłonie i te czarne, sztyletowe pazury, niemniej...

Zrobiła zrzut ekranu i powiększyła go najbardziej, jak mogła, aby nie zamienił się w niewyraźny zbiór pikseli. Skupiła się na twarzy istoty. Gdyby przyjąć, że wszystkie wymienione cechy wyglądu to część transformacji, należało spróbować sobie wyobrazić, jak prezentuje się człowiek, który się za nią kryje. Jak wygląda z normalnymi rysami, zwykłymi oczami i zębami...

Właściwie nie musiała sobie tego wyobrażać. Wiedziała. Wiedziała, tylko wciąż wypierała prawdę. Jej serce biło jak młotem. Wpatrywała się w uśmiechniętą demoniczną twarz na ekranie. Czarne oczy stwora zdawały się prześwieślać ją na wylot, jakby wysyłały komunikat: „Widzę cię, niegrzeczna dziewczynko! Idę do ciebie!”.

Wzdrygnęła się. Zrobiło jej się słabo, jakby samo zdjęcie emanowało złą energią. Wreszcie nie wytrzymała i zamknęła je. Od razu poczuła się lepiej.

Myślała intensywnie. Choć była przerażona, wiedziała, że nie może tego tak zostawić, czy tego chce, czy nie. Jeżeli to naprawdę Dorian, należało coś z tym zrobić. Coś. Nie miała pojęcia co.

Spojrzała na telefon leżący na biurku, po czym sięgnęła po niego drżącą ręką. Najwolniej, jak mogła, włączyła ekran. Sprawdziła w Internecie numer telefonu do kościoła Doriana i zadzwoniła tam. Odebrał ksiądz, który przedstawił się jako Szymon Bednarczyk. Zapytała go o Doriana i uzyskała informację, że ten opuścił parafię i już w niej nie pracuje. Próbowała się dowiedzieć, gdzie może go znaleźć, ale ksiądz Szymon odpowiedział, że nie jest uprawniony do podawania takich informacji, może jedynie przekazać byłemu wikaremu jej numer i dane, gdyby była taka potrzeba. Beata podziękowała i zakończyła połączenie. Nie mogła się przyznać, że jest psycholożką, z którą spotyka się Dorian, bo sam prosił o dyskrecję.

Weszła do spisu kontaktów i wyszukała stosowny numer. Zawahała się po raz ostatni, lecz w końcu wstrzymała oddech, dotknęła zielonej słuchawki na ekranie i przyłożyła telefon do ucha, podczas gdy uderzenia jej serca jak gdyby roznosiły się echem po pustym mieszkaniu. Pierwszy sygnał, drugi, trzeci, czwarty, piąty...

Wreszcie usłyszała męski głos, od którego znowu się wzdrygnęła. Nie należał do Doriana.

*– Osoba, do której dzwonisz, nie odpowiada. Spróbuj ponownie później.*

Beata wypuściła powietrze. Podświadomie cieszyła się, że nie odebrał. Właściwie teraz, kiedy nad tym myślała, nie wiedziała nawet, co miałaby mu powiedzieć, o co zapytać, by upewnić się co do swoich podejrzeń i nie zabrzmieć głupio.

„Dzień dobry, Dorian! Czy przypadkiem nie ty jesteś potworem, o którym tyle trąbi się ostatnio w mediach? To ty umiesz wspinać się po ścianach, wypluwać gwoździe, okręcać głowę jak lalka i wyczuwać ludzkie przewinienia z odległości? Nie żeby coś, ale bardzo mnie to ciekawi”.

Ponownie spojrzała na zieloną słuchawkę pod jego imieniem na ekranie. Nie miała odwagi dotknąć jej ponownie. Ale wiedziała, że musi. Musi się upewnić, bo inaczej poczucie odpowiedzialności i niepewność nie dadzą jej żyć.

Już kierowała ku niej palec, kiedy przyszedł SMS. I to od Doriana.

*Dzień dobry. Czy moglibyśmy się spotkać?*

Zaczęła dygotać tak bardzo, że aż odłożyła telefon na biurko, by po chwili ponownie wziąć go w dłonie. Usiadła na kanapie, wpatrując się w ekran. Wyobrażała sobie, jak czarnowłosa istota trzyma smartfona swoimi nienaturalnie wielkimi dłońmi, jak wykrzywia obie twarze w złośliwym uśmiechu, szczerząc ostre zębiska, jak dotyka ekranu czubkiem pazura i...

Beata myślała gorączkowo. Czy na pewno tego chciała? Czy na pewno dobrze to przemyślała? Wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Nie tyle dla dobra Doriana, ile wszystkich wokół.

Zebrała się w sobie i odpisała:

*Jutro, na przykład o 17:00?*

Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

*Do zobaczenia.*

Odłożyła komórkę na biurko i odczuła taką lekkość w rękach, jakby przed chwilą trzymała co najmniej dziesięciokilogramowy ciężar.

Nabrała powietrza. Jutro. Wszystko okaże się jutro. Podejrzewała, że wystarczy, by Dorian stanął w jej progu i wyczuła, jaką energią emanuje. Spojrzała na zegar

wiszący na ścianie i już teraz wiedziała, że czas dzielący ją od tego spotkania będzie płynął dwa razy wolniej niż normalnie.

Kilka wdechów i wydechów pozwoliło jej poczuć się trochę lepiej. A może to jedna wielka bzdura? Może martwiła się na zapas i to tylko zbieg okoliczności? Trzeba być optymistą, programować umysł na pozytywne myślenie, a wtedy wszystko pójdzie dobrze. Powtarzać sobie afirmacje bezpieczeństwa. Tak mówiła każdemu pacjentowi, który przychodził do niej z lękami. Należało teraz samej się do tego zastosować.

Wstała z kanapy i dopiero wtedy przypomniała sobie, że jutro o osiemnastej miał przyjechać po nią Dawid. Przeklęła w duchu. Co robić? Odwołać tę kolację? Przełożyć ją na inny termin? Musiałaby nie podać powodu albo skłamać. Nie zamierzała nikomu zdradzić, że być może odkryła, kto jest istotą, której poszukuje policja, dopóki ostatecznie się co do tego nie upewni. Cmoknęła z dezaprobatą i pokręciła głową, zła na siebie, że uległa emocjom i nieprawidłowo to rozegrała. Czuła jednak, że jest już za późno na pertraktacje z Dorianem lub czymś, co nim sterowało. Gdyby teraz zaczęła kombinować, żeby przełożyć ich spotkanie i najlepiej przenieść je w miejsce publiczne, wyczułby, że się go boi. A tego nie chciała. Nie chciała, by tak myślał i ewentualnie skorzystał z tej wiedzy.

Wzięła telefon do ręki, zdecydowana zadzwonić do Dawida i spróbować jakoś mu to wytłumaczyć, lecz wtedy coś jej przyszło do głowy. Może w sumie dobrze wyszło? Gdyby coś jej się stało (odpukać!), mógł wezwać pomoc. Może nawet mógłby zainterweniować? Zaraz jednak odwiodła się od tego pomysłu. Nie mogła narażać Dawida. Był co prawda sportowcem, zawodowym fighterem, ale ten stwór, kimkolwiek był, w pojedynkę radził sobie z grupami bandytów liczącymi kilka, czasem nawet kilkanaście osób. Żaden człowiek, nawet ktoś, kto zarabiał na życie, walcząc w klatce, nie miał z nim szans. Niemniej Beata czuła, że potrzebuje choćby minimalnej poduszki bezpieczeństwa. W końcu postawiła na kompromis i zadzwoniła do Dawida. Już sam jego głos sprawił, że poczuła się pewniej.

– Halo?

– Dzień dobry, panie Dawidzie. Dzwonię w nietypowej sprawie.

– Do mnie?

– Proszę absolutnie nie myśleć, że wykręcam się z naszego jutrzejszego wyjścia. Mam jednak gorącą prośbę. Gdybym jutro równo o osiemnastej nie wyszła do



pana ze swojego bloku, proszę wezwać karetkę i policję.

Dawid milczał przez moment.

– Rzeczywiście, dość nietypowa prośba. Coś się stało?

– Nie, to nic takiego.

– Ktoś pani grozi? Jakiś pacjent? Proszę powiedzieć. Rozwiążę ten problem raz-dwa.

Beata pomyślała, że bojowość w jego głosie jest na swój sposób rozczulająca. Wiedziała, że naprawdę by to zrobił, gdyby go poprosiła, w każdym razie gdyby chodziło o zwykłego człowieka.

– Niestety nie mogę zdradzić szczegółów. Najpewniej nic mi nie grozi, ale wolę dmuchać na zimne.

– Pani Beato, zaniepokoiła mnie pani - powiedział i rzeczywiście usłyszała to w jego głosie. - Jest pani pewna, że wszystko jest w porządku?

– Tak, to dosyć skomplikowane. Może mi coś grozić, ale nie musi, a w tym drugim przypadku nie chcę, aby nastawiał się pan negatywnie do pacjenta, który ode mnie wyjdzie, bo może być zupełnie niewinny. I wtedy on też zasługuje na dyskrecję. Mam nadzieję, że pan rozumie, co mam na myśli. Bardzo proszę, żeby na razie nie zadawał pan więcej pytań i mi zaufał.

– Dobrze, skoro pani prosi. Ale nie czuję się uspokojony.

– To tylko dodatkowe zabezpieczenie. Jutro, osiemnasta, widzimy się pod moim blokiem. Nie wcześniej.

– Ale jeżeli coś pani się stanie, muszę znać numer pani mieszkania. I wiedzieć, jak uzasadnić zgłoszenie.

Miał rację.

– Może pan zgłosić pobicie. Ale podkreślam: tylko wtedy, jeżeli nie wyjdę. A numer mieszkania to osiemdziesiąt dwa.

– Dziękuję. Ma pani moje słowo, że zachowam go dla siebie.

Wierzyła mu.

– Bardzo dziękuję za pomoc i do zobaczenia jutro!

– Do zobaczenia.

Odłożyła telefon, czując się znacznie pewniej. Zrobiła zawziętą minę.

„Czymkolwiek jesteś, Dorian, nie przestraszę się ciebie!”

# ROZDZIAŁ XVIII

Choć było późno, premier Rafał Fedorowicz jeszcze nie spał. Zazwyczaj kładł się około pierwszej w nocy i do tej godziny, kiedy nie musiał przejmować się żoną, dziećmi i krajem, siedział w swojej domowej bibliotece i czytał. Tak byłoby, gdyby wszystko w jego życiu toczyło się zgodnie z codzienną rutyną. Tak naprawdę nie mógł się skupić na tekście i tylko przelatywał go wzrokiem, podczas gdy jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

Wciąż pamiętał komunikat tej dziwnej istoty zarejestrowany na dachu warszawskiego apartamentowca. Komunikat, w którym groziła również politykom. Wiedział o nim już niedługo po zajściu, policja natychmiast przekazała go ministrowi spraw wewnętrznych. Należało się spodziewać, że szybko wycieknie do mediów i wywoła panikę. Tak też się stało, a dziennikarze nie dawali mu żyć. Wypytywali, jakie działania podejmie rząd w kwestii ochrony obywateli, czy zastanawia się nad wprowadzeniem stanu wyjątkowego ze względu na zagrożenie terrorystyczne. Zrobił, co mógł, zaangażował w sprawę służby specjalne i nawet spotkał się ze specjalistami od namierzania szpiegów. Byli przekonani, że wszystko, co wyczynia ten osobnik, choć wygląda bardzo efektownie, da się racjonalnie wyjaśnić i nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego. Że to wszystko właśnie ma tak wyglądać, by wywołać określony efekt, może odwrócić uwagę od prawdziwego pochodzenia możliwości tej osoby. A skoro stał za tym człowiek, może nawet grupa, która miała na celu przerażenie społeczeństwa i zmniejszenie jego zaufania do władzy, to tylko kwestia czasu, kiedy popełni jakiś błąd i zostanie namierzona. I choć te zapewnienia podniosły Fedorowicza na duchu, wciąż nie mógł się doczekać telefonu z upragnioną informacją.

Przestał myśleć i napiął wszystkie mięśnie, kiedy w głębi domu rozległ się jakiś odgłos. Przypominał szuranie szybko przemieszczającego się kota. Fedorowicz otworzył szerzej oczy, wstał z fotela i już sięgał po krótkofalówkę zapewniającą mu łączność z SOP-owcami ochraniającymi jego posesję, kiedy coś wpełzło po suficie do biblioteki. Poruszało się tak szybko, że premier z początku pomyślał, że to gigantyczny owad, i zadrżał spazmatycznie. Zaraz jednak, kiedy osobnik wylądował przed nim na podłodze i szponiastą ręką wyszarpnął mu z dłoni krótkofalówkę, zrozumiał, że to, czego się obawiał, to, o czym przed chwilą myślał, stało się rzeczywistością.

Głęboko czarne oczy istoty zdawały się prześwieślać Fedorowicza na wylot, a obie twarze - ta ukryta pod skórą na klatce piersiowej również - wykrzywiły się w wyrazie ekstremalnej złości.

- Dobry wieczór, panie premierze - powiedziała podwójnym głosem. - Wpadłem porozmawiać. Podejrzewam, że do pana domu nie da się dostać tak, żeby absolutnie nikt tego nie zauważył, więc mamy niewiele czasu.

Fedorowicz był tak przerażony, że nie mógł się skupić. Po wielu skomplikowanych operacjach jego umysł zdołał wyprodukować jedynie króciutkie:

- Jak...?

- Pomyślałem, że któryś z ochroniarzy musi mieć klucze - odpowiedział stwór. - I prawie się nie pomyliłem. Przyznam, to było sprytne, że nie powierzył pan kluczy dowódcy, tylko kilku podkomendnym. Musiałem trochę się naszukać.

Premier przełknął ślinę, z trudnością oderwał wzrok od kreatury i spojrzał za okno.

- Proszę się nie martwić. Nikomu nic poważnego się nie stało. Są tylko trochę... ogłuszeni - stwierdził stwór.

Fedorowicz cofnął się o krok i wpadł na fotel, na którym niedawno siedział. Niewiele brakowało, a upadłby niezgrabnie na plecy.

- Spokojnie, panie premierze. Nic panu nie zrobię. - Stwór powtórnie zmniejszył dystans między nimi. - Chcę tylko pogadać. Nierozsądnie byłoby również wzywać pomocy i budzić żonę czy dzieci. To ich nie dotyczy. Po co niepotrzebnie je straszyć?

- Czego chcesz? - warknął rozpaczliwym szeptem Fedorowicz. Stwór zmrużył oczy i zlustrował go od stóp do głów.

– Ciekawe - powiedział jakby do siebie. - Bardzo ciekawe.

– Wynoś się z mojego domu!

– Ależ łowy! - ciągnął niezrażony. - Przyszedłem pogadać o pana hipokryzji, kiedy wygłaszał pan przed kamerą hasła o równości wobec prawa i o tym, że żaden człowiek nie powinien mieć monopolu na decydowanie, co jest dobre, a co złe. To bardzo zabawne, kiedy takie słowa padają z ust szefa rządu, który ma monopol na ustalanie prawa. Rządu umoczonego w liczne afery, za które nikt nigdy nie odpowiedział, bo ręce myją ręce tak często, że aż się błyszczą. Nie spodziewałem się jednak, że tych afer jest tak dużo. A przede wszystkim, że w pana kombinacji brudów znajdę również gangstera o pseudonimie Zet.

Fedorowicz zeszywniał i zbladł. Stwór świdrował go zmrużonymi oczami.

– To chyba bliski znajomy, co? Bardzo hojny. Widzę, że z własnych pieniędzy pokrył sporą część budżetu waszych kampanii wyborczych i macie u niego dług wdzięczności. Pomaga wam także w taki sposób, że jego media subtelnie wybielają wasze działania. Przymykacie oko na jego ogromne przestępcze imperium, a on w zamian milczy o tym, co o was wie, i przyjmuje wiele intratnych zleceń. Jego firmy, pozornie z nim niezwiązane i kierowane przez słupy, wygrywają wiele publicznych przetargów. Oprócz tego rozwiązuje trudne problemy i szuka politycznych haków na opozycję. Czasem podrzuca wam jakieś ochłapy ze swoich interesów, abyście nie wyszli źle na tym finansowo i zachowali pozory, że to partnerska relacja, a nie trzymanie państwa za mordę przez jednego niezwykle wpływowego bandytę. Bardzo dobrze się składa, bo go szukam. Jak go znajdę?

Fedorowicz wpatrywał się w stwora z otwartymi ustami, zszokowany. Ten zaś doskoczył do niego i złapawszy szponiastą dłoń za szlafrok, przyciągnął do siebie.

– Jak go znajdę, panie premierze? - warknął.

– N-nie wiem! - wyjąkał Fedorowicz. Nie skłamał. Nie wiedział, gdzie mieszka Zet. Nigdy nie spotkali się na żywo i jeżeli rozmawiali, to wyłącznie przez telefon lub Internet.

Stwór puścił Fedorowicza, a ten upadł na fotel.

– Spryciarz z niego - powiedział cicho. - Nikt nie wie, jak go dorwać... - Zamilkł na moment i uniósł wzrok, jakby się nad czymś zastanawiał. - Ale macie kontakt, prawda? Proszę mu przekazać, że go znajdę i już niedługo wyląduje w więzieniu.

Oczywiście, abym miał pewność, że go pan nie wypuści, muszę doprowadzić do dymisji rządu. Myślę, że gdyby zapytano pana o to przed kamerami, sam powiedziałby pan, że dla dobra tego kraju nie mogą rządzić nami politycy powiązani z przestępcami.

Fedorowicz wytrzeszczył oczy.

– Nie... - wychrypiął przez zaciśnięte gardło.

– To nie będzie trudne - kontynuował spokojnie stwór. - Muszę przyznać, że czytanie o aferach, w jakie jest pan zamieszany, jest bardzo ciekawe. Na przykład zlecenie Zetowi zabójstwa niejakiego Witolda Grossa, pamięta pan? - Uśmiechnął się drapieżnie.

Premier poczuł, że robi mu się słabo. Przytrzymał się podłokietników.

– Rok dwa tysiące czternasty, polityk opozycji, który z mównicy groził, że ujawni mediom dokumenty kompromitujące radę ministrów. Kiedy rozmawiał pan z Zetem o tym zleceniu, z pana ust padło „Zapierdol tego jebanego Żyda, żeby nie robił problemów”. Gross zginął w rzekomym wypadku samochodowym, w każdym razie taką narrację prowadzono potem w publicznych mediach i tych należących do grupy Great. Śledztwo umorzono na pana ciche polecenie.

– Skąd...? - Zszokowany Fedorowicz nie mógł uporządkować myśli, a po jego ciele rozlewała się fala przeszywającego zimna, która odbierała mu oddech i w końcu dotarła do gardła.

– To nie wszystko. - Stwór świdrował go spojrzeniem. - Widzę również całą resztę. Całe morze szamba. Nieuczciwe zagrywki polityczne, okłamywanie wyborców, wspinanie się po szczeblach kariery po trupach, nielojalność, donosy, korupcję, kradzież publicznych pieniędzy, tuszowanie afer kolegów, zlecenie opłacanego czarnego PR-u opozycji, odwracanie uwagi opinii publicznej od poważnych problemów białym szumem informacyjnym, niszczenie karier nielojalnych posłów i urzędników, obsadzanie wysokich stanowisk w spółkach Skarbu Państwa znajomymi oraz rodziną i wiele, wiele innych... To chore, że z takich praktyk zrobiono normalność i właściwie już nikogo nie ruszają. Chore, że tak obecnie wygląda świat. Jest pan skończony. Wielu pana kolegów także. Radzę podać się do dymisji i jak najszybciej zarządzić nowe wybory. W końcu nie chcemy, żeby kraj pogrążył się w chaosie, prawda?

Istota odwróciła się do premiera plecami i ruszyła w stronę wyjścia z pokoju.

– Radzisz?! - Fedorowicz wstał. Jego przerażenie przekroczyło już takie granice, że było mu wszystko jedno i właściwie nie kontrolował tego, co mówi. - Nic nie rozumiesz! Nie rozumiesz, jak działa polityka!

– Nie - odpowiedział stwór, nawet się nie odwracając. - To pan nie rozumie, że skoro polityka tak działa, trzeba zmienić system w całości. I ja tego dopilnuję. Oczyszczę to bagno. Sam. Myśli pan, że nie dam rady?

– Bagno?! Przecież to ty robisz w tym kraju coraz większy bajzel! Przez ciebie ludzie boją się wyjść na ulicę, a wielu ucieka z miasta! Wydaje ci się, skurwielu, że masz monopol na władzę i pojęcie sprawiedliwości?!

Stwór dopiero wtedy zatrzymał się i spojrzał na Fedorowicza.

– Naprawdę trudno znaleźć na tej planecie człowieka, który nie sądziłby, że jego system wartości i moralności jest jedyny właściwy. Zna pan kogoś takiego? Zna pan kogoś, kto nie pragnąłby, żeby świat wyglądał w całości tak, jak on by chciał?

Fedorowicz otworzył usta, ale nie odpowiedział.

– Wie pan, panie premierze, czym różni się zwykły człowiek od nas dwóch? - Stwór znowu się do niego zbliżył. - Że nie posiada narzędzi, żeby ten świat zmienić. Tylko tym. Mam, więc korzystam. Pan też ma... przepraszam, miał. - Zmarszczył mściwie brwi. - Życzę miłej emerytury od polityki - zakończył i bezszelestnie zniknął w ciemnym korytarzu, podczas gdy w tle rozlegało się coraz głośniejsze wycie syren policyjnych radiowozów.

Fedorowicz przez jakiś czas stał w milczeniu, lecz w końcu ugięły się pod nim nogi i ponownie opadł na fotel, czując się, jakby się roztopiał. Próbował myśleć, ale nie potrafił się skupić. Targały nim tak silne emocje, że zakręciło mu się w głowie. Chyba wszystkie możliwe: od ulgi, że stwór nic mu nie zrobił i z własnej woli opuścił jego dom, przez strach o przyszłość - zarówno swoją, polityczną, jak i państwa - po wstyd i upokorzenie, jakich nie doznał nawet po fiasku negocjacji z jakimkolwiek przywódcą innego kraju, z którym dotąd przyszło mu się spotkać. A skoro doświadczał wstydu i upokorzenia, to również automatycznej chęci odwetu i wściekłości, która powoli przeradzała się w furję.

„Jest pan skończony. Wielu pana kolegów także. Radzę podać się do dymisji i jak najszybciej zarządzić nowe wybory. W końcu nie chcemy, żeby kraj pogrążył się chaosie, prawda?”

Zacisnął .drżące pięści.

Owszem, nie chcieli tego. Nie chcieli, by jakiś potwór szantażował ich i mówił, co mają robić. Nie chcieli, by doprowadzał kraj do politycznego kryzysu, który natychmiast zauważyłyby inne państwa. W świecie wielkiej polityki nie ma sentymentów. Albo wykorzystujesz słabość innych, albo to oni wykorzystują ciebie. Liczą się interesy, nie wartości. Tak to wyglądało, wygląda i w demokracji będzie wyglądać do końca świata.

Na szali leżała przyszłość tego narodu. Jego dobro. Taka stawka wymagała podjęcia radykalnych kroków.

Kiedy policjanci upewnili się, że premierowi nic nie jest, wściekły wygonił ich z domu i kazał natychmiast ruszyć w pogoń za stworem. Następnie sięgnął po telefon i obdzwonił wszystkich członków rządu, opowiadając im, co się stało, i nakazując jak najszybszą ucieczkę z Warszawy. Na szczęście nie zadawali zbędnych pytań. Kiedy skończył, wyciągnął ze skrytki jeszcze jeden telefon. Specjalny, używany wyłącznie w wyjątkowych sytuacjach. Takich jak z Grossem, który kilka lat temu również szantażował rządzących zachwianiem fundamentów dobrze działającego systemu.

Fedorowicz zawahał się, patrząc na godzinę, lecz wiedział, że liczy się każda sekunda. Wybrał numer i przyłożył komórkę do ucha. Mężczyzna po drugiej stronie odebrał niemal natychmiast, a jego starczy głos w nawet najmniejszym stopniu nie brzmiał jak zaspany. Wręcz przeciwnie - był dziarski, spokojny i jakby zadowolony. Jak gdyby jego właściciel spodziewał się telefonu i tylko na niego czekał.

– Dobry wieczór, panie premierze. Czym mogę panu służyć?

# R O Z D Z I A Ł      X X I X

Beatę przez całą noc dręczyły koszmary, w których uciekała przez ciemne miasto goniona przez jakąś nadludzko szybką istotę. Bez przerwy się budziła, a kiedy nadszedł świt, uznała, że ta prowizorka jest bez sensu, i dynamicznie podniosła się z łóżka. Zjadła o wiele skromniejsze śniadanie niż zwykle, a potem dla uspokojenia zasiadła do prezentacji multimedialnej, którą miała przygotować na zbliżającą się konferencję. Nie mogła jednak się skupić, a jej myśli bez przerwy krążyły wokół popołudniowego spotkania i aż żałowała, że dzisiaj nie ma innych wizyt, choć znając życie, żaden z jej pacjentów i tak nic by z nich nie wyniósł. Wreszcie zamknęła laptopa i po raz nie wiadomo który tego dnia spojrzała na zegar. Jej przewidywania się sprawdziły - czas zdawał się płynąć nadzwyczaj wolno.

Uległa pokusie i zajrzała do sieci. Tematem dnia na wszystkich portalach internetowych było odwołanie posiedzenia Sejmu ze względów bezpieczeństwa oraz wyprowadzenie wszystkich policjantów na ulice. Zabezpieczono również siłami wojskowymi strategiczne punkty w mieście, takie jak ratusz, Belweder, elektrownie, przepompownie wody czy metro. W kuluarach ponoć dyskutowano nad rozwiązaniem problemu terroryzmu w mieście „na inne sposoby”. Z tego, co Beata zdołała się zorientować, większość komentujących odnosiła się do tego pozytywnie. Niektórzy internauci natomiast nie przebierali w słowach i wprost pisali, że do potwora należy strzelać. „W końcu prawa człowieka, jak sama nazwa wskazuje, dotyczą tylko ludzi”.

„Boże, Dorian, coś ty narobił?” - pomyślała, łapiąc się za głowę.

Kiedy godzina ich spotkania zaczęła niebezpiecznie się zbliżać, Beata założyła ręce na piersi i krążyła po pokoju, próbując się uspokoić i dodać sobie odwagi.



Wychodziło średnio. Powtarzała sobie, że jest bezpieczna, że jakby co Dawid wezwie pomoc, że bądź co bądź Dorian wiele jej zawdzięcza i nie miałby powodu zrobić jej krzywdy, a tak w ogóle na pewno nie ma czym się martwić, to tylko zbieg okoliczności i odbędą zwykłą rozmowę na temat jego problemów osobistych. W końcu z jakiegoś powodu o nią poprosił, a gdyby chciał coś zrobić Beacie, po prostu wtargnąłby do jej mieszkania. Miał wybór i rozegrał to w cywilizowany sposób. Może zwyczajnie potrzebował wsparcia. Ona potem natomiast będzie pukać się w czoło, jak mogła w ogóle dopuścić myśl, że to on jest monstrem szalejącym po mieście.

Kiedy rozległ się dźwięk domofonu, wzdrygnęła się i o mało nie krzyknęła. Spojrzała szybko na zegarek i stwierdziła, że wybiła siedemnasta. Zdziwiła się - czas spędzony na rozmyślaniach dla odmiany minął jej niewiarygodnie szybko.

Pomaszerowała do przedpokoju. Jej stopy wydawały się przeraźliwie ciężkie, tak samo jak dłoń, którą podniosła słuchawkę domofonu, i język, kiedy próbowała powiedzieć jak najpewniej:

- Tak, słucham?

- Dzień dobry, tu Dorian - rozległ się znajomy głos. Normalny, taki, jaki zapamiętała, choć wyczuła w nim pewien... żal? Złość? Wypowiedział słowa, które zawsze padały przed wizytami.

- Zapraszam - odpowiedziała i wdusiła przycisk zwalniający elektrorygiel. Nie zdążyła nawet w pełni nabrać oddechu, kiedy usłyszała dla odmiany dzwonek do drzwi. Zesztywniała. Wydało jej się, że od kiedy wpuściła Dorianą na klatkę schodową, minęło zaledwie kilka sekund, a mieszkała na jednym z najwyższych pięter w bloku. Z drugiej strony nie była pewna, czy znowu mimowolnie nie pograżyła się w myślach i nie straciła poczucia czasu.

„Weź się w garść, kobieto! - zirytowała się. - Sama to wszystko pogarszasz!”

Wyjrzała przez wizjer. Dorian stał nieruchomo przed wycieraczką w taki sposób, że światło dnia z okien klatki schodowej uniemożliwiało zobaczenie jego twarzy. Choć Beata starała się o tym nie myśleć, przemknęło jej przez głowę, że on może doskonale wiedzieć o jej obecności. Jeżeli może, jakimi rzekomo dysponował, to prawda, wyczuwał ją przez drzwi i zdawał sobie sprawę, że ona, zamiast zwyczajowo powitać go w progu z promiennym uśmiechem, teraz bawi się w szpiega.

Nabrała oddechu i sięgnęła do zasuwki w drzwiach. Zwolniła zamek jak najszybciej, jak najpewniej, jak najgłośniej.

– Dzień dobry!

Nie potrafiła zmusić się do uśmiechu. Nie, gdy wyczuła w człowieku przed sobą tak potężną negatywną energię, że nawet bandyta, którego minęła na ulicy przed ich ostatnim spotkaniem, wydawał się przy tym ziarnkiem grochu. Zrobiło jej się słabo i straciła poczucie równowagi, ale zebrała się w sobie i mocno postarała, by tego nie okazać.

„Dosyć!” - pomyślała.

Dorian stał nieruchomo ze spuszczonej rękami. Nie uśmiechał się, a w jego oczach zobaczyła gniew. Wydało jej się jednak, że nie skupia go na niej, tylko na swoich myślach.

– Dzień dobry.

Zeszła mu z drogi i wpuściła do mieszkania, choć do ostatniej chwili rozważała zatrzaśnięcie mu drzwi przed nosem. Wszedł wyprostowany, pewnym krokiem, którego chyba jeszcze nigdy u niego nie widziała. Kiedy stracili kontakt wzrokowy, uważnie mu się przyjrzała. Zadbana też o to, by odruchowo nie zamknąć drzwi na zasuwkę. Tego popołudnia musiały pozostać otwarte.

– Zapraszam. - Wskazała salon. - Napijesz się czegoś? Wody?

Marzyła o tym, by odmówił. Aby nie straciła go z oczu, a potem nie weszła do dużego pokoju, stwierdzając, że jej gość nie siedzi w fotelu, że gdzieś zniknął, i nie uniosła głowy, wypatrując go na...

– Poproszę.

Wypięła pierś, żeby dodać sobie rezonu.

– Dobrze. Wejdz, zaraz do ciebie przyjdę.

Poszła do kuchni i naląła mu wody do szklanki, przeciągając to w czasie. Kiedy przyniosła ją do salonu, obawy się nie potwierdziły. Dorian siedział w fotelu i z tym samym gniewnym wzrokiem wpatrywał się w ścianę.

– Proszę. - Postawiła szklankę na stole.

Myślała, że to tylko gra, że nawet po nią nie sięgnie, ale pomyliła się, bo zaraz opróżnił jej połowę. Nawet w tym geście dało się doszukać pewnego specyficznego... poczucia władzy? Kontroli? Choć Dorian poruszał się wolno,

w żadnym razie nie wypadło to flegmatycznie. Usiadła naprzeciwko niego, chociaż zazwyczaj, gdy się spotykali, siedzieli w stosunku do siebie pod kątem prostym, zalecanym w rozmowach terapeutycznych. Przyjrzała mu się, kalkulując, czy jednak nie obrócić tej wizyty w zdawkową konwersację o niczym i jak najszybciej jej nie zakończyć, ale doszła do wniosku, że to bez sensu, bo najprawdopodobniej i tak wyczuwał jej strach przed nim. Uznała, że mimo wszystko nie zaszkodzi zacząć od kolejnych przyjaznych gestów.

– Dzwoniłam, bo martwiłam się o ciebie. Dość długo się nie widzieliśmy.

Oderwał wzrok od ściany i spojrzał na nią, ale nie odpowiedział. Miał neutralny wyraz twarzy, a jego spojrzenie skojarzyło się Beacie ze wzrokiem androida, który skanuje obiekt i prześwieśla go na wylot, który analizuje i wyciąga wnioski. Cisza stała się niezręczna i Beata zdecydowała się ją przerwać.

– Co słychać?

Dalej nie odpowiadał. Patrzył na nią, a jej zdawało się, że jego oczy zaczynają błyszczeć. Wiedział, że go przejrzała. Musiał wiedzieć. Należało więc za wszelką cenę zakończyć tę prowizorkę i przejść do sedna, czymkolwiek miałyby być i jakkolwiek miało się zakończyć.

– To może ja zacznę. Pamiętasz, jak przed naszym ostatnim spotkaniem zobaczyłeś mnie ślaniającą się na nogach? - Jak na zawołanie znowu doświadczyła problemów z oddychaniem, a po jej twarzy spłynęły kropelki potu, które szybko przetarła rękawem. Czuła się, jakby zachorowała na grypę.

– Pamiętam.

– To dlatego, że... - Wzruszyła ramionami, ale była tak przerażona, że ten gest nie wyszedł zbyt naturalnie. - Trudno mi to nawet dobrze opisać. Mam bardzo rozwiniętą empatię i samoświadomość. Tak bardzo, że można wręcz nazwać to talentem do wyczuwania poziomu energii innych ludzi. Rzadko o tym mówię, bo nie chcę, żeby uznano mnie za wariatkę. Kiedy pacjent do mnie przychodzi, od razu wiem, jak duże ma problemy. Emanuje nimi i swoim stanem emocjonalnym. To jest jak aura.

– Spotkała pani wtedy kogoś takiego na ulicy?

„Po co pytasz, skoro wiesz?” - zapytała w myślach. Jej płuca jak gdyby zamieniły się w kamień. Powietrze w nich również. Kusiło ją, by spuścić wzrok, ale zebrała się w sobie i wytrzymała to.

– Tak. Może nawet mordercę. To energia, jaką emanował, tak na mnie zadziałała. Sama bliskość tego mężczyzny.

Nie odpowiedział, a ona zastanawiała się, jak go ugryźć. Co powiedzieć? Co chciała osiągnąć teraz, kiedy już wszystko wiedziała i była przerażona? Nigdy nie planowała, jak miałyby przebiegać jej rozmowy z pacjentami, wszystko zależało od tego, jakie kwestie padały w nich na bieżąco. Zaczęła żałować, że tutaj nie rozegrała tego inaczej.

– Kiedy rok temu przyszedłeś do mnie po raz pierwszy, wyczuwałam w tobie bardzo dobrą energię tłumioną przez złą, a gdy opowiedziałeś mi o historii z Ewą i Gosią, zrozumiałam, co jest przyczyną tej drugiej. Niemniej z każdą twoją wizytą wyczuwałam, że ci się polepsza, powoli, ale jednak. W ten sposób utwierdzałam się w przekonaniu, że praca, jaką wykonujemy, ma sens. Tyle że teraz... - Ponownie otarła pot z czoła. - Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy poprzednim razem? Co było głównym tematem naszego spotkania?

– O strachu. Powiedziała pani, że najprawdopodobniej nic nie wpływa na nas tak skutecznie jak on, bo bierze się z instynktu przetrwania.

– Dokładnie. - Wzięła się w garść i mimowolnie zacisnęła dłoń w pięść. - Chciałabym dokończyć tę rozmowę, bo telefon od twojego proboszcza przerwał nam w najważniejszym momencie. Powiedziałam wtedy, że nawet psychologia pokazuje, że terapia lękowa to jedyny sposób, by dotrzeć na przykład do psychopatów i zmusić ich do zmiany postępowania.

– Pamiętam - wszedł jej w słowo Dorian.

– Co nie znaczy - spojrzała mu głęboko w oczy - że powinniśmy ją stosować na wszystkich ludziach. A już zwłaszcza w oparciu o ten mechanizm naprawiać świat. Dlaczego to robisz, Dorian?

Choć nie miała takiego zamiaru, zabrzmiało to dosyć konfrontacyjnie i natychmiast tego pożałowała. W pokoju zapadła cisza i zrobiło się w nim przeraźliwie duszno. Beata jednak wytrwale siedziała na kanapie. Skrzyżowała spojrzenia z Dorianem, starając się nawet nie mrugnąć. Ten wpatrywał się w nią nieprzeniknionym wzrokiem. Siedział na fotelu niczym król na tronie - rozluźniony, z rękami spoczywającymi na podłokietnikach i z nieco rozszerzonymi nogami.

Wreszcie westchnął i ku jej zdziwieniu zaczął rozpinać koszulę pod szyją. Zaniepokoiła się, ale zwolnił zaledwie kilka guzików, po czym rozsunął poły, ukazując klatkę piersiową.

I choć wiedziała, co tam zobaczy, napięła wszystkie mięśnie. Motyw, który od jakiegoś czasu nadzwyczaj często przewijał się w mediach.

Druga, wypukła twarz ukryta pod skórą.

Serce Beaty biło jak młotem i zaczęła drzeć, ale próbowała się opanować.

– Cieszę się - wykrztusiła - że wreszcie zdecydowałeś się być ze mną szczerzy.

Dorian powoli położył dłonie na podłokietnikach i opadł plecami na oparcie. Twarz na jego klatce piersiowej została częściowo schowana, lecz jedno z jej ukrytych pod skórą oczu nadal łypało na Beatę zza szpary w niezapiętej koszuli jak przez dziurkę od klucza. Wzdrygnęła się.

– Wiedziała pani już wcześniej? - zapytał spokojnie. - To dlatego pani zadzwoniła?

Beata splotła ręce na piersi i założyła nogę na nogę. Zaciskała je tak mocno, jakby chciała zawiązać kończyny w supełek. Przywarła kurczowo plecami do oparcia kanapy i starała się nie ruszać.

– Twój niedawny manifest, który nagrała policja. Nie wiem, czy zrobiłeś to specjalnie, ale użyłeś w nim podobnej kombinacji słów jak ja pod koniec naszej ostatniej rozmowy. Mam dobrą pamięć i zwróciło to moją uwagę, podobnie jak budowa ciała tej postaci. Potem przeczytałam w rysopisie o wzroście, który również się zgadzał. Przypomniałam sobie, że zanim ode mnie wyszedłeś, znacznie zmienił ci się nastrój. Wspomniałeś o demonach, co musiało oznaczać, że proboszcz dzwonił do ciebie w sprawie, która jest z nimi związana. Znalazłam informację o tragicznie zakończonym egzorcyzmie, w którym brałeś udział i który odbył się tego samego dnia, co nasze ostatnie spotkanie. Dorian... - Starła się nie patrzeć na ukryte pod skórą oko drugiej twarzy, lecz wytrzymała średnio kilka sekund. - Co tam się wydarzyło?

– Nie pamiętam - odpowiedział.

– Słucham?

– Mówię prawdę. Nie pamiętam dokładnie. Tylko pojedyncze migawki, bez konkretów.

– I... I... tak spokojnie o tym mówisz?! - wykrztusiła. - Kiedy ta kobieta zginęła, twój proboszcz został aresztowany, a ty... - Przycisnęła ręce mocniej do piersi. - Jesteś opętany przez demona!

– Nie jestem - odparł spokojnie. - Kontroluję to.

Beata poczuła się, jakby śniła wyjątkowo realistyczny sen. Zdania, które wypowiadał, w połączeniu ze sposobem, w jaki to robił, ostatnimi zdarzeniami w mieście, a przede wszystkim z faktem, kim był do niedawna, zakrawały na jakiś majak. Bełkot. Oderwanie od rzeczywistości. Jakby tego było mało, od złego samopoczucia traciła łączność ze światem.

– Co ty wygadujesz?!

– Kontroluję to - powtórzył, a Beacie wydało się, że usłyszała to wypowiedziane dokładnie tym samym tonem i w tym samym tempie jak poprzednio, jakby usta Doriany stanowiły głośnik odtwarzający nagranie.

– Niby jak jesteś w stanie to kontrolować?! Rozmawiałeś o tym z jakimś egzorcystą? Jeszcze nigdy w historii świata się nie zdarzyło, żeby człowiek potrafił...

– Ale to fakt - stwierdził. - Nie wiem, jak to możliwe, ale potrafię panować nad tymi mocami. Objawiają się dokładnie wtedy, kiedy chcę i jak chcę. To ostateczny dowód, że nie mamy do czynienia z opętaniem. Żaden demon nie pozwoliłby mi wykorzystywać jego możliwości w dobrym celu. Nie rozmawiałem o tym z żadnym egzorcystą, bo wątpię, żeby to zrozumiał. Wystarczy, że uważnie się obserwuję. Czuję się rewelacyjnie i wszystko robię z własnej woli.

– Dorian, czy ty siebie słyszysz?! W dobrym celu?! Z własnej woli?! Chcesz mi powiedzieć, że z własnej woli napastujesz ludzi? Straszysz ich, publicznie im grozisz jak jakiś terrorysta, wdzierasz się do mieszkań...

– Jeżeli chodzi pani o nagranie z dachu tego apartamentowca, to przyznaję, że trochę mnie poniosło - przerwał jej. Jedyłą częścią ciała, która teraz się u niego poruszała, były usta. Wciąż trzymał dłonie na podłokietnikach. - Byłem pijany. Ale nie żałuję tego. Mówi się, że słowa pijanych to myśli trzeźwych. - Nagle załamał mu się głos, a Beata wyczuła w tym mnóstwo żalu, złości i frustracji. - Zanim tamtej nocy wyszedłem z domu, czytałem o sobie w sieci. Kłamstwa, hejt i manipulacje, przekręcanie rzeczywistości, także wśród komentujących te brednie zwykłych internautów. I to ciągle używanie słów, które mają wywołać emocje.

„Skandaliczne”, „szokujące”, „okropne”. Tak opisywano wszystko, co robiłem. W ogóle nie dostrzegano dobrych następstw mojej działalności. Miałem tego dosyć i uznałem, że muszę zrobić z tym porządek. Każdy, kto mnie przyciągnął, zasłużył sobie na to. Oni wszyscy o tym wiedzieli. Nie jestem wściekłym psem, który atakuje każdego, kto się nawinie.

– Nie kłam! Czytałam, że dręczyłeś nie tylko przestępców!

– Kogo tak naprawdę nazwiemy przestępcą, pani Beato? - Teraz w głosie Doriana usłyszała mściwość i zawziętość. - Tego, kto łamie prawo? Prawo nie uwzględnia wielu rzeczy, z którymi również należy walczyć. Niewierności, grania na uczuciach innych, kłamstwa, manipulacji, oszustw, nienawiści w Internecie, której nikt faktycznie nie ściga... Wszystkich tych ludzi wyczułem, ponieważ emanowali takimi rzeczami. Myśleli, że są bezkarni. Szybko i skutecznie pokazałem im, że takie postępowanie nie popłaca. I może być pani pewna, że prędko do niego nie wrócą.

Beata nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego, wciąż siedząc w pozycji zamkniętej.

– Nawet nie ma pani pojęcia, jak wiele jest prawdy w stwierdzeniu, że świat w rzeczywistości jest znacznie gorszy, niż wygląda - Dorian zmarszczył wściekle brwi. - W jakim kłamstwie żyjemy, jak wiele zła nie wypływa na światło dzienne, dzieje się zakulisowo. To tylko postępuje, powoli przejmuje nad nami kontrolę. Ktoś musi to powstrzymać.

– Innym złem, czyli strachem, terrorem i przymusem?

– Sama powiedziała pani, że to działa. A z tego, co czytałem w tych ludziach, nic innego nie zdałoby egzaminu.

– Żaden świat, w którym czynienie dobra wynika ze strachu, nie będzie lepszy! To oszustwo! Nie zmienisz ludzi, zmuszając ich do tego.

– Myślałem o tym, ale ludzie są zmuszani do wielu rzeczy i dostosowują się do nich. Muszą jeść, bo inaczej umrą z głodu. Muszą spać, więc częściej funkcjonują w dzień niż w nocy. Muszą chronić się przed zjawiskami pogodowymi, więc wymyślili dachy, parasole i okulary przeciwsłoneczne. Dlaczego więc w ten sam sposób nie uświadomić im, jak należy postępować? To tylko nowy element rzeczywistości, w jakiej przyjdzie im żyć.

– Jak należy postępować według ciebie. Kim jesteś, żeby decydować o tym, co jest dobre, a co złe? Masz się za jakiś absolut?

– Zna mnie pani i wie, że jestem dobrym człowiekiem. Nigdy nie skrzywdziłbym niewinnej osoby.

– Najwyraźniej wydawało mi się, że znam. Nigdy nie pomyślałabym, że będziesz zdolny do tego, żeby przybić komuś stopę gwoździem do podłogi.

Dorian zrobił tak zawziętą i drapieżną minę, że jego zmarszczone brwi niemalże zastąpiły mu powieki.

– To pseudokibic. Chuligan, który zrobił sobie z przemoce rozrywkę. To był ten sam facet, który pobił mnie dzień przed naszym ostatnim spotkaniem. Pobił też wiele innych osób. Zasłużył na karę. Nie żałuję tego, co mu zrobiłem.

Beata przywarła mocniej plecami do oparcia, ledwo się powstrzymując, by nie spojrzeć na Doriana z odrazą. Próbowwała zachować spokój i myśleć chłodno, choć świadomość, z kim właśnie rozmawia, sprawiała, że przychodziło jej to z ogromnym trudem. Zdała sobie sprawę, że w emocjach, które kumulowały się w niej od poprzedniego popołudnia, nie postępuje jak psycholog, lecz jak zwykły przerażony człowiek. Używa złych metod perswazji, ocenia, oskarża, rzuca ostrymi słowami, podczas gdy powinna wyłącznie zadawać pytania. Jeżeli Dorian był opętany przez demona, nie miała co liczyć na to, że trafi do niego racjonalnymi argumentami. Jej jedyna szansa to sytuacja, w której jeszcze choćby minimalnie pozostał sobą. Żeby mogła do niego dotrzeć, wstrząsnąć nim, odwołać się do wartości, jakie wyznawał, aby sam zrozumiał, co w obecnej sytuacji robi nie tak. Już sam fakt, że tu przyszedł, o czymś świadczył. Miał jakiś powód i najwyraźniej nie była to chęć dręczenia jej. Znała go już trochę i wiedziała, jakie są jego wrażliwe punkty. Wiedziała, że jeżeli nie uda jej się wpłynąć na niego tu i teraz, najpewniej widzą się po raz ostatni, a w mieście dosłownie i w przenośni rozpęta się piekło. Ciężar odpowiedzialności, jaki spoczął na jej barkach, sprawił, że miała wielką ochotę się zgarbić, ale zmusiła się, aby siedzieć prosto.

Wtem odezwał się jej telefon i się wzdrygnęła. Zobaczyła, że dzwoni do niej Dawid, i domyśliła się, w jakim celu. Normalnie przeprosiłaby swojego pacjenta i zapytała, czy może odebrać, teraz jednak bez słowa wzięła smartfona i przeciągnęła palcem po ekranie.



– Tak, słucham? - Przyłożyła telefon do ucha, podczas gdy Dorian obserwował ją bez mrugnięcia.

– Dzień dobry, dzwonię, żeby się upewnić, czy...

– Spotykamy się normalnie - odpowiedziała spokojnie. - Nic się nie zmieniło.

– Czyli wszystko w porządku? Jest pani bezpieczna?

– Tak, jest OK.

– Na pewno?

– Panie Dawidzie, plan jest dokładnie taki, jak ustalaliśmy. A teraz muszę pana przeprosić, bo mam pacjenta.

– Dobrze, ale w razie czego...

– Do zobaczenia!

Zakończyła połączenie i odłożyła telefon. Zastanawiała się, czy Dorian był w stanie wyczuć, że zabezpieczyła się w ten sposób, w gruncie rzeczy uczciwie, bez podawania komukolwiek jego tożsamości. Nie dawał tego po sobie poznać.

– Przepraszam, to tylko mój drugi pacjent.

Nie odpowiedział. W końcu nabrała tyle powietrza, że jej klatka piersiowa nadeła się niczym balon.

– A więc mówisz, że to kontrolujesz, tak? - zapytała, siląc się na spokojny ton. Nie chodziło nawet o to, by oszukać Doriana, tylko samą siebie. By sama uwierzyła, że jest w stanie sprostać wyzwaniu. - Jesteś pewien? Jesteś pewien, że demon w tobie nie ma nic wspólnego z tym, jak się zachowujesz?

– Jestem.

– Wiesz, że możesz mieć rację? Warto się temu przyjrzeć.

Zauważyła, że na jego twarzy pojawił się załączek ciekawości i podejrzliwości. Zmrużył nieco oczy. Dodało to jej odwagi.

– Jest taka reguła, że kiedy czujesz się bezpiecznie i przestajesz się bać konsekwencji swoich czynów, kiedy czujesz kontrolę i bezkarność, stajesz się bardziej sobą. Prawdziwym sobą. Nic cię nie ogranicza. Słyszałeś o stanfordzkim eksperymencie więziennym?

– Nie.

– Polegał na tym, że grupa ludzi miała symulować sytuację strażników i więźniów. W doświadczeniu brali udział zupełnie zwyczajni obywatele, tacy jak

ty albo ja. Zdrowi psychicznie, bez kryminalnej przeszłości i bez uzależnień. Ci, którzy zostali wytypowani na strażników, otrzymali anonimowość i niemalże nieograniczoną władzę nad więźniami. Mogli wymuszać na nich posłuszeństwo tak, jak chcieli.

– Coś obilo mi się o uszy. Chyba nawet nakręcono o tym film. - Beata kiwnęła głową.

– Eksperyment miał na celu sprawdzenie prawdziwości tezy o skłonności do sadyzmu u zwykłych ludzi przeświadczonych, że nie poniosą za to kary. Sprawdziło się. Wiesz, ile czasu zajęło strażnikom, żeby stać się potworami w ludzkiej skórze? Kilka dni. Czerpali przyjemność ze znęcania się nad skazańcami, choć wcześniej żaden test psychologiczny nie wykazywał u nich takich tendencji. Zaczynało się niewinnie: zmuszali więźniów do odliczania, pompek albo pajacyków, ale potem na przykład zabraniali im korzystać z toalety, jeżeli akurat mieli taki kaprys. Niektórych rozbierali, zakładali im na głowy worki, zamykali w izolatkach, nie dawali im jedzenia ani poduszek. Zmuszali ich do czyszczenia muszli klozetowych gołymi rękami, a pod koniec nawet do imitowania aktów homoseksualnych...

– Dlaczego mi pani o tym mówi? - przerwał jej Dorian.

– Chciałam cię zapytać: czy czerpiesz przyjemność z tego, co robisz ludziom?

– Nie. Eksperyment, o którym pani mówi, tylko potwierdza, że ludzie są gotowi popełniać największe okrucieństwa, jeżeli nie mają świadomości kary. Ci strażnicy nie zachowaliby się tak, gdyby mieli ponieść za to konsekwencje.

– Masz rację. - Beata nachyliła się, starannie kontrolując położenie ciała. - Więc teraz powiedz mi, jak jest z twoim poczuciem bezkarności? Z twoim sumieniem? Jeżeli grzeszysz, jesteś człowiekiem. Jeżeli nie grzeszysz, przestałeś nim być. U każdego możesz doszukać się jakiejś skazy. Czyli każdy powinien się ciebie bać. Jak sądzisz, jak zareagowałyby twoja córeczka, gdyby dowiedziała się, że potwór, którego wszyscy się boją, to ty? Nawet gdyby brakowało jej ojca i tęskniła za tym, żeby go poznać? Myślisz, że chciałaby cię przytulić?

– Niech pani nie miesza w to mojej córki! - warknął, a z jego ust wyraźnie wydobyły się dwa głosy.

Beacie wydało się, że rysy twarzy Dorianą trochę się wyostrzyły, choć zaraz wróciły do normalnego wyglądu. Czowała się, jakby siedziała naprzeciwko

agresywnego psa, który jest dosłownie o krok od zerwania się z łańcucha, lecz dalej szła wcześniej obraną ścieżką.

– Jak sądzisz, czy gdybyś nie miał swoich mocy, ale w Warszawie pojawiłby się ktoś, kto działałby dokładnie tak jak ty teraz, byłbyś bezpieczny? Myślisz, że by cię nie wyczuł i nie zaatakował, chcąc ukarać za to, jak dotychczas żyłeś? Jesteś pewien, że nie zmusiłby cię do tego, byś ujawnił się przed Ewą i Gosią, choć nie jesteś na to gotowy? Wyobrażasz sobie, jak by cię pilnował? Jak kontrolował, czy znowu nie uciekłeś? I kazał robić ci coś, czego nie czujesz i nie chcesz, ale wiesz, że powinienes?

Dorian wreszcie oderwał plecy od oparcia i pochylił głowę.

– Niech pani nie wykorzystuje Gosi, żeby mnie zmanipulować! Ona nie ma z tym nic wspólnego!

– Na pewno? A może to właśnie ona jest sednem tego wszystkiego, jak u każdego rodzica? Dla niej to wszystko robisz? Dla niej zdecydowałeś się zachować swoje moce, choć jako ksiądz, który ma o tym większą wiedzę niż przeciętny człowiek, powinienes być pierwszy do tego, żeby pójść z tym do egzorcysty? Czy naprawdę chodzi wyłącznie o walkę ze złem, Dorian? Czy to ona sprawia ci największą satysfakcję? - zapytała. - A może to tylko zasłona dymna? Może twoja obsesja poznawania mrocznych sekretów ludzi ma drugie dno, wyłącznie w twojej psychice?

– Bzdura! - przerwał jej ostro.

Beata paradoksalnie poczuła się pewniej. Wyraźnie wyprowadziła go z równowagi, co świadczyło o tym, że rozmawia z człowiekiem. Z Dorianem we własnej osobie. Odniosła wrażenie, że jest coraz bliżej prawdy, która miała rozwalić mu umysł na kawałki i zostawić z miliardem myśli. Wiedziała, że akurat teraz dla jego dobra musi odłożyć empatię na bok i używać odpowiednich słów, może nawet jak na nią zbyt ostrych. Chodziło o emocje. Pewien wstrząs.

– Powiedz mi szczerze, czy zanim to wszystko się zaczęło, kiedy jeszcze byłeś księdzem, który głosił z ambony, że miłość do drugiego człowieka jest najważniejszą siłą tego świata, lubiłeś spowiadać?

Jego dłonie zacisnęły się kurczowo na podłokietnikach. Wydawały się większe niż normalnie i wyrosły z nich czarne pazury. Nie odpowiedział.

– Lubieś? - dopytała, choć teraz już nie była zaskoczona. - Nigdy mi tego nie powiedziałeś, ale nie szkodzi. Zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego tak się dzieje? Czy nie było tak, że zaczęło się to u ciebie dopiero po tym, jak dowiedziałeś się, że masz córkę?

– Jedno nie ma z drugim nic wspólnego! - warknął Dorian.

– Możesz tak myśleć, ale to nie znaczy, że to prawda. Możesz nawet nie zdawać sobie sprawy, co tak naprawdę sprawiło, że zdecydowałeś się wykorzystać swoje zdolności w taki sposób - stwierdziła stanowczo Beata. - Ale ja już chyba wiem. Tak bardzo obwiniałeś się o to, co stało się między tobą i Ewą i co z tego wynikło, że podświadomie szukałeś sposobu, jak to wyprzeć, żeby poczuć się lepiej. I znalazłeś. Słuchanie grzechów innych ludzi i utwierdzanie się w przekonaniu, że wbrew pozorom nie jesteś z nich najgorszy! Teraz masz nawet lepiej, bo nie musisz siedzieć w konfesjonale. Naprawiasz świat, ale nie to jest w twojej misji najważniejsze. Szukasz potwierdzeń, że jest gorszy niż w rzeczywistości, i wbrew pozorom ci to odpowiada. Że wszyscy mają mroczne sekrety. Tak jak ty.

– Nie! - odpowiedział, dysząc ciężko. - Ja, w przeciwieństwie do pozostałych, w i e m , jak ten świat wygląda w rzeczywistości!

– Tak? Jesteś pewien, że twoja zdolność cię nie oszukuje? Że nie karmi cię wyłącznie złymi informacjami i nie daje skrzywionego oglądu otoczenia? Przekonajmy się. Przeczytaj mnie. Ale nie zło. Przeczytaj, jakie miałam w życiu sukcesy. Komu i jak pomogłam. Bo wbrew temu, co możesz próbować mi wmówić, pomagałam.

Dorian przekrzywił głowę i przyjrzał jej się, a Beata poczuła się nagle, jakby miała do czynienia z gwałcicielem, który ocenia walory fizyczne jej ciała. Wprost pożerał ją wzrokiem. Nie odezwał się jednak. Jego milczenie przedłużało się nieznośnie.

– Nie potrafisz tego przeczytać, prawda? - zapytała cicho, teraz już pewna, że trafiła w dziesiątkę. Jej głos wyrażał współczucie. Szczere, prosto z serca. - Twoje zdolności nie są pełnym jasnowidzeniem. Widzisz tylko złe rzeczy. Jesteś oszukiwany, tak jak ludzie, którzy w mediach słyszą jedynie o tragediach, katastrofach i aferach. Tak jak ci, którym przedstawia się coś wyłącznie od negatywnej strony. Dlatego myślą, że świat jest gorszy niż...

– Jesteś bardzo samotna - przerwał jej.

– To nie jest mój sukces. Mówiłam o...

– Zawsze mnie zastanawiało - ciągnął, nie zważając na jej słowa - dlaczego tak atrakcyjna kobieta nie ma partnera. W pewnym sensie osiągnęłaś już taki poziom duchowy, że trudno ci znaleźć kogoś, kto znajdowałby się na podobnym i cię rozumiał. Spotykałaś się z kilkoma mężczyznami, ale zawsze okazywało się to niewypałem, bo choć byli przystojni, nie miałaś o czym z nimi rozmawiać. Nie mieli nawet części twojej samoświadomości. - Przekrzywił głowę w drugą stronę. - Jesteś rozwódką.

– Nie będziemy o tym rozmawiać! Nie o to cię prosiłam! - podniosła głos, ale on kontynuował bez zająknięcia:

– Masz na swoim koncie toksyczne małżeństwo, zawarte z facetem, z którym związałaś się jeszcze w czasach nastoletnich. To był okropny typ, do perfekcji opanował wywoływanie w tobie poczucia winy. Manipulował, obwiniał, wiecznie miał o coś pretensje. I choć czułaś się przy nim źle praktycznie od początku, byłaś z nim prawie dziesięć lat, a nawet za niego wyszłaś. Kiedy wyciągnął pierścionek, nie potrafiłaś mu odmówić. Masz ogromną wiedzę z psychologii, ale nie dostrzegałaś, jak ten człowiek cię niszczy. - Zamilkł na moment, świdrując ją wzrokiem. - Tyle że i tak najbardziej bołą cię dwa inne mroczne sekrety. Pierwszy: poronienie. Nawet o to Mariusz, bo tak ma na imię eksmałżonek, cię obwiniał. Zamiast wspierać w tym trudnym czasie, próbował ci wmówić, że w trakcie ciąży o sobie nie dbałaś. A najgorsze jest to, że mu wierzyłaś. Ba, choć pracujesz nad tym, wierzysz do tej pory. Dlatego w głębi ducha boisz się ponownie zająć w ciążę. Boisz się zostać matką.

– Dosyć! - przerwała mu ostro. Drżała na całym ciele. Nie tylko dlatego, że wywłókł jej najbardziej bolesną, najgłębiej skrywaną tajemnicę i w jej opisie trafił w sam środek tarczy. Im dłużej mówił, tym bardziej się nakręcał. Zmiany w jego wyglądzie postępowały - rysy ponownie się wyostrzyły, włosy pociemniały, tęczówki stały się czarne, a z jego zwykłym głosem synchronicznie zaczął wybrzmiewać jeszcze jeden - niższy, nieludzki. Negatywna energia, jaka od niego biła, przybrała na sile i jeszcze gorzej wpłynęła na jej samopoczucie.

– Drugi sekret - dodał stwór w ciele Doriana. - Kiedy zaczynałaś pracę psychologa, spotykałaś się z pewną kobietą, która skarżyła się na problemy w związku. Brzmiały niewinnie. Według jej słów nie mogła się dogadać z partnerem, wyprowadziła się od niego do rodziców i powiedziała ci o tym. Ten

mężczyzna wiedział, do którego psychologa chodzi jego była, i zaczął cię nagabywać. Aby dał ci spokój, nieostrożnie chlapnęłaś, że jego partnerka wyjechała do rodziców. Z pozoru nic szczególnego. Niedługo potem jednak dowiedziałaś się o tragedii. Twoja pacjentka nie żyła. Została zamordowana w domu rodzinnym przez tego człowieka, który zaraz po tym popełnił samobójstwo. Poczucie winy po tej zbrodni, która być może wynikała z twojej nieostrożności, trawi cię do dziś. Od tamtej pory trzymasz się zasady, że absolutnie z nikim nie rozmawiasz na temat swoich pacjentów, nie udzielasz jakichkolwiek informacji na ich temat.

Beata oddychała głęboko. Przestała w pełni skupiać się na jego słowach, patrzyła nieprzytomnie na podłogę, a ciężar w żołądku po tym, co usłyszała, narastał z każdą sekundą.

– Wiesz, co stanie się, gdy rozgłosisz, kim naprawdę jestem? -zapytała istota, teraz już po pełnej transformacji, szpetna, w ogóle nieprzypominająca człowieka, którego używała jako nosiciela. - Nie dam się złapać i będę się bronić. Ale jeżeli komuś jednak udałoby się mnie unieszkodliwić i odebrać mi moje zdolności, nie będę mieć żadnych szans, żeby ochronić się przed przestępcami, którzy wydali na mnie wyrok śmierci. Jeżeli pójdę do więzienia, zabiją mnie. Jeżeli jakimś cudem nie pójdę, skrzywdzą moich bliskich, może nawet Ewę i Gosię, które teraz, dopóki jestem anonimowy, są bezpieczne. Jesteś gotowa na takie poświęcenie? Czy twoja psychika jest na to gotowa, biorąc pod uwagę, że już kiedyś ktoś przez ciebie zginął?

Beata powoli traciła kontakt z rzeczywistością. Chciała błagać to coś, co już dawno nie było Dorianem, by przestało mówić, ale nie miała siły nawet na wypowiedzenie takiego krótkiego zdania. Bolała ją głowa, ubywało jej sił i znajdowała się na granicy przytomności. Czula, że jej ciało rozplywa się jak bryła lodu na asfalcie w środku upalnego lata. Zebrała się w sobie i skumulowała całą pozostałą energię, żeby powiedzieć:

– Wyjdź... Wyjdź z mojego mieszkania!

Poczwara wstała z fotela i ruszyła w kierunku wyjścia. Poziom jej negatywnej aury wzrósł tak bardzo, że dla Beaty było już tego za wiele. Miała wrażenie, jakby znalazła się bezpośrednio przy źródle śmiertelnośnego radioaktywnego promieniowania. Wszystko ją bolało, a ciało stało się przeraźliwie ciężkie, także powieki. Zdawało jej się, że waży tonę. Chciała wołać o pomoc, ale nie była w stanie

logicznie myśleć, sama nie wiedziała, czy bardziej pragnie, by to monstrum opuściło jej mieszkanie, czy żeby zlitowało się nad nią i wezwało karetkę.

Zamknęła oczy i straciła przytomność.

# R O Z D Z I A Ł      X X X

Dawid wysiadł z samochodu, rozejrzył się, po czym założył okulary przeciwsłoneczne i kaptur rozpinanej bluzy, którą narzucił na elegancką wyjściową koszulę i zamierzał zdjąć przed powitaniem z Beatą. Niepokoił się. Choć psycholożka twierdziła, że wszystko jest w porządku, jej telefon poprzedniego popołudnia był bardzo dziwny. Niby starała się go bagatelizować i twierdziła, że to tylko dodatkowe zabezpieczenie oraz że najpewniej nic jej nie grozi, ale chciał się upewnić, czy to prawda. Dlatego przyjechał wcześniej. Miał gdzieś dyskrecję pacjenta, z którym teraz się spotykała. Skoro obawiała się go i zakładała, że może być jej potrzebna pomoc, należało patrzeć mu na ręce, nawet gdyby ostatecznie nic jej nie zrobił. Na wszelki wypadek.

Uległ pokusie i zadzwonił do Beaty jeszcze raz. Nie odbierała, co go zaniepokoiło. Ruszył szybko w kierunku jej bloku. Z każdym krokiem zbliżającym go do klatki schodowej niepokój Dawida narastał. Z początku nie potrafił określić, skąd to się właściwie bierze, ale mimowolnie napiął mięśnie, skoncentrował się, wyostrzył słuch i się rozejrzył.

Nie mimowolnie. To złe słowo. I n s t y n k t o w n i e . Wyczuł zagrożenie. Konkretnie jego zapach. Bardzo nieprzyjemny.

Włosy stanęły mu dęba, jakby stroszył sierść. Miał złe przeczucia. Zapach wydobywał się z klatki schodowej, w której znajdowało się mieszkanie Beaty. Akurat wychodziła stamtąd jakaś kobieta. To nie ona tak pachniała, niemniej Dawid skorzystał z okazji, by dostać się do środka, i cieszył się w duchu, że nie skupił na sobie uwagi.



Wyteżył węch i coraz bardziej zaniepokojony podążył za wonią, której ślad prowadził schodami na górę. Na każdym piętrze rzucał okiem na numery na drzwiach. Siedemdziesiąt, siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt osiem...

Osiemdziesiąt dwa.

Przełknął ślinę. Teraz był już tego pewien - nieprzyjemny zapach pochodził z tego konkretnego mieszkania i nie należał do kobiety. Dawid nie potrafił tego wytłumaczyć, ale umiał je rozróżnić.

Wstrzymał oddech i zadzwonił do drzwi, lecz nikt mu nie otworzył. Dzwonił dalej, doprawiając to również pukaniem. Od czasu do czasu zerkał na drzwi sąsiednich mieszkań i upewniał się, czy nikt go nie obserwuje. Wreszcie nacisnął klamkę. Sam nie wiedział, czy powinien zdziwić się faktem, że drzwi są otwarte.

- Dzień dobry! - powiedział głośno, zamykając je za sobą. Wciąż był spięty i skoncentrowany, wciąż czuł ten zapach. - Pani Beato?

Nie uzyskał odpowiedzi. Zacisnął pięści, pochylił się nieco i ostrożnie wkroczył głębiej.

- Pani Beato! - zawołał. - Wszystko w porządku?

Cisza, która tylko wzmogła jego niepokój. Żadnego odgłosu kroków, radia, zamykanych drzwi albo chociaż kogoś zmieniającego pozycję na kanapie czy w fotelu. Dawid zacisnął usta i dalej podążał za zapachem. Zdał sobie sprawę, że przebija się przez niego jeszcze jeden, znajomy, należący do psycholożki. Wreszcie wkroczył do dużego pokoju.

Zobaczył Beatę leżącą bezwładnie na kanapie. Była przeraźliwie blada, a jej półsiedząca pozycja nie wskazywała na to, że śpi. Dосkoczył do niej i potrząsnął nią lekko.

- Pani Beato! Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała, a on przeraził się na dobre. Sprawdził jej puls. Żyła, ale serce pracowało przeraźliwie wolno. Dawid zlustrował ją, starając się ocenić ewentualne obrażenia. Na szczęście żadnych nie dostrzegł, ani jednej kropli krwi. Tyle dobrego.

- Pani Beato!

Znowu brak reakcji. Rozejrzał się, myśląc gorączkowo, i w pierwszym odruchu sięgnął po telefon, lecz zaraz schował go do kieszeni. Nie było czasu do stracenia. Delikatnie uniósł kobietę z kanapy i wybiegł z mieszkania, niosąc ją jak niemowlę.

Beata chyba częściowo odzyskała przytomność, bo w pewnym momencie lekko uniosła powieki i coś wymamrotała, jednak tak cicho i niewyraźnie, że nie dało się rozróżnić słów.

– Już, spokojnie - powiedział. - Zawiozę panią do szpitala. Wszystko będzie dobrze.

Dotarł na podwórko, błogosławiąc fakt, że w zasięgu wzroku ponownie nie ma zbyt wielu ludzi i nie skupia na sobie ciekawskich spojrzeń. Dobiegł do samochodu, z największą ostrożnością położył psycholożkę na tylnym siedzeniu i z piskiem opon wyjechał z parkingu.

Tymczasem za nim, w stosownej odległości, podążał jakiś mężczyzna.

– Właśnie wyszedł z bloku tej babki i wyniósł ją na rękach - powiedział cicho przez słuchawki podłączone do telefonu.

– Co? - usłyszał ostrą odpowiedź. - Wyniósł na rękach? Dlaczego?!

– Wyglądała na nieprzytomną. Może wiezie ją do szpitala?

– W co on znowu się wpakował?! Mało mu ostatnio rozgłosu?

Mężczyzna spojrzał na blok, z którego wyszedł Dawid.

– Nie wiem, ale się dowiem.

\* \* \*

Kiedy Beata odzyskała przytomność, poczuła niewysłowioną ulgę. Po pierwsze, zdała sobie sprawę, że żyje. Po drugie, zobaczyła pochylające się nad nią pielęgniarki, które pytały ją o najprostsze rzeczy, takie jak imię i nazwisko, wiek, dzisiejszą datę i tym podobne. Choć nie miała żadnych problemów z odpowiedziami, ze względu na utrzymujące się ogólne osłabienie oraz niejasną dla lekarzy przyczynę utraty przytomności, którą pamiętała, ale w pełni świadomie zataiła, zdecydowano o przeniesieniu jej na oddział kardiologiczny. Nie minęło wiele czasu, gdy do sali, w której ją położono, wszedł Dawid. Był ubrany w elegancką koszulę i wzbudzał zaciekawione spojrzenia pielęgniarek. Beata ucieszyła się, że go widzi. Z jakiegoś powodu to właśnie jego ze wszystkich znajomych chciała zobaczyć teraz najbardziej. Opowiedział jej, co się wydarzyło.

– Bardzo panu dziękuję - powiedziała, gdy skończył.

– Nie ma za co. Przestraszyła mnie pani na śmierć! Co się stało?

– Widział pan go?

– Kogo? Tego pacjenta?

– Tak.

– Nikogo nie widziałem. To on? Co on pani zrobił? - Dawid ożywił się, a w jego oczach pojawił się bojowy błysk.

Beata milczała przez moment, próbując przypomnieć sobie, co wydarzyło się bezpośrednio przed utratą przytomności.

– To skomplikowane - odparła i opatulila się szczerzej kołdrą, bo nagle z jakiegoś powodu zrobiło się jej zimniej.

– Już wczoraj mi to pani mówiła. Próbuję to zrozumieć. To zły człowiek?

Tym razem milczała dłużej.

– Trudno stwierdzić. Nie zrobił mi krzywdy, nawet mi nie zagroził. Powiedział mi tylko coś bardzo przykrego, a ja mocno to przeżyłam.

– Pacjent? Własnej psycholożce?

Kiwnęła głową.

– Tak, ale nie jestem pewna, czy zrobił to, będąc w pełni poczytalnym. Czy w ogóle panował nad tym, co mówi. Zemdlałam już po tym, jak ode mnie wyszedł. Czasem tak reaguję na szczególne natężenie złych emocji. Mówiąc kolokwialnie, czuję trochę mocniej niż zwykły człowiek.

– Ale jeżeli uznamy, że zrobił to z premedytacją...

– Nie przylepiam ludziom tak łatwo zero-jedynkowych łatek -weszła mu w słowo. - Z doświadczenia zawodowego wiem, że niewielu ludzi jest jednoznacznie dobrych albo jednoznacznie złych. Tych teoretycznie złych wolę nazywać zagubionymi. Krzywdzą innych najczęściej dlatego, że sami są lub byli krzywdzeni. Nawet nie muszą mieć świadomości tego. Nauczyli się, że tak rozwiązuje się problemy, albo po prostu odreagowują.

– Miał bardzo zły zapach... - zaczął Dawid, lecz zaraz zacisnął kurczowo usta, spojrzał w bok i lekko pokręcił głową.

– Zapach? - zainteresowała się Beata.

Spojrzał na nią, a potem ponownie odwrócił wzrok, wyraźnie ze sobą walcząc. W końcu wzruszył ramionami, jakby się usprawiedliwiał.

– Tak.

– Co pan ma na myśli?

– Nieważne - powiedział z rezygnacją.

– Nie, proszę, zaciekało mnie to.

– Po prostu, kiedy wszedłem do pani mieszkania, poczułem ostry zapach męskich perfum - odpowiedział szybko Dawid. - Niezbyt przeze mnie lubiany. Domyśliłem się, że to jego.

Beata próbowała sobie przypomnieć, czy Dorian istotnie był tak mocno wyperfumowany, ale jeżeli tak, nie zwróciła na to uwagi.

– Zamierza pani jeszcze się z nim spotykać? - dodał Dawid.

– Raczej nie. Nie sądzę, by kiedykolwiek do mnie wrócił.

– Jest pani pewna, że nie zrobi pani krzywdy?

To było bardzo dobre pytanie, na które nie знаła odpowiedzi. Ale na razie nie miała siły i nie chciała o tym myśleć, więc odłożyła to na potem. W tym momencie należało dojść do siebie i skupić się na przyjemniejszych rzeczach.

– Jestem - skłamała. - Ale nie mówmy już o nim, zresztą nie powinnam mówić za dużo o swoich pacjentach. Przepraszam, że przeze mnie nie wyszła nam kolacja. Bardzo ładnie pan się ubrał. - Wskazała jego koszulę.

– Dziękuję. Nie musi pani przeproszać. Siła wyższa.

– Kiedy już stąd wyjdę, stawiam następną.

– Absolutnie nie mogę na to pozwolić! Wystarczającą nagrodą dla mnie jest samo spotkanie. Sama rozmowa z panią.

– No to cóż... - Beata rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym byli tylko we dwoje. - W takim razie spotkaliśmy się i rozmawiamy. Muszę przyznać, że w bardzo ciekawym miejscu.

– Nie musi mi pani dwa razy powtarzać. - Dawid jak na komendę wstał z krzesła i wyciągnął z kieszeni telefon.

– Co pan robi? - zdziwiła się Beata.

– Jak to co? - Włączył ekran i Internet. - Zamówię coś z kuchni azjatyckiej na dowóz.

– Źle pan zrozumiał! - Beata się zaczerwieniła. - Nie to miałam na myśli. Proszę nie odbierać tego tak, że...

– Tak, wiem. - Machnął ręką. - Ale mam na względzie pani dobro i nie pozwolę, żeby zjadła pani na kolację specjalny serwowany przez nasz system opieki zdrowotnej. Więc teraz słucham uważnie. Na co ma pani ochotę?

Beata już otwierała usta, ale zamknęła je, kiedy do sali nieśmiało wkroczyła młoda pielęgniarka. Wpatrywała się w Dawida jak w obrazek.

– Przepraszam bardzo, panie Dawidzie...

– Tak?

– Czy mogłabym... - Zarumieniła się i spuściła wzrok. - Mogłabym zrobić sobie z panem zdjęcie? Oczywiście jeżeli to nie problem.

Dawid wyraźnie się zawahał, wodząc wokół oczami, by zatrzymać się dłużej na Beacie, ale w końcu odpowiedział:

– Jasne.

Dziewczyna wystrzeliła w jego kierunku z taką prędkością, jakby istniało ryzyko, że przez ten ułamek sekundy zmieni zdanie. Wyciągnęła smartfona i zrobiła z nim sobie selfie. Beata zwróciła uwagę, że choć Dawid wykonał taki ruch, jakby obejmował swoją fankę, zostawił rękę w odległości co najmniej kilkunastu centymetrów od pleców dziewczyny.

– Bardzo dziękuję - powiedziała pielęgniarka, cała rozpromieniona, po czym podeszła do Beaty i zapytała: - Mogę z panią też?

– Ze mną? - zdziwiła się.

– No tak! - odpowiedziała ze śmiechem dziewczyna. - Z partnerką pana Dawida to jak z gwiazdą! No przecież widzę, jak na panią patrzy! Szczęściara z pani!

– Ale ja nie jestem... - zaczęła Beata, lecz rzut oka na Dawida wystarczył, żeby urwała wypowiedź i nigdy jej nie dokończyła.

# R O Z D Z I A Ł      X X X I

Dorian przez cały wieczór obserwował blok Ewy i Gosi z dachu pobliskiego budynku, lecz te nie wyszły na wieczorny spacer. Niecierpliwił się i dużo myślał. Na przykład o tym, dlaczego właściwie spotkał się z psycholożką.

To był impuls. Kiedy do niego zadzwoniła, na początku celowo nie odebrał, lecz zaraz potem coś podjęło za niego decyzję, żeby się z nią umówić. Nie wiedział, co miałby jej powiedzieć, jakie pytania zadać, by poczuć się lepiej, biorąc pod uwagę, że o kluczowych szczegółach swojego życia przez ostatnie tygodnie na początku zamierzał milczeć. Wiedział jednak, że czuje się źle, o wiele gorzej niż przed ich ostatnią rozmową, i usilnie szukał sposobu, aby to zmienić. Alkohol nie pomógł. Świadomość naprawiania świata też nie, bo szczerze mówiąc, nie czerpał już z tego żadnej satysfakcji. Ale kiedy zbliżył się do Beaty i wyczuł strach przed sobą, który jeszcze bardziej go dobił, uznał, że nie ma sensu dłużej się kryć. A kiedy zaczęła do niego mówić, posiłkując się identyczną narracją jak szkalujące go media, wywołując jeszcze większy mętlik w głowie i mówiąc rzeczy niezgodne z tym, w co tak mocno wierzył, coś w nim pękło i zareagował agresją. Wiedział, że przesadził, i żałował, że dał się wyprowadzić z równowagi.

A teraz tkwił na tym dachu jak kołek i zastanawiał się również, czy fakt, że akurat dziś, pomimo ładnej pogody, Ewa i Gosia zdecydowały się zostać w domu, nie wynikał z jego winy. Gdy udawał się na Mokotów w swojej przemienionej formie, nieliczni przechodnie, którzy go zauważali, uciekali z wrzaskiem. Zwrócił też uwagę na to, że w ogóle nie wyczuwa źródeł wielkiego zła. Że miasto opuścili wszyscy groźniejsi gangsterzy, pseudokibice, przestępcy gospodarczy i nieuczciwi politycy. Niewielu ludzi w jego bezpośredniej bliskości krzywdziło innych, było

własne dzieci lub partnerów, pisało nienawistne komentarze w sieci, nie natrafił na choćby jedną zdradę małżeńską. Zobaczył także liczne patrole policji uzbrojone w broń długą. Patrole, które wyprowadzono na ulice wyłącznie w jednym celu.

Aktualnie najczęstszą negatywną emocją, jaką wyczuwał w ludziach, którzy w przeważającej większości siedzieli w domach, był strach. Bali się go, jego komunikat, opakowany dramatyczną otoczką medialnego przekazu, zdał egzamin. Dorian osiągnął cel i zdołał zaprowadzić względny porządek w mieście. Teraz pozostało mu tylko spełnić groźby, jakie skierował do premiera, i obalić rząd. Wywlec wszystkie afery, donieść anonimowo gazetom, telewizjom i portalom internetowym, gdzie szukać na nie dowodów, wskazać powiązania najważniejszych polityków w państwie z przestępcami i oczyścić to szambo. Wywołać polityczny przewrót, zmienić historię. To zadziwiające, że był w stanie dokonać tego jako jeden, jedyny człowiek. Człowiek z darem zmieniania świata na taki, jaki sobie wymarzył. Kto by czegoś takiego nie pragnął? Kto by z tego nie skorzystał?

Mimo to czuł dokuczliwą pustkę i trudno mu było wskazać jej przyczynę. Może to, że sądząc po nastrojach społecznych, tylko on cieszył się z obecnej sytuacji. Może to, że psycholożka wplotła w to wszystko jego córeczkę i zmusiła go do wyobrażenia sobie, jak mała zareagowałaby, gdyby dowiedziała się, że jej ojcem jest polski superbohater lub - jeżeli wierzyć mediom - superterrorysta, potwór, kreatura. Może to, że rzeczywiście nie potrafił przeczytać z niej o jej sukcesach i dobrych uczynkach. A może to, że przez całą rozmowę z Beatą nie wyczuł w niej złych zamiarów, nawet wtedy, gdy używała słów, które tak go zabolowały.

Zdał sobie z tego sprawę pod koniec. Podczas ich spotkania jego wewnętrzny radar ani przez moment nie zaalarmował go, że psycholożką w jakikolwiek sposób chce zrobić mu krzywdę. Nie wyczuł w niej nienawiści do siebie, tak jak u prawie każdej osoby, którą do tej pory spotkał po przemianie. Bała się go, lecz potem to osłabło i został już tylko niepokój, ale nie spowodowany jego bliskością. Podobny do tego, jaki wyczuł w pani Irenie, gdy zabrano go do szpitala. Niepokój o dobro Doriana. Wyczuwał w niej także szczątkową odrazę do niego, którą jednak starała się tłumić. Odrzę, której z pewnością nie czuła w czasach, gdy był normalnym człowiekiem.

O co w tym wszystkim chodziło? Zmienił kawałek świata na lepsze. Dlaczego nikt się z tego nie cieszył? Dlaczego ludzie nie wyszli na ulice, świętując

i wiwatując? Dlaczego bali się bardziej niż w czasach, gdy zła w mieście było więcej?

Dlaczego został zupełnie sam?

Wrócił do mieszkania w podłym nastroju i stanął przed lustrem. Spojrzał sobie głęboko w oczy. Spróbował wyobrazić sobie, że jego odbicie jest oddzielną osobą, taką jak te, których mroczne sekrety czytał do tej pory. Zwizualizował sobie sytuację, że spotyka drugiego człowieka o zdolnościach takich jak jego i ten mówi mu, co robi nie tak, a co za tym idzie, co powinien poprawić, by jego misja miała sens. By czuł, że zarówno on, jak i ludzie są zadowoleni. W końcu robił to wszystko dla nich, dzielił się ze światem swoim nowym talentem z poczuciem, że tak trzeba, że to naturalna kolej rzeczy.

Nic z tego. Nie doczekał się odpowiedzi.

Jakby tego było mało, rozproszył go dzwonek telefonu, który rozniósł się po mieszkaniu. Przez moment miał nadzieję, że dzwoni do niego Beata, ale się zawiódł. Znowu próbowała skontaktować się z nim pani Irena. Westchnął głęboko i tym razem zignorował połączenie. Nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek. Napisał tylko staruszce SMS-a, że nie może rozmawiać, żeby się nie martwiła i na przykład nie wezwała do niego pogotowia. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

Może przyjdzie ksiądz do nas na kolację?

Nie wahał się, co odpisać.

Dziękuję, ale jestem już zmęczony i wolę spędzić wieczór w domu. Dobranoc!

Walnął się na łóżko, by niemal natychmiast na nim usiąść. Miał dość tych natarczywych myśli i usilnie potrzebował je czymś zagłuszyć. Rozejrzał się po pokoju i jego wzrok padł na gitarę, która stała nierozpakowana w pokrowcu, od kiedy tu się wprowadził. Tak bardzo pochłonęła Doriana jego misja, że od opuszczenia plebanii ani razu nie grał ani nie śpiewał.

Sięgnął po instrument i zaczął stroić. Zaraz przypomniał sobie, że jest tutaj sam, mieszkanie naprzeciwko jest puste, a grubość ścian w tym bloku całkiem dobrze tłumi odgłosy z zewnątrz. Czy istniała lepsza okazja do tego, by poćwiczyć swój wymarzony, cięższy śpiew? Jego aktualny nastrój zdecydowanie temu sprzyjał, a przy okazji choć na chwilę da odpocząć umysłowi.



Nastroił gitarę i zastanowił się, na jakiej piosence spróbować. Wybór padł w końcu na Linkin Park - *In The End*. Włączył ją cicho na YouTube w wersji akustycznej i zaczął grać.

A kiedy dotarł do refrenu i nabrał oddechu...

*I tried so hard  
And got so far  
But in the end  
It doesn't even matter  
I had to fall  
To lose it all  
But in the end  
It doesn't even matter<sup>34</sup>*

Otworzył szerzej oczy. Jeszcze nigdy nie zaśpiewał tego tak dobrze. Przewinął nagranie i spróbował jeszcze raz. Znowu się udało i przyszło mu nadzwyczaj naturalnie, jakby umiał tak śpiewać od zawsze. Po kilku razach coraz bardziej zaintrygowany spróbował z inną piosenką, tym razem wybierając *One Step Closer*. Ani jednej fałszywej nuty, czysty melodyjny krzyk bardzo podobny do wokalu Chestera Benningtona, lecz nie taki sam.

Jego własny.

Poczuł narastające podniecenie. Spróbował zaśpiewać normalnie, tak jak to robił dawniej w trakcie mszy. Udało się bez kłopotu. Potem znowu spróbował z cięższym wokalem. Nigdy nie mógł nawet o takim marzyć. Spróbował z wysokim, z niskim, żadna tonacja nie stanowiła dla niego problemu, w najmniejszym stopniu nie zdarł gardła.

Wytłumaczenie tej sytuacji mogło być tylko jedno.

Spojrzał na swoją klatkę piersiową.

„Szykujesz mi jeszcze jakieś niespodzianki?”

Odpowiedziała mu cisza, także w myślach, ale nie ubolewał nad tym. Podgłośnił muzykę i włączył playlistę swoich ulubionych utworów z ostrzejszym wokalem,

które potrafił zagrać również akustycznie. Zapowiadał się bardzo ciekawy wieczór. Jak znalazł po tym, co się wcześniej wydarzyło. Należał mu się mały reset.

Stanął przed lustrem i spojrzął na swoje oblicze grzecznego chłopca o blond włosach. Miał go dość, nie pasowało do tego, co obecnie czuł. Przemienił się, tym razem tylko włosy i oczy, rysy twarzy zostawił w spokoju. Teraz jego wygląd o wiele bardziej przystawał do muzyki, jaką zamierzał wykonywać.

Usiadł na łóżku i zaczął grać instrumentalny wstęp do kolejnej piosenki.

\* \* \*

Pani Irena wyszła z plebanii, niosąc w plastikowej torbie termos obiadowy ze świeżo przygotowanym ciepłym posiłkiem. Nie zamierzała tego tak dłużej zostawiać i popełnić tego samego błędu, co ze swoim synem. Potrafiła rozpoznać, kiedy człowieka coś trapi, a ksiądz Dorian ewidentnie coś przed nią ukrywał i krępował się o tym mówić. Najpierw to zaślabnięcie na mszy połączone z atakiem padaczki. Potem niespodziewana i zastanawiająca prośba o urlop od posługi, wreszcie niemal natychmiastowa wyprowadzka. Był w tej kwestii podejrzenie stanowczy, nie dawał się przekonać do zmiany zdania i od razu ucinął temat. Obiecywał, że będzie ich odwiedzał, tymczasem dotąd pojawił się na plebanii wyłącznie raz, na jej gorące zaproszenie, a wizyta zakończyła się niezbyt przyjemną sytuacją. Dzwoniła do niego prawie codziennie, chcąc się upewnić, czy nic mu nie jest, czy nie dostał kolejnego ataku, którego ryzyka przecież nie można było wykluczyć. Co prawda z jego zdrowiem najwyraźniej wszystko było w porządku, jednak niepokoił ją ton, jakim z nią rozmawiał. Starał się być miły, ale udawał, odniosła wrażenie, że chce jak najszybciej zakończyć połączenie. Że coś nie daje mu spokoju i wyraźnie zajmuje jego myśli. Co to było? Był czymś zajęty? Czym? Co robił na co dzień podczas urlopu i dlaczego nie mógł tego robić na plebanii? Dlaczego się wyprowadził, ale jednocześnie pozostał w mieście, tylko kilkanaście kilometrów dalej? Niby to uargumentował, tyle że jakoś to do niej nie trafiało. Wyraźnie było na rzeczy coś, czego jeszcze jej nie powiedział.

Uznała, że dosyć tego dobrego i musi z nim wreszcie poważnie porozmawiać. Przyprzeć go do muru i o wszystko wypytać. Postanowiła, że zrobi mu niespodziankę i przywiezie ciepłą kolację. Wszystkiego się dowie. Martwiła się

o niego i chciała tylko pomóc. Liczyła, że to zrozumie. Kto, jak nie on? Mężczyzna, który zastępował jej syna.

Zanim wsiadła do autobusu, rozejrzała się po dachach pobliskich budynków i choć nie dostrzegła niczego podejrzanego, poczuła niepokój. Potwora, o którym tyle mówiono w telewizji, wciąż nie złapano. Kto wie, co takiemu okropieństwu może chodzić po głowie?

Kiedy usiadła przy oknie, skrzywiła się i pomasowała między piersiami. Znowu poczuła w klatce piersiowej ten gorący, dokuczliwy ciężar.

\* \* \*

*Sometimes I need to remember just to breathe  
Sometimes I need you to stay away from me!<sup>35</sup>*

Końcówka wersu, która polegała na agresywnym metalowym ryku, wyszła Dorianowi bardzo efektownie.

*Sometimes I'm in disbelief, I didnt know  
Somehow I need you to go*

Przeciągnął ostatnie słowo, a potem nabrał głęboko powietrza i zaśpiewał, coraz mocniej wczuwając się w tekst:

*Don't stay  
Forget our memories  
Forget our possibilities  
What you were changing me into  
(W coś ty mnie z m i e n i ł ?!)  
Just give me myself back and  
(Oddaj mi mnie samego!)  
Dont stay  
Forget our memories*

*Forget our possibilities*  
*Take all your faithlessness with you*  
*(Zabierz swoją niewiarę).*  
*(N i e w i a r ę )*  
*Just give me myself back*  
*(Oddaj mi mnie samego!)*

Był zachwycony tym, co teraz potrafił wyczyniać głosem. Wreszcie był wokalistą kompletnym. Śpiewał jak anioł. Krzyczał jak demon. Mógł wyładować wszystkie negatywne emocje w muzyce, która miała tę moc, że pozwalała to robić bezboleśnie. Przestał skupiać się na wątpliwościach i rozpedził natarczywe myśli, które przynajmniej podczas śpiewu dawały mu spokój. Szukał w tym wszystkim sensu.

Kiedy z komputera wybrzmiał refren kolejnej piosenki, zamknął oczy i zaśpiewał go razem z wokalistą, najgłośniej, jak dał radę. Wczuł się w to tak bardzo, że nie usłyszał pukania do drzwi.

\* \* \*

Pani Irena nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Dzwonek natomiast był zepsuty od dawna i jakoś zawsze wylatywało jej z głowy, by wezwać do niego fachowca. Mieszkanie dotąd stało puste i zawsze było coś pilniejszego do zrobienia.

Przyłożyła ucho do drzwi. Książd Dorian musiał być na miejscu, bo ze środka dochodziła głośna muzyka. Najwyraźniej jej nie słyszał.

Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu zapasowego klucza, który zostawiła sobie na wypadek, gdyby trzeba było interweniować po kolejnym ataku padaczki.

\* \* \*

*You say: I'm a freak*  
*I say: I am free*

*Come take a shot at me  
I love the way you hate me!  
You say: I'm insane  
I say: you're afraid  
I get stronger from the pain  
I love the way you hate me!<sup>36</sup>*

Dorian skupił się na tekście. Jakże pasował do tego, jak się teraz czuł! Ludzie wmawiali mu, że jest potworem i szaleńcem, bo bali się innego, właściwego porządku świata, w którym zło zostaje pokonane. Kłamali, manipulowali i nienawidzili go, czym tylko bardziej go nakręcali, mobilizowali do działania. Nie zamierzał się poddać. Otrzymał dar od losu, który należało wykorzystać. Ci, którym się to nie podobało, sami sprowadzali na siebie nieszczęście. To oni byli winni temu, że wzbudzał w nich strach.

Coraz większy i większy... Taki jak ten, który wyczuwał szóstym zmysłem w swojej bezpośredniej bliskości.

Kiedy zdał sobie z tego sprawę, przerwał śpiew i uniósł powieki.

Spojrzał w stronę korytarza i zobaczył panią Irenę. Wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczami. Była blada na twarzy, a strach, jaki w niej wyczuwał, z każdą sekundą narastał, by w końcu zamienić się w skrajne przerażenie. Wypuściła z rąk termos obiadowy, a ten wylądował na podłodze z głośnym tąpnięciem.

Dopiero wtedy zrozumiał. Zrozumiał, że wciąż jest przemieniony.

Jak na komendę pociągnął za strunę tak mocno, że aż pękła. Natychmiast wrócił do ludzkiej postaci, ale było już za późno. Wstał i odłożył gitarę, lecz pani Irena wybiegła z mieszkania.

Przeklął pod nosem i natychmiast wystrzelił w kierunku wyjścia.

– Pani Ireno?!

Nie uzyskał odpowiedzi, choć wyczuwał po negatywnych emocjach, jakimi emanowała staruszka, że wciąż jest blisko. Ku swojemu przerażeniu stwierdził również, że oprócz nich zaczyna wyczuwać coś jeszcze. Ból. Coraz więcej.

Pobiegł za róg i zobaczył ją słaniającą się na nogach. Próbowwała złapać oddech i dłonią przyciskała środek klatki piersiowej. Kaszłała. Wreszcie upadła na trawnik przed blokiem, wciąż mając szeroko otwarte oczy.

Wyczuł, co jej jest. Atak serca.

– Pani Ireno!

Doskoczył do niej, czując narastającą panikę. Staruszka wpatrywała się w niego z szokiem, ciężko dysząc i kaszląc. Rozejrzał się gorączkowo, wściekły, że zostawił telefon w mieszkaniu. Nie wiedział nawet, czy najbliższy szpital znajduje się jeszcze w Warszawie, czy już w Pruszkowie, nie wspominając o metodach pierwszej pomocy podczas zawału.

– Słyszysz mnie pani?!

Nachylił się nad nią, lecz ona zdobyła się na ostatni zryw, pomachała bezwładnie rękami, próbując się przed nim obronić, i wycharczała:

– Zostaw mnie! Zostaw mnie, ty potworze!

Wstręt i szok, jakie w niej wyczuwał, uderzyły Doriana niczym potężny cios w podbródek.

– To nie tak, jak pani myśli! - krzyknął rozpaczliwie. - Media kłamią, rozumie pani?! Nie jestem taki, jak próbują wszystkim wmówić! Chcę pani pomóc! Nie zrobię pani krzywdy!

„Jestem dobry, rozumiesz?” - usłyszał w głowie słowa chłopaka, którego dręczył. Którego niemalże torturował psychicznie.

„Dobry!”

Wiedział, że pani Irena mu nie uwierzy. Bo dlaczego by miała? Po tym, jak wszystkie telewizje w Polsce wyemitowały jego przemowę, w której groził ludziom? Po tym, jak doprawił ją efektownym okręceniem głowy? Wyczuwał również strach staruszki przed demonicznymi siłami. Dodała jeden do jednego i domyśliła się, że najpewniej za to wszystko odpowiada ten sam byt, który wrobił księdza Kropidłowskiego w morderstwo.

– Aniele Boży, stróżu mój...

Dorian próbował do niej podejść, lecz modlitwa, którą rozpaczliwie powtarzała, utrudniała mu zbliżenie się. Odczuwał to tak, jakby nagle stał się co najmniej kilka razy cięższy. Słaniał się na nogach, bolały go mięśnie i głowa, narastało złe samopoczucie. Mimo to posuwał się naprzód i myślał gorączkowo. Co zrobić?

Wzywać karetkę? Ryzykować, że dojedzie za późno, zatrzymają ją korki albo jakiś wypadek? Nie mógł sobie na to pozwolić.

Podszedł do staruszki i podniósł ją z ziemi. Protestowała i broniła się, przeplatając to pojedynczymi wersami modlitw, lecz robiła to coraz ciszej i słabiej, krzywiąc się z bólu i oddychając z coraz większym trudem. W końcu straciła przytomność.

– Niech pani wytrzyma!

Wystrzelił sprintem przed siebie. Pobiegł w kierunku najbliższego szpitala, którego lokalizację mniej więcej kojarzył, czyli przy ulicy Lindleya, jakieś dziesięć kilometrów dalej w stronę centrum. Po drodze, kiedy zauważył, że wzbudza zaciekawione spojrzenia kierowców, nielicznych przechodniów i policjantów patrolujących miasto, uznał, że nie ma wyboru i musi ponownie się przemienić. Ludzie pokazywali go sobie palcami, niektórzy wyciągali telefony i nagrywali, jak przemykał obok nich, przeskakując po dachach jadących samochodów, a czasem wykorzystując je jako środek transportu. Nic zważał jednak na nich, podobnie jak na ich brudy, których migawki pojawiały mu się w głowie i tylko rozpraszały.

– Szybciej, szybciej, szybciej! - cedził przez zęby.

Wreszcie dotarł do celu.

– Pomocy! - wydarł się swoim normalnym głosem.

Ochroniarze i ludzie znajdujący się w holu spojrzeli na niego z lękiem. Wszyscy znieruchomieli.

– Ta kobieta ma atak serca! - wrzasnął. - Umiera! Niech ktoś jej pomoże!

Wciąż nikt nie reagował i tylko patrzyli na niego, bojąc się nawet ruszyć. Dorian wściekł się i pobiegł w kierunku oddziałów. Nie obchodziło go, czy dotarł na właściwy. Tam również zaczął wrzeszczeć, czym w końcu zwrócił uwagę lekarzy i pielęgniarek. Ci jednak, gdy zobaczyli, z kim mają do czynienia, zatrzymali się w bezpiecznej odległości.

– Pomóżcie jej! - krzyknął Dorian.

– Spok-kojnie - wyjąkał jeden z lekarzy, unosząc ręce, ale wciąż nie podchodził. - Połóż ją na podłodze i o-odsuń się.

Dorian wykonał polecenie, a kiedy się wyprostował, wszyscy w dalszym ciągu stali w oddaleniu, jakby bali się podejść.

– Czy wy już do reszty powariowaliście? - ryknął z furją. - Ona umiera!

– Odejdź od niej! - Lekarz wysunął bojowo podbródek i wypiął pierś, lecz w jego głosie nadal pobrzmiwał lęk. - Zostaw ją w spokoju. Wyjdź stąd i nie zbliżaj się!

Dorian wpadł w taką wściekłość, że niewiele brakowało, a rzuciłby się na niego i żywcem wypruł mu flaki. Jak oni w takim momencie mogli myśleć o oszczerczych doniesieniach mediów na jego temat?! Jak, kiedy na ich oczach właśnie umierał człowiek? Opamiętał się jednak, zdając sobie sprawę, że jeżeli nie wykona polecenia, ci idioci nie zrobią nawet kroku, a co za tym idzie - pani Irena dłużej pozostanie bez pomocy.

Wycofał się i wybiegł ze szpitala, skupiając na sobie wiele spojrzeń. Nie umknęło mu, że ze wszystkich były niechęć, odraza, nienawiść i strach. Czuł je, jakby stanowiły grotę strzał, jakie za nim posyłano.

Już na zewnątrz jego wściekłość zyskała kolejne powody, żeby wzrosnąć. Zdał sobie bowiem sprawę, że nie może wrócić do szpitala w ludzkiej formie, ponieważ wciąż ma na sobie ubranie, w jakim zobaczono go po przemianie. Jeżeli chciał zachować pozory i anonimowość, musiał cichaczem wrócić do domu, przebrać się, a potem dojechać tutaj komunikacją miejską. Nie wyobrażał sobie tego. Musiał upewnić się, czy pani Irenie nic nie jest. Teraz. Na bieżąco, najlepiej zaglądać lekarzom przez ramię i pilnować, by niczego nie zaniedbali. Jednocześnie wiedział, że nie może tam wejść przemieniony, bo swoją obecnością tylko wywoła panikę, spowolni cały proces i jeszcze, nie daj Boże, zostanie popełniony jakiś błąd. Z frustracji chciało mu się wrzeszczeć.

Ani się obejrzał, jak pod szpitalem zatrzymało się kilka radiowozów na sygnale. Przeklął pod nosem. W pierwszym odruchu chciał wskoczyć na ścianę i wspiąć się na dach, ale wiedział, że ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje teraz szpital, to zamieszanie związane z obławą na niego. W tej chwili najważniejsze były spokój i życie pani Ireny.

Zmarszczył wściekle brwi i nie reagując na okrzyki policjantów, uciekł spod szpitala, wspinając się na pobliskie budynki. Szybko zgubił pogoń i w końcu, przez nikogo niezauważony, dotarł do mieszkania. Dopiero tam miał czas i sposobność głębiej zastanowić się nad sytuacją, choć z opanowanym, racjonalnym myśleniem nie miało to nic wspólnego. Nosiło go, z bezsilności miał ochotę rozwalić wszystkie meble.

Nie mógł nawet się przebrać i wrócić do szpitala pod ludzką postacią, bo od razu pojawiłyby się pytania, skąd dowiedział się o ataku serca pani Ireny. Kiedy po



raz ostatni rozmawiał ze staruszką przez SMS-y, ta namawiała go na wspólną kolację, ale odmówił. Nie zapowiadała, że do niego przyjdzie. Czy chciał tego, czy nie, musiał trzymać się tej wersji zdarzeń. Nawet jeżeli powiedziała Szymonowi, że wybiera się do niego, ten nie mógł wiedzieć, czy dotarła na miejsce. Zresztą, te wszystkie dywagacje nie miały sensu, jeżeli lekarze zdołają ją uratować. W takim przypadku wszyscy dowiedzą się, jaka jest tożsamość istoty szalejącej po Warszawie. I tak czy inaczej, jego kariera anonimowego łowcy przestępców właśnie się zakończyła.

Co teraz? Uciekać? Ponieść konsekwencje? Zaprzeczać? Zrzucić to na opętanie przez złego ducha i dać się wyegzorcyzmować w sytuacji, gdy wymiar sprawiedliwości nie dopuszczał, a polskie prawo nie regulowało zagrożeń duchowych? Walczyć i dalej działać jak dotychczas, tylko ze znaną tożsamością? Żadna z tych perspektyw nie brzmiała zachęcająco i każda oznaczała, że jest skończony jako człowiek. Narobił sobie zbyt wielu wrogów, by działać publicznie, pod własnym imieniem i nazwiskiem. Narażałby bliskich.

Bliskich, z których jedna z najważniejszych dla niego osób właśnie walczyła o życie. Z jego winy.

Wiedział, że na razie nie ma wyboru, musi zagryźć zęby i czekać na telefon. Chodził w tę i z powrotem po pokoju, gorączkowo myśląc i starając się wyostrzyć swój szósty zmysł na ewentualne nieprzyjemne niespodzianki, takie jak najazd policji na blok. Niczego takiego jednak nie wyczuwał i szczerze mówiąc, im dłużej to trwało, tym bardziej się niepokoił.

Kiedy obszedł pokój jakieś kilkaset razy, zatrzymał się i ponownie spojrzął w lustro. Zobaczył w nim szkaradne oblicze potwora o czarnych oczach, ostrych zębiskach i wyostrzonych rysach. Po raz pierwszy zdziwił się, jak mógł kiedykolwiek postrzegać je jako piękne. Jak mógł tak pomyśleć? No jak?! Co go... opętało?

Pomimo że stał dalej od lustra niż poprzednim razem, wydało mu się, że wreszcie zdołał rozgryźć osobnika, którego widział w odbiciu. Wreszcie zobaczył jego przewinienia, które wybrzmiały mu w głowie wraz ze skrucą. I słowa. Niektóre kiedyś usłyszał. Niektóre zaś nawet sam wypowiedział.

– *Innymi słowy: chcesz, aby ludzie czynili dobro, bo musieli?*

– Jeżeli to miałyby zadziałać, dlaczego nie? Skoro formuła opierająca się na miłości, miłosierdziu i dawaniu nowych szans nie zdaje egzaminu nawet wśród wierzących i nic się nie zmienia?

– Nie wiesz, czy nie zmienia. Nie wiesz, jak wyglądałby świat według twojej wizji. I starasz się być m a d r z e j s z y o d B o g a .

W tym samym momencie jak na sygnał zadzwonił jego telefon.

I choć zdolności Doriana nie można było nazwać prawdziwym jasnowidzeniem, choć uświadomił sobie, że rzeczywiście od początku w pewnym sensie go oszukiwały, dokładnie tak, jak powiedziała pani Beata, wiedział, co usłyszy, gdy odbierze połączenie.

**CZĘŚĆ V:  
PRZECIWNICY**

# R O Z D Z I A Ł      X X X I I

## *Tydzień później*

– Proszę dopilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał, dobrze? - Jacek wsunął właścicielowi restauracji dwustuzłotowy banknot do kieszeni na piersi i przyklepał ją konspiracyjnym gestem.

Mężczyzna nawet nie spojrział na pieniądze. Skłonił się z uśmiechem.

– Oczywiście! - powiedział dziarsko i zerknął na towarzyszącego rozmówcy Dawida. - Zajmę się tym. To dla nas zaszczyt!

– Dziękuję. Odwdzięczymy się małą reklamą w mediach społecznościowych.

Restaurator zaprowadził ich w najdalszy i najdyskretniejszy zakątek lokalu. Kiedy odszedł, zasiedli naprzeciwko siebie przy stole i sięgnęli po karty dań.

– Często tu bywam - odezwał się Jacek. - Bardzo dobre jedzenie. Polecam ci zwłaszcza te wegetariańskie kotleciki z ciecierzycy. - Wskazał w menu. - Strona trzecia. Rewelacja! Smakują jak najlepsze mięsko. W ogóle nie czuć różnicy, a o ile zdrowsze! Chyba że wilk uznaje tylko prawdziwy krwisty befsztyk? - Zaśmiał się, ale Dawid mu nie zawtórował. Nigdy się nie śmiał, a odkąd zdał sobie sprawę, jak wypada zapach przyjaciela w porównaniu z tym, jak pachnie Beata, towarzystwo Jacka sprawiało mu pewien dyskomfort.

– Dobra, spróbuję - rzucił na odczepnego, po czym zamknął i odłożył menu.

– Co słychać? - Jacek również odsunął kartę i oparł się na krześle.

– Dziwne pytanie - rzekł Dawid. - Przecież jesteś na bieżąco.

– Och, nie mówię o sporcie i interesach! - zachnął się żartobliwie Jacek. - Pytam, co słychać ogólnie. Życie to nie tylko praca.

– Wszystko super.

– Na pewno? Wszystkim nam zależy, abys miał czystą głowę przed galą. Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko. I prosić, o co tylko chcesz.

– Wszystko jest super - powtórzył Dawid.

– Czy to zasługa twojej nowej przyjaciółki? - Jacek uśmiechnął się cwaniacko.

– Jeżeli mam być szczerzy, to tak.

– Musi być wyjątkowa, skoro jednak zdecydowałeś się zaangażować. Opowiedz mi o niej.

Dawid przewrócił oczami.

– Bardzo sympatyczna kobieta. Ładna, naturalna, drobna. Odrobinę ode mnie starsza, ale w ogóle mi to nie przeszkadza. Dobrze nam się rozmawia - rzucił, przytomnie nie dodając nic o zapachu.

– I jest psycholożką.

– Tak.

– Wiesz, nie żeby coś, ale trochę mnie to zastanawia. Bo doradzałem ci jedno i drugie. Spotkanie z psychologiem i może zaangażowanie się w jakiś związek. Powiedziałeś wtedy, że nie jesteś zainteresowany, a mimo to niedługo potem postąpiłeś odwrotnie.

– Zmieniłem zdanie. To coś złego?

– W żadnym wypadku! Po prostu interesuje mnie, z czego ta zmiana wynikła. Ty mnie interesujesz. Ostatnio trzeba cię ciągnąć za język. Masz tajemnice, wychodzisz z domu, nic nie mówisz.

Dawid westchnął.

– Nie zaniedbuję obowiązków. Wznowiłem treningi, a chyba o to chodzi, prawda? Natomiast to, co robię w czasie wolnym, jest moją prywatną sprawą.

– Nie zrozum mnie źle, ale jestem twoim przyjacielem i mam na celu twoje dobro. Chciałbym wiedzieć o takich rzeczach. Przyjaciel, który jest jednocześnie menedżerem zawodnika, zna swojego podopiecznego czasem nawet lepiej niż rodzina. I często wie, co jest dla niego najlepsze, lepiej niż on sam. Nie chciałbym sobie schlebiać, ale patrząc na to, dokąd doszedłeś, chyba nie masz co do tego wątpliwości?

Dawid nie wiedział, co odpowiedzieć. Na szczęście z pomocą przyszedł mu właściciel restauracji, który z szerokim uśmiechem podszedł do ich stołu z notatnikiem i długopisem.

– Czy mogę przyjąć zamówienie?

– Tak, poprosimy dwa razy te kotleciki z ciecierzycy - odezwał się Jacek. - A do picia dwa razy świeżo wyciskany sok pomarańczowy.

– Ale ja jeszcze nie powiedziałem, co chcę do picia - wszedł mu w słowo Dawid. - Poproszę zwykły jabłkowy. Z kartonu. - Spojrzał na restauratora. Tak naprawdę też miał ochotę na pomarańczowy, lecz nie spodobało mu się, że Jacek podjął decyzję za niego. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że przyjacielowi zdarzało się to dosyć często, zwłaszcza w sytuacjach takich jak ta: z pozoru drobnych, nic nieznaczących. - Jak widzisz, nie zawsze wiesz, co jest dla mnie najlepsze - skomentował, kiedy mężczyzna odszedł od stołu.

Jacek uśmiechnął się jak ojciec, który po raz pierwszy doświadcza młodzieńczego buntu syna.

– Nie zgodziłbym się. Taka pierdoła jak sok to może zły przykład, ale zwracam uwagę, że powiedziałeś „chcę”. To, czego chcemy, nie zawsze jest dla nas najlepsze.

– Przeczuwam, że mówisz to wszystko, bo chcesz mi coś zasugerować. Może nie traćmy czasu i powiedz mi to wprost? - powiedział zimno Dawid.

Jacek rozejrzał się, położył łokcie na stole i splótł przed sobą dłonie.

– Powiedziałeś jej? - zapytał ciszej.

– O czym?

Jacek lustrował go bez choćby jednego mrugnięcia.

– Dobrze wiesz o czym. Jeżeli wyjdzie z tego coś poważnego, tylko kwestią czasu jest, jak zamieszkacie razem i będziecie ze sobą sypiać. - Gdy to powiedział, Dawid mimowolnie odwrócił wzrok. - I prędzej czy później dowie się, że co najmniej jedną noc w roku...

– Jeszcze jej nie powiedziałem - uciał Dawid.

– Nie ufasz jej?

– Nie o to chodzi. Moim zdaniem jest na to za wcześnie.

Jacek cmoknął i pokręcił głową.

– Ciężka sprawa. Bo jeżeli nie jest jeszcze wystarczająco zaangażowana, jak powiesz jej teraz, możesz ją odstraszyć. Ale jeżeli powiesz za późno, jej szok może być tylko większy. A jak ochłonie, bardziej się zezłości, że to przed nią ukryłeś. Tak czy inaczej, nie zdołasz tego zataić.

– Wiem.

– No i troszeczkę martwi mnie, że to psycholożka.

– Dlaczego?

Jacek popukał się palcem w skroń.

– To specjalistka od ludzkich głów. W necie ją chwala, więc zakładam, że zna się na rzeczy. Dlatego jestem ciekaw, czy podejdziesz do tego z takim zrozumieniem jak my.

– Chciałeś powiedzieć: czy kiedy pozna prawdę, nie nazwie mnie potworem? - zapytał Dawid.

– Powiedziałbym raczej: czy, tak jak my, określi to darem. Jeżeli zdecydujesz się jej powiedzieć, musisz być pewien, że tak się stanie.

– Wiem. Bo inaczej istnieje ryzyko, że rozpowie, jak jest naprawdę, federacja pójdzie z dymem i stracisz mnóstwo pieniędzy.

– Nie chodzi o kasę, tylko o twoje dobro, reputację i karierę.

– To w zasadzie jedno i to samo. Od mojej kariery zależy, ile pieniędzy zarobisz.

– Dawid, nie mów do mnie, jakbym widział w tobie jedynie źródło dochodu! Nie jest tak. Nie ufasz mi?

– Ufam - odpowiedział automatycznie Dawid i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że skłamał.

Jacek pokiwał głową z lekko zrezygnowanym uśmiechem.

– No dobra. I mówisz, że to twoja fanka?

– Nie. Kiedy przyszedłem do niej po raz pierwszy, nawet nie wiedziała, kim jestem. Nie interesuje się sportami walki... - Dawid urwał, zdawszy sobie sprawę, że wcześniej mówił Jackowi co innego i właśnie się wkopał. I to zaraz po tym, jak stwierdził, że mu ufa. Jacek jednak nie dał po sobie poznać, czy to zauważył.

– Nie znała cię? - Odchylił się, lecz jego ręka z zaciśniętą pięścią pozostała na blacie. - Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Twoja twarz jest na połowie billboardów w tym mieście.

– Ale to prawda.

– Bo tak ci powiedziała?

– Po co miałyby kłamać?

– Pomyślmy. - Jacek teatralnie podrapał się po brodzie i spojrzał w sufit. - Jesteś chyba najlepszą wolną partią w Polsce. Przystojny, bogaty, utalentowany, znany i podziwiany. Niedawne zamieszanie tylko to wzmocniło. A reguła niedostępności, w tym przypadku w wersji „nie wiem, kim jesteś, więc twoje sukcesy i majątek nie robią na mnie wrażenia”, to jedna z najstarszych, ale i najskuteczniejszych technik uwodzenia mężczyzn. Bo automatycznie podwajasz wysiłki, żeby pokazać swoją wartość.

– Sugerujesz, że od początku chciała mnie uwieść, bo mam status i pieniądze?

– Nie wiem, ale nie możemy przecież tego wykluczyć. Nie chcę myśleć, jaka mogłaby być druga przyczyna, inna niż szczerza sympatia do ciebie.

– Ale że co? - zirytował się Dawid. - Według ciebie od początku chciała odkryć moją tajemnicę i ją rozgłosić? To chcesz powiedzieć?

Jacek uniósł dłoń.

– Nie wiem - powtórzył. - Chciałbym tylko, żebyś był ostrożny. Mało to było sportowców, których kobiety okręcały sobie wokół palca, a potem po rozwodzie dostawały połowę majątku? Prosty i skuteczny sposób na wzbogacenie się, nierzadko szantażem. Bywam na różnych imprezach dla lepszego towarzystwa i słucham tego, co mówią ludzie. Swego czasu powstała nawet zorganizowana grupa takich cwaniar, które obrały sobie za cel piłkarzy. Czyste wyrachowanie, zero uczuć.

– Nie jestem piłkarzem.

– Po prostu podaję przykład. A pamiętaj, że ona jest psychologką, więc techniki manipulacji ma w małym palcu.

– Beata taka nie jest.

Jacek znowu obdarzył Dawida tym denerwującym uśmiechem o treści: „Dziecko, co ty wygadujesz, jak nawet życia nie znasz?”

– Może tak, może nie. Ja tylko zalecam ostrożność. Chcesz mi powiedzieć, że podczas rozmowy z nią kwestia dziewięćdziesiątego czwartego ani razu nie padła?



– Wyłącznie z mojej strony. Powiedziałem tyle, ile było trzeba. Wersję oficjalną, taką, jaką zaproponowałeś, abym wygłosił przed kamerą. Nie zadawała więcej pytań.

– To bardzo ciekawe.

– Sama zaproponowała, żebym opowiedział tyle, ile uważam za stosowne. Nie naciskała.

– Bardzo, bardzo ciekawe - powtórzył Jacek. - Sama ludzka ciekawość nakazałaby o to dopytać. Myślisz, że jej to nie zastanawia?

– Szczerze? Nie obchodzi mnie to.

– A powinno. Bądź ostrożny, Dawid. Nie daj się omamić motylkom w brzuchu. Mamy za dużo do stracenia. Także jeżeli chodzi o twoją kondycję psychiczną, nad którą pracowaliśmy dobre kilkanaście lat. Wystarczy, że ten artykuł wywołał za dużo zamieszania.

– Czy to zaakceptujesz, czy nie, to właśnie za sprawą tej kobiety moja kondycja psychiczna się poprawiła. A ty teraz robisz wszystko, żebym znowu zaczął za dużo myśleć.

– Tak, postępuję w ten sposób, jeżeli przyjmiesz, że jestem ci niezycziwy. Ale perspektywa zmienia się, gdy uznamy, że chcę dla ciebie jak najlepiej. Gdybym nie chciał, nie zawracałbym sobie tobą głowy i nie poświęcał potężnej części życia, by zrobić z ciebie tego, kim się stałeś. Bohatera narodowego i inspirację dla innych.

Dawid westchnął, zamknął oczy i pokręcił lekko głową.

– Czasem się zastanawiam, co byłoby, gdybym nie miał mojego... jak ty to nazywasz: daru. Czy wtedy też byłbyś taki miły. Czy również z takim zapałem pracowałbyś nad moją marką. Wszystko inne bez zmian: wysokość, muskulatura, siła i szybkość w sytuacji, gdy nie ma pełni. Powiedz mi szczerze, czy wtedy też martwiłbyś się o to, jaką kobietę sobie wybrałem?

– Oczywiście, że tak - odpowiedział bez zawahania Jacek, patrząc mu głęboko w oczy.

Dawid skrzyżował z nim nieprzenikniony wzrok i przez jakiś czas lustrowali się w milczeniu. Wreszcie ciszę zakłócił właściciel restauracji, który przyniósł im zamówione dania i napoje.

– Życzę smacznego! - rzucił, po czym skłonił się i odszedł.

– Dziękujemy - powiedział Jacek i sięgnął po sztucce, nie odrywając spojrzenia od Dawida. Ten postąpił identycznie. Jacek odkroił sobie pierwszy kawałek kotlecika z ciecierzycy i włożył do ust. Mruknął z rozkoszy. - Rewelacja! Spróbuj, serio! Czy myślisz, że w tym też cię okłamuję i mam jakiś interes?

Dawid nie odpowiedział. Nie miał już siły na kontynuowanie tej polemiki. Odkroił kawałek kotleta i przeżuł. Smakował nieźle, ale jego zdaniem nie tak, jak wynikałoby z zachwyków Jacka. Kontynuowali posiłek i do momentu, w którym otrzymali rachunek, nie odezwali się do siebie choćby słowem.

# R O Z D Z I A Ł      X X X I I I

Szymon rzucił grudkę ziemi na trumnę i powiedział:

– Prochem jesteś i w proch się obrócisz, ale Pan cię wskrzesi w dniu ostatecznym. Żyj w pokoju.

Podczas gdy składano panią Irenę do grobu, Dorian stał na końcu niewielkiej grupy ludzi, która pofatygowała się na pogrzeb, składającej się głównie z wiekowych znajomych gosposi i dalszej rodziny. Jej syn nie przyleciał do Polski, usprawiedliwiając się brakiem funduszy, ale Szymon podjął decyzję, że parafia w całości sfinansuje pochówek.

Mimo że Dorian starał się chociaż na ten ponury dzień „wyłączyć” swoje zdolności, nie potrafił tego zrobić. Wyczuł w zebranych i w Szymonie żal oraz ból po stracie bliskiej osoby. Nie śmiał podejść bliżej. Ścisnął przed sobą dłonie tak mocno, że prawie połamał palce. Miał spuszczone wzrok i drżał, nie tylko dlatego, że dokuczala mu bliskość poświęconej ziemi i krzyży na grobach. Nawet nie uczestniczył w liturgii, bo z wiadomych względów nie mógł wejść do kościoła, a żeby wymigać się od grania i śpiewania smutnych pieśni pogrzebowych, o co został poproszony, wystawił swoje nowe zdolności przekonującego kłamania na jak dotąd najtrudniejszą próbę.

Kiedy zasypywano grób, a Szymon, organista i zebrani zaintonowali pieśń *Witaj, Królowo*, Dorian próbował śpiewać razem z nimi, ale nie był w stanie. Obecność złego bytu w nim mu to uniemożliwiała. Mimo wszystko próbował, marszcząc brwi z wściekłości i frustracji własną niemocą, a jego oczy zaszkliły się łzami.

Wreszcie Szymon smutnym tonem podziękował wszystkim za przybycie i powoli ruszył w stronę Doriana. Ten jednak nie podniósł na niego wzroku, gapiąc się na grób.

– Muszę z tobą porozmawiać. Wpadniesz na plebanię na kawę? -zapytał cicho Szymon, łapiąc go delikatnie za ramię.

Dorian spojrział na niego przekrwionymi i wilgotnymi oczami w taki sposób, jakby pierwszy raz w życiu widział człowieka.

– Później - wychrypiał, nie do końca świadomy tego, co mówi. - Chcę... trochę tu zostać.

Szymon kiwnął głową, zgarbił się i poszedł w kierunku wyjścia z cmentarza. A kiedy Dorian został przy grobie pani Ireny zupełnie sam, padł na kolana, nie zważając na wilgotną ziemię.

– Nie chciałem - załkał. - Nie chciałem, żeby to tak się skończyło! Pani wie! Musi pani zrozumieć! Kto, jak nie pani?

Nie otrzymał odpowiedzi, lecz dyskomfort, jaki wynikał z bliskości krzyży na tym i na sąsiednich grobach, sprawił, że Dorian niemal namacalnie odczuł, że nie jest tu mile widziany. Że coś chce, by opuścił to miejsce. Może ktoś. Wiele osób.

– Chciałem tylko zmienić świat na lepsze - wydukał szeptem. - Żeby dobrym ludziom żyło się lepiej. Takim jak pani. Jak moja córka, Szymon, pani Beata albo ksiądz Ludwik. Chciałem, żeby źli ludzie zostali ukarani. Tylko oni. Nigdy nie zrobiłem krzywdy komuś, kto... - Urwał, uznawszy, że to bez sensu. Kłamanie jest bez sensu. Zrobił krzywdę niewinnym osobom. Pani Irenie, jej bliskim, którzy ją oplakiwali. Beacie również. Innym ludziom, także tym dobrym, którzy się go bali. Owszem, może głównie z powodu kłamliwej narracji mediów na jego temat, ale sam dostarczył im powodów, żeby tak o nim mówiły. To on zdecydował się na strategię bazowania na strachu. To on po pijaku wygłosił komunikat w stylu fanatycznego terrorysty, który potem hulał we wszystkich telewizjach, gazetach, radiach i portalach internetowych. Wreszcie - to on okraślił monolog przerażającą anomalią na swoim ciele, rodem z filmu *Egzorcysta*. Z własnej, nieprzymuszonej woli.

To on stał się potworem. Nie superbohaterem. Potworem w ludzkiej skórze, dokładnie takim, jak opisała to Beata, kiedy opowiadała o eksperymencie więziennym. Zdolnym zmienić otaczającą go rzeczywistość w pojedynek, to na

pewno, ale czy na lepsze? Czy od działalności Doriana świat rzeczywiście stał się lepszy? Bo najgroźniejsi przestępcy i politycy uciekli z Warszawy? Jeżeli miałyby wymienić ich powrót za odzyskanie pani Ireny, nie wahałby się nawet chwili. Warszawa mogłaby przebić bezprawnym nawet brazylijskie faweły, gdyby taka była cena za życie tej cudownej kobiety.

Przypomniawszy sobie odrazę i strach, jakie wyczuł w staruszce, gdy walczyła z atakiem serca na trawniku pod blokiem w Ursusie, i jego poczucie winy wzrosło. Odrazę i strach, którymi nie emanowała nigdy wcześniej. Tylko tęsknotą za synem, którego Dorian jej zastępował.

– Przepraszam... - wyszeptał.

Figurka Chrystusa zwisająca z krzyża nad nim zdawała się na niego patrzeć, a jej spojrzenie paliło pochyloną głowę Dorianą niczym podmuch żaru. Czuł się upokorzony. Pokorny. Podległy. Poddany nieokreślonej sile, jaka biła z tego symbolu. Sile dobra. Zupełnie innego niż to, które uskutecznił przez ostatnie tygodnie. Czy naprawdę wiedział, jak je zdefiniować? Czym tak naprawdę jest?

Wreszcie wstał, chwycił się za głowę i zmusił, żeby ją unieść i spojrzeć na krzyż. Czuł, że doprowadza tym do szewskiej pasji istotę w swoim ciele. Jezus Chrystus był taki denerwująco dobrotliwy. Wybaczący. Życzliwy. Kochający, choć wisiał na krzyżu, przybity do niego gwoździami przez ludzi, dla których pojawił się na tym świecie, których miłował bardziej niż cokolwiek innego. Był w Dorianie był zdania, że Jezus powinien się na nich złościć! Wściekać się, złorzeczyć, przeklinać i wypominać ich niewdzięczność, a nie za nich umierać! Zejść z krzyża i użyć swojej boskiej mocy, żeby ich ukarać. Najwidoczniej urodził się w złych czasach. To dziś jest modne odpowiadanie złem na złe. Dziś to normalne, a przez wielu uważane nawet za zasadne. Odpowiadać, rewanżować się, mścić. atakować pierwszemu, zanim zrobi to przeciwnik. Na wszelki wypadek. I dzielić. Wskazywać wrogów. „My i oni. To oni są źli! My nie! My jesteśmy ci dobrzy!”

Czy o to w tym wszystkim chodzi? Tego uczył nas ten facet?

Dorian tkwił przy grobie tak długo, aż od energii bijącej ze świętych symboli wokół zrobiło mu się słabo i uznał, że dłużej już nie wytrzyma. Spuścił głowę, włożył ręce do kieszeni i wyszedł z cmentarza, do samego końca czując na sobie spojrzenia wszystkich figurek Chrystusa z krzyży na grobach.

Powolnym spacerem poczłapał w stronę plebanii, mijając po drodze kilku policjantów, którzy wciąż patrolowali ulice. Myślał, co powinien teraz zrobić, ale nie potrafił dojść do żadnych konstruktywnych wniosków. Oczywiście przesłuchano go w sprawie śmierci pani Ireny i udziału w niej osławionego superterrorysty. Głównie dlatego, że Dorian jako ostatni pisał z nią przez telefon. Przeraziło go, że nawet w tym stanie psychicznym potrafił tak dobrze kłamać: że staruszka nigdy do niego nie dotarła, że nawet nie wiedział, iż się do niego wybiera. Przecież kochał ją jak babcię, nie miałby powodu, żeby chcieć zrobić jej krzywdę; Szymon to potwierdził. Dorian opłakiwał śmierć pani Ireny tak jak reszta i złorzeczył temu, kto za nią odpowiadał. A urlop od posługi kapłańskiej zrobił sobie, by odciąć się od zamieszania z księdzem Kropidłowskim i trochę odpocząć. Nie zdradził go choćby najmniejszy tik, a rozpaczy nawet nie musiał udawać. Z tego, co zdołał wyczytać w funkcjonariuszach, z którymi rozmawiał, uznali jego udział w tragedii za wysoce wątpliwy. Tak bardzo był wiarygodny w tym, co mówił. Nawet to go dobijało. Sam fakt, że nikt oprócz niego nie wiedział, jak było naprawdę. Ze nikt go nie obwiniał, za to wszyscy klepali po plecach, kiedy powinno być zgoła odwrotnie.

Nie zmieniło to jednak jego decyzji. Zawiesił działalność i od dnia, w którym zmarła pani Irena, nie pokazywał się publicznie w swojej przemienionej formie. Nie ścigał przestępców, nie szukał również ludzi, którzy teoretycznie nimi nie byli, ale mieli coś na sumieniu. Nie miał na to ochoty, choć jego wewnętrzny radar donosił mu, że w mieście wciąż wiele się działo. Miał za to ogromną ochotę rzucić to wszystko w - nomen omen - diabły i wrócić do posługi kapłańskiej. Nie przejmować się już naprawianiem świata i odpowiedzialnością, jaka się z tym wiąże. Nie czytać ludzkich brudów, które poznawał wbrew swojej woli, gdy zbliżał się do dowolnego człowieka, i których miał po dziurki w nosie. Chciał dla odmiany obcować z czymś wesołym, nastrajającym optymizmem. Odpocząć, spotkać się z młodzieżą ze scholi i zorganizować kolejną próbę pełną żartów i pozytywnej energii. Poprowadzić mszę i przygotować na nią kazanie. Tyle że dopóki nie pozbędzie się swoich mocy, nie mógł tego zrobić. Tylko jak? Przeprowadzić egzorcyzm? A co, jeżeli to okaże się niewystarczające albo podczas rytuału Dorian wpadnie w trans, czego efektem będzie niekontrolowany słowotok i wszyscy dowiedzą się, kim w istocie był stwór terroryzujący mieszkańców? Co, jeżeli to się rozniesie, zostanie upublicznione w mediach i dotrze do bandytów, z którymi miał

na pieńku, albo do polityków, którym groził? Czy dało się to rozwiązać tak, żeby się tego pozbył, ale jednocześnie miał pewność, że nic nie wyjdzie na jaw? Nawet jeśli to możliwe, nie miał pojęcia jak.

– Nie miał pojęcia, co dalej robić ze swoim życiem.

Wreszcie dotarł na plebanie, a kiedy do niej wszedł, poczuł się, jakby wrócił do domu po długiej podróży, i nawet ten dyskomfort, jaki wynikał z przebywania na terenie parafii, zdawał się mniej mu dokuczać. Nie przeszkadzał mu nawet charakterystyczny, nieco zatęchły zapach wnętrza kojarzący się z domem na wsi. Zamyślony, w pierwszym odruchu zrobił kilka kroków do swojego dawnego pokoju. Zreflektował się jednak, westchnął głęboko i zapukał do gabinetu Szymona.

– Wejść - usłyszał i otworzył drzwi. Jego spojrzenie padło na krucyfiks na ścianie i odruchowo spuścił wzrok.

Szymon uśmiechnął się na widok Doriana, trochę smutno, a trochę jakby z nadzieją.

– Napijesz się czegoś?

Dorian ocenił, na co ma teraz ochotę, i w końcu uznał, że jest wystarczająco wypełniony myślami i wątpliwościami i że nie wciśnie niczego więcej. Usiadł w fotelu, starając się nie myśleć o świętych symbolach i wizerunkach kanonizowanych osób na otaczających go obrazach. Wciąż patrzył na podłogę.

– Nie, dziękuję.

Szymon zalał sobie herbatę, upił łyk i postawił kubek na biurku.

– Jak się trzymasz?

– A jak sądzisz?

– Właśnie widzę.

– Dlatego wybacz, jeżeli ściągnąłeś mnie tutaj, żeby porozmawiać o moim powrocie...

– Może się zdziwisz, ale nie.

Dorian spojrział na niego, przygotowany na wszystko, także na to, że Szymon będzie już drugą, po pani Beacie, osobą, która połączy kropki i dojdzie do jedyne słusznego wniosku.

On jednak wstał z krzesła i powiedział:

– Pani Irena niedawno poprosiła mnie o przechowanie pewnego dokumentu.

– Jakiego dokumentu?

Szymon nie odpowiedział. Odwrócił się tyłem do Doriana, otworzył szalkę z segregatorami i innymi papierzyskami, po czym wyciągnął z niej zieloną teczkę z napisem „Akt notarialny”. A kiedy Dorian domyślił się, co może zawierać, głośno przełknął ślinę, jego samopoczucie zaś tylko się pogorszyło.

– Czy to...?

– Nie wiem, nie zaglądałem. - Szymon położył teczkę na blacie. - Ale powiedziała, że gdyby coś jej się stało, masz być pierwszą i jedyną osobą, której to pokażę. Potem, jak się wyraziła, możesz z tym robić, co chcesz.

– Gdyby coś jej się stało...? Kiedy ci to dała?

– Kilka dni przed śmiercią.

Dorian sięgnął po teczkę i otworzył ją drżącymi rękami z bolesną świadomością, co mogło być główną przyczyną, dla której dokument, jaki zawierała, w ogóle powstał. Przeczucie go nie myliło. Trzymał w dłoniach kopię testamentu w formie odpisu aktu notarialnego. Jeszcze zanim go przeczytał, wiedział, że cokolwiek zostawiła mu pani Irena, zrzeknie się spadku.

Zapoznawszy się z dokumentem, w którym staruszka zapisała mu cały swój majątek, w tym mieszkanie zajmowane przez niego w ostatnim czasie i kilkadziesiąt tysięcy złotych oszczędności, zakrył oczy dłonią i na dobre się rozkleił.

Szymon nic nie mówił. Postawił obok drugie krzesło, usiadł i objął Dorianą za ramię.



# ROZDZIAŁ XXXIV

Premier Rafał Fedorowicz nie mógł usiedzieć w miejscu i z trudem powstrzymywał się przed wykonaniem kolejnego telefonu do ministra spraw wewnętrznych i administracji, który nadzorował służby specjalne. Ostatni raz dzwonił do niego przed godziną, ale w kwestii poszukiwań superterrorysty nic się nie zmieniło. Dalej pozostawał niezidentyfikowany i na wolności.

Choć podjęto wszelkie środki, łącznie z inwigilacją komputerów i telefonów obywateli, aby odkryć kryjówkę i tożsamość napastnika, sprawę znacznie utrudniał fakt, że praktycznie każdy Polak z dostępem do sieci poszukiwał w ostatnim czasie informacji o tym osobniku, a także najróżniejszych hipotez pochodzenia jego zdolności. Służby skupiły się na tych, które dało się racjonalnie wytłumaczyć, choć liczenie na błąd, że ów człowiek kupił swój ekwipunek przez Internet, było nadzwyczaj naiwne. Podśluchiwano też rozmowy telefoniczne, ale sprawa wzbudzała tak wielkie emocje, że liczba wzmianek o tej postaci w prywatnych konwersacjach obywateli szła w dziesiątki, jak nie setki milionów. Natomiast przez to, że terrorysta działał głównie w nocy, bezużyteczne okazały się amerykańskie satelity czujnie monitorujące Europę z kosmosu.

Opozycja i sprzyjające jej media wywierały presję na rząd, aby wprowadził w Warszawie stan wyjątkowy. I Fedorowicz chętnie by to zrobił, choćby po to, by wysłać w eter komunikat, że coś w tej kwestii się dzieje, gdyby nie jeden szczegół.

Zabronił mu tego Zet.

Zabronił mu również odwoływać jakiegokolwiek imprezy sportowe i kulturalne, szczególnie te największe. Fedorowicz podejrzewał, że to dlatego, iż gangster

czepie z nich wymierne korzyści finansowe. Tak czy inaczej, nie miał wyboru i musiał wykonać polecenie. Na tym jednak życzenia bossa się nie kończyły, a im więcej ich się pojawiało, tym premier bardziej żałował, że zwrócił się do niego o pomoc. Zet wymógł bowiem na nim gwarancję, że każdy człowiek, którego będzie potrzebował do pomocy i który w tym momencie siedzi w więzieniu lub w areszcie, zostanie albo ułaskawiony przez prezydenta, albo - jeżeli dopiero czekał na rozprawę - postępowanie w jego sprawie zostanie umorzone. Mało tego: jeżeli będzie trzeba, ma się to odbyć błyskawicznie, z pominięciem czasochłonnej papierologii. Oznaczało to w praktyce, że każda osoba, nawet skazana za najcięższe przestępstwo, teoretycznie mogła liczyć na odzyskanie wolności. Brzmiało jak przepis na katastrofę, także wizerunkową dla rządu, gdyby zainteresowały się tym media, ale, co zdziwiło Fedorowicza, boss jak dotąd nie skorzystał z danego mu przywileju i żaden bandyta zatrzymany w wyniku działań poszukiwanego nie został uwolniony z odgórnego polecenia.

Premier łudził się, iż ostatnie kilkanaście dni spokoju to zapowiedź, że zagrożenie minęło i życie niedługo wróci do normy. Bo tak się składało, że ostatni dzień hasania tego pajaca po mieście był tym samym, kiedy do mediów wyciekły plotki o kuluarowych rozmowach na temat „usuwania zagrożeń wszelkimi środkami”. Osobnik dostarczył do szpitala staruszkę pracującą jako gospodyni na jakiejś plebanii, po czym nagle zniknął. Fedorowicz pozostawał w kontakcie ze służbami, jego sztab codziennie szukał nowych informacji o wydarzeniach z udziałem tej postaci, ale na żadne nie trafiali. Nic nie wskazywało również na to, by ten ktoś spełnił swoje groźby i zrzucił bombę na rząd, wywlekając jego największe, dotąd zatajone przed opinią publiczną afery, a przecież obiecywał to, kiedy opuszczał willę Fedorowicza. Czyżby przestraszył się działań, jakie podjęto, żeby się go pozbyć? Uciekł z Warszawy? Może nawet z kraju? Byłoby pięknie.

Fedorowicz funkcjonował jednak w polityce na tyle długo, by wiedzieć, że to cisza przed burzą, a bomba, nawet jeżeli wybuchająca z opóźnionym zapłonem, wciąż groziła wieloma zniszczeniami. Zgliszczami, z których nie da się niczego odbudować.

\* \* \*

Beata siedziała przed komputerem i szukała w sieci nowych informacji o Dorianie. Kiedy wyszła ze szpitala i przemyślała, co powinna zrobić ze swoją wiedzą na temat jego drugiego życia, podjęła decyzję, że postawi na kompromis. Uznała, że na razie zachowa to dla siebie, ale jeżeli dotrze do potwierdzonej informacji, że Dorian po rozmowie z nią zrobił komuś krzywdę, natychmiast doniesie na niego policji i opowie, co odpowiada za jego moce. Nie była z tego dumna, traktowała to rozwiązanie jako ostateczne, ale nie miała wyboru. Wciąż niemal co noc dręczyły ją koszmary, w których coś goniło ją przez miasto. Budziła się z nich zlaną potem.

Zdziwiła się jednak, ponieważ dzień, w którym spotkała się z Dorianem, był ostatnim, kiedy ktoś zobaczył go w przemienionej formie. Potem zniknął i po kilku dniach spokoju niektóre media zaczęły nawet nieśmiało pytać, co się z nim stało. Jedną z teorii było, że komuś udało się go unieszkodliwić, ale jeszcze tego nie ogłoszono. Może nawet w ogóle nie zamierzano tego robić. Beata zaniepokoiła się. Po długich rozterkach przemogła się i sprawdziła to, pisząc do niego SMS-a z pytaniem, czy wszystko jest w porządku. Odpisał jej lakonicznie „tak”. Z wahaniem wysłała wtedy drugi, z propozycją spotkania, ale nie otrzymała odpowiedzi. Próba ta właściwie nic nie wykazała, więc przeprowadziła jeszcze jedną, ponownie dzwoniąc do jego parafii. Zadając pytania pozornie dotyczące czego innego, zdołała uzyskać informację, że ksiądz Szymon ostatnio dość często się z nim spotykał, więc chyba należało uznać, że Dorianowi nic się nie stało. Z jednej strony poczuła ulgę, ale z drugiej zastanawiało ją, dlaczego nagle zniknął z życia publicznego. Czyżby naprawdę zdołała do niego dotrzeć i jakimś cudem wpłynąć na jego zachowanie? A może, skoro zaczął regularnie spotykać się z innym księdzem, podjął decyzję, by zrobić coś ze swoimi mocami, które wymknęły się spod kontroli?

Nie zasypiała gruszek w popiele i jeżeli tylko miała sposobność, czytała o opętaniach przez demony, aby lepiej zrozumieć to zjawisko. Trochę niepokoiło ją to, że nie natrafiła na żaden udokumentowany przypadek, który przebiegałby tak jak u Dorigana. Umiejętnością absolutnego panowania nad demonami dotąd mógł poszczycić się tylko jeden człowiek w historii świata - Jezus Chrystus we własnej osobie, oczywiście jeżeli przyjmiemy, że Nowy Testament to fakty, a nie mity. Tyle że w jego ciało żaden demon nigdy nie wniknął. Egzorcyci, którzy wypędzali z ludzi złe duchy, korzystali tak naprawdę z mocy Boga, stosując specjalne modlitwy. Natomiast zwykli ludzie, których życie duchowe było uporządkowane,

którzy kochali, promieniowali dobrą energią i czynili szeroko pojęte dobro, najczęściej w ogóle demonów nie przyciągali, nie skupiali na sobie ich uwagi. Wyjątek stanowiły niektóre ważne postacie biblijne lub z historii Kościoła, w tym kanonizowane. Choć zdarzało się, że opętani zmieniali wygląd, ich twarze nabierały ostrzejszych rysów i tak dalej, Beata nie znalazła choćby jednej wzmianki o przypadku, w którym ta... transformacja przebiegałaby tak jak u Doriana. Nawet wizualnie stawał się czymś w rodzaju pół-człowieka, pół-demona, nie było w tym bezładu, a swego rodzaju porządek.

No i ta druga twarz na klatce piersiowej. Przywodziła Beacie na myśl symbiozę. Przymierze. Układ.

Pakt?

Zadrzała, ale natychmiast pokręciła głową. Nie, Dorian nie byłby zdolny do podpisania cyrografu, nie skazałby swojej duszy na wieczne potępienie po śmierci, nawet za cenę nadprzyrodzonych zdolności za życia. Nie człowiek, jakiego знаła, w którego umyśle i jego mechanizmach zdołała już trochę się zorientować. Dlaczego miałby to robić? Jeżeli jednak do tego nie doszło - jak w takim razie wytłumaczyć jego przypadek? Czy naprawdę tylko wydawało mu się, że nad tym panuje? Przecież żaden demon nie mógł być sprzymierzeńcem człowieka i godzić się na wykorzystanie swoich mocy tak, jak jego nosiciel tego chce. Czy było w tym jakieś drugie dno? Czy ta istota - znacznie sprytniejsza i mądrzejsza od ludzi, brakujące ogniwo w hierarchii bytów między człowiekiem a Bogiem - wymyśliła jakiś misterny plan, mający zakończyć się jak najgorzej, i aktualne zachowanie Doriana było jego częścią? Czy młody ksiądz był oszukiwany? Czy jednak Beata się myliła, a Dorian miał rację, naprawdę kontrolował moce demona w sobie i kluczowym zdarzeniem w tej układance był tragicznie zakończony egzorcyzm, w którym uczestniczył dwudziestego maja? Nie dało się zaprzeczyć, że to właśnie wtedy wydarzyło się coś, co odpowiadało za obecną sytuację. Coś unikatowego, do tej pory niespotykanego. Tylko co?

Pokręciła głową po raz kolejny, zła, że nic nie wie. Czy mimo wszystko nie robi źle, że pozostaje bierna w jego kwestii, czekając z jakimkolwiek stanowczym krokiem, aż wydarzy się jakaś tragedia? Czy nie postępuje naiwnie, dopuszczając choć cień szansy, że Dorian, jako pierwszy człowiek w historii świata... opętał demona, który wniknął w jego ciało? Brzmiało to jak absurd.

Podjęła decyzję, sięgnęła po telefon i wysłała Dorianowi jeszcze jednego SMS-a:

Nie wiem, co teraz się z tobą dzieje, ale wiedz, że zawsze możemy się spotkać i mogę spróbować ci pomóc.

Odłożywszy aparat, poczuła się lepiej, jakby tą czynnością jednocześnie wymiotła z sumienia część wyrzutów.

Już miała wstać i pomaszerować do łazienki, aby się odświeżyć i umalować, kiedy jej służbowy telefon dla odmiany zadzwonił. Czym prędzej sięgnęła po niego, myśląc, że to Dorian, ale się pomyliła. Dzwonił jakiś numer zastrzeżony.

– Halo?

– Dzień dobry - usłyszała głos kobiety. - Czy to pani Beata Konkel?

– Tak, przy telefonie.

Chwila ciszy.

– Spotyka się pani z Dawidem Volkodlakiem?

Zaskoczyło ją to pytanie i właściwie nie wiedziała, jak je interpretować. Czyżby dzwoniła do niej jakaś dziennikarka z Pudelka albo innego Plotka? Beata i tak uznawała za cud to, że jej wizerunek jeszcze nie stał się powszechnie dostępny. Z racji wykonywanego zawodu nie umieściła nigdzie swoich zdjęć, więc teoretycznie wciąż należało uznawać ją za osobę prywatną.

– Z kim rozmawiam? - zapytała.

– Niech pani go zostawi - odpowiedziała stanowczo kobieta. - Dla swojego dobra.

– Kim pani jest?

– To potwór.

Słowo to, wypowiedziane tak dobitnie, bez zawahania, z takim przekonaniem, jakby kryła się za nim jedyna właściwa prawda, sprawiło, że Beata zamilkła. W żołądku zaś poczuła nieprzyjemny ciężar. Zauważyła to, była bardzo wyczulona na reakcje swojego organizmu w różnych sytuacjach.

– Niech pani się z nim rozstanie, dopóki nie jest za późno -ciągnęła kobieta. - Dobrze pani radzę. Może wydawać się czarujący i miły, ale to tylko pozory. Istnieje duże niebezpieczeństwo, że zrobi pani krzywdę.

– Kim pani jest? - zapytała ponownie Beata, odkładając uprzejmość na bok, w każdym razie w głosie. Biła z niego złość, spotęgowana dokuczliwym kluciem pod mostkiem.

– A nawet ryzyko, że pani umrze - powiedziała kobieta i się rozłączyła.

Beata wpatrywała się w telefon, mając mętlik w głowie. Kto to był? Czego ona chciała? Dlaczego powiedziała jej coś takiego? Czyżby jakaś zazdrosna fanka nie mogła przeżyć, że jej wymarzony facet zaczął spotykać się z kimś innym? Najprawdopodobniej. Próbowwała ją zniechęcić, robiąc Dawidowi czarny PR. Z całą pewnością niezgodny z prawdą. Beata umiała łatwo rozpoznać ludzi, którzy ją oszukiwali, odgrywali uprzejmych, podczas gdy w rzeczywistości byli fałszywi. Energii, jaka od nich biła, nie dało się ukryć. Ufała reakcjom swojego organizmu w ich towarzystwie.

Tego samego organizmu, w którym ucisk w żołądku teraz z jakiegoś powodu nie chciał ustąpić.

Pokręciła głową i poszła do łazienki. Wieczorem miała w planach kolejną randkę z Dawidem. Ich znajomość rozwijała się w bardzo ciekawym kierunku. Poznawała go coraz lepiej, z każdym dniem utwierdzając się w przekonaniu, że mogłaby się w nim zakochać. Lubiła z nim rozmawiać. Był mężczyzną ciepłym, wrażliwym i opiekuńczym, a przy tym niesamowicie pociągał ją fizycznie. Raz nawet ulegli pokusie i poszli do łóżka, choć potem do tego nie wracali, jakby byli tą przygodą trochę skrepowani, jakby bez wypowiedzenia choćby jednego słowa na ten temat zgodzili się, że na taką bliskość jest jeszcze za wcześnie.

Jedyne, do czego mogła się przyczepić i co trochę ją zastanawiało, to że Dawid nigdy, przenigdy się nie uśmiechał. Nawet w momentach, kiedy było im szczególnie dobrze razem.

Dźwięk dzwonka domofonu zgrał się z ostatnim pociągnięciem szminki na jej ustach. Niedługo potem Dawid wszedł do mieszkania, elegancko ubrany i z rękami za plecami. A kiedy się zbliżył i Beata na nowo oceniła, jak się przy nim czuje, wszelkie wątpliwości po tym dziwnym telefonie uleciały z niej w jednej sekundzie.

– Co tam chowasz? - zapytała żartobliwie, próbując go okrążyć, ale nie pozwalała jej zobaczyć swoich dłoni. W końcu jednak wyciągnął je przed siebie.

– Proszę. Zamiast kwiatów. - Wręczył Beacie małą kopertę.

– Co to takiego? - zapytała.

– Sprawdź sama.

Otworzyła ją i wyciągnęła kartonik z jasnoczerwonym napisem „Krwawy Księżyc - Volkodlak vs Kiriczenko”. Był właściwie kopią billboardu, którym ostatnimi czasy obklejono Warszawę. Pod ilustracją z bohaterami wieczoru nad Stadionem Narodowym natomiast nadrukowano datę i godzinę, a obok nich napis: „Sektor A2, rząd XII, miejsce 6”.

– Przepraszam, że nie w pierwszych rzędach, ale tam wszystkie miejsca były już dawno zajęte. Wiesz, sponsorzy, VIP-y i inne ważniaki. Zdobyłem bilet najbliżej klatki, jak tylko mogłem. Musisz być!

– Oczywiście, że zamierzałam się pojawić! Miałam cię dzisiaj zapytać, czy jest jeszcze możliwość nabycia biletu. - Zerknęła na cenę. - Dziękuję, ale to bardzo drogi prezent. Aż mi głupio!

– Daj spokój - uciął Dawid. - Nic mnie to nie kosztowało.

– Ciebie nie, ale twoja federacja straci.

– Nie trzeba, naprawdę. - Machnął ręką. - Mój promotor powiedział, że już prawie sprzedano komplet wejściówek. Sześćdziesiąt tysięcy biletów. Kilkaset złotych mniej ich nie zabol.

– Dobra, to chociaż zrobimy tak, że stawiam dzisiejszą kolację -powiedziała, a kiedy już otwierał usta, uniosła rękę. - Nie mównic! Albo kolacja, albo bilet. Wybieraj.

– Dobrze, pani pułkownik! - Zasalutował. - Przyjmuję warunki!

Beata wsadziła kopertę z biletem jako zakładkę do książki, którą aktualnie czytała, uznając, że w ten sposób na pewno go nie zgubi. Wyszli z jej mieszkania i taksówką pojechali pod restaurację, w której mieli zaplanowaną dzisiejszą randkę. Beata naturalnie nie pozwoliła Dawidowi zapłacić za podwiezienie.

– W takim razie chociaż otworzę ci drzwi! Nie dotykaj klamki! - zawołał i wysiadł z samochodu, a ona przewróciła oczami, mimo że tak naprawdę jego zachowanie sprawiało jej przyjemność.

Wtem zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Z początku nie wiedziała, z czego wzięło się to wrażenie, lecz w końcu uświadomiła sobie, że to przez nagły spadek energii, jaką wyczuwała u Dawida. Jakby zniknął, choć nadal znajdował się przy samochodzie. Nie szedł jednak w stronę jej drzwi. Stał tyłem do tych, zza których właśnie wysiadł.

Beata przyjrzała mu się. Był wyprostowany, jakby stał na baczność.

– Dawid?

Chyba jej nie usłyszał, w każdym razie nie dał tego po sobie poznać.

– Dawid? - Chciała otworzyć drzwi z jego strony, lecz stał tuż przy nich i je blokował. Nie zareagował, nawet gdy go nimi dotknęła. Wsiadła, używając swoich. - Co się dzieje?

Nie odpowiadał. Tkwił nieruchomo na jezdni, odwrócony do niej plecami.

– Hej! - Obeszła taksówkę i złapała go za przedramię. - Jesteś tu ze mną?

Miał pusty wyraz twarzy i wytrzeszczone oczy utkwione w czymś po drugiej stronie ulicy. Beata spojrzała tam gdzie on i zobaczyła jakiegoś mężczyznę. Był ubrany w bluzę z kapturem narzuconym na głowę, miał okulary przeciwsłoneczne, mimo że był wieczór, a nos i usta zakrywała mu kominiarka. Nie to jednak rzucało się w oczy najbardziej, lecz żółtawa świecąca kula wielkości piłki do futsalu, którą trzymał w wyciągniętych przed sobą rękach.

– Dawid! - zawołała głośniej Beata. Pociągnęła go za rękę, ale wydawał się sztywny, jakby stał się manekinem. Wciąż wpatrywał się w kulę.

Kulę, która wyglądem i światłem imitowała księżyc w pełni.

– Hej! - Pomachała mu ręką przed oczami, zerkając to na niego, to na tego dziwnego mężczyznę. - Co się z tobą dzieje?

Dawid zaczął drżeć, jakby zrobiło się zimno, choć letni wieczór był bardzo ciepły. Jego tęczęwki zdawały się coraz jaśniejsze, niemalże pokrywające się kolorem z białkami. Serce zaczęło bić wolniej i tak głośno, że Beata niemal słyszała, jak jego uderzenia odbijają się echem od pobliskich kamienic. Z każdym z nich doznawał takich spazmów, jakby przez jego ciało przepływał prąd.

Wreszcie zmarszczył brwi, wyszczerzył zęby i zaczął agresywnie warczeć. Napiął kurczowo mięśnie, koszula trzymała się na nim chyba tylko na słowo honoru. Zaraz jednak oderwał się od niej pierwszy guzik. Dawid padł na kolana, uniósł głowę i zaczął wrzeszczeć, choć bardziej przypominało to wściekły ryk. Beata odruchowo cofnęła się o krok, nie wiedząc, co myśleć o jego dziwnym zachowaniu. W tym czasie mężczyzna po drugiej stronie ulicy rozejrzał się, schował świecąca kulę pod pachę i nie minęła nawet sekunda, jak zniknął w pobliskiej uliczce. Natomiast kierowca wysiadł z taksówki i zapytał:

– Co się stało?



Dawid opadł na czworaki i uderzał pięściami o pękający pod nimi asfalt jak wściekły goryl. Nadal wrzeszczał, skupiając na sobie uwagę kolejnych przechodniów. Niektórzy najwyraźniej go rozpoznali. Pokazywali go sobie palcami, wyciągali smartfony i zaczęli nagrywać zajście.

– Dawid, proszę cię, przestań - powiedziała drżącym głosem Beata. Bała się do niego podejść, a słowa, które usłyszała przez telefon od anonimowej kobiety, jak na złość pojawiły się w jej umyśle, jakby przez cały czas kryły się pod abstrakcyjną taflą wody i teraz spod niej wypłynęły. - Jeżeli to żart, to...

Przerwała, kiedy rozległ się głośny odgłos rwania. Koszula na Dawidzie nie wytrzymała naporu pęczniejących mięśni i pękła w kilku miejscach.

– Ale jazda! - zawołał któryś z gapiów, kiedy postura Dawida, także na nogach i pośladkach, momentalnie powiększyła się co najmniej trzykrotnie, jakby ktoś nadmuchał go pompką. Koszula i spodnie zamieniły się w strzępy, niektóre kawałki pozostały na skórze, przyklejone potem. Był teraz w samych bokserkach, a i one, pomimo rozciągliwego materiału, ledwo się na nim trzymały. Całe ciało Dawida, w tym twarz, pokryło się nabrzmiałymi żyłami. Uniósł głowę ku niebu, odchylił się i wydał z siebie donośny ryk. Był wysoki, chrapliwy i nie miał już nic wspólnego z jego głosem.

Nie miał już nic wspólnego nawet z głosem człowieka.

Beata stała jak sparaliżowana, kiedy Dawid podniósł się na nogi z opuszczonymi bezwładnie rękami i spojrzał na nią pustymi oczami, w których próżno było szukać czegokolwiek ludzkiego. Był olbrzymi i potężnie umięśniony, wydawało się wręcz, że urósł o co najmniej kilkanaście centymetrów. Przyglądał się jej, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu. Beata nie śmiała nawet drgnąć. Czuła się jak przynęta na haczyku obserwowana przez rybę.

„Istnieje duże niebezpieczeństwo, że zrobi pani krzywdę...”

Dawid ryknął wściekle i wymierzył Beacie potężny cios. Zareagowała instynktownie, jeszcze zanim się zamachnął. Odskoczyła do tyłu. Bok tułowia wypełnił jej ostry ból, choć Dawid tylko zahaczył o niego końcówkami palców. Gdyby stała w tamtym miejscu choćby ułamek sekundy dłużej, z pewnością złamałby jej kilka żeber, może nawet skończyłoby się czymś gorszym. Straciła równowagę i upadła. Wśród obserwujących to gapiów zapanowało poruszenie, przez zbiegowisko przetoczył się pomruk niedowierzania. Dawid jednak wciąż

skupiał się na leżącej na jezdni Beacie, która wpatrywała się w niego z przestachem. Zbliżał się do niej, warcząc i zginając palce w taki sposób, jakby kończyły się pazurami, choć w rzeczywistości pozostały ludzkie.

„A nawet ryzyko, że pani umrze...”

– Ej! - zawołał taksówkarz. - Zostaw pan ją!

Dawid odwrócił się gwałtownie w jego stronę, a przerażony mężczyzna dosłownie zmalął w oczach. Wrócił do samochodu i zamknął się w nim od środka. Dawid jednym susem wskoczył na maskę, pokonując tę odległość z taką lekkością, jakby nauczył się latać. Uniósł pięści i wybił przednią szybę.

– Ratunku! - krzyknął taksówkarz, przełaząc gorączkowo na tylne siedzenie. Dawid próbował go dosięgnąć, machając opętańczo rękami. Był tak wielki, że nie mógł precyzyjnie się nawet przez wybite przednie okno. Zeskoczył z samochodu, chwycił za podwozie i... na oczach zszokowanych obserwatorów przewrócił taksówkę na dach tak łatwo, jakby zbudowano ją z plastiku. Blacha pogięła się i pękły wszystkie szyby.

Nagle skądś wystrzeliła w stronę Dawida potężna sieć zakończona kablem. Oplotła go, lecz zanim zdążył się z niej uwolnić, Beata usłyszała trzaski i buczenie prądu. Dawid zadrżał konwulsyjnie i padł bez przytomności na asfalt, wciąż nienaturalnie wielki i umięśniony. Po chwili podbiegło do niego kilku ubranych na czarno mężczyzn, błyskawicznie wydobyło go z sideł i przeniosło do pobliskiej furgonetki. Jeden z nich wziął ze sobą sieć, drugi zaś pozbierał z ziemi porwane ubranie i telefon. Beata obserwowała to w niemym szoku, nie wierząc w to, co widzi. Nieznajomi złożyli Dawida w kabinie, sami do niej weszli, zamknęli za sobą drzwi, a furgonetka natychmiast odjechała. Cała akcja trwała maksymalnie pół minuty.

– Szanowni państwo! - rozległ się donośny, czysty głos i wszyscy spojrzeli na wymuskanego mężczyznę z hiszpańską bródką i starannie umodelowaną fryzurą. Był ubrany w drogi, błyszczący, srebrno-szary garnitur i uśmiechał się szeroko, szczerząc śnieżnobiałe zęby. Beata rozpoznała w nim Jacka Bernajtysa, promotora Dawida, którego zdjęcie również znajdowało się w artykułach odnoszących się do publikacji tygodnika „Naprawdę”. - Już niedługo Dawid Volkodlak zmierzy się w najważniejszym pojedynku tego roku na świecie z arcymistrzem federacji RWA Michailem Kiriczenką. Właśnie zobaczyliście na własne oczy możliwości naszej bestii! Czy rosyjski zawodnik będzie w stanie im się przeciwstawić? Zapowiadają

się ogromne emocje! Wszystkich serdecznie zapraszamy do zakupu ostatnich biletów na Stadion Narodowy lub przed telewizory!

Wśród gapiów zapanowała konsternacja. Nikt się nie odzywał. Patrzyli z niedowierzaniem najpierw na Jacka, potem na leżącą na jezdni Beatę, na przewrócony do góry nogami samochód, wreszcie na taksówkarza, który próbował się z niego wygramolić.

Do Beaty podszedł inny mężczyzna i podał jej rękę.

– Dla swojego dobra lepiej trzymaj się tego, co mówi - wycedził przez zęby tak cicho i dyskretnie, że niemal zahaczało to o brzuchomówstwo. Nikt oprócz niej tego nie usłyszał. Wpatrywała się w osobnika zszokowana i z opóźnieniem uzmysłowiła sobie, jaką energię u niego wyczuwa. Rozpoznała ją, podobnie jak włosy faceta związane z tyłu w krótki kucyk. To z tym człowiekiem minęła się kiedyś na ulicy przed spotkaniem z Dorianem. - Pomogę wstać - powiedział głośniejszym głosem, z dobrze udawaną uprzejmością. Machnął zachęcająco dłonią, wpatrując się w Beatę bez mrugnięcia okiem.

– Dam sobie radę - odpowiedziała, dbając, by zabrzmiało to neutralnie, choć aura, jaką emanował ten facet, wyzwoliła w niej reakcję obronną i odruchową agresję. Wstała z trudem, czując dotkliwy ból w żebrach i kurczowo przyciskając do nich przedramię.

– Dobra robota! - Jacek podszedł do obolałego taksówkarza i objął go za ramię. Ten wyglądał, jakby zamierzał mu się wyrwać, może nawet wściekle coś odpowiedzieć, lecz menedżer Dawida szepnął mu coś na ucho, a kierowca momentalnie zbladł. - Rozumiemy się? - dodał cicho Jacek, nie puszczając ramienia taksówkarza i zaciskając na nim mocniej dłoń.

Kierowca przełknął ślinę i ledwo zauważalnie kiwnął głową.

– Naszemu kaskaderowi należą się owacje na stojąco! To było piękne! - powiedział głośniejszym głosem Jacek i zaczął bić mężczyźnie brawo.

Ludzie jednak podeszli do tego z niezbyt dużym entuzjazmem i po kilku nieśmiały kłapnięciach ponownie zapadła cisza.

– Raz jeszcze zapraszamy na walkę i zachęcamy do obserwowania profili GFC oraz Dawida na Facebooku, Instagramie, Snapchacie i TikToku - ciągnął niezrażony. - Wspierajmy naszego mistrza, najlepszego zawodnika sportów walki na świecie!

Pokłonił się lekko, jakby dawał do zrozumienia, że jego występ już się zakończył, i przestał interesować się ludźmi. Ci patrzyli po sobie z nietęgimi minami i w końcu zaczęli się rozchodzić, żywo dyskutując o tym, co właśnie zobaczyli. Jacek z kolei upewnił się, że nikt nie skupia się na nim i na taksówkarzu, sięgnął do kieszeni marynarki i wręczył mężczyźnie gruby plik banknotów.

– To wynagrodzenie za trzymanie gęby na kłódkę - powiedział cicho. Po jego szerokim uśmiechu sprzed chwili nie pozostał nawet ślad. - Stratny nie będziesz. Dostaniesz też nową furę, nawet lepszą niż poprzednia. Jutro zadzwoń pod ten numer. - Podał kierowcy wizytówkę. - Zostaw auto, zaraz je sami sprzątniemy. Jakby ktoś pytał, wszystko było zaplanowane i wyreżyserowane do celów promocyjnych. Czy to jasne? Bo inaczej się pogniewamy. I to mocno.

Taksówkarz już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale spojrzenie Jacka sprawiło, że z jego gardła nie wydobyło się ani jedno słowo. Wziął pieniądze, podszedł do zniszczonego samochodu i wyciągnął z niego swój piterek oraz inne rzeczy osobiste. Odszedł, kuśtykając i nie oglądając się za siebie. Zaraz na miejsce przyjechała również pomoc drogowa i z szybkością podobną do tej, z jaką wywieziono Dawida, pozbyła się wraku i kawałków szkła po nim.

– Nic pani nie jest? - Jacek podszedł do Beaty, przy której wciąż stał mężczyzna z kucykiem.

– Co to miało być?! - krzyknęła na tyle głośno, że obaj jak na komendę rozejrzeli się z niepokojem.

– Chodźmy stąd. - Kucyk złapał ją za przedramię, ale wściekła Beata wyrwała mu się i skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie! Chcę, żebyście mi wyjaśnili, co to wszystko miało znaczyć! Tu i teraz.

Mężczyzna zrobił kolejny krok w jej stronę.

– Dotkniesz mnie jeszcze raz, a zacznę krzyczeć! I cała ta maskarada się skończy! - powiedziała natychmiast.

– Ależ jaka maskarada? - zapytał Jacek, ponownie prezentując swój perfekcyjny, śnieżnobiały uśmiech. - Zwykła zapowiedź walki. Rozgłos i mały skandal to podstawa. KSW potrafiło zaaranżować kontrolowane zatrzymanie swojego zawodnika przez policję w samym środku konferencji prasowej. Od razu było o tym głośno, a gala lepiej się sprzedawała. Proszę się nie martwić. Dawidowi nic nie jest. To wszystko było na niby.

– Mały skandal...?

Beata nie mogła dłużej tego słuchać. Zrobiło jej się słabo. O ile wcześniej miała do czynienia z tylko jednym facetem emanującym wybitnie złą energią, o tyle dwóch przelało czarę. Zastanawiała się, czy po ciosie Dawida przypadkiem nie straciła przytomności i to wszystko nie jest jednym wielkim majakiem.

– Takie gadanie proszę sobie zostawić na filmiki promocyjne! -odparła ostro. - Pytam ostatni raz: co to było?! Co się z nim stało? Dlaczego tak urósł i stał się tak silny? Dlaczego nie reagował, gdy do niego mówiłam? I dlaczego mnie uderzył?!

Jacek spowaźniał, a jego twarz przybrała zimny wyraz.

– Mówię ci to tylko dlatego, że Dawid cię lubi - odpowiedział spokojnie. - Szanuję jego wybór i uczucia, zwłaszcza że widziałem, że przy tobie czuł się szczęśliwy. Jeżeli chcesz z nim być, prędzej czy później i tak byś się dowiedziała. Pytanie, czy tak jak my potrafiłabyś to zaakceptować.

– Co?

– Dar Dawida ma pewne... skutki uboczne.

– Dar?!

– Dar, którego znaczenia, obawiam się, możesz nie zrozumieć. Który sprawił, że Dawid znajduje się dziś w tym miejscu, w jakim się znajduje. Jest wyjątkowym człowiekiem. Na co dzień takim jak my, ale raz w miesiącu, podczas pełni, objawiają się jego nadludzkie zdolności. To dzięki nim w walce wręcz nie ma na niego mocnych. Staje się silniejszy, szybszy i bardziej odporny na ciosy. Niepokonany. Niestety co najmniej raz w roku - Jacek spojrzał na ciemne, zachmurzone niebo, a potem na róg, za którym kilka minut wcześniej zniknął mężczyzna ze świecącą kulą - wypada taka pełnia, na którą dla dobra zarówno swojego, jak i wszystkich w swoim otoczeniu nie ma prawa spojrzeć.

Beata słuchała go z coraz większym niedowierzaniem.

– Jaka pełnia...? Co wy, do cholery...?

– Tak zwany superksiężyc. - Jacek spojrzał na nią surowo. - Pełnia wypadająca w momencie, w którym Księżyc znajduje się najbliżej Ziemi. Staje się wtedy wizualnie większy i świeci jaśniej niż zwykle. Jeżeli Dawid na niego spojrzy, dzieje się to, co właśnie zobaczyłaś. I wygląda na to - znowu spojrzał na tamtą uliczkę - że wpływa tak na niego nie tylko prawdziwy księżyc. Nie wiedzieliśmy o tym.

Beata miała mętlik w głowie. Nie wiedziała, czy powinna się roześmiać, czy rozplakać. Słowa tego faceta brzmiały tak wariacko, że wciąż miała nadzieję, iż tych dwóch nagle rozłoży przed nią ręce i krzyknie: „Mamy cię!”. Wpatrywali się w nią jednak z pełną powagą.

– Przecież to jakiś absurd! - wydusiła z siebie.

– Absurd czy nie, to fakt, który musisz przyjąć do wiadomości - odpowiedział zimno. - I zachować go dla siebie.

Beata myślała gorączkowo, próbując ułożyć to sobie w głowie, i w końcu doszła do jedyne słusznego wniosku.

– On jest chory psychicznie, tak? O to chodzi? Coś przestawia mu się w głowie w reakcji na określony bodziec i wtedy traci świadomość?

– To n i e j e s t choroba psychiczna - odparł ostrzej Jacek. - To dar, talent, dzięki któremu Dawid stał się znany i bogaty. Bywa problematyczny, ale robimy wszystko, żeby nie wynikło z tego nic złego. Skrupulatnie pilnujemy kalendarza faz księżycy i gale nigdy nie wypadają w krytycznych momentach.

Beata spojrzała w niebo.

– Przecież dziś też nie ma pełni!

– Co nie znaczy, że coś nie może bardzo wiarygodnie jej odwzorować. Jak dotąd nie zdarzyło się, żeby reagował na coś innego niż prawdziwy księżyc, sprawdzaliśmy to na zdjęciach, filmach i ozdobnych lampach, które go przypominały, ale czegoś takiego najwyraźniej jeszcze nie zobaczył. Wolimy dmuchać na zimne. Siedzimy go, na wypadek gdyby wynikła niespodziewana sytuacja taka jak dziś, żeby w porę zainterweniować. Jak widzisz, w praktyce nikomu nic poważnego się nie stało.

Beata poczuła zdwojony ból w żebrach i spojrzała na Jacka z wściekłością.

– Jesteście szaleni! - Wycelowała w nich palcem. - Cynicznie wykorzystujecie chorego człowieka do zarabiania pieniędzy!

– Nikogo nie wykorzystujemy. On o tym wszystkim wie. - Niezachwiany spokój w głosie menedżera Dawida zaczął ją irytować. - Wie, jak działają jego zdolności. Wie, że w konkretne dni w roku musi zostać zamknięty w pokoju ze szczelnie zakrytymi oknami i choćby nie wiadomo co, nie może spojrzeć w niebo. To była jego świadoma decyzja. Musiał nauczyć się żyć ze swoim darem, przestrzegać

pewnych reguł. I to dzięki niemu nie jest wykluczony ze społeczeństwa. Wręcz przeciwnie: jest podziwiany, zapewnia ludziom dumę i pozytywne emocje.

– Nie wycierajcie sobie gęby dumą narodową i radością gawiedzi, którą okłamujecie! Zbadał go jakiś psychiatra?

Jacek pokręcił głową i cmoknął z dezaprobatą.

– Jednak nie rozumiesz jego daru. Właśnie tego się obawiałem i nawet go przed tym ostrzegałem.

– Facet, czy ty widziałeś, co tu się właśnie stało?! - Beata wskazała miejsce, w którym niedawno leżała taksówka. - Jesteście oderwani od rzeczywistości?! Gdybym w porę nie odskoczyła...

– Ale nic ci się nie stało, złapaliśmy go i teraz poczeka sobie w bezpiecznym, ustronnym miejscu do rana, żeby odzyskać przytomność. Nic mu nie będzie, już z gorszych rzeczy wychodził bez szwanku - odpowiedział spokojnie Jacek. - Przykro mi, że dowiedziałaś się o tym w takich okolicznościach, ale jeżeli chcesz z nim być, musisz to zaakceptować. To maksymalnie kilka dni w roku, podczas których musi pozostać odizolowany od świata. Tyle wiemy na pewno. Sytuacjom takim jak ta sprzed chwili staramy się zapobiegać, ale mogą się zdarzyć. Wszystkiego nie przewidzimy. Przez resztę czasu jest zupełnie normalny, no, może tyle, że w zwykłą pełnię bardziej pobudzony, silniejszy i roznosi go energia.

Beata już otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale właśnie wtedy coś przyszło jej do głowy i wytrzeszczyła oczy.

– Ta zbrodnia z jego dzieciństwa...

Twarze jej rozmówców momentalnie się zmieniły. Teraz wykrzywiała je czysta wściekłość. Nie dbali już o konwenanse, chwycili Beatę za ramiona i zaczęli prowadzić w stronę luksusowego samochodu z przyciemnianymi szybami, który stał nieopodal. Chciała krzyknąć, ale mężczyzna z kucykiem przyłożył jej coś do pleców. Nie widziała co, ale była prawie pewna, że to lufa pistoletu.

– Milcz - powiedział cicho. - Milcz, suko, albo zginiesz i chuj mnie obchodzi, ilu ludzi to zobaczy.

Beata przeraziła się nie na żarty, bo jak na złość ulica się wyludniła i nie szedł nią nawet jeden przechodzień. Zacisnęła usta i głośno przełknęła ślinę, pozwalając im się prowadzić. Kucyk otworzył przed nią tylne drzwi i wepchnął ją do środka.

Zanim zdążyła się pozbierać, Jacek usiadł obok, a jego towarzysz wsiadł za kierownicę, zablokował wszystkie zamki i odjechał spod restauracji.

– Nie kłopot się wrzaskami, to auto jest dźwiękoszczelne, a szyby pancerne - powiedział spokojnie Jacek, celując w nią z drugiego pistoletu, podczas gdy roztrzęsiona Beata odsunęła się od niego jak najdalej. - Teraz na poważnie. Traktujemy cię ulgowo ze względu na Dawida - ciągnął. - Ale są pewne granice, których nie pozwolimy ci przekraczać, rozumiesz? Albo jesteś z nami i z nim, albo przeciwko. Albo milczysz na temat tego, co wiesz, albo ponosisz konsekwencje zbyt długiego języka. Czy wyraziłem się jasno?

Beata skuliła się, przyciskając nogi do tułowia, i gapiła się na pistolet ze łzami w oczach.

– T-to jakieś szaleństwo... Chcę t-tylko jego dobra... - wydukała.

– Nie martw się o nie. Zadbamy o to lepiej niż ktokolwiek inny. Nie lubimy nadgorliwców i nie będziemy patrzeć na to, że jesteś kobietą. Jeżeli przegniesz, olejemy też i to, że Dawidowi na tobie zależy. A chyba nie chciałabyś, żeby zmartwił się na przykład twoim nieoczekiwanym zaginięciem?

Beata zacisnęła zęby, a po jej twarzy spłynęła kolejna łza. Spojrzała za okno w poszukiwaniu pomocy i zdała sobie sprawę, że dojeżdżają w okolice jej bloku. Wkrótce zaparkowali pod nim, pod samiutką klatką schodową.

– Mieszkanie numer osiemdziesiąt dwa, prawda? - zapytał Jacek, okraszając to szerokim uśmiechem.

Beata nie odpowiedziała, upokorzona i przerażona.

– Masz teraz dwie możliwości. Albo akceptujesz Dawida takim, jaki jest, i dalej rozwijacie swoją płomienną znajomość, albo dajesz mu spokój. Bez względu na to, co zdecydujesz, milczysz. Dowiemy się, jeżeli komukolwiek powiesz o jego sekrecie. Mamy swoje sposoby, żeby dotrzeć po nitce do kłębka. Wzywanie na nas policji nic ci nie da. Mamy bardzo wpływowych przyjaciół. Przyjaciół i możliwości. Jeżeli chcesz się o nich przekonać i zaryzykować, twoja wola. Najwyżej zginie ktoś z twojej rodziny. Nie powiem kto, aby zapewnić ci więcej emocji. Kobiety lubią emocje, prawda, pani psycholog? - Jacek zmarszczył złośliwie brwi.

Beata milczała, nie patrząc na niego. Nagle zbliżył się i złapał ją mocno za brodę. Ledwo się powstrzymała, by nie jęknąć z bólu.

– Czy wszystko jest jasne? - wycodził.



Zmusiła się, by spojrzeć na niego szklistymi oczami.

– T-tak.

– Cieszę się. - Puścił ją. - No to wypierdalaj.

Kucyk odblokował drzwi, a Beata jak najszybciej wysiadła z auta, czując się, jakby było wypełnione dymem. Ruszyła na miękkich nogach w stronę bloku. Nie pamiętała, jak weszła na klatkę schodową. Nie pamiętała, czy dotarła do mieszkania windą, czy wspięła się po schodach. Wydawało jej się, że w następnym momencie już leżała w wannie, zwinięta w kłębek, nie zważając na to, że gorąca woda moczy jej włosy. Próbowwała myśleć, upewnić się, czy to, co się właśnie wydarzyło, nie jest jednym wielkim snem. A kiedy zdała sobie sprawę, że nie, nie wytrzymała i się rozplakała.

# ROZDZIAŁ XXXV

W tym samym czasie gdzieś w Polsce, w pogrążonym w ciemności pomieszczeniu przypominającym wnętrze bunkra, pewien mężczyzna wpatrywał się w monitor, na którym widniał raport podesłany przez jego specjalistów od komputerów, jak ochrzcił grupę pracujących dla niego hakerów. Już dawno, jeszcze zanim odezwał się do niego premier Fedorowicz, zlecił im ustalenie tożsamości nadgorliwca, który bawił się w superbohatera i psuł mu interesy. Dysponowali większymi możliwościami i budżetem niż polskie służby specjalne, a i tak potrzebowali trochę czasu, by uzyskać o tym człowieku więcej informacji, które nieostrożnie sam zapewniał, pokazując się publicznie i wystawiając się na mikrofony oraz obiektywy kamer. Poradzili sobie z tym koncertowo i mężczyzna zapoznawał się teraz ze szczegółami, aby samemu ocenić, czy nie popełnili po drodze jakiegoś błędu.

Dochodzenie rozpoczęto *de facto* od... końca. Od kobiety, którą poszukiwany dostarczył do szpitala, zanim zniknął. Fakt, że nastąpiło to akurat po tym zdarzeniu, mógł nie być przypadkiem. Nie zaszkodziło jej prześwietlić.

Irena Fejfer pracowała jako *gospoia* na plebanii przy parafii pod wezwaniem Świętego Benedykta na warszawskich Bielanach. Zanim zmarła, jechała na spotkanie z urlopowanym wikarym, niejakim Dorianem Wachem. Według wersji oficjalnej nigdy tam nie dotarła, natrafiła na tego stwora jeszcze w drodze. Miała słabe serce, z przerażenia dostała zawału i choć została dostarczona do szpitala, nie udało się jej uratować.

W tej sytuacji nie zaszkodziło prześwietlić faceta, z którym miała się spotkać. I tu pojawiały się pierwsze ciekawostki.

Po pierwsze: Wach w drugiej połowie maja uczestniczył w tragicznie zakończonym egzorcyzmie. Młoda kobieta, na której przeprowadzono rytuał, zginęła. W związku z tym aresztowano egzorcystę, proboszcza parafii pod wezwaniem Świętego Benedykta, Ludwika Kropidłowskiego i postawiono mu zarzut morderstwa. W sprawie było jednak wiele znaków zapytania. Choć dowody wskazywały na jego winę, zarówno Wach, jak i rodzice zmarłej, którzy uczestniczyli w tamtych wydarzeniach, upierali się, że kapłan został wrobiony w tę tragedię przez złą, nadnaturalną siłę, której istnienia nie regulowało polskie prawo. Samego momentu śmierci Klaudii Strzelczyk jednak nie widzieli. Dlatego sprawa była tak kłopotliwa dla wymiaru sprawiedliwości.

Po drugie: pleć. Sądząc po sylwetce i po tym, jak wyglądał nagi tors osobnika o dwóch twarzach, można było założyć, że z dużym prawdopodobieństwem jest mężczyzną.

Po trzecie: wzrost. Udało się go w miarę precyzyjnie oszacować z nagrania z dachu apartamentowca, które wyciekło do mediów, porównując proporcje istoty do ludzi, których wówczas trzymał za ręce na krawędzi budynku. Ich dane zdobyto bardzo łatwo. Ustalono, że osobnik ma nieco ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Czyli tyle, co Wach.

Po czwarte: głos. Pozyskano jego próbkę z nagrania z dachu apartamentowca i specjalnym oprogramowaniem wyodrębniono z podwójnej barwy wyłącznie tę ludzką, naturalną. Z kolei głos Doriana Wacha można było uzyskać z... jego kanału na YouTube, na którym, gdy pełnił posługę kapłana, zamieszczał nagrania śpiewanych przez siebie pieśni kościelnych. Hakerzy dowiedzieli się o tym, gdy włamali się do jego komputera. Przy użyciu nowoczesnego oprogramowania porównano obie próbki. Ustrojstwo na bazie sztucznej inteligencji było na tyle sprytne, że dopuszczało nawet, iż śpiew mógł trochę zniekształcić jedną z nich.

Zgodność głosu wynosiła siedemdziesiąt jeden procent.

Po piąte: twarz. Tu sprawa była nieco trudniejsza, ale i z tym problemem udało sobie poradzić. Użyto oprogramowania podobnego do FaceApp, popularnej aplikacji do przerabiania zdjęć ludzi - do ich postarzania, odmładzania, zmieniania płci lub fryzury, dodawania uśmiechu i tym podobnych, wszystko również w oparciu o sztuczną inteligencję. Założono, że wyostrome, drapieżne rysy twarzy osobnika to część jego transformacji, i spróbowano zasymulować przemianę w drugą stronę - jak wyglądałby, gdyby nie deformacje.

Program pozwolił ustalić również mniej więcej wiek mężczyzny, który oszacowano na przedział dwadzieścia pięć-trzydzieści lat. Dowody osobiste są wydawane na maksymalnie dziesięć lat. Na bazie uzyskanego wizerunku program pozwolił wygenerować trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa zdjęcia pomocnicze, których liczba odpowiadała liczbie dni w przedziale dwa tysiące dziewięć do dwa tysiące dziewiętnaście. Tym samym aplikacja pozwoliła stworzyć animowaną symulację odmładzania twarzy mężczyzny dzień po dniu od momentu, w którym osobnika uwieczniono na nagraniu, do minus dziesięciu lat.

Hakerzy włamali się do bazy danych zdjęć polskich obywateli, którzy składali wnioski o wydanie dowodu osobistego. Ponieważ nie było wiadomo, kiedy poszukiwany wyrobił sobie dokument, zdjęcia z młodszą wersją mężczyzny były potrzebne, aby ten problem obejść. Wykorzystano technologię rozpoznawania twarzy, by każdy z ponad trzech i pół tysiąca wygenerowanych plików graficznych porównać z wizerunkami osób przechowywanymi w rzeczonyj bazie. Wydajna wyszukiwarka przemieliła ją pod tym kątem w całości. W ten sposób krąg podejrzanych zawężono do kilkudziesięciu osób, ale jedna wyróżniała się szczególnie. Zgodność twarzy dziewięćdziesiąt siedem procent, zdecydowanie najwięcej ze wszystkich.

Dorian Wach, urodzony szóstego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku w Poznaniu, aktualnie zamieszkały w Warszawie.

Po szóste: zainteresowania i okoliczności. Hakerzy przejrzeni komputer księdza, sprawdzili historię przeglądarki internetowej, nawet włamali się na smartfona, a przy okazji go zlokalizowali i sprawdzili historię GPS. Rzuciło się w oczy, że Wach dość mocno interesuje się postacią polskiego superbohatera. Czytał praktycznie każdą informację lub artykuł na jego temat. Przeglądał wiele materiałów.

Najciekawsze były jednak jego wyszukiwania w Google, wykonane jeszcze zanim superbohater zaczął na dobre szaleć po mieście. Powtarzało się w nich jedno kluczowe słowo.

Opętanie.

Po tragicznych zdarzeniach w domu Strzelczyków Wach został przesłuchany w prokuraturze i zwolniony do domu. Potem jednak stracił przytomność w kościele podczas odprawiania mszy. Przypominało to atak padaczki, po którym położono go do szpitala. To właśnie tam, kiedy leżał na oddziale, zaczął

wyszukiwać w sieci informacje o opętaniach. Działo się to dzień po tym, jak osobnik o dwóch twarzach wywołał strzelaninę w klubie Bridgette. Co więcej, tego samego dnia Wach złapał na gorącym uczynku złodzieja, który chciał ukraść portmonetkę pacjentce. Napisał o tym krótką notkę jeden lokalny portal internetowy.

A potem, kiedy został wypisany, poprosił o urlop od posługi. Już nigdy nie odprawił mszy.

Czytający to wszystko mężczyzna rozsiadł się wygodnie na fotelu i ułożył przegnite dłonie w piramidkę. Myślał, analizował, szukał w raporcie słabych punktów, które mogłyby dawać choć cień szansy, że jego ludzie w którymś momencie się pomylili, ale już teraz wiedział, że niczego takiego nie znajdzie, nie tylko dlatego, że zatrudniał najlepszych polskich specjalistów od ustalania tożsamości. Ilu facetów o takim wyglądzie, o takim głosie i o takim wzroście miało do czynienia z demonami bezpośrednio przed tym, jak ten chłoptaş zaczął rozrabiać w mieście? I jak inaczej wyjaśnić jego nadludzkie zdolności, w tym umiejętność pewnego rodzaju jasnowidzenia, kiedy teraz jedyne wytłumaczenie nasuwało się samo?

Mężczyzna uśmiechnął się z satysfakcją.

Teoretycznie wszystko stało się jasne i mógł w tym momencie podjąć wszelkie działania, by pozbyć się problemu i wykonać lukratywnie płatne zlecenie premiera. Możliwe, że znał już nawet słabe punkty delikwenta. Skoro to, co się z nim działo, należało uznać za pewien rodzaj opętania, skoro stracił przytomność tylko dlatego, że przebywał w kościele, a potem poszedł na urlop i już nigdy nie stanął za ołtarzem, z dużym prawdopodobieństwem mógł go unieszkodliwić każdy egzorcysta. Oprócz tego, jak prawie każdy człowiek, miał słabości, w które zawsze można było uderzyć. Słabości, które zawsze zdawały egzamin, kiedy należało na kimś coś wymóc.

Ludzie, których kochał. Ważni dla niego. Tacy, których chciał chronić, i dlatego zdecydował się na anonimową działalność.

Tyle tylko, że na całą sprawę trzeba było spojrzeć trochę szerzej, biorąc pod uwagę długofalowe cele, jakie mężczyzna zamierzał osiągnąć. Zrewidować założenia. Przy odpowiednim punkcie widzenia superbohater może przestać być problemem nie w takim sensie, że zniknie i nie będzie psuć interesów ważnym ludziom. Można go porównać do nowej choroby. Dopóki w pełni jej się nie zbada,

lepiej nie robić gwałtownych ruchów, bo może się okazać, że unieszkodliwi się wirusa, podczas gdy w odpowiednich rękach dałoby się go wykorzystać. Każdy wirus może być narzędziem, które ułatwi osiągnięcie określonych celów. Mężczyzna, splatający teraz przegniłe dłonie, wiedział na ten temat bardzo dużo, może nawet najwięcej ze wszystkich ludzi w Polsce.

Wreszcie, po długich przemyśleniach i dopracowaniu planu, podjął kilka ważnych decyzji. Pierwszą i najważniejszą: na razie zachowa kwestię podwójnego życia Doriana Wacha dla siebie. Drugą: skorzysta z umowy, jaką zawarł z premierem, i nakaze wypuścić na wolność jedną kluczową dla planu osobę. To musi być ona, aby zadziałał efekt zaskoczenia. Trzecią: wyda kilka poleceń swoim najbardziej zaufanym ludziom, także hakerom. Polecenia bardzo precyzyjnie skonstruowanych i nastawionych na konkretne rezultaty, aby w kulminacji wszystko zagrało jak w zegarku. Kulminacji, która nastąpi w odpowiednim momencie. Trzeba będzie wtedy działać bardzo szybko, żeby nie dać przeciwnikowi czasu na reakcję.

W końcu, kiedy uporządkował to wszystko w głowie, zdał sobie sprawę, że jeszcze nie jest przygotowany na każdy wariant i jego plan zawiera jedną poważną dziurę. Konkretnie: co, jeżeli Wacha jednak nie da się powstrzymać krucyfikami, egzorcyzmami i innymi podobnymi bzdurami? Lukę należało za wszelką cenę załatać. Tylko jak?

Jego myśli przerwał dzwonek telefonu, który go zirytował. Przeszkadzał mu w skupieniu się. Kusiło go, żeby nie odbierać, ale gdy zobaczył, kto do niego dzwoni, zmienił zdanie. Wziął smartfona i odebrał.

– Cześć, Jacuś! Co tam?

Słuchał, co rozmówca ma do powiedzenia, i z każdą sekundą samopoczucie mu się polepszało.

Wyglądało bowiem na to, że problem dziury w jego planie właśnie zupełnie niechcący został rozwiązany.

**CZĘŚĆ VI:  
PIERWSZA KONF  
RONTACJA**

# ROZDZIAŁ XXXVI

Beata spędziła praktycznie nieprzespaną noc pogrążona w myślach. Jej w miarę uporządkowane życie, co do którego wierzyła, że zmierza w dobrym kierunku, w jednej chwili zamieniło się w jedno wielkie wariactwo, a tempo zdarzeń nakazywało podać w wątpliwość, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Jeszcze wczoraj spotykała się z mężczyzną, o którym poważnie myślała, że może z nim stworzyć coś więcej. To, że był znanym, bogatym sportowcem, nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się wyłącznie, jak się przy nim czuła. Układało im się, zbliżali się do siebie, poznawali coraz lepiej, to jemu oddała się po raz pierwszy od ucieczki z toksycznego małżeństwa i choć potem do tego nie wracali, było to bardzo przyjemne doświadczenie, nie żałowała go i nawet nieśmiało liczyła na powtórkę. Wszystko zmierzało ku temu, by rozwijali szczęśliwą, trwałą relację, choć z jej podświadomą niechęcią do facetów, skutkiem pierwszego nieudanego związku, wydawało się, że do czegoś takiego nie dojdzie już nigdy.

I co?

I nagle wyszło na jaw, że tenże mężczyzna jest jedną wielką mroczną tajemnicą. Miał związki z półświatkiem, choć wcześniej zarzekał się, że Jacek to nie mafioso, tylko łebski biznesmen w branży zapewniania ludziom emocji. Co więcej, kiedy Dawid patrzył na określony rodzaj księżycy w pełni, coś... się z nim działo. Beata nie miała pojęcia co, ale poza chorobą psychiczną w rodzaju lykantropii nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Lykantropii, którą ponad dwadzieścia lat temu nieśmiało dopuszczała prokuratura.

Tylko czy jakakolwiek choroba psychiczna wytłumaczyłaby zmiany fizyczne, jakie zaszły w jego ciele? Tę siłę, skoczność i szybkość?



Tak czy inaczej, biorąc to wszystko pod uwagę, Dawid jako dziecko naprawdę mógł brutalnie zamordować swoich rodziców i kilku bandytów. Nieumyślnie, ale jednak. A ten dziwny telefon poprzedniego dnia wcale nie musiał być od zazdrosnej fanki. Im dłużej Beata o tym myślała, tym śmieiej dopuszczała możliwość, że rozmawiała z siostrą Dawida.

Po kilku godzinach przewracania się z boku na bok na łóżku uznała, że to bez sensu, i zasiadła przed komputerem. Operowanie myszką i klawiaturą sprawiało jej olbrzymią trudność, biorąc pod uwagę drżenie; ba, niezbyt dobrze radziła sobie nawet z samym siedzeniem, tak bardzo nosiło ją z emocji. Choć miała świadomość, że to, co robi, zakrawa na absurd, wyszukała w sieci kalendarz pełni tak zwanego superksiężycy na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty.

Pierwsza wypadła dwudziestego szóstego lutego.

Po ciele Beaty rozlała się fala przeszywającego zimna. Kolejne takie pełnie wypadły dwudziestego siódmego marca, dwudziestego piątego kwietnia, dwudziestego piątego maja i dwudziestego piątego czerwca. Potem superksiężyc nie pojawił się na niebie aż do piętnastego kwietnia dziewięćdziesiątego piątego roku. Według artykułu Huberta Godlewskiego w „Naprawdę” prokuratura rozpoczęła testy z wpływem na chłopca pełni uwiecznionej na zdjęciach lub filmach dopiero pod koniec czerwca dziewięćdziesiątego czwartego, już po dwudziestym piątym dniu miesiąca. Popełnili błąd i test nie był miarodajny. Nie wzięli pod uwagę, że Tymek Podolak może zachowywać się inaczej, kiedy księżyc jest czternaście procent większy i aż trzydzieści procent jaśniejszy. Że może tracić rozum i stawać się naprawdę groźny jedynie w określonych okolicznościach.

Coś podpowiadało jej, że na tym powinna zakończyć swoje małe śledztwo, ale potem wyszukała daty wszystkich gal z udziałem Dawida. Każda, co do jednej, odbywała się w wieczór z pełnią. Żadna jednak, absolutnie żadna nie odbyła się podczas superksiężycy.

„Robimy wszystko, żeby nie wynikło z tego nic złego. Skrupulatnie pilnujemy kalendarza” - przypomniała sobie słowa Jacka. Skojarzyły jej się z wypowiedzią Doriany, który twierdził, że kontroluje moce demona. W obu przypadkach brzmiało to jak deklaracje szaleńców, którzy igrali z ogniem i aż prosili się o tragedię. Ludzi, którzy nie mieli zielonego pojęcia, co próbowali sobie podporządkować.

Beata wyłączyła komputer, czując się gorzej, niż zanim do niego zasiadła, i powtórnie położyła się do łóżka. Nie mogła przestać myśleć i wprost marzyła o tym, żeby to ustało, zlitowało się nad nią i dało jej spokój. Żeby nie rozważała miliarda scenariuszy, nie trawiły jej wątpliwości i gorączkowe pytania, co powinna teraz zrobić. Wreszcie - żeby nie doskwierała jej ta bolesna świadomość, że nadzieja, jaka rozbudziła się w niej przez ostatnie dni, daje jej jeszcze jednego bolesnego kopa w tyłek, jej kolejny związek właśnie kończy się klapą i dla swojego dobra musi go przerwać. Że znowu dopadło ją jakieś fatum, pech w tej materii, tym razem chyba największy ze wszystkich.

Bo do tej pory nikt, nawet Mariusz, ten skurwiel, były mąż, którego odchorowywała do dziś, nie podniósł na nią ręki. Dawid, nawet jeżeli nieświadomie, zrobił to jako pierwszy.

Przypomniała sobie, jaki stał się nienaturalnie wielki i muskularny. Jego puste, prawie białe oczy i wściekłą twarz pokrytą pajęczyną nabrzmiąłych żył.

Twarz idealnie pasującą do wizerunku potwora, jakiego widziała w nim jego siostra. Zdolnego zabić.

Beata wzdrygnęła się i opatulila szczelniej kołdrą, ściskając jej brzeg w zaciśniętych dłoniach. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć.

A kiedy jej się udało i po raz kolejny doświadczyła snu, w którym coś goni ją przez miasto, wreszcie zobaczyła, jak się kończył. Gdy osobnik zagonił ją w ślepią uliczkę i stanął przed nią z drapieżną miną, wreszcie zobaczyła, kim był.

Dawidem, we własnej osobie. Większym. Silniejszym.

Niebezpiecznym.

\* \* \*

Kiedy Dawid z rana odzyskał świadomość, zdał sobie sprawę, że znajduje się w tajemnym pomieszczeniu w swoim domu, tym samym, w którym spędzał każdą noc z superksiężycem. Z pozoru przypominało normalną sypialnię z toaletą, jednak sporą jego część zajmowała potężna klatka z grubymi kratami, które znajdowały się na tyle daleko od okien, by nie dało się przez nie ich dosięgnąć. Choć Linda i Jacek uważali, że tak ostre zabezpieczenia nie są konieczne, klatkę zamontowano na wyraźną prośbę Dawida. Wszystko po to, by nie ryzykować, że

narkotyczny głód spojrzenia na superksiężyc, który kusił go za każdym razem, gdy nadchodziła ta konkretna noc, który zdawał się wręcz do niego mówić, nie okazał się silniejszy od zdrowego rozsądku. W miarę jak Dawid dorastał, nauczył się nad nim panować, ale wołał dmuchać na zimne.

Otępiały rozejrzał się po pokoju i zobaczył Lindę stojącą przy oknach z podniesionymi roletami. One też były wyposażone w odpowiednie zabezpieczenia - kłódki, które najpierw należało otworzyć.

– Cześć - powiedziała obojętnie.

Choć Dawid nie widział jej w takiej sytuacji po raz pierwszy, czuł, że coś mu w niej nie gra. Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że przecież wszystkie noce z superksiężycem w tym roku już się odbyły, w styczniu, lutym i w marcu, więc nie powinno go tutaj być. Przypomniał sobie, że nie wchodził i nie zasypiał w tym pokoju jak zwykle, tylko...

Otworzył szerzej oczy i zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?! - rzucił, a potem zadał pytanie, które mimo wszystko powinno paść najpierw: - Gdzie jest Beata?

Linda spojrzała na niego i choć starała się przyjąć neutralny wyraz twarzy, dało się dostrzec z trudem skrywany żal. Tylko inna kobieta potrafiłaby rozpoznać w nim potężną zazdrość.

– Musisz się uspokoić.

– Gdzie ona jest?! - Dawid tracił panowanie nad sobą, a słowa Lindy tylko pogarszały sytuację. Dopadł do krat i kurczowo zacisnął palce na prętach. - Nic jej nie jest?

– Nie, jest cała i zdrowa.

Ogarnęła go ulga.

– Muszę się z nią zobaczyć.

– Obawiam się, że ona z kolei może nie chcieć się z tobą widzieć.

Dawid poczuł potężne tąpnięcie w żołądku. Cały zbladł.

– Zrobiłem jej coś...? Powiedziałaś, że nic jej nie jest!

Linda powoli, wręcz najwolniej jak mogła, podeszła do klatki i podała mu smartfona, na którego ekranie odtwarzał się filmik z YouTubea. Dawid wpatrzył się w niego, cały drżąc. Nagranie przedstawiało zajście z nim w roli głównej, które

najpewniej sfilmował telefonem jakiś postronny przechodzień. Widział na nim wszystko jak na dłoni. To, jak jego twarz stała się pusta, jakby zamienił się w robota. Jak jego ciałem zaczęły targać gwałtowne spazmy. Jak zaczął warczeć. Jak jego mięśnie powiększyły się co najmniej trzykrotnie, czego nie wytrzymała elegancka koszula. Jak Beata próbowała do niego mówić, lecz nagle, gdy zaczął nieludzko ryczeć, cofnęła się, jakby się go bała. Wreszcie moment, w którym się zamachnął i...

Dawid skrzywił się i skulił, jakby sam otrzymał cios w przeponę. Brzuch bolał go równie mocno, jeśli nie bardziej.

– Nie - wyszeptał.

– Nie martw się. Nic jej nie jest - powtórzyła obojętnie Linda.

– Nie chciałem tego! - krzyknął Dawid. - Nawet tego nie pamiętam! Nie chciałem zrobić jej krzywdy!

– Wiem, że nie chciałeś - odpowiedziała. - Wszyscy to wiemy. Pytanie, czy ona to zrozumie.

Dawid nawet jej nie słuchał. Myślał gorączkowo.

– Muszę to wyjaśnić. Muszę... Wypuść mnie!

Linda spokojnie podeszła do drzwi w klatce, a potem użyła kilku kluczy, by zwolnić w nich wszystkie zamki. Dawid wybiegł z pomieszczenia.

– Gdzie jest mój telefon? - wydarł się. - Gdzie on jest, do kurwy nędzy?!

– Nie wiem - padło w odpowiedzi.

– Gdzie on jest?! - Dawid wrócił do pomieszczenia z klatką. Miał przekrwione oczy, a jego głos przypominał wilczy warkot.

– Uspokój się! Może sprawdź w swoim pokoju?

Dawid pobiegł do sypialni, znalazł telefon na komodzie i gorączkowo go chwycił. Wodząc drżącymi palcami po ekranie, czym prędzej wybrał numer do Beaty. Nie odbierała. Spróbował jeszcze raz, lecz z identycznym skutkiem.

– Kurwa. Kurwa! Kurwa!!! - cedził wściekle przez zęby, chodząc w tę i z powrotem ze smartfonem przy uchu. Każda próba połączenia kończyła się jednak tym samym.

– Co się dzieje? - zapytała z udawanym zainteresowaniem Linda.

– Nie odbiera.

– Jak dla mnie to bardzo wymowne.

Choć wiedział, że Linda ma rację, spróbował jeszcze kilkanaście razy, z identycznym skutkiem. Beata nie odpisywała także na jego SMS-y. Rozejrzał się gorączkowo, zastanawiając się, czy nie skorzystać z telefonu Lindy, ale zrezygnował.

– Muszę to wyjaśnić! - powtarzał. - Ona zrozumie. Musi zrozumieć. Ona nie jest taka, żeby... Ona wie... - Krążył po domu, ubierając się w to, co akurat wpadło mu w ręce. - Jadę do niej - rzucił z korytarza, kiedy był już gotowy do wyjścia i zaczął wkładać buty.

– Nie zjadłeś śniadania... - zaczęła Linda, ale machnął ręką.

– Potem.

– Przed tobą najważniejsza walka w życiu i...

– Pierdolę tę walkę, Linda, rozumiesz?! - warknął. - Są rzeczy ważniejsze niż sport, pieniądze i media społecznościowe. Wierz mi, naprawdę są! - Porwał z półki w korytarzu kluczyki do samochodu i wybiegł z domu, nie dbając nawet o to, by zamknąć za sobą drzwi.

Linda westchnęła i z zimnym spojrzeniem zrobiła to za niego. Następnie wzięła swój telefon i wybrała stosowny numer.

– Jedzie do jej mieszkania - stwierdziła zamiast powitania, kiedy osoba po drugiej stronie odebrała. - Zadbajcie o to, żeby nie było żadnych dramatycznych scen, OK?

Siadła przed komputerem i przejrzała pocztę. Montażysta współpracujący z GFC właśnie podesłał jej filmik, w którym nagranie z zajścia po mistrzowsku, przy użyciu stosownych przejść, cięć i muzyki, przekształcono w chwytliwy trailer nadchodzącej walki. Moment, w którym Dawid uderzył „Beatkę-szmatkę”, jak Linda określała ją w myślach, oczywiście pominięto. Jacek nakazał jej rozpowszechnić materiał w mediach społecznościowych i opakować odpowiednią narracją. Linda obejrzała filmik i stwierdziła, że gdyby nie wiedziała, jaka jest prawda, sama uwierzyłaby, że to tylko mistyfikacja i element promocji gali. Rozgłos i mały skandal, jak to określał Jacek. Nie mieli innego wyboru. Zbyt wiele osób widziało ten incydent na żywo, by dało się go zatuszować, więc musieli brnąć w kłamstwo tak długo, aż w perspektywie odbiorców stanie się prawdą. Ludzie uwierzą. Wszystko da się im wmówić, jeżeli wystarczająco często i przekonująco

im się to powtarza. Zwłaszcza gdy towarzyszą temu zwycięstwa ich idola i idące za nimi pozytywne emocje.

Zwłaszcza gdy mówimy o zjawisku, w które żaden rozsądny człowiek nie ma prawa uwierzyć.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i zabrała się do pracy.

\* \* \*

Dawid jechał do mieszkania Beaty chyba nawet szybciej niż niedawno do Katowic. Bez przerwy próbował się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. Kiedy stawał na światłach, pisał SMS-y, które również pozostawały bez odpowiedzi. Wreszcie dotarł pod jej blok, wybiegł z samochodu i doskoczył do domofonu. Wstukał numer mieszkania i czekał niecierpliwie, nie mogąc ustać w miejscu. Wsłuchiwał się w kolejne sygnały, lecz nikt mu nie otworzył. Nikt nawet się nie odezwał.

Spróbował jeszcze kilka razy, ale bezskutecznie. Wreszcie zadzwonił pod numer któregoś z sąsiadów, skłamał, że jest z poczty, i otworzono mu drzwi. Wbiegł na odpowiednie piętro, a pod drzwiami do mieszkania numer osiemdziesiąt dwa sytuacja się powtórzyła - kilka razy pukał i korzystał z dzwonka, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Wiedział jednak, że Beata jest w domu. Czuł jej zapach.

– Beata, otwórz! - zawołał. - Proszę cię, chociaż mnie wysłuchaj!

– A ja proszę cię - usłyszał zza drzwi jej głos - daj mi spokój.

Przeraził się. Jej ton był teraz tak bardzo podobny do tego, jakim zwracała się do niego Agnieszka, że przez moment naprawdę myślał, iż za drzwiami stoi jego siostra.

– Beata, ja naprawdę...

– Okłamałeś mnie - powiedziała. - Twój menedżer jest gangsterem, choć twierdziłeś, że to tylko biznesmen.

– Bo to prawda! Nic nie wiem o czymkolwiek innym!

– Groził mi, rozumiesz?! - Głos Beaty zaczął drżeć. - Powiedział, co się z tobą dzieje, i groził mi, że jeżeli to rozpowiem, zrobi krzywdę mnie i mojej rodzinie! Miał pistolet!

Dawid westchnął i zgarbił się, opierając uniesione ręce o drzwi. Spuścił wzrok.

– Co ty na to?! - zawołała histerycznie Beata, jeszcze bardziej przypominając mu Agnieszkę z ich ostatniej rozmowy. - Uważasz, że powinnam przejść nad tym do porządku dziennego?!

Dawid pokręcił głową. W sumie po tym, co zobaczył na nagraniu, mógł się spodziewać po Jacku takiej reakcji, zwłaszcza jeżeli Beata w emocjach powiedziała kilka słów za dużo. Znał go już od tej strony. Z ferajną dawno temu w podobny sposób bronili małego Tymka w szkole przed dokuczającymi mu dziećmi. Właściwie w identyczny, tylko bez pistoletów.

– A zamierzasz to rozpowiedzieć? - zapytał, czując narastający ścisk w gardle. - I na powrót zniszczyć mi życie?

– Sam niszczysz sobie życie, Dawid - odparła zimno. - Podobno o wszystkim wiedziałeś. Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? A może w ogóle nie zamierzałeś? Może miałam być tylko przelotną przygodą, jeszcze jedną zabawką znanego i bogatego celebryty, który może przebierać w kobietach jak w rękawiczkach? Stały schemat: zabawi się, przeleci, a potem znajdzie sobie nową.

– Tak nie było - wymamrotał, czując, że miękną mu nogi.

– Więc wytłumacz mi, dlaczego mnie okłamałeś. Dlaczego okłamałeś najpierw psychologa, do którego przyszedłeś, bo w artykule na twój temat zadawano zasadne pytania na temat zdarzeń z twojej przeszłości, a potem kobietę, której, jak teraz twierdzisz, nie chciałeś potraktować jak zabawki. - W głos Beaty zaczynały wkradać się histeryczne nuty. - Powinieneś być świadomy, że jeżeli chcesz poczuć się lepiej, dobrze by było powiedzieć całą prawdę o sobie, bo tylko wtedy rozmowy terapeutyczne mają jakikolwiek sens. Gdybyś od początku powiedział, co ci dolega, nie widziałabym w tym niczego złego.

Westchnął.

– Masz rację. Ja... skłamałem, bo... - Ciężar w jego żołądku narastał. Nie wiedział, jakich słów użyć, żeby zabrzmiało to racjonalnie w uszach kogoś, kto nie miał pojęcia, jak to jest. - Bo pachniesz podobnie do mojej matki.

– Co ty wygadujesz?!

Każde jej słowo, każda nuta niedowierzania i wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego zadawały mu najczystszy ból. Ugięły się pod nim nogi, usiadł pod drzwiami do mieszkania Beaty i oparł się o nie plecami.

– Wiem, jak to brzmi - powiedział. - Wiem, że masz mnie teraz za wariata, ale nic na to nie poradzę. Czuję zapachy ludzi. To dlatego wtedy, w szpitalu, wymusnęło mi się, że czułem zły zapach twojego pacjenta. Nie chodziło o perfumy. Nie wiem, jak to się dzieje, ale potrafię rozróżniać i rozpoznawać ludzi po zapachach. Jak pies. Albo wilk. Nie powiedziałem ci właśnie dlatego, żebyś nie uznała mnie za świra.

Rozejrzał się po klatce schodowej, na której panowała głęboka cisza. Żadne odgłosy nie dochodziły nawet z sąsiednich mieszkań, jakby ich właściciele również podeszli do drzwi i słuchali go w napięciu. Miał to jednak gdzieś.

– Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy - ciągnął - twój zapach automatycznie skojarzył mi się z zapachem mojej mamy. Nie jest identyczny, ale ma w sobie coś wyjątkowego, nie potrafię wytłumaczyć, z czego to wynika. Od kiedy ją straciłem, nigdy takiego nie spotkałem. Tak bardzo za nim tęskniłem, że gdy wszedłem do twojego gabinetu, wiedziałem, że kiedy z niego wyjdę, będę chciał go poczuć po raz kolejny. Podobałaś mi się... Nadal mi się podobasz, z każdym dniem coraz bardziej. Byłaś wtedy dla mnie taka miła, choć mnie nie znałaś i nie wiedziałaś, kim jestem... Kiedy zadzwoniłem do ciebie, bo chciałem spotkać się z psychologiem, postanowiłem, że powiem ci całą prawdę, zwłaszcza po tym, jak napisałaś, że chcesz mi pomóc, że chcesz usłyszeć moją wersję zdarzeń. Ale jak już tam przyszedłem, nabrałem pewności, że gdy powiem ci, jak było, twoje nastawienie do mnie się zmieni. Że tego nie zrozumiesz, nie uwierzysz albo się przestraszysz, skreślisz mnie, jak moje siostry, rodzina i rówieśnicy, którzy dokuczali mi w szkole... Jak to wszystko sobie wyobraziłem, coś we mnie podjęło decyzję, żeby nie mówić ci wszystkiego. Żeby zataić prawdę, odłożyć na później, w końcu jakoś to będzie. Potem zbliżyliśmy się do siebie i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że decyzja, żeby skłamać, mimo wszystko była słuszna. Byłem taki szczęśliwy! Mogłem żyć jak zwykły człowiek, bez problemów, z wartościową kobietą u boku. Z kobietą, która nie wie o moim piętnie i nie postrzega mnie przez jego pryzmat. Która nie wie, że zabiłem swoją matkę, może również ojca, choć tego nie chciałem. Tak samo nie chciałem wczoraj zrobić ci krzywdy.

Zamilkł, czekając na odpowiedź, ale żadna nie padła, co tylko bardziej go dobiło. Westchnął głęboko i podjął, wiedząc, że musi powiedzieć całą prawdę. Odchylił i oparł głowę o drzwi.



– Ta historia z dziwną polaną w lesie, którą śledczym opowiadała moja siostra, jest prawdziwa. Naprawdę, kiedy miałem trzy lata, przypadkiem trafiliśmy całą rodziną w takie miejsce, w którym znajdował się obrośnięty bluszczem kamienny krąg przypominający miejsce jakiegoś kultu. Zaatakowały nas wilki, a jeden pogryzł mnie na samym środku tego... nie wiem. Ołtarza? Świątyni? Nic poważnego mi się nie stało, ale potem podczas pełni zacząłem dziwnie się zachowywać. Roznosiła mnie energia, czułem taką lekkość i siłę. Ogarniała mnie wręcz narkotyczna pokusa, żeby patrzeć na księżyc, bo to właśnie jego widok tak na mnie działał. Czasem też lunatykowałem, ale każdego innego dnia było normalnie, poza tym że zacząłem czuć zapachy i stopniowo zmieniał mi się kolor oczu. Agnieszka już wtedy wmawiała mi, że jestem potworem. Że przemieniło mnie to ugryzienie. Uwierzyłem jej. Bałem się, że rodzice mnie porzucą. Że przestaną mnie kochać. Mama jednak prawie codziennie zapewniała mnie, że to nieprawda, dawała mi taką ilość miłości, o jakiej nie mogłem nawet marzyć. Martwiła się jednak moim zachowaniem podczas pełni i po konsultacjach z lekarzem podjęła decyzję, że zamontuje w naszym mieszkaniu rolety i będzie pilnować, żebym tego jednego konkretnego dnia w miesiącu nie miał możliwości spojrzeć na niebo. Przez lata nic się nie działo, żyliśmy jak zwykła, niczym niewyróżniająca się rodzina, poza tym że z Agnieszką na pewno nie byliśmy modelowym, kochającym się rodzeństwem. Ale wtedy nadszedł ten cholerny dwudziesty szósty lutego dziewięćdziesiątego czwartego.

Dawid uderzył spodem pięści w posadzkę obok siebie. Drżał mu oddech, a po policzkach spływały łzy. Już nie upewniał się, czy Beata słucha, tak bardzo pochłonęła go jego opowieść. Dotąd w całości nie opowiedział jej nikomu, nawet Jackowi, który był jednym z jej bohaterów, ale znał tylko jej część.

– Kiedy ci bandyci wtargnęli do naszego mieszkania, mama chciała nas uratować i ukryła mnie, Agnieszkę i Paulinę w szafie. Ja jednak czułem, że tej nocy jest pełnia. Wyjątkowa, jakby silniejsza niż normalnie. Jakby była żywą istotą, która mnie woła. Byłem wtedy kilkuletnim gówniarzem. Głupim, nieodpowiedzialnym smarkiem, którego dozgonna miłość i akceptacja matki wprowadziły w błąd i pozwoliły zapomnieć, czym tak naprawdę mógł się stać. Który był za mały, żeby rozumieć, że jego nadludzkie zdolności mogą jeszcze nie być do końca zbadane - wycedził z wściekłością i ponownie uderzył pięścią w podłogę, tym razem mocniej. - W ogóle nie bałem się tych goryli. Czułem się

panem świata, głową stada, której obowiązkiem jest go bronić. Przysięgam, że tak bym to opisał. Nie głową rodziny. S t a d a . To był zwierzęcy instynkt. Byłem przekonany, że sobie poradzę. Pomimo protestów Agnieszki wyszedłem z szafy, podniosłem rolety i spojrzałem na księżyc. To ostatnia rzecz, jaką pamiętam z tamtej nocy.

Ukrył twarz w dłoniach i wymiętosił policzki.

– Ocknąłem się dopiero rano. Byłem w dużym pokoju, skąpany we krwi, a wokół mnie wały się zmasakrowane zwłoki. W tym mamy i taty. Byłem przerażony i nic nie pamiętałem. Wiedziałem jednak, że to zrobiłem, że, tak jak mówiła Agnieszka, zmieniłem się w potwora, który traci świadomość podczas pełni i zaczyna zabijać wszystko, co się rusza. Myślałem, że pójdę do więzienia, bałem się -zacisnął usta - więc to zataiłem. Śledczy nie uwierzyli Agnieszce, hipoteza o tym, że tak okrutnej zbrodni mogło dokonać dziecko, wydawała się szalona. Nawet nie znaleźli w lesie tej cholernej polany, choć jestem pewien, że gdyby im się udało, nic by to nie zmieniło. Nikt nie dopuszczał mojej winy, ale ja wiedziałem, jak było naprawdę, i obiecałem sobie, że już nigdy nie spojrzę na księżyc. Musiałem jednak to zrobić, kilka miesięcy później, podczas testu, jaki zarządził prokurator prowadzący sprawę. Bałem się tej próby, nawet nie tego, że wykaże, co się ze mną dzieje, i zostanę ukarany. Bałem się, że znowu stanie się coś okropnego. Sam się zdziwiłem, bo tym razem nie straciłem przytomności. Czułem, że znowu zwiększyły się moje możliwości fizyczne, że znowu stać mnie na rzeczy nieosiągalne dla dziecka, byłem bardzo pobudzony, ale w pełni przytomny i nie czułem żadnego wewnętrznego instynktu, żeby atakować tamtych ludzi. Mimo to starałem się pokazać, że nic we mnie się nie zmieniło. Test zakończył się fiaskiem, a ja miałem mętlik w głowie, ale postanowienia nie zmieniłem. Nie chciałem więcej patrzeć na księżyc, bo miałem świadomość, że to bardzo niebezpieczne.

Westchnął i otarł łzę.

– Śledztwo zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawcy, a ja i siostry trafiliśmy pod opiekę dziadków. I choć świadomie nie zrobiłbym nikomu krzywdy oraz obiecałem sobie, że już nigdy nie będę eksperymentować ze swoimi zdolnościami, Agnieszka nie potrafiła mi wybaczyć. Nienawidziła mnie. Przeciągnęła na swoją stronę Paulinę. To właśnie one rozpowiedziały w mojej szkole, że podczas pełni przemieniam się w potwora. Nie wiem, czy inne dzieciaki naprawdę w to uwierzyły. Pogłoska była jednak na tyle chwytliwa, że wystarczyła,

by moje życie zamieniło się w jedną wielką mordęgę, zwłaszcza że inni rodzice na wszelki wypadek zabraniali swoim dzieciom się ze mną zadawać. Dokuczano mi i dosłownie wykluczono mnie z klasy. Nie miałem przyjaciół, nie miałem nawet kolegów, dziewczyny uważały mnie za dziwoląga. Zostałem pozostawiony sam sobie, samotny, nielubiany i wyśmiewany, obklejony plotkami, co do których wiedziałem, że są prawdziwe i że inne dzieci traktują mnie tak, jak na to zasłużyłem. Codziennie przed snem modliłem się, abym umarł najbliższej nocy, ale Bóg z jakiegoś powodu nie chciał mnie wysłuchać. Nie wiem, czy to jego zasługa, ale jakiś czas potem poznałem chłopaka z najstarszej klasy. Tym chłopakiem był Jacek.

Dawid ugiął jedną nogę w kolanie i oparł o nie wyprostowaną rękę. Pochylił głowę.

– To właśnie on jako jedyny wyciągnął do mnie pomocną dłoń. Wiedziałem, że cała jego banda pochodzi z rodzin o wątpliwej reputacji, że ich ojcowie zajmują się podobnymi rzeczami jak bandyci, przez których wynikło całe zamieszanie, ale nie obchodziło mnie to. Przyjęli mnie do swojej paczki. Stanęli w mojej obronie i inne dzieciaki przestały mi dokuczać. Zaprzyjaźniłem się z nimi, najbardziej z Jackiem, który traktował mnie jak młodszego brata i był gotów rzucić się za mną w ogień. Nie pozwalał docinać mi nawet swoim kumplom; jeżeli akurat któremuś coś się wymysknęło, szybko doprowadzał sprawę do porządku. To on sprawił, że moje dzieciństwo stało się zupełnie znośne. Że miałem kogoś, komu mogłem zaufać, kto mnie akceptował i nie traktował jak rzecz, którą należy piętnować. I kiedy miałem kilkanaście lat, to jemu, jako jedynemu oprócz ciebie - Dawid znowu oparł głowę o drzwi - powiedziałem wszystko. Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy i co dzieje się ze mną podczas pełni. Zareagował tak, że jeszcze bardziej mnie podbudował. Nie wyśmiał mnie, nie uznał za dziwaka albo gorzej: za dziwadło, nikomu tego nie zdradził. Zaciekawiał się tylko i zaczął analizować. Wysznuł teorię, że moje zdolności mogą zależeć od rodzaju księżyca, jaki akurat pojawia się na niebie. Od jego jasności, rozmiaru i tak dalej, i tylko na niebie, bo zdjęcia i filmy z nim w żaden sposób na mnie nie wpływały. Próbowaliśmy również wspólnie znaleźć tę polanę w lesie, ale nam też się nie udało. Jacka jednak to nie zniechęciło. Namawiał mnie, żebyśmy sprawdzili to sami w serii kontrolowanych testów. Początkowo nie chciałem się zgodzić, uważałem to za zbyt niebezpieczne. Był jednak tak przekonujący, że w końcu zdołał przełamać mój opór. Pozyskał skądś

klatkę z bardzo grubymi kratami i to właśnie ją wykorzystaliśmy do naszych doświadczeń. Polegały na tym, że wyjeżdżaliśmy w ustronne miejsce, zamykał mnie w niej i podczas kolejnych bezchmurnych nocy z pełnią patrzyłem na księżyc. W większości prób nic szczególnego się nie działo, zachowywałem przytomność, wzrastała moja siła, szybkość i wytrzymałość, stawałem się też trochę wyższy, moje mięśnie jakby samoistnie rosły. Podczas niektórych jednak traciłem świadomość i odzyskiwałem ją dopiero rano, gdy wschodziło słońce. Jacek nagrywał wszystko i pokazywał mi, co się ze mną działo. Właśnie to, co mogłaś wczoraj zobaczyć. Stawałem się jeszcze większy. Jeszcze silniejszy. Ale jednocześnie agresywny. Nie dało się do mnie dotrzeć. Nie zważałem na to, że rozmawiam z przyjacielem, wyglądało to tak, jakbym chciał za wszelką cenę wydostać się z klatki i rozszarpać go na strzępy. Ryczałem jak jakieś zwierzę. - Skrzywił się z odrazą. - Skakałem, miotałem się, byłem tak silny, że udawało mi się wyginać pręty, i być może Jacek przeżył wyłącznie dlatego, że były takie grube. Choć z wyglądu pozostawałem człowiekiem, w głowie naprawdę przemieniałem się w potwora, takiego samego jak wtedy, w dziewięćdziesiątym czwartym. Tylko o wiele groźniejszego, bo już nie byłem małym dzieckiem.

Dawid odchrząknął i kontynuował:

- Po kilkunastu miesiącach testów wreszcie to rozgryźliśmy. Chodziło o superksiężyc, szczególną, większą i jaśniejszą pełnię, która pojawia się co najmniej raz w roku. Stwierdziliśmy jednak, że w każdą inną jestem niegroźny, przytomny, do tego zwiększają się moje możliwości fizyczne. Jacek już od najmłodszych lat miał smykałkę do interesów. Zaczął się zastanawiać, czy nie dałoby się tego jakoś wykorzystać, przy założeniu, że pilnujemy faz księżyca i nie dopuszczamy, abym zobaczył ten niepożądany. Od początku chodziło mu po głowie, by zrobić ze mnie zawodowego fightera, niepokonanego, zarabiającego dobre pieniądze. Namówił mnie, żebym zaczął trenować sztuki walki. Opierałem się, ale roztoczył przede mną wizję, że będzie moim menedżerem, a ja, dzięki swoim zdolnościom, stanę się gwiazdą taką jak Andrzej Gołota albo Tomasz Adamek. Może nawet większą, jedną z najbardziej znanych na świecie, które za walkę zgarniają ośmiocyfrowe kwoty. Że ludzie będą mnie podziwiać, kibicować i życzyć mi jak najlepiej. Że zostanę dumą narodową, a więc przeciwnie niż dawniej, kiedy wytykano mnie palcami i nazywano potworem. Nie wierzyłem, że to się uda, ale wizja była tak kusząca, że po raz kolejny dałem mu się namówić.

Spróbowałem, nie miałem nic do stracenia. Resztę historii znasz. Zmiana nazwiska... Nie chciałem, żeby kojarzyło się z wilkołactwem, ale Jacek upierał się, że tak będzie lepiej dla mojej marki, że wmówimy ludziom, że to nazwisko jest przypadkowe i mój wizerunek właśnie z niego wynika, a nie odwrotnie. Wsparcie mediów, agresywna promocja, gale w pełni księżyca i wygrywane hurtowo walki... Jakimś cudem udało nam się odnieść sukces, a ja byłem taki szczęśliwy! Pilnowaliśmy dat superksiężyca i moja tajemnica nigdy nie wyszła na jaw. Było dokładnie tak, jak obiecywał mi Jacek. Ludzie mnie kochali, zabiegali o mnie, dostawałem setki wiadomości dziennie, na galach kilkanaście tysięcy osób krzychało moje nowe imię. Wydawało mi się, że oddzieliłem przeszłość grubą krechą, że nauczyłem się żyć ze swoim sekretem tak, by wykorzystywać go wyłącznie w dobrym celu i by wszyscy byli bezpieczni. Ale wtedy musiał pojawić się ten szmatławiec i jego jebany artykuł! - Dawid zmarszczył brwi, a klatka piersiowa falowała mu miarowo od głębokich wdechów i wydechów. - Musieli to wszystko wywlec na nowo, przypomnieć mi, dlaczego siostry nie chcą mnie znać, dlaczego nie utrzymują ze mną kontaktów i ignorują wiadomości ode mnie, kiedy gale odbywają się na Śląsku, a ja zapraszam je, żeby przyszły i żebyśmy wreszcie spróbowali uporządkować nasze relacje. Że jestem potworem, dziwadłem, że zabiłem rodziców i kilku facetów, choć tego nie chciałem, i że nigdy za to nie odpowiedziałem. Poczułem się jak wtedy. Dlatego właśnie zdecydowałem się szukać pomocy u ciebie. Dlatego cię poznałem. I wyczułem w tobie zapach kojarzący mi się z osobą, za którą najbardziej tęsknię i wobec której mam największe poczucie winy. Samym tym dawałaś mi to, czego w moim życiu dotąd najbardziej brakowało, do tego wsparcie, akceptację, czułość... I naprawdę łudziłem się, że mogę stworzyć z tobą coś więcej. Że mogę zakochać się w kobiecie, która też zaakceptuje mnie takiego, jaki jestem, pomimo mojej mrocznej tajemnicy, o którą się nie prosiłem ani jej nie chciałem. Dlatego błagam cię, nawet jeżeli uważasz to, co teraz powiedziałem, za jedną wielką bujdę, spróbuj mnie zrozumieć. Spróbuj zrozumieć, dlaczego to zataiłem.

Beata siedziała po drugiej stronie drzwi w praktycznie tej samej pozycji co on. Słuchała, trzymając się za skronie i przyciskając kolana do piersi, a z każdym słowem Dawida w jej głowie narastał mętlik. Kilka razy przyłapała się na tym, że chce wstać i otworzyć mu drzwi, lecz racjonalna część jej umysłu zaraz odchodziła od tego zamiaru. Równie często chciała go prosić, żeby przestał, by nic więcej nie

mówił i nie wchodził głębiej w historię, której kluczowy element i to, co z niego wynikało, zakrawały na czystą fantastykę.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu po obu stronach drzwi. On czuł jej zapach, ona - jego dobrą energię, którą posiłkowała się, aby już na początku znajomości zorientować się, jak się przy nim czuje. To na jej podstawie rozstrzygnęła, że jest dobrym człowiekiem. Ten sam człowiek jednak niemalże zrobił jej poważną krzywdę, teoretycznie nie zdając sobie z tego sprawy, ale taki był fakt. Do tego pozostawał w bliskich relacjach z przestępcami, którzy jej grozili, a przestrzegała zasady, że jeżeli ktokolwiek - pacjent czy nie -kiedykolwiek powie jej coś takiego, to bezpowrotnie zrywa z nim znajomość, niezależnie jak długo zarzekałby się, że się zmieni. Nauczyła się tego po małżeństwie, w którym nasłuchiwała się tylu deklaracji, że gdyby zostały spełnione, byłaby teraz najszczęśliwszą żoną na świecie.

- Jesteś tam? - zapytał cicho Dawid.

- Czy twojej przypadłości przyglądał się jakiś psychiatra? - zapytała tak ochryplym głosem, jakby to ona, a nie on, właśnie zakończyła długi monolog.

- Beata, to nie jest choroba psychiczna! Byłem badany przez biegłych psychiatrów w dziewięćdziesiątym czwartym. Nic nie wykazali.

- Dziś możliwości psychiatrii są znacznie większe niż wtedy. No i nie sprawdzali cię podczas superksiężycy.

- Nie wierzysz w to, co opowiedziałem? Sądzisz, że znowu cię okłamałem?

Westchnęła ciężko.

- Wierzę, że tym razem byłeś ze mną szczery, ale to paradoksalnie nie znaczy, że powiedziałeś prawdę.

- Sama widziałaś, co się ze mną wczoraj stało! Jak urosłem, jak powiększyła mi się muskulatura, jak przewróciłem ten samochód. Nie wytłumaczysz tego chorobą psychiczną.

- Ale tym bardziej nie będę tłumaczyć tego opowieściami o wilkołakach, Dawid!

- Wiem, jak to brzmi, ale...

- Pomyśl. Nigdy nie znaleźliście polany, na której to wszystko rzekomo się zaczęło. Ani wy, ani policjanci. Jesteś pewien, że naprawdę istniała? Że nie wmówiłeś sobie tego, że twój umysł nie potraktował zasłyszanej historii, może bajki, może czegoś innego, jako twojego prawdziwego wspomnienia? Dopuściłeś

kiedykolwiek do siebie myśl, że to może być wina twojej siostry, która z niechęcią do ciebie powtarzała ci coś tak często, że w końcu w to uwierzyłeś?

– Beata, byłem tam!

– Miałeś tylko trzy lata. Tak dobrze to pamiętasz?

– Tak! Pamiętam, że to się zdarzyło!

Beata pokiwała głową, ale na szczęście nie mógł widzieć, z jaką miną to zrobiła.

– Umysł ma jeszcze wiele nieodkrytych tajemnic. Zdziwiłbyś się, do czego są zdolni ludzie, którzy tak bardzo wierzą, że coś się z nimi dzieje, iż staje się to rzeczywistością. Zwłaszcza w chwilach, gdy ich organizm z różnych powodów produkuje zwiększone ilości adrenaliny. Zwłaszcza tak silni, muskularni i wielcy jak ty. Bo cokolwiek się z tobą dzieje, pozostajesz człowiekiem. Nie przemieniasz się w żadnego potwora, nie obrastasz futrem, nie pojawia ci się wilczy pysk. Nie działa na ciebie magicznie światło księżyca, skoro wczoraj wystarczyło, że zobaczyłeś fałszywy, który świecił swoim sztucznym światłem. To coś w tobie. W twoim umyśle. Cokolwiek na ten temat myślisz, to wszystko nieprawda.

Teraz to on pokiwał głową, lecz nie dlatego, że się z nią zgadzał. Zaraz też nią pokręcił.

– Więc co, według ciebie, powinienem teraz zrobić?

– Iść do psychiatry.

– Mówiłem ci już, że...

– A ja ci mówię, czego od ciebie wymagam, jeżeli nie chcesz skończyć naszej znajomości - odpowiedziała spokojnie, choć w środku wprost nią trzęsło. - Nie traktuj tego jako ultimatum, ale teraz to ty spróbuj mnie zrozumieć. Wczoraj zobaczyłam, że możesz być niebezpieczny. Że wbrew temu, co mówisz, nie wystarczy, że będziesz unikać patrzenia na superksiężyc, by nie stało się nic złego. Twój - zawahała się, jakiego słowa użyć - koledzy zdążyli zapobiec tragedii, ale co byłoby, gdyby się spóźnili? Nie możesz tego tak zostawić.

– Mam opowiedzieć jakiemuś znachorowi to samo co tobie? - zirytował się. - Całą prawdę? Łącznie z tym, że jestem mordercą?

– Jeżeli będzie trzeba, możesz nie mieć wyboru. Raczej nie poniesiesz za to konsekwencji karnych, skoro byłeś wówczas małym dzieckiem.

– A co, jeżeli się mylisz? Co, jeżeli to nie choroba i nie da się tego pozbyć? Zaakceptujesz to?

Milczała.

– Odpowiedz! Zaakceptujesz czy nie?

– Nie wiem, musiałabym to przemyśleć. Okoliczności się zmieniły, teraz mam szerszy obraz sytuacji. Na razie nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

– Czyli nie zaakceptujesz - ciągnął, z każdym słowem nakręcając się coraz bardziej. - I zostawisz mnie jak siostry, ze strachu. A ten lekarz rozpowie wszystkim, co się ze mną dzieje, i będę skończony jako sportowiec. Wszyscy będą wytykać mnie palcami jak dawniej, twierdząc, że powinienem siedzieć w więzieniu albo w psychiatryku. Nie chcę tego! Nie chcę żyć jak dawniej!

– Nie mogę z tobą sypiać, kiedy nie wiem, czy nagle nie przestawi ci się coś w głowie i nie zrobisz mi krzywdy.

– Nie przestawi! Wczoraj to też był księżyc. Sztuczny, ale najwyraźniej tak dobrze zrobiony, że świecił jak ten prawdziwy! Patrzyłem już na podobne przedmioty i nic się nie działo, więc ten musiał być wykonany z innych materiałów, z innym rodzajem światła, nie wiem, może odtworzono na nim ze szczegółami ukształtowanie terenu. Inaczej tego nie wytłumaczę.

– Dlaczego w takim razie tamten facet ci go pokazał? Dlaczego chciał, żebyś go zobaczył? Kim był?

– Nie wiem! Może ktoś dowiedział się, gdzie idziemy na randkę, i to był jakiś dowcip?

Beata pokręciła głową z niedowierzaniem i ledwo się powstrzymała, by nie parsknąć kpiącym śmiechem nad jego naiwnością.

– Ten ktoś wiedział, że to tak na ciebie zadziała. Wiedział, jak to się skończy. Celowo włożył kominiarkę, aby nie dało się go rozpoznać. Kiedy zaczęłaś tracić świadomość, uciekł. A potem nagle zjawia się twój przyjaciel w garniturze i cała grupa ludzi, którzy cudem zapobiegają tragedii i po tym wszystkim sprzątają. Nie wydaje ci się to podejrzanе?

Dawid milczał.

– Coś jest tutaj mocno nie tak - ciągnęła. - I nie mam ochoty w tym uczestniczyć. Nie ufam tym ludziom, zwłaszcza że mi grozili.

– Beata, proszę cię, nie każ mi wybierać między przyjaciółmi a tobą! Jacek przesadził, wiem, zgadzam się, ale tak naprawdę nic by ci nie zrobił! Masz co do



tego moją gwarancję. Jest przewrażliwiony, ma wiele wad, ale to w gruncie rzeczy naprawdę porządny chłop z zasadami. Znam go pół życia, więc wiem, co mówię.

– Mylisz się, Dawid. To przestępca, który cię wykorzystuje. Jeżeli tacy ludzie czasem zachowują się miło, prawie na pewno grają albo robią to dla własnych korzyści. Kto wie, może od początku miał na ciebie taki plan?

– Od początku? Sugerujesz, że obmyślał jakąś intrygę już jako nastoletni chłopak, kiedy się poznaliśmy? Przecież to absurd!

Beata zignorowała ten argument.

– Może pan Bernajtys okrasza waszą relację pięknymi słowami o przyjaźni i tym podobnymi bzdurami, ale ja w to nie wierzę. Zrobił na mnie negatywne wrażenie, emanuje złą aurą, na którą jestem wyczulona jako psycholog. I nie wierzę w tak duże zbiegi okoliczności jak ten wczorajszy. Nie przekonasz mnie do tego człowieka, choćby nie wiadomo co.

– Bardzo szybko stawiasz na ludziach krzyżyk - odpowiedział cierpko Dawid. - Zwłaszcza na takich, którzy pomogli mi, gdy w dzieciństwie przeżywałem piekło. Zadziwiający jak na terapeutkę, która twierdziła, że stara się nie oceniać ludzi zero-jedynkowo.

– Oceniam ludzi wyłącznie po tym, jak zachowują się w moim towarzystwie, nie po cudzych opowieściach. Z tobą było tak samo.

– Czyli co? Stawiasz mi warunki? Albo oni, albo ja? Wiele im zawdzięczam. To dzięki nim stałem się tym, kim się stałem! Chcą mojego dobra!

– Ja też chcę. Dlatego tak, stawiam taki warunek. I drugi, z wizytą u psychiatry, żeby przyjrzał się temu, co się z tobą dzieje, i żebyś usłyszał profesjonalną diagnozę, nie taką postawioną przez młodocianego gangstera na podstawie metody prób i błędów.

– To nie jest gangster!

– A teraz proszę cię, daj mi spokój. - Znowu zignorowała jego wypowiedź, choć przyszło jej to z trudem. Życie nauczyło ją jednak, że w podobnych sytuacjach należy być uprzejmym, ale stanowczym. - Nie pisz do mnie, nie przychodź tutaj i nie śledź mnie. Potrzebuję przerwy. Muszę to wszystko przemyśleć.

Dawid zwiesił ramiona.

– Nie chciałem ci zrobić krzywdy. Przysięgam - powiedział z rezygnacją.

– Wierzę. I ja też ci przysięgam. Dokładnie to samo co ty - odpowiedziała i odeszła od drzwi.

Wyczuł to po jej słabnącym zapachu i ledwo słyszalnych krokach, które zarejestrował jego wyostrzony słuch.

– Beata!

Nie odpowiedziała, a każda sekunda, w której cichły odgłosy świadczące o jej bezpośredniej bliskości, bolała go niczym kolejne ciosy w podbródek. Jakby tego było mało, zaraz otworzyły się przy nim drzwi do sąsiedniego mieszkania i zobaczył w nich jakąś staruszkę.

– Dlaczego pan tak hałasuje? - zapytała ostro. - Pan chyba tu nie mieszka! Proszę stąd iść!

Nie miał siły jej tłumaczyć, dlaczego to wszystko robi. Wstał, spuścił wzrok i powłókł się na dół.

W tym czasie Beata leżała skulona na kanapie, walcząc z miliardem myśli na sekundę.

\* \* \*

Dawid czuł się, jakby coś wyssało z niego energię. Dotarł na parter, idąc chyba najwolniej, jak się dało. Wyszedłszy z klatki schodowej, usiadł na ławce pod nią. Zgarbił się, pochylił i oparł głowę na rękach. Gapił się w chodnik, a myśli szalały mu w umyśle niczym fale sztormu zamkniętego w szklanej kuli, odbijające się od ścian w tę i z powrotem. A wśród nich najczęściej powtarzało się jedno konkretne słowo.

Niechący.

„Przecież to wszystko było niechący! Nie chciałem tego! Nigdy nie chciałem zostać kimś takim. Nie chciałem krzywdzić innych”.

Wiedział jednak, że to żadne usprawiedliwienie. Nawet nieumyślnych wypadków można uniknąć, będąc odpowiednio ostrożnym. Czy zrobił wszystko, żeby temu zapobiec? Najwyraźniej nie, skoro właśnie tracił kobietę, w której się zakochał, a która traktowała go teraz niemal tak samo jak jego siostry. Takie rzeczy, podobnie jak doprowadzenie do śmierci rodziców, nie dzieją się przypadkiem.

– Przepraszam - w pobliżu rozległ się nieśmiały głos. - Czy to pan Dawid? -

Zacisnął zęby ze złości. Jeszcze tego mu brakowało, kiedy najbardziej potrzebował być sam. Sam, tutaj, na wolnym powietrzu, a nie w domu. Miał do tego święte, cholerne prawo! Do prywatności, do wolnego czasu, do tego, by ludzie nie zawracali mu głowy.

Uniósł spojrzenie i zobaczył nastoletniego chłopaka. Ten się rozpromienił.

– To naprawdę pan! Ale super!

Dawid walczył z pokusą, by odpowiedzieć mu coś ostro i tym samym szybko spławić, lecz szczerą radość i podziw w oczach młodego nieco go otrzeźwiły. Zadziałały jak kotwica w jego mózgu, odruch Pawłowa, który nakazywał mu w takich sytuacjach nie odmawiać fanom chociaż chwili uwagi.

– Czym mogę ci służyć? - zapytał.

– Mógłbym zrobić sobie z panem zdjęcie? - zapytał chłopak, wpatrując się w niego z zachwytem.

– Pewnie.

Chłopak usiadł przy Dawidzie i wyciągnął przed siebie smartfona. Nie zapomniał o charakterystycznym geście uniesionej pięści, nieodzownym przy pamiątkowej fotografii ze znanym zawodnikiem sportów walki. Dawid jednak nie poszedł za jego przykładem. Na jego twarzy tradycyjnie nie pojawiła się nawet namiastka uśmiechu. Chłopak zrobił kilka zdjęć.

– Dziękuję! - zawołał po wszystkim, cały zarumieniony z emocji. Wpatrywał się w ekran telefonu jak w największy skarb. - Pan tu mieszka? - zapytał, rozglądając się po pobliskich blokach.

Dawid westchnął w duchu.

– Nie - odpowiedział beznamiętnie.

– Wie pan, oszczędzam, bo chcę sobie kupić soczewki, żeby mieć takie oczy jak pan! - trąknął chłopak. - Rodzice mi nie pozwalają, ale przekonam ich. Chcę być taki jak pan! Pan jest super!

Dawid już otwierał usta, by mu uświadomić, że nie jest żadnym wzorem do naśladowania i chłopak powinien słuchać rodziców, kiedy w pobliżu rozległ się inny głos:

– O, widzę spotkanie z fanem.

Dawid rozejrzał się i zobaczył zbliżającego się do nich Jacka, jak zwykle starannie uczesanego i ubranego w elegancki garnitur. Chłopak nieco speszył się na jego widok. Jacek najwyraźniej to zauważył i skorzystał z okazji.

– Wybacz, ale muszę porozmawiać z Dawidem na osobności -powiedział lekko konspiracyjnym tonem i skinął znacząco głową.

Chłopak szybko zrozumiał aluzję i niemal stanął na baczność.

– Oczywiście! Nie przeszkadzam już! - Raz jeszcze spojrzał na Dawida. - Wszyscy moi koledzy z klasy panu kibicują! Będziemy oglądać walkę! Zniszczy pan tego Ruska! Jestem tego pewien!

– No, no! - skarcił go dobrotliwie Jacek. - Tylko nie „Ruska”. Każdemu przeciwnikowi należy się szacunek, prawda, Dawid?

– Ta - mruknął, nawet na nich nie patrząc. Nie zobaczył więc, że chłopak splonął jeszcze większym rumieńcem.

– Tak, tak! Nie o to mi chodziło. Po prostu...

– Rozumiemy - przerwał mu Jacek. - I dziękujemy za wsparcie. - Wyciągnął ku niemu rękę z jasnym sygnałem, że rozmowa dobiegła końca.

Chłopak uściskał dłoń, uklonił się Dawidowi i odszedł, odwracając się kilka razy, a kiedy nie patrzył na nich, urzeczony gapił się na ekran swojego smartfona.

Jacek zajął miejsce obok Dawida i przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, ten drugi nadal pochylony i wpatrzony w chodnik, pierwszy zaś wyprostowany, z rękami rozłożonymi na oparciu ławki, nogami w pozycji amerykańskiej czwórki, zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną na promienie letniego słońca.

– Dla ciebie drobnostka, a dla tego młodego człowieka coś, czego nie zapomni do końca życia - odezwał się w końcu.

Dawid zignorował go.

– Zgodzisz się ze mną? - Jacek spojrzał na niego, a Dawid poczuł ukłucie irytacji.

– Nie obraż się, ale nie jestem w nastroju do rozmów - odparł.

– A ja właśnie sądzę, że jesteś. I że tego potrzebujesz.

– Beata powiedziała mi, że groziłeś jej pistoletem - warknął Dawid. - Dlaczego to zrobiłeś? Teraz nie chce się ze mną zadawać!

– Nie ma za co.

Riposta wytrąciła Dawida z obranego kursu. Spojrzał na Jacka pytająco.

– Nie wiem, czy to do ciebie dotarło, czy w ogóle cię to obchodzi, ale przez noc nie próżnowaliśmy. Zdołaliśmy tak opakować ten incydent, że ludzie myślą teraz, że była to wyreżyserowana zapowiedź walki z, jak wyraził się przed chwilą ten sympatyczny młody dżentelmen, Ruskiem. To ogromny sukces, który kosztował nas sporo stresu i pieniędzy. Media, nawet zaprzyjaźnione, nie robią tego za darmo. Nie żebym się upominał, ale na twoim miejscu wyraziłbym wdzięczność. Znowu wyciągnąłem cię z poważnych tarapatów.

Dawid ponownie spojrzął na chodnik.

– Dzięki - rzucił.

– Chyba musi mi to wystarczyć - westchnął Jacek i poklepał go po plecach.

– Kim był facet z tą świecącą kulą?

Jacek wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Sam zastanawiam się, o co mu chodziło. Już podjąłem stosowne kroki, żeby się tego dowiedzieć.

– Nie wiesz? Więc może wyjaśnisz mi, jakim cudem znaleźliście się na miejscu tak szybko?

Jacek westchnął po raz kolejny i zrobił skruszoną minę.

– Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w taki sposób, ale zawsze, gdy gdzieś wychodzisz, śledzimy cię. Przepraszam, wiem, że powinienem był ci powiedzieć, ale nie chciałem cię denerwować. Nie robimy tego dlatego, że nie szanujemy twojej prywatności, masz moją gwarancję, że pewnej granicy nie przekraczamy. Robimy to na wszelki wypadek, aby zapobiegać takim sytuacjom jak wczorajsza. Dla dobra wszystkich. I chyba dobrze się stało, że akurat byliśmy w pobliżu?

Dawid wpatrzył się w przyjaciela, próbując doszukać się w jego wyrazie twarzy, głosie i mowie ciała choćby jednej oznaki fałszu, ale niczego takiego ani nie dostrzegł, ani nie usłyszał. Nie wiedział jednak, czy sobie tego nie wmawia.

– Nie musiałeś grozić Beacie - powiedział. - Można to było załatwić inaczej. Delikatniej.

– Jak mniemam, teraz z nią rozmawiałeś. Jesteś pewien, że nie chce zadawać się z tobą wyłącznie ze względu na mnie?

Dawid zacisnął zęby. Nie odpowiedział.

- Tak myślałem. - Jacek pokiwał triumfalnie głową. - Niech zgadnę: nie akceptuje twojego daru? Nie podeszła do tego ze zrozumieniem? Kazała ci pójść do psychiatry albo coś w tym stylu?

Słuchając menedżera, Dawid zadał sobie w myślach pytanie, czy śledzenie go ogranicza się wyłącznie do obserwowania z odległości. I jak ma rozumieć zapewnienia, że „pewna granica nie jest przekraczana”.

- Tak.

- Jeszcze powiedz, że tak jak twoje siostry nazwała cię potworem.

- Takie słowo akurat nie padło.

- Myślisz jednak, że przynajmniej o nim nie pomyślała?

Dawid się zasepił. Kiedy odwrócił wzrok, Jacek uśmiechnął się kpiąco i znowu poklepał go po plecach. Nie spodobało się to Dawidowi. Chciał poprosić, aby przyjaciel nie pozwalał sobie za dużo, ale zabrakło mu asertywności.

- Wiem, że zadam teraz jedno z najgłupszych i najmniej delikatnych pytań na świecie, ale... czy ta kobieta naprawdę jest tego warta? - zapytał Jacek.

- Jest - uciał Dawid.

- Ponad połowa z siedmiu miliardów ludzi na świecie to kobiety. Z łatwością znalazłbyś sobie nową. Równie miłą i piękną, ale z bardziej otwartym umysłem.

Dawid wiedział, że Jacek się myli, poczuł jednak zmęczenie na samą myśl, że miałby mu to tłumaczyć. Jak na zawołanie uświadomił sobie, że czuje jego zapach. Zmarszczył nos i próbował nie zwracać na niego uwagi.

- Nie znalazłbym - odpowiedział. - Obawiam się, że tego nie zrozumiesz.

- Też się tego obawiam. W każdym razie stało się, kolejna niewiasta w twoim życiu nie okazała się tą jedyną i nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba iść dalej - stwierdził Jacek. - Wiem, co teraz czujesz. Złość, przygnębienie, rozżalenie. Przekuj to na motywację do pracy. Bo życie prywatne życiem prywatnym, wiem również, że są rzeczy ważniejsze niż kariera i pieniądze, ale na razie nic na to nie poradzisz. Masz ważną robotę do wykonania. Pokaż tej pani, co straciła. Że się myli, twierdząc, że nie jesteś w stanie panować nad swoim darem i używać go, aby dawać radość innym.

Dawidowi wybitnie nie przypadło do gustu określenie „ta pani”, ale nie skomentował tego. Kiedy Jacek ponownie poklepał go po plecach, poczuł, że

jeszcze jeden taki gest i wybuchnie. Przyjaciel jednak, szczęśliwie dla siebie, najwyraźniej zamierzał na tym poprzestać. Wstał.

– Uciekam. Przemyśl to, co powiedziałem. Może dla tej konkretnej osoby nie jesteś już ważny, ale wciąż są takie, na moje oko liczone w milionach, które życzą ci jak najlepiej. Chociażby chłopak, który przed chwilą cię zaczepił. Czy to nie ciekawe, że nawet on, nieznajomy, traktuje cię lepiej niż ona? Wszystkich nie zadowolisz. Dlaczego więc nie skupić się wyłącznie na tych życzliwych? Tylko na takich warto.

– Masz rację - odpowiedział Dawid, błagając w duchu, aby taktyka pozornej uległości zdała egzamin. Marzył jedynie o tym, by Jacek sobie poszedł i zostawił go samego.

– Trzymaj się. Gdybyś czegoś potrzebował, choćby pogadać, dzwoń.

– Dobrze.

– Na razie! - Jacek machnął ręką i odszedł, a Dawid znowu został pod blokiem zupełnie sam, choć ludzie przechodzący pobliskimi alejkami rzucali na niego okiem, co zapowiadało, że prędzej czy później ponownie zaczepi go jakiś fan, na co nie miał najmniejszej

Raz jeszcze spojrzął na blok nad sobą, na piętro, na którym znajdowało się mieszkanie Beaty. Wpatrywał się w okna w nadziei, że ona go zobaczy, wyjdzie, porozmawiają i tym razem dojdą do jakiegokolwiek konsensusu.

Nic z tego. W oknach panowała pustka. Taka sama jak w jego głowie. Bo w sercu na pewno nie.

Spojrzał na swoje dłonie, które nieświadomie zacisnął w pięści. Szkoda, że walka z Kiriczenką nie odbywała się dzisiaj. Czuł taką potrzebę wyładowania się na czymś, że z pewnością by wygrał, bez względu na to, czy skorzystałby z mocy księżycy, czy nie. Chciał coś zniszczyć, zdeptać, zrównać z ziemią. Jacek miał rację. Przekucie tego w motywację do treningu to chyba najlepsze, co w tym momencie mógł zrobić.

Wstał.

Łatwo jest mówić, że życie musi toczyć się dalej, ale w takich momentach to tak naprawdę jedyne właściwe podejście. Musi się toczyć, czy tego chcemy, czy nie. Należało zająć ciało i umysł czymś innym. Niezależnie od tego, jak to się skończy, siedzenie i myślenie nie miało sensu. Jeżeli Beata odezwie się do niego - super,

może jeszcze uda im się uratować to, co budowali w ostatnim czasie. Jeżeli nie - trudno. Poradzi sobie. Podołał w swoim życiu już znacznie większym wyzwaniom. Nie ona pierwsza skreśliła go z powodu czegoś, co spotkało go w dzieciństwie wbrew jego woli. I nie było żadną chorobą psychiczną. Wiedział to.

Energicznie ruszył w kierunku swojego samochodu i nie szczędząc gazu, wyjechał z parkingu. Zamierzał jak najszybciej dotrzeć do domu i odbyć intensywny trening na siłowni. Nic innego mu nie pozostało.

Dosłownie chwilę po tym, jak odjechał, do ławki, na której przedtem siedział, podszedł kolejny chłopak, tym razem z notatnikiem i długopisem. Rozglądał się nerwowo, wyraźnie zawiedziony.



# ROZDZIAŁ XXXVII

W dzień gali „Krwawy Księżyc” w Warszawie wyczuwało się wszechobecną ekscytację i nastrój oczekiwania. Z ludzi jakby opadło napięcie i miasta nie wypełniała już wyłącznie atmosfera zagrożenia, zwłaszcza że od ostatniego pojawienia się osobnika z dwiema twarzami minęło kilka tygodni. Mieszkańcy, może trochę naiwnie, uznali, że przestraszył się wymierzonych w niego planów radykalnych działań służb, może nawet już po cichu go zlikwidowano, tylko jak zawsze w podobnych sytuacjach uniknięto rozgłosu i zamieciono sprawę pod dywan. Policjanci mimo to nadal patrolowali ulice. Zwykli warszawiacy jednak wrócili do względnie normalnego życia i gdziekolwiek się podслуchało – w autobusie, w tramwaju czy w metrze – rozprawiali głównie o wieczornej gali, także o tym, że mimo nietypowego zagrożenia terrorystycznego nie zdecydowano się jej odwołać. Niektórzy dziennikarze pytali o to Jacka Bernajtysa na jednej z konferencji prasowych.

– Zapewniam, że gala będzie zabezpieczona lepiej niż wizyta papieża – odpowiedział. – Nie będziemy na tym oszczędzać. Zadbaliśmy także o to, by ewentualna ewakuacja ze stadionu w razie zagrożenia przebiegła szybko i sprawnie. Zatrudniamy najlepszych ludzi w swoim fachu, którzy wiedzą, co mają robić, i są perfekcyjnie przygotowani na każdy scenariusz. Jesteśmy także w stałym kontakcie z władzami Warszawy i z policją. Bardzo im wszystkim dziękuję za zielone światło dla organizacji tego święta MMA, które obejrzy cały świat. Zgadza się ze mną, że nie możemy dać się zastraszyć. Życie musi toczyć się dalej. Żaden terrorysta nie będzie nam dyktował, jak żyć.

Gala była również tematem dnia we wszystkich mediach, największe gazety, telewizje i portale internetowe rozkładały starcie między Volkodlakiem i Kiriczenką na czynniki pierwsze. Przewidywano, że będzie to najchętniej oglądane w Polsce wydarzenie sportowe tego roku, a na świecie - najbardziej hitowe, jeżeli chodzi o sporty walki. GreaTV i GFC liczyły już krociowe zyski z reklam, *pay-per-view* i praw telewizyjnych sprzedanych za granicę. Eksperci podkreślali wagę konfrontacji, której zwycięzca miał stać się oficjalnie arcymistrzem sportów walki w wadze superciężkiej, a co za tym idzie - najlepiej bijącym się człowiekiem globu. Bukmacherzy nie byli w stanie wskazać faworyta, co poskutkowało równymi kursami na obu zawodników. Natomiast sądząc po kursach dotyczących innych zdarzeń podczas starcia, na pewno spodziewano się jednego: że zakończy się nokautem. Przy tak ofensywnie i efektownie walczących mistrzach swoich federacji wydawało się to nieuniknione.

Szum medialny dotyczący gali nie ominął także Beaty, wydawało się wręcz, że wszystkie reklamy i audycje w radiu, w telewizji i w Internecie dotyczą wyłącznie jej. Doszło nawet do tego, że omawiano nazwę wydarzenia, zainspirowaną zjawiskiem astronomicznym, jakie będzie można wówczas zobaczyć na nocnym niebie, czyli pełnią połączoną z zaćmieniem księżyca. Miało to nadać mu charakterystyczny kolor biorący się z rozproszenia światła słonecznego w atmosferze ziemskiej. Nie był to co prawda krwawy superksiężyc, ale według astronomów jego barwa tego wieczora też miała cieszyć oko - wyjątkowa, bardzo rzadka, dosłownie krwistoczerwona i zdarzająca się na polskim niebie raz na kilkadziesiąt lat. Zalecali więc, by zaopatrzyć się w teleskopy, lornetki i dobre aparaty fotograficzne, bo druga taka okazja może prędko się nie zdarzyć.

*- Astrologowie sądzą, że to zjawisko spowoduje u nas istną huśtawkę emocji. - Beata usłyszała kobiecy głos dobiegający z radioodbiornika. - Zaćmienie skupia naszą uwagę na związkach, intymnych relacjach i rodzinie.*

Przekląła pod nosem i wyłączyła radio. Źle się czuła, prognozy zapowiadały, że w nocy nad Warszawę dotrze front burzowy, który przez ostatnie dni miał spustoszenie w południowej części Polski. Wahania ciśnienia atmosferycznego, jakie dawały jej się we znaki, zdawały się to potwierdzać. Jakby tego było mało, miała lekkie nudności i bóle piersi. Zwykle zapowiadały okres. Wyglądało na to, że najbliższy wypadał między innymi - cóż za przypadek! - w dzień z pełnią zwaną k r w a w y m księżycem. Nie wierzyła w te astrologiczne bzdury z radia, ale nie

mogła zaprzeczyć, że ostatnio szczególnie dużo myślała o Dawidzie. Ba, nawet nie tyle myślała, ile za nim tęskniła i miała wyrzuty sumienia, że potraktowała go za ostro. Poniosły ją emocje i nie postąpiła jak psycholog, nie próbowała spojrzeć na to z jego punktu widzenia, który teraz, po czasie, wydawał jej się w pewnym sensie uzasadniony. Więcej, rozumiała teraz jego rozdarcie, jego wątpliwości i zawieszenie w niecodziennej sytuacji. Rozumiała również, dlaczego zataił przed nią prawdę. Ze strachu przed jej reakcją. A przecież sama niedawno mówiła komuś, że strach najskuteczniej wpływa na postępowanie człowieka. I może prowadzić do złych wyborów.

Zgodnie z tym, co powiedziała Dawidowi, musiała sobie to i owo przemyśleć, ale nie doszła do żadnych konstruktywnych wniosków. Nie wiedziała, co sądzić o jego przypadłości i fantastycznej historii, jaką jej opowiedział i o której prawdziwości był w stu procentach przekonany. Bo z jednej strony brzmiała niedorzecznie, ale z drugiej... czy jakikolwiek normalny mężczyzna, choćby i strongman, potrafiłby tak łatwo przewrócić samochód? Czy kilkuletnie dziecko, bez względu na jego poczytalność lub jej brak, byłoby w stanie zamordować kilka dorosłych osób bez pomocy... czegoś z zewnątrz? Tylko czego?

I ten ryk, jaki z siebie wydał. Czy jakikolwiek człowiek byłby w stanie...?

Pokręciła głową. To bez sensu! Nawet biorąc pod uwagę to, co przydarzyło się Dorianowi, co zobaczyła na własne oczy i namacalnie mogła się przekonać, że zjawiska nadprzyrodzone, na przykład takie, dzięki którym ludzie zyskują nadludzkie zdolności, to nie fikcja, ale rzeczywistość. Po prostu było już tego za wiele. Demony to jedno, ale wilkołaki? Te drugie nie istniały, to tylko legendy, które pojawiły się w ludowej tradycji z powodu występowania chorób psychicznych takich jak lykantropia. Ludzie zamieniali się w nich w potwory wyglądające jak hybryda człowieka i wilka. Potężne, owłosione, z wilczym łbem bestii. Przypadek Dawida był inny. Kiedy patrzył na superksiężyc lub jego imitację, coś przestawiało mu się w umyśle, tracił ludzką świadomość, podczas gdy fizycznie pozostawał człowiekiem.

No tak, ale rósł, nie tylko jeżeli chodzi o gabaryty. Także o wzrost...

Nie, wydawało jej się.

„Jesteś tego pewna?” - zapytał irytujący głosik w jej głowie.

– Jestem - odpowiedziała głośno.

„Czy przypadek Doriana nie powinien spowodować, że podejdziesz do tych spraw z nieco mniejszym sceptycyzmem? Zjawiska nadprzyrodzone istnieją. Więc i ta polana w lesie mogła zniknąć, sterowana siłą, jakiej ludzki umysł nie jest w stanie pojąć”.

– Dorian nie jest Dawidem, a Dawid nie jest Dorianem - powiedziała stanowczo.  
- To zupełnie inne przypadki.

„Nie jest. Oczywiście, że nie. Ale wiesz, na czym polega największa różnica między nimi, złotko? Że wciąż czujesz coś do Dawida i myślisz życzeniowo. Nie zaprzeczysz dobrej energii, jaka od niego bije”.

– Nie, ale...

„Zaprzeczysz, że wciąż coś do niego czujesz?”

Nie odpowiedziała, naiwnie licząc, że jeśli przerwie ten nedorzeczny wewnętrzny dialog, drugi głos jej nie odpowie. Myliła się jednak.

„Oczywiście, że nie zaprzeczysz. Dopuszczasz, że możecie do siebie wrócić, a potem być razem, kto wie, może nawet na stałe. Może to ten jedyny, który cię rozumie. Czyż jego zdolność wyczuwania zapachów, którą kwestionujesz, nic jest w pewnym sensie podobna do twojej nad wyraz rozwiniętej empatii i wrażliwości na energię, jaką emanują ludzie? Jesteście do siebie podobni. Pasujecie do siebie, i to nie tylko pod tym względem. Ktoś podobny do ciebie nie może być potworem. Nie chcesz, żeby tak było”.

– Przestań! - krzyknęła.

Przysięgłaby, że głos w jej głowie w końcowej fazie zaczynał rozbrzmiewać znajomą podwójną barwą. Odruchowo rozejrzała się po suficie. Nikogo jednak nie zobaczyła i odetchnęła z taką ulgą, że wręcz uznała to za absurdalne. Jakby naprawdę uwierzyła, że Dorian, przemieniony i czytający z niej jak z książki, znowu gdzieś tu jest.

Jakby naprawdę uwierzyła, że swoimi słowami znowu trafił w sedno jej rozterek.

Wzdrygnęła się. Choć połowa września rozpieszczała wysoką temperaturą, Beacie wydało się, że nagle zrobiło się przeraźliwie chłodno.

„Dość!”

Wzięła telefon i poszła do sypialni. Nad Warszawą powoli zapadał zmierzch, w korytarzu panował półmrok, a mieszkanie nagle wydało jej się obce, niezbadane

i nieprzyjazne. Niebezpieczne. Chciała zapytać na głos: „Jesteś tutaj, Dorian?”. Była już zdecydowana, pewna, że to zrobi, ale zacisnęła kurczowo usta i nie pozwoliła im się otworzyć. Weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi, choć dotąd nigdy tego nie robiła, i położyła się na łóżku. Niepokój i natarczywe myśli jednak jej nie opuszczały.

Może to naprawdę była wina okresu i zbliżającej się pełni połączonej z burzą? Należało czymś się zająć, uspokoić umysł, skierować myślenie na inne tory. Najlepiej odcinając się od wszelkich środków masowego przekazu. Książka brzmiała jak najlepsze rozwiązanie tej sytuacji. Beata spojrzała na powieść leżącą na nocnej szafce. Nie ruszyła jej chyba, odkąd po raz ostatni spotkała się z Dawidem.

Już wyciągała rękę po książkę, kiedy na telefon przyszedł SMS. Wzdrygnęła się, ale natychmiast sięgnęła po aparat, w głębi licząc, że...

Jej serce zaczęło bić szybciej. SMS naprawdę był od Dawida.

Cześć. Może wpadniesz na dzisiejszą galę? Bez podtekstów ani zobowiązań. Bilet już masz i wciąż jest ważny. Będzie mi bardzo miło. Jeżeli jednak się nie zdecydujesz, zrozumieć. Pozdrawiam, Dawid.

Ponownie spojrzała na książkę. Zupełnie zapomniała o bilecie, który Dawid podarował jej podczas ich przedostatniego spotkania i który włożyła między kartki jako zakładkę. Wyjęła kopertę, otworzyła ją i raz jeszcze przyjrzała się kartonikowi z kodem kreskowym oraz efektowną grafiką przedstawiającą gwiazdy wieczoru nad Warszawą. Rozpoczęcie gali zaplanowano na dwudziestą. Mimowolnie spojrzała na zegarek. Zdążyłaby jeszcze dotrzeć na Stadion Narodowy, biorąc pod uwagę, że wejście na niego z dużym prawdopodobieństwem się przedłuży. Tylko musiałyby już teraz wyjść z domu.

Poczuła narastające podniecenie, ale zaraz je stłumiła, starając się myśleć racjonalnie.

„A co, jeżeli znowu spotkam tych bandytów? Jak zareagują, gdy mnie zobaczą?”

Tylko że...

W sumie dlaczego miałyby ich spotkać i to w sześćdziesięcioletnim tłumie? Jakoś sobie nie wyobrażała, żeby akurat teraz zajmowała ich głowy, zwłaszcza że z pewnością będą siedzieć w pierwszych rzędach. Poza tym nie robiła niczego

złego, bądź co bądź postąpiła zgodnie z ich nakazami i nie zdradziła nikomu tajemnicy Dawida.

„Bez sensu” - pomyślała, lecz w następnej chwili nogi już niosły ją same z powrotem do dużego pokoju. Ta sama myśl wybrzmiewała jej w głowie, kiedy brała z kanapy torebkę, a z półki w korytarzu kluczyki do samochodu.

Kiedy z kolei niedługo potem jechała w kierunku Stadionu Narodowego, kwestię „bez sensu” zastąpiła w jej głowie pustka. Pozorna, jak płachta o jednolitym kolorze, pod którą wprost kotłowały się myśli.

Beata uśmiechnęła się lekko. Wiedziała, że postępuje pod wpływem emocji, ale nie miało to znaczenia. Jej ekscytacja narastała. Na myśl o wszystkim po trochu - że robi coś szalonego, że zobaczy na żywo wielkie sportowe widowisko, którym żyła cała Polska, a nade wszystko - że zobaczy Dawida w akcji, a los sam podsunął jej ku temu powód, zesłał jej znak w postaci SMS-a.

I było jej z tym zaskakująco dobrze.

„Bez sensu!” - Pokręciła głową, ale z jej twarzy nie zniknął uśmiech, za to powiększały się na niej rumieńce.

\* \* \*

W okolicach Stadionu Narodowego znalazła się pół godziny przed rozpoczęciem gali. Na jego elewacji widniał krzykliwy, fosforyzujący czerwienią napis „Krwawy Księżyc - Volkodlak vs Kiriczenko”. Zostawiła samochód w pobliskiej dzielnicy i resztę drogi pokonała piechotą. Obawiała się, że zostanie rozpoznana, ale na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi. Dużo myślała. Szczególnie o niepokoju, który wrócił do niej, kiedy opadły pierwsze emocje związane z decyzją, żeby w ogóle tu przybyć.

Dotarła pod stadion i spojrzała na jego masywną konstrukcję. Choć mieszkała w Warszawie od początku studiów, była tu po raz pierwszy. Rozmiar areny ją onieśmiała, podobnie jak tłum ludzi przemieszanych z zabezpieczającymi wydarzenie policjantami, który zmierzał do niej z każdej strony. Beata wyczuwała ich ekscytację. Byli zjednoczeni w określonym celu, przyszli tam dla tylko jednej osoby. Osoby dla nich bardzo ważnej, choć prywatnie jej nie znali. Trzymali za nią kciuki, myśleli o niej częściej niż niedzielny kibic, który od czasu do czasu

sprawdzi wyniki na portalu sportowym. Beatę ogarnęło jeszcze większe poczucie winy. Dopiero teraz tak naprawdę docierało do niej, jak ważny dla ludzi był Dawid i jego zwycięstwa.

Rozejrzała się, próbując wypatrzeć w otaczającym ją tłumie samotnego mężczyznę lub kobietę. Udało się, choć niełatwo.

– Przepraszam pana.

Kibic zatrzymał się i spojrzał na nią z zainteresowaniem. Miał jasnoniebieskie oczy, których kolor z pewnością zmienił soczewkami. Kiedy Beata to zobaczyła, poczuła się dziwnie.

– Tak?

– Mam nietypową sprawę. Przepraszam, że pytam, ale... idzie pan na galę sam czy z kimś?

– Sam - odpowiedział i uśmiechnął się lekko.

Beacie nie umknęło, że zlustrował ją od stóp do głów, co w połączeniu z kolorem jego oczu skojarzyło jej się z drapieżnikiem oceniającym przed uczcią, od którego kąska powinien zacząć.

– O, to super. Mogę zapytać, gdzie pan ma miejsce? Dalej czy bliżej ringu?

– Dalej. Sektor C6, już na trybunach. - Mężczyzna nieco spochmurniał, jakby spodziewając się, że Beata zweryfikuje negatywnie jego status społeczny po samym miejscu na stadionie.

– Świetnie! Nie zamieniłby się pan ze mną na bilet? - Wyciągnęła swój. - Mam rząd dwunasty w sektorze A2. To bardzo blisko klatki. Chciałabym jednak usiąść nieco dalej.

Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem i wyraźnie szukał w tej propozycji haczyka. Wziął bilet Beaty i porównał go ze swoim. Wszystko się zgadzało - grafika, kolorystyka, nawet papier, z jakiego go wykonano.

– Dlaczego...? - zaczął, lecz przerwała mu:

– Po prostu chciałabym usiąść trochę dalej. Tyle. Jeżeli pan nie chce, poproszę kogoś innego. - Wyciągnęła rękę po swój bilet, ale mężczyzna nie oddawał jej go. Zerknął na kartonik jeszcze raz.

– Dobra - powiedział w końcu. - Tylko muszę się upewnić, że to nie podpucha. Musi pani pójść ze mną pod wejście do tego sektora.

– Nie ma problemu.

Jak powiedziała, tak zrobili i odprowadziła go pod same bramy, z których wchodziło się na sektor A. W drodze mężczyzna jeszcze próbował nawiązać z nią rozmowę, być może licząc na wyciśnięcie z tej znajomości czegoś więcej, ale szybko dała mu do zrozumienia, że ich interakcja zakończy się, jak tylko się rozdziela. Kod kreskowy na bilecie oczywiście działał bez zarzutu, toteż mężczyzna podziękował jej, pożegnał się i wszedł głębiej, zapewne nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. Beata natomiast spojrzała na jego bilet i na mapkę na odwrocie kartonika, na której wskazywano wejścia na dane sektory. Ruszyła wzdłuż stadionu w poszukiwaniu swojego i wreszcie je znalazła. Stała w kolejce, nie mając żadnych myśli.

Wtem coś ją tknęło, odwróciła się i popatrzyła na ciemniejące niebo nad Warszawą, na którym widniała okrągła tarcza księżycy. Miała teraz kolor ciemnopomarańczowy.

„Krwawy księżyc” - pomyślała i z zaskoczeniem nawet dla niej samej wzdrygnęła się, choć wieczór był ciepły i parny. Nie mogła oderwać wzroku od tego jaśniejącego koła na niebie, jakby ją zahipnotyzowało, a im dłużej się w nie wpatrywała, tym bardziej narastało w niej napięcie.

Zdała sobie sprawę, że to nie o wynik walki martwi się najbardziej.

„Jacek wysnuł teorię, że moje zdolności mogą zależeć od rodzaju księżycy, jaki akurat pojawia się na niebie. Od jego jasności, rozmiaru i tak dalej” - przypomniała sobie słowa Dawida, a potem połączyła je z tym, co usłyszała dzisiaj w radiu.

„Barwa dzisiejszej pełni w kulminacyjnym momencie będzie wyjątkowa. Bardzo rzadka, dosłownie krwistoczerwona. Podobne zjawisko zdarza się na polskim niebie raz na kilkadziesiąt lat”.

– Wchodzi pani czy nie? - Z zamyślenia wyrwał ją zirytowany głos mężczyzny stojącego za nią w kolejce.

– Tak, już. Przepraszam.

Z trudnością oderwała wzrok od księżycy, nabrała powietrza i włożyła bilet pod czytnik kodów kreskowych.

\* \* \*



Dawid nie mógł usiedzieć w miejscu i chodził po szatni w tę i z powrotem. Był pobudzony, jakby przyjął pokaźną dawkę amfetaminy. Właściwie nie „jakby”. Od momentu, w którym księżyc pojawił się na ciemniejącym niebie, nie przepuścił okazji, by na niego patrzeć, zaczął jeszcze w domu, przed wyjazdem na galę. Od razu poczuł się lepiej i pewniej, opuścił go stres przed zbliżającym się pojedynkiem, a jego mięśnie jak na komendę znacznie się powiększyły. Czuł moc. Niewyjaśnione właściwości księżyca w pewnym sensie go odurzyły, nie myślał do końca jasno i dlatego zdecydował się napisać SMS-a do Beaty. A kiedy nie odpisała i automatycznie skojarzyło mu się to z zachowaniem jego sióstr przed ostatnią galą w Katowicach, nie poczuł smutku, jedynie złość, która tylko mocniej go napędziła. Wiedział jednak, że księżyc go nie zawiedzie. Księżyc sprawi, że wygra, da mu przewagę, jaką nie dysponował jego przeciwnik.

Aby zapewnić pojawieniu się Dawida większą spektakularność, zaplanowano, że wejdzie do oktagonu, a potem otworzą dach Stadionu Narodowego i jeszcze raz spojrzy w niebo, zwłaszcza że mniej więcej wtedy pełnia przyjmie swój nieczęsto spotykany, krwistoczerwony kolor. Oczywiście realizacja tego scenariusza zależała od tego, czy wcześniej nad Warszawą się nie zachmurzy i nie rozpada, ale według prognoz front miał dotrzeć nad miasto już po zakończeniu gali. Jacek bardzo nakręcił się na ten pomysł, oczami wyobraźni widział efektowne, udostępniane w mediach społecznościowych zdjęcia tego momentu wykonane przez zawodowych fotografów, których wynajęli. Widział też miękkie nogi Kiriczenki, na którym taka prezentacja przeciwnika, dopełniona wsparciem publiczności, musi zrobić wrażenie. Wszystko pod tym względem było dopięte na ostatni guzik, przed galą starannie upewnili się z profesjonalistami, w którym miejscu oktagonu powinien stać Dawid, aby móc zobaczyć księżyc na fragmencie nieba odkrytym przez rozsuwany dach. Potem pozostało tylko czekać na pierwszy gong, wykonać robotę i zostać oficjalnie uznanym za najlepszego na świecie.

– Mistrzu. - Głos Jacka wyrwał Dawida z zamyślenia. Wszyscy w szatni wpatrywali się w niego w milczeniu. - Już czas.

Dawid podszedł do niego z zawziętą miną i padli sobie w objęcia jak bracia.

\* \* \*

Beata była tak pogrążona w myślach, że nawet nie skupiała się na walkach poprzedzających starcie wieczoru. Rozmach imprezy coraz bardziej ją przytłaczał. Nic miała pojęcia, że na widowiskach tego typu na widowni jest taka... energia. Inaczej się tego określić nie dało. Nieomal wyczuwała to gęste, promieniejące emocjami powietrze, było jej duszno i słabo. Mężczyzna, z którym wymieniła się na bilety, nie był jedyną osobą na gali, która zdecydowała się na zmianę koloru oczu, by upodobnić się do Dawida. Na zmianę barw. Kiedy to wyrażenie przyszło Beacie na myśl, nie opuszczało jej jak wyjątkowo nachalny owad. Uświadomiła sobie bowiem, że o ile ona zakochiwała się w Dawidzie, o tyle ci ludzie byli jego... wyznawcami?

Gdy nadszedł wiekopomny moment rozpoczęcia walki wieczoru, napięcie wśród widzów sięgnęło zenitu. Światła powoli przygasły, a do klatki wszedł konferansjer ubrany w dopasowany co do milimetra złocisty garnitur. Jego wejściu towarzyszyła stosowna, potęgująca emocje muzyka.

– Panie i panowie! - Po stadionie rozniósł się jego tubalny głos, a Beata poczuła, że od basu poruszają się jej wnętrzności. - Oto chwila, na którą wszyscy czekaliśmy!

Publiczność odpowiedziała mu wrzawą.

– Już zaraz będziecie świadkami wydarzenia, które przejdzie do historii światowego MMA! - zawołał. - Walki dwóch najlepszych wojowników na Ziemi. Niepokonanych, najsilniejszych, najszybszych! Wojny o prymat na świecie. Jesteście gotowi?

Sześćdziesiąt tysięcy widzów na stadionie odpowiedziało chórem „Taaak!”. Beata prawdopodobnie jako jedyna nie otworzyła ust. Kręciło jej się w głowie i walczyła z mdłościami. Energia wypełniająca to miejsce zdawała się wysysać jej własną.

– Przywitajcie pierwszego bohatera dzisiejszego święta! W narożniku niebieskim arcymistrz rosyjskiej federacji RWA, dwadzieścia cztery walki, dwadzieścia cztery wygrane, dwadzieścia cztery przez nokaut, Michaił „Tytan” Kiriczenko! - Rozniosło się echem po stadionie, lecz zaraz zostało zagłuszone przez gwizdy tak głośne, że trudno było się zorientować, przy akompaniamencie jakiej piosenki zawodnik wchodzi do klatki.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę specjalnej windy, którą Kiriczenko zjechał w oprawie syczącego dymu i sztucznych ogni. Stał nieruchomo, wyprostowany, z wypiętą klatką piersiową i opuszczonymi rękami. Oświetlenie zapewne nieprzypadkowo działało w taki sposób, że jego twarz, jako jedna z niewielu części ciała, była ukryta w cieniu.

Wreszcie winda znalazła się na wysokości podwyższonego wybiegu, a Kiriczenko zszedł z niej i dołączyły do niego dwie atrakcyjne, skąpo ubrane dziewczyny o wybitnie słowiańskiej urodzie - blondynka i brunetka. W ich asyście ruszył pewnym krokiem w kierunku klatki. Beata spojrzała na potężny ekran nad oktagonem i spróbowała odczytać cokolwiek z mowy ciała Rosjanina. Nie dostrzegła choćby jednej oznaki skrępowania, nawet nie błyszczał się od potu. Po wybiegu szedł człowiek pewny swego, przekonany, że wygra, a gwizdy publiczności nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Kiriczenko wszedł do klatki wraz ze swoim zespołem i spuentował to krótką przebieżką po macie, a po niej serią szybkich ciosów w powietrze.

- Panie i panowie! - ponownie odezwał się konferansjer, a gwizdy momentalnie ucichły. - W narożniku czerwonym - mówił trochę wolniej niż w zapowiedzi rosyjskiego zawodnika, za to z większym entuzjazmem - wasz człowiek. Nasz, własny. Arcymistrz GFC, dwadzieścia siedem walk, dwadzieścia siedem wygranych, dwadzieścia siedem przez nokaut. Przywitajcie go tak gorąco, jakby to od was zależało, czy wygra ten pojedynek! Tak, żeby ten stadion się zatrzęsł! Przed wami Dawid Volkodlak! - Ostatnią sylabę przeciągnął tak długo, jak dał radę, i roznosiła się echem po arenie przez dobre kilkanaście sekund.

Tłum odpowiedział mu taką wrzawą, że jego słowa o trzęsieniu się stadionu niekoniecznie musiały być hiperbolą. Znowu nie dało się usłyszeć piosenki, przy której zawodnik wchodził do ringu, choć słowo „wchodził” było w przypadku Dawida sporym nadużyciem. W odróżnieniu od Kiriczenki nie zjechał windą z góry, lecz przyjechał z dołu, również w oprawie z dymu i sztucznych ogni. Jak zwykle był zamknięty w prostopadłościennej klatce z grubymi pionowymi kratami i klęczał w niej ze spuszczoną głową, trzymając pręty wyciągniętymi do góry rękami. Był ogromny jego muskulatura zdawała się dwa razy większa niż normalnie. Beata ponownie spojrzała na ekran. Dawid wydawał się skupiony miał zamknięte oczy i się nie poruszał. Właściwie, biorąc pod uwagę pozycję, przywodziło to na myśl modlitwę albo błaganie o litość. Przez to skojarzenie Beata

musiała przyznać, że jego wejście z psychologicznego punktu widzenia wypadło gorzej niż u przeciwnika. Publiczności jednak to nie obchodziło i przywitała swojego mistrza potężną euforią. To był fanatyzm. Bezgraniczne uwielbienie dla idola, bohatera, wojownika, ich dumy narodowej, która tego wieczoru miała zasiąść na tronie sportów walki na świecie. Do Dawida zdawało się to w ogóle nie docierać. Beata czuła takie mrowienie w żołądku, jakby to ona przejęła od niego emocje w związku z nadchodzącym starciem, jakby to ona czuła treść i to na niej skupiał się wzrok kibiców. Wzrok i odpowiedzialność, by zapewnić im radość.

Dawid wjechał do oktagonu w asyście swojego zespołu, a potem tradycyjnie wyłamał i odrzucił kraty, wyszedł z klatki i wyciągniętą ręką pozdrowił publiczność. Jak zwykle na jego twarzy nie pojawił się ani cień uśmiechu, choćby cwaniackiego, wyrażającego pewność siebie. Tylko wpatrzył się w przeciwnika i nie odrywał od niego spojrzenia. Ten nie pozostał mu dłużny i obaj gapili się na siebie bez nawet jednego mrugnięcia.

– Panie i panowie! - zawołał konferansjer. - Dzisiejsza gala nieprzypadkowo nazywa się „Krwawy Księżyc”! Kiedy pojawia się na niebie, rodzą się prawdziwe bestie! Ta noc jest wyjątkowa z jeszcze jednego powodu. Taka krwawa pełnia zdarza się raz na kilkadziesiąt lat!

Uniósł nad głowę zaciśniętą pięść, a dach na Stadionie Narodowym jak na komendę zaczął się otwierać. Towarzyszyła temu kolejna oprawa ze świateł, dymu i sztucznych ogni, jak dotąd największa. Oczy wszystkich kibiców powędrowały w górę i ci, którzy siedzieli w odpowiednim miejscu, mogli zobaczyć krwawy księżyc w jego okazałej czerwonej pełni na niebie, reszta zaś - na ekranie. Wyglądał przepięknie, niemalże zapewniał arenie nowe źródło światła i jeszcze bardziej nakręcił publiczność, która zaczęła wyć. Sześćdziesiąt tysięcy gardeł imitujących odgłosy wydawane przez wilki robiło tak piorunujące wrażenie, że Beatę aż przeszły ciarki. Nawet Kiriczenko oderwał wzrok od Dawida. Po raz pierwszy zobaczyła w jego mowie ciała oznakę niepewności. Wycie nie ustawało. Rosjanin rozejrzał się, a potem również spojrzał na kulę z czerwonym poblaskiem na niebie.

Zaraz jednak oczy wszystkich skupiły się na Dawidzie, który wciąż wpatrywał się w przeciwnika. Dopiero potem powoli, z celebrą uniósł głowę.

Beata wstrzymała oddech.

Twarz Dawida pozostała nieruchoma, ale zbladła. Zaciśnął mocniej dłonie. Jego niebieskie oczy utraciły jakikolwiek wyraz, tęczęwki stały się tak jasne, że było widać same białka i źrenice. Zaczął intensywnie drżeć, lecz zaraz jego ciałem targnął pierwszy wstrząs, a po nim kolejne, jakby raził go prąd. Mięśnie nabrały jeszcze większej objętości, a z ust wydobył się warkot. Z racji bezpośredniej bliskości konferansjera i jego mikrofonu odgłos rozniósł się echem po stadionie i znowu wywołał aplauz publiczności.

Beata zdała sobie sprawę, że cała zeszywniała. Dźwięk wydobywający się z ust Dawida brzmiał podobnie jak wtedy, gdy zobaczył kulę imitującą superksiężyc. Nie tak, jakby człowiek naśladował zwierzę, ale jakby najprawdziwsze zwierzę ukryło się w powłoce człowieka. Kiriczenko gapił się na Dawida, nie ruszając się od dobrych kilkudziesięciu sekund. Mina wyraźnie mu zrzędała, podobnie jak ludziom z jego ekipy.

Wtem warkot Dawida zmienił się i o ile wcześniej przypominał odgłos zwierzęcia, o tyle teraz trudno było go porównać do czegokolwiek. Stał się niższy, basowy. Najwyraźniej zaskoczył również ludzi z jego zespołu, którzy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Po kolejnym gwałtownym spazmie ciała Dawid padł na kolana, wyszedł na środek klatki, złapał się za głowę i ryknął tak głośno, że stadion, wspomagany nagłośnieniem, rzeczywiście niemal zatrzęsł się w posadach.

Beata rozejrzała się i wyczuła, że nastrój na widowni wyraźnie się zmienia. Kontrast w porównaniu z poprzednią euforią był spory. Konferansjer próbował przebić się przez wycie Dawida, ale nie był w stanie, trener zwracał się do podopiecznego, lecz ten w ogóle nie reagował na jego słowa. Beacie nie umknęły znaczące spojrzenia, jakie wymienili z Jackiem, który również był w klatce. W ich mowie ciała dostrzegła niepokój.

Dawid wytrzeszczył puste oczy na tyle, na ile pozwalały mu mięśnie twarzy, i po raz kolejny wlepił je w krwawy księżyc nad sobą, szczerząc zęby. Z ust obficie spływała mu ślina. Beacie zdało się, że dosłownie rośnie w oczach, i w końcu uświadomiła sobie, że to nie jest złudzenie. Jego ciało stało się chyba nawet większe niż podczas niedawnego incydentu z taksówkarzem i pokrywała je gęsta pajęczyna nabrzmiąłych żył. Wciąż rosło, niczym balon o ludzkim kształcie napełniany powietrzem przez pompę. Klatka piersiowa poszerzyła się, ręce i nogi wydłużyły i pogrubiały tak, że pękły na nich rękawice i spodenki.

A potem...

Beata otworzyła usta, nie wierząc w to, co widzi. Ze skóry Dawida zaczęło wyrastać ciemnoszare włosie kilkucentymetrowej długości, tak szybko i tak gęste, że cielistego koloru skóry nie dało się pod nim dostrzec. Jego twarzy już nawet nie można było tak nazwać, teraz przypominała bardziej wilczy pysk - wydłużyła się, powiększyła i również zarosła włosiem, a spiczaste uszy cofnęły się na czaszce i stanęły na baczność. Kiedy Dawid otworzył to, co jeszcze przed chwilą było jego ustami, ukazały się w nich ostre wilcze kły. Podniósł się na nogi, które teraz, podobnie jak ręce, należałoby nazywać łapami. Również były gęsto zarośnięte sierścią i kończyły się ostrymi pazurami. Kiedy się wyprostował i można było na oko ocenić jego wzrost, Beata doliczyła się prawie pięciu metrów. Kiriczenko, druga osoba w oktagonie pod względem wysokości i postury, nagle wydał się przy nim śmiesznie mały. Potwór spojrział na niego i ryknął tak wściekle i głośno, że wspomagane mikrofonami wycie z pewnością rozniosło się po całej Warszawie. Wraz z tym odgłosem rozległy się pierwsze krzyki z widowni.

Kiriczenko mruknął coś pod nosem, gapiąc się jak sparaliżowany na bestię nad sobą. Wokół narastał gwar publiczności, w którym mieszały się chyba wszystkie odgłosy, jakie może wydać człowiek. Wszystkie poza śmiechem. Kiedy pierwsi kibice rzucili się do ucieczki, zadziało to jak lawina i coraz więcej szło za ich przykładem. Nie pomagały komunikaty spikera, który apelował o zachowanie spokoju.

Wydarzyło się to szybciej niż mrugnięcie okiem. Potwór machnął potężną łapą i uderzył jednego z mężczyzn z Volkodlak Team tak mocno, że ten wyleciał z oktagonu na jakieś trzydzieści metrów i wylądował na opuszczonych krzesłach publiczności, łamiąc kręgosłup. Spanikowany gwar przybrał na sile, a ludzie popędzili do wyjść ze stadionu. Kiedy stwór rzucił się na Kiriczenkę, pozostali uciekli z oktagonu. Rosyjski zawodnik jednak nie miał tyle szczęścia. Bestia wskoczyła na niego, przewracając i gruchocząc mu kości. Kiriczenko nie zdążył nawet wrzasnąć z bólu, kiedy zatopiła zębiska w jego szyi i rozszarpała ją na krwawą papkę.

– Powstrzymajcie go! - Jacek krzyknął do ludzi zgromadzonych wokół klatki, tych samych, którzy śledzili Dawida na co dzień i interweniowali podczas ostatniej randki z Beatą. Wbiegli do oktagonu i wystrzelili w stronę potwora kilka sieci z paralizatorami. Te jednak były zbyt małe, by opleść go w całości, do tego prąd

zdawał się nie robić na nim najmniejszego wrażenia. Szybko się z nich wyplątał i ruszył na mężczyzn.

Beata była w szoku. Jako jedna z niewielu osób we wszechobecnym rwetesie pozostała na swoim miejscu, lecz stało się to wyłącznie za sprawą jej organizmu, który zareagował tak, a nie inaczej, jakby utracił połączenie z mózgiem. Myśli stanowiły teraz jedynie zlepek migawek, pojedynczych słów, które odbijały się w jej umyśle niczym kauczukowe piłeczki bez jakiegokolwiek ładunku i składu.

Jak? Dawid. Co? W jaki sposób? Dlaczego? Lykantropia. Choroba psychiczna. Dlaczego? Kiedy? Jednak nie choroba? Ale... Potwór. Niebezpieczeństwo. Kły. Pazury. Siła. Szybkość. Agresja. Wściekłość. Sierść. Potężna postura. Mięśnie. Wzrost. Pięć metrów.

Krwawy księżyc.

Poderwała głowę i po raz kolejny spojrzała na czerwoną kulę na niebie. Nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ coś, co jeszcze niedawno było Dawidem, wyskoczyło z klatki na wysokość jakichś trzydziestu metrów i wylądowało poza nią tak ciężko, że aż wszystko się zatrzęsło. Na szczęście dla Beaty - z drugiej strony oktagonu. Ocknęła się i jakby odzyskała zdolność ruchu. Osunęła się na kolana i przerażona przywarła do ziemi, próbując w miarę możliwości ukryć się na swojej trybunie. Przyłożyła twarz bokiem do zimnego betonowego podłoża, starając się nie ruszać. Potwór jednak skupił się na pogoni za uciekającym od niego tłumem. Dopadał i zabijał kolejnych ludzi, gryząc, miażdżąc i zadając ciosy szponiastymi łapami. Wciąż ryczał. Z zadziwiającą lekkością wskakiwał na wyższe rzędy trybun i łamał krzeselka. Wystarczało mu zaledwie kilka uderzeń pięścią, by powiększać przejścia, przez które nie mógł się przecisnąć w pogoni za następnymi ofiarami. Ktoś z ochrony najwyraźniej nakazał otworzyć wszystkie bramy, aby ułatwić ludziom ewakuację. Podczas gdy olbrzym skupiał się na nieszczęśnikach, których udało mu się dopaść, większość tłumu zdołała uciec, tratując się nawzajem. Wreszcie wypadł za pozostałymi ze stadionu i na arenie zapadła cisza. Cały harmider, w tym ryk bestii, przeniósł się na zewnątrz.

Mimo to Beata wciąż leżała z ciałem kurczowo przyciśniętym do alejki między dwoma rzędami biało-czerwonych krzesełek, gapiąc się przed siebie i prawie nie myśląc. Prawie. Bo w jej umyśle, jak z zaciętej płyty, wybrzmiewały w kółko dwa zdania. Powtarzała je również szeptem, tak cicho, że nawet nowe, zwierzęce, wyostrzone zmysły Dawida (?) nie miałyby szans ich zarejestrować.

– Czym ty się stałeś? Kim tak naprawdę jesteś...?

Z jej oczu na betonową posadzkę spłynęły łzy przerażenia.

Nie wstawiała przez dłuższy czas. Wtem zdała sobie sprawę, że widzi przy sobie elegancki męski pantofel. Spojrzała w górę i w półmroku rozpoznała mężczyznę z kucykiem - tego, który towarzyszył Jackowi, kiedy odwozili ją do domu. Na jego twarzy triumf łączył się z ekscytacją, a oczy miał wytrzeszczone w częściowym szoku. Wyraźnie drżał i celował w nią z pistoletu.

– A jednak przyszłaś, szmato - wycedził z satysfakcją i pewnym niedowierzaniem. - Do samego końca się zastanawialiśmy, czy ulegniesz pokusie.

– Ja... - Beata z trudnością oderwała się od ziemi, a z jeszcze większą przelknęła ślinę. Wpatrywała się jak zhipnotyzowana w lufę pistoletu. - Ja... chciałam tylko zobaczyć walkę. Nic więcej! Przysięgam!

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Dlaczego wymieniłaś się biletem z jakimś anonimem? Naprawdę myślałaś, że nagle zapomni, gdzie miał siedzieć? Wstawaj! - Pogonił ją bronią.

– Ale ja... Nikomu nic nie powiedziałam! Nie chciałam! To nie ja! - wyjąkała z absurdalną myślą, że ten oprych obwiniają o to, czym stał się Dawid.

– Wstawaj! - Doskoczył do niej, podniósł ją siłą i przycisnął lufę do pleców.

– Czego pan ode mnie chce?! Nic nie zrobiłam!

– Zamknij mordę! Rób, co mówię, a nic ci się nie stanie.

Beata nic z tego nie rozumiała, ale nie protestowała. Pozwoliła mu wyprowadzić się ze stadionu, mijając ciała zdeptanych kibiców, upokorzona, przerażona, wściekła i jednocześnie niedowierzająca, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ze jednak tu się pojawiła, ryzykując ponowne spotkanie tych bandytów, że Dawid na oczach sześćdziesięciu tysięcy fanów na widowni i milionów przed telewizorami przemienił się w prawie pięciometrowego potwora, po czym brutalnie zamordował rosyjskiego zawodnika i kilkudziesięciu, może nawet kilkuset widzów, nie licząc tych, których stratował spanikowany tłum. Wreszcie - że właśnie szła na miękkich nogach w nieznanym kierunku z mężczyzną o bardzo złej energii, z pistoletem przyciśniętym do kręgosłupa, nie mając pojęcia, dlaczego ten bandyta się na nią wziął. Nie, to wszystko nie mogło się wydarzyć. Próbowwała uporządkować myśli, ale nie pozwalał jej na to odległy, roznoszący się echem przez



miasto ryk bestii. Ryk, który zaraz został dopełniony grzmotem nadciągającej burzy.

\* \* \*

Mężczyzna za kierownicą samochodu obrócił głowę w stronę kobiety siedzącej na fotelu obok. Popatrzył na nią wytrzeszczonymi oczami, będącymi jedną wielką definicją braku ufności dla reguł rządzących tym światem, po czym oboje, podobnie jak reszta kierowców i pasażerów aut stojących na skrzyżowaniu Kijowskiej i Targowej, wlepili wzrok w zbliżające się do nich wielkie, owłosione... coś. Wydawało się, że pod jego łapami autentycznie drży ziemia.

Wśród ludzi na ulicy, których zdecydowaną większość stanowili uciekinierzy ze Stadionu Narodowego, panowała panika. Rozproszyli się po jezdni i nie dało się ich wyminąć, nie robiąc im krzywdy. W opanowaniu sytuacji nie byli w stanie pomóc nawet policjanci zabezpieczający galę. Większość z nich również uciekała przed zagrożeniem. Bestia goniła i rzucała się na tych, którzy znajdowali się najbliżej, jednym susem pokonując potężne odległości i usuwając z drogi samochody z taką łatwością, jakby były wykonane ze styropianu. Wystarczało jedno uderzenie łapy, by wzbijały się w powietrze i lądowały na boku lub na dachu. Niektórzy kierowcy próbowali zawrócić lub manewrować na wstecznym, objijając sąsiednie auta. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, jechali pod prąd.

– Co to jest, do cholery?! - pytali pasażerów, lecz ci nie byli pewni odpowiedzi. Te za nich dostarczyło radio.

– *Według wstępnych informacji w stworzenie, które pojawiło się na ulicach Warszawy, przemienił się znany sportowiec Dawid Volkodlak. Apelujemy do wszystkich o pozostanie w domach i trzymanie się z dala od okolic Stadionu Narodowego!*

– Prze... mienił się? - zapytał kierowca, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. - Co to, kurwa, znaczy „przemienił się”?

Udało mu się zawrócić, wcisnął gaz do dechy i jechał teraz Kijowską, niemalże dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość. W tym czasie jego córeczka odwróciła się i przez tylną szybę patrzyła na oddalające się od nich monstrum oraz na czerwoną tarczę księżycy w pełni, która znajdowała się teraz idealnie nad nim. Ten widok z czymś jej się skojarzył.

– Tato, czy to wilkołak? - zapytała z zaciekawieniem. Zdawała się o wiele mniej przerażona niż ojciec. - Mówiłeś, że wilkołaków nie ma! - stwierdziła oskarżycielskim tonem.

Nie odpowiedział; skupił się na drodze. Nie pamiętał, czy naprawdę odbyli taką rozmowę. Nawet jeżeli tak, owszem - jeszcze wczoraj powiedziałby dokładnie to samo.

Wczoraj.

Wstrzymał oddech i zahamował z piskiem opon. Na kolejnym skrzyżowaniu inny samochód o mało nie staranował go z boku.

\* \* \*

– Potrzebne wsparcie w okolicach skrzyżowania Targowej z Aleją Solidarności. Niedaleko stacji metra Dworzec Wileński! - powiedział przez radiotelefon policjant, wpatrując się w owłosionego olbrzyma z wilczym łbem, który szedł w jego stronę, usuwając wszystko na swojej drodze. - Nie wiem, kogo wezwać! - warknął rozpaczliwie. - Anty terrorystów, wojsko, NATO, Armię Zbawienia, cokolwiek sobie wymyślisz! Szybko, do kurwy nędzy!

Bestia ryknęła wściekle, złapała kolejny samochód i rzuciła nim przed siebie jak piłką lekarską. Wylądował na jezdni z metalicznym łupnięciem i przetoczył się kilka razy. Uciekającym przechodniom ledwo udało się ująć z życiem.

– Co robimy? - Drugi policjant siedział jak zamrożony w fotelu obok. - Adam, on tu idzie!

Zapytany funkcjonariusz myślał gorączkowo i w końcu wyciągnął z kabury pistolet. Przeładował go.

– Chcesz go zastrzelić? - zapytał jego partner. - Przecież...

– Muszę.

Sam jednak bił się z myślami, co powinien teraz zrobić. W tym momencie to oni znajdowali się najbliżej, większość cywili zdołała uciec. Olbrzym skupił się na policjantach i ruszył w ich stronę szybkim krokiem. Szczrzył zęby i toczył pianę z pyska.

Policjant nie wahał się już, wysiadł z radiowozu, wycelował pistolet w potwora i nacisnął spust. Trafił w pierś, w okolicach serca. Bestia zachwiała się, zatrzymała, pochyliła łeb i spojrzała ze zdziwieniem na swoje cielsko. Policjant wstrzymał oddech, wpatrując się w punkt, który trafił, i wyczekując tęsknie pierwszych kropeł krwi przebijających się przez sierść stwora. Choć mijały kolejne sekundy, nie pojawiła się nawet jedna.

– No, dalej... - szeptał rozpaczliwie, coraz mocniej drżąc. Potwór przestał skupiać się na sobie, opadł ciężko na czworaki i zaczął szukać czegoś na asfalcie, wciągając powietrze nosem. Wreszcie to znalazł, chwycił między pazury i uniósł na wysokość oczu.

Był to splaszczony pocisk, który odbił się od jego klatki piersiowej, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Olbrzym puścił go, wyszczerzył zęby i zmarszczył wściekle brwi, ponownie skupiając się na policjancie. Ten oddał jeszcze kilkanaście strzałów, tym razem celując w głowę, ale skutek był identyczny. Kule odbijały się od grubej skóry bestii, nie zadając jej choćby najmniejszych ran. Ponownie stanęła na czworakach i ruszyła w stronę radiowozu w prędkością godną geparda, jak nie większą.

Spanikowani policjanci rzucili się do ucieczki. Potwór skoczył na radiowóz, zmiażdżył dach, po czym zsunął się, chwycił go za przód i rzucił za biegnącymi mężczyznami. Podczas gdy samochód ze świstem powietrza leciał w ich stronę, jeden z policjantów potknął się i upadł.

\* \* \*

Jeszcze tylko brakuje, żeby pojawił się ten typ z dwiema twarzami! Wtedy dopiero rozpocznie się prawdziwa impreza!

(~Rafik1994, komentarz na YouTubie pod jednym z pierwszych amatorskich filmików przedstawiających przemienionego Dawida Volkodlaka szalejącego po mieście)

\* \* \*

Policjant stwierdził ze zdziwieniem, że wciąż żyje. Mało tego - że poza niegroźnymi otarciami wynikającymi z upadku na asfalt nic mu nie jest. Uświadomił sobie również, że nie usłyszał metalicznego trzasku blachy radiowozu, który rzucił za nim potwór. Nawet nie zatrzęsa się ziemia. Jak gdyby auto nigdy na niej nie wylądowało.

Rozejrzał się wytrzeszczonymi oczami i ledwo się powstrzymał, by nie krzyknąć. Samochód wisiał tuż nad nim, jakieś półtora metra nad ziemią. Zaraz zdał sobie jednak sprawę, że to nie tak. Ktoś go trzymał. Na swoim karku, z rozłożonymi rękami, unosił go osobnik, którego policjant natychmiast rozpoznał. Szczupła, choć muskularna sylwetka. Sinoszary kolor skóry. Czarne spodnie. Nagi tors. Wszystkie palce, także na stopach, zakończone sztyletowatymi czarnymi pazurami. Nieproporcjonalnie wielkie dłonie. Wyostrzone rysy twarzy. Jednolicie czarne oczy. Kruczoczarne, nastroszone włosy. Wreszcie ta druga twarz na klatce piersiowej, jakby płaskorzeźba ukryta pod skórą.

Istota napięła mięśnie, rozprostowała nogi i postawiła samochód bokiem na jezdni, po czym stanęła przodem do bestii. W tym samym momencie chmury zakryły krwawy księżyc i przy akompaniamencie grzmotów nad Warszawą zaczął padać deszcz.

# **R O Z D Z I A Ł**

## **X X X V I I I**

Policjant spojrział na swojego wybawcę z mieszanką strachu i odrazy, po czym błyskawicznie wstał i rzucił się do ucieczki.

– Nie ma za co! - skwitował cierpko Dorian, nawet na niego nie patrząc. Wskoczył na stojący na boku samochód, ukazując się potworowi w pełnej krasie. - Dawid! - zawołał.

Bestia wlepiła w niego dzikie ślepią i ponownie zaczęła węszyć. Nie pozostało w niej nic z ludzkiej natury, wciąż kierował nią instynkt, który czasem dawał o sobie znać, nawet gdy pozostawała w uśpieniu. Rozpoznała ten zapach. Zły zapach, który Dawid wyczuł, kiedy wynosił nieprzytomną Beatę z mieszkania. W obecnej postaci nawet nie wiedział, że ktoś taki jak ona istnieje. Nie pamiętał, w jakich okolicznościach spotkał się z tym zapachem po raz pierwszy. Liczyło się wyłącznie to, że go rozpoznał i ocenił zero-jedynko wo.

Wróg.

Zewsząd dobiegały zbliżające się odgłosy syren i zaraz otoczyło ich kilkanaście policyjnych radiowozów, które zatrzymały się w bezpiecznej odległości. Policjanci wysiedli, ukryli się za samochodami i wyciągnęli broń.

– Ej! - zawołał jeden przez megafon. Jego okrzyk ledwo przebijał się przez grzmoty i szum coraz obficiej padającego deszczu. - Ty, na samochodzie!

Dorian nie odrywał oczu od potwora, za to jego druga twarz przemieściła się pod skórą z klatki piersiowej na plecy.

– Słucham, panie komisarzu! - rozległy się synchronicznie dwa głosy, kiedy poruszyła ustami.

Policjant rozejrzył się niepewnie po kolegach, ale tylko utwierdził się w przekonaniu, że ci, podobnie jak on, nie mają pojęcia, co robić.

– Właśnie uratowałem życie pana koledze po fachu! - powiedział Dorian ustami drugiej twarzy na plecach. - Chce mnie pan zatrzymać? To bardzo zły pomysł. Ale może jako nagrodę pocieszenia zechce pan przyjąć jego? - zapytał i wystrzelił w powietrze, przeskakując nad bestią, która przypuściła na niego atak.

Uderzyła łapą w samochód, dzieląc go na pół z taką łatwością, jakby był tortem. Dorian wylądował na jezdni. Zwrócił uwagę, że jego szósty zmysł nie ostrzegł go przed tym atakiem i musiał bazować na własnym refleksie, co trochę go zaskoczyło i zaniepokoiło. Potwór odwrócił się za nim, warcząc wściekle.

– Zamierzacie tak stać czy coś z tym zrobicie? - Dorian zawołał do policjantów. W ostatniej chwili umknął przed kolejnym atakiem bestii, której cios wybił w asfalcie pokaźną dziurę. Wskoczył na ścianę pobliskiej kamienicy i zaczął pełznąć górę z zawrotną prędkością. Potwór podążył za nim, ale nie potrafił oszukać praw fizyki jak Dorian, więc wbił pazury w mur i wspiął się po nim jak doświadczony wspinacz. Po chwili obie istoty zniknęły policjantom z oczu, jedna uciekając, a druga goniąc. Przeskakiwały z budynku na budynek w kierunku ulicy Białostockiej.

Funkcjonariusze popatrzyli po sobie. Dowódca przeklął pod nosem.

– Jaki jest sens, żebyśmy robili na niego obławę, skoro nie mamy szans go złapać?! - warknął ni to do siebie, ni to do pozostałych.

Jeden z policjantów spojrział na miejsce, w którym stwory zniknęły im z oczu.

– A teraz jest ich już dwóch... - mruknął.

Wtem rozległ się dzwonek telefonu dowódcy. Spojrział na ekran i syknął kolejne przekleństwo. Dzwonił jego przełożony.

\* \* \*

*– Jak dotąd nie mamy potwierdzonych informacji o liczbie rannych i ofiar śmiertelnych. Wydaje się, że Volkodlak utracił ludzką świadomość i nie da się z nim porozumieć. Uszkodził co najmniej kilkanaście budynków i kilkadziesiąt samochodów. Na jego drodze*

stanął wciąż niezidentyfikowany przez organy ścigania osobnik, który jeszcze kilka tygodni temu terroryzował miasto. Na miejscu jest nasz reporter Jarek Kryza. Jarku, powiedz nam, jak wygląda sytuacja na ulicach Warszawy.

– Obie istoty przemieszczają się w kierunku blokowisk na Pradze Północ. Wygląda na to, że Volkodlak, czymkolwiek się stal, stracił zainteresowanie cywilami i skupił się wyłącznie na swoim przeciwniku, który jak dotąd skutecznie mu umyka. Nie wiadomo jednak, jak postąpi, gdy już go schwyta. Sytuacja jest dynamiczna i na ten moment niczego tak naprawdę nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

– Gdzie jest policja? Służby? Czy to nie pora, by zaangażować wojsko?

– Policjanci strzelali do Volkodlaka, ale pociski nie robiły mu żadnej krzywdy. Oznacza to, że dla zneutralizowania zagrożenia należałoby użyć broni większego kalibru, co przy tak dużej liczbie cywili i szybkim przemieszczaniu się celów jest bardzo ryzykowne. Eksperci analizują, czy istnieje możliwość takiego pokierowania trasą pościgu, żeby udało się wywabić stwory z miasta, co ułatwiłoby ich likwidację.

– Innymi słowy... Obecnie jesteśmy bezradni i możemy jedynie obserwować, co się wydarzy?

Dziennikarz się zasepił.

– W tej chwili wygląda na to, że konfrontacja, jaką oglądamy, to wyłącznie rozgrywka między oboma zainteresowanymi. Powstaje pytanie: kto jest za to odpowiedzialny? Dlaczego rząd, w obliczu zagrożenia terrorystycznego z ostatnich tygodni, nie przygotował się do takiej sytuacji i nie odwołał gali? I wreszcie: dlaczego odnoszę wrażenie, że zapanował jeden wielki chaos i nie wiadomo, kto za co odpowiada?

\* \* \*

– Peter, oni zabiją nas oboje! - powiedziała dziewczyna z rudymi włosami. Znajdowała się w samochodzie zawieszonym wysoko nad ziemią na czarnej pajęczynie.

– Wyciągnę cię z tego - odpowiedział zamaskowany mężczyzna w czerwono-niebieskim kostiumie ze znakiem pająka na piersi.

Wtem dziewczyna zobaczyła coś za jego plecami.

– Uważaj! - krzyknęła, ale nie zdążył się odwrócić. Coś czarnego uderzyło go od tyłu i niemal strąciło z samochodu, wybijając przednią szybę. Ledwo zdołał się

przytrzymać i wciągnąć z powrotem na bagażnik, choć odłamki szkła wytworzyły na jego ciele kilka krwawiących ran. Spojrzał na czarną postać, która stanęła na masce. Jej twarz rozmyła się, jakby była żywą maską, i ukazała pod spodem drugą, ludzką.

– Cześć, *Parker!* - Mężczyzna się uśmiechnął. Miał dłuższe, jak gdyby wampirze kły.

Bohater w czerwono-niebieskim stroju rozpoznał go.

– *Mój Boże! Eddie!* - krzyknął.

– *Uuu... Mój pajęczy zmysł szaleje!* - Eddie wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny i z jego nadgarstka wystrzeliły czarne nici, które owinęły się wokół niej. Przyciągnął ją do siebie jednym ruchem ręki i unióś nad ziemią. - *Jeżeli wiesz, co mam na myśli* - dodał ze złośliwym uśmiechem, wskazując rudowłosą szponiastym palcem.

Chłopak w czerwono-niebieskim stroju skoczył na niego, ale otrzymał potężny cios w twarz i spadł z wysokości kilkudziesięciu metrów na kolejne fragmenty czarnej pajęczyny.<sup>37</sup>

Dziesięcioletni Mateusz i jego dziewięcioletnia siostra Iza oglądali film z zapartym tchem, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu telewizora. Byli tak pochłonięci seansem, że nie zwrócili uwagi na energiczne wejście ich ojca do salonu.

– Dzieciaki! - zawołał z niepokojem połączonym z ekscytacją. Nie zareagowały, więc podszedł do stołu, chwycił pilota i przełączył kanał.

– Ej! - zawołała płaczliwie Iza. - Tato! Jeszcze się nie skończyło!

– Włącz z powrotem! - zawtórował jej Mateusz, ale umilkł, kiedy zobaczył, co emitują na kanale, na który przełączył ich ojciec. Widział tam sceny niemal identyczne jak w filmie, który właśnie oglądali z siostrą - noc, wielkie miasto i dwie postacie filmowane z góry, przemieszczające się z nadludzką prędkością i przeskakujące z budynku na budynek na tle rozświetlonych biurowców po drugiej stronie Wisły. Pojedynczymi susami pokonywały odległości nieosiągalne dla zwykłego człowieka. Jedna była mniejsza i szczupła, zupełnie jak ich ulubiony człowiek-pająk. Druga o wiele większa i cięższa, ale poruszała się równie szybko i z równie dobrym wygimnastykowaniem. Najwyraźniej gonila tę pierwszą, niszcząc każdą przeszkodę na swojej drodze.



– Tato, kto to jest? - zapytał, a gdy coś zrozumiał, jego oczy zabłyszczały. - Czy to... ten superbohater?!

Mężczyzna, którego od początku niepokoiło, że jego syn nie nazywa rzeczy po imieniu i nie czuje należytego respektu przed potworem terroryzującym Warszawę, nie odpowiedział. Próbował słuchać relacji dziennikarzy na bieżąco informujących o zajściu.

– Tato! - zawołał głośniejszym głosem Mateusz, a ojciec dopiero wtedy zwrócił na niego uwagę. - Czy to film?

– To nie film, Mati - odparł, choć wyraźnie krążył myślami gdzie indziej. - To jest... - Urwał, kiedy zdał sobie sprawę, że rozpoznaje okolicę z ekranu. Jeżeli się nie mylił, to oznaczało, że...

Spojrzał w okno w tym samym momencie, w którym osobnik z dwiema twarzami wleciał przez nie z pełnym impetem, rozbijając szkło na setki kawałków. Potoczył się po podłodze i uderzył w komodę pod telewizorem.

Mężczyzna stał jak zamrożony, gapiąc się na mokrego od deszczu czarnowłosego intruza z nagim torsem i szponiastymi, nieproporcjonalnie wielkimi dłońmi, którymi próbował podnieść się na czworaki. Znajdował się w takim miejscu, że oddzielał ojca od dzieci. Te również wpatrywały się w niego, ale z urzeczeniem, ich oczy wręcz błyszczały z ekscytacji.

– Łał! - zawołał Mateusz. - Ale super to było! - Spojrzał na wybitą szybę. - To pan? Pan jest tym superbohaterem?

Dorian popatrzył na zarumienioną z emocji twarz chłopca, wytrzepał z włosów drobinki szkła i odpowiedział podwójnym głosem:

– Wiesz co, młody? Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji.

W tym samym momencie coś uderzyło o apartamentowiec z siłą godną kuli do burzenia. Wszyscy spojrzeli za okno i zobaczyli w nim obrośniętego sierścią olbrzyma, który wkładał do środka ogromne ramię przez wybite okno. Ryczał wściekle, nie mogąc precyzyjnie się przez otwór. Zaraz jednak uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę, a w tej pojawiły się pęknięcia i zaczęły odpadać z niej coraz większe kawałki tynku.

Kiedy kolejne uderzenia wstrząsały najbliższymi meblami, chłopiec i dziewczynka rozplakali się ze strachu. Dorian chwycił dzieci za ramiona i popchnął je w stronę ojca.

– Uciekajcie stąd!

Mężczyzna kiwnął głową, złapał syna i córkę mocno za ręce, po czym wybiegł z mieszkania. Dorian zaś wpatrywał się w oczy potwora, myśląc gorączkowo.

Uciekanie w nieskończoność nie zadziała - Dawid Volkodlak, czymkolwiek się stał, nie wyglądał na kogoś, kogo da się łatwo zmęczyć. W walce wręcz Dorian nie miał z nim żadnych szans. Dla bezpieczeństwa ludzi dobrze byłoby, gdyby wywabił go poza miasto, w jakieś pole, do lasu lub na inne odludzie. Problem jednak polegał na tym, że to nie on do końca decydował, w jakim kierunku się poruszali, raczej dostosowywał się do ruchów przeciwnika, który był obiektywnie szybszy, silniejszy i choć wydawało się, że utracił ludzką naturę, zdawał się tak kierować pościgiem, by ten odbywał się na określonym obszarze. Dorian miał również na względzie, że w konfrontacji z bestią na terenie niezabudowanym wystawiłby się na pewną śmierć. Zniknęłyby bowiem przeszkody, takie jak wysokie budynki, po których poruszał się z większą wprawą, mając przewagę w postaci zdolności pełzania po ścianach. Przydałaby się pomoc wojska i potężniejszej broni. Tylko jak jej użyć w samym środku Warszawy?

Czas uciekał, a bestia zamachnęła się po raz kolejny. Od utorowania sobie wystarczająco szerokiego przejścia do mieszkania dzielił ją już tylko jeden cios.

\* \* \*

Ksiądz Ludwik Kropidłowski siedział w świetlicy aresztu śledczego na Białołęce razem z innymi osadzonymi i wpatrywał się w ekran telewizora, na którym relacjonowano dramatyczne wydarzenia z Pragi. Normalnie o tej porze wszyscy powinni byli przebywać w celach i przymierzać się do snu, ale gdy w związku z nadzwyczajną sytuacją w mieście przerwano film, który pierwotnie oglądali, i zaczęto relacjonować pogoń Volkodlaka za tym drugim, nikt ze Służby Więziennej się tym nie przejmował. Fakt ten miał swoje pozytywy - aresztanci chociaż na moment zapomnieli o Kropidłowskim i już nie musiał słuchać zaczepek ani kiepskich żartów z tą samą pedofilską puentą. Nie wspominając o rękoczynach. Przestał już liczyć, ile podczas pobytu tutaj otrzymał ciosów otwartą dłońią w twarz, ile pięścią w brzuch, ile kopnięć, ile siniaków i ile gróźb. Przestał liczyć również, ile razy skarżył się na to klawiszom, a ci tylko uśmiechali się złośliwie i nic z tym nie robili. Autentycznie obawiał się o swoje życie - kiedyś

oglądał film *Symetria*, o realiach więzień, w którym do celi trafił prawdziwy pedofil i współosadzeni zafundowali mu tak zwane samobójstwo. Nie liczyło się to, czy naprawdę był winny. Liczyła się łaska, etykieta, jaką mu przyklejono. Odkąd więc zamknięto go tutaj, Kropidłowski nie przespał dobrze nawet jednej nocy. Praktycznie każdą wolną chwilę spędzał na gorliwej modlitwie. Nie tylko w swojej intencji. Wciąż błagał o pomyślne rozwiązanie problemu, który zajmował go, jeszcze zanim tutaj trafił. Wciąż wierzył, że wszystko zakończy się szczęśliwie, choć od tamtego zdarzenia minęły już ponad cztery miesiące.

– Ja to ci powiem szczerze... - Mężczyzna siedzący przy stoliku przed nim zwracał się do towarzysza obok. - Im dłużej patrzę, co wyrabia się w mieście, tym bardziej się cieszę, że tu jestem.

– Superbohater, psia mać - dodał ktoś inny, patrząc na ekran spode łba. - Jakby jeszcze mało było problemów w tym antyludzkim państwie!

– Panowie, to co ja mam powiedzieć? - zapytał trzeci mężczyzna. - Niedługo mam rozprawę! Co będzie, jak mnie uniewinnią i wyjdę?!

Po sali rozniósł się pomruk współczucia, a osadzony spojrzał z przekąsem na telewizor.

– Moja panna już szuka lokum poza Wawką - dodał.

– Ja, jak wyjdę, w ogóle wyjadę z kraju. Skąd wiecie, że ten kutas nie zacznie skakać po Polsce?

Pozostali pokiwali głowami.

– Dobrze, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby nas resocjalizował - mruknął aresztant siedzący przy stoliku bliżej telewizora.

– Nikt nie wpadł, bo politycy też mają z nim na pieńku. Myślicie, że nie mają się czego bać? - zauważył ktoś. - Jestem pewien, że już nadepnął na odcisk jakiemuś ważniakowi. Ja bym tak zrobił na jego miejscu.

– Panowie, spokojnie! Nie ma co martwić się na zapas! Dawidek mu pokaże, kto tu rządzi! - wciął się osadzony z prawej strony pomieszczenia. - Dajesz, mistrzu! - zawołał w stronę telewizora, zaciskając pięści.

– Bardzo bym chciał, żeby tak było, ale stawiam paczkę najlepszych przemyconych w dupie szługów, że mniejszy to wygra - odpowiedział z rezygnacją inny aresztant. - Przecież Volek teraz nie wie, co się dzieje! To zwierzę. Może

gdyby się przemienił, ale we łbie pozostał człowiekiem, rozmawialibyśmy inaczej. A tak...

– Nie kracz, Lucek, bo nieszczęście przyciągniesz! - zawołał ktoś i także wskazał telewizor. - Ten dupek nawet nie podejmuje walki! Już nie jest taki odważny i spierdala w podskokach! No tak czy nie?

Lucek spojrzał z kwaśną miną na ekran.

– Coś wymyśli. Tak czuję. Wykorzysta to, że Dawidek przestał ogarniać rzeczywistość. Zobaczycie.

– Dobra, to ja, dla równowagi, stawiam paczkę szlugów, że Voluś wygra! - zawołał fan Dawida z prawej strony sali.

– Stawiaj se. I już ją szykuj, bo kredytowania i przesunięcia w czasie mojej doli nie przewiduję - odparł z przekąsem Lucek.

Nikt nic więcej nie powiedział i wszyscy ponownie wpatrzyli się w ekran. Kropidłowski również. Wdzięczny niebiosom, że więźniowie o nim zapomnieli, tak skupił się na telewizorze, że nie zauważył, iż ktoś przy nim stanął. Dopiero kiedy został dotknięty w ramię, wzdrygnął się tak, że o mały włos nie przewrócił stołu, przy którym siedział. Okazało się jednak, że stoi przy nim jeden z klawiszy.

– Ksiądz pozwoli za mną - rzekł z wyraźnie niezadowoloną miną.

Kropidłowski spojrzał na niego i przełknął ślinę.

– Ale co...? - zaczął, lecz strażnik przerwał mu, rzucając okiem wokół.

– Na zewnątrz. Nie tutaj.

\* \* \*

Spotkanie sztabu kryzysowego w związku z wydarzeniami w okolicach Stadionu Narodowego odbywało się przez Internet. W jego skład weszli prezydent Warszawy Edyta Urbaniak-Ferenc, najważniejsi radni, przedstawiciele policji, w tym komendant Tomasz Brzeziński, straży miejskiej, straży pożarnej i ratownictwa medycznego. Dyskusja była bardzo gorąca i emocjonalna, ale właściwie nic z niej nie wynikało. Nie wiedziano nawet, w czyich kompetencjach leży podjęcie decyzji o zastosowaniu radykalniejszych środków. Nikt nie palił się do tego, by wziąć za nią odpowiedzialność.

Choć uruchomiono wszystkie siły policyjne na stanie, mogły one działać wyłącznie doraźnie, w zależności od aktualnego położenia błyskawicznie przemieszczających się celów. W asyście straży miejskiej pomagały przy ewakuacji ludzi, lecz funkcjonariusze musieli pilnować też, by niektórzy nie wykorzystywali aktualnego chaosu i na przykład nie plądrowali sklepów. Wszystkie karetki i wozy strażackie były na chodzie.

– Trzeba poprosić o pomoc wojsko - powiedziała Urbaniak-Ferenc, drapiąc drżącą dłonią policzek. Była cała blada i spocona.

– Ale co chce pani zrobić? - zapytał Brzeziński. - Zaminować całą Warszawę? Zbombardować ich? W czasie pokoju? Kiedy patrzy na nas cały świat? I to bez gwarancji, że zostaną choćby draśnięci? Wie pani, jaki międzynarodowy burdel z tego wyniknie? A może miasto chce potem ponieść koszty odszkodowań dla osób, które przez to utracą mienie? Stać nas?

– Nie możemy siedzieć bezczynnie i czekać na cud, że tych dwóch pozabija się nawzajem! - zawołała histerycznie.

– Pani prezydent, z całym szacunkiem, trudno jest planować cokolwiek, gdy nawet nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jaką trasą będą się przemieszczać. Próbuje stawiać blokady, ale mogą spokojnie je ominąć, wspinając się po budynkach. Lata za nimi nasz helikopter. Poruszają się za szybko, możemy tylko ich gonić i...

– Jak zwykle! - zirytowała się. - Polska policja w pigułce. Wystarczy byle burda i jesteście bezradni!

– To nie jest b y l e b u r d a , pani prezydent - odpowiedział sucho Brzeziński. - To nie interwencja podczas ustawki kiboli ani zabezpieczenie parady równości, takich przypadków się nie ćwiczy, nie przerabia teoretycznie w Szczytnie. Nawet nie wiemy do końca, z czym mamy do czynienia. Aby mieć pewność, że uda nam się pozbyć problemu tak, żeby nie ucierpiał żaden cywil, musielibyśmy ewakuować całą Warszawę.

Urbaniak-Ferenc już otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, kiedy w wideokonferencji pojawiło się kilka dodatkowych prostokątów, na których zobaczyła nowych uczestników zebrania. Nie rozpoznała wszystkich, ale fakt, że znajdowały się na nich między innymi twarze premiera, prezydenta Polski i ministra MSWiA, sprawił, że wytrzeszczyła oczy.

– Pan premier? Pan prezydent? Co...?

Fedorowicz miał zaskakująco spokojną minę. Dało się jednak dostrzec na jego policzkach rumieńce, a w oczach błysk, którego nie potrafiła zinterpretować.

– Pani Edyto, czas nagli, więc nie przeciągajmy. Uznaliśmy, że obecny chaos w Warszawie to problem za dużego kalibru na wasze barki. Od tej pory przejmuje go wojsko, a policja i straż miejska mają pomagać wyłącznie w ewakuacji mieszkańców. Pan prezydent już wydał stosowne rozkazy - oświadczył, a wspomniany polityk potwierdził skinieniem głowy.

– Wojsko? - Brzeziński spojrzał na niego podejrzliwie. - Rozumiem, że sytuacja jest niecodzienna, ale czy to nie zbyt radykalne działanie?

– Konieczne. Widzimy, że nie dajecie sobie rady.

– Tak, ale...

– Pan generał ma pomysł, jak rozwiązać ten problem bez ryzyka dla cywili - przerwał mu Fedorowicz, a jeden z mężczyzn, którego Urbaniak-Ferenc nie kojarzyła z widzenia, zrobił minę, jakby bardzo nie podobało mu się to, że musi uczestniczyć w tym spotkaniu. - Panie generale, oddaję panu głos.

\* \* \*

Dorian wykonał gwałtowny zwrot, wyhamowując swoją wielką dłoń na ścianie budynku i zostawiając na niej głębokie rysy po pazurach. W miarę upływu czasu, kiedy przeskakiwał między kolejnymi kamienicami, zauważał na ulicach coraz więcej żołnierzy i wozów bojowych. Próbowano strzelać do niego i do goniącej go bestii, ale poruszali się za szybko. Nie odpuszczała, ba - była coraz bliżej. Zamachnęła się, chcąc zadać kolejny cios, ale uniknął go, robiąc jeszcze jeden ostry skręt.

Myślał gorączkowo. Co prawda osiągnął pierwszy cel - potwór skupił się na nim i od momentu, w którym zaczął go gonić, chyba nikt więcej nie zginął - ale wiedział, że długo tak nie wytrzyma, zwłaszcza że nie było żadnej pewności, czy Volkodlak kiedykolwiek wróci do ludzkiej postaci. Należało kierować ten pościg do przysłowiowego brzegu i skutecznie go spuentować.

Dorian otworzył szerzej oczy.

D o b r z e g u ... Czy dałoby się wykorzystać jakoś w tym planie Wisłę, szczególnie teraz, gdy wezbrała w czasie burzy? Choćby posiłkując się podstawowym prawem fizyki, że woda stawia większy opór niż powietrze i wszystko zanurzone w niej wytraca szybkość.

Zobaczył na ulicy opancerzone wojskowe wozy, a nad sobą słyszał szum helikopterów, które zdawały się nie odstępować ich na krok. Głównkował. Gdyby jakimś cudem udało mu się zrzucić potwora z mostu do rzeki, ten nie miałby szans szybko na niego powrócić, nawet biorąc pod uwagę jego siłę, szybkość i skoczność. Zniósłby go prąd, musiałyby dotrzeć do brzegu lub do najbliższego filaru i nawet jeżeli umiałby pływać szybciej niż najlepsi pływacy na świecie, wciąż poruszałyby się wolniej, niż teraz biegnie i skacze. To dałoby wojsku szansę go unieszkodliwić, zwłaszcza że wówczas znajdowałyby się z dala od cywili.

Dorian wahał się bardzo krótko. Podjął decyzję, kiedy znowu usłyszał za sobą ryk bestii, która cisnęła w jego stronę złamaną latarnią, a ta wbiła się w podłoże dosłownie kilka centymetrów za nim. Dotarł na ulicę, na której stało kilkudziesięciu żołnierzy z karabinami.

– Ognia! - zawołał któryś.

W stronę Dorianą i potwora poleciał deszcz pocisków. Pierwszy jakimś cudem ich uniknął i ukrył się w pobliskiej uliczce. Drugi z kolei przyjął na siebie co najmniej kilkaset kul, lecz nie zrobiły mu żadnej krzywdy. Na moment zapomniał o Dorianie i ruszył na żołnierzy, którzy wciąż do niego strzelali, tylko marnując naboje. Dostakiwał do mężczyzn, przewracał po kilku pojedynczymi ciosami, niektórych chwycił w pasie, a potem rzucał nimi na kilkadziesiąt metrów i zabijał na miejscu. Szczęśliwcy, którzy zdołali się uratować, uciekali.

Na ulicę wjechały opancerzone transportery z działkami, lecz ich operatorzy nawet nie zdołali dobrze w niego wycelować. Dopadał do pojazdów, jednym uderzeniem łapy łamał lufy, po czym chwycił za podwozia i przewracał wozy do góry nogami. Nie minęło nawet dwadzieścia sekund, jak kilka najlepszych rosomaków polskiej armii stało się bezużytecznych. Któryś z ocalałych żołnierzy rzucił w stronę bestii granat, który wybuchł tuż przy niej, ale tylko wytworzył w jezdni dziurę, samemu potworowi nie czyniąc szkody.

– Co to, kurwa, jest? On jest niezniszczalny, do chuja?! - krzyknął żołnierz.

Dorian zorientował się w terenie, po czym wypatrzył wojskowego, który właśnie mówił coś przez krótkofalówkę. Wylądował przed mężczyzną, a ten, przerażony, natychmiast wycelował w niego karabin. Dorian jednak szybko wyrwał mu go z ręki i z łatwością połamał sobie na udzie.

– Słuchaj mnie uważnie, bo nie ma za dużo czasu! - warknął, odrzucając kawałki broni. - Spróbuję skierować go na najbliższy most. - Rozejrzał się i rozpoznał okolicę. - Śląsko-Dąbrowski. Zablokujcie wjazd na niego dla cywilnych samochodów. Postaram się zrzucić tego potwora do Wisły. Wtedy przynajmniej przez jakiś czas będzie poruszać się wolniej i powinno być łatwiej go unieszkodliwić z dala od ludzi. Przekaż to komu trzeba, niech wtedy ostrzelają go czymś mocniejszym. Zrozumiałeś?

Żołnierz wyglądał, jakby ktoś zwrócił się do niego w obcym języku, ale w końcu skinął głową. Dorian uznał, że tyle musi mu wystarczyć. Przy akompaniamencie ryku olbrzyma, który wciąż niszczył wojskowe pojazdy, wybiegł na asfalt.

– Ej, jeszcze nie skończyliśmy! - zawołał.

Bestia spojrzała na niego i wyszczerzyła zęby, marszcząc pysk w wyrazie ekstremalnej wściekłości. Wystrzeliła w jego stronę. Dorian uniknął ciosu, przeskakując nad nią w ostatniej chwili. Odbił się od jej karku, wskoczył na pobliski budynek i wpełzł po ścianie na dach. Postanowił dać wojsku dość czasu i skupiał uwagę przeciwnika na sobie do momentu, gdy nadszedły kolejne pojazdy. Nie znał się na uzbrojeniu polskiej armii, ale na niektórych dało się dostrzec wyrzutnie rakiet. Jechały w kierunku mostu. Począł jeszcze trochę, a kiedy się upewnił, że ustawiły się na brzegach rzeki, ruszył w jej kierunku.

Wyglądało na to, że na razie wszystko przebiega zgodnie z planem. Przy wjeździe na most znajdowała się wojskowa blokada. Dorian przeskoczył nad nią, a potwór wbiegł za nim na jezdnię z takim impetem, że staranował stojące pojazdy. Żołnierze rozbiegli się na boki, ratując się w ostatniej chwili.

Dorian poczuł narastające podniecenie. Najważniejszą część mieli za sobą. Byli tutaj tylko we dwóch. Już myślał nad tym, w jaki sposób przechytryć olbrzyma i wykorzystać jego ciężar tak, żeby w pędzie nie zdołał wyhamować i wylądował w wodzie, kiedy coś go tknęło. Jakby przecucie, przekonanie, że coś tu nie gra. Inne niż to, którego doświadczał, gdy zbliżał się do złych osób. Zwykle, ludzkie.



Wyrzutnie raket... Czy to nie nazbyt ostra broń, nawet zważywszy na obecną sytuację? Bądź co bądź wciąż znajdowali się w mieście. I czy to możliwe, że sprowadzono je tu tak szybko po jego rozmowie z tamtym żołnierzem? A może przygotowano je już wcześniej?

A ten pusty most? Nawet biorąc pod uwagę blokadę, czy udało się go opróżnić z samochodów w takim tempie i to w czasie, gdy ostatnie, czego teraz potrzebowała Warszawa, to zmniejszenie przepustowości dróg i utrudnianie ewakuacji z miasta? Czy ktoś zawczasu o tym pomyślał?

Ryk bestii i grzmoty piorunów zagłuszyły wszystko inne. Dorian odwrócił się i spojrzał na potwora, który skorzystał z tego, że ściga go już tylko po płaskim podłożu, i znacznie zmniejszył dzielący ich dystans. W jego wściekłych oczach jaśniała żądza krwi. Dotarli mniej więcej do połowy długości mostu.

Wtem z oddali, z czterech różnych stron, rozległy się odgłosy wystrzałów, a zaraz po nich pojawiło się co najmniej kilkadziesiąt świateł, które zbliżały się do nich w zatrważającym tempie.

Dorian już się nie zastanawiał. Postąpił instynktownie, jakby wyłączył umysł i dał ciału samemu robić to, co słuszne. Bestia niemal go dopadła i o mały włos nie zacisnęła ogromnej łapy na karku. Dorian zrobił jednak gwałtowny zwrot w prawo i zeskoczył z mostu najdalej, jak mógł, przebijając się przez ścianę wody lejącej się z nieba. W tym samym momencie za nim pojawił się rozbłysk. Potem usłyszał huk tak potężny, że dosłownie rozsadził mu bębny w uszach.

Pochłonęła go oślepiająca jasność i zapadła głucha, jak gdyby wytłumiona cisza. Jedyne, co czuł, to chłód deszczu przed sobą i piekielnie gorącą, zbliżającą się do niego falę uderzeniową za plecami.

Członkowie sztabu kryzysowego oglądali relację na żywo z ostrzału mostu Śląsko-Dąbrowskiego, pozostając na łączach w telekonferencji przez Internet. Po wybuchu przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

– Panie prezydencie - odezwał się generał. Jego twarz już nawet nie była blada, tylko szarozółta. Brzmiał jak robot, w jego głosie nie pozostał choćby szczątek jakiegokolwiek emocji. - Melduję wykonanie rozkazu.

Prezydent go nie słuchał. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w płomienie i zgłiszcza, w jakie zamienił się jeden z najważniejszych szlaków komunikacyjnych w Warszawie. Zszokowany Brzeziński wymamrotał pod nosem „Ludzie, co wyście

zrobili?”, a Urbaniak-Ferenc zakrywała sobie usta dłońmi, drżąc z emocji i mając wytrzeszczone oczy.

Drżał również Fedorowicz. Ale w odróżnieniu od pozostałych wyłącznie ze szczęścia. Nawet biorąc pod uwagę medialny i polityczny bajzel, jaki wyniknie z tej pokazówki. Z nim jednak sobie poradzi. Miał w tym wprawę.

\* \* \*

„Woda. Świeżona? Ból. Nie powinienem jej dotykać! Źle! Nie! To nie tak! Volkodlak. Wybuch. Przeżyłem? Czy nie?”

Myśli kotłowały się w głowie Doriana bez ładu i składu, kiedy na wpół przytomny miotał się w Wiśle i na własnej skórze przekonywał o prawie fizyki, z którego niedawno chciał skorzystać. O nim i o bystrości nurtu największej polskiej rzeki po kilku dniach potężnych ulew na południu kraju. Był w ciężkim szoku i nie wiedział, co się dzieje. Szumiało mu w uszach i prawie nic nie słyszał. Nie potrafił sobie przypomnieć, co się przed chwilą stało. Tylko słowa, ale obrazów już nie. Nie wiedział, czy się topi, czy wciąga do płuc powietrze, czy może zalewa je woda albo ta czarna maź, o której śnił, kiedy dopiero budziły się w nim jego moce. Nie wiedział, w którą stronę powinien się przemieszczać, aby mieć pewność, że wypłynie na powierzchnię. Dał się porwać prądowi i płynął nie wiadomo dokąd.

„Woda. Volkodlak. Wybuch”.

Było mu zimno. Rozpaczliwie machał kończynami, zdając się na instynkt. Wreszcie poczuł na twarzy wyraźną różnicę, choć nadal zalewała ją woda z deszczu. Wynurzył się i nabrał głęboko powietrza. Rozejrzał się z trudem, a jego wzrok przyciągnęło kontrastujące z ciemnością pomarańczowe światło nad rzeką w pewnej odległości od niego. Nie rozumiał, czym właściwie jest, ale nie miało to znaczenia. Umysł Doriana działał jeszcze zbyt wolno, by produkować jakiegokolwiek inne słowa niż:

„Volkodlak”.

„Potwór”.

Ocknął się, a jego organizm zyskał nowy bodziec do działania. Jeżeli bestia przeżyła i też wpadła do rzeki, oznaczało to, że mogła znajdować się gdzieś

w pobliżu. Gdzieś blisko, czając się jak drapieżnik, którym przecież była, i chcąc zaskoczyć ofiarę z najmniej spodziewanej strony.

Dorian gwałtownie spojrział pod siebie, choć w mroku nocy nie miało to żadnego sensu, i tylko opił się więcej wody. Pod jej taflą mogło kryć się cokolwiek. Wielkie, owłosione, agresywne stwory również. Nie wiedział, czyjego zdolność pozwala wyczuć takie istoty przez wodę. Już w trakcie pogoni nie był w stanie orientować się z wyprzedzeniem w zamiarach przeciwnika, w jego umyśle pojawiały się informacje wyłącznie o ofiarach bestii. Najwyraźniej szósty zmysł Doriana działał inaczej w starciu ze stworzeniami, które nie mają ludzkiej świadomości i nie pojmują dobra i zła tak jak człowiek. Nie sprawdzał tego, dotąd nie miał takiej możliwości.

Choć szok wyssał z niego niemal wszystkie siły, zaczął płynąć do brzegu najszybciej, jak mógł. Starał się skupiać wyłącznie na nim, choć wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach, podsyłając mu obrazki, w których coś płynęło za nim w głębinach, o czym świadczyły jedynie wydobywające się spod wody i zbliżające do Doriana bąbelki, po czym wynurzało się tuż za jego plecami. Albo chwyciło go za stopę i wciągało w toń, na samo dno.

– Szybciej - jęknął rozpaczliwie i jakimś cudem udało mu się zaprząć mięśnie do dodatkowej pracy. Wreszcie dotarł do brzegu i z potężną ulgą wypełził z Wisły. Dopiero wtedy zaczęło do niego docierać zmęczenie, o jakie przyprawił go niedawny pościg. Kaszlnął i wykrztusił trochę wody, a drżące ręce uginały się pod nim same. Z trudnością przewrócił się na pośladki i usiadł na trawie, podpierając się rękami z tyłu, oddychając głęboko i wystawiając twarz na deszcz.

Po jego prawej stronie dopalał się centralny fragment mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Był doszczętnie zniszczony. Dorian wpatrywał się nieprzytomnie w dogasające płomienie. Szok i świadomość, jak blisko śmierci się znalazł, sprawiały, że nie był w stanie się skupić.

Przesiedział na brzegu jakiś czas, wpatrując się w most, przy którym pracowała straż pożarna. Ruszył się dopiero, kiedy szóstym zmysłem wyczuł zbliżających się ludzi, na szczęście nie policjantów czy żołnierzy, lecz zwykłych cywili, którzy pomimo komunikatów w mediach opuścili schronienia. Kilka osób stało w bezpiecznej odległości, pokazywało go sobie, robiło zdjęcia i szeptało coś do siebie z ekscytacją. Uznał to za znak, że najwyższy czas się ulotnić. Wykrzeszał

z siebie trochę sił, wstał i wbiegł na bulwary niedaleko mostu Gdańskiego, by zaraz przebyć Wisłostradę i zniknąć w parku wokół Fortu Legionów.

W tym czasie ludzie, którzy zobaczyli go nad rzeką, korzystali z ostatniej okazji, by robić mu kolejne zdjęcia. Następnego dnia miały zostać upublicznione w mediach i ubogacić jedne z najbardziej klikalnych treści w sieci. Treści, które jednocześnie miały doprowadzić najważniejszych polityków w państwie do wściekłości nie mniejszej niż ta malująca się na pysku Volkodlaka i rozpocząć debatę nad zasadnością stosowania tak ostrych i kosztownych w skutkach środków w walce z osobnikiem, który ostatniej nocy nie zrobił nikomu krzywdy, za to uratował wielu ludzi, skupiając na sobie uwagę potwora i zaciągając go w pułapkę.

„Przeżył!”

# ROZDZIAŁ XXXIX

Dawid otworzył oczy. Leżał na piasku, na brzuchu, z bokiem twarzy przyciśniętym do podłoża, a drobinki żwiru dostawały mu się do ust. Mrugnął kilka razy i wypluł je, po czym z trudnością dźwignął się na czworaki. Ciepłe słońce ogrzewało jego nagie plecy. Zdał sobie sprawę, że nie tylko one są nagie - nie miał na sobie nawet majtek. Nic z tego nie rozumiał i próbował sobie przypomnieć, co mogło odpowiadać za taki stan rzeczy, ale ostatnie, co pamiętał, to wielkie emocje na gali „Krwawy Księżyc”. Tradycyjnie wprowadzono go do oktagonu w klatce, której kraty wyłamał, aby jeszcze bardziej nakręcić publiczność. Panowała wrzawa, kibicowali mu chyba wszyscy na trybunach. Po drugiej stronie areny zmagania stał Kiriczenko ze swoim sztabem, świdrujący go spojrzeniem i gotujący się do walki.

A potem, zgodnie z planem, otworzono dach Stadionu Narodowego. Dawid spojrzał na księżyc i...

Właśnie to. Ostatni obraz. Krwistoczerwona kula nad Warszawą. Potem była już tylko ciemność. Nicość. Czarna dziura w pamięci. Próbował sobie przypomnieć coś jeszcze, ale nie był w stanie, za to musiał walczyć z potężną sennością i zmęczeniem.

Rozejrzał się nieprzytomnie i dopiero wtedy uświadomił sobie, że słyszy szum wody. Leżał na brzegu rzeki, sądząc po jej szerokości - najprawdopodobniej Wisły. Nie kojarzył tej okolicy nawet z widzenia, a w jego głowie mnożyły się pytania bez odpowiedzi. Gdzie jest? Jak tu się znalazł? Co stało się po tym, gdy stracił przytomność? Dlaczego w ogóle ją stracił, skoro wczoraj nad Warszawą nie było superksiężycy, tylko, pomijając barwę, zwykła pełnia? I dlaczego, do ciężkiej cholery, jest nagi?

Jęknął i spróbował dźwignąć się na nogi, walcząc z otępieniem. Kręciło mu się w głowie i ledwo podpierał się na drżących rękach. Kusilo go, by ponownie położyć się na piasku w ciepłym słońcu i zasnąć, grzejąc się w jego promieniach, ale z całej siły stłumił w sobie tę chęć. Potrzebował informacji i odpowiedzi. Miał złe przeczucia. Poprzednim razem, kiedy znalazł się w podobnej sytuacji, okazało się, że niechcący uderzył Beatę i przez to między innymi ją stracił. Czy skrzywdził kogoś jeszcze?

Chęć jak najszybszego dowiedzenia się, co się stało, dała Dawidowi kopa energii. Znowu spróbował stanąć i wreszcie mu się udało. Z trudem zachowując równowagę i zataczając się jak odurzony, odszedł od rzeki i natrafił na dróżkę biegnącą przez mały zagajnik. Po przejściu mniej więcej dwustu metrów zobaczył pierwsze zabudowania. Jak głosił napis na nich - gospodarstwo agroturystyczne Pod Zachrypniętym Kogutem. Sądząc po liczbie samochodów na podwórku, gospodarze nie narzekali na brak gości. W jednym z aut nad radiem działał zegar i Dawid uzyskał odpowiedź na pierwsze ważne pytanie: była siódma dwadzieścia dwa.

Zastanowił się. Potrzebował ubrania. Nie wiedział, czy ludzie na prowincji śledzą sporty walki, ale nie mógł ryzykować pokazywania się nago i wzbudzania sensacji. Wychodziło na to, że czy chciał tego, czy nie, musiał te ubrania ukraść.

Zawahał się, mając świadomość, że nie powinien tracić czasu na takie dywagacje, i w końcu podjął decyzję. Ostrożnie obszedł gospodarstwo i ledwo się powstrzymał, by głośno nie odetchnąć z ulgą. Za jednym z budynków znajdowała się bowiem suszarka do ubrań obwieszona bielizną, koszulkami i spodniami. Przejrzał wiszące na niej rzeczy i zbytnio nie wybrzydząc, wybrał takie, które na oko pasowały na niego najlepiej. Wyglądało na to, że gospodarz był otyły, koszulka w rozmiarze XXL leżała na Dawidzie jak ulał. Tylko spodnie były przykrótkie. Ukrywszy swoją nagość, poczuł się trochę pewniej.

Nagle poczuł czyjś zapach. Nie zły - neutralny, kobiecy. Wystrzelił w kierunku pobliskich krzaków i ukrył się za nimi. Po chwili zza domu wyszła starsza kobieta w fartuchu, niosąc miskę ze świeżym praniem. Zauważyła, że na suszarce brakuje niektórych rzeczy, i spojrzała na nią ze zdziwieniem, zwalniając na ostatnich metrach. Rozejrzała się po okolicy, przemykając okiem również po krzaku, za którym ukrywał się Dawid, ale na szczęście go nie zauważyła. Przez moment jakby zastanawiała się, co robić, i w końcu zebrała suche rzeczy, lecz nie zawiesiła

mokrych, tylko wcisnęła wszystko do miski i o wiele szybszym krokiem wróciła do domu.

Dawid myślał intensywnie. Był przeraźliwie głodny, ale to gospodarstwo chyba już należało uznać za spalone w kwestii ewentualnego pozyskania żywności. Chociaż... Wytężył węch i wyczuł zapach mięsa. Jak na zawołanie pocięła mu ślina. Z największą ostrożnością podążył za apetyczną wonią i odkrył miejsce przeznaczone na ognisko. Na drewnianym stole obok wciąż leżały pozostałości po wieczornej libacji; goście pewnie uznali, że sprzątną po niej dopiero rano. Wśród wielu pustych butelek po piwie znalazł kilka kiełbasek i szaszłyków, połówkę chleba oraz jeszcze nieotwartą butelkę coli. Nie zastanawiając się długo, wrzucił jedzenie do plastikowego woreczka po pieczywie, porwał ze stołu butelkę i czym prędzej opuścił gospodarstwo. Zanim na dobre odwrócił od niego wzrok, wypatrzył jeszcze na metalowej tabliczce adres: Glewo 28.

Opuściwszy wioskę, znalazł kolejny zagajnik, a w nim miejsce, w którym mógł w spokoju usiąść i się posilić. Choć niewiele brakowało, by pochłonął wszystko naraz, przytomnie podzielił żywność na kilka porcji i na razie zjadł tylko jedną. Kofeina w coli również dobrze mu zrobiła i powoli odzyskiwał trzeźwość umysłu, niemniej do ideału jeszcze sporo brakowało.

Myślał. Chciał dostać się do swojego domu pod Warszawą, ale nie wiedział nawet, w jakiej części Polski się znajduje. Nazwa „Glewo” nic mu nie mówiła. Czuł się dziwnie, nie mogąc sięgnąć po smartfona i sprawdzić tej informacji. Przypomniawszy sobie, że obudził się nad rzeką, która wyrzuciła go na brzeg, a biorąc pod uwagę, że Wisła płynie mniej więcej z południa na północ Polski, Dawid znajdował się teraz bliżej Bałtyku aniżeli Tatr. Czyli aby dojść do Warszawy, należało podążać w górę rzeki. Jak długo? I ile kilometrów?

Westchnął, spakował resztę jedzenia do plastikowego woreczka i podjął zmudną wędrówkę.

\* \* \*

Po jakichś ośmiu godzinach marszu wreszcie natrafił na większe miasto. Dotarł do Płocka. Świadomość, jak daleko od domu się znajduje, przyprawiła Dawida z jednej strony o jeszcze większe zdziwienie, z drugiej o pewne zrezygnowanie, ale

też pokrzepiła go myśl, że może uda mu się skontaktować z Jackiem lub Lindą, aby ktoś mógł po niego przyjechać.

Zastanowił się. Wyglądało na to, że musi skorzystać z dobrodziejstwa bycia znanym sportowcem, zaczepić kogoś, najlepiej mężczyznę, który z większym prawdopodobieństwem go rozpozna, i poprosić o możliwość skorzystania z telefonu.

Zmotywowany tą myślą wkroczył do knajpy niedaleko brzegu, rozglądając się za kimś, kogo mógłby zaczepić. Znajdowało się w niej kilku mężczyzn, w tym barman. Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy skupiali się bowiem na telewizorze wiszącym na ścianie. Nadawano właśnie wiadomości.

*– Warszawa nie doświadczyła takiego chaosu chyba od czasów drugiej wojny światowej. Policja była bezradna, mieszkańcy przerażeni, a wojsko mogło skutecznie zadziałać dopiero wtedy, gdy gonitwa Volkodlaka za przeciwnikiem przeniosła się na most Śląsko-Dąbrowski. Precyzyjniej: dawny most Śląsko-Dąbrowski. Jego odbudowa będzie kosztować co najmniej kilkadziesiąt milionów złotych. Natomiast wszystkie straty, jakie miasto poniosło w związku z wczorajszymi wydarzeniami, biorąc pod uwagę zniszczone mienie, a także koszty zaangażowania w operację wojska, policji, służb ratunkowych i straży pożarnej, oscylują w okolicach dwustu milionów. Trwa ustalanie liczby ofiar śmiertelnych, ale szacuje się, że tylko podczas panicznej ucieczki tłumu ze Stadionu Narodowego zginęło ponad dwieście osób, a kilka tysięcy zostało rannych.*

Dawid zeszywniał, kiedy usłyszał swoje nazwisko, i odruchowo ukrył się za filarem niedaleko wejścia do pubu. Wyrzwał zza niego i wpatrzył się w ekran telewizora. Emitowano na nim migawki, w których potężna, owłosiona istota ścigała przez rozświetlone miasto o wiele mniejszą od niej postać. Obie mogły zaimponować szybkością, wygimnastykowaniem, dalekimi skokami, nagłymi zwrotami i akrobatycznymi ewolucjami, podczas których olbrzym próbował schwytać potencjalną zdobycz, lecz ta skutecznie mu umykała. Rzucał w nią wszystkim, co wpadło mu w łapy, także samochodami. Niszczył budynki, po których wspinał się z dziecinną łatwością, udawało mu się nawet taranować całe ściany. W wielu ujęciach widać było ludzi, którzy uciekali od niego w panice.

*– Eksperci wciąż nie potrafią jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, w co właściwie przemienił się Dawid Volkodlak i jak to możliwe.*

Następnie wyemitowano fragment transmisji telewizyjnej z gali „Krwawy Księżyc”, w którym pozostawiono nawet głosy komentatorów.



– *Za moment dach zostanie otwarty - powiedział jeden z nich -i wszyscy będziemy mogli zobaczyć tę niesamowitą, wyjątkową pełnię.*

Dawid wpatrywał się w ekran, otwierając oczy coraz szerzej. Najpierw pokazano rozsuwający się dach Stadionu Narodowego i jaśniejący czerwonym, wręcz fosforyzującym światłem księżyc na niebie, a potem jego samego w oktagonie. Zobaczył i usłyszał, jak zaczął wrzeszczeć, co zaraz zamieniło się w nieludzki ryk. Jak wizualnie się powiększył, napinając mięśnie, jak wyszedł na środek maty i ukląkł, trzymając się za głowę. A potem...

– *Proszę państwa, nie wiemy, co się dzieje - powiedział komentator. W jego głosie wybrzmiewały zupełnie inne emocje niż przed chwilą. - To nie było zaplanowane. Wygląda, jakby on...*

Dawid stał na miękkich nogach i gdyby w porę nie oparł się o filar, niechybnie by upadł. Spojrzał na drżące dłonie, a potem na resztę swojego ciała. Pozornie zwykłą, ludzką, trochę większą niż u statystycznego Polaka i wyrzeźbioną jak u najlepszych kulturystów, ale poza tym niewyróżniającą się niczym szczególnym.

– *Ale historia! - Wzdrygnął się, kiedy usłyszał w pubie głos poza telewizorem. Barman najwyraźniej zwracał się do klientów. - Jak w amerykańskim filmie! Kto by pomyślał, że w Polsce kiedykolwiek doczekamy się takich atrakcji!*

– *Kiedyś mówiono, że ten dziwoląg z dwiema twarzami to superbohater. No to musiał wreszcie pojawić się superzłoczyńca. Jedno bez drugiego nie działa - odpowiedział mu ktoś. - Szkoda tylko, że to musiał być Volkodlak. Chyba od czasów Gołoty żadnemu naszemu fighterowi tak nie kibicowałem. - Westchnął. - Szkoda gadać...*

– *No, ale chyba dobrze się skończyło. Superbohater wygrał -dodał barman.*

– *Dobrze? Powiedz to pan rajcom z Warszawy, którzy za pieniądze podatników będą musieli sprzątnąć ten bajzel. No i kto powiedział, że to koniec? - Mężczyzna podgłośnił telewizor, a po pubie rozniósł się głos lektora:*

– *Wciąż nie znaleziono w Wiśle szczątków Volkodlaka. Nie wiadomo, czy przeżył ostrzał mostu. Nie wiemy również, czy jest w stanie wrócić do ludzkiej postaci. Nie możemy jednak tego wykluczyć. Każdą osobę, która go zobaczy, prosimy o kontakt z policją. Apelujemy także o zachowanie ostrożności. Przypominamy, że poszukiwany brutalnie zamordował między innymi rosyjskiego mistrza mieszanych sztuk walki Michaiła Kiriczenkę i kilkuset kibiców na gali. Karniści wciąż nie są zgodni, czy można usprawiedliwić to niepoczytalnością,*

*trudno interpretować ten przypadek przez pryzmat polskiego prawa. Sprawa jest o tyle poważna, że zainteresował się nią Kreml, który już wystosował do polskich władz żądania wyjaśnień tej sytuacji. Kiriczenko, jako niepokonany wojownik i niezwykle popularny sportowiec, stanowił ważny element propagandy rosyjskiego rządu.*

Dawid stanął tyłem do filaru, za którym się ukrywał, i przywarł do niego plecami, bojąc się nawet ruszyć, o oddychaniu nie wspominając. Serce biło mu jak młotem.

Znowu, po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat, zamordował ludzi, choć nie miał takiego zamiaru. Został uznany za wroga publicznego. Za superzłoczyńcę, jak określił go facet w barze. Szukano go. Uważano go za potwora. Przeraził tysiące, jeśli nie miliony ludzi. Wszyscy byli teraz przeciwko niemu - polskie i rosyjskie władze, kibice, opinia publiczna, media i służby. Musiał uciekać. Ukryć się i w spokoju pomyśleć, co dalej. Plan wydawał się prosty jedynie w teorii. Na ten moment nie wyobrażał sobie, by potrafił myśleć o czymkolwiek innym niż o strachu przed tym, czym się stał. Albo czym był od tamtego zdarzenia z wilkami w lesie i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

„Potwór”.

„Superzłoczyńca”.

Wreszcie odzyskał zdolność ruchu i oderwał się od filaru. Koszulka przylepiła się do niego od potu, jakby nawet ten betonowy słup był przeciwko niemu, jakby chciał utrudnić mu ucieczkę i go tutaj zatrzymać. Tymczasem na ekranie telewizora pojawiła się migawka, w której drobna postać zeskakiwała z mostu Śląsko-Dąbrowskiego z potężnym pomarańczowym rozbłyskiem za sobą.

\* \* \*

Dawid próbował się skupić, ale nie był w stanie. Rozglądał się nerwowo, usiłując wymyślić, co powinien zrobić. Jego owładnięty przerażeniem umysł działał jednak o wiele mniej wydajnie niż zazwyczaj, toteż polegał jedynie na pierwotnym instynkcie, który nakazywał mu uciekać i się ukryć. Nie chciał iść do więzienia. Świadomie nigdy by nikogo nie zabił. Za wszystkie te tragedie, zarówno dawniej, jak i teraz, odpowiadały jego zdolności, których nie chciał mieć i o które nigdy nie zabiegał. Tymczasem przez nie stracił wszystko - reputację, ukochaną kobietę,

a docelowo może nawet wolność. To nigdy nie był dar, jak od dawna wmawiali mu Jacek i Linda. To zawsze było przekleństwo. Wyłącznie ono.

Wrócił nad Wisłę, licząc, że w okolicach brzegu znajdzie jakąś sensowną kryjówkę i będzie mógł w spokoju zastanowić się nad dalszymi krokami. Jednocześnie narastały w nim bolesne frustracja i złość. Jego siostry miały rację. Cała nienawiść, jaką czuły do brata, była słuszna. Jego zdolności były niebezpieczne, niezbadane, a co za tym idzie - niemożliwe do pełnej kontroli. Jacek mógł powtarzać w nieskończoność, że za ich pomocą Dawid robił wiele dobrego, że wystarczyło mieć na względzie kalendarz faz księżyca, ale ostatnia noc pokazała, z czym tak naprawdę igrali. Z niszczycielską siłą, której nie należy próbować wykorzystywać dla pieniędzy, tylko zdusić w zarodku i nie bawić się nią jak dziecko zapalkami. Nie eksperymentować, nie wnikać, nie usiłować zrozumieć, chyba że podczas szukania sposobów, jak się jej pozbyć. W każdym innym przypadku należało jej się wystrzegać. Wczoraj okazało się, że nie chodziło wyłącznie o superksiężyc. Podczas krwawego, rzadkiego, o szczególnej barwie działało się coś innego, nawet gorszego. Jakie jeszcze niespodzianki skrywała jego moc? Jakie inne okropieństwa, o których nie wiedział?

Znalazł prowizoryczne zagłębienie w skarpie, w którym mógł się ukryć. Usiadł i próbował myśleć, drżąc na całym ciele.

Policja na pewno obstawiła jego dom i tylko czekała, aż do niego wróci. Na pewno przesłuchała Lindę i Jacka, który jako menedżer i właściciel GFC miał teraz spore problemy. Kto wie, może nawet go zatrzymano jako współwinnego tej tragedii, pod zarzutem niezapewnienia bezpieczeństwa podczas gali. Jednocześnie cała ironia losu polegała na tym, że tylko z tymi dwiema osobami Dawid mógł się skontaktować. Tylko ich numery telefonów pamiętał. Przekleństwo epoki smartfonów.

Pomyślał o Beacie, a złość połączona z rozpaczliwą bezsilnością tylko wzrosła. Ona na pewno by mu pomogła. Nawet jeżeli nie chciała go widzieć i też się go bała. Gdyby mógł z nią teraz porozmawiać, doradziłaby mu coś sensownego. Wskazałaby właściwą drogę, tak jak robiła od początku, od kiedy się poznali, tak jak wtedy, gdy stanowczo odprawiła go spod swoich drzwi, a on nie chciał jej słuchać.

Oczy Dawida zaszkliły się łzami.

Beata mu nie pomoże. Nie było na to szans. Nie chciała z nim rozmawiać, bo po przemianie zrobił jej krzywdę. Znowu okazało się, że jego rzekomy dar w dużej mierze potrafi jedynie niszczyć, a nie budować. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć, że jest inaczej? Dlaczego już dawno nie próbował zrobić czegoś, żeby go się pozbyć?

- Kurwa! - warknął i kilka razy uderzył pięścią w ziemię. - Kurwa, kurwa, kurwa!

Nienawidził siebie najbardziej na świecie. Bo to wszystko była jego wina. Tylko jego! Przecież wiedział, czym się stał, od momentu, gdy w noc narodzin Pauliny powiedziała mu o tym Agnieszka. Potem otrzymał tego potwierdzenie, kiedy zabił swoich rodziców i kilku oprychów. Po czymś takim rozsądnie myślący człowiek robi wszystko, żeby nie dopuścić do powtórki takiego zdarzenia. Owszem, wtedy był dzieckiem, które jeszcze niewiele rozumiało, ale teraz nie mógł się usprawiedliwić. Jacek i reszta zrobili mu w pewnym sensie pranie mózgu, programując go od małego na określone myślenie, ale powinien był to rozpoznać i w porę zainterweniować, na przykład po publikacji artykułu, który wywołał w nim określone emocje. Nieprzypadkowo właśnie takie. Na nowo rozdrapał rany. Wywłókł nie tylko mroczne tajemnice i przeszłość Dawida, ale również to, o czym podświadomie myślał, co w głębi czuł. Od zawsze coś kazało mu sądzić, że to, w czym uczestniczy, nie jest normalne i należy to jak najszybciej przerwać. Wierzył w kłamstwo, podczas gdy w rzeczywistości od zawsze wiedział, jaka jest prawda. Powinien był już wtedy zrezygnować z kariery sportowca, bez względu na to, ile osób mógłby taką decyzją zawieść. Zrezygnować, zniknąć z przestrzeni publicznej, rozdać większość zarobionych pieniędzy na cele charytatywne, a za to, co by mu zostało, wieść żywot szczęśliwego rentiera. Wyprowadzić się spod Warszawy, kupić dom w jakiejś wiosce na Suwalszczyźnie, koniecznie ze specjalnym pokojem bez okien, i spędzać tam każdą noc, nawet pochmurną albo z księżycem w nowiu.

Za późno. Był znienawidzony przez społeczeństwo, wyjęty spod prawa, bez domu, bez samochodu i bez pieniędzy. Co mu pozostało? Ucieczka z kraju na piechotę? Czy kara, na którą w gruncie rzeczy zasłużył za własną nieodpowiedzialność i brak wyobraźni?

Podjął decyzję. Zaczepi pierwszego człowieka, którego spotka, i poprosi o skorzystanie z komórki. Jeżeli zostanie rozpoznany - trudno. Jeżeli ten ktoś ucieknie, a potem wezwie policję - trudno, ma do tego święte prawo, wręcz

obowiązek. A jeżeli mimo wszystko pożyczycy mu telefon, Dawid zadzwoni do Lindy. Jeśli jej nie zatrzymano, powinna mu pomóc, przynajmniej miał taką nadzieję. Jeżeli pomoże - super. Jeżeli nie będzie w stanie - trudno. Jeżeli natomiast także uzna, że powinna donieść na niego na policję - też trudno. Było mu naprawdę wszystko jedno. Szczerze mówiąc, w tym momencie Dawid nie widział nawet powodu, by żyć.

Rozprostował nogi z taką trudnością, jakby również grawitacja chciała go ukarać za popełnione grzechy i nakazywała mu klęczeć albo przynajmniej pochylać głowę. Wyrzwał zza fragmentu skarpy, za którym się ukrywał. Nad brzegiem Wisły siedział samotnie jakiś wędkarz, który przyszedł tam, kiedy Dawid w ukryciu bił się z myślami. Starszy mężczyzna.

Dawid zrobił głęboki wdech i ruszył ku niemu różnym krokiem, ale nie za szybkim, aby go nie przestraszyć. Starzec siedział nieruchomo na stołeczku i wpatrywał się w rzekę, trzymając długą wędkę. Nie spojrzał na Dawida, nawet gdy ten zbliżył się do niego na odległość kilku metrów i wyczuł w nim raczej neutralny zapach, ze wskazaniem na dobry.

– Dzień dobry, przepraszam bardzo, mogę zająć moment?

Mężczyzna spojrzał na niego, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Jedynie w oczach dało się dostrzec pytający wyraz.

– Czy mógłbym pożyczyć od pana telefon? Mój się zepsuł, a muszę pilnie zadzwonić.

Starzec wpatrywał się w Dawida w milczeniu przez kilka sekund i w końcu powoli sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej starą, sfatygowaną nokię 3310, która nie miała nawet kolorowego wyświetlacza, o dostępie do Internetu nie wspominając. Odblokował ją i podał Dawidowi. Ten nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Jeżeli naprawdę natrafił na samotnika, który jakimś cudem jeszcze nie usłyszał o wczorajszej rozróbie w Warszawie, ba - nie wiedział, kogo ma przed sobą, to pozostało chyba tylko paść na kolana i dziękować niebiosom. Na początek podziękował jednak komuś innemu.

– Bardzo dziękuję. Zwrócę za moment.

Starzec nie odpowiedział, tylko na powrót skupił się na spławiku.

Dawid odszedł od niego i wykonał telefon do Lindy. Ku jego zdziwieniu odebrała niemal natychmiast.

– Halo?

Zawahał się. Czy na pewno tego chciał? Czy na pewno mógł jej ufać? Skąd mógł wiedzieć, czy dziewczyna nie siedzi właśnie otoczona przez policjantów, którzy podsłuchują ich rozmowę i tylko czekają, by po uzyskaniu kluczowych informacji wkroczyć do akcji?

Westchnął. Było już za późno na takie przemyślenia.

– Linda, z tej strony Dawid.

Przez jakiś czas nie odpowiadała, a kiedy wreszcie to nastąpiło, ściszyła głos do szeptu.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz! Gdzie jesteś?

– Poza Warszawą. Na odludziu. Nie mam dostępu do informacji. Co się dzieje?

Znowu nie odpowiadała mu kilka sekund, ale usłyszał cichy stukot butów na wysokim obcasie. Niemal widział oczami wyobraźni, jak Linda się rozgląda, upewniając się, czy nikt jej nie słyszy, a potem na wszelki wypadek przechodzi w miejsce zapewniające większą dyskrecję rozmowy.

– Wiesz, co wydarzyło się wczoraj w Warszawie?

Dawid spuścił głowę, jakby co najmniej go zwymyślano.

– Wiem. To akurat do mnie dotarło - odpowiedział ponuro.

– Zatrzymali Jacka. Jeszcze nie wiem, jakie chcą mu postawić zarzuty, ale na pewno coś znajdują; niedostateczne zabezpieczenie imprezy masowej albo coś w tym stylu. Straty, jakie z tego wynikły, idą w setki milionów. Sponsorzy i dziennikarze od rana nie dają nam żyć. Ja sama uciekłam z miasta, ale wiem, że cię szukają. Gdzie konkretnie jesteś?

Dawid zawahał się po raz kolejny. Przypomniał sobie nieprzyjemny zapach Lindy. Jego milczenie przedłużyło się na tyle, że dziewczyna dodała:

– Musisz mi powiedzieć. Chcę ci pomóc. Nie martw się, nie powiem niczego policji. Ale niedługo będę musiała pozbyć się telefonu, żeby mnie nie namierzyli.

– Jestem w Płocku - wydusił z siebie, nim wątpliwości zdołałyby go od tego odwieść. - Nad Wisłą. Prawy brzeg. Obszar od północno-zachodniej części miasta. Trudno mi powiedzieć coś więcej.

– Masz jakieś ubranie? Skąd dzwonicz? Co to za numer?

– Mam, ale bez butów. Pożyczyłem telefon.

– Pożyczyłeś?! Od kogo?! Dawid, to bardzo zły...

– Spokojnie, facet chyba w ogóle mnie nie rozpoznał. - Dyskretnie spojrział na starca, który w dalszym ciągu wpatrywał się w spławik. - Jakiś wędkarz. Wiekowy. Ma starą nokię bez dostępu do Internetu.

– Dobra. Nieważne. Jest tam w okolicy jakieś miejsce, w którym mógłbyś się bezpiecznie przyczytać?

Dawid zerknął w stronę kryjówki, z której tu przyszedł. Z tej perspektywy wyglądała nawet lepiej, niż początkowo sądził.

– Jest.

– W takim razie siedź tam i się nie pokazuj. Zaraz wyślę po ciebie człowieka. Rozpoznasz go po za dużej bluzie z kapturem. Szarej, z żółtym napisem. Ta bluza będzie dla ciebie, abyś nie zwracał na siebie uwagi. Powiem mu, żeby szedł prawym brzegiem Wisły. Wypatruj go i jak już się pojawi, ujawnij się.

– Dobra. On niech z kolei wypatruje tego wędkarza. Coś mi mówi, że jeszcze trochę tu posiedzi. - Dawid znowu popatrzył na starca. - Moja kryjówka będzie niedaleko niego.

– Jasne. Dobra, działałam. Uważaj na siebie.

– Będę. I Linda...

– Tak?

– Dziękuję.

– Podziękujesz, jak już załatwimy tę sprawę. Kończymy, nie ma co tracić czasu - powiedziała i się rozłączyła.

Dawid poczuł się trochę raźniej. Biorąc pod uwagę jego nieciekawą sytuację, to, co udało mu się osiągnąć, było niemałym sukcesem. Nie zapomniał usunąć z historii połączeń numeru Lindy, po czym zwrócił telefon starcowi.

– Bardzo, bardzo panu dziękuję.

Mężczyzna bez słowa wsadził urządzenie do kieszeni, a Dawid ruszył z powrotem pod skarpe. Usiadł, westchnął i spuściwszy wzrok, gapił się beznamiętnie w piasek.

Po mniej więcej godzinie uderzył go lekki podmuch wiatru i uniósł głowę. Wraz z nim poczuł bowiem nowy zapach. Zapowiadający niebezpieczeństwo.

Wyrzwał ze swojej kryjówki, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Starzec, od którego pożyczył telefon, dalej siedział nieruchomo na brzegu i wpatrywał się w spławik. Dawid mimo to zdał sobie sprawę, że włosy na głowie stają mu dęba, a serce przyspiesza. Rozglądał się gorączkowo, lecz wciąż nie widział zagrożenia. Natężenie złego zapachu narastało, ale przez ruch powietrza nad rzeką nie był w stanie dokładnie zlokalizować jego źródła.

Posłuchał swojego instynktu, jak wilk, który z natury stara się unikać spotkania z człowiekiem. Rzucił się do ucieczki. Nie oglądał się za siebie, lecz zdawało mu się, że zły zapach zbliża się do niego, jakby go gonił. Przyspieszył.

Kiedy wspiał się na skarpe, gwałtownie się zatrzymał. I zrozumiał. Zrozumiał, dlaczego zły zapach się do niego z b l i ż a ł .

Czekało tam na niego kilkunastu mężczyzn z pistoletami maszynowymi wycelowanymi w jego stronę. Dobrze zbudowanych, niektórych z bliznami, przekrzywionymi nosami i brakami w uzębieniu. Uśmiechali się ze złośliwą satysfakcją, ale dało się wyczuć z ich strony pewien respekt. Dawid nie kojarzył z widzenia żadnego z nich. Z zapachu też nie.

– Ani kroku dalej - powiedział oprych stojący na czele grupy. - Dobrze radzę. Nie warto.

Dawid cofnął się odruchowo, a nos podpowiedział mu, że ktoś zbliża się do niego również od tyłu. Odwrócił się i zobaczył kilku innych mężczyzn. Biegli w jego stronę, także z pistoletami w rękach. Rozejrzał się, analizując, czy ma jakąkolwiek szansę na ucieczkę. Było to naturalnie pytanie retoryczne. Nie miał. Nie w ludzkiej formie. Spojrzał tęsknie na niebo. Niestety pełnia już się skończyła. I nawet jeżeli księżyc był gdzieś tam widoczny za dnia, teraz skrywały go gęste chmury. Szarzące. Coraz ciemniejsze.

Dawid spuścił głowę.

Podczas gdy uzbrojeni mężczyźni zbliżali się do niego, ukląkł i uniósł ręce. W tym samym czasie wędkarz, od którego pożyczył telefon, nadal wpatrywał się w spławik kołyszący się na powierzchni Wisły.



# R O Z D Z I A Ł      X L

Mężczyźni wnieśli sporą skrzynię do betonowego pomieszczenia bez okien przypominającego bunkier. Niemalże rzucili nią o podłogę.

– Spokojnie, panowie - skarcił ich starczy, jakby przytłumiony przez jakąś barierę głos. - Nie wystawiajmy na szwank zdrowia naszego gościa.

Otworzyli skrzynię, w której leżał związany, zakneblowany i przerażony Dawid. Rozejrzał się i zobaczył mrok, z którego powoli wyszedł bardzo dziwny człowiek. Miał na sobie staroświecki, idealnie dopasowany brązowy garnitur z kamizelką i krawatem, a przede wszystkim błyszczącą się metalicznie maskę, która obejmowała całą jego głowę. Przypominała mroczną wersję twarzy Kena - słynnej lalki - tylko była ciemnoszara i zniszczona, poorana licznymi bruzdami i rysami. Nie wyrażała żadnych emocji, natomiast w oczach zamontowano tak ciemne szkła, że nie dało się zobaczyć, co się za nimi kryje.

– Nosił wilk razy kilka, p r z y n i e ś l i mi wilka. Witaj, mistrzu - powiedział mężczyzna. - Podobno dobrym zwyczajem w polityce jest zwracanie się do oficjeli tytułem najwyższego stanowiska, jakie kiedykolwiek zajmowali. Uważam to za bardzo fajną tradycję i powinno stosować się ją również w innych dziedzinach życia. Dlatego dla mnie, Dawid, choć przez ciebie właśnie straciłem kupę forsy, a dwadzieścia lat pracy poszło się kochać, zawsze będziesz mistrzem mieszanych sztuk walki.

Dawidem targały zbyt silne emocje, aby w pełni przyswoił sobie usłyszane słowa. Nic z tego nie rozumiał. Gdzie jest, po co go tu dostarczono i dlaczego

przemawia do niego mężczyzna o takim wyglądzie i o chrapliwym głosie sędziwego starca, lecz dziwnie dziarski i wyprostowany, jakby był w sile wieku.

I o złym zapachu. Ekstremalnie, wręcz niewyobrażalnie złym. Dawid chyba jeszcze nigdy się z takim nie spotkał, nawet u bandytów, którzy go tu dostarczyli, albo u pacjenta, przez którego zemdląca Beata. I nie chodziło wyłącznie o ten charakterystyczny smród starości, który u tego osobnika przechodził wręcz w odór rozkładania się żywcem ludzkiego ciała.

– Rozwiążcie go. - Mężczyzna w masce zwrócił się do pozostałych. - Dajmy mu szansę się wypowiedzieć. Tylko bez numerów. - Ponownie spojrzął na Dawida. - Jestem twoim największym kibicem, ale jeżeli będziesz niegrzeczny, zakończy się to dla ciebie tragicznie.

Bandyci zdjęli Dawidowi więzy, usunęli mu z ust knebel, po czym odeszli od niego z bronią w pogotowiu. On natomiast wciąż leżał w skrzyni w wyuczonych na treningach pozycji obronnej z wyciągniętymi przed siebie zgiętymi nogami.

– Wstawaj - rzucił mężczyzna w masce. - Nie będę z tobą rozmawiać, kiedy leżysz jak przewrócony żuk gnojarsz.

Dawid rozejrzał się niepewnie i w końcu się podniósł. Otaczający go zły zapach sprawiał, że nie mógł się skupić. Mimowolnie narastała w nim agresja wspomagana strachem jak ogień podlany benzyną.

– Gdzie ja jestem? - zapytał ostrzej. - Kim pan jest i o co panu chodzi?

Mężczyzna w masce się zaśmiał.

– Dawid, Dawid, Dawid... - westchnął z życzliwą dezaprobatą i choć na jego masce wciąż widniał pusty wyraz twarzy, dało się wyczuć, że pod nią się uśmiecha. - Za to między innymi cię uwielbiam. Za charakterek. Spotykamy się po raz pierwszy, ale znam cię lepiej niż ty sam. Uznałem, że wczorajsze wydarzenia z twoim udziałem oraz fakt, że jesteś skończony jako sportowiec, to idealna okazja, żeby wreszcie się ujawnić i ucisnąć ci rękę. - Podszedł i wyciągnął dłoń, a Dawid zobaczył, że ta jest powykęciana, pomarszczona i pokryta plamami wątrobowymi tak gęsto, że jeszcze trochę, a zmieniłaby kolor w całości. Paznokcie były pożółkłe i zaniedbane. Wyglądała, jakby dosłownie gniła. Kiedy mężczyzna się zbliżył, Dawid jeszcze mocniej odczuł jego zapach. Odór śmierci.

Wiedział, że nie ma wyboru i musi podać mu rękę, więc to zrobił. Dłoń nieznajomego była wiotka, miękka i lepka, a przy tym jakby pozbawiona

większości mięśni. Kiedy zakończyli uścisk, Dawid przyjął to z niesamowitą ulgą.

– Mówią na mnie Zet - przedstawił się mężczyzna w masce. - Jestem faktycznym właścicielem federacji Gold Fight Club i grupy medialnej Great.

Dawid otworzył szerzej oczy, lecz zaraz zreflektował się, że ktoś o takim wyglądzie i o takim zapachu niekoniecznie musi być wobec niego szczery.

– Jacek jest właścicielem GFC - stwierdził, starając się zabrzmieć spokojnie i na pewnego swoich słów.

Mężczyzna w masce znowu zaśmiał się chrapliwym, starczym rechotem.

– Jacula, mój Jacula! - zapiał. - Kocham tego gościa! Dobrze jest mieć takiego Jacka, prawda? Przystojny, zadbany, elegancko ubrany i uczesany, w sam raz na pionka, którego można przesuwac jak na szachownicy. Jak znalazł na twarz, którą można oficjalnie pokazywać opinii publicznej. Ja, jak widzisz - rozłożył pomarszczone ręce i przeciągnął nimi wzdłuż ciała - jestem trochę niereprezentacyjny. Inny pozytywny jest taki, że teraz to na jego, a nie na moich barkach spoczywa odpowiedzialność za bigos, jakiego narobiłeś ostatniej nocy. Ja mogę pozostać w cieniu, niczym się nie przejmować i spokojnie z tobą rozmawiać.

Dawid wpatrywał się w rozmówcę, który rzeczywiście stał teraz w bardziej zacienionym fragmencie pomieszczenia. Próbował uporządkować myśli.

– Nie wierzę. To niemożliwe, żeby...

– Co jest niemożliwe? - przerwał mu Zet. - Że federacje sztuk walki często mają powiązania z półświatkiem? Naprawdę jesteś tak naiwny, by myśleć, że sporty opierające się na zadawaniu bólu nie przyciągają tych, którzy sami lubią ten ból zadawać? Że dyscypliny, w których najważniejsza jest siła, nie interesują osób, dla których to nadrzędna wartość? Wiedziałeś, że Jacek pochodzi z przestępczej rodziny. Już jego ojciec dla mnie pracował, a syn okazał się godnym następcą. Przyjmij do wiadomości: to ja ci płaciłem. Nie tylko. Zaplanowałem sobie właściwie całe twoje życie.

– Nie wiem, kim pan jest!

– Nie musisz wiedzieć, bo dobrze to ukrywałem - odpowiedział spokojnie Zet. - To ja wpadłem na pomysł, żeby zrobić z ciebie profesjonalnego sportowca, po tym jak opowiedziałeś Jackowi, co dzieje się z tobą podczas pełni. I to po moim rozkazie miał cię nakłonić do trenowania walki wręcz. Ba, zainteresowałem się tobą, chłopcze, już w dziewięćdziesiątym czwartym, kiedy w zastanawiający

sposób zginęło kilku żołnierzy bossa, który miał obowiązek odpalać mi dołą. Wiedziałem, że jedynym wytłumaczeniem tej masakry jest to, że musiałeś mieć z nią coś wspólnego, przekonanie twojej siostry co do tego nie mogło wziąć się znikąd. To ja kazałem Jackowi się z tobą zaprzyjaźnić i wydobyć z ciebie prawdę. Bo chyba nie myślisz, że Jacula i reszta wyciągnęli do ciebie rękę, bo cenili cię jako człowieka? - Zaśmiał się kpiąco. - Byli przy tobie wyłącznie po to, abym mógł kierować twoim życiem tak, jak chcę. Abym mógł na tobie zarabiać.

Dawid słuchał go, nie mogąc uwierzyć w te słowa. Nie chciał w nie wierzyć. Interpretacja zdarzeń, jaką proponował mu ten dziwny starzec, brzmiała skrajnie nieprawdopodobnie. Wciąż jednak pamiętał nieprzyjemny zapach, jaki wyczuwał u Jacka i Lindy, jakby ostrzeżenie, że powinien na nich uważać. Również fakt, że niedługo po ostatniej rozmowie z dziewczyną go schwytano, zupełnie jakby natychmiast doniosła komu trzeba, gdzie należy go szukać. A słowa o Jacku, które podczas ostatniej rozmowy powiedział Beacie? „Sugerujesz, że obmyślał jakąś intrygę już jako nastoletni chłopak, kiedy się poznaliśmy? Przecież to absurd!”

Dlaczego go to nie zastanowiło? Był potworem, do którego nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien się zbliżać. A jeżeli jednak to zrobił..

- To ja sfinansowałem twój rozwój - ciągnął Zet. - To dzięki moim pieniądзом GFC wystartowała z takim rozmachem. To moje media cię wypromowały, to im udało się sprawić, że pokochał cię cały kraj. Polacy, jako naród, który miał od zawsze pod górkę, kochają zwycięzców i potrzebują swoich bohaterów, z których mogą być dumni i którymi mogą chwalić się na świecie. I na tej potrzebie można dobrze zarabiać. To ja wymyśliłem twój komiksowy wizerunek, to ja zrobiłem z ciebie gwiazdę i milionera.

Dawid wpatrywał się w niego, czując rosnący ciężar w żołądku. Miał mętlik w głowie i próbował to sobie ułożyć.

- Miałeś szansę zostać najlepszym wojownikiem na tej planecie. - Zet zmienił ton. Teraz wybrzmiewał w nim potężny zawód, wręcz żal, ale dało się wyczuć, że udawany. - Zapisać się w historii jako najsilniejszy, jako symbol niezawodności. I to miało stać się ostatniego wieczoru.

Dawid już otwierał usta, ale zabrakło mu odwagi, by cokolwiek powiedzieć.

- Miałeś wygrać za wszelką cenę - podjął Zet. - Także po to, by raz na zawsze rozstrzygnąć, czy jesteś potworem, czy człowiekiem obdarowanym przez los. Byłeś

jednym z najlepiej działających przedsiębiorstw w tym kraju. Sprzedawałeś emocje najwyższej jakości, ludzie cię uwielbiali, a ja zarabiałem. Wszyscy byli zadowoleni! Tylko że to już koniec. Nie ma już nic. Marka „Dawid Volkodlak”, którą stworzyłem od podstaw, brutalnie upadła.

– To nie moja wina! - wyrzucił z siebie Dawid. - Nie panuję nad tym! Nie wiedziałem, że podczas takiej pełni przemieniam się w... to coś! Widziałem taki księżyc pierwszy raz w życiu!

Zet uciszył go, unosząc pomarszczoną dłoń.

– Z mojego, a więc biznesowego punktu widzenia fakt jest taki, że twoja kariera popularnego sportowca właśnie dobiegła końca. Wszystkie media, inne niż moje, wypowiadają się jednoznacznie. Moje również nie mogą milczeć, bo to podważyłoby ich wiarygodność. Kibice natomiast od dawna nie byli tak zgodni. Ludzie są tak głupi, że można wmówić im wszystko, nawet to, że pajacyk, który próbował cię powstrzymać, jest jednym wielkim wcieleniem zła, ale nie na tyle głupi, żeby udało się wyciszyć twoje harce po Warszawie. Jesteś skończony. Jacek jest skończony i pójdzie do więzienia. GFC jest skończona. To zbyt głośna sprawa, żeby nikt za to nie beknał, cały świat widział, co wyczyniałeś w mieście. I wiesz co? Mnie, szczerze mówiąc, nie chce się tego odkręcać. Wszyscy zobaczyli, i to na żywo, że jesteś potworem, którego należy się bać. Potworem, którego można oglądać co najwyżej w cyrku obok innych dziwadeł. Na takie... - urwał, choć wyraźnie zrobił to celowo - rzeczy jak ty nie kupuje się biletów, żeby je oglądać. To zbyt niebezpieczne.

Z każdym usłyszonym słowem Dawid czuł się coraz gorzej. Stał ze spuszczonej rękami.

– Nie prosiłem się o to! Nigdy nie chciałem taki być! To nie jest moja wina! - powtórzył, drżąc na całym ciele.

– Podobnie tłumaczą się kierowcy, kiedy nieumyślnie staranują kogoś na drodze, a mimo to są karani - odpowiedział spokojnie Zet. - Na twoje nieszczęście zabiłeś między innymi człowieka, który był jedną z największych gwiazd sportów walki na świecie, z całą rzeszą fanów i sponsorów. Był cennym aktywem moich partnerów biznesowych z Rosji, którzy są jednocześnie właścicielami federacji RWA. To ludzie o naprawdę ogromnych możliwościach, z wpływami w rosyjskiej władzy i znajomościami wśród najbogatszych oligarchów. Oni mogą wszystko. Wyznaczyli za twoją głowę potężną nagrodę pieniężną, którą nawet ja bym nie

pogardził, z dodatkową premią, gdyby udało się dostarczyć cię żywego w ludzkiej postaci, bo chcą zająć się tobą osobiście. Są wściekli. Także na mnie, bo to ja byłem jednym z inicjatorów tej walki i to ja pośrednio biorę odpowiedzialność za jej skutki. Żądają ode mnie natychmiastowych działań. Istnieje nawet spore ryzyko, że dla mnie te kontakty będą już spalone. Chyba że...

Dawid rozejrzał się niepewnie po pomieszczeniu, w którym otaczali go uzbrojeni po zęby bandyci. Wreszcie spojrzął na rozmówcę.

– Zamierza pan mnie im wydać?

Zet oparł się wygodnie o biurko za sobą.

– Sam nie wiem. Nie tylko z nimi mam dobre biznesowe relacje. A szuka cię również polski wymiar sprawiedliwości. I ma uzasadnione powody. - Wyciągnął w bok rękę, w której trzymał pilota, i włączył ekran pod ścianą, nawet na niego nie patrząc. Ukazały się na nim migawki z serwisów informacyjnych, dokumentujące wydarzenia z Warszawy po gali „Krwawy Księżyc”, podobne do tych, jakie widział w pubie w Płocku. Przedstawiały prawie pięciometrową, owłosioną, agresywną bestię z łbem przypominającym wilczy - ryczącą, rzucającą samochodami jak kartonowymi pudłami i szalejącą po mieście, próbując dopaść o wiele mniejszą od niej postać, która usiłowała przed nią uciec. Komentarze publicystów były jednoznaczne. Mordercza siła. Niebezpieczeństwo. Chaos. Bezradność władz, służb i wojska. Strach. Panika.

P o t w ó r .

– Masz rozmach - powiedział Zet, a w jego głosie wybrzmiało teraz dla odmiany coś w rodzaju podziwu. Również spojrzął na ekran. Przez jakiś czas wszyscy oglądali w ciszy dzieło zniszczenia Dawida. - Co za moc! - dodał głośnym szeptem. - Tak potężna i niebezpieczna, że dla dobra wszystkich rzeczywiście wypadałoby zdusić ją w zarodku, zamknąć na cztery spusty i nigdy nie wypuszczać. Gdyby wymknęła się spod kontroli, jej skutki mogłyby się okazać tragiczne. Zobacz: nawet ten mały, irytujący pryszczek nie podjął walki, tylko uciekał przed tobą jak szczur. Policja? Bezradna. Wojsko? Także, bo w mieście zagrażałoby to bezpieczeństwu cywili, a ewakuacja Warszawy zajęłaby za dużo czasu. Wybuchaly przy tobie granaty, nawet zrównano z ziemią połowę mostu, żeby cię unieszkodliwić, a ty nic! Przeżyłeś i ucinamy sobie teraz miłą pogawędkę. Jedna osoba, a raczej istota, potrafiła sprawić, by nikt w największym polskim mieście nie czuł się bezpieczny. Nawet osławiony superterrorysta nie mógł cię

powstrzymać i jedynie szczęściu zawdzięcza, że go nie dopadłeś i nie zrobiłeś z niego krwawej miazgi. Czy to nie jest niesamowite?

Dawid spojrział na siebie na ekranie, gdzie w aktualnej migawce unosił łeb ku czerwonemu księżycowi i ryczał tak, że od samego słuchania przechodziły ciarki. Wzdrygnął się.

– Raczej okropne - odpowiedział drżącym głosem.

– Nie, Dawid. Na każdą nadludzką zdolność można spojrzeć z różnych punktów widzenia. Nawet na bycie potworem. Prawie wszyscy ludzie na świecie, którzy wiedzą o twoim istnieniu, teraz albo się ciebie boją, albo boją i nienawidzą. Tylko ja jestem inny. Bo ja to podziwiam. Zawsze podziwiałem i wczorajsze zdarzenia tego nie zmieniły. Doceniam twoją potworność jak nikt inny. Jak nikt inny wiem, do czego podobne zdolności można wykorzystać.

Dawid spojrział na Zeta ze zdziwieniem i niepokojem.

– Nie rozumiem - skłamał.

– Nie słyszałeś o mnie, bo staram się ukrywać przed wścibskimi. W niektórych kręgach krążą o mnie legendy, ale nikt nie daje im wiary, gdyż pokazuję się tylko najbardziej zaufanym ludziom. Pozwól więc, że co nieco o sobie opowiem. Jestem najstarszym człowiekiem na świecie. Mam sto trzydzieści jeden lat. Pytasz, jak to możliwe? To proste. Bo jestem nieśmiertelny.

Dawid rozejrzał się ponownie, szukając u słuchających ich bandytów potwierdzenia, że cały ten dialog to jakiś żart. Ci jednak dalej stali w półmroku z kamiennymi twarzami.

– Wiem, że śmierdę jak zatechły koc - podjął Zet - ale taka jest prawda i lepiej, żebyś w to uwierzył, a komunikat, jaki chcę ci przekazać, stanie się o wiele jaśniejszy. Dochodzimy bowiem do sedna naszego podobieństwa. Można patrzeć na to, co mnie spotkało, jak na coś okropnego, bo pewną niedogodnością tego stanu jest fakt, że nigdy nie przestałem się starzeć.

Dawid spojrział na maskę rozmówcy, zastanawiając się, co się pod nią kryje, a potem na jego przegniłe dłonie. Odór emanujący z mężczyzny jakby przybrał na sile i powodował mdłości.

– Można jednak spojrzeć na to z drugiej strony. Na przykład takiej. - Zet niespodziewanie wyciągnął zza pazuchy pistolet, a nim Dawid zdążył choćby się

przestraszyć, boss wycelował w swój brzuch i nacisnął spust. Po pomieszczeniu rozniósł się głośny huk.

Dawid patrzył na w mężczyznę w masce, który wciąż stał oparty o biurko, choć trochę drżał. Z jego rany jednak nie wypływała krew, lecz ciemnoczerwona, prawie czarna galaretowata masa, która natychmiast zasychała.

- Pytasz, czy boli? - zapytał chrapliwie Zet. - Jak skurwysyn. Ale się przyzwyczaiłem. Mam też nowotwór złośliwy, który pożera mnie od wielu lat, i co z tego? Nie umrę, w każdym razie nie od niego. Tak to po prostu działa. Nie zliczę, ile razy ktoś próbował mnie zastrzelić. Nie zliczę, ile razy na jego facjacie pojawiał się ten rozkoszny wyraz zdziwienia, kiedy znowu okazywało się, że nie uda mu się mnie zabić.

- Jak...? - Dawid wpatrywał się wytrzeszczonymi oczami w brzuch Zeta. - Jak to możliwe...?

- Powiedzmy, że kiedyś miałem pecha, który okazał się niesamowitym szczęściem - odpowiedział. - Oto jak działa potęga zmiany punktu widzenia. Wszystko staje się jasne, prostsze i o wiele przyjemniejsze. Namawiam do tego również ciebie. Już rozumiesz, co nas łączy? Obaj mamy zdolności, o których inni mogą jedynie pomarzyć. Różne, ale jednak. Jesteśmy lepszymi rasami, które powinny panować nad pozostałymi, podrzędnymi względem nas, tak jak ludzie panują nad zwierzętami. Jesteśmy z tym sami, choć znowu można użyć innych, lepszych słów. Wyjątkowi, jedyni w swoim rodzaju. Zgodzę się, że naszych zdolności należy się bać, ale cały paradoks polega na tym, że to nie jest nasz problem, tylko innych. Każdy rozsądny człowiek, jako istota stawiająca przede wszystkim na własne dobro, postąpiłby na naszym miejscu tak samo i próbował wycisnąć z tych mocy tyle, ile się da. Mnie się udało. Jestem nie tylko najstarszym człowiekiem na świecie. Jestem również najbogatszym Polakiem i jednym z najbogatszych Europejczyków. Nie Sołowow, nie Kulczykowie, nie Solorz, ale właśnie ja. Spływają do mnie podatki ze wszystkich szwindli w tym kraju, od narkotyków, przez kradzieże, po przekręty z VAT-em. Posiadam też wiele legalnych firm, które wygrywają rządowe przetargi. Mam własną grupę medialną. Jestem także dumnym właścicielem potężnej korporacji pracującej nad nowymi technologiami. Prowadzę liczne interesy za granicą. Ze zrozumiałych względów nie znajdziesz mnie jednak w rankingach „Forbesa” czy „Wprost”, bo jednym z powodów mojego sukcesu jest to, że pozostaję w cieniu, do wszystkich biznesów



deleguję słupy i steruję nimi z ukrycia. Nie osiągnąłbym tego wszystkiego, gdybym nie miał swojej mocy. To ona dała mi na to wszystko czas. Rozumiesz? Miałem tę przewagę nad innymi, że otrzymałem go wystarczająco dużo, aby spokojnie i konsekwentnie budować swoje imperium, zawierać cenne znajomości, poszerzać wpływy, inwestować, szukać nowych możliwości zarobku, gromadzić podziemną armię utalentowanych, lojalnych chłopaków, a nade wszystko się uczyć: rynków, zasad biznesu czy wreszcie mechanizmów ludzkich zachowań. Czas, Dawid. Czas to najważniejszy wymiar drogi do dowolnego celu. Praktycznie żaden człowiek na świecie nie miał go tyle, co ja.

– Nadal nie wiem, do czego pan zmierza... - wymamrotał Dawid.

– To proste. W tym momencie masz kłopoty. Wiele osób chciałoby zrobić ci krzywdę. Od tych kłopotów może uchronić cię tylko ktoś o wystarczająco dużych możliwościach. Ekonomicznych, politycznych, nazywaj to, jak chcesz. I tym kimś jestem ja. Ja, wobec którego już teraz masz dług wdzięczności. Moi ludzie schwytali cię i na moje polecenie mogli przekazać komu trzeba. Komuś, kto bynajmniej nie przywitałby cię w swoich włościach tak serdecznie jak ja. Nie zapominaj również, że to dzięki mnie przez wiele lat mogłeś posmakować przyjemnego życia podziwianego milionera, a nie wykluczonego ze społeczeństwa potwora. To dzięki mnie przez jakiś czas miałeś przyjaciół. To wszystko udało się, bo skorzystałem z kapitału mojej mocy. Swoimi mocami rozbudziłem twoje. Nawet w pierwszej formie, podczas zwykłej pełni, jesteś niezwyknięty i żaden człowiek nie może się z tobą równać w walce wręcz. To co dopiero, gdy spróbujemy wykorzystać możliwości, jakie niesie ze sobą twoja druga albo trzecia forma?

– Czego pan ode mnie chce? - zapytał cierpko Dawid. Cokolwiek Zet by powiedział, na jakiegokolwiek wyżyny w płomiennych przemowach by się wznosił, wciąż wydzielał ten cholerny smród, który działał na Dawida jak płachta na byka. Nie potrafił powstrzymać narastającego uczucia zagrożenia.

– Proponuję układ - odpowiedział boss. - Daję ci bezpieczeństwo i gwarancję, że żadna z osób, które źle ci życzą, nie zrobi ci krzywdy, nawet jeżeli mówimy o moich partnerach w interesach. W zamian za to korzystam z twoich mocy do moich prywatnych celów.

– Jakich celów?

Zet przekrzywił lekko głowę.

– To był mój pierwszy pomysł na ciebie, już wtedy, gdy byłeś nastolatkiem i opowiedziałeś wszystko Jackowi. Zmieniłem zdanie, kiedy zdałem sobie sprawę, jak dochodowym biznesem jest obecnie sprzedawanie emocji i że przyniesiesz mi o wiele więcej pieniędzy jako popularny sportowiec-wojownik. Teraz jednak, kiedy tym sportowcem już nie jesteś i nigdy nie będziesz, możemy wrócić do pierwotnego planu. Wiesz, jak dzisiaj trudno o dobrego, uniwersalnego żołnierza mafii? Superczłowieka, który w pojedynkę mógłby sparaliżować życie w nawet tak wielkim mieście jak Warszawa? Wielkich miast na świecie mamy całe mnóstwo, a mnie marzy się poszerzenie wpływów politycznych.

– Chce mnie pan używać do terroryzowania niewinnych ludzi?

– To takie ostre słowo! - Zet zaśmiał się jak dziadek życzliwie strofujący wnuka. - Nawet brzmi nieprzyjemnie. „Terror”. Przysłuchaj się mu. Ja pozbyłem się ze słownika takich słów i staram się używać innych. Zamienników. Na przykład: chcę cię użyć jako narzędzia do przeprowadzania udanych interesów. Chcę dalej zarabiać na tobie pieniądze. Kto wie, może nawet większe niż poprzednio, bo twoja trzecia przemiana daje o wiele większe możliwości niż pierwsza czy druga.

– Wykluczone! - warknął Dawid

– Tego słowa też nie lubię. Co prawda sam go używam, ale bardzo nie lubię go słyszeć. Nie chciałbyś na przykład - Zet ponownie wyciągnął w bok rękę z pilotem i wdusił jeden z przycisków -zrewanżować się temu dupkowi za to, że wsadzał nos tam, gdzie nie powinien?

Dawid spojrzał na ekran i tym razem zobaczył na nim Huberta Godlewskiego umieszczonego w jakiejś zapyziałej celi. Dziennikarz próbował wydostać się z pomieszczenia, ale nie był w stanie. Wrzeszczał, wzywając pomocy.

– Pomyśl - ciągnął spokojnie Zet. - Zmiana punktu widzenia i pozytyw, jakie wiążą się z twoją sytuacją. Teraz możesz robić, co chcesz, nie bacząc na to, czy coś ci wolno, czy nie. Nie musisz przejmować się opinią publiczną. Możesz ukarać tego palanta za każdą złą emocję, jaką przez niego poczułeś. Ja tak robię, gdy ktoś mi zalezie za skórę. To bardzo odprężające i satysfakcjonujące zajęcie. Nawet nie musisz go szukać. Znalazłem go i dostarczyłem ci pod nos. Świeżutka bułeczka, wypieczona ostatniej nocy, kiedy twój wizerunek przestał być istotny. Jeden z pozytywów wczorajszej sytuacji jest taki, że już nie muszę odwlekać wyrównywania rachunków i mogę rozliczać je z każdym, kto mnie wkurzył.

Dawid wpatrywał się w przerażonego mężczyznę na ekranie, czując, że traci kontrolę nad emocjami. Nie zastanawiał się jednak długo nad odpowiedzią.

– Nie! Nie jestem taki! Niech pan go wypuści! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

– Obawiam się, że nie ty jesteś tu od wydawania poleceń - odpowiedział spokojnie Zet. - Zaprzeczysz, że byłeś wściekły na tego cwela? Jacek powiedział mi o wszystkim.

– Byłem wściekły. Ale nie na niego, tylko na siebie. Bo napisał o mnie całą prawdę! Wywlekł to, o czym wszyscy i tak by się dowiedzieli, choćby po tym, co zrobiłem wczoraj. Nikt więcej nie będzie przeze mnie cierpiał! Moje moce nie są darem, tylko przekleństwem, które polega jedynie na łatwości zadawania bezkarnej przemocy! I szerzenia strachu. Jedyne sposoby, żeby legalnie na nich zarabiać, właśnie przepadł. Żaden inny nie wchodzi w grę. Nigdy nie wchodził.

– To twoje ostatnie słowo? - zapytał Zet. Jego głos się nie zmienił, wciąż brzmiał życzliwie.

– Tak! Już dość zła wyrządziłem. Nigdy więcej! - krzyknął Dawid. - Jeżeli pan chce, może mnie dostarczyć policji. Będę siedział w więzieniu albo psychiatryku. Trudno. Najwyraźniej zasłużyłem, choć nigdy nie chciałem zrobić nikomu krzywdy.

– To nie jest koncert życzeń, Dawid. To ja decyduję, czy dostarczę cię do kicia, czy moim przyjaciółom z Rosji, czy zrobię coś jeszcze innego. Nie masz nic do gadania.

– W takim razie niech pan decyduje! - wybuchnął Dawid i rozłożył prowokacyjnie ręce. - Niech pan mnie nawet zabije! Jest mi to obojętne! I tak straciłem już wszystko, co miałem, i nie mam powodu, żeby żyć. Świat stanie się lepszy beze mnie! Już nigdy nie spojrzę na księżyc, rozumie pan?! Nigdy!

– Mylisz się. Nie jest ci to obojętne.

– O proszę! Czyżby jedną z pana supermoce była umiejętność czytania w myślach? - zapytał z rozpaczliwą ironią Dawid. - W takim razie muszę pana zmartwić, bo nie działa.

Zet nie odpowiedział, tylko znowu skierował pilota na ekran. Przełączył kanał po raz drugi. Dawid spojrział za jego ręką, a po ciele rozlała mu się fala zimna.

– Poznajesz? - zapytał beztrąsko Zet.

Dawid otworzył drżące usta, oddychając coraz szybciej. Na ekranie zobaczył obraz z kamery umieszczonej w celi identycznej z tą, w której uwięziono Godlewskiego. Rozpoznał Beatę. Przerażoną, z kolanami przyciśniętymi do piersi, kołyszącą się w tę i z powrotem. Płakała.

- Ty skurwielu! - ryknął i nie zważając na konsekwencje, ruszył na Zeta z wyciągniętymi rękami, chcąc go rozszarpać na strzępy. Ku swojemu zaskoczeniu, nim zdołał zadać pierwszy cios, boss wykonał tak szybki, że niemal niezauważalny ruch rękami i pchnął go w klatkę piersiową. Siła była tak wielka, że Dawid poleciał na przeciwległą ścianę, a przyglądający się scenie bandyci zawczasu zeszli z toru jego lotu. Upadł na podłogę, a ból w plecach pozbawił go tchu. Nim się obejrzał, Zet klęknął przy nim, złapał za szyję tuż pod brodą i przycisnął mu głowę do ściany.

- Zapomniałem ci powiedzieć o jeszcze jednej swojej mocy - rzeki. - Jestem nie tylko najstarszym człowiekiem na świecie, nie tylko nieśmiertelnym, ale również najsilniejszym. W każdym razie jeżeli założymy, że w pełni kontroluję swoje poczynania. Myślę, że nie pokonałbyś mnie nawet po spojrzeniu na księżyc w zwykłej pełni. To ci dopiero zwrot akcji, co? - Zacisnął mocniej oślizgłą dłoń na szyi Dawida, a ten zaczął się dusić. - Wspaniała niemiecka jakość i precyzja. Nawet świeżo po wojnie, choć nienawidziłem szkopów jak mało kogo, miałem o nich takie zdanie, że jak już się do czegoś zabiorą, robią to solidnie. Naprawdę myślałeś, że przestraszę się akurat ciebie? - Zbliżył maskę do jego twarzy. - Oczywiście, pewnie pokonałbyś mnie już w drugiej formie swojej przemiany, ale cała ironia losu polega na tym, że teraz nie jesteś przemieniony, a nawet kiedy jesteś, tracisz świadomość. Zdania nie zmieniam, wciąż jestem pod wrażeniem twoich możliwości, ale wybaczone, to nadal ja mam nad tobą przewagę, niezależnie od której strony na to spojrzysz.

- Zos... zostaw ją w spokoju! - powiedział chrapliwie Dawid, siłując się z ręką gangstera. - Ona nie ma z tym nic wspólnego!

- Ma. Ma pecha, że jest osobą, na której najbardziej ci zależy. Oznacza to, że jest również moim sposobem wywierania wpływu na ciebie, abyś grzecznie się zachowywał i wykonywał polecenia. Chyba skutecznym, co nie? Nadal chcesz iść do więzienia albo umrzeć? Czy jednak wolisz się upewnić, że twojej kobiecie nic się nie stanie?

- Co ci... - wydukał Dawid, walcząc o kolejne oddechy. - Co ci po mojej mocy, skoro można jej użyć tylko raz w miesiącu? Superksiężyc pojawia się jeszcze rzadziej. A taki jak wczoraj może nawet raz na kilkadziesiąt lat! I wszyscy już o tym wiedzą! Będą przygotowani! Przeceniasz coś, co wcale nie jest tego warte!

Zet westchnął z dezaprobatą.

- Właśnie dlatego, Dawid, ja jestem w tej firmie mózgiem, a ty, że zacytuje pewne poczciwe zwierzę ze znanej bajki, gabarytem. Znowu się mylisz. Owszem, twoja moc objawia się wyłącznie w określonych okolicznościach, ale to nie oznacza, że można z niej korzystać jedynie raz w miesiącu. Jest zbyt cenna, żebyśmy polegali na czymś, na co nie mamy wpływu, i tylko patrzyli na kalendarz. Pomyśl. Rusz głową. Czy w ostatnim czasie nie zdarzyło się, że straciłeś rozum, choć na niebie nie było pełni?

Dawid wciąż miał trudności z oddychaniem, a co dopiero ze zrozumieniem tego pytania i zastanowieniem się nad odpowiedzią. W końcu jednak dotarło do niego, co Zet ma na myśli, i wytrzeszczył oczy.

- Czyli to ty...? Nie... Nie możesz!

- A ty znowu swoje! - zaśmiał się boss. - Wiesz, jaka zasada przyświeca biznesowi, w którym się poruszam? Wszystko mi wolno. Nie kontrolują mnie żadne instytucje i właśnie to jest w nim piękne! Dobrze jest też szybko wykorzystywać uzyskane informacje i zawczasu myśleć, co dzięki nim można wyrzeźbić. Uwierz, od kiedy dowiedziałem się, co dzieje się z tobą, gdy patrzysz na księżyc, nie robiłem nic innego, tylko główkowałem, co z tą wiedzą począć. - Spojrzał na mężczyznę pod ścianą, a ci doskoczyli do nich, unieruchomili Dawida i wbili mu przez ubranie kilka igieł kończących strzykawkę.

- Co... Co wy robicie?! - wycharczał Dawid, próbując walczyć z osiłkami i jednocześnie wyswobodzić się z uścisku Zeta, lecz ten nadal trzymał go za szyję jak na smyczy.

- Spokojnie, mistrzu - wycedził przez zęby boss, w pełni kontrolując położenie Dawida. - Taka dawka jest konieczna, boś chłop jak dąb. Nic ci się nie stanie. Nawet lepiej, bo kiedy się obudzisz, zastaniesz lekki *upgrade*. Ulepszoną wersję samego siebie. Znowu wyświadczam ci przysługę, a ty nawet nie podziękujesz. - Pokręcił głową, a jego maska otarła się nieprzyjemnie o pomarszczoną skórę na szyi. - Jesteś mój i mogę zaopiekować się tobą tak, jak chcę. Pora spłacić dług.

Zrobiłem z potwora podziwianego człowieka, więc teraz ten sam człowiek zapewni mi osobistego potwora do moich celów.

Pomimo ogromnej ilości adrenaliny we krwi Dawid poczuł narastającą senność. Próbował z nią walczyć, lecz jego powieki stały się przeraźliwie ciężkie, a ciało odmawiało posłuszeństwa i każdy ruch sprawiał mu coraz większy problem. Oderwał wzrok od Zeta i raz jeszcze spojrzął na ekran, na którym widniała Beata. Choć jej twarz wykrzywiała się w rozpacz i przerażeniu, nadal była niesamowicie piękna. W jego oczach najpiękniejsza ze wszystkich kobiet na świecie.

– Przepraszam - wymamrotał cicho, lecz faktycznie wypowiedział jedynie samogłoski. W następnej chwili nie był w stanie powiedzieć, zobaczyć, usłyszeć ani poczuć już nic.

**CZĘŚĆ VII:  
OSTATECZNA KO  
NFRONTACJA**

# ROZDZIAŁ XLI

Dorian nie pamiętał swojej drogi znad Wisły do mieszkania po ostrzale mostu. Nie wiedział, jak udało mu się dotrzeć do Ursusa, nie kontrolował, czy ktoś go śledził, rozpoznał i tym podobne. W ogóle o tym nie myślał. Jego myśli tworzyły różnokolorową papkę wymieszaną bez jakiegokolwiek ładu i składu. Emocje też. Ulga łączyła się w nich ze strachem, szok z ekscytacją, a zmęczenie psychiczne z maksymalnym pobudzeniem.

„Czy tak wygląda standardowy powrót do domu amerykańskiego superbohatera po rozwalce z godnym przeciwnikiem?” - pytał sam siebie, jeżeli akurat udawało mu się przebić przez iluminację doznań przetwarzanych przez umysł. „Jak to możliwe, że jeszcze żaden z nich nie sfiksował?”

Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie z ciężkim westchnieniem. Właściwie nawet trudno to było nazwać oparciem się, bo niemal natychmiast ugięły się pod nim nogi i ciężko padł na pośladki, walcząc o zachowanie przytomności. Wszystko, co niedawno go spotkało, uderzyło w niego ze zdwojoną siłą. Najbardziej świadomość, jak niewiele dzieliło go od śmierci. Tak po prostu. Ktoś podjął decyzję, by wy toczyć przeciwko niemu najcięższe działa; rozwiązanie, jakie w czasie wojny stosuje się przeciwko najeźdźcy, wrogowi ojczyzny. Łatwo było się domyślić kto - politycy, którym zaszedł za skórę.

Musiał przyznać, że w pewnym sensie zgubiła go pycha. Przez ostatnie tygodnie, kiedy beztrąsko hasał po mieście, będąc sprytniejszym od armii policjantów, bandytów i funkcjonariuszy służb specjalnych, z łatwością unikając gradu pistoletowych pocisków, umykając blokadom i helikopterom, nie dając nikomu się złapać, rozpoznać ani skrzywdzić, ba - nawet wchodząc bez większych



przeszkód do domu premiera - narosło w nim przekonanie, że jest niepokonany. Nieśmiertelny. Że nikt nie jest w stanie go powstrzymać.

Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo zlekceważył swojego najpotężniejszego przeciwnika. Zapomniał, jakimi możliwościami dysponuje, nie tylko służbami, które pozorują samobójstwa niewygodnych dla układu osób. Czasem problem można rozwiązać inaczej, pod okiem kamer, kiedy patrzy na to cały świat. Pod pretekstem lub niby przypadkiem, korzystając z okazji. A potem wmówić ludziom, że stało się to niechcący, ale na szczęście w imię wyższego dobra, które udało się osiągnąć. Dobra kraju, bezpieczeństwa mieszkańców miasta zagrożonych już nie przez jedną, ale dwie istoty o nadnaturalnych zdolnościach.

Dorian dostał nauczkę. Na przyszłość powinien być o wiele ostrożniejszy, a sukcesy i łatwość pacyfikowania przestępców nie powinny usypiać jego czujności.

Westchnął głęboko. O dziwo - strasznie zachciało mu się spać. Wstał z podłogi z taką trudnością, jakby na nowo uczył się chodzić. Poczłapał do lodówki, wyjął z niej karton soku i opróżnił go niemal w całości, aby pozbyć się z ust posmaku wody z rzeki. Następnie dotarł do sypialni i od razu padł na łóżko. Nie przebierał się, nie miał na to ani ochoty, ani siły. Zasnął niemal natychmiast.

\* \* \*

Spał dobrze i długo. Kiedy otworzył oczy, słońce wisiało już wysoko na niebie, a w Ursusie panowała zwykła, codzienna cisza. Jakby poprzedniej nocy nic się nie wydarzyło. Cóż, Warszawa - jako miasto, które podczas drugiej wojny światowej przeżyło własną śmierć - miała w tym wprawę. Kilka tysięcy pistoletowych lub karabinowych kul, granaty, moździerze, rakiety, opancerzone transportery, helikoptery i zniszczony most, a przede wszystkim dwójka nadludzi, która urządziła sobie niszczyielską zabawę w berka, nie mogły zrobić na niej wrażenia. Życie musiało toczyć się dalej.

Dorian wstał z łóżka z przeciągłym jęknięciem. Zjadł śniadanie, wykąpał się, po czym zasiadł do komputera, aby poczytać relacje i opinie o wczorajszych wydarzeniach.

Interwencja wojska i jej skutki oczywiście nie zjednoczyły komentatorów z obu stron barykady politycznej. Media sprzyjające rządowi chwaliły decydentów za „odważną, potrzebną i przemyślaną decyzję”. Przemyślaną, bo ponoć od początku czekano na moment, w którym oba stwory znajdą się na którymś z mostów, i celowo odcięto cywilom do nich dostęp. Z kolei media stojące po stronie opozycji uznawały to rozwiązanie za zbyt radykalne, zahaczające o brutalną pokazówkę i generujące niepotrzebne koszty, także polityczne. Mądre głowy w komentarzach rozpisywały się, jakie działania byłyby lepsze w tamtej sytuacji i dlaczego spowodowałyby mniej strat. Tak czy inaczej - generał, który wydał kluczowy rozkaz, podobno podał się do dymisji.

Jeżeli zaś chodzi o głównych bohaterów całego zamieszania, w relacjach skupiano się głównie na Volkodlaku. Rozkładano jego przypadłość na czynniki pierwsze, a sam moment transformacji na Stadionie Narodowym analizowano niemalże klatka po klatce. Dorian zauważył, że bardzo rzadko używano słowa „wilkołak”, natomiast liczba synonimów, jakimi je zastąpiono, zawstydziłaby największych mistrzów słowa. Jedynie internauci nazywali rzeczy po imieniu. Niektórzy skojarzyli ostatnie wydarzenia z wciąż niewyjaśnioną tragedią z dzieciństwa Dawida i wyciągnęli odpowiednie wnioski. Ci, którzy sprzyjali opozycji, pytali, jak to możliwe, że po publikacji głośnego artykułu Huberta sprawa nie została ponownie zbadana, a publicyści z przeciwnej strony barykady odbijali piłeczkę, że w dziewięćdziesiątym czwartym za wymiar sprawiedliwości odpowiadali zupełnie inni politycy, za prokuraturę i sądownictwo zaś - (cytat) „przedstawiciele elit, spadkobiercy komunistycznego reżimu, z których nie wyczyszczono nowej rzeczywistości trzeciej Rzeczypospolitej”.

Podsumowując: polityczna sieczka trwała w najlepsze, jak codziennie, zmieniał się jedynie kontekst. Jedni przerzucali odpowiedzialność na drugich i nie chcieli przyznać się do błędu. Obie strony były przekonane, że mają rację, czarne było białe, „ja panu nie przerywałem” i tak dalej. Normalny dzień w Polsce.

Dorianowi najciekawiej czytało się komentarze zwykłych internautów. Choć zdarzały się pojedyncze głosy rozsądku, które nie widziały w nocnej gonitwie niczego zabawnego i podchodziły do sprawy z należytą powagą, w wypowiedziach ludzi, zapewne pochodzących z innych części Polski, dominował entuzjazm.

„Chciałbym podziękować obu zainteresowanym i wojsku za świetną rozrywkę na żywo! Bawiłem się przednio i nie czułem takich emocji, odkąd Polacy pokonali na Narodowym Niemców!”

„Aż się wzruszyłem! Nareszcie rozpierducha jak w amerykańskim filmie w naszej Polsce! Pościgi, strzały, wybuchy, rzucanie samochodami, niszczenie budynków, raketnice i godni siebie przeciwnicy. Nie wiem jak wy, ale ja jestem zły na wojsko, że się wtrąciło, bo walka pozostała nierozstrzygnięta, a chętnie obejrzałbym finał”.

„Superbohater? Jest. Superzłoczyńca? Jest. Do kompletu brakuje jeszcze tylko jakiejś wrogiej biotechnologicznej korporacji, która produkuje kolejnych!”

„Najważniejsze, że nasi nie noszą tandetnych rajtuzów, peleryn i majtek na wierzchu! A Volkodlak w ludzkiej postaci to niezłe ciacho!”

Dorian uśmiechnął się pod nosem. Było dobrze, skoro przynajmniej dziś nie nazywano go superterrorystą. Zawsze to jakiś kroczek do celu.

Wtem ekran komputera zgasł, jakby wyczerpała się bateria. Dorian odruchowo spojrzał na kabel, ale ten był normalnie podłączony do gniazdka, zresztą nie przypominał sobie, by system wysyłał ostrzeżenie o konieczności podłączenia laptopa do ładowania. Uznał, że to niedomaganie sprzętu, który miał swoje lata, i już sięgał do włącznika, aby ponownie uruchomić urządzenie, kiedy ekran ponownie rozbłysnął i zaczęło się odtwarzać jakieś nagranie.

Dorian zobaczył na nim osobnika w szarej, zniszczonej, błyszczącej metalicznie masce, która odwzorowywała męską twarz o pustym, neutralnym wyrazie, bez uśmiechu, bez jakiegokolwiek grymasu wyrażającego emocje. Jej oczy były ciemne, bez tęczówek i źrenic, jakby w powieki wbudowano szkła okularów przeciwsłonecznych.

Serce Doriana zaczęło bić jak młotem, kiedy usłyszał głos bezsprzecznie należący do sędziwego starca, ale energiczny, pewny siebie i pełen wigoru. A z każdym jego słowem coraz szerzej otwierał oczy.

– Cześć! Nie bawmy się w zbędne uprzejmości i przejdźmy do rzeczy, bo czas nas goni. Szczególnie ciebie. Nazywasz się Dorian Wach i urodziłeś się szóstego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku w Poznaniu. Wychowałeś się w domu dziecka i od tamtej pory łączy cię znajomość z dziennikarzem Hubertem Godlewskim z tygodnika „Naprawdę”. Zostałeś księdzem, a przez ostatnie półtora roku pełniłeś posługę w parafii pod wezwaniem Świętego Benedykta na Bielanych, w której innym wikariuszem jest Szymon Bednarczyk. Natomiast przez ostatni rok korzystałeś z usług niejakiej Beaty Konkel, psycholożki. Między innymi dlatego, że masz zatajone przed światem dziecko – Małgosię Serafin. Jej mamą jest Ewa Serafin, z którą kilka lat temu, jeszcze w seminarium, uprawiałeś przygodny seks. Mam rację! – Mężczyzna przybliżył zamaskowaną twarz do obiektywu kamery, podczas gdy Dorian siedział cały zeszywniały, obawiając się, co usłyszy za moment. – Podobno szukasz gangstera o ksywce Zet. To ja. Na pewno ciekawi cię, jak dowiedziałem się tego wszystkiego o tobie, skoro przez tyle czasu byłeś w stanie skutecznie umykać służbom. Z chęcią opowiem ci o tym ze szczegółami, ale nie teraz. Wolę rozmawiać twarzą w twarz, na moich warunkach. Pytasz, dlaczego miałbyś przystawać na jakiegokolwiek moje warunki? W razie gdybyś jeszcze się nie domyślił, zobacz to.

Twarz w masce zniknęła z ekranu i zastąpiły ją obrazy z kamer umieszczonych w zapyziałych betonowych celach, w których siedzieli pojedynczo jacyś ludzie. Dorian zobaczył najpierw Huberta, potem Szymona, Beatę, a na koniec Ewę i Gosię. Nawet one były rozdzielone. Dziewczynka płakała z przerażenia, powtarzając słowo „mama”. Dorian wpatrywał się w to wytrzeszczonymi oczami, kurczowo zaciskając drżącą dłoń na kolanie i nie zauważając, że ta samoistnie się powiększa i zaczynają wyrastać z niej długie czarne pazury, które wbijają się w nogę.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale zawód gangstera w największej mierze polega na tym, że za duże pieniądze spełniasz marzenia ludzi, którzy nie są w stanie sami spełnić owych marzeń w systemie złośliwie zabraniającym pewnych działań. – Na nagraniu ponownie pojawiła się maska Zeta. – Docień, że wychodzę naprzeciw twoim pragnieniom, i to za darmo! Chciałeś znaleźć Zeta, więc daję ci go w całej mojej skromnej osobie. Wiem, że prędzej czy później i tak byś do mnie dotarł, więc po prostu to przyspieszam, abyśmy mieli tę kwestię za sobą. Z chęcią rozwiążę wszystkie nieporozumienia podczas rozmowy w cztery oczy w jednej z moich kwater. Na pewno rozumiesz, że musiałem odpowiednio się zabezpieczyć, stąd właśnie goszczę w moich

włościach tę ważną dla ciebie piątkę ludzi. Więc teraz przyszła pora na moje pozostałe warunki. Słuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz. Po pierwsze: jeżeli jakimś cudem nagrywasz ten filmik i komukolwiek go pokażesz, cała piątka zginie, a świat dowie się, kim jesteś. Po drugie: jeżeli pójdziesz z tym na policję, cała piątka zginie, a świat dowie się, kim jesteś. Mam u psów wiele wtyk, więc możesz być pewien, że taka informacja do mnie dotrze. Tak samo będzie, jeżeli pójdziesz z tym do mediów. Jeżeli gdziekolwiek zobaczą wzmiankę o Zecie, cała piątka zginie, a świat dowie się, kim jesteś. Chcę tylko kulturalnie porozmawiać przy herbatce, jak człowiek z człowiekiem, choć obaj do końca nimi nie jesteśmy. Bez rękoczynów. Jeżeli podczas tej rozmowy zrobisz mi krzywdę, cała piątka zginie, a świat dowie się, kim jesteś. - Chrząknął. - Dobra, rozgadałem się, a ty pewnie usychasz z niecierpliwości, żebym wreszcie zdradził ci, gdzie znajduje się wejście do mojego pałacu. Jeżeli zechcesz skorzystać z zaproszenia, dziś o północy przyjdź do starego biurowca, który znajduje się na Targówku, konkretnie przy ulicy Kondratowicza, naprzeciwko stacji Circle K.

Dorian jakby się ocknął. Rozejrzał się, wypatrując czegoś, czego mógłby użyć do zapisania adresu. Nie miał pod ręką żadnej kartki, toteż wziął długopis i zapisał to sobie na dłoni. Ręce drżały mu tak, że tych bazgrołów z pewnością nie byłby w stanie odczytać nikt poza nim.

- W jego piwnicach znajduje się wejście do podziemi. Jest ukryte za niepozornymi białymi drzwiami z rysą przebiegającą przez całą ich przekątną. Są zamknięte na klucz, ale myślę, że akurat ty łatwo sobie z nimi poradzisz. Kiedy je otworzysz, będziesz miał już tylko jedną drogę prosto, więc nie zabłądzisz. A potem? Cóż, myślę, że swoimi zdolnościami, o których tak kłapałeś dziobem przez ostatnie tygodnie, mnie wyczujesz. Wyczujesz też może, że twoi bliscy również znajdują się w tym miejscu. To taki mój ukłon dla ciebie, abyś miał pewność, że gram uczciwie. Kiedy tam dotrzesz, masz jednak szukać mnie, a nie ich. Cały podziemny kompleks jest monitorowany. Będziemy widzieć, co robisz. I jeżeli nie pójdziesz prosto do pomieszczenia, w którym będę na ciebie czekał... tak, dobrze myślisz: cała piątka zginie, a świat dowie się, kim jesteś. Dziś o północy. Konkretnie dziś i ani dnia później. O tej konkretnej godzinie. Nie wcześniej. Bo... och, myślę, że powiedziałem to już tyle razy, że doskonale wiesz, co się stanie. Do zobaczenia! - Zet pomachał mu pomarszczoną, przegniłą ręką, po czym zniknął z ekranu i na koniec filmiku Dorian ponownie zobaczył migawki z cel, w których zamknięto najważniejsze dla niego osoby, jedne z nielicznych, jakie posiadał, wychowawszy się w domu dziecka i nigdy nie poznawszy swoich rodziców, a co za tym idzie -dalszej rodziny. Po

chwili na jego komputerze pojawił się niebieski ekran z napisem „Ten laptopik już raczej ci się nie przyda:(:(:(“.

Dorian myślał gorączkowo, drżąc na całym ciele i próbując się skupić, lecz ciągle nasuwały mu się te same powtarzające się pytania, które cedził na głos:

– Jak...? Jak to możliwe...? Jak, kurwa, jak?!

Serce biło mu jak młotem, a całe ciało zamieniło się w jeden wielki dygoczący sople lodu. Z szoku zaczął mieć problemy z oddychaniem. Złapał się za głowę, wodząc wokół wytrzeszczonymi oczami.

„Myśl! - poganiał się. - Co robić?!”

Szukał Zeta, ale jego kryjówki nie był w stanie wskazać mu nawet tak ważny partner biznesowy jak premier. Tymczasem Zet sam do niego przyszedł i podał mu miejsce spotkania. Zaskoczył go i to zaledwie dzień po zamieszanu z krwawym księżycem, które zmęczyło Dorianą fizycznie i psychicznie. Staruch się przygotował. Zebrał o nim informacje, by wykorzystać je w odpowiednim momencie. I miał go w garści. Ścisnął w swojej pomarszczonej pięści jak owada. Dyktował warunki, a Dorian musiał się do nich dostosować. Musiał zejść do tych podziemi, czy tego chciał, czy nie.

Był przerażony. Czy tę sytuację w ogóle dało się rozwiązać dla niego pomyślnie? Dla niego, czyli dla piątki porwanych? A może w rzeczywistości nie byli porwani? Poczł rozpaczliwe zażenowanie, że w ogóle dopuścił taką możliwość, jeszcze większe, gdy jego ciało zareagowało na bodziec i na ułamek sekundy poczuł się trochę lepiej. Może to był bluff? Sprytny fotomontaż? Może należało najpierw się upewnić, czy...?

Zerwał się z krzesła przed komputerem, choć w głębi wiedział, że sprawdzanie tego nie ma sensu i że Zet mówił prawdę. Przemienił się i wybiegł z mieszkania, kierując się na Mokotów, do bloku, w którym mieszkały Ewa i Gosia. Zwykle działał w nocy lub wieczorami, więc jego widok na ulicach Warszawy w świetle dnia zainteresował wielu gapiów, ale nie dbał o to. Dotarłszy do bloku Dziewczyn, nie bawił się w korzystanie z domofonu. Wyrwał z zawiasów drzwi na klatkę schodową, a potem to samo zrobił z tymi do ich mieszkania.

– Gosia? Ewa?

Wszedł do środka. Nie odpowiedziały mu. Nie wyczuwał tam żadnej ludzkiej obecności, jego moce nie dały mu znać o choćby najmniejszej ilości zła, smutku,

gniewu czy innych negatywnych emocji. Mimo to obszedł pokoje, nawołując Dziewczyny swoim podwójnym głosem, lecz nikogo nie znalazł.

Identyczne rezultaty przyniosły oględziny mieszkań lub domów pozostałych osób z filmiku. Dorian zaczął od osiedla Huberta, potem zajrzał do bloku pani Beaty, natomiast na plebanię przyszedł pod ludzką postacią i tam ksiądz Mikołaj niezbyt uprzejmie przypomniał mu o tym, co teoretycznie wiedział już wcześniej - że Szymon kilka dni temu wyjechał na zaległe rekolekcje i teraz przebywa poza Warszawą, ale można go złapać pod telefonem.

„Nie przebywa - pomyślał Dorian. - Uwierz mi, wiem to!”

Wrócił do siebie. Choć wciąż był skrajnie przerażony i miał trudności z trzeźwym myśleniem, próbował układać w myślach plan działania. Nie był w stanie się skupić i nie wiedział, czy to, co rodziło się w jego głowie, miało jakikolwiek sens, jakie były tego mocne i słabe punkty. Dysponował adresem, gdzie Zet rzekomo więził jego bliskich, miał również instrukcje, jak tam się dostać. Kazano mu przyjść o północy. To mogła być pułapka, a nawet należało jej się spodziewać. Sprawdził godzinę. Do zmierzchu zostało jeszcze kilka bezcennych godzin. W tej sytuacji należało przede wszystkim zrobić rozpoznanie w terenie. Sprawdzić ten budynek na tyle, na ile można. Podejść do niego z największą ostrożnością. Szukać błędów w planie tego bandyty.

Dorian mimowolnie przypomniał sobie zapłakaną twarz Gosi na ekranie i zacisnął pięść. Uświadomił sobie coś, co paradoksalnie dodało mu nieco otuchy.

Zet nie robi im krzywdy, dopóki ma pewność, że są jego zabezpieczeniem. Miał rację, że Dorian wyczuje ich obecność swoimi zdolnościami. Nikt nie zdoła go w tej kwestii oszukać. To okoliczność, która mu sprzyjała. Mała, niewiele zmieniająca, ale zawsze.

Nie zastanawiając się długo, tym razem wybiegł z mieszkania pod ludzką postacią i ruszył w kierunku Targówka.

\* \* \*

Niedługo potem dotarł w okolice wskazanego biurowca. Zdecydowanie nie należał do tych nowoczesnych, jakie można zobaczyć w centrach biznesowych miast. Był niezbyt wysoki i zaniedbany, przypominał zwykły blok mieszkalny.

Najprawdopodobniej nawet żadna firma oficjalnie z niego nie korzystała i stał pusty. Dorian rozglądał się, szukał podejrzanych samochodów lub ukrytych obserwatorów, również z wykorzystaniem swoich mocy. Nikogo takiego jednak nie dostrzegł ani nie wyczuwał. Pomyślał, że dobrym pomysłem będzie ukrycie się w pobliżu wejścia do budynku, czatowanie na ludzi, którzy ewentualnie mogli do niego wchodzić, i próba wyczytania z nich czegoś. Pierwsza okazja nadarzyła się szybciej, niż sądził. Wkrótce bowiem pod biurowiec podjechał spory terenowy samochód. Dorian podpełzł najbliżej, jak się dało, i kiedy wysiadło z niego pięciu potężnie zbudowanych mężczyzn, wyczuł w nich doświadczonych silnorękich z Łodzi, którzy przyjechali tutaj w tylko jednym celu - zabicia go. Rozejrzeli się, po czym wyciągnęli z bagażnika kilka sportowych toreb, z których przy każdym ruchu wydobywały się ciche, metaliczne brzęki. Weszli do budynku.

Dorian poczuł narastające podniecenie proporcjonalne do strachu o los bliskich, lecz zaraz postarał się je stłumić. Dowiedział się czegoś ponad wszelką wątpliwość. Konkretnie: że Zet szykuje na niego zasadzkę. Jeżeli plan gangstera polegał na napuszczeniu na niego najbardziej bezwzględnych i pozbawionych skrupułów goryli w tym kraju, istniała duża szansa, że się nie powiedzie. Dorian radził już sobie z podobnymi indywiduami i miał wprawę w walce wręcz z takimi jak oni. Nie mogli go przestraszyć ani niczym zaskoczyć. Zastanowiło go jednak co innego. Czy biorąc pod uwagę wydarzenia poprzedniej nocy, kiedy to dał skuteczny odpór pięciometrowemu potworowi, Zet nie powinien się domyślić, że takie siły to na niego za mało?

Zaraz jednak pod biurowiec podjechało jeszcze jedno auto. I znowu wysiadło z niego kilku osiłków, tym razem z Radomia. Podobnie jak poprzedni rozejrzeli się, wyjęli z bagażnika sprzęt i bez słowa weszli do budynku. I podobnie jak poprzedni już wiedzieli, dlaczego ich tu wezwano i na czym będzie polegać ich zadanie.

A potem przyjechali następni. I następni. I kolejni, kolejni, kolejni... Z Trójmiasta, Poznania, Szczecina, Bydgoszczy, Wrocławia, Krakowa, Lublina, Olsztyna i wielu innych miast. Zawodowi mordercy, najbrutalniejsi pseudokibice z grup chuligańskich, dobrze wyszkoleni w walce wręcz byli agenci służb specjalnych, także zza wschodniej granicy, czasem nawet skorumpowani przez Zeta funkcjonariusze policji z najlepszych grup antyterrorystycznych, żołnierze, członkowie radykalnych grup paramilitarnych, profesjonalni zawodnicy sportów



walki, którzy po godzinach dorabiali, pracując dla mafii. W pewnym momencie pojawił się nawet osławiony Piołun - boss, którego Dorian bezskutecznie szukał, kiedy zaczynał działalność. Łącznie ponad sto pięćdziesiąt osób. Wszystkie, co do jednej, miały ten sam cel.

Zniszczenie największego wroga ich szefa. Dorian wyczytał to z nich bardzo wyraźnie. I wciąż się zastanawiał, czy to, że ich widzi, to element większego planu, czy przeoczenie.

Wyczuwał w nich też strach przed Zetem. Widział swoim szóstym zmysłem scenki, w których niektórzy mieli „zaszczyt” nawet spotkać go osobiście. Widział w tych wspomnieniach jego maskę i plamy wątrobowe na powykręcanych, gnijących dłoniach. Wyczuwał jego odór, słyszał jego tak stary, że niemal trupi głos, taki sam, jak na nagraniu. Dowiedział się również, że podziemia pod biurowcem mają więcej zastosowań - na przykład służyły jako ogromny magazyn trefnych fantów.

Ani się obejrzał, jak nad Warszawą zapadł zmierzch, potem zrobiło się całkiem ciemno, a dla niego wybiła godzina zero. Równie o północy wyszedł ze swojej kryjówki i zachowując największą ostrożność, wszedł do budynku tą samą drogą, co bandyci, których obserwował przez całe popołudnie. W środku zastał zakurzony, pogrążony w mroku hol. Panowała w nim cisza, zdawało się wręcz, że biurowiec stanowi jeden wielki pustostan. Dorian rozejrzał się po rogach pomieszczenia i dostrzegł liczne kamery, które reagowały na jego ruch. Zignorował je jednak i wskoczył na sufit, uznawszy, że poruszając się niekonwencjonalnie, będzie bezpieczniejszy. Przepętlął głębiej, szukając wejścia do piwnic. Niewiele czasu zajęło mu znalezienie zarówno ich, jak i niepozornych, białych, choć bardzo brudnych drzwi z rysą biegnącą przez prawie całą ich przekątną. Zeskoczył z sufitu, zacisnął dłoń na klamce i pociągnął za nią z całej siły. Zamek nie miał żadnych szans i pękł z głośnym trzaskiem, a drzwi wylądowały z łoskotem na ziemi.

Rozejrzał się po zapyziałym pomieszczeniu przypominającym najzwyczajszą komórkę na graty, narzędzia lub przetwory. Zobaczył w niej kolejne drzwi. Je także wyrwał z zawiasów i wszedł głębiej w ciemny tunel. W swojej bezpośredniej bliskości nie wyczuwał żadnych ludzi, co trochę go zaniepokoiło, bo wciąż miał na względzie, że jego zdolności nie były w stanie wyczuć zagrożeń ze strony zwierząt

albo śmiertelnych maszyn. Wreszcie wszedł w trochę większą przestrzeń i zapaliło się nad nim nieprzyjemne słabe światło.

Znajdował się w szerokiej, brudnej, betonowej klatce schodowej o przekroju kwadratu, w której prowadzące na dół stopnie wiły się spiralnie przy ścianach. Obok niej zaś zobaczył wejście do przemysłowej windy. W kątach pod sufitem oczywiście nie zabrakło kolejnych kamer.

Podszedł do schodów i spojrzał w dół szerokiego kwadratowego szybu między nimi, który zdawał się nie mieć końca. Wokół cicho brzęczały jarzeniówki. Dorian zerknął na windę, ale uznał, że dla własnego bezpieczeństwa lepiej będzie zrobić to inaczej, niestandardowo, a przede wszystkim szybciej.

Przeskoczył barierkę i spadł w otchłań.

\* \* \*

Głębokość szybu go zaskoczyła. I to bardzo. Ześlizgiwał się po barierkach jak parkourowiec, przeskakując po kilka poziomów schodów. Spodziewał się, że zajmie mu to maksymalnie chwilę, ale ta zamieniła się w dwie, potem trzy, dziesięć, kilkadziesiąt, sto... Nie liczył, ile poziomów schodów pokonał, ale na oko prawie trzysta, co oznaczało, że znajdował się dobry kilometr pod ziemią. Wreszcie, kiedy na dobre stracił nadzieję, że dokądś dotrze, zobaczył pierwsze drzwi. Rozpostarł pazury i chwycił najbliższy fragment poręczy. Wyhamował tak gwałtownie, że o mało jej nie połamał, ale wytrzymała. Wskoczył na schody i się rozejrzał. Wciąż nie dotarł na sam dół, ale wołał nie ryzykować. Wyostrzył swój szósty zmysł.

Czuł to już wtedy, gdy pokonywał kolejne metry w dół, ale działało to jak klasyczne gotowanie żaby, które odbywa się tak wolno, że ta, wrzucona najpierw do zimnej wody, długo nie zdaje sobie sprawy, że coś się z nią dzieje. Im dalej od powierzchni się znajdował, tym większe zło odczuwał. Takie, z jakim jeszcze nie miał do czynienia, odkąd objawiły się jego zdolności. Tam, na górze, na zewnątrz budynku, nie miał szans go zlokalizować, bo znajdowało się zbyt daleko. Dopiero teraz wyczuwał jego bliskość. Niewyobrażalnej ilości zła skupionego w jednym miejscu. Było nim przesiąknięte niczym nawiedzony dom, w którym wydarzyła się brutalna zbrodnia. Jej echo wówczas w nim zostaje, niekiedy pod postacią

niespokojnych dusz ofiar uwięzionych tam na zawsze. Nie chodziło wyłącznie o Zeta, który rzeczywiście tutaj był i znowu okazało się, że na tym nieszczęsnym nagraniu nie kłamał. Miał na sumieniu ponad sto lat grzechów: morderstw, kradzieży, oszustw, pobić, gwałtów i przemocy psychicznej. Chodziło również o całą armię jego oprychów. Także o ich ofiary, których energię - wspomnienie strachu, frustracji i rozpacz - Dorian odbierał swoim radarem jako integralną część betonowych murów tego piekła.

P i e k ł a . Przysięgłby, że to słowo przyszło mu na myśl jako pierwsze. Zwłaszcza biorąc pod uwagę temperaturę. Nie miał w głowie termometru, ale czuł się jak w środku upalnego lata; w porównaniu z powierzchnią jakieś dwadzieścia stopni różnicy. Zaczął się pocić.

Atmosfera tego miejsca była tak zła, że miał trudność z rozpoznaniem, czy Zet naprawdę uwięził tutaj jego bliskich. Spróbował się skupić, uniósł głowę i nabrał powietrza. Pomimo gorąca panującego wokół jego ciało pokryło się gęsią skórką i przeszyły je ciarki, a włosy stanęły dęba jeszcze bardziej.

Byli tutaj. Wszyscy. Zet nie kłamał.

Szósty zmysł prowadził Doriana jak na smyczy, jak psa, który wyczuł trop. Wiedział, że Zet jest niedaleko, i to na nim teraz się skupiał. Nic nie mogło go powstrzymać. Za moment miał spotkać najbardziej złego faceta w Polsce, kto wie, może nawet na świecie. Wreszcie miał go zobaczyć, poczuć jego obrzydliwy smród, wreszcie miały przemknąć mu przed oczami wszystkie grzechy tego starucha ze szczegółami, a nie - jak teraz - ich niewyraźna, nieuporządkowana, wymieszana papka. Wszystkie grzechy, a więc całe życie, prawie jak w oczach człowieka, który ma zaraz umrzeć, z tą różnicą, że Dorian widział nie swoje przewinienia, lecz cudze. Chciał to zobaczyć, a potem zmusić go do uwolnienia Dziewczyn, Beaty, Huberta i Szymona. Chciał ujawnić jego istnienie całemu światu, w tym powiązania z politykami. Chciał, by się wściekł i przeraził, bo o dziwo - tych emocji w jego unikatowej kombinacji zła nie wyczuwał, w każdym razie nie z tej odległości.

Drzwi oczywiście były zamknięte, lecz z łatwością wyrwał je z zawiasów. Za nimi zastał rozświetlony, długi, szeroki i wysoki na cztery metry korytarz z wejściami do wielu pomieszczeń po obu jego stronach. Było w nim wprost gęsto od mężczyzn w kominiarkach, trzymających pałki, kije bejsbolowe i kastety. Ich liczebność nie zrobiła na Dorianie żadnego wrażenia. Tylko go zirytowali. Nie

chciał tracić czasu na zbędne formalności, toteż wystrzelił w ich kierunku, by jak najszybciej dotrzeć do Zeta, którego zlokalizował za drzwiami na końcu korytarza. Działał jak w transie, jak automat, android ze sztuczną inteligencją, z oprogramowaniem, które jasno określa, jak postępować w danej sytuacji, gdy wszystkie zmienne ma na tacy.

Nim jednak zdołał dotrzeć do pierwszego przeciwnika, wszedł w niewidoczną czujkę ruchu. Sufit otworzył się i w następnej sekundzie cały korytarz oblały tysiące litrów wody. Dorian nie wiedział, co się dzieje, lecz momentalnie poczuł dotkliwy ból, jakby coś przypalało go rozżarzonym metalem, jakby oblano go lawą, choć woda była letnia. Padł na kolana, przeraźliwie wrzeszcząc, a na jego ciele pojawiły się liczne oparzenia, które syczały, jakby sam składał się z ognia. Nie mógł się ruszyć, stracił jasność myślenia, czuł jedynie ból, tylko on zajmował teraz jego głowę.

Ból, pokora i nienawiść. Pokora przed mocą, której musiał się poddać i której demon tkwiący w nim nienawidził najbardziej na świecie. Mocą dobra i wody święconej, którą go oblano.

Walczył o odzyskanie przytomności umysłu i dopiero po czasie uświadomił sobie, że ktoś przy nim stoi. Z trudnością uniósł głowę i zobaczył w dłoni tej osoby krucyfiks. Na głowie zaś siwe włosy. Okulary. Zobaczył bladą, pomarszczoną, znajomą twarz, a w jej oczach strach, bezradność i upokorzenie. Zobaczył znajome usta, które poruszały się cicho, wypowiadając znajome słowa. Nie zobaczył tylko znajomej sutanny, ale zwykłe, cywilne ubranie. Nic z tego nie rozumiał, lecz nie miał czasu nawet nad tym pomyśleć, kiedy jakaś siła kazała mu na powrót skłonić pokornie głowę przed krzyżem. Siła dobra. Siła Boga, którego ksiądz Kropidłowski wzywał właśnie w modlitwach o uwolnienie od złego ducha.

Dorian wciąż nie mógł się ruszyć, dosłownie skamieniał i wypełnił go ekstremalny lęk. Próbował przeanalizować, ułożyć sobie w głowie, co się właściwie stało, ale jego umysł zatracił nawet tak podstawową zdolność. Teraz potrafił myśleć wyłącznie o tym, że musi okazać szacunek Bogu, jedynej sile, która miała nad nim jakąkolwiek władzę. Próbował z tym walczyć, próbował się przed tym powstrzymać, ale jego mięśnie w końcu nie wytrzymały i padł na mokrą od wody święconej podłogę, doznając kolejnych bolesnych oparzeń.

- N-nieeee! - przeciągnął to słowo, a jego ludzki głos wymieszał się z demonicznym. Już nie brzmiały synchronicznie, tylko jeden przechodził w drugi

i na odwrót. Zmusił się, by poderwać głowę, i jak zahipnotyzowany wpatrzył się w wyciągnięty w jego stronę krucyfiks. Usiłował spojrzeć dalej, na proboszcza własnej parafii, za którym stał staruch w masce. Choć miał problemy z zachowaniem przytomności i korzystaniem ze swoich mocy, wyczuł, że Kropidłowski nie boi się opętanego, z którym - jako najbardziej ceniony i doświadczony egzorcysta w Warszawie - miał już wielokrotnie do czynienia i wiedział, jak z nim postępować. Nie bał się nawet demona, z którym już kiedyś walczył, gdy ten przejął ciało Klaudii Strzelczyk.

Bał się za to gangstera, który za nim stał i przykładał mu lufę pistoletu do potylicy.

Dorian ryknął dziko, a jego głos rozniósł się echem po podziemiach. Drżał na całym ciele, jakby miał atak padaczki, i zaczynał widzieć coraz mniej wyraźnie. W głowie narastał mu szum, kakofonia, jak gdyby zbiorowe mamrotanie. Dusza, połączona w jedno z demonem, paliła go żywym ogniem. Pocił się obficie i wił na podłodze. Kiedy na moment odzyskał namiastkę jasności umysłu, zdał sobie sprawę, że półprzytomny leży na plecach, a mężczyzna w masce nie stoi już za bez przerwy modlącym się Kropidłowskim, tylko obok niego, nad Dorianem. Do księdza celował teraz ktoś inny.

- Obiecałem ci rozmowę, więc rozmawiajmy. Przy święconej herbatce. - Zet rozłożył pomarszczone ręce, w których trzymał pistolet i własny, dodatkowy krucyfiks. Jego słowa ledwo przebijały się przez hałasy w głowie Dorigana, który wciąż nie mógł się ruszyć, jakby był przyklejony do podłogi.

Zet ukucnął przy nim.

- Może zacznę od najprostszego pytania - powiedział. - Naprawdę myślałeś, że będę na tyle głupi, żeby walczyć z tobą za pomocą armii oprychów? Albo że wtajemniczę ich w najważniejszą część planu, żebyś wyczuł podstęp? - Wskazał za siebie.

Ludzie Zeta, niektórzy zaskoczeni, niektórzy zszokowani, za to wszyscy cali mokrzy, z trudem podnosili się na nogi, dochodząc do siebie po tym niespodziewanym, brutalnym prysznicu, który sprawił, że większość z nich straciła równowagę i upuściła broń. Część kaszłała, próbując wykrztusić wodę.

- Nic z tego. - Zet poklepał Dorigana krucyfiksem po policzku. Przeciągnął jego czubkiem w kierunku drugiej twarzy pod skórą na klatce piersiowej, która

również przyjęła zboląły wyraz.

Dorian nie mógł już wytrzymać modlitw Kropidłowskiego, które odbierały mu podstawowe zdolności rejestrowania obrazów, dźwięków i zapachów. Nie pozbawiły go jedynie zmysłu dotyku, o czym świadczył palący ból.

Stracił przytomność. Stracił również poczucie czasu i wydało mu się, że nie minęło nawet kilka sekund, gdy ponownie się rozbudził. Uświadomił sobie jednak, że nie znajduje się już w korytarzu, a w lochu, prawie takim samym jak te, które widział na obrazach z kamer na nagraniu w swoim laptopie. Prawie, bo tutaj ściany, sufit i podłoga były pokryte krucyfikami - przybitymi lub przyklejonymi. Tak gęsto, że ledwo dało się tam znaleźć skrawek wolnej przestrzeni. Dorian znajdował się w centrum pomieszczenia, w wielkim, przezroczystym zbiorniku z wodą święconą, przypięty za nogi i ręce łańcuchami do jego dna i ścianek. Wystawała mu z niego jedynie głowa, reszta była zanurzona. Zanurzona w bólu, który trawił teraz każdy narząd, każdą kosteczkę, każdą komórkę ciała. Skóra pokrywała się oparzeniami i bąblami, które za moment znikwały, a potem wszystko zaczynało się od początku. Bolało od początku. Wrzeszczał, cierpiał, nie mógł skupić myśli. A jego demon cierpiał razem z nim.

W lochu znajdowało się jeszcze kilka osób trzymających krucyfiksy. Kiedy Dorian zobaczył w ich dłoniach metalowe dewocjona, natychmiast zamknął oczy. Słyszał, że wśród nich nadal jest Kropidłowski, który mamrotał cicho te same modlitwy. Któryś z bandytów Zeta najprawdopodobniej znowu przykładał mu pistolet do głowy. Najprawdopodobniej. Przez modlitwy i palący ból rozsadzający ciało Dorian możliwości jego radaru znacznie osłabły. Miotał się, oddychał głęboko, miał problemy ze skupieniem, docierały do niego jedynie strzępy, niewyraźne motywy, których za moment już nie pamiętał. Z trudem otworzył oczy i spojrzał na twarz proboszcza, starając się nie patrzeć na jego usta. Oblicze księdza Ludwika wypełniało przerażenie.

- Witaj ponownie! - rozległ się stłumiony maską głos Zeta, a działające z utrudnieniami zmysły Dorian, w tym węch, dopiero teraz zarejestrowały jego obecność i smród gnicia. - Mam dla ciebie niespodziankę - dodał.

Stał przy nim ktoś jeszcze, z rękami związanymi z tyłu, ale twarz tej osoby była ukryta pod lnianym workiem.

- Zobacz, kto do ciebie przyszedł! - zapiał triumfalnie Zet i ściągnął worek. Dorian wytrzeszczył oczy.

To była kobieta.

Ewa.

Miała zakneblowane usta i oczy zakryte przepaską. Zaczęła się wiercić i żałośnie zawodzić, ale więzy i silny chwyt trzymających ją bandytów nie pozwalały jej się wyrwać.

– Poznajesz? - zapytał kpiąco Zet.

Dorian czuł w tym momencie mieszkankę wszystkich stanów, w jakich może znajdować się człowiek. Nie tylko emocjonalnych, w których na przemian ogarniały go wściekłość, strach, pokora i absurdalny żal za grzechy, do jakich zmuszały go woda święcona, krucyfiksy oraz modlitwy Kropidłowskiego. Jego organizm działał teraz jak zepsuty, zawirusowany komputer, na którym odbywały się kolejne operacje niemające nic wspólnego z logiką - z jednej strony był maksymalnie pobudzony i przepełniony bólem, z drugiej z wyczerpania ogarniała go senność i miał potężne trudności z zachowaniem uwagi.

– Ty... potworze! - warknął, wypowiadając każdą sylabę w innej tonacji. Jego głos mieszał się z niższym, nieludzkim. Nawet wypowiedzenie tak krótkiej kwestii sprawiło mu ból.

– Uznam to za potwierdzenie - odparł spokojnie Zet.

Dorian próbował coś powiedzieć, ale wydawało się, że jego język zamienił się w kisiel.

(Wściekłość. Modlitwy. Strach. Pokora. Nienawiść. Ból. Woda święcona. Żal za grzechy. Potęga Boga. Dobro, któremu należy oddać pokłon).

Mrugał intensywnie, wijąc i miotając się w żrącej wodzie jak w agonii. Wydawał z siebie nieludzki ryk, który roznosił się echem po lochu.

– Zo... zostaw ją w spokoju! - warknął, przeciągając każde słowo.

Zet podszedł do zbiornika z wodą. Podsunął Dorianowi krucyfiks przed twarz, a on nie potrafił mu się oprzeć. Na moment zapomniał o bólu, wytrzeszczył oczy i wlepił je w metalową figurkę Chrystusa.

(Nieskończenie dobra boża energia. Poddanie. Bezsilność. Posłuszeństwo).

(Twarz w masce przypominającej karykaturalną głowę lalki. I ten zapach. Starcza woń żywej śmierci! Zapach, smród, odór!!!)

- Ja mam zostawić ją w spokoju? - zapytał Zet. - To na mnie przerzucasz winę? Za to, że pomimo celibatu nie potrafiłeś powstrzymać się przed włożeniem kutasa tam, gdzie nie trzeba? Za to, że trzymałeś zdjęcia swojej córeczki w telefonie? A może za to, że opowiedziałeś o niej tej ładniutkiej pani psycholog? No i uwierz mi, naprawdę, nawet bym się tym nie zainteresował, gdybyś nie zaczął kozaczyć i psuć mi biznesu. Podskakiwałeś, to się doigrałeś. Normalna kolej rzeczy. I wyłącznie twoja wina.

Dorian z całej siły próbował zerwać łańcuchy i wyrwać starcowi z ręki ten cholerny krzyż, ale nie był w stanie - woda święcona i modlitwy Kropidłowskiego krępowały jego ruchy. Zet przybliżył jeszcze bardziej krucyfiks do jego twarzy, jakby drażnił się z agresywnym zwierzęciem zamkniętym w klatce. Wreszcie wsadził mu końcówkę przedmiotu do ust. Dorian odczuł to tak, jakby ktoś wiercił mu dziurę w zębie, tylko cierpiał dziesięć razy mocniej. Ryknął z bólu.

*(Rozkazuję i polecam mocą Boga wszechmogącego, w imię Jezusa Chrystusa Zbawiciela, przez wstawiennictwo Niepokalanej Dziewicy, wszystkim duchom nieczystym, wszystkim ich objawom, które mnie niepokoją, aby mnie opuściły natychmiast, aby mnie opuściły raz na zawsze i by poszły do piekła wieczystego, związane przez świętego Michała Archanioła, świętego Gabriela, świętego Rafała, przez naszych Aniołów Stróżów, zmiażdżone pięcią Najświętszej Dziewicy Niepokalanej...)*

Słyszał to w swojej głowie wypowiedane głosem Kropidłowskiego, jakby zniekształconym, karykaturalnym, do tego spotęgowanym echem i dobiegającym z wielu stron. Czuł, że zaraz postrada zmysły. Z bólu, mętliku w głowie od emocji, których nadmiar wysysał z niego siły i chęć do życia. Chciał błagać, by Zet oderwał od niego ten nieszczęsny krzyż. Błagać o litość.

- A wiesz, co jest najpiękniejsze w twojej największej słabości? - Zet zaczął szeptać mu do ucha. Złapał go za włosy, drugą ręką natomiast wepchnął mu końcówkę krucyfiks głębiej do ust. Dorian jęknął żałośnie. - Że składają się na nią dwie osoby, a nie jedna - podjął Zet. - Podręcznikowy przykład sytuacji, w której można zjeść ciastko i mieć ciastko. Więc teraz patrz uważnie.

Dorian nie odbierał już rzeczywistości w pełni świadomie. Czuł, że w jego mózgu wszystko wywraca się na drugą stronę. Nie był pewien, czy bandyci Zeta naprawdę podeszli do Ewy i wbrew jej protestom rozebrali. Nie był pewien, czy naprawdę przytrzymali ją i brutalnie zgwałcili, podczas gdy będący na muszce Kropidłowski dalej, jak w jakimś koszmarnym śnie, mamrotał modlitwy, choć sam



starał się na to nie patrzeć, a spod zamkniętych powiek spływały mu łzy. Dorian nie był pewien, czy sam naprawdę nie mógł zamknąć oczu, aby odciąć się od tego okropnego widoku, czy demon w nim nakazywał mu na to patrzeć, słuchać i napawać się każdym doznaniem, całym złem, jakie wypełniało to miejsce. A może to Zet przytrzymywał mu powieki swoją przegniłą, pomarszczoną dłonią? Nie wiedział, czy to wszystko działo się naprawdę, czy nie było jednym wielkim majakiem jego opętanego umysłu. Piekieł, do którego wszyscy trafili, kiedy umieszczono ich w podziemiach. Z człowiekiem w masce jako samym diabłem, który za pomocą krzyża nakazywał Dorianowi być posłusznym.

Bandyci Zeta krzywdzili Ewę tak długo, jak pozwoliła im fizjologia. Po wszystkim, zmęczeniu i spoceni, puścili ją. Padła bezwładnie na brudną podłogę, mokra od nasienia, potu, łez i krwi. Drżała na całym ciele. Wydawała odgłosy podobne jak Dorian, przypominające zawroźnienie rannego, dogorywającego zwierzęcia.

– Napatrzyłeś się? - zapytał Zet. - Więc pora na finał.

Nim Dorian w swojej zaburzonej percepcji rzeczywistości zdołał choćby spróbować zinterpretować jego słowa, boss wyciągnął pistolet, wycelował w tył głowy Ewy i pociągnął za spust. Dorian ryknął rozpaczliwe, przeciągnięte „Nieeee!!!” stłumione przez krucyfiks, który działał na jego usta jak knebel. Z rozbitej czaszki Ewy wytrysnęły krew i fragmenty mózgu. Zaraz po tym przestała się ruszać, przestała nawet drżeć, lecz Dorian wciąż wyczuwał echo jej strachu, krzywdy i upokorzenia, jakby ich rozmiar sprawiało, że pozostawiały po sobie ślad także po śmierci kobiety.

Bandyci powtórnie wyciągnęli krucyfiksy w stronę Dorigana i dopiero wtedy Zet wyjął swój z jego ust.

– Wybacz, nie mogłem sobie odmówić przyjemności ukarania cię za to, jak mnie wkurzyłeś - powiedział lekceważąco.

Dorian wpatrywał się w niego z nienawiścią, a z jego oczu spływały czarne łzy.

– Zanim zrobisz coś głupiego, pamiętaj, że wciąż mam twoją córeczkę. Bądź grzeczny, a nic jej się nie stanie. Jeżeli nie będziesz, przeżyje coś podobnego do tego, co właśnie zobaczyłeś. - Zet wskazał bezwładne ciało Ewy. - Tylko na koniec jej nie zabiję, aby móc to powtórzyć. Aby móc to powtarzać w nieskończoność. Mam w ekipie chłopaków o różnych upodobaniach. Ewentualnie zmuszę do tego

twojego proboszcza. - Spojrzał na Kropidłowskiego, a ten odpowiedział mu wzrokiem pełnym odrazy. - Księża chyba nie mają względem dzieci problemów... sprzętowych? - Zaśmiał się, po czym niespodziewanie znowu złapał Doriana za włosy. Siłą zanurzył go w całości w zbiorniku z wodą święconą.

Dorian poczuł dotkliwy ból również na twarzy, na której pojawiły się czerwone bąble. Odruchowo otworzył usta, samemu nie wiedząc, czy chce dalej wrzeszczeć, czy jedynie nabrać tchu, lecz w ten sposób tylko oparzył sobie jamę ustną, gardło i żołądek. Cierpiał, tonął w wodzie, w bólu, w bezsilności i rozpaczony tak długo, aż znowu stracił przytomność.

# ROZDZIAŁ XLII

Obudził się w głębokim mroku pachnącym wilgocią, betonem i stęchlizną. Stwierdził, że w jego bezpośredniej bliskości nie ma już ani Kropidłowskiego, ani Zeta, on sam zaś nie stoi skrępowany łańcuchami w zbiorniku z wodą święconą. Mógł na powrót się ruszać i korzystać ze swoich zdolności, choć wciąż odczuwał osłabienie i echa bólu, jaki wiązał się z niedawnymi torturami. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że swoim szóstym zmysłem w ciemności odbiera obecność jeszcze jednej osoby. Dawida Volkodlaka. Wyczuwał kombinację traum, bóleści, poczucia winy i starych grzechów charakterystyczną tylko dla niego jak kod genetyczny lub odciski palców. Wstręt do samego siebie, do tego, czym stawał się podczas pełni. Lęk przed spojrzeniem na księżyc. Dorian przeczytał, że Dawid nigdy nie chciał stać się kimś takim i najchętniej by się tego pozbył. Wyczuwał też strach o ukochaną kobietę, upokorzenie i nienawiść do człowieka w masce, który również jego zmusił, by uczestniczył w tym wszystkim wbrew swojej woli.

– Nadeszła chwila prawdy! - rozległ się echem głos Zeta, lecz nie czysto, a jakby przez głośnik.

Po tych słowach zapaliło się światło. Kontrast w porównaniu z mrokiem sprzed chwili był zbyt duży i Dorian potrzebował czasu, by tym razem przyzwyczać się do jasności. Okazało się, że znajduje się w wysokim pomieszczeniu, które przypomina wielką halę magazynową z półkolistym sklepieniem lub ogromny zbiornik na paliwo zbudowany w całości z betonu. Nie miało drzwi, w każdym razie na pierwszy rzut oka. Dawid leżał po jego drugiej stronie, skrępowany mocnymi więzami i mający coś na twarzy. Dorian jednak nie skupiał się na nim,

tylko gorączkowo wypatrywał wyjścia stąd, najpewniej ukrytego gdzieś w podłodze lub za oświetleniem na suficie.

– Panie i panowie! - Głos Zeta ponownie rozległ się z kilku megafonów zamontowanych na ścianie. Głos pełen satysfakcji i rozbawienia. - Oto pojedynek, którego w dziejach świata jeszcze nie było! *Freak fight*, o którego transmisję biłyby się wszystkie telewizje. *Freak fight* wreszcie w pełnym tego określenia znaczeniu! Dwóch najpopularniejszych polskich nadludzi stanie do walki, aby raz na zawsze rozstrzygnąć, który z nich jest lepszy! Czekają nas wielkie emocje!

Dorian spojrział z niepokojem na skrępowanego Dawida, po czym uniósł głowę do sufitu i zawołał:

– Nie będę z nim walczyć! Nie chcę!

– Nie będziecie mieli wyboru, robaczki - odpowiedział spokojnie Zet, po czym chwycił swojego smartfona. Dotknął na ekranie wirtualnego białego przycisku.

Dorian myślał gorączkowo, rozglądając się po kopule, w której zostali uwięzieni. Musiało być stąd jakieś wyjście. Podbiegł do ściany i dopiero wtedy zobaczył, że całe półkoliste sklepienie gęsto pokrywają krucyfiksy, podobnie jak w jego celi. Automatycznie od nich odskoczył, jakby parzyły. Nawet nad tym nie myślał, jego ciało podjęło decyzję za niego.

Przeklął w myślach. Chyba mieli problem.

Zaczynał coraz obficiej się pocić. W pomieszczeniu było jeszcze goręcej niż w korytarzach. Panowała w nim niesamowita duchota, która w połączeniu ze strachem działała jak słońce na pustyni.

– Dawid! - Odwrócił się w jego stronę i zadał pytanie, które z pewnością należało uznać za retoryczne. - Wiesz, jak stąd wyjść?

Urwał, kiedy to zobaczył. Skrępowany Dawid głęboko oddychał, jego ciało pompowało spazmatycznie powietrze. Drżał i coraz głośniej rzeźił. Nie ruszał się jednak tak gwałtownie, jak mógłby, i Dorian zdał sobie sprawę, że jest nie tylko związany, ale jak gdyby przymocowany do podłogi każdą częścią ciała. Głową też.

– Dawid?

Nie podobało mu się to, co widział. A już tym bardziej tutaj, kiedy Zet najpewniej dopilnował każdego szczegółu i nie mogli się stąd wydostać.

Mięśnie Dawida powiększyły się tak bardzo, że rozerwały sznury, którymi był związany. Jego półnagie ciało pokryło się potem i nabrzmiałymi żyłami. Rzęzenie

wydobywające się z zakneblowanych ust płynnie przechodziło w agresywny warkot. Rozerwał knebel, a potem pozbył się z głowy również czegoś, co miał na oczach. Przypominało gogle, ale bez szkieł, za to z haczykami okulistycznymi, którymi podczas operacji oczu unieruchamiało się otwarte powieki pacjenta.

– Nie! Błagam, nie! - ryknął Dawid. Klęknął.

Dorian stał jak skamieniały. Chciał mu pomóc, ale jednocześnie nie wiedział jak i zwyczajnie bał się do niego podejść. Kiedy Dawid uniósł przepoconą, pokrytą żyłami i bladą jak ściana twarz ku sufitowi, Dorian spojrział tam, gdzie on, i wreszcie to zobaczył.

Kulę imitującą księżyc w pełni, zwisającą ze sklepienia. Świeciła srebrzystym blaskiem.

Dorian zrozumiał, co miał na myśli Zet, mówiąc, że nie będą mieli wyboru. Chował kolejnego asa w rękawie, choć mogło się wydawać, że zużył już całą talię kart.

Niewiele myśląc, Dorian wystrzelił w kierunku kuli, odbił się od ziemi i podskoczył najwyżej, jak umiał. Zdołał do niej doskoczyć. Rozpostarł pazury i rozbił świecący przedmiot jednym uderzeniem dłoni. Było już jednak za późno.

– Nie! - zaryczał Dawid, kiedy Dorian wylądował niedaleko za nim. Jego głos miał już niewiele wspólnego z ludzkim. Chwycił się obiema dłońmi za twarz, lecz zaraz je opuścił. Zwierzęcy instynkt przetrwania powoli przejmował nad nim kontrolę. Nie pozwalał bestii robić sobie krzywdy, chyba że była mowa o odgryzieniu własnej kończyny, aby uwolnić się z wnyków.

– Oślepmie! - wrzasnął bełkotliwie Dawid.

– Co? - Dorian go nie rozumiał.

– Wyłup mi oczy! Oślepie mnieeee!!! - zaryczał, rozkładając ręce i wyginając szyję do tyłu. Wreszcie podniósł się na nogi i spojrział wściekle na Doriana. Jak na człowieka był ogromny - miał dwa i pół metra wzrostu, a mięśnie kilka razy większe niż normalnie. W jego oczach próżno było szukać choćby cząstki ludzkiej świadomości. Były puste i skupione na przeciwniku. Rozwarł dłonie tak, jakby kończyły się szponami.

– Ależ szykują się emocje! - z głośników ponownie rozległ się głos Zeta. - Zainwestowałem w waszą promocję w moich mediach tyle forsy, że sam jestem ciekawy, jak to się skończy! Człowiek-demon kontra mój arcy mistrz mieszanych

sztuk walki wspomagany dopingiem księżycy w pełni! Ale nie martwcie się, tutaj nikt ze wspomagania was nie rozliczy, bo dobro widowiska jest najważniejsze. Tylko arena, zero uciekania, tylko walka na gołe pięści. Zjawiska nadprzyrodzone kontra ludowe legendy. Niech wygra lepszy!

Dawid rzucił się na Doriana z wściekłym rykiem. Zamachnął się, lecz ten przeskoczył nad nim i wylądował kilka metrów dalej. Dawid zatrzymał się raptownie i odwrócił za przeciwnikiem. Warczał, szczyrzył zęby, w jego ustach pieniała się ślina, a z oczu biła zwierzęca furia. Nie odrywał spojrzenia od Doriana, zdeterminowany, żeby go dopaść i zabić.

Wystrzelił w jego kierunku z szybkością i skocznością, na jaką normalnie nie byłoby stać człowieka o takiej posturze i wadze. Tym razem nie chciał go uderzyć, tylko złapać, lecz Dorian znowu uniknął potężnych rąk Volkodlaka i przeskoczył kilka metrów dalej.

Myślał gorączkowo. Nie mógł uciekać w nieskończoność. Należało jak najszybciej to zakończyć. Tylko czy dało się to zrobić inaczej, niż pokonując tego olbrzyma? Nie zabijając. Należało go uziemić, sprawić, by stracił przytomność. Wielu bokserów wygrywało walki z większymi od siebie sprytem i szybkością, a stara mądrość głosiła, że nie ma ludzi odpornych na ciosy, są wyłącznie źle trafieni. Pytanie, czy to samo tyczyło się również nadludzi?

Wyprostował się i opuścił swoje szponiaste dłonie.

- Dawid - odezwał się dwoma głosami, a olbrzym znowu odwrócił się do niego przodem, wściekły, że nie może go dostać. Zmarszczone brwi Volkodlaka praktycznie zakrywały mu oczy. - Wiedz, że to nic osobistego. Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale ten sukinsyn nie daje mi wyboru. Postaram się, żebyś wyszedł z tego bez szwanku. - Rozłożył ręce w przyzywającym geście.

Dawid znowu zaatakował. Dorian jednak tym razem nie uskoczył, tylko wyciągnął dłonie przed siebie i złapał go za nadgarstki. Użył pazurów na stopach, aby wytworzyć opór i coś w rodzaju ukośnej podpórki, która miała wyhamować impet uderzenia. Udało się. Zwarli się w uścisku, próbując nawzajem się przepchnąć. Choć Dawid nie myślał jasno, nie dało się nie zauważyć, że nawet w tym stanie na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Nie potrafił uzyskać przewagi w siłowaniu się z na oko trzykrotnie lżejszym przeciwnikiem.

Dorian napiął mięśnie jeszcze bardziej, wyszczerzył z wysiłku swoje ostre, rekinie zęby i spojrzał Dawidowi w oczy. Zacisnął palce na jego nadgarstkach tak mocno, że ten nie mógł się uwolnić. Spróbował przekręcić ręce Volkodlaka, co mu się stopniowo udawało. Dawid warknął z bólu. Dorian uznał to za sygnał, zebrał całą siłę, jaką posiadał, i rzucił nim w bok. Dawid odleciał na kilkanaście metrów i uderzył o betonową podłogę jak głaz. Zaraz jednak wstał i ruszył do ataku, tym razem pilnując, by ten niski, irytujący człowieczek nie zdołał znowu złapać go za ręce.

\* \* \*

W tym czasie Zet obserwował ich starcie na ekranie komputera z taką uwagą i skupieniem, jakby sam był mistrzem sztuk walki i oceniał potencjał kandydatów na swoich uczniów. Księżulek go zaskoczył. Już wytrzymał dłużej niż jakikolwiek dotychczasowy przeciwnik Dawida wspomaganego mocą pełni księżyca. Mało tego. Zaczął atakować i radził sobie nadzwyczaj dobrze. Najwyraźniej dorównywał Dawidowi siłą, choć porównując ich gabaryty, Zet nigdy by go o to nie posądził. Dorównywał mu również szybkością i wygimnastykowaniem. Na korzyść klechy działał jednak spryt - miał tę przewagę, że używał ludzkiego umysłu i inteligencji przeciwko zwierzęcemu instynktowi wściekłej bestii. To mogło zadecydować o jego zwycięstwie.

Niedoczekanie.

Choć Zet uważał się za właściciela ich obu, poczuł niewyjaśniony przyływ sympatii do chłopaka, którego od dziecka przygotowywał do roli maszyny do zabijania. To Dawid był najlepszy na świecie w walce wręcz i to Dawid miał zwyciężyć. To Dawida Zet stworzył od podstaw, wymyślił, jak wykorzystać jego przekleństwo, by stało się talentem, i to w niego wpakował tony pieniędzy, żeby swoimi osiągnięciami w klatce zwrócił mu je z nawiązką.

Z zapartym tchem oglądał pojedynek, wyczekując momentu, w którym miał wyciągnąć z rękawa kolejnego asa. Wstrzyknąć podopiecznemu dodatkowe środki dopingujące. Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, że nie będzie musiał pomagać Dawidowi w taki sposób, lecz w głębi chciał, by do tego doszło. Chciał to zobaczyć jako zwykły widz, nie jako bezwzględny gangster i właściciel federacji sztuk walki.

Chciał zobaczyć, jak człowiek-demon poradzi sobie z Volkodlakiem w jego trzeciej formie.

Spojrzał na smartfona. Prosta aplikacja nie miała wyłącznie dwóch wirtualnych przycisków - włączania i wyłączania. Miała cztery. Białe, żółte, czarne i... czerwone.

\* \* \*

Dorianowi sprytnie udało się przemieścić pod rękami przeciwnika i podciął go czymś w rodzaju piłkarskiego wślizgu. Dawid po raz kolejny wylądował na deskach, o ile betonowe podłoże można było w ogóle tak nazwać. To było jednak za mało. Wciąż wstawał i wciąż atakował z tą samą energią i zapałem, podrażniony sprytem oponenta. Choć stracił ludzką świadomość, nawet w tym stanie korzystał z wytrenowanych technicznych ruchów, jakby stanowiły automatyzm. Uderzał, kopał, bronił się i próbował wchodzić w nogi dokładnie jak podczas swoich zwykłych walk.

Wreszcie stanęli naprzeciwko siebie. Dawid warczał i drżał na całym ciele. Dorianowi nie umknął jego ciężki oddech, co mogło napawać pewnym optymizmem.

– Pierwsza runda na remis! - rozległ się głos Zeta.

Wściekły Dorian zapragnął zniszczyć megafony, żeby nie musieć już tego słuchać, lecz zamontowano je na sklepieniu z krucyfikami.

– Nie trafił mnie ani razu, a ja go wielokrotnie! - odpowiedział, wodząc wzrokiem po suficie i szukając kamer. - Jeżeli tego nie przerwiesz, przegra. Skończ to albo ja to zrobię! Nie chcę wyrządzić mu krzywdy.

W tym czasie Zet wykrzywił w nienawiści swą ukrytą pod maską twarz. Poczul się, jakby ktoś szkalował jego ukochane dziecko. Jak artysta, któremu ktoś skrytykował dzieło.

– Wygrana pierwszej rundy, nawet na punkty, wciąż oznacza, że możesz zostać pokonany przez nokaut! - warknął i dotknął na ekranie smartfona czerwonego kółeczka.

Na szczycie kopuły otworzył się mały właz i do hali zaczęło wpadać jeszcze więcej kul imitujących księżyc w pełni. Tym razem jednak świeciły na czerwono.



Pierwsza, druga, trzecia, czwarta, dziesiąta, dwudziesta... Dawid przestał skupiać się na Dorianie, wystarczyło, że zobaczył pierwszą z nich, a wyprostował się i opuścił ręce. Jego twarz przybrała taki wyraz, jakby zapadł w trans, ciało zaś zaczęło drgać w pojedynczych spazmach, synchronicznie z uderzeniami jego serca - tak głośnymi, że wręcz odbijały się echem od więżącej ich kopuły.

Dorian przestraszył się nie na żarty. Nie wiedział, co robić, czy znowu próbować niszczyć te cholerne kule, które potoczyły się po pomieszczeniu w różnych kierunkach. Wyglądało na to, że nie miał innego wyboru i że należało wyłupić Dawidowi oczy, póki czas, póki ten się na nim nie skupiał. Podjął męską decyzję i rzucił się ku Volkodlakowi, biegnąc najszybciej, jak mógł. Już do niego doskakiwał, już brał zamach, by zadać decydujący cios pazurami, lecz skupiony na celu stracił czujność i Dawid, który najwyraźniej zachował resztki przytomności, wymierzył mu błyskawiczny prawy prosty w brzuch. Dorian go nie wyczuł, po raz kolejny okazało się, że w walce z czymś, co mentalnie nie było człowiekiem, co nic pojmowało dobra i zła tak jak on, nie był w stanie przewidzieć jego zamiarów. Stracił dech i odleciał tak daleko, że zatrzymał się dopiero na ścianie, choć to nie uderzenie o nią zabolowało go najbardziej, lecz kontakt z krucyfikсами. Na moment zapomniał o walce i czym prędzej od nich odpełził, walcząc z cierpieniem, jakie zadawały mu święte symbole.

W tym czasie spazmy przechodzące przez ciało Dawida stawały się coraz gwałtowniejsze, a oczy jeszcze bardziej puste. Kolor jego jasnoniebieskich tęczy pokrywał się z białkami. Wokół niego wciąż wały się kule o wyglądzie księżycy świecące, wręcz żarzące się na czerwono.

Rozpoczęła się krwawa pełnia.

Ciało Dawida rozrosło się i rozciągnęło do prawie pięciu metrów wysokości. Klatka piersiowa poszerzyła się do nieludzkich rozmiarów, a każdy mięsień powiększył kilkukrotnie. Twarz wydłużyła się, nabierając wilczego kształtu, każdy kawałek skóry na niej, na korpusie i na potężnych kończynach stwora pokrył się gęstą, ciemnoszarą sierścią. Na dłoniach i stopach zaś pojawiły się długie, ostre pazury.

Kiedy przemiana dokonała się w całości, bestia rozłożyła łapy, uniosła łeb i ryknęła. Odgłos rozniósł się echem po półkulistym pomieszczeniu, odbijał się od sklepienia i wracał, jakby kilka razy. Dorian, którego organizm wciąż odczuwał szok po kontakcie z krucyfikсами, dopiero teraz podniósł się na nogi.

Wytrzeszczył czarne oczy, a jego twarz o wyostrzonych rysach wykrzywiła się w przerażeniu tak samo jak ta poniżej, na klatce piersiowej.

W tym czasie Zet odczuł jeszcze większy dreszcz podniecenia. Napawał się tym widokiem jak mężczyzna patrzący na atrakcyjną kobietę, jak naukowiec dumny z wynalazku, który zmienił życie wielu ludzi. Jak malarz spoglądający na swój obraz. Na jego finalną formę. Na coś, do czego dążył przez lata planowania życia Dawida, szlifowania jego osobowości niczym rzeźbiarz dłutem w najbardziej dopracowanym posągu.

Oto najsilniejsza istota na Ziemi. Niepokonana, niebojąca się konfrontacji z nikim - czy to z człowiekiem, czy to ze zwierzęciem. I to on, w pewnym sensie jej twórca, sterował nią jak padem w konsoli do gier. To on ją poskramiał. T o o n n i ą b y ł . On walczył teraz ze swoim wrogiem.

I zamierzał wygrać.

- Zaczynamy drugą rundę! - powiedział w euforii do mikrofonu. - Zobaczymy, na ile zda się twoja wygrana na punkty w pierwszej!

Bestia wyszczerzyła zębiska i rzuciła się na Doriana znacznie szybciej niż w poprzedniej formie. Odskoczył od niej instynktownie, wzbił się w górę, jedynie cudem unikając śmiertelnego ciosu szponiastą łapą, która miała teraz wielkość całej jego klatki piersiowej. Odwlekl jednak wyrok na zaledwie moment. Nie zdążył nawet wyłądować, kiedy potwór skoczył za nim i dopadł go jeszcze w powietrzu. Dorian próbował rozpaczliwie się bronić, ale cios był tak potężny, że poleciał w dół jak pocisk i uderzył o betonowe podłoże z takim impetem, że pękło pod nim, rozbijając się na tysiące odłamków. Niewiele pomagała jego odporność na ból i obrażenia. Ręka zwisała pod nienaturalnym kątem i z całą pewnością była złamana, podobnie jak wiele innych kości. Z kilku otwartych ran sączyła się krew.

Ostatkiem sił zdołał uniknąć kolejnego ciosu, kiedy bestia ponowiła atak. Przemieścił się o metr w bok, a jej łapa wydrążyła w podłodze kolejną dziurę.

Teraz albo nigdy.

Skupił się i wymierzył pazury w jej oczy. Potwór jednak w porę poruszył łbem i Dorian wytworzył mu jedynie długą, krwawiącą ranę nad i pod lewym oczodołem, zapewne pokrywającą się z tatuażem skrytym pod sierścią. Bestia chwyciła go za nogi, uderzyła nim kilka razy o podłoże jak młotem, po czym ponownie rzuciła na ścianę. Zamroczony Dorian tym razem prawie nie poczuł

żrącego dotyku krucyfiksów i padł z resztkami przytomności na ziemię, wpatrując się we wściekłego potwora, który zbliżał się ku niemu szybkim krokiem.

Nagle światło wszystkich kul rozrzuconych po pomieszczeniu się zmieniło. Już nie było czerwone, tylko jasnożółte, prawie białe, tak jasne i oślepiające, że nie dało się go odróżnić od blasku słońca. Kiedy olbrzym to zobaczył, zatrzymał się gwałtownie. Jego ciałem zaczęły targać liczne wstrząsy, tak samo jak przed przemianą. Próbował nad nimi zapanować, rycząc wściekle i zakrywając oczy potężnymi łapami. Chodził w tę i z powrotem, nie przestając ryczeć i trzymając się za pysk. Jego ciało się zmniejszało, a sierść - znikła. Twarz powtórnie zmieniła się w ludzką, mięśnie, choć jak na człowieka nadal potężne, znacznie zmniejszyły objętość.

Wreszcie kule zgasły. Dawid, zupełnie nagi po tym, jak ostatnia przemiana rozerwała na nim ubranie, chwiał się na nogach. Nie wiedział, co się dzieje, nie pamiętał, co wydarzyło się z jego udziałem przez ostatnie kilkanaście minut. Nie myślał o niczym poza tym, że przeraźliwie chciało mu się spać. Kręciło mu się w głowie, był skrajnie wyczerpany, przechodziły go dreszcze jak w najgorszej odmianie grypy, powieki zaś ciążyły tak, jakby składały się z ołowiu. Wreszcie poddał się, zamknął oczy i padł ciężko na ziemię, nieprzytomny.

Zet odłożył smartfona, w którym przed chwilą wcisnął najpierw żółty, a potem czarny przycisk - dezaktywujący kule. Drżał z emocji jak kibic, który właśnie obejrzał fascynujące sportowe widowisko. Kibic, którego faworyt wygrał. Nie przeszkodziło mu to jednak myśleć chłodno i racjonalnie. Stan, w jakim znajdowali się obaj zainteresowani, nie pozostawiał wątpliwości, kto w tej walce okazał się lepszy.

Nigdy jednak nie planował zabić Wacha. Nawet mimo że ten śmiał bezczelnie wsadzać kij w tryby jego przestępczego imperium. Nawet mimo że dostał na niego dobrze płatne zlecenie od przyjaciół z Sejmu. Był przede wszystkim biznesmenem i myślał wyłącznie w kategoriach własnych korzyści. To one stanowiły priorytet. A fakt był taki, że aby pokonać człowieka-demonia, musiał wspomóc Dawida ostatnim asem w rękawie. Wcześniej to klecha był lepszy, nawet gdy walczył z Volkodlakiem w jego przedostatniej formie. To też wielkie osiągnięcie, oznaczające, że Wach pod względem siły i czysto fizycznych możliwości jest drugi na świecie, i należał mu się za to szacunek. A mieć w garści dwóch najpotężniejszych nadludzi na tej planecie to rak, jak dysponować dwoma

zajmującymi *ex aequo* pierwsze miejsce. Nie musieli więcej ze sobą walczyć. Natomiast gdyby zmusił ich do współpracy i robili to, co im każe...

Zet z niczym tak dobrze sobie nie radził, jak ze zmuszaniem ludzi do czegokolwiek. Nawet jeżeli nie byli do końca ludźmi. Na obu można wydatnie skorzystać. Obaj, jako maszyny do zabijania, mogą zarobić dla niego mnóstwo pieniędzy, pracując razem lub oddzielnie. Znał ich słabości, miał przy sobie egzorcystę i najważniejsze dla nich osoby, zawsze znajdował się o krok przed nimi. Teraz trzeba było tylko wymyślić, jak kontrolować tego klechę na odległość, nawet bez zabezpieczenia w postaci jego córeczki. Na pewno jakoś się da, należy jedynie odkryć jak, a potem te możliwości spieniężyć.

Uśmiechnął się pod maską. Już wyobrażał sobie, jak wysyła nagranie z tej walki politykom, pokazując, że potwór, z którym nie potrafiło poradzić sobie wojsko, ma się dobrze i znajduje się pod jego kontrolą, oraz żądając miliardowego haraczu, bo inaczej napuści go na niewinnych obywateli. Wiedział, że Fedorowicz i spółka zapłacą. Inaczej spełni groźby, a do tego ujawni w mediach ich powiązania z zorganizowaną przestępczością. Na kolejny wizerunkowy cios, po bezradności służb wobec człowieka-demonia, a przede wszystkim w noc krwawego księżyca, którą widział cały świat, państwo nie może sobie pozwolić. To mit, że z terrorystami się nie negocjuje, po prostu starannie ukrywa się ten fakt przed opinią publiczną.

A druga z jego nowych zabawek? Niech na razie myślą, że Zet wykonał zlecenie, że nawet człowiek-demon nie był w stanie przeżyć walki z Volkodlakiem w najsilniejszej formie.

Wziął krótkofalówkę.

– Piołun?

– Tak, szefie?

– Walka skończona. Przetransportujcie naszych ulubieńców do cel. Potrzebują odpoczynku.

– Tak jest!

Po jakimś czasie ze szczytu betonowej kopuły ze zgrzytem zjechała otoczona siatką platforma, na której stało kilku mężczyzn z karabinami i krucyfikami.

– Połowa do Dawida, połowa do drugiego - poleciał Piołun.

Ku jego zdziwieniu wszyscy poza nim, nie oglądając się na innych, ruszyli w stronę pierwszego z wymienionych.

– Stop! - zawołał ostro. - Powiedziałem: połowa do jednego, połowa do drugiego.

Bandyci zatrzymali się i z ociąganiem odwrócili. Spojrzeli najpierw na Piołuna, a potem na nieprzytomnego Doriana. Na tego drugiego z wyraźnie większą obawą. Żaden z nich się nie odezwał i boss już wiedział, że będzie musiał wskazywać palcem.

– Złotnik, Cieśla i Siemion. Do mnie! - warknął, a pozostali odetchnęli z taką ulgą, że stracili niemal połowę objętości. - Do roboty!

Kiedy wywołani podeszli, zdał sobie sprawę, że wybrał trzech najlepszych ludzi. Dopiero teraz dotarło do niego, że zrobił to specjalnie i że w zadziwiający jak na gangstera jego pokroju przychylnie empatii nie dziwił się, iż żaden z nich nie chciał z własnej woli podejść do tego dziwadła.

On też nie chciał, w każdym razie nie sam.

Przełknął ślinę i wyprostował się, żeby dodać sobie odwagi.

– Idziemy. Raz! - rzucił i ruszył naprzód. Nogi niosły go same, wbrew ostrzeżeniom wysyłanym przez umysł.

Z ich perspektywy trwało całe wieki, nim dotarli do nieruchomego ciała Doriana, wciąż przemienionego. Był nieprzytomny, miał zamknięte oczy, wiele złamań i jeszcze więcej krwawiących ran. Jego kończyny były wygięte pod nienaturalnymi kątami, a poniżej klatki piersiowej spod skóry wystawało kilka żeber.

Poniżej klatki piersiowej, na której wciąż widniała ta...

Piołun oderwał spojrzenie od drugiej twarzy pod skórą. Nagle nabrał pewności, że to, co do tej pory brał za połamane żebra, tak naprawdę stanowiło palce czegoś kryjącego się wewnątrz. Na razie nieruchomego, aby uspić ich czujność i wynurzyć się z ciała, kiedy oni, niczego nieświadomi, do niego podejną. Nagle nabrał pewności, że to coś wtedy ich złapie i nie puści, choćby nie wiadomo co.

W normalnych okolicznościach odwróciłby się na pięcie i uciekł stamtąd jak najdalej. W ogóle by tu nie przyjeżdżał, nie zniżałby się do pracy szeregowego żołnierza mafii. Trzymała go tutaj wyłącznie świadomość, że gniew Zeta po odmowie wykonania polecenia mógł okazać się nawet gorszy, a Piołun na swoje

nieszczęście zaliczał się do najbardziej zaufanych ludzi bossa, dzięki czemu co prawda dobrze zarabiał, ale od czasu do czasu musiał tak się upokarzać.

Westchnął z potężną trudnością, bynajmniej nie dlatego, że powietrze w podziemiach było rzadsze. Odwrócił się. Reszta chłopaków już zdołała donieść nieprzytomnego Dawida na platformę. Nie było czasu do stracenia. Gdyby zostali z tym czymś sam na sam...

– Jedziemy z tematem! - odezwał się głośnie i ostrzej, niż zamierzał. - Już!

Mężczyźni podeszli do Doriana z wyciągniętymi krucyfikami. Piołun także wyciągnął swój. Nie wierzył w Boga i czuł się jak największy hipokryta na świecie, ale fakt był taki, że te dwa skrzyżowane kawałki metalu lub drewna wyraźnie oddziaływały na tego potwora i trzeba było przyjąć to do wiadomości.

Dwóch mężczyzn chwyciło bezwładne ciało Doriana pod pachami, a trzeci za nogi. Piołun wstrzymał oddech, czekając na niespodziewany obrót zdarzeń, ale nic nie nastąpiło. Podczas gdy jego ludzie nieśli nieprzytomnego więźnia w kierunku platformy, szedł obok, starając się trzymać krzyż w wyciągniętej dłoni bezpośrednio przed twarzą stwora.

Przed tą normalną oczywiście. Tą z zamkniętymi powiekami.

Druga, na klatce piersiowej, zdawała się wciąż mieć otwarte oczy. Trudno to było ocenić, one bowiem też kryły się pod skórą. Piołun nie dałby głowy, lecz wydawało mu się, że twarz łypała na przemian to na niego, to na pozostałych.

To na nim jednak skupiała się najdłużej.

# ROZDZIAŁ XLIII

Dawid leżał w obskurnej celi, ponownie unieruchomiony, związany i przymocowany do podłogi, zakneblowany i z okulistycznymi haczykami na oczach, które uniemożliwiały mu zamknięcie powiek. Był wycieńczony fizycznie i psychicznie. Próbował skupić spojrzenie na czymkolwiek innym niż na kulach, które zwisały z sufitu nad nim, teraz wyłączonych i przypominających zwykle białe klosze, tylko z licznymi wgłębieniami, bruzdami i rowkami, jak na powierzchni prawdziwego księżyca. Na kluczowym elemencie, jak to określił Zet, lepszej wersji Dawida. Lepszej z punktu widzenia kogoś, kto go kontroluje i chce wykorzystać jego zdolności w złych celach.

Test się powiódł. Aby się przemienić, Dawid już nie musiał czekać do pełni. Nie musiał nawet patrzeć w niebo i na nic zdawały się jego próby przekonywania samego siebie, wręcz desperackiego powtarzania sobie, że te przedmioty nie są prawdziwymi Księżycami, a światło, jakie emitują, nie pochodzi od Słońca, więc nie powinny na niego działać. Przy jego przypadłości, która w wielu aspektach pozostawała niezbadana, najwyraźniej nie robiło to żadnej różnicy. Beata miała rację. To nie była kwestia księżyca, jego wyglądu, kształtu czy promieniowania optycznego, strumienia fotonów o określonych właściwościach. To było coś w nim, jego umysł reagował na określony bodziec. Tak, że Dawid oficjalnie stał się maszyną do zabijania należącą do najpotężniejszego gangstera w Polsce. A dopóki ten przegniły maniak więził Beatę, musiał być mu posłuszny.

Próbował wyswobodzić się z więzów, które przypominały kaftan bezpieczeństwa, ale nie był w stanie. Starał się również uwolnić głowę, aby odwrócić ją tak, żeby nie widzieć tych cholernych kul choćby kątem oka.

Ewentualnie zranić, rozerwać powieki na haczykach, by już nie mogły ich podtrzymywać. Z początku był zdecydowany, że kiedy tylko zyska choć jeden moment na działanie, zrobi coś, na co powinien był się zdecydować już w dziewięćdziesiątym czwartym. Wyłupi sobie oczy. Aby mieć pewność, że już nigdy nie zdoła spojrzeć na księżyc, dowolny - prawdziwy czy sztuczny. Zaraz jednak pomyślał, że w ten sposób zarówno on, jak i Beata staną się dla Zeta bezużyteczni, więc ten nie będzie miał żadnych skrępowań, by ich zabić.

Znowu z winy Dawida.

Nienawidził samego siebie. Za tchórzostwo, za naiwność, za to, że nie zaufał swojemu instynktowi i w porę nie odciął się od Jacka. Za to, że w ogóle rozpoczął znajomość z tym człowiekiem pochodzącym z przestępczej rodziny; znajomość, która w dłuższej perspektywie poskutkowała jego obecnym położeniem. Za to, że nigdy nie zrobił nic, aby pozbyć się swojego przekleństwa, że dał się przekonać przestępcom, iż warto je wykorzystać. Za to, że naraził Beatę na niebezpieczeństwo wyłącznie faktem, że go znała. Wreszcie za to, że właśnie leżał jak kulek w jakiejś norze - związany, zakneblowany, unieruchomiony - i nie wiedział, co robić.

Za wszystko.

Chciało mu się wrzeszczeć z bezsilnej złości. Próbował przebić się przez knebel, lecz odgłos, jaki udało mu się wydać, w ogóle nie przypominał ryku z jego przemian, brzmiał przy nim jak żalosne skomlenie szczenięcia. Bandyci, którzy pilnowali jego celi i od czasu do czasu mieli do niej wchodzić, żeby łaskawie zwilżyć mu oczy kroplami, zajrzeli do niego i uśmiechnęli się szyderczo.

Beata, uwięziona w pomieszczeniu kilkanaście metrów dalej, usłyszała ten stłumiony jęk. Rozpoznała go. Chciała się odezwać, odpowiedzieć mu, ale nie miała na to odwagi. Po jej twarzy spływały liczne łzy, a całe ciało bolało od tortur, jakie zafundowali jej ludzie Zeta - skóry poparzonej rozżarzoną metalną, którym znaczyli ją jak bydło, połamanych lub odciętych palców, wreszcie poranej ostrym narzędziem twarzy, na której po wszystkim, żeby się nie wykrwawiła, zszyto rany staplerem. Najbardziej jednak Beatę bolała dusza i wypełniająca ją poczucie winy za to, że aby przerwać cierpienie, złamała się i opowiedziała temu zwyrodnialcowi o największej słabości Doriana. Wciąż pamiętała też, że gdyby została w domu i nie przyjechała na tę nieszczęsną galę, istniałoby większe prawdopodobieństwo, że do tego wszystkiego by nie doszło.



Rozplakała się po raz nie wiadomo który w ostatnim czasie, powtarzając bezgłośnie „Przepraszam”.

\* \* \*

Doriana znowu obudził dotkliwy, parzący ból. Ponownie znajdował się w swojej celi, w przezroczystym zbiorniku z wodą święconą, przypięty do jego ścian łańcuchami i zanurzony w zimnej cieczy aż po szyję. W pomieszczeniu roznosił się smród stęchlizny. Panował w nim półmrok, jedyne źródło światła z korytarza stanowiło małe okratowane okno w grubych metalowych drzwiach.

Kiedy się poruszył, prawie wrzasnął. Miał złamane kości, liczne guzy i siniaki oraz wiele krwawiących ran, także wewnętrznych. Zaczął głęboko oddychać. Choć woda święcona paliła go żywym ogniem, zacisnął zęby, jakimś cudem zdołał się skupić i skorzystał ze swojej mocy, aby ponownie doprowadzić szkielet do porządku. Po chwili wszystkie obrażenia zniknęły, choć wymagało to od niego o wiele więcej wysiłku umysłowego niż poprzednio. Rozejrzał się gorączkowo po celi, na którą dopiero teraz mógł spojrzeć z większą świadomością i w miarę trzeźwym umysłem, nie nękany modlitwami Kropidłowskiego. Pomieszczenie wyglądało jak loch - nic, tylko beton, kamień, kurz, szarość i mrok.

I krzyże. Cała masa krucyfiksów przyklejonych do ścian i podłogi wokół zbiornika.

Dorian odruchowo napiął mięśnie. Parzący ból od kontaktu z wodą święconą nie stłumił mimowolnego strachu przed najważniejszym chrześcijańskim symbolem. Dorian wpatrywał się w niego z pokorą, chcąc za wszelką cenę odwrócić wzrok, ale nie był w stanie.

Jakie to przewrotne. Korzystał z mocy istoty będącej personifikacją największego zła, jakie tylko można sobie wyobrazić. Korzystał z niej, by walczyć z innym złem, mimo wszystko mniejszym, uosabianym przez nieśmiertelnego gangstera. Tymczasem tenże gangster, owo mniejsze zło, korzystał z mocy niewyobrażalnego dobra, by walczyć z Dorianem.

I wygrywał.

Nic dziwnego, skoro dobro zawsze będzie potężniejsze od zła. Dobro zawsze będzie najlepszym wyborem. Został pokonany przez moce kogoś, w kogo imieniu

walczył o zmianę rzeczywistości na lepsze. Przez prawa wszechświata tworzone przez absolut. Jak w ogóle do tego doszło? Jak mogła zajść taka absurdalna sytuacja?

Próbował myśleć, lecz niesłabnący ból całego ciała znacznie to utrudniał. Woda święcona unieruchamiała go i pozbawiała sił, do tego czuł przeraźliwy głód. Spróbował ruszyć się choćby o centymetr, ale już nie był w stanie. Miał ochotę się rozplakać, jednak z całej siły to w sobie stłumił. Wciąż oddychał głęboko, usiłując przewyciężyć cierpienie. Potrzebował planu. Nie uzalania się nad sobą i wyobrażania sobie najgorszych scenariuszy na zakończenie tej historii, które nic nie zmieniają.

Ewa nie żyła, lecz Gosię wciąż można było uratować. Stanowiła polisę na życie Zeta. Doriana zresztą też. Zdał sobie sprawę, że wyłącznie przez swoją córkę jeszcze nie podjął decyzji, by to zakończyć, wsadzić głowę, którą jako jedyną mógł poruszać, pod wodę i popełnić samobójstwo. To dla niej jeszcze żył, jak każdy rodzic, któremu nie był obojętny los dziecka. W innym wypadku w tak beznadziejnej sytuacji nie pozwoliliby temu psychopacie dyrygować sobą jak marionetką. Wiedział jednak, że to działało w obie strony i że gdyby się zabił, Gosia nie byłaby już potrzebna Zetowi. Bydlak zabiłby dziewczynkę z zimną krwią.

Dorian wyobraził to sobie i po raz pierwszy, odkąd ocknął się w lochu, poczuł coś innego niż strach, rozżalenie i ból.

Wściekłość. Nawet większą, niż mogłoby się wydawać, jakby przez coś wzmacnianą.

Wyobraził sobie swoją córeczkę zamkniętą w celi podobnej do tej. Przerazoną, płaczącą, głodną i bez przerwy nawołującą mamę. Niewinną istotkę, której jedyny pech polegał na tym, że przyszła na świat w takich, a nie innych okolicznościach i mogła stanowić narzędzie, by kogoś do czegoś zmusić, wykorzystać bezgraniczną miłość rodzica do dziecka. Dziewczynkę, której pozostał tak naprawdę tylko on, jej tata, którego nigdy nie poznała, bo był nieodpowiedzialnym tchórzem.

Jego wściekłość przybrała na sile.

Wyobraził sobie, jak nastąpiło porwanie. Jak bandyci wtargnęli do mieszkania Ewy, wykorzystując jakiś podstęp, albo zgarnęli je prosto z ulicy, zuchwale, na

oczach gapiów, nie bojąc się konsekwencji. Jak szyderczo się śmiali. Jak kazali Ewie „uciszyć tego bachora”

Udało mu się poruszyć pod wodą. Nieznacznie, ale jednak. Zacisnął pięści, a pazury wbiły mu się we wnętrza dłoni, tworząc nowe rany, z których pociekła krew.

Musiał uratować Gosię. Wydostać ją stąd, a jeżeli miał zginąć, to wyłącznie będąc pewnym, że nic jej nie jest.

Musiał ukarać tych, którzy skrzywdzili jego dziecko.

Biorąc pod uwagę wypełniające Doriana emocje, myślał zaskakująco chłodno i racjonalnie. W głowie same rozlegały się słowa wypowiedane jego własnym głosem.

„Bandydzi Zeta nie stanowią problemu. On sam nie stanowi. Największymi problemami są Kropidłowski i Dawid. To narzędzia tego sukinsyna, jeden wykorzystywany jako żywa tarcza na mnie, a drugi jako broń. Krwawy księżyc daje Dawidowi moc, sprawia, że przemienia się w potwora, silniejszego, szybszego i niezwycięzonego, choć już jako człowiek prawdopodobnie umiał się bić najlepiej na świecie. Kiedy stracił rozum, ale pozostał w ludzkiej formie, byłem w stanie mu dorównać, może nawet wygrać. Gdy jednak stał się bestią, mogłem jedynie przed nim uciekać. W zamkniętym labiryncie, takim jak tutaj, nie mam żadnych szans, korytarze i schody są na tyle wysokie i szerokie, że na czworakach spokojnie w nich się zmieści. Jeżeli chcę uratować Gosię, muszę podjąć walkę”

„Dawid w formie bestii jest niezwycięzony tylko teoretycznie” -w myślach Doriana rozległa się odpowiedź z innej strony.

„No tak. Oczy. To jego słaby punkt. Nie przemieni się, jeżeli nie zobaczy krwawego księżycyca”.

„Nawet przy założeniu, że jego oczy mają się dobrze, a krwawy księżyc widnieje na niebie i wszędzie indziej do końca świata, Dawid jest niezwycięzony tylko teoretycznie” - upierał się drugi głos.

„Nawet wtedy? - padło pytanie, choć Dorian słuchał tego dialogu jakby z boku, jak gdyby dyskusja odbywała się w audycji radiowej, choć oba głosy w dalszym ciągu należały do niego. - Ma jeszcze jeden słaby punkt, o którym nie wiem?”

„Zapomnij o Dawidzie. Nie skupiaj się na przeciwniku, tylko na sobie”.

„Ale co jeszcze mogę zrobić? Tutaj i teraz, kiedy prawie nie mogę się ruszyć i jestem otoczony krzyżami?”

Drugi głos nie odpowiadał tak długo, że Dorian niemal stracił nadzieję, że do tego dojdzie. Nagle jednak w jego głowie rozległo się:

„Zastanawiałeś się kiedykolwiek, czy istnieje coś takiego jak wyższa forma połączenia człowieka z demonem?”

Dorian otworzył szerzej oczy.

„Zastanawiałeś się? - powtórzył głos. Dało się w nim wyczuć swego rodzaju zadowolenie, satysfakcję, że Dorian wreszcie zrozumiał przekaz ukryty między słowami. - Zastanawiałeś się, czy istnieje forma, w której byłbyś potężniejszy, niż jesteś teraz? Silniejszy, bardziej odporny na ciosy, szybszy? Niepokonany?”

„Nie. Nigdy nie myślałem, że coś takiego jest możliwe” - odparł pierwszy głos, lecz dało się w nim wyczuć strach. Dorian również zaczął drżeć. Zdał sobie sprawę, że coś takiego rzeczywiście mogłoby być wykonalne. Ale nie chciał nazywać tego „głośno” nawet w myślach. Po raz pierwszy w związku ze swoją mocą i perspektywami, jakie mogły się z nią wiązać, poczuł lęk.

Drugi głos nazwał to za niego.

„Jak sądzisz, ile demonów może przyjąć ludzkie ciało?” - zapytał, a do zadowolenia dołączyła w nim nuta szaleństwa.

Pierwszy nie odpowiedział.

„Jak sądzisz, skoro obecność zaledwie jednego dała ci taką moc, jaką mogą dać ci dwa, trzy, dziesięć, sto... cały legion?”

- Przestań! - krzyknął Dorian. Wreszcie zrozumiał, kto do niego mówi. Kto wykorzystuje jego własny głos, aby go zwieść, skusić, doprowadzić do jeszcze większej zguby, a przede wszystkim utrzymać w przekonaniu, że to jego samodzielna decyzja. Kto wykorzystywał go już wtedy, gdy w szpitalu intensywnie myślał nad tym, co począć ze swoimi nowymi zdolnościami, czy powinien o nich porozmawiać z jakimś egzorcystą, i w końcu postanowił, że tego nie zrobi. - A więc to ty... - wycedził cicho. - Taki był twój plan?

„Na twoim miejscu komunikowałbym się w myślach. W celach są kamery, a pod drzwiami stoją strażnicy” - odpowiedział głos.

- Chciałeś, żeby to się stało? - ciągnął niezrażony Dorian, uznawszy, że ten byt jest ostatnią... osobą, od której powinien przyjmować jakiegokolwiek rady. Jego

wściekłość rosła z każdą sekundą, także na siebie, że wcześniej nie rozgryzł tej intrygi, która teraz wydawała mu się oczywista. - To dlatego mnie nie opętałeś? Dałeś mi moce, dzięki którym zyskałem anonimowość i mogłem robić z ludźmi, co chcę, nie ponosząc konsekwencji? Przewidziałeś, że tak to się skończy? Czym się stanę? Ze znajdę sobie wrogów, ludzie mnie znienawidzą, moi bliscy zginą, a ja stracę wszelkie powody, by żyć? O to ci chodziło? O wywołanie chaosu na świecie i mój upadek? Wyszedłeś na tym lepiej niż podczas zwykłego opętania. Klaudia nie narobiła tyle bajzlu.

Nie wiedział, skąd to wrażenie, ale był pewien, że byt, z którym rozmawiał, się uśmiechnął.

„Częściowo masz rację, ale w kluczowej kwestii się mylisz, Dorian. To bardzo wygodne, że próbujesz zważyć winę za swoje, wyłącznie swoje decyzje na coś z zewnątrz. I zabawne, bo ludzie zazwyczaj o swoje niepowodzenia obwiniają Boga. Ty jednak poszedłeś o krok dalej i winisz demona, który, o dziwo, nie ma z tym nic wspólnego”.

- Nie kłam! - warknął Dorian. - Nie masz z tym nic wspólnego? W takim razie skąd nagle wzięły się moje moce? Skąd, jak nie od tego, że wszedłeś w moje ciało?

„Nie masz o niczym pojęcia. Twoje moce to jedynie skutek uboczny pewnego zdarzenia z przeszłości”.

- Tak, nieudanego egzorcyzmu Klaudii.

„Nie. Czarui, który ktoś rzucił na ciebie, gdy byłeś niemowlęciem”.

Dorian otworzył szerzej oczy, lecz zaraz jego powieki wróciły do poprzedniej pozycji. Musiał brać pod uwagę, z czym rozmawia i że to ma na celu go zniszczyć. Nie należało temu wierzyć. Mimo to nie odpowiedział na głos, tylko w myślach.

„Bardzo naiwne kłamstwo. Ciekawe tylko, co tym razem chcesz nim osiągnąć”.

„To nie kłamstwo. Nigdy nie zastanawiałeś się nad swoją przeszłością? Dlaczego wychowałeś się w domu dziecka? Dlaczego ktoś cię tam podrzucił i nigdy nie poznałeś swojej rodziny? Nigdy nie przeszło ci przez myśl, że to może mieć coś wspólnego z twoją wyjątkowością? Z tym, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, którego zły duch, nawet będąc w jego ciele, nie może opętać?”

„To bzdura! Drugi raz nie dam ci się oszukać! Niby kto i dlaczego miałby rzucić na mnie taki czar?”

I znowu to wrażenie uśmiechu. Złośliwego.

„Tego ci nie zdradzę. Ale pomyśl: jesteś w potrzasku, bezbronny i zanurzony po brodę w wodzie. Gdybym miał możliwość przejąć twoje ciało, już dawno byś nie żył. Bo masz rację: moim celem jest wywołanie chaosu na świecie, twój upadek i doprowadzenie do twojej śmierci poprzez opętanie, wyssanie z ciebie życia. Ale nie jestem w stanie zrobić tego inaczej, niż przekonując cię do zawarcia ze mną pewnej umowy”.

„Mów, kto i dlaczego rzucił na mnie taki czar! Jaki miał w tym cel?!” - pomyślał Dorian. Demon ciągnął jednak ze spokojem:

„Muszę przyznać, że sam byłem nieprzyjemnie zaskoczony, kiedy się w tobie znalazłem. To nie tak miało wyglądać. Nie byłem w stanie na ciebie wpłynąć, poza podsyłaniem subtelnych sugestii w twoim umyśle, które brałaś za swoje przemyślenia. Gdybym miał możliwość cię przejąć, skończyłoby się tak, jak u Klaudii i także byś zginął, chyba że jakiś klecha w porę zdążyłby cię uratować. Tymczasem nie mogłem nic zdziałać. Więc pozostało mi jedynie biernie obserwować, co zrobisz z mocami, które niespodziewanie uzyskałaś, nie będąc świadomym, że twoje jasnowidzenie jest tylko pozorne, bo pokazuje ci wyłącznie ciemne strony spotykanych ludzi. Ich grzechy, traumy, zmartwienia i choroby. Nie zauważyłaś, że nie widzisz ich pozytywnych cech, sukcesów i dobrych uczynków. Twoja nowa zdolność paradoksalnie mówiła ci prawdę o innych, ale jednocześnie cię oszukiwała, karmiąc przekonaniem, że świat jest wyłącznie zły. I powiem szczerze, do pewnego momentu posuwało się to w bardzo ciekawym kierunku. Najpierw zdecydowałaś się zachować swoje moce w tajemnicy. Potem wyprowadziłaś się z plebanii, a więc oddaliłaś od osób, które mogłyby postrzegać moją obecność w twoim ciele jako problem. Wreszcie podjęłaś kluczową decyzję, która dosłownie i w przenośni sprowadziła cię na dno. To ona, nie ja, sprawiła, że w tym momencie jesteś tu, gdzie jesteś”.

Dorian słuchał tej istoty, w pełni zdając sobie sprawę, że ta chce go zmanipulować, ale nie mógł nic poradzić na to, że z każdym jej słowem czuł się coraz gorzej.

„Zdecydowałaś się zmieniać świat na lepsze, odpowiadając złem na zło. Także na to, które było wymierzone bezpośrednio w ciebie. Zet cię przechytrzył. To jego trolle odpowiadały za kampanię dezinformacji na twój temat. Zareagowałaś na nią tak, jak się spodziewał. Myślałaś, że wszyscy są przeciwko tobie. Poczuliś się osaczony. Zaczęłaś ich atakować, także zwykłych ludzi, nie tylko przestępców;

i w końcu naprawdę zaczęli się ciebie bać. Naprawdę zaczęli cię nienawidzić. Wszyscy. Tym samym Zet osiągnął cel”.

Dorian przypomniał sobie rozmowę z Beatą, która mówiła mu podobne rzeczy, ale wtedy nie chciał jej słuchać. Dopiero śmierć pani Ireny, do której doprowadził, sprawiła, że przejrzał na oczy i przerwał to szaleństwo. Za późno.

„Tak, Dorian, za późno. Właśnie zbierasz owoce swoich czynów. Ale jeżeli to cię pocieszy, większość ludzi na twoim miejscu postąpiłaby podobnie. Ludzie tacy są: ferują wyroki, nie dają drugich szans, nie wnikają w kontekst, choć sami nie są nieskazitelni. No bo jak tu zmieniać świat w oparciu o czynienie dobra, kiedy inni, nawet ci, którzy uważają się za wzór do naśladowania, częściej cynicznie to wykorzystują, zamiast brać z ciebie przykład? Po co się męczyć, bawić w dyskusje, skoro zamordyzm, terror i działanie z pozycji siły krótkoterminowo dają o wiele lepsze rezultaty? Tyle że formuła odpowiadania dobrem na zło ma jedną kluczową zaletę. Nigdy nie doprowadziłaby cię do położenia, w jakim jesteś teraz”.

– Przestań - szepnął Dorian, lecz demon nie zamierzał go słuchać.

„Zobacz, jakie to ciekawe. Wszyscy marzymy o nadludzkich zdolnościach, a jednocześnie zapominamy, że nawet w najbardziej znanych historiach o superbohaterach tych złych postaci zawsze jest o wiele więcej niż dobrych. Jeden naprawdę dobry protagonista ma przeciwko sobie czasem nawet kilkudziesięciu superłotrów. I prawie żaden z nich nie określiłby się jako ten zły; każdy był przekonany, że działał w słusznej sprawie. To ciekawe, że ta proporcja nigdy nas nie zastanawia, nie daje do myślenia. Czytamy o tym komiksy, oglądamy filmy, trzymając kciuki za tego dobrego, i z niezrozumiałych powodów zakładamy, że gdybyśmy otrzymali od losu takie zdolności jak jego przeciwnik, nie stalibyśmy się tacy jak on. Ty jesteś przykładem tego, jak z dobrego człowieka, który otrzyma! poczucie kontroli, władzy i bezkarności, przeistoczył się w potwora, którego wszyscy się boją. Stałeś się nim, będąc przekonanym, że zmieniasz świat na lepsze. Demony i opętanie nie były do niczego potrzebne”.

Dorian kręcił głową, jakby chciał coś z niej wytrząsnąć, a kolejne słowa wybrzmiewały triumfalnym głosem w jego umyśle.

„Tymczasem nie ma gorszego zła niż człowiek, który chce wprowadzić nowy, w jego mniemaniu lepszy porządek z pozycji siły. Człowiek pyszny, przekonany, że jego system wartości jest jedyny właściwy, niezdający sobie sprawy, jak wielka odpowiedzialność na nim ciąży. Jeżeli przyjrzy się największym zbrodniarzom

w historii, dostrzeżesz, że wszystkich łączyło to samo: w pewnym momencie otrzymali możliwości niedostępne dla innych. Władzę i siłę. Wykorzystywali je, by egzekwować swoje racje, by świat stawał się taki, jak sobie wymarzyli. To niesamowite, jak niewiele zabrakło, abyś sam stał się jednym z nich. Byłem wściekły na tę pinde, twoją psycholożkę, że wykorzystując twoją miłość do córki, mąciła w tym, co zmierzało w upragnioną przeze mnie stronę. Że przeszkadzała w tym, abyś został opętany przez zło... bez opętania przez demona. Twoje własne zło, które w myślach określałeś dobrem”.

– Przestań! Nie jestem taki! Nie jestem złym człowiekiem!

Był w nim ponownie się uśmiechnął.

„I znowu ta pycha. Znowu przekonanie, że w proporcji superbohaterów do superzłoczyńców ty okazałeś się tym wyjątkowym rodzynkiem, który znalazł się po właściwej stronie. Twoja obecna sytuacja jednak temu zaprzecza. Sam powiedziałeś, że wszyscy cię nienawidzą. Także ci, którzy przez ciebie się tu znaleźli. Już wiesz, dlaczego Bóg nie spełnia marzeń ludzi i nieczęsto obdarza ich nadzwyczajnymi talentami. Bo gdyby wszyscy nimi dysponowali, zmieniliby się jedynie to, że byłoby łatwiej krzywdzić”.

– Zamknij się! - wrzasnął Dorian.

Do celi zajrzał jeden ze strażników, co trochę go otrzeźwiło. Dało się zauważyć, że mężczyzna wygląda na wystraszonego. Dorian jednak nie zajmował się nim, tylko swoimi myślami.

„Przestań! Przestań! Przestań!!! - Zaciskał zęby z wściekłości. - Po co mi to wszystko mówisz?! Czego chcesz?”

„Uświadomić ci, że nawet jeżeli twoja obecna sytuacja jest mi mocno na rękę, możesz o nią winić wyłącznie siebie. Nie masz wyboru i jeżeli chcesz mieć choć cień szansy na uratowanie bliskich, jestem twoją ostatnią deską ratunku. My jesteśmy. Potrafimy sprawić, że staniesz się wielokrotnie silniejszy, lepszy w każdym elemencie walki wręcz. Wydostaniesz się z tej wody i nie powstrzymają cię krucyfiksy. Ale coś za coś. Stracisz panowanie nad ciałem”

„Powiedziałeś, że przed opętaniem chroni mnie czar” - pomyślał Dorian, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę to robi. Że jako katolicki kapłan, który nigdy nie utracił wiary, pertraktuje z demonem. Strach jednak odbierał mu zdrowy rozsądek. Lęk przed tym, że musi podjąć jakąś decyzję, który w połączeniu z bólem



całego ciała, głosem wybrzmiewającym mu w głowie, a przede wszystkim obawą o Gosię sprawiał, że Dorian powoli tracił zdolność logicznego myślenia.

„Tak - odparł demon. - Tyle że czar można obejść, jeżeli dobrowolnie tę ochronę przerwiesz. Wystarczy, że wyrazisz taką chęć. Szczerą, mocną i dobrowolną”.

Dorian nie odpowiedział. Jego serce biło coraz szybciej. Był przerażony samym faktem, że w ogóle dopuszcza możliwość skorzystania z oferty.

„Tylko tak jesteś w stanie uratować swoją córkę”.

Ogarnęła go wściekłość. Najpierw Zet, a teraz on. To... coś. Wszyscy próbowali wykorzystać miłość Doriana do Gosi dla swoich celów. Złych, jak tylko się da.

Zaraz jednak na powierzchnię jego świadomości ponownie, jakby spod wody, wypłynął obrazek przerażonej dziewczynki zamkniętej w lochu. Płakała, była głodna, brudna i bez przerwy nawoływała swojego tatę.

Moment.

Tatę? Tatę, a nie mamę?

Tak, nic mu się nie wydawało. To jego wołała o pomoc.

Podczas gdy on siedział tutaj i wahał się, czy...

„Naprawdę jesteś w stanie zrobić dla niej wszystko? Czy może miłość rodzica do dziecka ma swoje granice?”

„Rodzic, który traci ukochane dziecko, jest zdesperowany, żeby uzyskać chociaż szczątkowe poczucie sprawiedliwości. Ktoś musi zostać ukarany”. - Głos Naumowicza, adwokata, z którym Dorian rozmawiał w szpitalu po zatrzymaniu Kropidłowskiego.

„Czego boisz się bardziej? Demonów i własnej śmierci czy tego, że Gosi stanie się krzywdą?”

Wiedział, że tego drugiego, choć oba te lęki razem tworzyły coś, nad czym nie potrafił zapanować. Nową, silniejszą formę, jak u Volkodlaka. Nowego demona, który brał ciało Doriana we władanie i zaczynał kontrolować umysł.

„Jaką mam gwarancję, że gdy to zrobię, ukarzenie wyłącznie złych ludzi, a tym, na których mi zależy, nic się nie stanie?” - zapytał. Strach wypierał wszystkie inne doznania, także ból, jaki wiązał się z kontaktem skóry z wodą święconą. Dorian nawet w myślach brzmiał jak w transie, chyba nie formułował ostatnich słów świadomie.

„Musisz mi zaufać” - odpowiedział głos, lecz z jego barwy wprost wylewały się jad i szyderstwo.

„Pytam poważnie”.

Choć Dorian w dalszym ciągu nie widział tej istoty, miał pewność, że uśmiechnęła się jak dotąd najszerzej.

„Stawiasz warunki w sytuacji, gdy nie masz wyboru?”

„Wiele można powiedzieć o diable, ale nie to, że nie dotrzymuje umów. Przerwę czar, ale chcę gwarancji, że ani Gosi, ani Hubertowi, ani Szymonowi, ani pani Beacie, ani proboszczowi nic się nie stanie. Że pomożesz im stąd uciec. Obiecuj mi to, a zrobię to, o co prosisz. Jest tu tylu złych ludzi, że tych dobrych możesz sobie darować”.

„Obiecuję” - powiedział głos, a Dorian właśnie wtedy podjął decyzję, że przyjmie ofertę demona. Odczuł to tak, jakby był psem, który zerwał się ze smyczy, jakby wisiał nad przepaścią i pękła ostatnia nitka w linie, której się trzymał. Wiedział, że nie ma innej możliwości i czasu do stracenia. Musiał się poświęcić w imię wyższego dobra. Wybrać między jednym złem a drugim. Znaleźć mniejsze. Znowu. Znowu z własnej woli. Choć tym razem w pełni świadomie oddając się w macki ciemnych sił.

Kiedy wyrażał w myślach szczerą i mocną chęć, by złamać chroniący go czar, i coś zaczęło z nim się dziać, usłyszał jeszcze: „Co nie oznacza, że kiedykolwiek dotrzymam obietnicy”.

\* \* \*

Siemion i Złotnik, którzy ku swojej dezaprobacie zostali oddelegowani przez Zeta do pilnowania tego dziwnego faceta z dwiema twarzami, rozglądali się niepewnie po korytarzu. Byli w tych podziemiach po raz pierwszy, wcześniej słyszeli o nich jedynie pogłoski. Żadna z nich nie wyjaśniała do końca, dlaczego jedna z ważniejszych kryjówek bossa znajdowała się tak głęboko pod miastem. Kiedy i dlaczego ją wybudował. Podobno skrywała wiele mrocznych tajemnic, nie tylko takich, że stanowiła wielki magazyn łupów, a także więzienie dla najbardziej niewygodnych osób. Woleli jednak nie wnikać w to, jakich jeszcze. Jej korytarze ponoć ciągnęły się setkami metrów i miała co najmniej kilkanaście „pięter”.

Wtem usłyszeli charczenie dobiegające z lochu więźnia. Zaniepokoił się. Zet wyraźnie rozkazał, że oprócz pilnowania go, mają mieć oko na to, aby nie popełnił samobójstwa. Ponoć był zbyt cenny. W razie czego mieli wejść do celi i poskromić go krzyżami. Nie rozumieli, dlaczego to aż takie ważne, ale polecenie Zeta było świętością.

Z duszą na ramieniu zajrzeli do lochu i zobaczyli Doriana z uniesioną głową i ustami rozwartymi tak szeroko, że jeszcze trochę i złamałby sobie szczękę. Drżał w konwulsjach, rozbryzgując część wody ze zbiornika, a z jego gardła wydobywał się rzeżący odgłos. Napinał mięśnie i naciągał łańcuchy pod wodą, próbując je zerwać.

– Co jest? - zapytał Złotnik. - Co on wyrabia?

Szósty zmysł Doriana wyczuł ich strach, który dał mu jeszcze większego kopa energii, choć już w ogóle nie panował nad ciałem i co najgorsze - nad myślami. Chciał, by bali się go jeszcze bardziej. Chciał niszczyć, zadawać ból i cierpienie, także psychiczne. Chciał potęgować chaos, którego natężenie zwiększało jego możliwości, rozsyłało wokół energię taką samą jak ta, z której składały się złe duchy.

Chciał, żeby wniknął w niego cały legion demonów. Pakt został zawarty.

Siemion i Złotnik rozejrzeli się niepewnie. Nagle ogarnęło ich niemal namacalne wrażenie, że ktoś ich obserwuje, że ktoś pojawił się w tym mrocznym korytarzu, w którym kazano im sterczeć i pilnować najgroźniejszego więźnia, odseparowanego od pozostałych. Powietrze wokół stało się ciężkie i coraz trudniej było nim oddychać. Poczuli w nim ruch, jakby przeciąg, choć wcześniej czegoś takiego tutaj nie doświadczyli. Ciepły przeciąg, a potem...

Słabe żarówki zaczęły migotać. Mężczyźni spojrzeli wzdłuż korytarza, coraz bardziej zaniepokojeni. Mogło im się wydawać, lecz z każdym momentem, w którym światło zapalało się ponownie, niczym w pokazie slajdów, na ułamek sekundy widzieli niewyraźne sylwetki. Nieludzkie. Na wpół przezroczyste kontury miały różne kształty, niektórym wyrastało więcej rąk i nóg niż u człowieka. Niektórym nawet więcej głów. Inne miały ogony, jeszcze inne macki albo masywne kolce na plecach. Nie zabrakło też nienaturalnie długich szyj. Cokolwiek to było, pojawiło się tego mnóstwo i z każdym mignięciem światła znajdowało się coraz bliżej. Tylko tak dało się dostrzec ruch tych rzeczy, jakby oglądało się film klatka po klatce.

– Czy ty widzisz to, co ja? - Złotnik zwrócił się do Siemiona, wytrzeszczając oczy w coraz większym przerażeniu, podczas gdy w tle nieprzerwanie, obok elektrycznego bzyczenia niedomagających żarówek, roznosiło się charczenie Doriana w połączeniu z szumem rozbryzgującej się wody.

– Naprawdę chciałbym, żebyś to ty nie widział tego, co ja... -odparł Siemion, przyciskając do piersi karabin.

Stali jak skamieniali, wpatrując się w zbliżające się do nich kształty i nie śmiać nawet drgnąć, również wtedy, gdy te znalazły się tak blisko nich, że mogli spróbować ich dotknąć. Wyczuwali ruch ciepłego powietrza przy sobie, jakby trującego, cuchnącego gazu. Postacie przechodziły obok, nie zważając na ich obecność. Wnikały do celi pomiędzy kratami, przez jedyną wyrwę w szczelnym murze krzyży przyklejonych na ścianach, drzwiach i na podłodze. Pierwszy kształt, drugi, trzeci, dziesiąty, trzydziesty... W pewnym momencie Złotnik i Siemion zamknęli oczy jak dzieci chcące odgrodzić się od potworów spod łóżka albo z szafy. Ukryli się we własnej, prywatnej ciemności; bezpiecznej, w przeciwieństwie do tej, której obawiali się teraz najbardziej, błagając w duchu, by żarówki w korytarzu nie przestały świecić.

Otworzyli oczy dopiero wtedy, gdy charczenie wewnątrz celi ustało i zastąpił je inny odgłos. Jakby... dławienia się? Dorian nie przestawał się miotać. Wciąż miał głowę uniesioną ku sufitowi i otwarte usta. Drżał spazmatycznie, wydając ten okropny dźwięk, jakby się topił albo dusił, jakby wlewało mu się coś do gardła, choć jego głowa pozostawała nad powierzchnią wody.

Złotnik odszedł od drzwi.

– Szefie? - odezwał się przez krótkofalówkę, ale z urządzenia wydobył się jedynie ostry, dokuczliwy dla ucha szum przemieszany z kakofonią nieokreślonych dźwięków. Przypominały chór złośliwego śmiechu, wrzasków, płaczu i zawodzenia; odgłosy orgii i jęki z bólu. - Szefie, coś tu się dzieje i nie wiemy...

Nie uzyskał odpowiedzi, a krótkofalówka nagle umilkła, jakby wyczerpała się bateria. Żarówki przestały migotać. Świeciły teraz bez najmniejszych zakłóceń, nie wydobywało się z nich nawet najcichsze buczenie. Powietrze w korytarzu jakby stanęło w miejscu.

Złotnik i Siemion przełknęli ślinę niemalże w tym samym momencie. Z największą trudnością zajrzeli do celi. Dorian już się nie miotał. Stał w zbiorniku z wodą święconą, wyprostowany i ze spuszczonej bezwładnie rękami. Widzieli jedynie jego ciemną sylwetkę, lecz coś w niej nie grało. Choć tkwił nieruchomo, paradoksalnie zdawał się bez przerwy poruszać, a właściwie jego kontury, jakby oglądali go w telewizji z niezbyt dobrą jakością transmisji. Uśmiechał się. Najszerzej, jak tylko pozwalały na to mięśnie jarzmowe człowieka. Nawet bardziej. Ten uśmiech już ani trochę nie był ludzki.

Siemion nie wytrzymał.

– Zostań tu przy nim, a ja... - Ruszył wzdłuż korytarza w kierunku zamontowanej pod sufitem kamery.

– Ej! - zawołał Złotnik. - Nie zostawiaj mnie!

Siemion zignorował kumpla, zbyt przerażony, by docierały do niego jakiegokolwiek odgłosy z zewnątrz.

– Szefie! Ktokolwiek! Czy ktoś mnie słyszy?! - krzyknął do krótkofalówki, lecz urządzenie w dalszym ciągu milczało. Podszedł do kamery i zaczął machać rękami. - Niech ktoś tu przyjdzie! Niech...

Urwał, kiedy za nim rozległ się głośny szklisty trzask, po nim szum rozbryzgującej się wody, a na koniec potężne metaliczne łupnięcie. Coś uderzyło od środka w drzwi celi, jakby taran. Wytrzymały to, choć pojawiła się w nich wyraźna wypukłość, z okolic zawiasów odpadło kilkanaście betonowych odłamków, a z pomieszczenia zaczął płynąć strumień wody. Złotnik wrzasnął z przerażenia i czym prędzej dołączył do Siemiona.

Pobiegli do windy i spróbowali ją przywołać, ale wyglądało na to, że nie działa.

Łupnięcie powtórzyło się, a wypukłość na drzwiach znacznie zwiększyła objętość.

– W dupie to mam... - Siemion odwrócił się tyłem do windy, drżącymi rękami przeładował karabin i wycelował go wzdłuż korytarza w stronę drzwi. Złotnik wciąż się wahał.

– Szef powiedział, że...

– Złoty, ja serdecznie pierdolę teraz zdanie szefa! - warknął Siemion. - Chcesz żyć?

Złotnik przełknął ślinę, po czym również przeładował karabin i wycelował w drzwi celi.

Kolejne metaliczne trzaski pokrywały się z uderzeniami ich serc, po czym ustały. Zapadła cisza i trwała tak długo, że Siemionowi nawet zdążyła przemknąć przez głowę myśl, by tam podejść i powtórnie zajrzeć do środka przez okratowane okienko. Nagle jednak żarówki nad nimi znowu zamigotały. Siemion i Złotnik wzdrygnęli się, gdy po korytarzu rozniosło się następne łupnięcie, tym razem najgłośniejsze ze wszystkich. Drzwi zostały wyrwane z zawiasów, poleciały jak pocisk na przeciwległą ścianę, uderzyły w nią i upadły na podłogę z kolejnym łoskotem.

- Ostrzegam cię! - krzyknął Siemion i biorąc pod uwagę stan jego psychiki, zabrzmiało to całkiem odważnie. - Jeden krok poza celę i zrobimy z ciebie sito!

Cokolwiek tam stało, nie odpowiedziało, za to usłyszeli powolne kroki. Wydawało się, że to coś zrobiło ich więcej, niż wymagałaby odległość, jaką rzeczywiście miało do pokonania.

Wreszcie ukazało im się w świetle korytarza w całej okazałości. Siemion już chciał pociągnąć za spust, ale napiął mięśnie tak mocno, że stracił czucie w dłoniach. Człowiek-demon był wyraźnie większy niż przedtem - wyższy i zdecydowanie lepiej zbudowany, bardziej muskularny. Z przedramion, łydek i pleców wyrastały mu pojedyncze, długie, cieliste kolce. Jego twarz o wyostrzonych rysach zdawała się o wiele bardziej drapieżna, już praktycznie nie przypominała ludzkiej. Całe ciało pokrywała siatka nabrzmiałych żył i... coś jeszcze.

Dopiero kiedy Siemion zdał sobie sprawę, co to jest, zaczął wrzeszczeć i strzelać.

# ROZDZIAŁ XLIV

– Siemion! Złoty! Odezwijcie się!

Kilka pięter wyżej Piołun usilnie próbował skontaktować się z nimi przez krótkofalówkę. Zaczął, kiedy przestały działać kamery najpierw w celi więźnia, a potem w korytarzu przy niej. Ostatnie, co zarejestrował, to swoich ludzi zaglądających przez kraty w drzwiach do pomieszczenia. Nie dało się jednak zobaczyć, co ich tak zainteresowało.

Krótkofalówka milczała. Piołun przeklął pod nosem. Krótco rozważał, czy donieść o tym szefowi, który planował zaraz opuścić podziemia z tym klechą u boku, a teraz sprawdzał najnowszą dostawę broni dostarczoną do magazynu na najwyższym piętrze kompleksu. W końcu uznał, że zanim wywoła panikę, powinien najpierw sprawdzić osobiście, czy jest się czym przejmować. Może to tylko złośliwość rzeczy martwych albo jakaś awaria?

Ponownie zbliżył urządzenie do ust i powiedział:

– Cieśla, weź wszystkich swoich chłopaków i przyjdź tu do mnie!

– Robi się, szefie.

Fakt, że kontakt z akurat tym podkomendnym przebiegał bez zarzutu, jeszcze bardziej zaniepokoił Piołuna.

Cieśla wkrótce dotarł na jego piętro wraz z dziesięcioma najlepszymi, uzbrojonymi po zęby ludźmi, po czym zjechali na kondygnację, której mieli pilnować Złotnik i Siemion. Tam powitały ich cisza i woda rozlana w sporej części korytarza. Od razu zauważyli wyłamane drzwi jednej z cel. Cieśla ukucnął i podniósł coś z ziemi.

– Łuski. - Pokazał jedną towarzyszom.

Jak na zawołanie poczuli zapach prochu. Jeden z ludzi Cieśli znalazł za to dwa krucyfiksy. Oba połamane.

– Siemion, Złotnik, jesteście tutaj? - zapytał Piołun.

Odpowiedziała mu cisza, lecz niepełna. Usłyszeli ciche dyszenie dochodzące z głębi korytarza.

– Co... - zaczął Cieśla, ale Piołun uciszył go ruchem ręki.

– Krzyże! Już! - syknął i wyciągnął z kieszeni swój krucyfix. Pozostali poszli za jego przykładem.

W miarę jak posuwali się naprzód, uświadomili sobie, że dyszenie dochodzi z celi, w której pierwotnie umieszczono Wacha. Mimo to żaden z nich nie przyspieszył. Wreszcie dotarli do wyłamanych drzwi i zajrzeli do środka.

– Kurwa...

Przez dość wysoki próg podłoga pomieszczenia zamieniła się w jedno wielkie bajoro i pływały w nim odłamki rozbitego pojemnika na wodę święconą. Cella wciąż była obklejona krucyfikсами, lecz teraz jeden szczególnie rzucał się w oczy. Największy ze wszystkich. Odwrócony.

Stworzony z Siemiona przybitego gwoździami do ściany za ręce i stopy. To on tak dyszał.

Piołun wytrzeszczył oczy, czując, jak miękną mu nogi.

– Siemion? - Podszedł powoli, jakby się obawiał, że padł ofiarą idiotycznego dowcipu, i przykucnął przy swoim żołnierzu. - Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? Gdzie jest Złotnik?

Siemion spojrzał na niego pustymi oczami. Zdawał się nie dostrzegać Piołuna, jakby jedynym doznaniem, jakie odbierał wszystkimi zmysłami, był ból.

– U... - zaczął, lecz wypowiedanie kolejnych sylab sprawiało mu potężną trudność. - U.,.

– Mów! No, dalej!

Siemion zacisnął zęby, nabrał oddechu i krzyknął:

– Uciekajcie! On... - Zamilkł, kiedy z korytarza dobiegły odgłosy szybkich kroków, a raczej pełzania, kłapaniec o beton. Coś, co je spowodowało, z pewnością



nie poruszało się po podłodze. Zbliżało się do nich. Bandyci z niepokojem spojrzeli w stronę wyjścia, a Piołun ponownie skupił się na Siemionie.

– Mów! Co z nim?!

Siemion przełknął ślinę, co nawet biorąc pod uwagę fakt, że wisiał do góry nogami, przyszło mu łatwiej niż wypowiedzenie:

– On... się zmienił! To... to już w ogóle nie jest cz-człowiek! Ani trochę!

Kłapnięcia zbliżały się do nich. Bandyci wycelowali karabiny w wyjście na korytarz i czekali.

– Cześć, Piołun! - rozległy się synchronicznie głosy. Tyle że nie dwa. Teraz to był cały chór, przy czym tylko jeden należał do człowieka. Wszystkie poza tym jednym, ludzkim, były niskie, choć różniły się od siebie. Niektóre zdawały się nawet należeć do kobiet. - Cześć, Cieśla! Cześć, pozostali! Nawet nie wiecie, jak za wami tęskniłem! Wiecie za to, że jesteśmy ponad kilometr pod ziemią. Wasze krótkofalówki nie działają, więc nie będziecie mogli wezwać pomocy. Nie działają też kamery w tym korytarzu...

– Nie słuchajcie go! - szepnął Piołun, choć nogi miał jak z waty. - Gada tak wyłącznie dlatego, żeby nas przestraszyć!

– Och, zapomniałem! Macie broń, ale problem z nią jest taki, że aby był z niej pożytek, w cel trzeba... trafić.

– Zamknij mordę! - odkrzyknął Cieśla, cały spocony ze strachu.

– Aby wam to ułatwić, zapowiem, kiedy pokażę się w drzwiach. Trzy... Dwa...

Bandyci zeszywnieli.

– Jeden!

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Coś rzeczywiście wtargnęło do celi, wpelzając do niej po suficie. Poruszało się tak szybko, że praktycznie nie dało się tego zobaczyć. Podczas gdy pozostali oddali do tego całą salwę strzałów, Piołun nie wytrzymał i korzystając z zamieszania, wybiegł na korytarz, nie oglądając się za siebie. Niechcący zgubił przy tym karabin, ale nie miał odwagi tracić bezcennych sekund i go podnosić. Jak na złość, nie musiał się odwracać, by docierały do niego dźwięki. Częstotliwość strzałów znacznie się zmniejszyła, zwiększyła się za to liczba wrzasków. Wrzasków bólu i największego przerażenia, jakie tylko może przetworzyć ludzka świadomość.

Piołun starał się na tym nie skupiać. Dосkoczył do windy, rozpaczliwie wdusił przycisk, a drugą ręką wyciągnął za siebie krzyż, który teraz wydał mu się bezużyteczny, jeszcze bardziej niż w czasach, gdy rzeczy takie jak ten potwór wkładał między bajki.

– Pałka, zapalka, dwa kije. Kto się nie schowa, ten kryje! Jesteś tam, Piołun? - zapytał chór głosów. - Szukam!

Piołun przeklął pod nosem, naciskając przycisk windy jeszcze szybciej. Drzwi w końcu stanęły przed nim otworem i wskoczył do kabiny tak szybko, że potknął się i upadł. Natychmiast zamknął drzwi, a potem wybrał piętro na samej górze. Odgrodziwszy się od głosów, poczuł potężną ulgę.

Nagle jednak winda zatrzęsała się, choć dalej jechała w górę. Rozległo się głośnie łupnięcie, a w podłodze kabiny pojawiła się wypukłość. Przerażony Piołun przywarł plecami do kąta jak najdalej od tamtego punktu. Po kolejnym uderzeniu w podłogę jej odkształcenie jeszcze bardziej się uwypukliło. Po następnym już nie wytrzymała i powstała w niej dziura, w której ukazała się powykręcana ręka zakończona czarnymi pazurami. Tylko ona, otwór bowiem był zbyt mały, by zmieściło się w nim cokolwiek więcej. Skamieniały Piołun wytrzeszczył oczy, nie mogąc oderwać od niej spojrzenia. Wyrastała z podłogi, poruszając się jak oślizgłe żyjątko z niezbadanego dna oceanu. Dna, w którym panował wieczny mrok.

Albo już do reszty stracił zmysły, albo na tej ręce naprawdę widniała... twarz. Nie, nie twarz. T w a r z e . Co najmniej kilkanaście -na wierzchu, we wnętrzu dłoni, na przedramieniu, nawet na kolcach, które z niego wyrastały. Jakby płaskorzeźby pod skórą, podobne do tej, którą wcześniej można było zobaczyć tylko na klatce piersiowej tego dziwołaga.

– Raz, dwa, trzy, Piołun zakuty! - Chór głosów rozległ się spod podłogi, a Piołun zobaczył, jak jednocześnie z wypowiedzanymi słowami poruszają się usta wszystkich twarzy na tej ręce. Nie wytrzymał. Wyciągnął pistolet i zaczął do niej strzelać. Choć od fragmentu kończyny dzieliły go maksymalnie dwa metry, nie mógł jej trafić, sam zaś ledwo uniknął rykoszetu. Ręka wyrastająca z podłogi poruszała się, nie dając się ustrzelić, jakby ta rzecz naprawdę miała tam oczy i widziała przez nie, choć były pod skórą.

Wtem drzwi windy otworzyły się przed Piołunem. Jakimś cudem udało mu się dotrzeć na wymarzone piętro. Tak mógł je teraz określić - wymarzone, wyblagane, wymodlone. Nie był już sam. Gdzieś tam był szef. Szef na pewno coś wymyśli.

Poradzi sobie. Ma łeb na karku i ponad sto lat doświadczenia życiowego. Widział już wszystko, nikogo się nie bał.

Wybiegł z windy i zaczął krzyczeć:

– Alarm! Ten pajac wy dostał się z celi! Zabił kilku naszych! Pomóżcie!

Z pomieszczeń magazynowych wyszło kilkunastu mężczyzn. Sam ich widok sprawił, że Piołun poczuł się raźniej.

– W windzie! Jest w windzie! Załatwcie go!

Podczas gdy za Piołunem rozległy się strzały, ten nie oglądając się za siebie, pobiegł do magazynu broni. Wpadł do środka cały zdyszany. Zet znajdował się tam w towarzystwie kilku innych żołnierzy i księdza Kropidłowskiego, który miał nie opuszczać go na krok.

– Co się dzieje? - warknął boss.

– On się wy dostał i...

– Jak to jest, kurwa, możliwe?

– Nie wiem! Straciliśmy łączność z chłopakami, w tamtym korytarzu wysiadły też kamery. Kiedy tam poszliśmy, drzwi były wyłamane, a ten zbiornik z wodą, w którym go trzymaliśmy, rozbity. On...

– Jakim cudem? - Zet zwrócił się do Kropidłowskiego. - Mówiłeś, że nie będzie w stanie wy dostać się z wody! Że nie będzie w stanie się ruszyć, a nawet jeśli, to i tak nie przebije się przez tyle krzyży. Mówiłeś, że to jego słabość!

– Bo to prawda! Tak to działa u opętanych! - odpowiedział drżącym głosem Kropidłowski. - Nie wiem, co mogło pójść nie tak!

– On nie jest taki sam jak wcześniej. - Piołun wszedł mu w słowo. - On... mówi teraz wieloma głosami. Całym chórem głosów. Jest szybszy. Jakby wyższy i bardziej umięśniony. I... i... ma na ciele więcej twarzy. Ma ich pełno! Jest cały nimi pokryty! - Wzdrygnął się na wspomnienie tego widoku.

Po obliczu Kropidłowskiego przemknął błysk zrozumienia, ale przytomnie się nie odezwał. Zet jednak to zauważył.

– Wiesz! - Wycelował w niego pomarszczony paluch. - Widzę to. Wiesz, co się dzieje. Gadaj albo pożegnasz się z życiem!

Kropidłowski paradoksalnie zachował spokój i nie przestraszył się usłyszanych gróźb. Wiedział, że ten bandyta utrzyma go przy życiu jak najdłużej, bo egzorcysta

przy boku teoretycznie stanowił teraz jego jedyną ochronę.

– Nie wiem, jak jest naprawdę, mogę jedynie się domyślać, ale... - Uniósł rękę. - Ten opis wskazuje na to, że ma w sobie nie jednego demona, a więcej. Przy opętaniu jest to możliwe. Bywały już takie przypadki.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - Zet starał się mówić spokojnie, lecz było widać i słychać, że w rzeczywistości wprost kipi z wściekłości.

– Myślałem, że pan wie! Zresztą nawet nie dopuszczałem możliwości, że on to zrobi! Nie sądziłem, że będzie do tego zdolny! Nie wiem, jakim cudem kontrolował wcześniej jednego demona, ale cały legion... To szaleństwo!

– Mam jego córkę.

– Naprawdę myśli pan, że byty, które przejęły jego ciało, to obchodzi? To już nie jest on. Nie wierzę, że potrafi nad tym panować. Jest opętany w prawdziwym tego słowa znaczeniu. A im więcej demonów w niego weszło, tym bardziej to dla niego niebezpieczne i tym bardziej ryzykuje śmierć. Teraz to one kierują każdym jego ruchem.

Zet przeklął pod nosem.

– Jak go powstrzymać?

– Nie wiem! - skłamał Kropidłowski.

– Nie kłam, stary durniu! - Zet uderzył go przegniłą dłonią w twarz.

Głowa księdza odskoczyła w bok jak worek treningowy, a na policzku pojawiło się spore zaczerwienienie. Nabrał oddechu, zebrał się w sobie i spojrzał na sprawcę. Ledwo się powstrzymał, by nie zripostować, że kto jak kto, ale ten facet jest ostatnią osobą, która powinna pozwalać sobie na wyzywanie kogoś od starych.

– Tu już nie pomoże pierwszy lepszy krucyfiks - odparł. - Ma pan na to dowód, skoro się wy dostał. Zło w nim jest za silne. Nie jestem pewien, czy pomoże tutaj jeden egzorcysta. Musiałby pan sprowadzić tu co najmniej kilku, jak nie kilkunastu.

– Sprowadzę, jak będzie trzeba - odpowiedział cierpko Zet. - Dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych.

– Tylko że on już nie da się zaskoczyć egzorcystą. Wie, że tu jestem. A innych wyczuje.

– Każdy problem jest do rozwiązania. - Zet wziął krótkofalówkę i przyłożył ją sobie do ust. - Chłopaki! Przekierujcie go w stronę kopuły! Musimy spróbować go w niej uwięzić, aż...

– Szefie... nie da rady! - Z urządzenia wydobył się złękniiony głos, a w tle rozległy się strzały i niezidentyfikowane ryki czegoś, co z pewnością nie było człowiekiem. Usłyszeli też głośnie metaliczne łupnięcie i ziemia zadrżała tak, że odczuli to nawet tutaj.

– Odmawiasz wykonania polecenia? - warknął Zet.

– Nie o to chodzi! To coś nie daje się spychać! Tego nie da się nigdzie przekierować. To ono atakuje! My jedynie... - Mężczyzna wrzasnął z przerażenia, po czym w krótkofalówce zapadła cisza.

Wściekły Zet rzucił ją na ziemię i rozbiła się w drobny mak. Zacisnął pięści, cały drżąc.

– Chce wojny? To będzie ją miał - wycedził, wyciągając z kieszeni smartfona. Uruchomił aplikację, która już raz zapewniła mu zwycięstwo. Bez najmniejszego zawahania wcisnął w niej wizualizację czerwonego przycisku.

Piołun wytrzeszczył oczy.

– Szefie... Przecież tych cel pilnuje kilku naszych chłopaków! Trzeba ich...

– Nie pouczaj mnie, Piołun - przerwał mu ostro Zet. W jego głosie wybrzmiewała już nie tylko wściekłość. Także szaleństwo. Kropidłowski natomiast dosłyszał strach.

Zet chwycił i przeładował pistolet, po czym wycelował go w księdza.

– Idziesz ze mną.

– To nic nie pomoże... - zauważył Kropidłowski, a Zet wtedy strzelił mu tuż nad głową.

– Powiedziałem: idziesz ze mną! Ruchy!

Kropidłowski zrobił kwaśną minę i uniósł ręce.

– Mogę chociaż zapytać, dokąd i po co?

– Nie twoja sprawa. Ja mówię, a ty wykonujesz polecenia. Wychodzimy stąd. - Rozejrzał się po pozostałych. - Wszyscy.

Wyszli z pomieszczenia, każdy poza Kropidłowskim uzbrojony w pistolet i karabin. W korytarzu nie było już nikogo. Kilku martwych bandytów leżało

skapanych w kałużach krwi obok porzuconej broni, a w windzie brakowało drzwi. Podeszli do niej, ale okazało się, że nie działa. O ile dobrze widzieli, jej rozbita kabina leżała na samym dnie szybu.

Zet nie tracił czasu nawet na przeklinanie i po chwili wszyscy ruszyli w kierunku schodów. A kiedy to zobaczyli, raptownie się zatrzymali.

Przejście zniknęło. Schody zostały zniszczone na co najmniej dwadzieścia metrów w górę, a w ich części, przy której teraz stali, znajdowało się spore rumowisko i można było nimi pójść wyłącznie niżej. Na ścianie zaś widniały głębokie ślady pazurów.

W tym samym czasie w innej części kompleksu zaniepokojeni bandyci, którzy pilnowali korytarza z celami Dawida oraz reszty zakładników i do których docierały zaledwie strzępki informacji o tym, co się dzieje, zostali zaskoczeni przez drzwi, przy których stali. Najpierw zaczęło sączyć się zza nich czerwone, fosforyzujące światło. Zaraz jednak wyleciały z zawiasów z impetem równym temu, jaki towarzyszył wydostaniu się Legionu na wolność. Przerażeni zobaczyli potężną, pokrytą ciemnoszarym futrem bestię o pysku przypominającym wilczy, tak wielką, że nie mieściła się w otworze po drzwiach. Wystarczyło jednak, że chwyciła łapami za przeciwległe boki framugi, po czym wyrwała ościeżnicę, niszcząc fragment ściany i poszerzając w ten sposób wyjście z celi. Nie oglądając się za siebie, bandyci rzucili się do ucieczki, ale potwór, poruszając się na czterech łapach, szybko ich dopadł. Gdy żegnali się z życiem, nie zdążyli nawet krzyknąć.

Bestia ryknęła tak głośno, że rozniosło się to po wszystkich piętrach. Wyteżyła węch. W tym czasie Beata, Hubert i Szymon - zamknięci w sąsiednich celach - znieruchomieli i przywarli do ścian, nie śmiąc nawet drgnąć, o wyglądaniu przez zakratowane okienka w drzwiach nie wspominając. Kiedy olbrzym przechodził obok nich, sekundy zamieniały się w godziny. Błagali Opatrzność, by się nimi nie zainteresował, nawet Hubert, zdeklarowany ateista, który po całej tej historii musiał przyjąć do wiadomości istnienie świata duchowego, wcześniej tak ochoczo przez niego kwestionowanego. Ciężkie kroki roznosiły się echem po korytarzu i w końcu bestia dotarła do windy. Jednym uderzeniem łapy zniszczyła szerokie drzwi i wsunęła się do szybu, którego ciasnotę przy swych gabarytach mogła teraz łatwo wykorzystać do wspinaczki.

Zmierzała w stronę przeciwnika, którego wyczuła kilka pięter wyżej. Znała ten zapach. Woń innego drapieżnika, który zbyt śmiało poczynął sobie na cudzym

obszarze łowów.

\* \* \*

Minęło sporo czasu, zanim Beata, Hubert i Szymon odważyli się choćby rozluźnić mięśnie. Pomimo że siedzieli w oddzielnych celach i nie widzieli się nawzajem, nieświadomie zrobili to niemal równocześnie. Wciąż jednak nie mieli śmiałości wstać z podłogi, jakby obawiali się, że potwór zastawił na nich pułapkę, tak naprawdę nigdzie nie poszedł i tylko czeka, aby się poruszyli i ujawnili.

Zwłaszcza że drzwi do ich cel nagle się otworzyły. Najpierw Beaty, potem Huberta, a na końcu Szymona. Ktoś używał kluczy i ich wszystkich uwalniał, dbając o to, by nie pokazać się w zakratowanych okienkach. Mimo to jeszcze długo tkwili bez ruchu i tylko patrzyli z lękiem w stronę korytarza. Choć przed chwilą o niczym nie marzyli tak bardzo jak o tym, by wyjść z lochu, stojące otworem wyjścia do posępnego betonowego tunelu zapowiadały zagrożenie i niebezpieczeństwo.

Hubert przemógł się jako pierwszy i na miękkich nogach podszedł do drzwi. Ostrożnie wyjrzał na korytarz, lecz zobaczył w nim tylko kilku martwych bandytów, którzy mieli ich pilnować. Dostrzegł też trzy inne otwarte drzwi do sąsiednich cel, nie licząc tych, które bestia wyrwała z zawiasów.

Podszedł do pierwszych i zajrzawszy do środka, zobaczył zmizerowaną, przerażoną kobietę z blond włosami do szyi. Miała pociętą twarz z ranami zsztytymi staplerem, siedziała skulona pod ścianą i kurczowo przyciskała dłonie do piersi. Wpatrywała się w niego wytrzeszczonymi oczami, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, jakby zobaczyła ducha.

– W-wszystko w p-porządku? - wyjąkał. - Nic pani nie jest?

Zadziałała instynktownie. Wstała i rzuciła się do niego, jakby była dzieckiem, które pragnie schronić się w bezpiecznych ramionach ojca. Hubert jej nie znał, lecz przerażająca przygoda, w której uczestniczyli, sprawiła, że wszelkie konwenanse zeszyły na dalszy plan. Przytulili się do siebie, lecz nie trwali w objęciach zbyt długo.

Hubert oderwał się od kobiety, mówiąc:

– Mam na imię Hubert, a pani?

– Beata.

Drżała, choć w korytarzu było przeraźliwie gorąco. Dopiero kiedy odsunęli się od siebie, Hubert dostrzegł, że jej dłonie zostały okrutnie okaleczone. Brakowało w nich łącznie trzech palców, niektóre pozostałe zaś były połamane lub pozbawione paznokci.

– A ja Szymon. - Usłyszeli jeszcze jeden głos, a z trzeciej celi wyszedł blady mężczyzna ubrany w sutannę. - To wy mnie wypuściliście?

– Ja nie.

– Ja też nie.

– W takim razie kto...?

Wszyscy troje spojrzeli na czwartą celę, nie tę, z której wydostała się bestia, tylko jeszcze jedną. Jej drzwi też były otwarte. Zerknęli do niej, ale była pusta. Hubert w końcu uznał, że kwestia, kto ich uwolnił, nie jest tak ważna, by tracić na nią czas. Rozejrzał się, po czym podszedł do zmasakrowanych ciał strażników, przy których leżała broń. Przeszukał ich kieszenie, ale nie znalazł niczego przydatnego, nawet kluczy. Drżącą ręką podniósł z podłogi jeden z karabinów i podał go Szymonowi. Ten wziął broń z ociąganiem, a potem obchodził się z nią jak z najdelikatniejszym szkłem. Drugi karabin Hubert wziął dla siebie.

– Zna się pan na tym? - zapytał Szymon, czując się niezręcznie, jakby dotykał czegoś zakazanego.

Hubert przyjrzał się karabinowi.

– Do tej pory miałem do czynienia tylko z pistoletami na strzelnicy, ale chyba... Moment. - Wycelował w podłogę, po czym metodą prób i błędów doszedł do tego, jak te karabiny się przeładowuje i zabezpiecza. Szymon obserwował go i w końcu też nabrał w tym jako takiej wprawy. Oddali kilka strzałów w korytarz, a odrzuty ostatecznie uświadomiły im, że nie trzymają w rękach zabawek.

– No to. chyba już wszystko j-jasne... - wyjąkał Szymon, a Hubert zrobił kwaśną minę.

– Nie chcę być czarnowidzem, ale wątpię, żeby to cokolwiek pomogło w walce z tymi - przelknął ślinę - rzeczami.

– Ale my nie chcemy z nimi walczyć! - powiedziała ostro Beata. - Trzeba się stąd wydostać!



Kiwnęli głowami, po raz ostatni rozejrzeli się po korytarzu, po czym ruszyli w stronę schodów. Do samego końca nie mogli pozbyć się wrażenia, że ktoś ich obserwuje, i w żadnym wypadku nie chodziło o kamery.

\* \* \*

W podziemnym labiryncie zapanował chaos, roznosiły się po nim wrzaski, strzały i huki. po uderzeniach ciężkich przedmiotów o beton. Coś, co w najmniejszej mierze było Dorianem Wachem, a w największej czystym, uosobionym złem, nie oszczędzało nikogo na swojej drodze. Zniszczyło windę i schody, aby mieć pewność, że nikomu nie uda się stąd wydostać. Wbrew temu, co obiecało swojemu nosicielowi, zamierzało załatwić sprawę do końca, do ostatniej żywej istoty, jaką tylko da się znaleźć w tych podziemiach, a potem już na powierzchni, w mieście. Niektórzy bandyci walczyli do końca, zużywając wszystkie naboje, inni natomiast, zdawszy sobie sprawę, z czym tak naprawdę się mierzą, ignorowali rozkazy szefa i rzucali się do ucieczki, by prędzej czy później przekonać się, że są w potrzasku i z tego miejsca nie ma drogi wyjścia.

Wreszcie na piętro, na którym szalał Legion, dotarła również bestia. Zmierzając na nie, także zabiła kilkunastu żołnierzy Zeta, ale wyłącznie dlatego, że stali jej na drodze do najważniejszego celu. Kiedy się tam pojawiła, ci, którzy pozostali przy życiu, czym prędzej wbiegli do najbliższych pomieszczeń i zamknęli się w nich, mając nadzieję, że dwa potwory skupią się na sobie.

Ujrzawszy bestię, Legion uśmiechnął się szeroko na wszystkich twarzach, które pokrywały jego ciało jak tatuaże. Nie tylko pokrywały, także się poruszały. Przesuwały się pod skórą w różnych kierunkach, w chaosie porównywalnym do tego, jaki zapanował w podziemiach. Dało się dostrzec również wypukłości płaskich, szponiastych dłoni. Skóra potwora falowała, jakby pełzały pod nią robale, jakby gotowała się pod nią woda albo stanowiła worek z ludzkiej skóry pełen wijących się węży.

– Wilk jest dziki, wilk jest zły, wilk ma bardzo ostre kły! Kopę lat! - zapał chórem nieludzkich głosów.

Nim olbrzym zdążył odpowiedzieć na to choćby jednym warknięciem, Legion rzucił się na niego z niesamowitą szybkością i popchnął tak mocno, że obaj

polecieli jak pocisk na przeciwległą ścianę i wybili w niej potężną dziurę. Bestia jednak przetrwała to zderzenie bez szwanku i w odpowiedzi machnęła łapą w stronę przeciwnika. Nie trafiła i cios przyjęła kolejna ściana, która pękła z taką łatwością, jakby zbudowano ją z mokrego piasku. Legion wskoczył na sufit korytarza, szybko przepelzł za przeciwnika i wymierzył mu soczystego kopniaka w kark. Bestia uderzyła o beton całym przodem, wykruszając z niego kolejne odłamki.

W tym czasie bandyci Zeta z zapartym tchem obserwowali walkę poprzez uchylone drzwi od pomieszczeń, w których się skryli. Tylko to im pozostało - nie mieli odwagi skorzystać z okazji, że potwory rzuciły się sobie do gardeł, i spróbować uciec.

– Siwy, żyjecie tam? Co się dzieje? - Z krótkofalówki jednego z nich wydobył się głos Piołuna.

Siwy przeklął pod nosem i cofnął się w głąb pomieszczenia.

– Żyjemy - rzucił cicho.

– Gdzie jesteście?

– Poziom minus cztery. Te dwa potwory właśnie walczą ze sobą w korytarzu i...

– Uciekajcie stamtąd!

– Uwierz mi, na naszym miejscu też siedziałbyś na dupie za zamkniętymi drzwiami i modlił się, żeby te rzeczy pozabijały się nawzajem! - warknął.

– Aż tak źle?

– Tak. - Siwy ponownie wyjrzał przez szparę w drzwiach i wytrzeszczył oczy. - O kurwa... Nawet gorzej!

– Co?

– Ten brzydak z milionem mord na ciele, on właśnie... - Przełknął ślinę.

– Powiedz to wreszcie!

Siwy przetarł oczy ze zdumienia.

– On... lewituje!

– Co?!

– Piołun, kurwa, mówię ci, co widzę! On lata! L a t a , rozumiesz?!

\* \* \*

W tym samym czasie kilka pięter niżej Zet, wysławszy Piołuna po dziewczynkę mogącą stanowić jego ostatnią szansę na ocalenie, w towarzystwie kilku swoich ludzi prowadził Kropidłowskiego przed lufą pistoletu w stronę awaryjnej kryjówki, w której znajdowało się tajemne wyjście ewakuacyjne - dodatkowa winda, chroniona kodem liczbowym, który znał wyłącznie on. Nawet tutaj słyszał odgłosy starcia na górze, ciężkich uderzeń przypominających walenie młotem o kowadło przeplatanych rykami bestii i chórem demonicznych głosów. Już niemal zapomniał, jak to jest bać się o życie. W takiej sytuacji znalazł się chyba po raz pierwszy, odkąd uciekł z Auschwitz. Pogrążony w gorączkowych myślach dotarł w końcu do pomieszczenia, które przypominało schron przeciwiatomowy. Jego drzwi były otwarte. Wszedł do środka, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Migająca strzałka w górę nad drzwiami do windy świadczyła o tym, że ktoś właśnie z niej korzystał. Zet nic z tego nie rozumiał. Był absolutnie przekonany, że tylko on znał kod, którym odblokowywało się dostępowość do tej drogi wyjścia. Nigdy nikomu go nie zdradził. Ktoś go złamał? Jakim cudem?!

- Co jest?! - warknął, podchodząc do zasuniętych metalowych drzwi i wciskając guzik przywołujący windę. Oczywiście nic to nie dało - musiała najpierw dojechać na górę, na samą powierzchnię, i dopiero potem mogła zjechać z powrotem. W obie strony musiała pokonać łącznie prawie dwa i pół kilometra, na domiar złego z niezbyt dużą prędkością. Zet przeklął wściekle i zaczął chodzić w kółko po pomieszczeniu, intensywnie myśląc. Jego ludzie milczeli, rozglądając się po sobie z niepokojem. Rozglądał się również Kropidłowski. W poszukiwaniu możliwości ucieczki.

\* \* \*

Po niemal doszczętnym zrujnowaniu kilku kondygnacji walka dwóch najpotężniejszych istot na świecie dotarła w końcu do dużej hali w kształcie kopuły, w której walczyły poprzednio. Siwemu nic się nie przywidziało - Legion rzeczywiście nabył zdolności lewitacji, jak kilka innych osób w historii opętań ludzi przez demony. Zdolność ta dała mu dużą przewagę. Podczas gdy bestia powoli opadała z sił, atakował ją z powietrza jak drapieżny ptak, nie dając się

trafić. Był niesamowicie szybki i silny, ostrymi jak brzytwa pazurami zadał jej wiele bolesnych, krwawiących ran, a kiedy jakimś cudem zdołała złapać go za obie ręce, z jego brzucha niespodziewanie wyłoniła się trzecia, jak cielistą macka, i to ona wymierzyła kolejny cios, po czym natychmiast zniknęła.

Bandyci Zeta nadal nie mieli odwagi się ruszyć i oglądali walkę z ukrycia. Przypominało to patrzenie na kataklizm lub na katastrofę naturalną - człowiek wie, że powinien uciekać od nich jak najdalej, ale w niezrozumiałej zaćmie umysłu staje i patrzy, podziwiając niszczycielskie piękno żywiołów. W niektórych przypadkach nawet wyciąga telefon i nagrywa. Siwy i reszta co prawda smartfonów nie wyciągnęli, ale ciekawość podsycana gangsterskim kultem siły, który w ich środowisku przekładał się na uwielbienie sportów walki, nakazywała im poznać ostateczne rozstrzygnięcie tej konfrontacji. Niektórzy ocalali z innych pięter dopytywali przez krótkofalówki, co się dzieje, a Siwy zdawał im niemalże radiową relację.

Relację, która miała lada moment się zakończyć.

Legion był w natarciu. Legion wygrywał.

Kiedy bestia po kolejnym ciosie poleciała na ponad dwadzieścia metrów i walnęła o betonowe podłoże, tym razem wstawała o wiele dłużej niż wcześniej. Legion jednak stał już przy niej. Złapał ją za nogi i ponownie przewrócił, po czym zaczął kręcić się wokół własnej osi, jakby rzucał młotem. Obracał się coraz szybciej, a cielsko owłosionego olbrzyma cięło powietrze niczym nóż, podczas gdy ten tracił zdolność trzeźwej oceny sytuacji i czekał już jedynie na zderzenie ze ścianą, które miało pozbawić go przytomności. Legion w końcu puścił nogi bestii i poleciała jak kula armatnia w kierunku najbliższego fragmentu zaokrąglonego sklepienia. Uderzyła o nie z taką siłą, że przebiła się na drugą stronę i leżała teraz górną połową cielska na korytarzu.

Instynkt przetrwania nakazywał jej podjąć jeszcze jedną próbę podniesienia się chociażby na czworaki, lecz nie miała już siły nawet na to. Pokonana, padła bez przytomności na ziemię. Siwy i reszta ledwo się powstrzymali, by się odezwać i zdopingować bestię, żeby jeszcze spróbowała wstać. Nic z tego.

Legion zwyciężył.

Wylądował na ziemi i podszedł do przeciwnika, celebrując każdy krok. Uśmiechał się na każdej ze swoich twarzy, które wciąż przemieszczały się pod jego

skórą. Dotarłszy do nieruchomego cielska, wskoczył na nie, stanął na karku olbrzyma, rozłożył ręce, uniósł głowę ku sufitowi i wydał chóralny ryk zwycięstwa. Wszystkich słyszających go przeszły ciarki. Dopiero to sprawiło, że jakby otrzeźwieli i rzucili się rozpaczliwie do ucieczki, krzycząc do krótkofalówek, jak zakończył się pojedynek.

Legion zamknął oczy i skorzystał ze swojego szóstego zmysłu, w tej formie jeszcze bardziej wyostrzonego. Najtrudniejszy przeciwnik został unieszkodliwiony, więc teraz przyszła pora na drugiego w kolejności. Tego, z którym nosiciel miał najbardziej na pieńku. Nie było trudno zlokalizować Zeta. W całym labiryncie to wciąż on szczyił się największą ilością wyrządzonego zła. I choć Legion od uwolnienia się z celi zabił co najmniej kilkudziesięciu oprychów, liczba ta do liczby ofiar długowiecznego gangstera wciąż miała się tak, jak majątek przeciętnego Kowalskiego do fortuny najbogatszych ludzi na świecie.

Zło kontra zło. Tak czy inaczej, zło zatriumfuje. A potem Dorian Wach umrze. Tak, jak miało być od początku.

Legion otworzył oczy, po czym wskoczył na sufit i zaczął pełznąć ku celowi, atakując kolejnych bandytów, których doganiał po drodze.

\* \* \*

Zet wpatrywał się gorączkowo w windę, która, sądząc po komunikacie z wyświetlacza nad drzwiami, dopiero przed chwilą dotarła na powierzchnię. Czas dłużył mu się niemiłosiernie. Wściekał się również na krótkofalówki, bo zdawały się żyć własnym życiem i decydować o tym, jakie komunikaty przesyłać (te, które miały potęgować strach), a jakie zakłócać (wszystkie inne). Przez to nie mógł skontaktować się z Piołunem i dowiedzieć się, czy ten zdołał dotrzeć do dziewczynki. Teraz jednak nie miało to już znaczenia.

Za masywnymi stalowymi drzwiami do schronu rozległy się potężne uderzenia. Zet wiedział, że to nie Dawid, który zwyciężył i przyszedł zameldować o wykonaniu zadania.

Drzwi zostały wyrwane z zawiasów, jeszcze zanim zdążył odezwać się do swoich ludzi i Kropidłowskiego, by nakazać im stanąć w swojej obronie. Legion z dziecinną łatwością odrzucił je, po czym wkroczył do pomieszczenia, a wszyscy

w nim zebrani zobaczyli go po raz pierwszy od jego transformacji. Kontrast w porównaniu z poprzednią formą aż nadto rzucał się w oczy. Nie tylko przez większy wzrost i o wiele bardziej muskularną, jak gdyby napompowaną sylwetkę z długimi kolcami wyrastającymi z ramion, pleców i nóg. Okropne twarze w różnych rozmiarach widniały na niemal każdym kawałku jego falującej skóry, także pod włosami. Przesuwały się pod nią w losowych kierunkach, przeplatając się z nabrzmiętymi żyłami.

– Załatwcie go! - Zet krzyknął w kierunku swoich ludzi, lecz nie zdążył nawet skończyć zdania, a wszyscy oni już leżeli na podłodze, martwi. Zostali w pomieszczeniu tylko we trójkę: on, Kropidłowski i... ta rzecz. Przerażony, miał nie lada dylemat, w kogo wycelować pistolet, lecz w końcu zdecydował się na księdza.

– Zrób coś! - wrzasnął rozpaczliwie.

Ten uniósł ręce, wpatrując się na przemian w Zeta i w potwora.

– Ale... Ja... Jak? Nie wiem...

– Wyciągnij ten pierdolony krzyż! Mów modlitwy! Cokolwiek albo cię zabiję!

Kropidłowski uznał, że nie ma wyboru, i już sięgał po krucyfiks, kiedy Legion ni stąd, ni zowąd znalazł się pomiędzy nim a Zetem. Zaskoczony boss nacisnął spust, a kula utkwiała w ciele stwora, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Ani ta, ani kolejne, które posyłał w jego stronę tak długo, aż opróżnił magazynek. Kropidłowski stwierdził, że więcej szans od losu nie otrzyma. Nie oglądając się za siebie, wystrzelił w stronę wyjścia ze schronu i wybiegł na korytarz, nie bacząc, gdzie prowadzą go nogi, byle jak najdalej stąd.

Legion nie skupiał się na księdzu. Przyszedł tutaj, by chociaż częściowo wypełnić pakt, jaki zawarł ze swoim nosicielem. Ten swego czasu powiedział samą prawdę. O diable można powiedzieć wiele, ale nie to, że nie dotrzymuje umów. Szczególnie jeżeli te polegają na zrobieniu komuś krzywdy.

Zet zaczął modlić się na głos. Legion roześmiał się chórem głosów. Jednym szybkim ruchem zacisnął szpony na dłoni, w której gangster trzymał pistolet. Chwył był tak mocny, że Zet aż jęknął.

– Dopiero teraz wzywasz Go na pomoc? - zapytał Legion, wpatrując się w czarne szkła w oczodołach maski bossa. - Dopiero teraz, gdy okazało się, że nie ma dla ciebie żadnej nadziei?

– ...ty zawsze przy mnie stój...

– Gdzie było miłosierdzie, do którego teraz się odwołujesz, kiedy porywałeś niewinną kobietę z córką, by osiągnąć swoje cele? Gdzie było, kiedy zabijałeś matkę małej? - Z oczu stwora zaczęły płynąć czarne łzy. Ze wszystkich oczu na jego ciele, ze wszystkich dodatkowych twarzy, które teraz przesunęły się poniżej obojczyków istoty. Wydawało się, że na moment odzyskała osobowość Dorigana, w każdym razie coś, co ją przypominało. Wypełniające go demony dały mu możliwość ostatniej rozmowy z największym wrogiem. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię nienawidzę... - przemówił tylko jednym, ludzkim głosem. - Skrzywdziłeś moją córeczkę i jej matkę. Przez ciebie cierpiały, bały się, czuły ból. - Ścisnął dłoń Zeta tak mocno, że pogruchotał w niej wszystkie kości.

Boss ryknął z bólu i przykląkł na jedno kolano.

– Błagam...

– Zamknij mordę! Ale najpierw mi ją pokaż! - Legion zacisnął drugą dłoń na masce i zaledwie kilka sekund wystarczyło, by ją połamał, zerwał z głowy Zeta i odrzucił. Ukazała mu się wychudła, przeraźliwie pomarszczona i obwisła twarz starca z ledwo widocznymi pozostałościami po siwych włosach, plamami na skórze, licznymi bliznami i zapadniętymi, przekrwionymi oczami. W miejscu nosa ziała trójkątna dziura jak w zwykłej, gołej czaszce, a z jednego ucha ciekła żółtoszara ropa. Całość przywodziła na myśl gnijący owoc. - Głowa... Twój słaby punkt, jak u każdego człowieka, tylko w trochę innym sensie. - Legion wrócił do chóru głosów, a pozostałe twarze ponownie rozlazły się po jego ciele. - A może jednak w takim samym? - Przyjrzał się Zetowi i coś zrozumiał. - Proszę, proszę! Nawet ty masz słabe punkty w psychice! N a w e t c i e b i e d a s i ę t a k z ł a m a ć ! - Roześmiał się. - Chcesz dalej być nieśmiertelny? W innym ciele, mniej wstrętnym i zużyтым? Co za szkoda, że choć zapewniasz swoim naukowcom wszelkie środki, jakich sobie zażyczyli, jak dotąd nie udało im się wynaleźć sposobu, aby przedłużyć ci życie w mniej bolesny sposób. - Nachylił się nad staruchem i wyszczerzył zębiska, napawając się jego przerażeniem i bólem, szczególnie psychicznym, który potęgowały wypowiedane przez niego słowa. - Jesteś tym sfrustrowany i robisz dobrą minę do złej gry. Wmówiłeś sobie, że masz za mało funduszy. To dlatego zdecydowałeś się darować mi życie i szukać sposobu, jak wykorzystać mnie i Dawida! Przez twoje głębokie pragnienie nowego życia wiecznego na Ziemi, które nigdy nie będzie ci dane. Oto twój najmroczniejszy

sekret, Ziarnik! - Zmiażdżył mu dłoń do końca i urwawszy ją, odrzucił na drugi koniec pomieszczenia. Z kikuta wypłynął galaretowaty strumień krwi. Wydawała się ciemniejsza niż u zwykłego człowieka, gęstsza, jakby przesycona brudem i zanieczyszczeniami.

Zet ryknął z bólu po raz kolejny.

- Boli? - Legion się uśmiechnął. - Pocieszę cię: nie tylko ciebie. Ewę też bolało, kiedy kazałeś swoim oprychom ją zgwałcić. Nawet bardziej. Uwierz mi, czułem to. Czułem jej ból jak własny. - Złapał Zeta za szyję i przyciągnął do siebie. - Mówiłeś, że najpiękniejsze w Dziewczynach jest to, że są dwie, więc jedną możesz zabić, żeby mnie ukarać, a drugą trzymać na uwięzi, abym nie rozrabiał. Wiesz, co jest najpiękniejsze w tobie? - syknął mściwie. - Że ludzkich narządów jest znacznie więcej niż dwa, a ty jesteś p r a w i e nieśmiertelny. - Wbił dłoń w brzuch dogorywającego gangstera.

Pierwsze, co wyczuł pod palcami, to potężny guz nowotworu.



# R O Z D Z I A Ł      X L V

Niewiele brakowało, a Szymon i Hubert zastrzeliliby uciekającego Kropidłowskiego, na którego wpadli z Beatą podczas poszukiwania drogi wyjścia z niekończących się korytarzy. Proboszcz był tak przerażony, że z początku nie dało się z nim dogadać. Dopiero kiedy trochę się uspokoił, opowiedział im, co się stało, wraz z opisem monstrum, w jakie zamienił się Dorian. Im dłużej trwała jego opowieść, tym większe niepokój i rezygnacja malowały się na twarzach jego słuchaczy.

– A Dawid? Co z Dawidem? - zapytała Beata.

Kropidłowski spuścił wzrok.

– Nie wiem. Ten facet w masce używa jakichś kul o wyglądzie księżyca, dzięki którym może go przemienić w potwora, kiedy chce. Zrobił to i...

– To się zgadza! - zauważył Hubert. - Sami widzieliśmy, że się przemienił i wydostał ze swojej celi. Więc ci bandyci znaleźli sposób, aby go przemieniać bez prawdziwej pełni?

– Tak. On... On miał walczyć z tym, w co zamienił się Dorian. Więc skoro nie udało mu się go powstrzymać, to...

– Nie! - przerwała mu Beata, którą już wcześniej niepokoiło, że od jakiegoś czasu w podziemiach nie roznosiły się ryki Dawida. - To niemożliwe! Dawid nie dalby się tak łatwo pokonać! Nie on! Na pewno jeszcze żyje!

– Pani Beato... - Szymon złapał ją za ramię, ale odepchnęła jego dłoń.

– Nie uwierzę, dopóki tego nie zobaczę! - zawołała i ruszyła w kierunku, z którego mniej więcej po raz ostatni dobiegały ryki bestii.

– To nie ma sensu! - zawołał za nią Kropidłowski. - Idzie pani na pewną śmierć! Nawet jeżeli on żyje, to już nie jest ta sama osoba, którą pani poznała! To już nie są ludzie! Ani jeden, ani drugi!

Beata zignorowała go i biegła dalej. Księża i Hubert spojrzeli na siebie, niezdecydowani, co dalej robić. Wreszcie ten ostatni westchnął ciężko i poszedł za Beatą. Po nim Szymon. Kropidłowski zastanawiał się najdłużej, lecz w końcu i on ruszył z powrotem, choć cmokał z dezaprobatą i kręcił głową. Nie opuszczały go złe przeczucia.

Beata wreszcie dotarła do korytarza, z którym sąsiadowała hala w kształcie kopuły. Zobaczywszy bestię leżącą nieruchomo na brzuchu, doskoczyła ku niej, nie bacząc na konsekwencje. Podążający za nią towarzysze stanęli jak wryci.

– Beata, co ty wyrabiasz?! - zawołał Hubert, choć odruchowo starał się to robić jak najciszej.

Beata przyklękła przy Dawidzie, mając nadzieję, że nawet po transformacji można sprawdzić u niego puls w tym samym miejscu, co u człowieka. Sięgnęła delikatnie pomiędzy gęstym włosiem i dotknęła szyi bestii. Ulga, jaką poczuła, zaskoczyła nawet ją samą.

– Żyje! - zawołała.

Pozostali popatrzyli po sobie i pomyśleli o tym samym. Nie wiedzieli, czy to dobra, czy zła wiadomość.

– Widziałaś, jaką masakrę ten potwór spowodował na gali? -zapytał Hubert. - Widziałaś, jak szalał po Warszawie i nawet wojsko nie było w stanie...

– Po pierwsze: nie nazywaj go potworem! - przerwała mu ostro Beata. - To człowiek! Nigdy nie prosił się o to, żeby stać się czymś takim! Nie robi tego świadomie!

Hubert przewrócił oczami.

– Ale jakie to ma znaczenie?

– Ma! Właśnie dlatego do mnie przyszedł. Dlatego w ogóle się poznaliśmy. Szukał odpowiedzi, jak powinien traktować swój dar.

– Beata...

– Wierzę, że zachowała się w nim chociaż cząstka ludzkiej osobowości! - zawołała ze złością. - Nie rozumiecie, że on jest teraz naszą jedyną nadzieją?! Jeżeli to prawda, co ksiądz powiedział -spojrzała na Kropidłowskiego - to Dorian już nad

sobą nie panuje! Oddał ciało całemu legionowi demonów, nie myśli logicznie, a kiedy skończy ze wszystkimi bandytami w tym labiryncie, zajmie się nami. Nie dogadasz się z nim. Jak to sobie wyobrażasz?

Milczeli.

– Jesteśmy tu uwięzieni! Nie mamy kontaktu z nikim! Nikt z naszych bliskich nie wie o istnieniu tego miejsca i żaden nie przybędzie nam na ratunek! Będziemy uciekać tak długo, aż opadniemy z sił? Ukrywać się, licząc, że ten stwór nas nie znajdzie, choć jego zdolności pozwalają mu znaleźć każdego człowieka na tej planecie? Jaki inny plan proponujesz, poza strzeleniem sobie w łeb? To przynajmniej będzie mniej okrutna śmierć.

Hubert zacisnął usta i głośno wypuścił powietrze przez nos.

– Dawid jest naszą jedyną nadzieją, rozumiecie? - powtórzyła Beata. - On nigdy nie był w tej historii czarnym charakterem! Świadomie nigdy nikogo nie skrzywdził. To wciąż człowiek, który gdzieś tam jest! Dobry człowiek.

– Kompletnie oszalałaś. - Hubert pokręcił głową. - W ten sam sposób możesz usprawiedliwić każdego maniaka i seryjnego mordercę. Znam to psychologiczne pieprzenie o nieprzepracowanym dzieciństwie. „To nie jego wina, dorastał w toksycznym środowisku i coś mu odjebało”. Naprawdę uważam...

Ku jego przerażeniu Beata nie bawiła się już w dalszą polemikę, tylko uklękła przy potężnym cielsku.

– Dawid... - szepnęła mu do ucha.

– Beata! - niemal pisnął Hubert. - Nawet jeżeli mamy tu umrzeć, wolę pożyć jeszcze te kilka minut dłużej!

– Nie umrzemy tu! - powiedziała z przekonaniem. - Dawid nas obroni. Nie skrzywdzi nas. Jestem tego pewna.

Pogłaskała go po pysku, a Hubert spostrzegł z przerażeniem, że ten zaczyna się poruszać. Chciał rzucić się do ucieczki, ale stał jak sparaliżowany i tylko mocniej zacisnął dłonie na karabinie.

– Dawid... - szepnęła w jego długie ucho ciepłym, życzliwym głosem tak często używanym przez nią podczas rozmów z pacjentami. - Wiem, że tam jesteś. Wiem, że mnie rozpoznasz i nie zrobisz nam krzywdy. Wiem to!

Potwór znowu poruszył łbem, podczas gdy Beata nie przestawała mówić i go głaskać. Wreszcie uchylił powiekę, ukazując jasnyniebieskie oko. Z początku

puste, bez świadomości, lecz z każdą sekundą coraz bardziej przytomne. Zaczął cicho warczeć i pokazał zębiska. Beata dygotała ze strachu, lecz zmusiła się do tego, by kontynuować, by dalej próbować wydobyć z tej istoty Dawida tkwiącego gdzieś głęboko w niej, zarówno ciałem, jak i duchem. Człowieka, w którym wciąż wyczuwała dobrą energię, z jaką przyszedł do niej po raz pierwszy. Człowieka, którego jako gatunek od zwierząt odróżnia to, że potrafi kochać.

Olbrzym podparł się potężnymi łapami i z trudnością podniósł na nogi. Kiedy stanął nad Beatą, tak potężny, że musiał zgarbić się nawet w tym wysokim korytarzu, warczący i straszący sierść, błyskawicznie zaczęła opuszczać ją odwaga, zwłaszcza że przypomniała sobie, jak potraktował ją, gdy stracił rozum jeszcze w ludzkiej formie, podczas sytuacji z taksówkarzem i kulą imitującą księżyc, choć wówczas też próbowała do niego dotrzeć. Zawzięła się jednak, napięła mięśnie i stała twardo w tym samym miejscu, patrząc mu w oczy.

– Dawid, to ja! Beata! Musisz mnie pamiętać! Musisz mnie wyczuć! Mój zapach, cokolwiek! Nie jestem twoim wrogiem! Kocham cię i nie chcę cię skrzywdzić!

Stwór zbliżył do niej potężny łeb tak bardzo, że niemal stykali się nosami. Jego szerokie nozdrza wciągały intensywnie powietrze. Beata nie wytrzymała i zamknęła oczy. Spod powiek spłynęły jej łzy przerażenia.

Hubert, Szymon i Kropidłowski wpatrywali się z napięciem, jak potwór lustruje Beatę z każdej strony. Nie dotykał jej jednak, choć mógł zabić jednym uderzeniem łapy. Wreszcie wyprostował się na tyle, na ile pozwalało mu sklepienie, a Beata otworzyła oczy. Spojrzała w jasnoniebieskie ślepie, takie same, niezależnie w jakiej formie się znajdował. Sama nie wiedziała, co w nich wyczytała, lecz momentalnie nabrała pewności, że jej plan się powiódł.

– Już dobrze... - Zrobiła ostrożny krok naprzód i spróbowała go dotknąć. Warknął i nie pozwolił na to, lecz dało się zauważyć, że włożył w to znacznie mniej siły i ekspresji, niż mógłby. - Jesteśmy po twojej stronie. Wszyscy. Naprawdę! - Wskazała za siebie.

Dawid spojrział za jej palcem i jakby dopiero wtedy zauważył, że nie są w korytarzu sami. Znowu zaczął warczeć, a jego pysk wykrzywił się we wściekłym grymasie. Postąpił krok w kierunku Huberta i księży, ale Beata rozłożyła ręce i zagroziła mu drogę.

– Nie! - zawołała. - Jeżeli oni, to najpierw ja! Nigdy inaczej!

Zacisnęła zęby i skupiła się, by nawet nie mrugnąć. Spojrzała mu w oczy, spodziewając się wszystkiego.

Wtem z pięter nad nimi rozległ się stłumiony huk walącego się sufitu, który odwrócił uwagę potwora od Beaty i reszty. Dawid uniósł łeb i wydał nozdrza.

– Tak - szepnęła. - Twój przeciwnik jest gdzie indziej. Nie tutaj powinieneś go szukać.

Dawid zaczął warczeć jeszcze głośniej, tym razem wpatrując się w podłogę. Choć kiedy się przemieniał, zyskiwał jak gdyby drugą osobowość, jej pamięć niczym nie różniła się od pamięci zwykłego człowieka. Nawet kiedy jego drugie ja przejmowało kontrolę, pamiętało, z kim i w jaki sposób przegrało ostatnie starcie.

I tego, który go pokonał, wciąż wyczuwał węchem w tym betonowym labiryncie. Ten ktoś znajdował się pod nimi. Panoszył się po jego terytorium jak po własnym.

Ryknął wściekle, minął Beatę i ruszył korytarzem na czterech łapach, stawiając kroki, od których trzęsło się podłoże. Przerażeni Hubert, Szymon i Kropidłowski skulili się, przygotowani na rychłą śmierć, ale tylko przeszedł obok nich, przyspieszył i dopadł do szybu po windzie. Wcisnąwszy się do niego, zaczął zsuwać się na dół.

Nim zdążyli choćby odetchnąć z ulgą, Beata już ich mijała, zmierzając w stronę schodów.

– Ruszcie się! - rzuciła. - Nie mamy czasu!

– Czekaj! - zawołał za nią Hubert. - Nie mamy czasu na co?

– Skoro Dorian już raz go pokonał, najpewniej pokona po raz kolejny, więc...

– Chcesz powiedzieć, że właśnie świadomie wysłałaś swojego faceta na pewną śmierć?! - krzyknął histerycznie.

– Nie, bo wcześniej Dawid walczył z nim sam, Hubert! Nie miał przy sobie nikogo, kto by mu pomógł! Jak chcecie, to tu zostańcie. Ja go nie zostawię - rzuciła i wybiegła z korytarza na schody.

Ciemnoczerwona, galaretowata krew pokrywała niemal całe pomieszczenie. Choć po Zecie pozostała jedynie głowa, klatka piersiowa i ręka, za którą Legion unosił go nad ziemią, gangster wciąż żył, cierpiał najgorsze katusze i z bólu tracił świadomość. Oto jak łatwo jest zmienić czyjeś błogosławieństwo w najczystsze przekleństwo. Oto dowód, że nawet nieśmiertelność może stać się najgorszym koszmarem, gorszym nawet od wiecznego starzenia się.

Ryk bestii, który rozniósł się po korytarzu, sprawił, że Legion okręcił głowę i spojrzał w stronę wyjścia ze schronu. Uśmiechał się.

– Jeszcze nie masz dosyć, wilczku? - zapytał chórem głosów i wypuścił z ręki pozostałości po Zecie, które wylądowały na podłodze z obrzydliwym plaśnięciem. Wymaszerował z pomieszczenia. Bestia już czekała na niego na końcu korytarza i gdy tylko go zobaczyła, rzuciła się do ataku.

Rozpoczęła się druga runda.

\* \* \*

Beata i reszta obserwowali starcie z ukrycia. Podobnie jak w pierwszym Dawid raz za razem lądował na ziemi lub wybijał dziurę w kolejnej ścianie, lecz nie poddawał się, szybko się podnosił i ponawiał atak. Hubert wpatrywał się z przerażeniem w jego przeciwnika, kiedy ten znowu skorzystał ze zdolności lewitacji.

– On lata! - szepnął z przejęciem.

– Tak. - Kropidłowski kiwnął głową z ponurą miną. - Wśród opętanych udokumentowano już kilka przypadków lewitacji.

Beata zaczęła intensywnie myśleć.

– Proszę księdza - zwróciła się do niego. - On jest opętany, tak? Przez wiele demonów, a nie jednego? Nadal możemy tak mówić, używając religijnej terminologii?

– Tak, już mówiłem - odpowiedział bez wyrazu Kropidłowski. - Choć to w ogóle nie przypomina opętania, z jakim do tej pory miałem do czynienia. Ani obecna, ani poprzednia forma.

– Ale jego moce z tego wynikają. Możemy mieć jakiś punkt zaczepienia do tego, jak go powstrzymać. Ksiądz jest egzorcystą - zauważyła. - Dorian opowiadał mi, że bardzo szanowanym. I mamy nawet drugiego księdza do pomocy! - Spojrzała na Szymona.

– Nie mamy szans - uciął Kropidłowski. - Skoro wy dostał się z wody święconej i z celi wyłożonej krucyfikami, skoro zło w nim jest tak potężne, że zdołał im się oprzeć, znaczy to, że nawet dwóch księży może nie wystarczyć.

– Może? Czyli jest jakiś cień szansy? Może dałoby się wygnać z niego te demony? W końcu nie minęło tak wiele czasu, odkąd przejęły jego ciało. Czy to nie działa na naszą korzyść?

Ksiądz Ludwik oderwał wzrok od walczących w korytarzu potworów w tym samym momencie, w którym Dawid wylądował na podłodze tak ciężko, że zatrzęsł całym piętrem. Spojrzał na Beatę i przez jakiś czas milczał.

– Szansa, że egzorcyzmy w tym przypadku go osłabią i unieszkodliwią, jest tylko jedna. Trzeba go unieruchomić. By nie tyle poddał się mocy Boga i krzyża, ile nie miał innego wyjścia. Inaczej po prostu ucieknie. Gdyby udało się go złapać i na przykład związać... - Zasepił się. - Ale to i tak bez sensu, bo teraz jest tak silny, że łatwo rozerwie każdy sznur czy kajdany, zresztą wcześniej był przypięty łańcuchami w swojej celi. Nie mamy nawet środków, by spróbować spełnić podstawowy warunek!

– Krucyfiks trzymany przez doświadczonego egzorcystę to coś więcej - zauważyła Beata. - Moim zdaniem ma o wiele większą moc niż same dewocjonała i woda święcona. Egzorcysta przemawia głosem Boga. Niezależnie od tego, jak dużo jest tych demonów, muszą mu się poddać.

– Tego nie wiemy - zirytował się Kropidłowski. - Nigdy nie egzorcyzmowałem człowieka, który miałby w sobie cały legion złych duchów!

– Musimy spróbować.

– Łatwo pani mówić, to nie pani będzie igrać z życiem!

– Będę, postaram się księdzu pomóc, jak mogę.

– To czyste szaleństwo!

Beata wpatrywała się z zasepioną miną w Dawida po raz drugi przegrywającego starcie. Nie mieli za dużo czasu. Przeczynała, że Dorian, opętany ekstremalnym złem, już nie popełni tego samego błędu i upewni się, że jego przeciwnik naprawdę zginął. A potem...

– Nie mamy innego wyboru - mruknęła i nim którykolwiek z towarzyszy zdołał ją powstrzymać, wkroczyła na środek korytarza.

– Dorian!

Bestia odbiła się od ściany i padła nieprzytomna na ziemię, wzniesając chmury pyłu z pokruszonej podłogi. Walczący z nią Legion już przymierzał się do tego, by

ją dobić, lecz kobiecy głos przyciągnął jego uwagę. Odwrócił się i spojrzał na Beatę. Uśmiechnął się, szczerząc zębiska.

– Proszę, proszę, sami starzy znajomi!

Przerażona Beata ruszyła na miękkich nogach w jego stronę i stanęła w bezpiecznej odległości, o ile w tej sytuacji jakąkolwiek można było tak nazwać. Kusiło ją, by złożyć ręce na piersi w pozycji zamkniętej, ale się powstrzymała. Spuściła je bezwładnie.

– Nie jestem waszą znajomą - powiedziała zimno. - Nie jestem i nigdy nie byłam!

– Jesteś, nawet jeżeli Doriana tu nie ma! - zawołał Legion, krocząc ku niej powoli. - Wiesz, że psychologowie i psychiatrzy wyświadczają nam wiele dobrych przysług? To do was wysła się opętanych, abyście postawili pierwszą diagnozę, wykluczyli chorobę psychiczną. Ciekawe, że wasze słowo liczy się bardziej od zdania doświadczonych klech, którzy mają z nami walczyć. Wystarczy, że się pomylicie, że dacie się oszukać, a my zyskujemy więcej czasu. Pomagacie nam! Tak jak ty! To ty nie pomogłaś Dorianowi na tyle, że gdy uzyskał swoje moce, w mieście zapanował chaos. To ty powiedziałaś mu, że strach jest najlepszym narzędziem walki z przestępcami! Stworzyłaś potwora!

„Nie słuchaj go! - upomniała się w myślach Beata. - Znowu to robi! Mówi to wyłącznie po to, żeby cię złamać”.

– Kłamiesz! Po prostu źle wykorzystał tę wiedzę, ale to wciąż dobry człowiek! Zawsze nim był!

– Wmawiaj to sobie! Nigdy cię nie posłuchał! - zawołał triumfalnie Legion. - Kiedy zdałaś sobie sprawę ze swojego błędu, próbowałaś go przekonać, by poddał się egzorcyzmowi, podczas gdy nigdy nie miał takiego zamiaru. Nigdy nie chciał się pozbyć pierwszego z nas!

– Miał szlachetne intencje! - Beata była tak przerażona, że w pełni improwizowała, mówiła, cokolwiek jej akurat przyszło do głowy. - Chciał czynić dobro, nawet jeżeli nie rozumiał, czym właściwie jest. Teraz też! Poświęcił swoje ciało i zrobił to wyłącznie po to, żeby nas uwolnić. Wiem to!

– Gównu wiesz! - ryknął Legion. - Nie zrobił tego dla was, tylko dla córki! Od początku miał was gdzieś!



– Dla córki? - zainteresowała się Beata. - To ciekawe, że znowu pojawia się jej temat. Tak jak poprzednio. Czyli zrobił to w imię miłości?

Z twarzy stwora spęzł uśmiech. Z każdej twarzy na jego ciele. Opuścił ręce i otworzył szerzej oczy. Beata to zauważyła.

– Dorian, wiem, że tam jesteś! - krzyknęła. - Wiem, dlaczego to zrobiłeś! Musisz spróbować to przezwyciężyć! Musisz...

Nie dokończyła. Dawid, korzystając z okazji, że przeciwnik skupił się na Beacie i na moment stracił czujność, rzucił się na niego od tyłu i owinał wokół jego klatki piersiowej potężne ramiona. Spadł na Legion całym ciężarem ciała i przygwoździł do podłogi. Chciał wgryźć się w jego szyję i rozszarpać ją na strzępy, ale nie pozwoliła mu na to twarz, której wypukłość pojawiła się na karku istoty. Ryknął ze strachu i z bólu, gdy kolce na plecach potwora wbiły się w jego podbrzusze.

Legion próbował się uwolnić, lecz Dawid zacisnął wokół niego łapy jak imadło. Wciąż ryczał, jednak inaczej niż do tej pory, nie agresywnie, a jakby chciał coś powiedzieć. Beata nie wahała się nawet chwili.

– Proszę księdza! - Odwróciła się w stronę wyjścia z korytarza, w którym stali Kropidłowski i reszta. - Udało się! Jest unieruchomiony? Teraz księdza kolej!

Legion miotał się wściekle, a z jego ciała wyrastały i z powrotem znikwały kolejne ręce, które uderzały bestię w brzuch. Ryk Dawida zamienił się w zbolący skowyt, który zabrzmiał dosłownie jak zniekształcone „Szybciej!”.

– Proszę księdza! - powtórzyła rozpaczliwie Beata. - To nasza jedyna szansa! Musi ksiądz nam pomóc!

Kropidłowski wciąż się wahał, spoglądając na dwa potwory, o których istnieniu nie śniło się najlepszym egzorcystom. Ryki obu wywoływały w nim ciarki.

– Jeżeli ksiądz tego nie zrobi, zginiemy wszyscy - powiedział gardłowo Hubert, cały błądy i spocony na twarzy.

– Chyba nie mamy wyjścia - dodał cicho Szymon, wpatrując się w proboszcza.

Kropidłowski ponownie spojrzął wzdłuż korytarza i wreszcie podjął decyzję. Wyciągnął krucyfiks i ruszył przed siebie, mamrocząc pod nosem pierwsze wersy obrzędu. Kiedy podchodził do bestii i stwora, którego unieruchamiała, Beata i Szymon dołączyli do niego. Kropidłowski wyprostował rękę z krucyfiksem i zbliżył go do twarzy opętanego. Ten wreszcie zwrócił uwagę na księdza i na

moment przestał się miotać. Jego twarz znowu stała się pusta. Kropidłowski kontynuował z mocą modlitwę, a Szymon, który również ją znał, recytował razem z nim.

– Sprowadziliście pedofila, aby pomógł wam mnie pokonać?! - Legion oderwał wzrok od krucyfiks i napiął mięśnie, próbując uwolnić się z uścisku Dawida. Ten po raz kolejny ryknął z bólu. Beata natomiast starała się powtarzać za Kropidłowskim i Szymonem modlitwę.

Podłoga pod nimi zaczęła drżeć, ściany pękać, a z sufitu odrywały się coraz większe kawałki betonu. Legion wywrócił oczami i wydał z siebie odgłos przypominający połączenie głębokiego, rżęzącego wydechu i charczenia. Dwie szpetne twarze przesunęły się na jego policzkach i przez moment wyglądał, jakby miał trzy pary oczu, trzy nosy i trzy usta, tylko część ukrytych pod skórą.

Beata nagle zdała sobie z czegoś sprawę i się rozejrzała.

– Hubert! - zawołała. - Nie stój tak! Pomóż nam!

Dopiero teraz zauważyła, że Hubert zatrzymał się w pewnej odległości od całego zamieszania. Nie ruszał się, był biały jak ściana, a pot ściekał z niego ciurkiem. Zaciskał kurczowo usta, tak że nie było widać warg.

– Ja... Ja... - mamrotał.

– Co z tobą?! - krzyknęła ze złością.

– Nie rozumiesz... - powiedział, a po jego twarzy spłynęła pierwsza łza. - Ja... nie mogę do niego podejść! Po prostu nie mogę!

– Co ty wygadujesz?!

– On dobrze wie, co mówi. - Chór głosów rozległ się ponownie. Legion wpatrywał się teraz w Huberta. Jego twarz pozostawała nieruchoma, lecz reszta ciała drżała w konwulsjach od modlitw Kropidłowskiego i Szymona. Z klatki piersiowej istoty wyłoniły się jak macki cztery dodatkowe ręce, lecz nie po to, by spróbować wyrwać się z uchwytu Dawida. Z niesamowitą szybkością wykonywały znaki krzyża. Pierwszy, drugi, trzeci raz i kolejne, jakby w oderwaniu od reszty.

– Nie słuchaj go! - Beata zawołała do Huberta. - Właśnie o to mu chodzi! Żebyś nie podchodził i nam nie pomagał! Boi się tego, więc wpływa na ciebie! Nie pozwól mu na to!

– Hubert - chór niskich głosów przebił się przez krzyki Beaty - dobrze mnie posłuchaj. Nie podchodź. Nie podchodź tutaj albo oni wszyscy się dowiedzą.

Ciekawe, jak zareagują? - Uśmiechnął się na wszystkich twarzach.

Hubert zbladł jeszcze bardziej i spuścił wzrok.

- Hubert! - krzyknęła Beata, podczas gdy cały podziemny kompleks trząsał się i zamieniał w jedną wielką ruinę. Kropidłowski i Szymon mimo to nie ustawali w modlitwie. Zdeformowane ciało Doriana się napinało. Wyglądało tak, jakby zamierzał okręcić się w pasie wokół własnej osi. Wił się jak wąż i po raz kolejny uniósł puste oczy ku sufitowi.

- Jesteśmy tak blisko! Zakończmy to! Razem! Jeżeli nie pomożesz nam tego przyspieszyć, zginiemy tu wszyscy! - Beata nie zdołała powiedzieć nic więcej. Zakrztusiła się pyłem i kaszlnęła.

Wreszcie Hubert przeklął pod nosem i ruszył ku nim truchtem. Im bliżej się znajdował, tym Legion bardziej zdawał się dochodzić do siebie. Tym szersze stawały się jego uśmiechy.

- A więc jednak! - powiedział chóralnie. - Jednak zdecydowałeś, by wszyscy dowiedzieli się o twojej zbrodni!

Hubert zawahał się w pół kroku i byłby przystanął, gdyby Beata nie chwyciła go za nadgarstek i nie przyciągnęła do nich.

- Uwaga, co za zwrot akcji! - zawołał chóralnie Legion. - Nikomu z was nawet nie przyszło do głowy, że mówiąc o pedofilu, nie miałem na myśli ani jednego klechy!

Po twarzy Huberta spływało coraz więcej łez.

- Cóż za hipokryzja! - ciągnął Legion. - Że dziennikarz, który tak bardzo zaangażował się w atakowanie księży z jednego powodu, sam należy do tych, których podniecają dzieci! Oto kogo wezwałeś do pomocy, szmato!

- Nie słuchajcie go! - krzyknęła Beata, lecz jeden rzut oka na Huberta sprawił, że już wiedziała. Wiedziała, że to, w co zamienił się Dorian, mówi prawdę.

- *Pokonaj ich, albowiem masz taką władzę, a nam wyproś łaskę pokoju i...* - Kropidłowski był zaczerwieniony na twarzy, a na jego szyi nabrzmiwały tętnice.

Stwór zwrócił się do niego. Na jego ciele pojawiły się czarne rozstępy.

- Posłuchaj uważnie, bo to bardzo ciekawa historia. Zaczniemy łagodnie. Hubert Godlewski to dziennikarz tygodnika „Naprawdę”. Jakiś czas temu dostał w celach służbowych od niczego nieświadomego przełożonego kompleksowo chroniony komputer i wykorzystywał go między innymi po to, by trzymać w nim treści

pedofilskie. Ależ komfortowa sytuacja dla kogoś o jego upodobaniach! Wymarzona! Nikt się na niego nie włamie, nikt się o tym nie dowie, a szef to ideowy chłop, który nie zagląda do laptopów swoich podwładnych, bo nade wszystko ceni sobie zaufanie i rodzinną atmosferę w redakcji. Folder był głęboko schowany, zabezpieczony hasłem i zaszyfrowany! Nadał mu niepozorną, niewzbudzającą podejrzeń nazwę! Nie wstyd ci, Hubert? Samemu czynić takie samo zło jak to, które z takim zacięciem piętujesz? Jak to, którego tak bardzo nienawidzisz w sobie? - Spojrzał na niego, a potem nagle wlepił czarne oczy w Beatę. - Pamiętasz, jak dosłownie przed chwilą lekceważąco wypowiadał się o psychologicznych kwestiach nieprzepracowanego dzieciństwa? A to właśnie jego dzieciństwo, kiedy był molestowany przez opiekunkę w domu dziecka, która z ochotą zaciągała go w ustronne miejsca i przemocą programowała na bezwarunkowe posłuszeństwo, przekraczając kolejne granice, sprawiło, że jako dorosły sam stał się kimś podobnym! Sama wiesz jako psycholog, że bycie wykorzystywanym seksualnie w młodym wieku może prowadzić do takich zmian w mózgu! - Powtórnie spojrzął na Kropidłowskiego. - A teraz najlepsze! Do pewnego czasu Hubert Godlewski skutecznie powstrzymywał się przed wprowadzeniem swoich fantazji w życie. Aż do piątego maja tego roku. Znajoma data,

Ksiądz Ludwik wyraźnie zbladł, ale nie przerywał modlitw.

- Hubert Godlewski wiedział, że wypełnia go najgorsze zło, i gardził tą częścią swojej osobowości. Pamiętając o krzywdach, jakich doznał w dzieciństwie, starał się ją stłumić - ciągnął Legion. - Zawładnęła nim jednak na tyle, że nie potrafił się powstrzymać i musiał w końcu dać upust swoim popędom. To było silniejsze od niego. Kiedy wieczorem szedł przez Bielany i zobaczył tego chłopca samego na placu zabaw, coś w nim pękło. Przestał myśleć. A ty już wiesz. - Świdrował Kropidłowskiego wzrokiem. - Wiesz, kto odpowiada za zaginięcie Kacperka, po którym tak rozpaczaleś!

Szymon spojrzął na proboszcza, wyraźnie nie rozumiejąc, o czym ten potwór mówi. Ksiądz Ludwik natomiast nie zważał na słowa Legionu, lecz na jego czoło jakby liczniej wystąpiły kropelki potu.

- Mało? To może jeszcze podbijemy stawkę? - ciągnął chór głosów. - Pamiętasz ten artykuł o egzorcytach, który czytałeś, zanim dwudziestego maja przyszła do ciebie Mariola Strzelczyk? To on go napisał. Pamiętasz okropieństwa, jakie w nim

przycaczał? Wszystkie zmyślił. Nie poparł ich żadnymi źródłami ani rozmowami. Wiedział, że nikt nie będzie w stanie zweryfikować przypadków, które zostały rzekomo zatajone. Zrobił to, bo nienawidzi księży. Bo zaprogramował sobie, że wszyscy jesteście tacy sami jak tamta opiekunka, która również, z racji płci, nigdy nie poniosła odpowiedzialności za swoje czyny. W końcu utrwalił się stereotyp, że pedofilem może być tylko mężczyzna, nikt nie traktuje poważnie zgłoszeń molestowania przez kobiety. Nienawidzi takich jak ona: uprzywilejowanych ludzi z parasolem ochronnym, którzy krzywdzą dzieci, sprawiając, że ich ofiary czasem stają się takie jak oni. Którzy roznoszą to jak chorobę. I się mści. Wiesz, że to twój wróg, który samolubnie robił to wszystko, żeby odwracać uwagę od siebie? - Spojrzał na Beatę i zacytował jej słowa z ostatniej rozmowy z Dorianem: - By samemu poczuć się lepiej, szukać potwierdzeń, że są od niego gorsi, wyprzec świadomość własnych przewinień? Wskazywać palcem. - Znowu popatrzył na Kropidłowskiego. - Wiesz, że to on dołożył swoją cegłę do tego, by antyklerykalny prokurator, wierny czytelnik „Naprawdę”, trzymał cię w areszcie, wydając na pastwę innych więźniów? Pamiętasz, jak cię dręczyli. Czuję to! Widzę cały koszmar, jakiego tam doświadczyłeś! - ryknął. - Oto z kim zawarłeś przymierze! Zamierzasz mu to wybaczyć? To jego chcesz uratować? O niego jeszcze walczysz?

Beata się zaniepokoiła. Jak jeszcze przed chwilą widziała, że egzorcyzmy działały na to monstrum, tak teraz złe duchy w ciele Doriana wyraźnie odzyskiwały rezon.

- Pocieszę cię trochę - powiedział szyderczo Legion - Chłopiec nie został zgwałcony. Do niczego nie doszło. Po tym jak ty i jego rodzice słusznie poinstruowaliście go, żeby nie ufał obcym, zaczepiony przez tego ludzkiego śmiecia, zaczął uciekać. Ludzki śmieć jednak ze strachu przed konsekwencjami porwał małego, zabił, a potem zakopał ciało. Wyobraź to sobie - wysyczał chóralnym szeptem. - Kacper płakał, błagał o litość, a ten zwyrodnialec udusił go gołymi rękami. Kierował się wyłącznie swoim dobrem. Swoim egoizmem. Gdyby jego mroczny sekret wyszedł na jaw, byłby skończony jako człowiek i jako dziennikarz. Miał do wyboru to albo śmierć chłopca, żeby ten nigdy go nie zdradził. Dzięki mnie już wiesz, co wybrał. Okaż wdzięczność!

Legion napiął się tak, że w potężnych łapach Dawida coś trzasnęło i ten ryknął z bólu. Mimo to nie przestawał zaciskać ich na klatce piersiowej stwora.

– To przez takich jak on ludzie was nienawidzą. To tacy jak on przekonują ich, że nie istnieją kapłani, którzy pełnią posługę, bo naprawdę w coś wierzą, którzy podchodzą z szacunkiem do wolności wyboru, do innych poglądów i miłują nawet tych, którzy nie wierzą w Boga, a nie traktują ich jak wrogów. To tacy jak on pokazują was wyłącznie od złej strony! To przez nich pierwszym skojarzeniem ze słowem „ksiądz” jest dzisiaj „pedofil”. To z nim powinieneś walczyć, klecho, nie ze mną. Ja tylko dostarczam ci dowodów na to, że diabeł, a więc również Bóg, istnieją!

Ku przerażeniu Beaty Kropidłowski przerwał modlitwę i spojrzał zimno na Huberta.

– Czy to prawda?!

Ten wytrzeszczył oczy, otwierając i zamykając bezgłośnie usta.

– Mów! - wrzasnął Kropidłowski. - Naprawdę zabiłeś mojego wnuka?! Powiedz prawdę!

Hubert spojrzał na niego, potem na Beatę i wreszcie na potwora w kleszczach Dawida. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Płakał i nie mógł wydusić z siebie nawet słowa.

Szymon natomiast wytrzeszczył oczy i zapytał cicho:

– Wnuka...?

– Kiedy się rozniosło, jakie są moje zdolności, uciekł z Warszawy jak szczur! - ryknął chór głosów z ust Doriana. - Gdyby nie ja, nigdy by się nie przyznał i gdybyście się stąd wydostali, nic by się nie zmieniło! Dalej pisałby artykuły niszczące to, co z takim wysiłkiem budowałeś przez całe życie! Dalej krzywdziłby dzieci i przychodziłoby mu to coraz łatwiej, z coraz mniejszymi wyrzutami sumienia. Nigdy nie poniósłby kary za swoje zbrodnie! Ja zrobiłem to wszystko, bo kocham swoją córkę, na którą nigdy nie podniósłbym ręki! I to ze mną chcesz walczyć?! Spójrz na mnie! - Legion uśmiechnął się szeroko, a jego twarz przybrała normalną ludzką postać. - To wciąż ja! Dorian Wach! Twój urlopowany wikary! Posłuchaj mnie! - Mrugnął. - My, księża, musimy sobie pomagać!

Kropidłowski lustrował Huberta z potem ciekącym po twarzy. Drżała mu powieka, a mięśnie zuchwy napięły tak mocno, że wydawało się, iż jeszcze moment, a skruszy sobie wszystkie zęby. Miał zaciśnięte pięści. Beata patrzyła na nich z zapartym tchem, czekając, aż ksiądz opuści krucyfiks, co będzie oznaczać ich

koniec. Jakimś cudem z pomieszanych myśli przywołała wspomnienie majowej rozmowy z Dorianem, podczas której ten opowiadał o dziwnej, przesadzonej reakcji proboszcza na zawieszoną w kościele ulotkę z informacją o zaginionym chłopcu. Powiedział również, że później zobaczył, jak Kropidłowski z niewiadomego powodu płacze. W zestawieniu ze słowami Legionu oraz aktualnym zachowaniem księdza wszystko ułożyło jej się w jedną całość. Nie tylko Dorian miał po święceniach przygodę z kobietą. Nie tylko on miał zatajone przed światem dziecko. Tylko że to, które przyszło na świat za sprawą Kropidłowskiego, zdążyło dorosnąć i samo założyć rodzinę, którą ksiądz Ludwik kochał jak każdy przykładowy ojciec i dziadek. Dziadek, który właśnie dowiedział się, że jego zaginiony wnuk...

Wiedziała, że powinna zainterweniować, skorzystać ze swojego doświadczenia zawodowego, aby przywrócić Kropidłowskiego do pionu, ale była tak przerażona, że nie potrafiła wydusić z siebie nawet słowa.

Wtem jednak ksiądz Ludwik oderwał wzrok od Huberta i powtórnie skrzyżował go z poczwarą w kleszczach bestii.

- Masz rację. Ten człowiek zabił niewinne dziecko, które kochałem - powiedział spokojnie, a na skroni pulsowała mu żyła. - Masz rację, niszczył to, co budowałem do tej pory, i w jakiś sposób przyczynił się do tego, że cierpiałem. Ale n i e m a s z r a c j i , że powinienem go za to nienawidzić. Bo wartości, w które wierzę, którym poświęciłem całe życie, nigdy by mi tego nie nakazały! Nakazałyby mi wybaczyć! Każdemu! Nawet tym, którzy zabraliby mi wszystko, co jest dla mnie ważne! - Przybliżył krucyfiks do twarzy potwora tak bardzo, że ten znowu zrobił taką minę, jakby działał na prąd i ktoś go wyłączył. Oddech poczwary przyspieszył, wytrzeszczyła oczy. Po raz pierwszy zobaczyli w nich strach.

- Nie wy pierwsze kwestionujecie to, co robię! - wycodził z zacięciem Kropidłowski, mówiąc coraz głośniej. - Wszyscy próbują mi wmówić, że tak naprawdę nie wierzę w to, co mówię z ambony. Że to prowizorka. Że budowałem to wszystko, bo traktuję religię jak biznes. By wygrywać w rankingach, dostawać pochwały od hierarchów i wzbudzać zazdrość innych proboszczów. Nie! Całe życie robiłem to po to, żeby walczyć z potworami takimi jak wy! By czynić ten świat lepszym, pomagać ludziom, głosić, że każdy człowiek szczerze żałujący za swoje winy zasługuje na przebaczenie! Dlatego rozkazuję wam, duchy nieczyste, w imię

Jezusa Chrystusa, uosobienia bezwarunkowej miłości człowieka do człowieka, o d e j d ź c i e z t e g o c i a ł a ! - wrzasnął.

Legion wygiął szyję ku górze i otworzył szeroko usta, wściekle rycząc. Z jego gardła wydobyła się powykręcana szponiasta ręka, zaczepiła o wargi jak o brzegi studni i z ciała Doriana wyszła przeraźliwie szpetna istota, która jednak nie pozwoliła lepiej się sobie przyjrzeć, bo niemal natychmiast się zdematerializowała. Zanim zniknęła, można było dostrzec, że wpatruje się w Kropidłowskiego z nienawiścią, lecz jednocześnie jakby z respektem.

Ksiądz Ludwik kontynuował modlitwy, a Beata i Szymon powtarzali za nim, nie zważając na trzęsienie ziemi. Sekwencja się powtarzała i z ust Doriana zaczęły się wyłaniać kolejne potworne ręce. Złe duchy opuszczały jego ciało, widoczne jedynie na ułamek sekundy, po czym jakby rozpływały się w powietrzu. Każdy wyglądał inaczej - miały macki, kolce, zdeformowane, poskręcane ciała, ogony, niektórym wyrastało więcej kończyn i głów, zdarzały się również takie ze skrzydłami. Nawet Dawid, choć w swojej aktualnej formie zapewne niewiele rozumiał, wpatrywał się w te postacie jak zahipnotyzowany i wydawał krótkie, jak gdyby złąknione porykiwania. Nie puszczał jednak Dorian, który z każdym demonem opuszczającym jego ciało siłował się z coraz mniejszą intensywnością. Powoli, lecz zauważalnie tracił też swoje gabaryty - mięśnie stawały się coraz mniejsze, a liczba twarzy pod jego skórą regularnie malała.

Wreszcie w pełni odzyskał ludzką postać, o ile można tak nazwać wrak człowieka, jakim się stał. Był blady, mokry od potu, drżący i wychudzony, nawet bardziej, niż zanim przyjął do siebie armię demonów. Oczy odzyskały kolor, choć wydawały się puste i niemal całe białe. Jego ręce wyglądały normalnie, dłonie się zmniejszyły, zniknęły czarne pazury. Włosy rozjaśniły się i już nie były nastroszone, lecz oklapłe. Twarz z kolei utraciła drapieżne, ostre rysy.

Kropidłowski i Szymon nie przerywali modlitw. Wyglądali na równie wyczerpanych jak Dorian, proboszczowi zaś pogłębiły się zmarszczki, wizualnie postarzał się tak, że spokojnie mógłby konkurować z Zetem o miano najstarszego człowieka na świecie.

Żadna z osób w korytarzu nie zdawała sobie sprawy, że scenie od początku, zza szpary w uchylonych drzwiach, przyglądał się Piołun. Konkretnie jednemu z jej uczestników. Temu, który znajdował się w centrum uwagi i właśnie został unieszkodliwiony.



To był impuls. Niewiele myśląc, wyciągnął pistolet, dynamicznie wyszedł z pomieszczenia i wycelował broń w pierś Dorianą, dygocząc na całym ciele. Skupił się na tym tak bardzo, że przestał odbierać dźwięki otoczenia, przestał dostrzegać też cokolwiek poza swoim celem. Być może dlatego nie usłyszał rozpaczliwego krzyku Huberta, który jako pierwszy zauważył, co gangster zamierza zrobić, i rzucił się w jego kierunku. Przewrócił go i zakotłowali się na podłodze, a Piołun nacisnął spust i strzelił dziennikarzowi prosto w pierś.

– Co ty robisz?! - wrzasnęła Beata.

Piołun zrzucił z siebie dygoczącego w konwulsjach Huberta, który charczał, walcząc o złapanie oddechu. Wy pływał z niego strumień krwi, lecz bandyta na to nie zważał. Wstał i celował kolejno w resztę.

– To, co zrobiłby każdy człowiek honoru. - Uśmiechnął się triumfalnie, choć nadal drżał i grymas nie wyglądał do końca naturalnie. Na jego bladej twarzy przerażenie mieszało się z szaleństwem.

Kropidłowski, Szymon i Beata unieśli ręce.

– Teraz już nie jest takim kozaczkiem, co? - ciągnął nienawistnie Piołun. - Już nie podskakuje. Silniejszy każdy jest mocny! No to zaraz się przekona, jak wielki błąd popełnił, zadzierając z poważnymi ludźmi! Mnie też popsuł interesy i sprawił, że wielu moich przyjaciół poszło siedzieć! Straciłem przez niego mnóstwo forsy! A ja nie zapominam i zawsze wyrównuję rachunki z wrogami!

Cała trójka stojąca między nim a nieprzytomnym Dorianem w ramionach Dawida nie ruszała się z miejsca.

– Zejdźcie mi z drogi! - warknął Piołun.

Beata nie miała pojęcia, jak to się stało, ale nagle wyczuła między sobą, Kropidłowskim, Szymonem i Dawidem takie połączenie, jakby tworzyli jeden organizm. Z jednym umysłem. Wiedzieli, co mają robić; nikt nie musiał nic mówić. Wszyscy troje jednocześnie odskoczyli na boki, schodząc z linii strzału i robiąc miejsce Dawidowi.

Piołun zdążył jedynie usłyszeć zbliżający się ku niemu wściekły warkot. Zdążył zobaczyć wielką szarą kulę, która doskoczyła do niego szybciej, niż jego nerwy byłyby w stanie dostarczyć informację palcu, żeby zacisnął się na spuście. Ostatnie zaś, co zdążył poczuć, to ból. Wyłącznie. Nie zdążył krzyknąć.

Kiedy wypuścił pistolet z ręki, broń wylądowała już w kałuży jego krwi, która mieszała się z krwią Huberta, wciąż próbującego złapać oddech.

Bestia przerwała dopiero wtedy, gdy nad nimi rozległ się głośny odgłos pęknięcia, a cały strop niechybnie zwałiłby się im na głowy i pogrzebał żywcem, gdyby w porę nie przytrzymała go na swoich masywnych ramionach. Ryknęła i ugięła kolana pod jego ciężarem. Ziemia wciąż się trzęsła, na ścianach gęstniały rozgałęzienia kolejnych pęknięć. Szymon zawiesił sobie na ramieniu bezwładne ciało Dorian, Beata i Kropidłowski natomiast podnieśli Huberta, który zdobył się na rozpaczliwe:

– Nie! Zostawcie mnie! Uciekajcie stąd!

Zignorowali jego krzyki, rozglądając się niespokojnie. Kropidłowski myślał gorączkowo i w końcu to sobie przypomniał.

– Ten facet w masce miał tajne wyjście stąd! - zawołał, próbując przebić się przez odgłosy pękającego betonu. - Tam! - Wskazał wejście do pomieszczenia i pancerne drzwi, które Legion wcześniej wyrwał. - Szybko!

Ruszyli w jego stronę, znacznie spowolnieni przez Dorian i Huberta, których nieśli, a także przez drżenie podziemi i strach, czy w ogóle uda im się przeżyć. Beata kilka razy odwróciła się i patrzyła na Dawida, który wciąż przytrzymywał na barkach sufit i wyłącznie dlatego mogli iść dalej. On również patrzył na nią i ryczał z bólu, przeplatając to mniej agresywnymi porykiwaniami i skowyczeniem, jakby dawał jej do zrozumienia, żeby nie oglądała się na niego, tylko szła dalej. Kiedy weszli do schronu, przemieścił się pod podtrzymywanym stropem i puścił go. Tony gruzu hałaśliwie wylądowały na korytarzu, a trzęsienie ziemi przybrało na sile.

W pomieszczeniu wałały się ciała zabitych bandytów i wnętrzości Zeta, prawie całe pokrywała ciemnoczerwona galaretowata maź. Drzwi do windy na jego końcu stały otworem. Kropidłowski i reszta przyspieszyli na ostatnich metrach i wbiegli do niej, a zanim to się stało, Beata zwróciła jeszcze uwagę na leżącą nieopodal rzecz, która przypominała gnijącą, spleśniałą grubą gałąź o cielistym kolorze. Gałąź kończąca się kulistym owocem, na którym widniały liczne ciemne plamy i rzadkie kępy białych włosów. Zrozumiała, co to jest, i czym prędzej odwróciła wzrok, dziękując losowi, że to coś leży do niej tyłem.

Kiedy cała piątka znalazła się w windzie, Kropidłowski wdusił przycisk ze strzałką skierowaną do góry, a drzwi za nimi zaczęły się zamykać.

– Nie! - Beata zablokowała je. - A Dawid?!

Olbrzym ledwo przecisnął się przez wejście do schronu. Nietrudno było się zorientować, że ze swoimi rozmiarami i ciężarem nie ma szans zmieścić się z pozostałymi w kabinie. Wpatrywał się w Beatę spode łba.

– Nie zmieści się! - zawołał rozpaczliwie Szymon. - Jest za duży i za ciężki!

– Mówił ksiądz, że ten gangster miał sposób, dzięki któremu, kiedy chciał, mógł go przemienić, tak? - Beata zwróciła się gorączkowo do Kropidłowskiego. - Czyli dałoby się również zamienić go z powrotem w człowieka?

Kropidłowski spojrział z żalostí na Dawida.

– Tak. Dałoby się. Ale nie wiem jak! - zawołał rozpaczliwie. - Przysięgam! I potrzebna byłaby jedna z tych kul!

Na suficie nad Dawidem pojawiły się nowe pęknięcia. Podziemny labirynt trząsł się coraz bardziej. Beata myślała intensywnie, a z bezsilności chciało jej się płakać. Wpatrywała się w Dawida i w impulsie zrobiła krok w jego stronę, chcąc zaryzykować i spróbować rozejrzeć się chociaż w tym pomieszczeniu. Zrobić cokolwiek. Dawid jednak doskoczył do niej i wepchnął ją z powrotem do windy. Beata odbiła się od przeciwległej ściany i upadła. Szymon uznał to za znak i wcisnął guzik ze strzałką. Kiedy drzwi zamykały się przed Dawidem, ten w żaden sposób nie protestował, nie wydał z siebie nawet najcichszego odgłosu. Do samego końca wpatrywał się w Beatę, która podniosła się z podłogi i rzuciła w jego stronę. Było już jednak za późno, ułamek sekundy wcześniej zasunęły się drzwi, a winda ruszyła. Zewsząd słyszeli odgłosy zwałającego się gruzu, jak dotąd najgłośniejsze ze wszystkich. Ziemia trzęsła się tak, że kabiną zakołysało. Kropidłowski i Szymon napięli mięśnie, rozglądając się z niepokojem. Na szczęście stalowe liny nie puściły i wciąż powoli, ale regularnie zmięrzali w górę.

– Nie! - Beata uklękała, zalewając się łzami. - Nie, nie, nie! Proszę!

Kropidłowski i Szymon nie patrzyli na nią. Milczeli, walcząc z poczuciem winy i zerkając na panel z przyciskami, na którym znajdowały się tylko dwa: góra i dół, bez jakiegokolwiek służącego do zatrzymania windy. Ocknęli się, kiedy Hubert przypomniał o swojej obecności, próbując złapać bulgotliwy oddech. Tracił mnóstwo krwi. Kropidłowski uklęknął przy nim, rzucając okiem również na

nieprzytomnego Doriana, który wyglądał niewiele lepiej, ale przynajmniej nie krwawił.

– Pani Beato - odezwał się, starając nadać głosowi jak najdelikatniejszy ton. - W pełni rozumiem, co pani czuje, ale potrzebujemy pani pomocy. Bez pani nie damy sobie rady.

Odwróciła się w ich stronę ze wściekłą i jednocześnie zrozpaczoną miną, jakby chciała powiedzieć, że jako księża nigdy nie rozumieją, czego właśnie doświadczyła, lecz gdy przypomniała sobie, o czym niedawno dowiedział się ksiądz Ludwik, a potem spojrzała na Huberta i Doriana, zacisnęła usta, otarła łzy i czym prędzej przemieściła się ku nim na czworakach.

Kropidłowski zdjął koszulkę, zmiął ją i przycisnął do krwawiącej rany na piersi Huberta, lecz niewiele to pomagało. Beata natomiast sprawdziła puls Doriana.

– Żyje - powiedziała bez jakiegokolwiek emocji, położyła go sobie na kolanach i przytuliła, choć tak naprawdę to ona teraz potrzebowała tego bardziej.

Kropidłowski i Szymon skupili się na Hubercie, który wciąż rozpaczliwie walczył o każdy oddech.

– My... myślicie, że tam, dokąd trafię, będzie gorzej niż w tym podziemnym labiryncie? - zapytał drżąco.

Kapłani wymienili szybkie spojrzenia, po czym ksiądz Ludwik powiedział:

– Nie trać wiary. Niedługo dotrzemy na powierzchnię i odstawimy cię do szpitala.

– Już niewiele mi zostało - odpowiedział charkotliwie Hubert. - Dlatego chcę wiedzieć, jak tam jest. Aż tak źle, jak mówią?

– Nie trafisz tam.

– Jak to nie? Przecież...

– Wyznaj mi swoje grzechy.

Szymon i Beata spojrzeli ze zdziwieniem na Kropidłowskiego, ale ten był zupełnie pewien tego, co mówi, i nie odrywał współczującego wzroku od Huberta. Wciąż przyciskał koszulkę do jego piersi, próbując zatamować krwotok. Hubert milczał, wpatrując się w niego, i w końcu odparł:

– Nie.

– Musisz - powiedział Kropidłowski.

– Nie. Nie widzisz, z kim masz do czynienia? - Jego głos drżał. - Ten potwór powiedział samą prawdę. Jestem pedofilem, który zabił ci wnuka. Z własnego egoizmu i strachu. A gdybym wcześniej dowiedział się, że to zatajony potomek szanowanego proboszcza, zrobiłbym wszystko, żeby to wywlec i zniszczyć cię w oczach opinii publicznej. Wiem, że by tak było. - Kaszlnął, a z jego ust popłynął mały strumień krwi. - Przez lata wbijałem ludziom do głów, że tacy jak ja, tylko że w sutannach, nie zasługują na żadne przebaczenie. Nawet Boga, nawet jeżeli tego żałują. Możesz być pewien, że gdyby ludzie poznali moją historię, większość nie chciałaby, żebyś mnie rozgrzeszał. „Dobrze mu tak”, powiedzieliby. „Niech się wykrwawi i zdycha w męczarniach”. A ja napisałbym, że troszczysz się o swojego kumpla, bo pewnie masz podobne upodobania...

– Nie obchodzi mnie, co powiedziałyby większość ludzi ani co byś o tym napisał - przerwał mu Kropidłowski. - Żałujesz tego, co zrobiłeś?

– Żałuję, a-ale myślisz, że to cokolwiek znaczy? Ludzie...

– Dla mnie znaczy. Dla Niego też. On wie, że każdy, kto krzywdzi innych, sam był kiedyś krzywdzony. Naprawdę jako dziecko byłeś molestowany przez opiekunkę?

Hubert poruszył głową, co mogło być zarówno kiwnięciem, jak i jednym z ostatnich przedśmiertnych spazmów. Nie odpowiedział, ale Kropidłowskiemu najwyraźniej to wystarczyło.

– Bardzo mi przykro, że spotkało cię coś tak okropnego - powiedział smutno. - W takiej sytuacji współczucie, nawet jeżeli to dla mnie cholernie trudne, jest mimo wszystko lepszym pomysłem niż nienawiść. Na pewno lepszym niż odpowiadanie złem na zło. Wybaczam ci.

Hubert próbował coś odpowiedzieć, ale nie był w stanie. Krztusił się krwią. Kiedy Kropidłowski wykonał nad nim znak krzyża, mamrocząc formułkę rozgrzeszenia, próbował go powstrzymać, kręcąc głową, ale nie miał już sił, by choćby unieść rękę. Ksiądz Ludwik sam podał mu dłoń, uścisnął ją mocno i nie puszczał jej do samego końca. Do samego końca też modlił się w jego intencji.

Szymon i Beata patrzyli na nich w milczeniu. Nie zwrócili uwagi, że Dorian na kolanach psycholożki w strzępkach świadomości mamrocze tak cicho, że zagłuszał to nawet dźwięk zmierzającej w górę windy:

– Gosia... Co z Gosią?

\* \* \*

Hubert zmarł niemal równo z momentem, w którym dotarli na powierzchnię, do pustego, przeszklonego pomieszczenia o marmurowej podłodze. Z trudnością wynieśli jego ciało i nieprzytomnego Doriana z windy, zmierzając chwiejnie w stronę wyjścia z opuszczonego biurowca, za którym Warszawę rozświetlało ciepłe, wesołe słońce i wypełniał ją zwyczajowy szum samochodów. Życie w stolicy toczyło się jakby nigdy nic. Jeszcze jeden dzień intensywnego tempa, pracy w korporacji, stania w korkach i tłoczenia się ludzi w autobusach lub tramwajach, w błogiej nieświadomości, jakie piekło niedawno rozegrało się pod ziemią. Beata patrzyła nieprzytomnie w stronę wyjścia i dopiero wtedy zaczęła sobie uświadamiać, w czym uczestniczyła. Dopiero wtedy również dotarło do niej, jaka scena rozegrała się, zanim drzwi do windy na dobre się zamknęły. Zacisnęła kurczowo usta, starając się o tym nie myśleć, lecz z jej oczu na nowo zaczęły płynąć łzy, a ucisk w żołądku powiększał się tak, że zaczął jej ciążyć.

Wtem dobiegły ich głośne trzaski dochodzące od strony windy. Odwrócili się i zobaczyli, jak na jej podłodze powiększa się wypukłość. Wreszcie przez tę przebiła się wielka, owłosiona szponiasta łapa, zacisnęła palce na brzegach otworu i wyłamawszy podłogę w całości, odrzuciła jej kawałki poza kabinę.

Beata wytrzeszczyła oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Owłosiony pięciometrowy olbrzym z wilczym łbem z trudem wgramolił się do przeszklonego holu przez wybity otwór. Ledwo mieścił się w szybie windy, wypełniał go praktycznie w całości. Kilkoma dodatkowymi uderzeniami potężnych pięści poszerzył sobie wyjście i w końcu zdołał się przez nie przecisnąć. Był poraniony, jego sierść w wielu miejscach znaczyły plamy krwi. Każdy ruch sprawiał mu wyraźny ból, każdy kwitował skomleniem i porykiwaniem, jakby błagał o pomoc.

Beata położyła delikatnie stopy Doriana na ziemi i wystrzeliła sprintem w kierunku ogromnego stworzenia. Jeszcze zanim do niego dotarła, z jej oczu popłynęły kolejne łzy. Już nie rozpaczy.

– Dawid! - wykrztusiła.

Spojrzał na nią, a wtedy na jego wilczy łeb padły promienie słońca zza szyby w tle. Wbił w nie wzrok i zeszywniał, wytrzeszczając puste oczy. Zaraz jednak zaczął drżeć i rozpoczęła się jego przemiana. Zmniejszył się, zniknęło futro, a pysk ponownie się skrócił, by w końcu przyjąć postać przystojnej męskiej twarzy

z krótkim zarostem. Niestety, jego obrażenia pozostały i na nieowłosionej skórze jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Beata uklękła przy nim i objęła go delikatnie, nie przestając płakać. W tym momencie nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek mogła go puścić. Głaskała Dawida i średnio co sekundę całowała po głowie. Kropidłowski i Szymon dali jej chwilę, raz jeszcze upewniając się co do stanu zdrowia Doriana. Wyglądało na to, że nic mu nie grozi, niemniej nie mogli ryzykować.

– Pani Beato - odezwał się Kropidłowski, a ona spojrzała na niego przez łzy. - Musimy odwieźć Doriana do szpitala. Pani również potrzebuje lekarza.

– Tak, przepraszam, ja tylko...

– Nie o to chodzi - wszedł jej w słowo. - Dawid jest teraz najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Polsce. Dlatego zanim odpowie pani na moje pytanie, proszę dobrze się zastanowić. - Nabrał powietrza. - Czy chce pani, abyśmy wezwali karetkę również dla niego, czy poradzimy sobie inaczej? Proszę mówić. Jak mogę pani pomóc?

Beata raz jeszcze spojrzała na Dawida i dotknęła go, upewniając się co do jego pulsu. Był nieprzytomny, ale wyraźnie słyszała jego równomierny oddech, jakby zasnął na jej kolanach. Zaciskał dłoń na jej własnej, pozbawionej dwóch palców; w emocjach nawet nie zauważyła, kiedy to zrobił. Może jej się wydawało, ale przysięgłaby, że na jego twarzy widniał ledwo zauważalny wyraz ulgi.

Kiedy powtórnie skrzyżowała wzrok z Kropidłowskim, już wiedział, jaką usłyszy odpowiedź.

**CZĘŚĆ VIII:  
SZCZĘŚLIWE (?)  
ZAKOŃCZENIE**



# ROZDZIAŁ XLVI

Dorian przyzwyczaił się już, że ostatnimi czasy, ilekroć tracił przytomność, budził się w szpitalu. W tym przypadku nie było to jednak takie oczywiste, bo po raz ostatni myślał jasno w momencie, w którym zawierał pakt ze złym duchem głęboko pod ziemią. Pakt mogący zakończyć się wszystkim, także jego śmiercią. A może już nie żył? Może to, co widział wokół siebie, było piekłem, tylko wyglądało jak świat, który znał na co dzień? Nic z tego nie rozumiał, ale na szczęście, kiedy lekarze i pielęgniarki skończyli nim się zajmować, mógł porozmawiać na osobności z Szymonem, a ten opowiedział mu ze szczegółami, co się wydarzyło. Dorian był tak zaaferowany, że nawet niezbyt docierało do niego, iż - opętany przez legion demonów - zamordował co najmniej kilkadziesiąt osób. Nie miało to teraz znaczenia.

– A dziewczynka? - zapytał, kiedy w opowieści Szymona podejrzenie za długo nie pojawiała się jej kwestia. - Co z dziewczynką?

Szymon spuścił wzrok.

– Żadnej dziewczynki tam nie spotkaliśmy - powiedział cicho.

– A chociaż szukaliście? - Głos Doriana się trząsał i biła z niego coraz większa rozpacz.

– Jak mieliśmy szukać, skoro nawet nie wiedzieliśmy o jej istnieniu? Myślisz, że ten bandyta w masce opowiedział nam każdemu z osobna, kogo jeszcze tam trzyma?

Dorian myślał, walcząc z napadem hysterii. Szymon miał rację, ale on nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Potrzebował winnego. Kogokolwiek. Potrzebował

wskazać kogoś palcem i móc na niego nawrzeszczyć. Wreszcie wymyślił.

– Proboszcz o niej wiedział! Musiał wiedzieć! Na jego oczach Zet zabił matkę małej i wspomniał o niej! Ksiądz Ludwik wiedział, że dziewczynka też tam jest! - krzyknął i po chwili przyszło mu do głowy coś jeszcze. - Psycholożka też musiała wiedzieć! To ona zdradziła im, jaka jest moja największa słabość! Musiała się domyślić, że porwą Ewę i Gosię.

Szymon westchnął.

– Nie rozumiesz...

– To ty nie rozumiesz! - warknął rozpaczliwie Dorian i zrobił taki ruch, jakby chciał rzucić się na niego z pięściami, ale Szymon złapał go za nadgarstki.

– Błagam, nie wyskakuj ze stałym tekstem do księży, że gównem wiedzą o życiu, bo nie mają rodzin - powiedział drżąc. - Ja też mam rodzinę. Co prawda niezależoną przez siebie, ale mam. Żyjących rodziców, młodszą siostrę, babcię, dziadków, kuzynów... Będąc na twoim miejscu, również chciałbym ich uratować. Podejrzewam nawet, że gdybyśmy się zamienili, też dałbym się ponieść emocjom i miałbym do ciebie pretensje, że nic nie zrobiłeś. Ale spróbuj spojrzeć na to z naszej strony. Spróbuj spojrzeć na to z perspektywy człowieka, który nie ma żadnych nadludzkich zdolności i został porwany przez tego złego, bo ten dobry z nim zadarł i potrzeba na niego kagańca.

Dorian otworzył usta, ale nic nie powiedział i jakby zeszło z niego powietrze. I to z prędkością opróżnianego balonu. Zaaferowany losem córeczki już zapomniał, dlaczego Szymon, Kropidłowski, Beata i reszta uczestniczyli w tym koszmarze. Reszta, czyli Gosia, Ewa i Hubert, którzy tej przygody nie przeżyli. Wiedział, że tak naprawdę szuka winnego, bo nie potrafi pogodzić się z faktem, że to wszystko wynikło przez niego. Że temu nie zapobiegł, także podejmując w kluczowych momentach złe decyzje co do sposobu, w jaki będzie przebiegać jego misja naprawiania świata w pojedynkę. Znowu szukał potwierdzeń, że inni ludzie są gorsi niż on, aby poczuć się lepiej.

– Podziemny labirynt, w którym grasują dwa śmiertelnie niebezpieczne potwory - ciągnął Szymon. - Armia uzbrojonych bandytów i bezlitosny gangster w masce, który im przewodzi. I ty, w sensie ja, proboszcz albo pani Beata, który jesteś tylko człowiekiem i w takiej sytuacji marzysz jedynie o tym, żeby się stamtąd wydostać. Uciec. Przeżyć. Gdyby nie Dawid, zostalibyśmy pogrzebani żywcem. Nie

wiem jakim cudem, ale pani Beacie udało się do niego dotrzeć i odegrał ważną rolę najpierw w twoim egzorcyzmie, a potem w naszej ucieczce. Cud to najlepsze słowo, Dorian. Błogosławieństwo, które, gdy się pojawia, trzeba wykorzystać, bo druga okazja może się nie nadarzyć. W takich momentach mimo wszystko nie myśli się o innych, tylko o sobie. Powtarzam: rozumiem, co czujesz, ale nie możesz nas obwiniać o to, że za wszelką cenę nie bawiliśmy się w bohaterów. Nie pojawiliśmy się tam z własnej woli. I proszę cię, nie obwiniaj pani Beaty o to, że złamała się pod torturami tych bandziorów. Nie chciałbyś zobaczyć, w jakim stanie była po wszystkim. Ja widziałem.

Dorian nie odpowiedział, a jego wyrzuty sumienia jeszcze wzrosły. Wyrzuty sumienia spowodowane jego pychą, nieostrożnością, a przede wszystkim tym, że lata temu uległ pokusie i niechcący zrobił obcej kobiecie dziecko. Gdyby nie to... gdyby w porę to przerwał, powiedział jej, że jest diakonem i nie powinien... Wtedy Gosia by się nie narodziła. Nie cierpiałaby, nie zginęła, nie płakała. A jej dusza znalazłaby przyjazną, bezpieczną przystań w ciele innego dziecka, z normalną, zdrową, szczęśliwą rodziną.

Uniósł oczy, z których spływał strumień łez, walcząc ze szlochem i ciężarem w żołądku. Pakt z demonem okazał się błędem. Kiedy o tym pomyślał, poczuł się jeszcze gorzej, bo wiedział, że zdecydował się na niego głównie po to, by uwolnić córeczkę. Gdyby miał wybierać, kto powinien przeżyć - ona albo jego przyjaciele - nie wahałby się nawet chwili. Ci sami przyjaciele, którym powinien być wdzięczny za uwolnienie go od złych duchów i uratowanie mu życia. Jednocześnie ci sami, którzy powinni go nienawidzić za to, że zgotował im taką przygodę.

– Szczęść Boże.

Obaj spojrzeli na wejście do sali, w którym stał Kropidłowski. Błady, zgarbiony, ze zmierzwionymi siwymi włosami i z głębszymi niż normalnie zmarszczkami. Był ubrany w sutannę, która o wiele bardziej pasowała mu niż cywilny ubiór, jaki miał na sobie w podziemiach.

– Szczęść Boże - odparł Szymon.

Dorian natomiast milczał. Nie miał siły nawet na to, by mu odpowiedzieć, i szczerze mówiąc, chciał już jedynie zostać tutaj sam. Płakać, złorzeczyć, nienawidzić siebie do woli, może nawet myśleć nad jak najmniej bolesnym samobójstwem. Bo jaki sens miało życie bez jego kluczowych elementów? Bez kluczowych osób? Co mu z niego pozostało?

Jak na złość Kropidłowski powiedział do Szymona:

– Dasz nam chwilę? Chciałbym porozmawiać z naszym pacjentem na osobności.

Szymon kiwnął głową, podniósł się i wyszedł z sali. Proboszcz opadł na krzesło z ciężkim westchnieniem.

– Jak się czujesz? - zapytał.

Dorian go zignorował. Odwrócił głowę i wpatrzył się w okno. Kropidłowski nie naciskał. Pozwolił mu milczeć. Cisza między nimi przedłużyła się na tyle, że w końcu stała się nieznośna. I to Dorian przerwał ją jako pierwszy.

– Zamierza mnie ksiądz opierdolić za pakty ze złymi duchami? - rzucił wyzywająco, w pełni świadomie używając wulgaryzmu, który w jego ustach brzmiał jak słowo w obcym języku.

Kropidłowski jednak nie zareagował na to choćby najmniejszym tikiem.

– Cóż, biorąc pod uwagę, że między innymi dzięki nim wydostaliśmy się z tego piekła i uwolniliśmy się od faceta, który był zły niczym sam diabeł, odpuszczę sobie - odpowiedział spokojnie. - W pewnym sensie masz czyste sumienie, bo to one zabijały, a nie ty.

– To czego ksiądz chce? - zapytał opryskliwie Dorian. - Nie ukrywam, że mam teraz ogromną ochotę pobyć sam.

– Ja natomiast myślę, że w rzeczywistości tak nie jest. Potrzebujesz nas. Przyjaciół. Życzliwych ludzi, którzy...

– Ksiądz nie jest moim przyjacielem!

Ku jego dezaprobachie Kropidłowski w ogóle tego nie skomentował. Wciąż zachowywał ten irytujący spokój. Grał mędrca, któremu brakowało tylko długiej siwej brody, podczas gdy tak naprawdę nic nie wiedział. Denerwował Dorian, który w głębi pragnął, by ktoś dzielił z nim ból. By tak samo rozpaczał i również cierpiał.

– Dobrze, to nie muszę być ja. Tak czy inaczej, potrzebujesz kogoś takiego. Będzie ci łatwiej przez to przejść.

– Daruj sobie wywody w stylu „czas leczy rany” i tak dalej. To nie zadziała. Nie w tym przypadku - warknął Dorian, nic sobie nie robiąc z brutalnego przejścia z proboszczem na „ty”. Ten jednak wciąż powściągał emocje i tylko lekko kiwnął głową. Dorian powtórnie spojrzął w okno i gapił się na samochody przemierzające

miasto. Pełne rodzin, czasem szczęśliwych, czasem nie, ale za to całych i zdrowych. Niemających pojęcia o tym, co przeżył.

– To może zmienimy temat? - zapytał nieśmiało Kropidłowski. Dorian zignorował go, więc proboszcz ciągnął: - Nie zamierzam cię, jak się wyraziłeś, „opierdalać” za pakt z złymi duchami. Nie ukrywam jednak, że mnie to zaciekało. W areszcie mieliśmy świetlicę z telewizorem, więc docierały do mnie informacje o twoich dokonaniach.

– W takim razie słyszał ksiądz w mediach, kim byłem. Jak mnie przedstawiali. I mieli rację.

– Uwierz, jako stary, zgrzybiały dziadyga, który przeżył sporą część życia w poprzednim ustroju, biorę poprawkę, że to, co mówią media, już dawno nie jest faktami, tylko opiniami. Czasem sprytnie przedstawionymi jako fakty, ale zmanipulowane, okrojone, nieoddające całej prawdy, a tylko jedną stronę medalu. Zanim wyrobię sobie na dane zagadnienie własne zdanie, lubię spojrzeć na nie z różnych punktów widzenia. Dlatego, skoro mam taką możliwość, chciałbym porozmawiać o tym z tobą. Na początku mówiło się o tobie jako o superbohaterze. Ścigałeś przestępców.

– Wielu ludzi przeze mnie zginęło - wycedził Dorian. - Ten kibic, Hubert, moja córka, Ewa... Wielu innych zostało rannych, bo korzystałem z pozycji siły. Reszta się mnie bała i nienawidziła. Politycy wysłali przeciwko mnie wojsko i nie żalowali mostu, byleby się mnie pozbyć. Nie byłem żadnym superbohaterem, tylko superzłoczyńcą. Superbohaterów się podziwia, chce się być takim jak oni.

Kropidłowski nachylił się do niego.

– Myślisz, że jakkolwiek superzłoczyńca nazwałby się w taki sposób?

Dorian przypomniał sobie słowa demona z ich rozmowy w podziemiach, ale nie odpowiedział.

– Pamiętasz moje ostatnie kazanie, zanim wynikła cała ta historia z Klaudią Strzelczyk i mnie aresztowano? - zapytał Kropidłowski.

– Nie - rzucił Dorian. W tym momencie nie chciało mu się nawet wysilać pamięci.

– Mówiłem w nim właśnie o strachu. O strachu przed karą, który być może jako jedyny, to dobre słowo, z m u s z a nas do bycia dobrymi ludźmi. Mówiłem też o mitycznym pierścieniu Gygesa, który zapewniał niewidzialność. Pamiętasz?

Niewidzialność, a więc bezkarność i anonimowość. Władzę, możliwości nieosiągalne dla zwykłego człowieka. Glaukon twierdził, że posiadając coś takiego, każdy objawiłby mroczną stronę swojej osobowości. Pewnie trochę przesadził, wielu filozofów krytykowało jego uproszczony model ludzkiej natury i nie da się na to spojrzeć zero-jedynkowo, ale jestem przekonany, że ów model ma zastosowanie do bardzo wielu ludzi.

– Dlaczego mi ksiądz o tym mówi?

– Żebyś miał świadomość, z jak trudną i niejednoznaczną sytuacją się spotkałeś.

– Miałem prosty wybór. I podjąłem złą decyzję.

– Prosty? To też mówiłem podczas mojego kazania, ale powtórzę: zdajesz sobie sprawę, że chyba nie ma trudniejszej rzeczy do zdefiniowania niż dobro? Że niczego w naszej rzeczywistości nie pojmujemy tak bardzo subiektywnie? Dobro to wbrew pozorom nie jest walka ze złem, bo oznaczałoby to, że zło jest fundamentem, naturalnym porządkiem, od którego zaczynamy. Wolę odwrotne rozumowanie. To dobro powinno być podstawą, a zło należy definiować walką z dobrem. Tak czy inaczej, potrafiłbyś mi precyzyjnie objaśnić to drugie? Czym jest dobro?

Dorian milczał.

– Wiele osób nie zna odpowiedzi na to pytanie - ciągnął Kropidłowski. - Także, co przyznaję ze smutkiem, wielu księży i polityków. Zwłaszcza ci, którzy z ambony albo z mównicy sejmowej wskazują wrogów wśród innych ludzi i nakręcają przeciwko nim swoich zwolenników. Zmierzam jednak do tego, że wiele osób, które cię nienawidziło i wylewało na ciebie wiadra pomyj, na twoim miejscu zachowałyby się podobnie, jak nie gorzej. Zobacz, jak zachowują się teraz, kiedy w mediach przedstawia się im coś, grupę ludzi albo ideę, wyłącznie jako wcielone zło, pomijając dobre aspekty. Kiedy mają zaburzony obraz rzeczywistości. Sami marzyliby o takich możliwościach. Pomyśl, co wydarzyłoby się, gdyby twoimi mocami dysponowali politycy. Pseudokibice albo ci, którzy uważają, że policja powinna do nich strzelać. Radykaliści stojący po obu stronach politycznej barykady. Ci, którzy nienawidzą homoseksualistów. Ci, którzy nienawidzą ludzi o innym kolorze skóry. Ci, którzy nienawidzą innych za poglądy, bez względu na to, czy są lewicowe, czy prawicowe. Ci, którzy nienawidzą ateistów albo z drugiej strony: wierzących. Ci, którzy nienawidzą Żydów i muzułmanów. Biznesmeni, którzy chcą wykosić konkurencję. Rozwiedzeni, który wciąż mają potężny żal do

byłych partnerów. Mizogini, mizoandryczki i wielu innych. Można ich wszystkich uogólnić: wszyscy, przepraszam za wyrażenie, wkurwieni ludzie, którzy potrafią wskazać wroga i o swoje złe samopoczucie obwiniają innych. Mający się za nieomylnych, jedynych świątłych, którzy rozgryźli porządek świata i mają monopol na ustalanie zasad jego moralności. Rozejrzyj się. Ilu takich ludzi potrafisz wskazać? Czy nie jest tak, i to też mówię z ogromnym smutkiem, że mimo wszystko stanowią większość? I gdybyś ich zapytał, z dużym prawdopodobieństwem powiedzieliby ci, że są dobrymi ludźmi. Co to w ogóle znaczy być dobrym? W każdym konflikcie obie strony są przekonane, że postępują słusznie. Według ciebie, mając takie możliwości jak twoje, nie skorzystaliby z nich, żeby zmienić świat, aby wyglądał tak, jak sobie wymarzyli? I czy według ciebie ten świat naprawdę wówczas stałby się lepszy? Świat zmieniony bez stosowania najważniejszego składnika zmiany na lepsze, czyli miłości? Jedynej dobrej odpowiedzi na zło? Jedynej, która tego zła nie pomnaża? Przecież kiedy jedno zło spotyka się z drugim, razem jest go dwa razy więcej. Co najmniej. A chyba nie o to chodzi?

Dorian zasepił się, gapiąc się na kołdrę. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Kropidłowski nic nie mówił. Podszedł do tego z szacunkiem i aby nie krępować podopiecznego, spojrzał gdzieś indziej. Wreszcie, po kilku minutach, Dorian powiedział cicho:

– Zanim zdecydowałem się oddać ciało demonom, rozmawiałem z tym, który był we mnie dotychczas. Mówił mi podobne rzeczy. Powiedział, że właśnie to, złe pojmowanie dobra, spowodowało, że znalazłem się w tamtym położeniu.

– Demon? - zdziwił się Kropidłowski. - Demon powiedział ci coś takiego? To ciekawe. Nie spodziewałbym się, że kiedykolwiek się z nimi zgodzę. Powiedział coś jeszcze?

– Tak. Że... - Dorian zawahał się, ale podjął: - Że moje moce to skutek uboczny czaru, który ktoś rzucił na mnie, gdy byłem niemowlęciem. Czaru, który miał ochronić mnie przed opętaniem.

Kropidłowski zmarszczył podejrzliwie brwi i podrapał się po brodzie.

– Ciekawe... Myślisz, że kłamał, żeby cię zmanipulować?

– Nie wiem. Powiedział, że jedyny sposób na obejście tego to moja świadoma, szczerza i mocna chęć, żeby tak się stało. Bym dobrowolnie im się oddał. W innym

przypadku, nawet jeżeli weszłyby w moje ciało, nie mogły mnie opętać ani wpływać na moje zachowanie w inny sposób niż zewnętrzny.

Kropidłowski przyjrzał mu się uważnie.

– Ale teraz, mam nadzieję, takiej chęci nie masz?

Dorian zignorował jego pytanie.

– Myśli ksiądz, że to wszystko prawda? No bo jeżeli nie, dlaczego nie zostałem prawdziwie opętany, dopóki nie spełniłem tego warunku?

Proboszcz zastanawiał się dłuższy czas, wpatrując się w okno, choć w ogóle nie skupiał się na widoku za nim.

– Powiem tak - rzekł w końcu - zbyt długo siedzę w tej tematyce, aby nie doszukiwać się w tym jakiegoś podstępu. To bardzo sprytne byty, mistrzowie manipulacji. Ale również za długo w tym siedzę, by twierdzić, że takie rzeczy jak czary i gusła to bajki. Takie rzeczy istnieją i są bardzo niebezpieczne. Jedna z nich rzeczywiście mogła dawno temu cię spotkać. Przy takim scenariuszu demon musiał powiedzieć ci prawdę, bo inaczej nie dobrałby się do twojego ciała. Jeżeli to był jedyny sposób, nie miał wyboru.

– Ale w takim razie kto i dlaczego to zrobił? Demon chciał doprowadzić do mojej śmierci.

– W takim razie rzucono na ciebie czar zapewne dlatego, żebyś nie umarł w wyniku opętania - stwierdził Kropidłowski.

– Powiedział też, że to ma coś wspólnego z tym, że wychowałem się w domu dziecka i nigdy nie poznałem swojej rodziny.

– Kto wie? Mimo wszystko takie anonimowe porzucenia jak twoje to rzadkość. Obawiam się jednak, że nigdy nie dowiemy się prawdy.

Kiedy Dorian usłyszał określenie „anonimowe porzucenia”, na powrót przypomniał sobie o Gosi i o tym, że zginęła między innymi dlatego, że nie miał odwagi wziąć odpowiedzialności za swoje czyny i ujawnić się jako jej bardzo prawdopodobny ojciec. Jak zakończyłaby się ta historia, gdyby założył rodzinę, porzucił kapłaństwo i nie uczestniczył w feralnym egzorcyzmie w domu Strzelczyków? Gdyby, gdyby, gdyby... Tyle błędów, tyle wniosków, tyle nauk na przyszłość. Tyle smutku, bólu i cierpienia, jakie z nich wynikły. Jak żyć, kiedy zupełnie nie wiadomo, jak to robić, i przy tylu zmiennych nikt jeszcze nie wymyślił przepisu na udane egzystowanie? Jak podejmować decyzje, kiedy każda może



okazać się błędna i prowadzić do katastrofy, nawet jeżeli przyświecają im dobre intencje?

Nie znał odpowiedzi na te pytania, a smutek i bezradność, jakie się z tym wiązały, sprawiły, że z jego oczu znowu pociekły łzy. Kropidłowski ponownie dał mu czas, choć tym razem nie czekał, aż to Dorian odezwie się jako pierwszy. Chyba domyślił się, co odpowiada za jego aktualny stan emocjonalny, bo powiedział:

– Jest mi bardzo przykro z powodu tej dziewczynki i jej mamy. Naprawdę.

Smutek i frustracja Doriana płynnie przeszły w złość. Jak to się działo, że takie pocieszanie i klepanie po plecach zazwyczaj odnosiły odwrotny skutek? I dlaczego mimo to ludzie ciągle je praktykowali? Czy naprawdę nie mogli się nauczyć, że to nie działa?

– Wiem, że to może nieodpowiedni moment na takie pytania, ale... dlaczego mi nie powiedziałeś? Zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc.

Dorian spojrzał na księdza Ludwika z wściekłością. Istotnie -był to nieodpowiedni moment na takie pytania. Prawdopodobnie żaden nie był dobry.

– Zatałem to, bo się bałem - odpowiedział. - Odrzucenia i utraty wszystkiego, co było dla mnie ważne. Wiem, że to głupie i niedojrzałe, ale miałem swoje powody i nie zamierzam się z nich tłumaczyć. Nikt nie musi mnie rozumieć. Ważne, że rozumiem sam siebie.

Kropidłowski kiwnął głową.

– Ja cię rozumiem. Bo z podobnego powodu zatałem przed światem istnienie mojej Hani i naszego syna. A potem wnuka.

Dorian został zaskoczony na tyle, że na moment zapomniał o swojej żalobie. Skojarzył, że Szymon mówił coś o wnuku Kropidłowskiego, zaginionym chłopcu z ulotek, którego kwestia padła podczas egzorcyzmów, i to w kontekście Huberta, ale pogrążony w gorączkowych myślach o losie Gosi nie miał wtedy głowy do tego, by to analizować, i słuchał jednym uchem.

Teraz to oczy księdza Ludwika zaszkliły się łzami. Odwrócił wzrok.

– Byłem młody, a ona taka piękna... - powiedział. - Poznałem ją już po święceniach i zakochałem się na zabój. Ze wzajemnością. Jednocześnie byłem rozdarty, bo nie chciałem porzucać kapłaństwa w nurcie katolickim, który był mi najbliższy. Dalej czułem się powołany do służenia Bogu i pomagania ludziom.

Haneczka w pełni to zrozumiała i zaakceptowała, za co byłem jej dozgonnie wdzięczny. Dlatego choć byliśmy świadomi trudności, jakie się z tym wiążą, zdecydowaliśmy się ukryć naszą miłość. Dla dobra wszystkich, żeby ludzie nie wytykali nas palcami i nie skreślali mnie jako kapłana tylko z tego powodu. I tak to trwało przez prawie czterdzieści lat, do dziś. - Wzruszył lekko ramionami, jakby się usprawiedliwiał. - Nawet dorobiłem się syna, Arka. Jego przyście na świat to jeden z najpiękniejszych momentów w moim życiu. Mogły się z nim równać chyba tylko narodziny Kacpra. Mojego pierwszego i jak dotąd jedyne wnuka. Kiedy po raz pierwszy wziąłem go na ręce, poczułem się, jakbym znowu został tatą.

Kropidłowski przerwał opowieść i zaszlochał cicho, by w końcu się rozplakać. Teraz to Dorian milczał; pozwolił mu dać upust emocjom. Ksiądz Ludwik wyciągnął chusteczkę i otarł łzy. Nabrał chrapliwie powietrza, po czym podjął, patrząc na podłogę:

- Kochałem go jak syna. Obserwowałem, jak rośnie, i poświęcałem mu każdą wolną chwilę. Nie było ich wiele, sam wiesz... Parafia, plebania, ludzie, obowiązki proboszcza i egzorcysty. Ale kiedy zostajesz dziadkiem, wiesz już, jakie błędy popełniłeś przy wychowaniu swoich dzieci, więc wnuki w pewnym sensie traktujesz lepiej. W końcu to twoja krew. Twoje dzieło stworzenia, najpierw w pierwszym, a potem w drugim pokoleniu. Coś, na co masz wpływ, aby świat stał się lepszy. - Spojrzał na Dorianą. - Dlatego doskonale wiem, przez co teraz przechodzisz. I doskonale wiem, jak trudne były wybory, przed którymi stałeś, mając wiedzę o całym złu, jakie cię otaczało. Kiedy podczas egzorcyzmu wyszło na jaw, że stoi przy mnie morderca Kacperka... Pedofil. Kiedy wyobraziłem sobie, co musiało spotkać małego przed śmiercią... Jak się bał, jak uciekał, krzyczał, błagał... Myślisz, że mnie nie kusiło, żeby rzucić się na tego człowieka z pięściami? Myślisz, że sam nie chciałem go zabić, połamać, rozerwać na strzępy? Nawet nie do końca potrafię opisać, co wydarzyło się wtedy w mojej głowie. - Spojrzał w okno. - Bo z jednej strony nienawidziłem go, nie chciałem mu wybaczyć, bardziej czułem, że m u s z ę , bo inaczej wszyscy zginiemy. Ale z drugiej... gdyby to właśnie wynikło z konieczności, z udawania, te demony z pewnością by nie odeszły. Karmię się fałszem i nienawiścią. Karmię się złem. A jednak jakimś cudem udało nam się je pokonać. Tak potężny wobec ich siły mógł być tylko akt prawdziwej miłości. Więc może naprawdę udało mi się wybaczyć człowiekowi, którego w tamtym momencie nienawidziłem jak nikogo innego? Nie wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Pokręcił głową, wydmuchał nos i wyprostował się, nabierając rezonu. Zmienił się też jego głos, na pewniejszy.

– Przepraszam, rozgadałem się, a pewnie nie chcesz słuchać o moich problemach. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że szczerze ci współczuję. Naprawdę. Wiem, jak to jest stworzyć nowe, ukochane życie, a potem je stracić przez swoje złe decyzje. Kto wie, może gdybyśmy z Hanią nie ukrywali naszego związku, gdybym porzucił posługę i poświęcił cały swój czas rodzinie, Kacper byłby bezpieczniejszy i dzisiaj by żył. Choćby dlatego, że tamtego dnia poszedłbym z nim na ten plac zabaw i nie spuszczałbym go z oka.

Dorian westchnął z rezygnacją. Wiedział, że proboszcz ma rację w tym, że być może jako jedyny teraz rozumie jego ból i rozterki, z jakimi borykał się przez ostatnie półtora roku. Wiedział, że powinien mu współczuć. Nie potrafił jednak nie wracać myślami do Gosi, którą spotkało to samo co Kacpra, z podobnych powodów. Zobaczył w myślach roześmianą buźkę swojej córeczki, jej wspomnienie z czasów, gdy śledził Dziewczynę, ale ta jednak zaraz przekształciła się w zapłakaną i przerażoną. A potem martwą. Zakrwawioną. Przygniecioną gruzem. Nawet jeżeli betonowy sufit się na nią nie zawalił, wciąż mogła być zamknięta w jakiejś celi w tym odcięty od świata podziemnym labiryncie, łkająca, wystraszona, wzywająca pomocy i umierająca z głodu...

Otworzył szerzej oczy.

Czyli wciąż żywa?

Kropidłowski wstał i powiedział:

– Kuruj się. Gdybyś czegoś potrzebował, dawaj znać. Przepraszam, ale muszę jeszcze załatwić kilka ważnych spraw. - Westchnął. - A raczej wymyślić, jak je załatwić, żeby odbyło się to jak najmniej boleśnie.

Dorian spojrzał na księdza Ludwika, choć tak naprawdę słuchał go tylko jednym uchem. Myślał gorączkowo.

– Jakich spraw? - zapytał powoli. Brzmiał jak w transie.

Proboszcz podrapał się po brodzie ze strapioną miną.

– Ciało tego dziennikarza leży w chłodni zaprzyjaźnionego zakładu pogrzebowego i zastanawiam się, co z nim zrobić. Boję się iść z tym na policję, bo po pierwsze: jego zabójca i tak już nie żyje, więc to nic nie zmieni i nie zostanie ukarany, a po drugie: ledwo co umorzono sprawę mojego udziału w czyjejs

śmierci, a to tak niewiarygodna historia, że mam poważne wątpliwości, czy ktoś mi uwierzy. Zresztą nie chcę obciążać Dawida jeszcze jedną ofiarą. Uratował nas i jestem mu do zgonnie wdzięczny. W każdym razie znowu ktoś przy mnie umarł i znowu mogę mieć z tego powodu kłopoty, a bardzo tego nie chcę. No i muszę wreszcie przekazać Hani, Arkowi i synowej złe wieści o Kacprze. - Zasepił się, a jego oczy ponownie zrobiły się niebezpiecznie wilgotne. - Chyba jeszcze nie jestem na to gotowy. Nie starczy mi łez na całą tę opowieść, poza tym obawiam się, że oni też uznają ją za czyste wariactwo. Muszę jednak to zrobić jak najszybciej. Inaczej tego rozegrać się nie da.

„Da się!”

Myśl ta pojawiła się w głowie Doriana z taką mocą, że aż się wzdrygnął. Myślał gorączkowo, analizując słowa Kropidłowskiego i opowieść Szymona o tym, co wydarzyło się w podziemiach. Czy to możliwe, że Gosia...? Czy mógłby tam się dostać, gdyby...? Ile czasu człowiek może przeżyć w takich warunkach?

- Z Bogiem! - Kropidłowski ruszył w stronę wyjścia z sali, a wtedy Dorian jakby się ocknął i zawołał za nim:

- Proszę księdza!

Proboszcz się odwrócił.

- Tak?

- Zamierza ksiądz powiedzieć komuś o moim podwójnym życiu?

Kropidłowski wyrzwał na korytarz i chyba nie dostrzegł żadnych potencjalnych podsłuchiaczy, bo odpowiedział:

- Oczywiście, że nie. W tej chwili potrzebujemy spokoju. Z mojej strony, myślę, że ze strony Szymona również, możesz liczyć na dyskrecję.

Słowa pojawiały się w umyśle Doriana niezależnie od niego, jakby pisane w pliku tekstowym przez automat, który nie potrafi się wahać. Strumień myśli, wartki, z bystrym nurtem.

„Ludzie wiedzą, jakimi zdolnościami dysponuje osobnik, którego nazywali superterrorystą. Musieliby mu uwierzyć. Wciąż nie znają jego prawdziwej tożsamości”.

„Ktoś musi opowiedzieć światu, jak doszło do śmierci Huberta i Kacperka. Gdyby podjął się tego człowiek-demon, ani policja, ani prokuratura, ani media nie

wejdą na głowę proboszczowi, Szymonowi i Beacie. Człowiek-demon nie da się złapać i zaciągnąć na przesłuchanie”.

– Dziękuję - odpowiedział na głos.

– Nie ma sprawy. Uciekam.

– Jasne, nie zatrzymuję. Z Bogiem.

„Nie mamy pewności, czy ktoś jeszcze z otoczenia Zeta nie zna tajemnicy Doriana Wacha. Nie wiemy, czy wszyscy, którzy wiedzieli, zginęli w podziemiach. Zet mówił coś o zdjęciach Gosi z mojego telefonu, włamał się także do laptopa. Mógł mieć na usługach hakerów, którzy również wiedzą za dużo. Możemy ryzykować, że ktoś będzie chciał to wykorzystać, żeby się zemścić. Wciąż możemy być zagrożeni”.

Kropidłowski zrobił kilka kroków, lecz zaraz się zatrzymał. Ponownie odwrócił się do Doriana.

– Tak mnie teraz naszło... - Spojrzał na niego czujnie. - Było w tobie całe mnóstwo demonów. Czy aby na pewno wypędziłem wszystkie, co do jednego? Ten bandyta z pistoletem w pewnym momencie przerwał rytuał. Zastanawiałem się, co, jeżeli...

„Właściwie chodzi o to, czy demon, mówiąc o czarze, który mnie chroni, dopóki dobrowolnie nie oddam się złym duchom, mówił prawdę. I czy ten czar teraz, gdy odzyskałem świadomość, nadal działa”.

Dorian zebrał się w sobie i spojrzał Kropidłowskiemu w oczy.

– Tak. Na pewno.

Przez jakiś czas świdrowali się wzrokiem bez choćby jednego mrugnięcia. A w myślach Doriana kołatało się już tylko jedno pytanie. Pytanie, które w obliczu tych wszystkich rozważań należało określić retorycznym.

„Czy życie Gosi jest warte tego, żeby zaryzykować i to sprawdzić?”

Kropidłowski kiwnął głową.

– Tak czy inaczej, będę spokojniejszy, jak odprawię na tobie jeszcze kilka egzorcyzmów. Dla pewności. Ale to później, jak już trochę wydobrzejesz. No nic. - Machnął ręką. - Cokolwiek by się wydarzyło, poradzimy sobie. Uciekam! - Pomachał mu i opuścił oddział.

Dorian nie odpowiedział. A gdy po kilku minutach do jego sali weszła pielęgniarka, zastała puste łóżko.

# ROZDZIAŁ XLVII

Dawid i Beata siedzieli przytuleni na kanapie w małym letniskowym domku na wsi pod Warszawą, który należał do rodziny Kropidłowskiego. Na szczęście znajdował się w sporej odległości od innych posesji, otaczały go wyłącznie lasy i pola. Proboszcz zapewnił ich, że mogą ukrywać się w nim tyle, ile uważają za stosowne. Razem z Szymonem zrobili dla nich także ogromne zakupy, mające zapewnić im zapasy żywności, dopóki nie zagoją się rany Beaty, których opatrzenie, podobnie jak nastawienie złamanych palców, na szczęście nie wymagało specjalistycznej wiedzy medycznej.

Obrażenia Dawida natomiast okazały się nie tak groźne, jak się zdawało, choć nikt nie mógł być pewien, czy nie stanowi to kolejnego elementu jego wilkołaczych zdolności. Rany goiły się nadzwyczaj szybko, ręce zaś, o dziwo, nawet nie wymagały nastawienia, jak gdyby kości wytrzymały ich nienaturalne wygięcie. Beata mimo to unieruchomiła je bandażem i stanowczo zabroniła mu je nadwyręzać.

Dzisiejszy wieczór był tak naprawdę pierwszym, kiedy mogli odsapnąć i spróbować uspokoić emocje, jakie kotłowały się w nich od opuszczenia podziemi. Niewiele rozmawiali. Po prostu siedzieli w półmroku, obejmowali się i w milczeniu cieszyli, że wciąż żyją i mają siebie. Na nieszczęście dla Beaty, im dłużej oswajała się z ulgą, że przeżyła, tym większe ogarniało ją poczucie winy spowodowane tym, że to przez nią; przez to, że załamała się na torturach Zeta, boss uzyskał informację, co jest największą słabością Dorianą, a potem porwał Ewę i Gosię. Nie miała odwagi się z nim spotkać, spojrzeć mu w oczy i za to przeprosić; nie miała odwagi nawet do niego zadzwonić albo napisać, zresztą po

porwaniu i tak straciła telefon oraz klucze do mieszkania. Świadomość, do czego doprowadziła, sprawiała jej taki ból, że choć usilnie broniła się przed płaczem, w końcu nie wytrzymała i zalała się łzami. Dawid nic nie mówił. Tylko mocniej ją objął i głaskał po głowie. Wtuliła się w jego klatkę piersiową, czując naturalny, charakterystyczny, jak gdyby piżmowy zapach. W połączeniu z dobrą energią, jaka niezmiennie od niego biła, sprawiał, że dochodziła do siebie, a jej organizm szybciej niż umysł przyjmował do wiadomości, że niebezpieczeństwo minęło.

– Przepraszam - odezwał się Dawid.

Spojrzała na niego.

– Przestań - powiedziała stanowczo. - Proszę cię, przestań. To nie czas na szukanie winnych. Wystarczy, że ja czuję się okropnie, bo to przeze mnie dowiedzieli się o córce Doriana.

– Ale porwali cię przeze mnie. Przysięgam, że nigdy nie chciałem cię narażać. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę być elementem wielkiej przestępczej maszyny jakiegoś maniaka w masce. Że ktoś zaplanował moje życie praktycznie od dziecka. Gdybym wiedział...

– Nawet gdybyś mnie nie znał, i tak by mnie porwali, bo jako jedyna znam wszystkie sekrety Doriana - ucięła Beata. - Taki los psychologów. Zwłaszcza tych, którzy opiekują się ludźmi mającymi wielu wrogów. Nie wracajmy do tego, bo w ogóle cię nie obwiniam i nie zamierzam rozliczać z tego, że ktoś wbrew twojej wiedzy i woli cię wykorzystał. Powinniśmy skupiać się na tym, że to głównie dzięki tobie jeszcze w ogóle rozmawiamy.

Dawid zasepił się, a po chwili, ku zdziwieniu Beaty, na jego twarzy pojawiła się złość.

– Nic nie pamiętam - wycedził z frustracją. - Nic, a nic. Znowu ostatnie, co mi świta, to te cholerne, żarzące się na czerwono kule, które zobaczyłem, kiedy leżałem związany w celi. A potem, kiedy się ocknąłem, byłem już na zewnątrz. Z tobą i pozostałymi. Widziałem słońce. Nawet nie wiem, czy to wszystko, co zrobiłem po przemianie, było świadome.

– Musiało być. Nie zaatakowałeś mnie, kiedy przed tobą stanęłam. Nie zaatakowałeś również pozostałych, kiedy powiedziałam, żebyś tego nie robił. To coś znaczy. Może rozpoznałeś mój zapach?



Dawid wzruszył ramionami, nie patrząc na Beatę. Nie chciał wspominać, że podczas pierwszego incydentu z fałszywym księżycom znaleźli się w niemal identycznej sytuacji, a mimo to ją zaatakował i jej zapach nie wystarczył. Nie chciał, by wracali do tego zdarzenia nawet w rozmowach. Zwrócił za to uwagę na coś innego. Jak gdyby przeczucie ogarniające go, ilekroć zbliżał się do Beaty. Doświadczał go nawet teraz, ale jeszcze nie był do końca pewien, co właściwie oznacza.

– Może. Przepraszam, ale nie mam pojęcia.

– To nie twoja wina.

– Wiem, ale nie mogę pogodzić się z tym, że taka cudowna kobieta zawraca sobie głowę takim potworem jak ja...

– Przestań! - Wydostała się z objęć Dawida i pocałowała go w usta. Kiedy oderwali się od siebie, złapała go za policzki i spojrzała mu głęboko w oczy. - Lepiej? Czy tak powstrzymam cię przed wygadywaniem głupot?

– Lepiej - odpowiedział zgodnie z prawdą, wpatrując się w jej twarz. Z jakiegoś perwersyjnego powodu stwierdzał, że zaszyte rany w ogóle nie ujmują Beacie uroku. Wręcz przeciwnie. Jakby stanowiły upamiętnienie, pomnik dla jej odwagi.

– Posłuchaj mnie - powiedziała. - Wierzę, że nie zaatakowałeś nas, bo jakimś sposobem udało mi się do ciebie dotrzeć. Wierzę, że to mały, ale znaczący krok, który prowadzi nas do celu. A przede wszystkim wierzę, że już nigdy nie zrobisz mi krzywdy. Nawet po przemianie.

– Jesteś pewna...? - zaczął, ale przyłożyła mu jeden z pozostałych palców do ust. Te ubytki na zabandażowanej dłoni również nie sprawiały, by w oczach Dawida stawała się mniej atrakcyjna. Jakby była wilczycą, która u jego boku dzielnie broniła stada.

Otworzył szerzej oczy, jak gdyby coś zrozumiał. Przyszło mu to do głowy nagle, teraz, jakby zapaliła się w niej lampka rzucająca nowe światło na wydarzenia, o których przed chwilą rozmawiali. Zrobiło to na nim tak duże wrażenie, że prawie nie usłyszał odpowiedzi Beaty.

– Jestem. A teraz skończ gadać i przytul mnie.

Objęła go w pasie i ponownie zapadła między nimi cisza. Swobodna, niekrępująca, przyjemna. Dawid jednak skupiał się na odczuciu, jakie

towarzyszyło mu przy Beacie, a teraz, kiedy przyszło mu do głowy potencjalne wytłumaczenie całej sytuacji, nabrało więcej sensu.

Niedługo potem podjął kilka decyzji. W tym najważniejszą - co zrobi, kiedy już do końca wyleczy obrażenia.

Najważniejszą i najboleśniejszą.

# ROZDZIAŁ XLVIII

## *Kilka dni później*

Był środek nocy. Dawid stał nad łóżkiem, w którym spała Beata, i wpatrywał się w nią, walcząc z narastającym bólem pod mostkiem. Chciało mu się płakać. Kusiło go, by ją obudzić, porozmawiać, po raz kolejny usłyszeć jej głos, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Przez ostatnie dni intensywnie myślał, czy w obliczu tego, czego się dowiedział, da się to rozegrać w inny sposób, czy jego pierwotna decyzja jest naprawdę najlepszym możliwym rozwiązaniem. Tak czy inaczej, okropnym, przyprawiającym go o całą gamę złych emocji, ale najlepszym. Najmniejszym złem. Nic nie wymyślił, a jego nienaturalnie szybko gojące się rany tylko utwierdziły go w przekonaniu, że powinien zrobić jedyną właściwą rzecz. Dla wyższego dobra kobiety, którą kochał nad życie. I nie tylko jej.

Nie wytrzymał, podszedł do Beaty i pogłaskał lekko jej włosy, by na koniec ucałować delikatnie w czoło. Poruszyła się i na moment przeraził się, że ją obudził, ale na szczęście zaraz ponownie rozległ się jej równomierny oddech.

Westchnął, walcząc ze szlochem, spojrzał na Beatę po raz ostatni i wreszcie położył po swojej stronie łóżka odręcznie napisany list.

Zacisnął zęby i zmusił się do tego, by wychodząc z pokoju, się nie odwrócić. A potem bezszelestnie wyszedł z domku, opuszczając go na zawsze.

\* \* \*

Beata jakby coś przeczuwała. Jakby sam fakt, że Dawid się od niej oddalił, sprawił, że jej organizmowi zaczęło czegoś brakować. W środku nocy obudziła się właściwie bez powodu i zobaczyła, że leży w łóżku sama. Natychmiast oprzytomniała i zapaliła światło.

– Dawid?

Nie uzyskała odpowiedzi. Wstała i zaczęła go szukać, nawołując w domku i na podwórku, ale nie odpowiadał. Zaniepokoiła się, a brak telefonu jeszcze bardziej jej doskwierał, choć nie wiedziała, do kogo miałyby teraz zadzwonić. Dopiero po czasie dostrzegła, że po jego stronie łóżka leży kartka, którą nieostrożnie przykryła kołdrą, kiedy wstawiała. Czym prędzej po nią sięgnęła.

*Beata,*

*wybacz mi. Wybacz, że przekazuję Ci to w taki sposób, że o tym nie rozmawialiśmy i że tak zniknąłem bez uprzedzenia, ale nie mogłem Ci powiedzieć, bo już Cię trochę znam. Jesteś najcudowniejszą kobietą na świecie - ciepłą i troskliwą, a jednocześnie odważną i silną, nie boisz się wyzwania i trudnych sytuacji. Stąd właśnie wiem, że próbowałabyś wybić mi to z głowy, a gdyby było trzeba, zatarasowałabyś drzwi własnym ciałem, żebym nie mógł wyjść z domu. Doszedłem do wniosku, że dla Twojego dobra muszę to zrobić, nie dając Ci wyboru. Bardzo Cię jednak proszę: zanim mnie znienawidzisz, przeczytaj ten list do końca i spróbuj zrozumieć, dlaczego podjąłem taką decyzję. Uwierz mi, przez ostatnie dni myślałem, czy da się to załatwić inaczej, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.*

*Zasługujesz na normalne życie. Kobieta taka jak Ty nie powinna wiązać się z człowiekiem (?), którego szukają teraz służby na całym świecie, a do tego polska i rosyjska mafia. Człowiekiem nieobliczalnym, jedną wielką tykającą bombą. To zbyt niebezpieczne. Nadal niewiele wiemy o prawidłowościach, jakimi rządzą się moje zdolności, a okropnych niespodzianek, takich jak wpływ na mnie super-księżyc czy rzadkiego, określonego rodzaju krwawego księżycy, może być więcej. Nie mogę ryzykować, że do nich dojdzie i znowu ucierpią na tym niewinne osoby. Popętniłem ten błąd w swoim życiu już kilka razy - najpierw jako dziecko, potem kiedy Cię poznałem i zataiłem przed Tobą prawdę, i wreszcie podczas ostatniej gali. Obiecałem sobie, że już zawsze będę wobec Ciebie szczery. Więc jestem. Wyciągnąłem wnioski. Nie pozwolę, żeby coś takiego zdarzyło się po raz kolejny. Nie pozwolę, by przez moje przekleństwo cierpiały osoby, które kocham. A przede wszystkim - nie pozwolę, by Twoje życie opierało się na wiecznym uciekaniu i ukrywaniu się,*

*a w najlepszym razie na byciu inwigilowanym przez służby. Zostawmy je mnie. Dlatego między innymi muszę odejść. Między innymi, bo zrozumiałem jeszcze jedną ważną kwestię.*

*Pamiętasz naszą rozmowę o tym, co wydarzyło się w podziemiach? Kiedy wspólnie zastanawialiśmy się, dlaczego Cię nie zaatakowałem, choć wcześniej, w podobnej sytuacji postąpiłem inaczej? Wydaje mi się, że wiem, dlaczego tak się stało. Nie chodziło o zapach ani o to, że udało Ci się do mnie dotrzeć. Gdyby tak było, jestem pewien, że bym to zapamiętał. Moim zdaniem klucz do zrozumienia tych zdarzeń to jeszcze jedna prawidłowość w moim przekleństwie, o której wcześniej nie wiedziałem, bo nawet nie miałem okazji jej sprawdzić. Rzecz, którą możemy dopisać do listy moich wilkołaczy cech obok wyostrzonego węchu, słuchu, widzenia w ciemności i przemian, kiedy zobaczą księżyc w pełni. Nie wiem, jak to wygląda u zwierząt, a już zwłaszcza u wilków, ale coś mi mówi, że te konkretne, do których gatunku należę, nawet najgroźniejsze, nawet najbardziej agresywne, nigdy nie robią krzywdy własnemu potomstwu. Ani samicy, która je nosi.*

Beata z początku nie zrozumiała ostatniego zdania, a kiedy wreszcie dotarło do niej, co znaczy, wytrzeszczyła oczy i aż usiadła na łóżku. Zrobiło jej się słabo. Musiała wziąć kilka głębokich wdechów.

A potem przypomniała sobie, że od porwania aż do dziś nie miała miesiączki. Ba, nie miała jej również miesiąc wcześniej. Była jednak wówczas tak zaabsorbowana najpierw historią z grożącym jej Jackiem Bernajtysem i nagłym rozstaniem z Dawidem, a potem koszmarem, w jakim uczestniczyła po gali, że całkiem zapomniała o złym samopoczuciu dokuczającym jej, zanim wyruszyła na stadion, i nie zwróciła na to uwagi. Złym samopoczuciu, które mogło nie być zapowiedzią okresu, lecz...

Potrzebowała kilku minut, by odzyskać względną jasność umysłu, sama nie wiedząc, jak się właściwie czuje. Jakie targają nią emocje. Choć te z racji zawodu, jaki wykonywała, nie powinny mieć przed nią żadnych tajemnic, teraz nie potrafiła ich nazwać. Jej samoświadomość jakby przestała działać.

Spojrzała na kartki i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec listu.

*Wiem, że tak jest. Czuję to przez ostatnie dni. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale tak było. I właśnie to utwierdziło mnie w przekonaniu, że dla Waszego wspólnego dobra muszę podjąć najbardziej odpowiedzialną decyzję. Decyzję ojca, który ma na względzie dobro*

swojego dziecka. A może wilka, którym w połowie jestem? Tak czy inaczej, chcę chronić swoje stado. Nasz synek lub córka musi mieć normalną rodzinę. Mamę, która poświęci mu lub jej całą swoją energię i nie będzie martwić się o to, czy ktoś nie ukarze jej za grzechy partnera. Dlatego musimy żyć oddzielnie. Dla niego lub dla niej.

Wiem, co byś teraz powiedziała. Że możesz być w niebezpieczeństwie bez względu na to, czy będę w pobliżu, czy nie. Że ktoś znowu może Cię wykorzystać, by do mnie dotrzeć lub bym wyszedł z ukrycia. Nie myśl, że uciekam od odpowiedzialności. To, że nie będziemy razem, paradoksalnie nie znaczy, że mnie przy Tobie zabraknie. Obiecuję Ci, że zawsze, gdy będziecie potrzebować mojej pomocy, otrzymacie ją. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby zapewnić Wam bezpieczeństwo, i że już nikt nigdy Was nie skrzywdzi. Obiecuję, że pomogę Ci, jak umiem, zarówno w rozpoczęciu nowego życia, jak i w wychowaniu naszego dziecka. Że będę przy Was, nawet jeżeli wyda Ci się, że jest dokładnie odwrotnie. Nie odstąpię Cię na krok. Będę to jednak robił w taki sposób, żebyś mogła prowadzić normalne życie. Pierwszy dowód na to otrzymasz już niebawem. Bardzo Cię proszę, zostań w tym domku jeszcze co najmniej tydzień.

Wiem, że może to, co napisałem, nie ma sensu. Pewnie mnie nienawidzisz, może masz za tchórza. Proszę Cię jednak, chociaż spróbuj zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. Nie chcę się bawić w psychologa, znasz się na tym lepiej ode mnie, ale myślę, że w głębi wiesz, że w tej sytuacji nie mieliśmy innego wyboru.

Kocham Cię,  
Dawid

Pod jego podpisem znajdowała się na kartce spora pusta przestrzeń. Zupełnie jak w głowie Beaty, która wciąż nie potrafiła przetworzyć świadomie słów, jakie przeczytała. Nadal nie wiedziała, co właściwie czuje. Czy żal, czy złość, czy strach, czy smutek, czy frustrację, czy wszystkie razem, przemieszane ze szczyptą radości, jaka wynikała z faktu, że znowu nosiła w sobie małe, rozwijające się życie, o którym marzyła, od kiedy poroniła. Nie wiedziała, czy to, co napisał Dawid, ma jakikolwiek sens, czy dało się to załatwić inaczej, czy nie postąpił zbyt pochopnie, nie pytając jej o zdanie, czy jednak nie wołała spędzić życia z nim u boku, nawet biorąc pod uwagę wszystkie niedogodności. Nie miała siły tego rozważyć. Nie miała siły rozważyć nawet, jak powinna zareagować. Nie teraz. W tym momencie nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, czy kiedykolwiek byłaby do tego zdolna.

Odruchowo pogłaskała się po brzuchu, który zdawał się promieniować nieokreślonym ciepłem. A kiedy to się stało, jej organizm jakby podjął decyzję za nią. Nie wytrzymała i się rozplakała.

Mimo wszystko ze szczęścia.

# E P I L O G

## *Kilka miesięcy później*

Beata wyszła na ganek swojego domu rodzinnego. Mieścił się na prowincji, pod Gdańskiem, w pobliżu pięknych lasów Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Przeprowadziła się do niego po tym, jak po bardzo niskiej cenie sprzedała swoje mieszkanie w Warszawie. Choć było ją stać na nowe, własne, uznała, że teraz najważniejsze jest, aby przebywała wśród bliskich, z dala od stolicy, w której przez ostatnie miesiące wiele się działo. Teraz potrzebowała przede wszystkim spokoju i wyczyszczenia głowy. Rozpoczęcia nowego, normalnego życia. Jednym z elementów tego planu miał być jej powrót do pracy psychologa.

Nie musiała pracować, i to nawet nie dlatego, że utrzymywali ją rodzice. Kilka dni po tym, jak przeczytała list od Dawida, kurier InPostu dostarczył do domku Kropidłowskiego kilka szczelnie zapakowanych kartonów. Zawierały sportowe torby wypełnione plikami banknotów. Beata przeglądała je na osobności, zszokowana zawartością. W kieszeni jednej z nich znalazła kolejny list, co prawda o wiele krótszy i bez podpisu, ale napisany tym samym odręcznym pismem, co poprzedni.

*Prezent na pępkowe dla młodej mamy. Nie martw się. To wszystko moje, uczciwie zarobione na walkach. Jedyna dobra strona znajomości z gangsterem - swego czasu doradził mi, żeby część oszczędności ukryć w gotówce poza bankami na czarną godzinę.*

Łącznie było tego kilka milionów złotych. Beata do dziś pamiętała, jak usiadła wtedy na kanapie, opierając czoło o rękę i próbując zebrać myśli. Zdawała sobie



sprawę, że nie może jawnie wykorzystać tych pieniędzy, że zwróciłaby tym uwagę służb, a może innych przestępców, którzy wiedzieli, że Dawid zgromadził tyle środków i chcieliby położyć na nich łapę. Musiała je ukryć i wydawać tylko w razie potrzeby.

Kiedy wróciła do Warszawy i udało jej się dostać do swojego mieszkania, szybko zainteresowały się nią policja i prokuratura, które wezwały ją na przesłuchanie w związku z wydarzeniami po gali „Krwawy Księżyc”. Wymyśliła na tę okoliczność częściowo prawdziwą historię, że zerwała z Dawidem kilka tygodni przed zdarzeniem, ale wybrała się na Stadion Narodowy, bo miała bilet i jej były na to nalegał. Po gali natomiast została porwana, ale nie wiedziała przez kogo; przetrzymywano ją gdzieś, ale nie wiedziała gdzie. I oczywiście torturowano, tnąc jej twarz i obcinając palce. Bandyty zadawali jej to samo pytanie: gdzie jest Dawid? Ani wtedy, ani teraz nie umiała odpowiedzieć, ponieważ SMS, jaki otrzymała od niego tuż przed galą, był ich ostatnią formą kontaktu.

– W takim razie jak udało się pani uwolnić? - zapytał przesłuchujący Beatę policjant, wpatrując się ze współczuciem w jej rany.

– Uratował mnie ten superbohater - odpowiedziała z przekonaniem. - Ten człowiek z dwiema twarzami.

– Chciała pani powiedzieć: stwór? - dopytał policjant.

– Wiem, co chciałam powiedzieć - odparła cierpko. - I to powiedziałam.

Odbyła kilka przesłuchań, podczas których powtarzała tę samą wersję zdarzeń opakowaną dużą liczbą zmyślonych, ale spójnych, uwiarygadniających ją szczegółów. Wiedziała również, że jej e-mail, media społecznościowe i telefon będą inwigilowane, dlatego skrupulatnie pilnowała, żeby nie pisać w nich niczego podejrzanego; w zasadzie odcięła się od tych kanałów komunikacji ze światem. Wtedy właśnie, wspomagana gorącymi prośbami zaniepokojonych o nią rodziców, podjęła decyzję o wyprowadzce z Warszawy na Wybrzeże. I nawet swoim bliskim nie powiedziała, jak ta historia wyglądała naprawdę.

W Gdańsku poddała się kilku zabiegom laserowego usuwania blizn. Po wszystkim jej twarz co prawda nadal nie wyglądała tak, jak przed porwaniem, ale nie narzekała, jej nieodłączne okulary w grubych oprawkach skutecznie ukrywały niektóre pozostałości po ranach. Nabierała też coraz większej wprawy w radzeniu sobie bez trzech palców - obu małych i jednego serdecznego.

Jej ciążowy brzuch rósł i ponoć wszystko przebiegało bez żadnych komplikacji, co uznała za cud, biorąc pod uwagę stres z ostatnich miesięcy. Nawet już знаła płeć dziecka i wiedziała, że urodzi chłopca. Myślała nad imieniem Tymek. Stopniowo dochodziła do siebie, opadały emocje po okropieństwach, jakich doznała w podziemiach Warszawy, zastępowane przez radość z powodu zbliżającego się rozwiązania. Powoli godziła się również z tym, że Dawid w swoim liście miał rację. Nie mogli być razem. Na początku jego decyzja sprawiła jej ból podsycany tęsknotą, lecz z każdym dniem spokoju w domu rodzinnym i po dłuższych przemyśleniach uznała, że w ich sytuacji było to jedyne sensowne rozwiązanie. Nie miała do niego żalu, ale nie uważała również, że pieniądze, jakie jej wysłał, byłyby w stanie zrekompensować jego brak. Codziennie przeglądała portale internetowe w poszukiwaniu sensacyjnej informacji, że go schwytano, lecz na nic takiego nie natrafiła. Życie na prowincji, w ciszy i spokoju, z przyrodą za płótem, wspomagane medytacją, sprawiło, że czuła się coraz bezpieczniej. Jakby działała na nią sama dobra aura tego miejsca.

Wreszcie uznała, że jest gotowa, by wrócić do pracy. Jeszcze w trakcie ciąży. Wiedziała z doświadczenia zawodowego, że człowiek musi mieć w życiu jakiś cel, coś do roboty; coś, co zajmuje mu czas i daje światu jakąś wartość, aby czuł, że jego istnienie ma sens. Zaczynało jej brakować rozmów z pacjentami, których w Warszawie zebrała pokaźną grupę. Teraz siłą rzeczy musiała brutalnie zerwać z nimi znajomość i czuła, że musi czymś tę pustkę sobie wypełnić. Koleżanka ze studiów poinformowała ją, że w prywatnym centrum medycznym w Gdańsku szukają psychologa na pół etatu, na kilka miesięcy, bo potem ich terapeutka wraca z macierzyńskiego. Praca tylko trzy dni w tygodniu, maksymalnie pięciu pacjentów dziennie. Powiedzieli, że są gotowi zatrudnić Beatę pomimo ciąży i akurat dobrze się stało, że znalazł się ktoś, kto byłby gotów zastąpić urlopowany personel. Zdecydowała się to przyjąć. Jako rozgrzewkę przed powrotem do zawodu i okazję, żeby nie wypaść z rytmu.

I tak znalazła się w tym miejscu, na ganku domu rodziców na skraju lasu w rześki zimowy poranek, z brzuchem w piątym miesiącu ciąży, gotowa, aby rozpocząć nowe otwarcie. Wzmocniona wydarzeniami, które jej nie zabiły? Silniejsza? Chyba tak. Trudno było zaprzeczyć, że po tym, co przeżyła, raczej już nic nie było w stanie jej zaskoczyć. I miała dla kogo żyć. Dla tego małego, rosnącego w niej stworzenia, które już teraz kochała bardziej niż cokolwiek

innego. Była dziwnie spokojna, że przyjdzie na świat całe i zdrowe, a to, co spotkało ją w pierwszych tygodniach ciąży, nie wpłynie na jego rozwój. W końcu nosiło geny wyjątkowego ojca, którego nie mogło uszkodzić byle co.

Geny i może coś jeszcze. Na ewentualne martwienie się tym przyjdzie jednak czas później.

Odetchnęła pełną piersią i jeszcze bardziej namacalnie odczuła to znajome uczucie bezpieczeństwa. Tę energię, która dawała jej spokój. Tak silną, jakby poprzez swoją bliskość ktoś ją wysyłał. Potrafiła nawet wskazać kierunek jej źródła.

Uśmiechnęła się lekko. Nie po raz pierwszy w ostatnim czasie odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Że ktoś za nią podąża, nie odstępując na krok. Z jakiegoś powodu była jednak pewna, że to nikt z półświatka ani ze służb.

Jej własny anioł stróż, który ją chronił. Dokładnie tak, jak obiecał. Wsiadła do samochodu, starając się nie patrzeć w stronę lasu, i wyjechała z posesji. Ku Gdańskowi, ku nowemu dniu wyzwania i niespodzianek. Wprost nie mogła się doczekać kolejnych spotkań z pacjentami. Kiedy przeglądała ich nazwiska na portalu przychodni, z którego korzystali, aby umawiać się na wizyty, jedno szczególnie rzuciło się jej w oczy. Była ciekawa, kim jest młody mężczyzna, który je nosił. Pasowało jak ulał do matematyka.

Maksymilian Okrągły.

Jaki miał problem? Jak mogła mu pomóc? Jakie mechanizmy rządzą jego umysłem i jak wpłynęło na niego jego dzieciństwo?

Poczuła znajomy dreszcz ciekawości z czasów, gdy niemal każdego dnia poznawała nową osobę i jej opowieść. Wjechała na obwodnicę Trójmiasta, nie mając pojęcia, że rozpoczyna właśnie nową, przerażającą przygodę.

# P O S Ł O W I E

Istnieje spore prawdopodobieństwo, Drogi Czytelniku, że wychowałeś się w latach dziewięćdziesiątych lub późniejszych. Oczywiście wiem, że po moje powieści sięgają również przedstawiciele starszych i młodszych pokoleń, ale statystyka polubień fanpagea na Facebooku wskazuje, że wśród odbiorców dominują osoby będące mniej więcej moimi rówieśnikami. Nie wiem jak Ty, ale ja z rozrzewnieniem wspominam czasy dzieciństwa, bez Internetu, kiedy wiedzę o superbohaterach czerpało się od kolegów i koleżanek z podwórka. Polecali Ci określony serial, komiks lub zabawkę, a Ty natychmiast biegłeś do rodziców i błagałeś ich o kilka złotych. Ze mną nie było inaczej.

Kiedy teraz wracam pamięcią do magicznych lat dziewięćdziesiątych, nie jestem w stanie pojąć, jakim cudem udawało mi się śledzić na bieżąco te wszystkie fantastyczne światy, zwłaszcza że moi rodzice krzywo patrzyli na przemoc w treściach dla dzieci i starali się w miarę możliwości mi ją ograniczać. Gdy byłem niegrzeczny, dostawałem szlaban na obejrzenie kolejnego odcinka ulubionej kreskówki. Zebrało się ich całkiem sporo, a ja, na swoje nieszczęście, do najgrzeczniejszych nie należałem.

Z tego, co pamiętam, moja przygoda z superbohaterami rozpoczęła się od Spider-Mana, lecz nie od najsłynniejszego serialu animowanego *Spider-Man - The Animated Series*, który, jak sądzę, kojarzy każdy Czytelnik tej książki, lecz od zabawki, którą swego czasu pokazał mi Wojtek, mój sąsiad. Jego wizyty u nas lub odwrotnie -kiedy to ja i mój brat odwiedzaliśmy jego - stanowią jedne z najprzyjemniejszych wspomnień z mojego dzieciństwa. Bez żadnego skrupowania pukaliśmy do drzwi naprzeciwko i pytaliśmy, czy można do Wojtka.

Chyba nigdy się nie zdarzyło, by jego rodzice odmówili, wchodziliśmy jak do siebie i zaczynaliśmy kolejną zabawę z wyobraźnią. Nuda nam nie groziła, a czas mijał stanowczo za szybko.

Miałem bodajże sześć lat, kiedy Wojtek wpadł do mojego mieszkania z bajerancką figurką Spider-Mana i poznałem tego bohatera. Byłem zachwycony. Ów plastikowy Spidey ruszał rękami i nogami, a także potrafił kręcić głową. Wojtek przyniósł wtedy także katalog innych zabawek z serii i samo to wystarczyło, żebym zakochał się w tym uniwersum po uszy. Trudno mi rozstrzygnąć, dlaczego tak się stało - czy chodziło o wyrazistość, swego rodzaju pstrokatość i całą gamę kolorów u postaci (żółty Hobgoblin, zielony Jaszczur czy granatowy Venom, który od pierwszego wejrzenia stał się moim ulubionym przeciwnikiem Spider-Mana), ale nawet nie potrafiłem się zdecydować, której zabawki pragnę najbardziej. Jeszcze tego samego dnia, kiedy zasypiałem, „modliłem” się do świętego mikołaja, abym pod choinką znalazł przynajmniej jedną z wymarzonych figurek, jeszcze nie wiedząc, że ten pocieszny staruszek, którego wizerunek znaleźliśmy głównie z reklam Coca-Coli, tak naprawdę nie istnieje. Mimo to moje modlitwy zostały wysłuchane i wkrótce otrzymałem własną figurkę Spider-Mana, taką samą jak Wojtka. Byłem przeszczęśliwy, podobnie jak wtedy, gdy wkrótce w moje ręce trafiła kolorowanka z postaciami z tego niesamowitego świata.

Niedługo potem zakupiłem pierwsze komiksy o Spider-Manie, Batmanie i Supermanie wydawane wówczas przez wydawnictwo TM-Semic. Mój mały rozumek jeszcze nie potrafił przetworzyć ze zrozumieniem czegoś takiego, jak cykliczność wydań danych zeszytów, i chodziłem do kiosku na czuja, w nadziei, że kolejny numer jest już dostępny. Jeżeli akurat brakowało nowego Spider-Mana, kupowałem po prostu komiks o innym bohaterze. Do dziś pamiętam, że pierwszymi antagonistami, z jakimi Spidey walczył na kartach przeczytanych przeze mnie historyjek, byli - o dziwo - mniej znani Juggernaut i Puma.

Równolegle do fascynacji komiksami rozwijała się moja miłość do serialu *Power Rangers*. Fascynacja naturalnie wzmacniana takimi samymi zainteresowaniami Wojtka. Bywało, że kiedy bawiłem się na podwórku, on krzyczał przez okno, że na Polsacie 2 akurat emitują powtórkę odcinka, który z jakiegoś powodu przegapiłem. Na tym naturalnie moja zabawa na świeżym powietrzu się kończyła. Czym prędzej biegłem do domu, by zobaczyć chociaż końcówkę epizodu,

w którym Zielony Wojownik, z początku antagonista, zostaje pokonany. W czasach Internetu, kiedy dowolną treść możesz znaleźć i odtworzyć na YouTube - nie do pomyślenia.

Dziś schematyczność odcinków (stworzenie potwora i wysłanie go na Ziemię w towarzystwie kitowców, pokonanie kitowców, walka z potworem, powiększenie go za pomocą magii do rozmiarów Godzilli i pokonanie go przez Wojowników Mocy z użyciem Megazorda) tego serialu wzbudza we mnie raczej uśmiech politowania, ale kogo to wtedy obchodziło? Każdy chciał mieć ulubionego Rangera, w którego wcielał się podczas podwórkowych zabaw. Ja, kiedy uświadomiono mi, że róż to damski kolor, przestawiłem się na niebieskiego. Dlatego moją podwórkową bronią był własnoręcznie wycięty z gałęzi kij. Nie pytajcie, jak mój brat, który wybrał czarnego wojownika, stworzył substytut topora.

Po *Power Rangers* nie mogło oczywiście zabraknąć zajawki na składane figurki z serii Slizer i Bionicle spod szyldu Lego Technic. W zasadzie działała tutaj podobna zasada jak przy Rangerach - ulubiony kolor równał się ulubionemu bohaterowi, stąd zawsze w pierwszej kolejności wybierałem niebieskich - Suba (Slizer), Gali (ta postać podobno była kobietą), Guurahka i Gahloka. Wtedy również zakochałem się w anime *Dragon Ball Z*. Zawsze uznawałem wyższość tego serialu nad Pokemonami. W moim przypadku znowu wyszło trochę nietypowo, bo po raz pierwszy poznałem Son goku i jego przyjaciół nie dzięki serialowi emitowanemu na RTL 7 z polskim lektorem, lecz w jego amerykańskiej wersji z Cartoon Network. Nagrano do niej anglojęzyczny dubbingi kapitalną ścieżkę dźwiękową, do której wracam po dziś dzień i która niezmiennie wywołuje we mnie sentymentalne ciarki. Zbierałem karty z chipsów Chio i grałem w Mugena - bijatykę z postaciami z DBZ - nawet na lekcjach informatyki w szkole. Z kolei moimi Slizerami i Bionicleami bawiłem się w wymyślanie historii będących wariacjami świata Akiry Toriyamy - walki, transformacje z coraz wyższymi mocami i coraz potężniejsi przeciwnicy. Jedne roboty walczyły z drugimi, choć wymienione serie klocków Lego nie były ze sobą powiązane.

To wtedy również na dobre rozpoczęła się era aktorskich filmów superbohaterskich, w których z pełnym rozmachem zaczęto stosować efekty komputerowe. Historie najpopularniejszych zamaskowanych mścicieli przeniesione na ekrany kin nie były wówczas zbyt nowością, wystarczy wspomnieć chociażby klasyczne filmy Tima Burtona o Batmanie, z których

pierwszy nakręcono, gdy jeszcze nie było mnie na świecie, ale dla mnie prawdziwym początkiem boomu na superbohaterów w kinie okazał się *Spider-Man* z 2002 roku w reżyserii Sama Raimiego. Badacze popkultury wskazują za to, że zaczęło się to dwa lata wcześniej, wraz z premierą pierwszych *X-men*. To właśnie te filmy zapoczątkowały trend, który poskutkowało tym, że w momencie, gdy piszę te słowa, widowisko *Avengers: Endgame* jest drugim najbardziej kasowym filmem w historii, franczyza Marvel Cinematic Universe najbardziej dochodowym cyklem, a w dziesiątce filmów z największym przychodem w 2019 roku aż cztery opowiadają o superbohaterach bądź superzłoczyńcach. W 2017 roku były to trzy takie produkcje i jeżeli chodzi o gatunek, żaden nie pojawiał się w zestawieniu równie często. Na drugim miejscu zaś w omawianym roku uplasował się... horror (dwie pozycje w pierwszej dziesiątce box office - *To* na podstawie powieści Stephena Kinga i *Uciekaj*).

Absolutnie nie chcę przez to powiedzieć, *Demian* powstał z pobudek ekonomicznych. Ja po prostu kocham tę tematykę od dziecka! Śledzę, ekscytuję się, wyczekuję kolejnych przygód. Zbieram komiksy. Natomiast pierwszy koncept tytułowej postaci, ta magiczna iskra, od której wszystko się zaczyna, wyglądał w mojej głowie następująco: opętanie na odwrót. Człowiek, który ma w sobie demona i przez to zyskuje nadludzkie zdolności jak każdy opętany (siła, umiejętność pełzania po ścianach i robienia z własnym ciałem rzeczy, na jakie zwykłego człowieka nie byłoby stać, zmiana wyglądu), ale zły duch nie wpływa na jego zachowanie, nie przejmuje umysłu. Natomiast najważniejszą mocą, jaka się z tym wiąże, jest wiedza o mrocznych tajemnicach innych ludzi. O wszystkich brudach, problemach, zmartwieniach. Tylko o nich, co może w pewnym sensie oszukiwać bohatera, zakrzywiać ogląd rzeczywistości.

Nie wiem, czy z perspektywy autora należy traktować to jako wadę, czy zaletę, ale oddając Wam kolejną historię, czuję niesamowitą presję, żeby była lepsza niż poprzednie. Nie zadowolam się półśrodkami, nie piszę na siłę, bo wiąże mnie umowa z wydawcą i koniecznie muszę coś wypocić, byleby wstrzelić się z terminami. Mam całe mnóstwo pomysłów na krótsze książki, których nie realizuję, bo po prostu czuję, że nie mają tego czegoś, duszy, która sprawi, że dana opowieść będzie czymś unikatowym i na długo zapadnie w pamięć. *Demian* jest dla mnie wyjątkowy także pod tym względem, że będzie to pierwszy w mojej przygodzie z pisaniem cykl, a więc jak dotąd największe pisarskie wyzwanie. Cykl,

na który mam określony plan i którego zakończenie znam już teraz. W historii konfliktu duetu D-D z Zetem ukryłem pierwsze wskazówki co do finału serii, dlatego każdą część warto czytać uważnie. Dorian i Dawid tak czy inaczej muszą wrócić, bo nie wszystkie zagadki w ich opowieści zostały rozwiązane. Duże (czy demon kłamał, kiedy mówił, że ktoś rzucił na Dorianą ochronny czar, gdy ten był niemowlęciem? Jeżeli nie, kto i dlaczego to zrobił? Jakie jeszcze tajemnice skrywają wilkołacze zdolności Dawida, który musi poznawać je metodą prób i błędów? Co tak naprawdę wydarzyło się w lesie, kiedy miał trzy latka? Czy wątek córki Doriany się zakończył?) oraz małe (kto uwolnił Beatę, Huberta i Szymona z cel w podziemiach? Kto skorzystał z windy i zablokował Zetowi możliwość ucieczki? Dlaczego ta konkretna kryjówka bossa w masce znajdowała się tak głęboko pod miastem? Jakie jeszcze tajemnice skrywała?). I wiele innych.

Kiedy dawniej pytano mnie, którego bohatera z dotychczas stworzonych lubię najbardziej, trudno było mi takowego wskazać. Teraz nie miałbym z tym problemu i śmiało wskazuję Dorianę Wachę i Dawida Volkodlaka jako dzieci, które darzę największą autorską miłością. Czuję się trochę jak rodzic, który publicznie powtarza, że kocha wszystkie swoje pociechy po równo, bo tak wypada, natomiast w środku czuje coś innego i musi się z tym pogodzić. Zadanie skonstruowania tych postaci i ich nadprzyrodzonych zdolności było tym trudniejsze, że wydawało się, iż w tej materii wymyślono już wszystko. W wydawnictwach Marvel i DC pracują artyści, których jedynym zadaniem jest wymyślać kolejnych fantastycznych bohaterów oraz ich moce, a dopiero potem historie z udziałem rzeczonych, aby miały ręce i nogi.

Zależało mi przede wszystkim na tym, aby dać Czytelnikowi coś innego niż to, do czego się przyzwyczaił; żeby ta historia nie była zwykłym superbohaterskim łubu-du, ale zawierała pewną psychologiczną głębię, przerabiała jakiś problem, który dotyczy każdego z nas. Z początku wydawało się, że będzie to lęk młodego mężczyzny przed rodzicielstwem, poruszony w wątku Dorian-Ewa-Gosia. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że w dotychczas poznanych przeze mnie opowieściach o superbohaterach brakuje mi motywu, a konkretnie pytania, które zwłaszcza w dzisiejszym świecie - w którym w wyniku baniek informacyjnych, w jakich się zamykamy, narasta podział, szeroko pojęte napięcie, radykalizm i (przepraszam za wyrażenie) wkurw ludzi - powinno zostać postawione.



Jak człowiek o superbohaterskich zdolnościach odnalazłby się w dzisiejszych realiach? W rzeczywistości, w której lubimy mieć wrogów, wskazywać palcem, dzielić na swoich i cudzych? Człowiek zupełnie zwyczajny, taki jak my, nie przestępca. Ktoś, komu przyświecałyby w jego mniemaniu szlachetne ideały. Haczyk? Byłby to ktoś jednocześnie zapominający, że wraz z momentem, w którym zyskuje nadludzkie zdolności, anonimowość i bezkarność, traci ograniczenia i tylko krok dzieli go od tego, by zamienić się w potwora w ludzkiej skórze, którego boi się, a co za tym idzie - nienawidzi coraz więcej osób. Bohater gotuje ten los sam sobie, podejmując wyłącznie własne decyzje i nie potrzebując być do tego opętanym przez demona.

Nieprzypadkowo na początku książki zachęciłem Cię do pewnego psychologicznego ćwiczenia. Zaproponowałem, abyś wyobraził sobie, że dysponujesz takimi samymi mocami jak Dorian, w tym najważniejszą: wiedzą o brudach każdego człowieka, jakiego spotkasz. Każdego, bez względu na to, czy chodzi o polityka, znajomego czy partnera, który mógł Cię okłamać albo zdradzić i myśleć, że zdoła to zataić. Kto z nas nigdy nie marzył o jakiejś nadnaturalnej zdolności? Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie chciał być najsilniejszy, najszybszy, niewidzialny, kto nie chciał umieć latać albo czytać w myślach. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy nie był świadkiem przykrego incydentu w szkole lub na ulicy, w którym silniejszy znęcał się nad słabszym. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nie chciał wtedy zainterweniować, ale ze strachu tego nie zrobił. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nie zareagowałby, gdyby naprawdę miał większe możliwości fizyczne niż przeciwnik. Wreszcie, niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kogo filmowe lub serialowe sceny, w których ten dobry daje zasłużoną nauczkę złemu w obronie słabszego - nie ukrywajmy, schematyczne i powtarzalne do bólu - mimo to nie chwytają za serce; kto nie czyta/nie ogląda ich z zapartym tchem i nie czuje satysfakcji, kiedy dobro zwycięża.

Ha! I tu dochodzimy do podstawowego problemu dzisiejszego świata. Problemu, na który, jak mi się wydaje, mało kto zwraca uwagę. Czym tak naprawdę jest dobro? Jak je precyzyjnie zdefiniować? Czy nie jest tak, że każdy z nas uważa, iż jego system wartości jest jedyny właściwy? I czy to przypadek, że we wszystkich historiach superbohaterskich złych postaci jest znacznie więcej niż tych w założeniu dobrych? Czy to przypadek, że większość z nich nie uważa się za

złych, a takich jak Zet, psychopata powstały na archetypie diabła, czy Joker, stanowiący personifikację chaosu, jest tak naprawdę niewielu? Zwróćcie uwagę: na ogół każdy superłotr potrafi dobrze uzasadnić swoje racje. Każdy z nich jest przekonany, że działa w słusznej sprawie i zmienia świat na lepsze. Na lepsze według siebie. Według ludzkiego, subiektywnego pojmowania rzeczywistości.

To bardzo ciekawe zagadnienie. Wszyscy mamy się za dobrych ludzi i uważamy, że gdybyśmy mieli nadludzkie moce, za ich pomocą walczylibyśmy ze złem. W jaki sposób odbywałoby się to obecnie? Co określalibyśmy jako zło, a co jako dobro? Nie wiem jak wy, ale bywają momenty, w których jestem w tych pojęciach całkiem zagubiony. Ich precyzyjne określenie, zwłaszcza cienkich linii oddzielających jedno od drugiego, wbrew pozorom nie jest takie proste i wynika z tego niebezpieczeństwo, że granica między superbohaterem a superzłoczyńcą może bardzo łatwo się zatrzeć. Pisałem tę powieść głównie w 2020 i 2021 roku, kiedy mogłem zaobserwować w Polsce gęstniejące nastroje społeczne; to, jak skaczemy sobie do oczu, z jaką pogardą odnosimy się do osób o odmiennych poglądach. Jak w mediach i opinii publicznej pokazuje się coś wyłącznie od złej strony. Od razu narodziło się we mnie pytanie: czy gdyby taki zwykły Polak zyskał nadludzkie zdolności, miał wiedzę o ciemnych stronach innych i gwarancję, że może ukarać każdego, nie ponosząc za to konsekwencji, nie skorzystałby z tego? Czy nie kusiłoby go, by dać nauczkę politykom, których nie cierpi? Nie wykorzystałby swoich mocy, aby obalić rząd albo skompromitować opozycję, w zależności od tego, jakie poglądy wyznaje? Nie zrobiłby porządku (cokolwiek to znaczy) z przedstawicielami ideologii, z którymi jest mu nie po drodze, bez względu na to, czy mowa o lewicowych, czy o prawicowych? Co zdefiniowałby jako zło? Jaką formułę walki z nim by stosował? Wywoływania strachu i stosowania zamordyzmu czy o wiele trudniejszą w realizacji formułę odpowiadania dobrem, bez względu na postawę i przekonania drugiego człowieka?

Chciałbym się mylić, jednak obserwując dzisiejszy świat i jego ekstremistyczne zapędy, to, jak zmniejsza się między nami pole do jakiegokolwiek dialogu, mam nieodparte wrażenie, że górę wzięłaby pokusa, by stosować to pierwsze podejście. Stanfordzki eksperyment więzienny dowiódł, że to wcale nie jest tak nieprawdopodobna perspektywa. A popularność tematyki superbohaterskiej w popkulturze zdaje się to potwierdzać. Obserwujemy losy bohaterów, których podziwiamy, i często chcemy być tacy jak oni. Marzymy o tym, by być nadludźmi.

Tęsknimy za pokonywaniem kolejnych barier. Jakkolwiek na to patrzeć, właśnie z tego wynika cały postęp ludzkości! Mogłoby się wydawać, że takie podejście do tematu powinno napawać nadzieją w kontekście naszego gatunku. Że jest dowodem na to, iż w głębi, z natury jesteśmy dobrzy, cokolwiek to znaczy. Jest jednak druga strona medalu, która niepokoi mnie obok skrajnych postaw ludzkich i braku precyzyjnych definicji, co jest dobrem, a co złem.

Tą stroną jest nasza fascynacja czarnymi charakterami.

Zauważyliście to? Kiedy, dajmy na to, zapowiada się kolejny film o Spider-Manie, najważniejszej kwestii nie stanowi, kto zagra rolę głównego bohatera, ale z którym z jego najsłynniejszych przeciwników tym razem się zmierzy. Ileż emocji i dyskusji wywołują kolejne kinowe kreacje Jokera, podczas gdy nowe wcielenia Batmana w porównaniu z tym przechodzą właściwie bez echa. Wejdźcie na Filmweb, wyszukajcie *To* i zerknijcie na ranking ról w tym filmie sporządzony głosami widzów. Nawet nie muszę dodawać „w momencie, gdy to piszę (...)”, bo jestem pewien, że kiedykolwiek będziecie to przeczytali, i tak zobaczycie Billa Skarsgarda (Pennywisea) na czele najwyżej i najczęściej ocenianych kreacji z tej produkcji. Podobnie sprawa ma się na przykład z Dariem granym przez Jana Frycza w hitowym serialu *Ślepnąc od świateł*, przez którego o równie doskonałym aktorsko Robercie Więckiewiczu mówi się o wiele mniej, niż na to zasłużył za genialną rolę Jacka.

Czy tylko mnie to zastanawia i niepokoi? Z jednej strony każdy z nas marzy o tym, by bronić słabszych (tylko bronić czy również oddawać z nawiązką tym, którzy ich dręczą?), z drugiej - najbardziej fascynują nas ci, których powinniśmy piętnować, i nie tyczy się to tylko fikcji. Weźmy chociażby gang pruszkowski, którego każdy członek zarządu jest słynniejszy niż jakikolwiek policjant, który przyczynił się do rozbicia tej grupy. Wydaje mi się, że Hitler mimo wszystko jest większą „gwiazdą” niż Churchill, a sportowcy-dżentelmeni generalnie mniej znani niż bad boys, którzy nie gryzą się w język i o których jest głośniej z powodu pozaboiskowych i poza ringowych wybryków aniżeli sportowych osiągnięć.

W *Inkubie* pisałem, że chodzi o emocje, od których jesteśmy uzależnieni, tyle że akurat w odniesieniu do tematyki powieści, którą właśnie kończycie, mogłoby się wydawać, że oba obozy - dobrzy i źli - powinny wywoływać ich porównywalną ilość. Wybaczcie, ale nie potrafię tego wytłumaczyć.

Wnioskiem pobocznym, jaki wyciągnąłem z tych rozważań, jest to, iż przepis na idealnego bohatera (w żadnym wypadku nie mając na myśli jego nieskazitelnych cech charakteru) to uczynić z niego postać niejednoznaczną, *anti-hero*, lecz nie do końca złego. Może czynić źle, ale chociaż w imię pobudek, w które my, śledzący jego losy, spróbujemy uwierzyć. Można wręcz zrobić z niego postać tragiczną, która stoczyła się na dno przez jakieś traumatyczne przeżycie. Ma smutną historię, jest zmanipulowany, lecz naiwnie w coś wierzy. Przechodzi mroczną przemianę. Może być wbrew swojej woli wykorzystywany przez prawdziwych złoli jako narzędzie do potęgowania chaosu. Coś w tym jest. Wielu z Was się ze mną nie zgodzi, ale właśnie z tego powodu uważam, że to nie Joker był najlepszą postacią w filmie *Mroczny rycerz* Christophera Nolana, lecz Harvey Dent „Dwie Twarze”, który w gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem. Popadł jednak w szaleństwo, ponieważ zawiódł system, którego był ikoną i w który tak bardzo wierzył. Podobnie działa kontrast między Venomem i Carnage'em w uniwersum Marvela, w którym ten drugi - szaleniec, psychopatyczny morderca - to uosobienie czystego zła, podczas gdy w historii pierwszego można doszukiwać się pewnego zagubienia i niejednoznaczności. Wielu również uważa Vegetę za najciekawszą postać w świecie *Dragon Ball* bez względu na serię. Bo wywołuje tak wiele skrajnych emocji, tak wiele pytań i dylematów. O tym, jak intrygującym antybohaterem był Severus Snape w świecie czarodziejów J.K. Rowling, nawet nie ma sensu dłużej się rozwodzić.

Na analogicznej zasadzie starałem się skonstruować Doriana i Dawida, którzy od początku w mojej wyobraźni mieli być właśnie tacy „niedookreśleni” Żli? Jednak dobrzy? Ich moce to przekleństwo? Błogosławieństwo? Ogromną frajdę sprawiało mi zmienianie perspektywy na chłopaków podczas ich starć. Nie wiem jak u Ciebie, ale moja szala kibica, postronnego widza, nawet podczas pisania płynnie przesuwała się z jednej postaci na drugą. To jeszcze jeden powód, by człowiek-demon i Volkodlak powrócili. Ich świat ma ciągle mnóstwo sekretów, które chętnie odkryję jako autor. W kulturze grozy natomiast wciąż jest całe mnóstwo potworów, których odświeżone, moje własne interpretacje można wykorzystać jako podkładkę pod genezy ich kolejnych przeciwników. Zachęcam tych z Was, którzy jeszcze nie znają wszystkich moich książek, aby przeczytać pozostałe. Kto wie, może kiedyś okaże się to przydatne...? A może stanie się coś nieprzewidzianego, co sprawi, że Dorian i Dawid znowu zmierzą się ze sobą?

Raz jeszcze podkreślam, że trzymasz w rękach powieść z gatunku fantastyki grozy z elementami komiksowymi, a nie religijną. Zdaję sobie sprawę, że uwolnienie człowieka od demonów może trwać nawet wiele lat i rzadko kiedy zdarza się, by rytuał egzorcyzmu powiódł się za pierwszym razem, a już zwłaszcza gdy mówimy o wypędzeniu całego legionu złych duchów. Uroki fikcji literackiej są jednak takie, że można w tym przypadku puścić wodze fantazji, szczególnie gdy w fabule towarzyszy mu ogromny akt przebaczenia i miłości. Tak czy inaczej - nie próbujcie podobnych eksperymentów w domu!

Wyprawa na Madagaskar w dwudziestolecie międzywojennym, z której w powieści został przywieziony fikcyjny wirus zamieniający ludzi w żywe trupy, jest prawdziwa, choć nic mi nie wiadomo, by po Arkadym Fiedlerze został na wyspie jeszcze jeden Polak, który wrócił do kraju tuż przed wojną. Marynarz Janek Makowski został przeze mnie wymyślony, podobnie jak wioska Pomroka, z której pochodził.

Parafia pod wezwaniem Świętego Benedykta na warszawskich Bielanach, w której pełnią posługę Dorian, Szymon i Kropidłowski, również tak naprawdę nie istnieje (choć możliwe, że znajdziecie kościół z takim patronem w innej dzielnicy). Fikcyjny jest także *night club* Bridgette, w którym spotykali się gangsterzy.

Jeżeli chodzi o superksiężyc, starałem się trzymać prawdziwych dat - zarówno w dzieciństwie Dawida, jak i w czasach współczesnych. Natomiast wyjątkowa „krwawa” pełnia z września 2019 roku, która zamieniła go w bestię, w rzeczywistości się nie zdarzyła. Samo zjawisko tak zwanego krwawego księżyca, które wiąże się z jego zaćmieniem, jest prawdziwe i wypada relatywnie często - czasem nawet trzy razy w roku, choć mogą zdarzyć się takie lata, że nie zajdzie w ogóle. Pełnia wymyślona przeze mnie była unikatowa ze względu na kolor, który przypominał fosforyzującą krwistą czerwień. W moim uniwersum zdarza się raz na kilkadziesiąt lat, ale na pewno domyślacie się, że to wcale nie znaczy, iż Dawid już do swojej starości nie przemieni się w pięciometrową, owłosioną górę mięśni z wilczym łbem.

Dziękuję wszystkim ekspertom, z którymi konsultowałem tę powieść: historykom, policjantom, byłym żołnierzom, księżom, lekarzom, prawnikom, psychologom, pracownikom Służby Więziennej, a także rdzennym Ślązakom i rodowitym Niemcom, którzy byli uprzejmi przetłumaczyć niektóre dialogi. Bez

nich ta książka byłaby pełna błędów. Jeżeli jakieś mimo wszystko się w niej znalazły, są wyłącznie moją winą.

Dziękuję Tobie - za to, że zdecydowałeś się sięgnąć po *Demana*, pomimo jego objętości! Liczę, że to nie nasze ostatnie spotkanie, nie tylko przy okazji śledzenia dalszych losów Doriany, Dawida i Beaty. Nowe historie z gatunku szeroko pojętej grozy, niezwiązane z *Demanverse*, wprost dopominają się o to, żeby je spisać. I zostaną spisane. Najlepiej, jak umiem. Obiecuję Ci to.

Pozdrawiam i kłaniam się,

ArtUr

**CZĘŚĆ IX:**  
**SCENA PO NAPI**  
**SACH**

# ROZDZIAŁ XLIX

Aaron Nowitzky, CEO Seed Industries, a tak naprawdę słup, który stał na czele tej biotechnologicznej korporacji w imieniu Zeta, musiał przyznać, że śmierć jego zatajonego przed światem przełożonego przyniosła mu swego rodzaju ulgę. Nie tylko dlatego, że jako jeden z nielicznych wiedział, jakie rzeczy boss składował głęboko pod ziemią, i zastanawiał się, czy jest sens podejmować gigantyczne ryzyko i sprawdzać, jak przetrwały dramatyczne zdarzenia z udziałem dwóch niebezpiecznych nadludzi. Nawet nie dlatego, że już nie musiał pytać nikogo o zdanie, jeżeli chodzi o strategię prowadzenia firmy. W papierach widniał oficjalnie jako właściciel i od teraz mógł zarządzać nią tak, jak chciał. Oznaczało to, że mógł bez strachu pozamykać jego zdaniem nierokujące i nierentowne projekty, zwłaszcza te zlecone przez szefa, który po cichu pompował w nie olbrzymie pieniądze.

Cóż, już nie będzie.

Nowitzky bał się go, jak każdy podwładny, więc nigdy nie odważył się powiedzieć głośno, że Zet wyrzucał pieniądze w błoto. Zbudował w Polsce naukowe podziemie, którego nie powstydzilyby się najpotężniejsze mocarstwa świata. Skusił do pracy dla siebie jednych z największych wizjonerów na tej planecie. Korzystał ze swoich znajomości, sprowadzał ich z innych krajów, głównie z Rosji, Chin i Stanów Zjednoczonych. Nie szczędził funduszy, spełniał każde życzenie tych ludzi, dawał im czas, aby mogli spokojnie pracować, oraz zapewniał, że nie muszą przejmować się takimi drobnostkami, jak prawa człowieka, zakazy, nakazy i procedury bezpieczeństwa. W jego laboratoriach to oni mieli wolną rękę, byli panami i władcami.



Ale jednocześnie Zet miał wymagania. To on decydował o tym, czym zajmują się ludzie, którym płacił. Pomijając zadania poboczne, takie jak stworzenie kuli perfekcyjnie imitującej wyglądem i światłem księżyc w pełni, postawił im przede wszystkim jeden cel.

Oszukać śmierć. Sposób nie grał roli.

Kochał nieśmiertelność, wręcz się nią szczycił. Nie kochał jednak swojego ciała. Nie w sytuacji, gdy nie mógł nikomu się pokazać i musiał sterować swoim imperium z ukrycia. Nie w sytuacji, gdy w każdym wzbudzał nie tylko strach, co akurat mu odpowiadało, ale i odrazę, co sprawiało, że musiał gwałcić dostarczone mu kobiety, bo w normalnej sytuacji żadna by mu się nie oddała. Jego ciało miało jeszcze długo nie umrzeć. Wiedział, że w miarę upływu czasu będzie tylko gorzej. Jeżeli w wieku stu trzydziestu jeden lat wyglądał jak żywy trup, na domiar złego pożerany przez choroby, nie zamierzał czekać beczynnym na okropności, jakie miały nadejść potem. Cierpiał. Miał obsesję, by zachować *status quo*, jeżeli chodzi o jego pozycję w Polsce i na świecie, ale w nowej, odświeżonej formie. To właśnie temu celowi poświęcił cały swój majątek, to dlatego nigdy nie przeszedł na emeryturę i nigdy nie utracił zapału do kontynuowania przestępczej działalności. Potrzebował środków na sfinansowanie prac nad czterema projektami naukowymi, które miały mu umożliwić wygranie konfrontacji ze śmiercią.

Projekt pierwszy - o nazwie „Cybernetyzacja” - przeniesienie osobowości Zeta do cyberprzestrzeni, aby już nie potrzebował ciała. Stworzenie czegoś na kształt sztucznej inteligencji z jego wspomnieniami i jaźnią.

Projekt drugi - o nazwie „Dusza” - przeniesienie jego osobowości do cudzego ciała na podobnej zasadzie jak w projekcie „Cybernetyzacja”. Badania obejmowały prace nad obszarami umysłu odpowiedzialnymi za jaźń i znalezieniem sposobu na „przepisanie” cudzej do innego mózgu.

Projekt trzeci - o nazwie „Młodość” - znalezienie sposobu na obniżenie wieku biologicznego ciała. Wielu naukowców twierdziło, że z procesem starzenia się można walczyć tak jak z każdą chorobą. Wystarczyło sprawić, by nowe komórki podczas wymiany nie zachowywały pamięci starych, a wręcz ją cofały. Tu rezultaty były nawet obiecujące. Stworzono prototyp promieniowania, które miałyby tak działać, ale całe przedsięwzięcie było jeszcze w powijakach i wymagało wielu lat testów.

I wreszcie projekt czwarty, o nazwie „Przeszczep”.

Nowitzky czytał raport, który wylądował na jego biurku tego ranka, i z każdą liniijką był coraz bardziej zdumiony. Skończywszy, energicznie zamknął teczkę, jakby zawartość razila go w oczy, a kiedy odkładał ją ostrożnie na blat, lekko drżały mu ręce. Bynajmniej nie ze strachu.

– Chce mi pan powiedzieć, że... - zwrócił się do profesora Mlyakova, który dostarczył mu raport. To on stał na czele projektu czwartego.

– Udało nam się! - odpowiedział z silnym wschodnim akcentem starzec. Wprost kipiał z emocji. - Czy pan rozumie, co to oznacza? To będzie medyczna rewolucja! Upowszechnieni tigo uratuje wile ludzi!

„I przyniesie firmie, która to opatentuje, miliardy dolarów zysku. Nawet nie miliardy. Biliony!” - pomyślał Nowitzky, ale przytomnie nie powiedział tego głośno. Oddychał głęboko i zrobiło mu się gorąco. Poluzował krawat i rozpiął koszulę pod brodą. Próbował się skoncentrować, ale miał z tym ogromne trudności.

– Naprawdę udało wam się to z dowolnym narządem?

– Tak! Ni tilko z mózgiem! - Profesor uśmiechnął się szeroko. - Lek wstrzyknięty do docelowego organizmu i przeszczepionego narządu sprawia, że te zyskują wobec siebie neutralność. To coś jak ukriwanie antygenów, anonimizacja tkanek.

– Czyli...

– Sprawia to, że pozbiwamy si problemu odrzuconych przeszczepów! Organizm reaguje na cudzą tkankę jak na swoją, a do tego szybcij adaptuje ją do siebie. Mozimy mu wszczepić dowolny brakujący narząd i ni martwić si, zi zostani odrzuconi! Znika problem doboru dawci, znika problem doboru klinicznego biorci! Ticzi si to wszistkiego, także krwi! Już ni będzie kłopotów z rzadkimi grupami!

Nowitzky myślał gorączkowo.

– Czyli co? Założmy, że ktoś choruje na raka trzustki. Wystarczy, że wymienimy mu trzustkę na wziętą od kogoś, kto zginął w wypadku, i biorca... jest zdrowy?

– Tak! - Profesor kiwnął gorliwie głową. - Nasz lek na to pozwoli. Mamy gwarancję, zi nowa trzustka si przyjmie i będzie działać jak nalezi!

– Tak samo jeżeli ktoś stanie się kaleką i na przykład utraci rękę? Będziemy mogli spokojnie przeszczepić mu nową?

– Dokładni! Protezi staną si niepotrzebne. Taki człowiek odzyska pełną sprawność. Mięśnie, nerwy, naczynia krwionośne... Wszystko to połączy się z ciałem biorci samo i zaczną działać. - Profesor rozłożył uroczyście ręce. - Ręce, nogi, narządy wewnętrzne... Nic nas ni ogranicza!

– Nie ma żadnych skutków ubocznych? Skończyliście wszystkie badania?

To pytanie zmniejszyło uśmiech na twarzy Mlyakova.

– Jeszcze nie wszystkie. Ale osiągniliśmy przełom i jesteśmy bardzo blisko... Do dalszych badań potrzebujemy jednak więcej próbek organizmu, od którego zaczęliśmy.

Nowitzky myślał gorączkowo. Wszystko, co usłyszał, oznaczało najpewniej, że będą musieli znaleźć sposób, by dostać się do podziemnego kompleksu Zeta głęboko pod Warszawą i wydobyć stamtąd...

– Panie profesorze, to polecenie służbowe. - Uderzył lekko otwartą dłońią w blat biurka. - Proszę kontynuować prace nad tym projektem. Od tej pory to absolutny priorytet firmy. O fundusze proszę się nie obawiać. Zapewnię też panu najlepszych współpracowników, jakich tylko mogę. O wynagrodzeniu nie wspominam, bo to oczywistość. Zabezpieczy pan przyszłość swojej rodziny na kilka pokoleń, a pana nazwisko zapisze się złotymi zgłoskami w historii nauki. Co pan na to?

Mlyakov się uśmiechnął.

– Brzmi kusząco.

– Proszę przygotować listę rzeczy, przedmiotów, surowców i ludzi, jakich będzie pan potrzebował, a od razu postaram się zaradzić. Co tylko pan sobie zażyczy. - Nowitzky wyciągnął dłoń.

Mlyakov podszedł i uścisnął ją.

– Praca u pana to sama przyjemność! - powiedział.

– Cała po mojej stronie! - odparł Nowitzky. - Wierzę, że razem zmienimy świat! Życzę owocnych wyników badań i czekam na raporty z postępów.

– Będą, obiecuję. Do widzenia!

Profesor pomaszerował do wyjścia z przeszklonego gabinetu Nowitzky ego. Już miał go opuścić, kiedy przełożony zatrzymał go jeszcze.

– Panie profesorze!

– Tak?

Nowitzky milczał, kręcąc się w tę i z powrotem na obrotowym fotelu.

– Jeszcze jedno pytanie - powiedział powoli. - Tak czysto hipotetycznie. Skoro nic nas nie ogranicza, czy to oznacza, że będziemy mogli... złożyć człowieka w taki sposób, że każdy narząd będzie pochodzić od innej osoby?

Mlyakov zbladł. Nie odpowiedział od razu.

– Teoretycznie... jest to możliwi - odparł. - Ale po co? Brzmi trochę straszn...

Nowitzky machnął ręką.

– Nic, tak tylko pytam. No bo skoro to będzie możliwe... Nie kojarzy się to panu z czymś? Wygląda na to, że już niedługo literackie i filmowe fantazje w pewnym sensie mogą stać się rzeczywistością!

– Ni rozumiem.

Nowitzky parsknął śmiechem.

– Chyba zna pan klasyczny wygląd potwora Frankensteina?

**G A L E R I A P O S T A C I  
D E M A V E R S E**



**Imię i nazwisko:** Dorian Wach

**Rasa:** człowiek-demon

**Dotąd poznane zdolności/mocne strony:**

– Wiedza o wszystkich mrocznych tajemnicach człowieka, do którego się zbliży - o jego grzechach, traumach, zmartwieniach i chorobach. Czasem, gdy złych ludzi zbierze się wystarczająco dużo w jednym miejscu, może wyczuć ich z większej odległości. Zdolność ta pozwala mu również przewidywać z wyprzedzeniem ciosy lub chęć sięgnięcia po broń przeciwników, którzy są ludźmi, bo poprzedza je zły zamiar.

– Umiejętność perfekcyjnego kłamania i wywierania wpływu na człowieka w oparciu o wiedzę o słabych punktach jego psychiki.

– Nadludzkie siła (jest w stanie unieść samochód), szybkość, wygimnastykowanie i skoczność. Potrafi jednym susem pokonywać spore odległości.

– Zmiana wyglądu, dzięki czemu nie da się go rozpoznać.

– Po transformacji na dłoniach i stopach wyrastają mu szpony, które mogą przydać się w walce. Dłonie wtedy również powiększają się i stają się bardziej wytrzymałe.

– Umiejętność pełzania po ścianach i sufitach wbrew prawu grawitacji.

– Zwiększona odporność na obrażenia oraz umiejętność szybkiej regeneracji po takich jak otwarte rany i złamanie.

– Umiejętność przekształcania ciała w sposób niemożliwy dla człowieka (na przykład okręcania głowy o sto osiemdziesiąt stopni, wyginania kończyn lub kręgosłupa).

– Umiejętność wypluwania gwoździ.

– Umiejętność przybierania potężniejszej formy - Legion. Jak dotąd to najsilniejsza poznana postać uniwersum.

– Umiejętność lewitacji (w formie Legion)

– Z jego ciała mogą tymczasowo wyrastać dodatkowe ręce, które po ciosie natychmiast znikają pod skórą (w formie Legion).

**Dotąd poznane słabości/ograniczenia:**

– Dewocjonalia, woda święcona, modlitwy o uwolnienie, jak u każdego opętanego.

– Nie może przebywać w kościele, a obecność na poświęconej ziemi, takiej jak cmentarz, sprawia mu dyskomfort.

– Jego radar na zło w pewnym sensie daje mu skrzywiony obraz rzeczywistości, bo nie pokazuje dobrych cech spotykanych ludzi.

– W formie Legion traci świadomość i nad jego ciałem panują demony.

- Jeżeli walczy z istotą, która nie postrzega dobra i zła tak jak człowiek, nie jest w stanie przewidzieć jej ataków, a jedynie przeczytać z niej jej ofiary.
- Demon w nim nie jest jego sprzymierzeńcem i pragnie jego śmierci.





**Imię i nazwisko:** Dawid Volkodlak

**Rasa:** wilkołak

**Dotąd poznane zdolności/mocne strony:**

- Wyostrzony węch, umiejętność wyczuwania ludzi na odległość i rozróżniania ich po zapachach.
- Zwiększone siła, szybkość i wytrzymałość w stosunku do zwykłego człowieka (podczas dowolnej pełni ich poziom jeszcze wzrasta).
- Zwiększona odporność na choroby i obrażenia, szybsza niż normalnie regeneracja tych drugich (ale nie błyskawiczna). Podczas dowolnej pełni ich poziom jeszcze wzrasta.
- Umiejętność przemieniania się podczas pełni (zwykłej, superksiężyc, rzadkiego krwawego księżyc) w potężniejsze formy. Przemianę można wywołać również za pomocą artefaktu - kuli perfekcyjnie imitującej wygląd oraz światło księżyc. Wystarczy, że Dawid na ten księżyc spojrzy.
- Dobrze wyszkolony w walce wręcz jako zawodowy fighter MMA.

**Dotąd poznane słabości/ograniczenia:**

- Nie kontroluje swojego zachowania po przemianie podczas superksiężyc i krwawego księżyc, zyskuje osobowość agresywnej bestii, a potem nic nie pamięta.
- Nawet w najsilniejszej formie jest słabszy niż Legion.
- Pełnia księżyc działa na niego jak używka, od której może się uzależnić.
- Nawet po przemianie można szybko przywrócić go do ludzkiej postaci, imitując artefaktem światło słońca.
- Może przemieniać się tylko po zachodzie słońca, ewentualnie w pomieszczeniach bez okien, do których nie dociera światło dnia.



**Imię i nazwisko:** Władysław Ziarnik (ps. Zet)

**Rasa:** superżołnierz/nazi zombie

**Dotąd poznane zdolności/mocne strony:**

– Jest prawie nieśmiertelny. Nie zabije go żadna choroba ani obrażenia (z wyjątkiem obrażeń głowy). Ze starości może umrzeć natomiast dopiero wtedy, gdy jego ciało zupełnie zgnije i się rozłoży. Jego krew ma taką właściwość, że natychmiast zasycha na zranieniach, więc Zet nie może się wykrwawić.

– Nadludzkie siła, szybkość i wytrzymałość.

– Jest najbogatszym Polakiem i jednym z najbogatszych Europejczyków.

– Potężna armia bandytów rozlokowanych w praktycznie każdym mieście w Polsce. Pracują dla niego również hakerzy.

– Wpływowe znajomości zarówno jeżeli chodzi o politykę, jak i biznes, także zagraniczny.

– Jest właścicielem Seed Industries - biotechnologicznej korporacji, dla której pracuje wielu wizjonerów z naukowego podziemia.

– Jest właścicielem potężnej grupy medialnej Great - z telewizją, radiem, portalem internetowym i gazetami, dzięki czemu może kreować poglądy w Polsce na dowolny temat.

– Ponad sto lat przestępczego doświadczenia.

**Dotąd poznane słabości/ograniczenia:**

– Głowa. Można go zabić poprzez zwykłe postrzelenie w nią, dlatego nie rozstaje się z kuloodporną maską.

– W walce wręcz jest słabszy od człowieka-demona i wilkołaka przemienionego podczas superksiężycy/krwawego księżycy.

– Kiedy się zrani albo zachoruje, czuje ból jak każdy normalny człowiek.

# PRZYPISY

<sup>1</sup> (niem.) Patrzcie!

<sup>2</sup> (niem.) Co tu się dzieje? Dlaczego nie wróciłeś ze zwiadu?

<sup>3</sup> (niem.) Bacność!

<sup>4</sup> (niem.) Pomóżcie mi!

<sup>5</sup> (niem.) Sanitariusz!

<sup>6</sup> (niem.) Uspokój się! Co w ciebie wstąpiło?!

<sup>7</sup> (niem.) Stój! Nie zbliżaj się!

<sup>8</sup> (niem.) Co to ma być?

<sup>9</sup> (niem.) Co ty zrobiłeś?! Oszalałeś?!

<sup>10</sup> (niem.) Nie musiałeś tego robić!

<sup>11</sup> (niem.) Zabiłby mnie.

<sup>12</sup> (niem.) Poruczniku.

<sup>13</sup> (niem.) Musimy wynieść go z lasu albo umrze.

<sup>14</sup> Sąd wojskowy III Rzeszy

<sup>15</sup> (niem.) Wystarczy. Odprowadzić obiekt. Izolatka numer dwa.

<sup>16</sup> (niem.) To się stało, doktorze Kurtz.

- <sup>17</sup> (niem.) Wyprowadzić więźnia! Już!
- <sup>18</sup> (niem.) Rozkaz, doktorze Kurtz!
- <sup>19</sup> (niem.) Wychodź!
- <sup>20</sup> (niem.) Wychodź, ale już!
- <sup>21</sup> (niem.) Do wyjścia!
- <sup>22</sup> (niem.) Dzień dobry.
- <sup>23</sup> (niem.) Pod ścianę.
- <sup>24</sup> (niem.) Zostawi mi pan ten zaszczyt, profesorze?
- <sup>25</sup> (niem.) Proszę.
- <sup>26</sup> (niem.) To działa! Udało się!
- <sup>27</sup> (niem.) Strzelać! Tylko nie w głowę!
- <sup>28</sup> (niem.) W głowę!
- <sup>29</sup> (niem.) Za nim! Nie dajcie mu uciec!
- <sup>30</sup> Tłumaczenie za Biblią Tysiąclecia, Ap 21,1-5
- <sup>31</sup> Ibidem, J 13,31-35
- <sup>32</sup> Ten i kolejne fragmenty hasła za: [pl.wikipedia.org/wiki/Opętanie](https://pl.wikipedia.org/wiki/Opętanie) (dostęp: 22.06.2022). Podkreślenia autora powieści.
- <sup>33</sup> Ultras - w nomenklaturze kibicowskiej grupa, która przygotowuje oprawy na mecze, np. sektorówki lub kartoniady. Nie należy jej utożsamiać z grupami chuligańskimi.
- <sup>34</sup> Linkin Park, *In The End* słowa: Chester Bennington, Mike Shinoda
- <sup>35</sup> Linkin Park, *Don't Stay* słowa: Chester Bennington, Mike Shinoda
- <sup>36</sup> Like a Storm, *I love the Way You Hate Me* słowa: Matthew Allan Brooks, Kent Gregory Brooks, Christopher James Brooks
- <sup>37</sup> Scena pochodzi z filmu *Spider-Man 3* (2007), reż. Sam Raimi.